

KODEKS 632
JOSÉ RODRIGUES
DOS SANTOS



JOSE RODRIGUES DOS SANTOS

Pisarz, dziennikarz, i reporter wojenny,
współpracownik telewizji BBC i CNN.

Urodził się w 1964 w Mozambiku.

Obecnie mieszka w Portugalii.

Wykłada dziennikarstwo na Uniwersytecie
Lizbońskim i prowadzi wieczorny program
informacyjny w telewizji publicznej.

Autor siedmiu powieści przetłumaczonych
na 16 języków oraz kilku esejów.

Jego najbardziej znane książki to *Kodeks
632*, *A Fórmula de Deus* i *O Sétimo Selo*.

Najnowsza powieść *Fúria Divina* otrzymała
nagrodę literacką Porto Literary Club

Award, zaś debiutancka *A Ilha
das Trevas* jest obecnie ekranizowana.



JOSÉ RODRIGUES
DOS SANTOS

KODEKS 632

Z portugalskiego przełożyła
AGNIESZKA SOBOŃ

Tytuł oryginału: O CODEX 632

Copyright © José Rodrigues dos Santos 2005

All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2010

Polish translation copyright © Agnieszka Soboń 2010

Redakcja:

Elżbieta Jurczyszyn

Ilustracja na okładce:

Jacek Kopalski

Projekt graficzny okładki i serii:

Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7359-926-0

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

t./f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009

www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.empik.com

www.merlin.pl

www.ksiazki.wp.pl

www.amazonka.pl

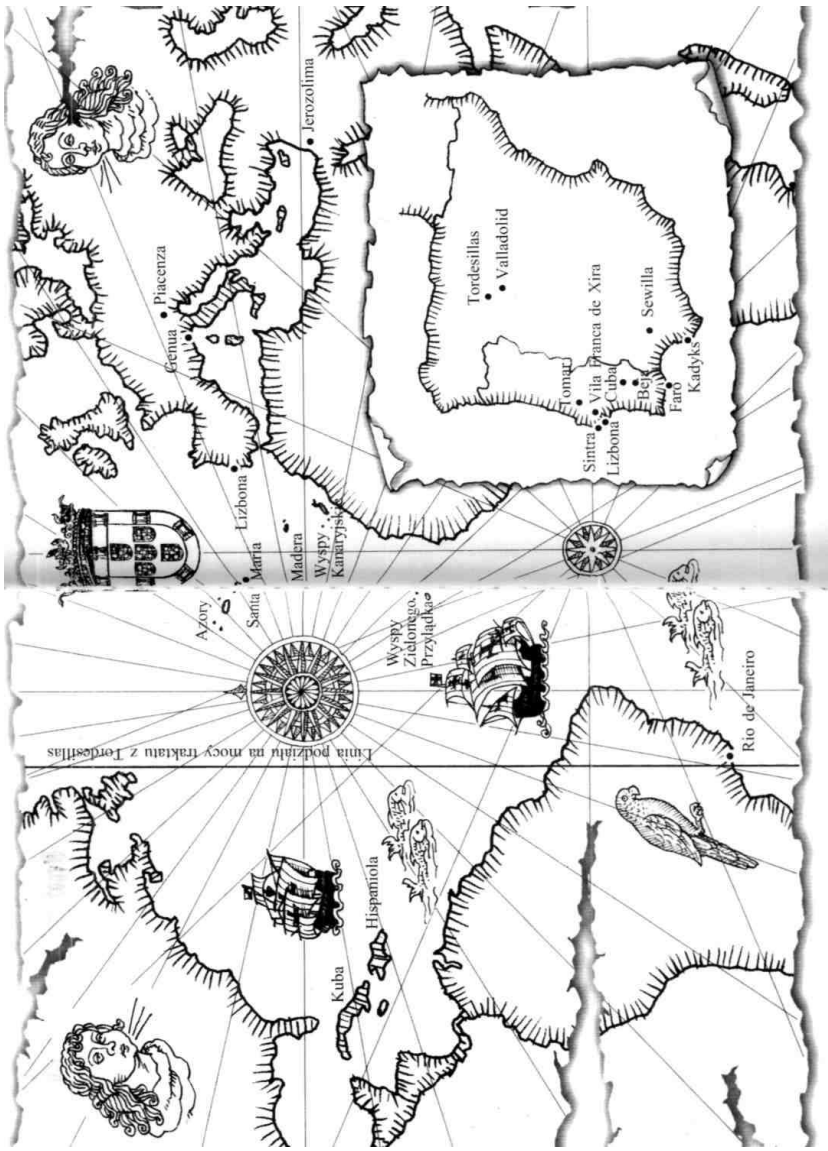
WYDAWNICTWO ALBATROS

ANDRZEJ KURYLOWICZ

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

2010. Wydanie I Druk: Opolgraf S.A., Opole

*Florbeli, Catarinie i Inés,
moim trzem kobietom*



Prawdę czas odstania

Seneka Młodszy: *O gniewie*

Uwaga

Wszystkie książki, rękopisy i dokumenty
wspomniane w tej powieści
istnieją naprawdę,
włącznie z „Kodeksem 632”.

Prolog

Cztery.

Stary historyk nie wiedział, nie mógł bowiem wiedzieć, że zostały mu tylko cztery minuty życia. Drzwi windy hotelowej rozsunęły się zapraszająco. Mężczyzna nacisnął guzik z numerem dwadzieścia jeden i kabina ruszyła w górę. Pasażer przejrzał się w lustrze i uznał, że jest skończony — łysy na czubku głowy, z resztkami siwych włosów za uszami i na karku, białymi jak śnieg, podobnie jak krótki zarost pokrywający chudą, pociągłą twarz porysowaną głębokimi zmarszczkami. Rozciągnął usta i przyjrzał się nierównym zębom, pożółkłym, z wyjątkiem implantów połyskujących śnieżnobiałą porcelaną.

Trzy.

Winda cichym tyknięciem oznajmiła koniec podróży. Trzeba było wysiąść, by wyjść naprzeciw swojej śmierci; winda miała już kolejnych gości do obsługi. Starzec przeszedł przez korytarz i skręcił w lewo. Prawą ręką szukał klucza w kieszeni. Odnalazł. Była to biała plastikowa płytką, na której z jednej strony widniała nazwa hotelu, a z drugiej ciemne pasmo z kodem. Włożył ją do szczeliny w drzwiach, w otworze zapaliło się zielone światelko. Przekręcił klamkę i wszedł do pokoju.

Dwa.

Poczuł suchy, zimny powiew klimatyzacji, który wywołał u niego gęsią skórkę. Ten odświeżający chłód po poranku spędzonym w palącym skwarze ulicy przyniósł mu ulgę. Pochylił się nad niską lodówką, wyjął z niej szklanekę soku i podszedł do okna. Z cichym westchnieniem podziwu patrzył na wysokie, starodawne domy Ipanemy.

Naprzeciw wznosił się biały pięciopiętrowy budynek. Na tarasie w basenie połyskiwała kusząco w gorącym słońcu odświeżająca, niebiesko-turkusowa woda. Obok stała ciemna, niższa budowla z szerokim balkonami pełnymi krzeseł i leżaków. Skaliste góry w tle tworzyły swymi falistymi zielono-szarymi konturami naturalną barierę otaczającą betonowy gąszcz. Ze wzgórza Corcovado pozdrawiał Chrystus Zbawiciel widoczny z profilu. Krucha, niewielka z tej odległości figurka balansowała nad przepaścią na najwyższym wzniesieniu miasta. Wynurzała się z kępki białawych chmur wiszących nad krawędzią punktu widokowego na krańcach półwyspu.

Jeden.

Starzec podniósł szklankę do ust i poczuł, jak pomarańczowy płyn spływa mu delikatnie do gardła, słodki i chłodny. Sok z mango był jego ulubionym napojem, tym bardziej że cukier podkreślał miodową nutę tropikalnego owocu. Co więcej, wyciskano go ze świeżych owoców, bez dodatku wody. Napój był zawiesisty, z cząsteczkami miąższu w gęstym i pożywym płynie. Mężczyzna opróżnił szklankę z przymkniętymi powiekami, delektując się smakiem mango, po czym otworzył oczy i znów obserwował połyskujący błękit wody w basenie naprzeciwko.

Ból.

W tym momencie poczuł w piersiach przeszywający ból. Zwinął się w konwulsji, pochylił i jego ciałem wstrząsnął niekontrolowany spazm. Cierpienie stało się nie do zniesienia i mężczyzna upadł na podłogę. Przewrócił oczyma, zatrzymując szklane spojrzenie na suficie pokoju. Ciało leżało nieruchomo na plecach z rozpostartymi ramionami i wyciągniętymi nogami, targane kolejnymi skurczami.

Jego świat dobiegł końca.

I

— Co? Znowu chcesz tosty z masłem?

— Kcem.

— Jeszcze raz?

Tomás westchnął ciężko. Nie spuszczał z córki potępiającego wzroku, jak gdyby próbował wymusić na niej zmianę zdania. Ale dziewczynka skinęła głową, niewzruszenie ignorując irytację ojca.

— Kcem.

Constanța spojrzała na męża z wyrzutem.

— Och, Tomás, niech zje, co chce.

— Słuchaj, ciągle to samo, zaczyna mnie to wkurzać — zaprotestował. — Tosty z masłem i tosty z masłem, dzień w dzień. Podkreślił słowa „dzień w dzień” i skrzywił się z dezaprobatą. — Nie wytrzymuję już tego zapachu, niedobrze mi się robi.

— Ona już taka jest, czego chcesz?

— Wiem — odburknął. — Ale mogłaby chociaż spróbować się zmienić, prawda? — Podniósł wskazujący palec. — Raz. Tylko raz. Więcej nie wymagam.

Zapadło milczenie.

— Kcem toty z masłem — wymamrotała niewzruszenie mała.

Constanța odeszła od kuchenki, wyjęła z torebki dwie kromki chleba tostowego bez skórki i włożyła je do tosterka.

— Zaraz będą, Margarido. Mama zaraz da ci grzanki, córeczko. Mężczyzna opadł na krzesło i westchnął z rozdrażnieniem.

— Jakby tego było mało, je jak prosię. — Pokręcił z niezadowoleniem głową. — Popatrz na nią, cała się oblizuje, łakomczuch jeden. Ślini się na sam widok tosterka.

— Taka już jest.

— Nie może tak być! — wykrzyknął Tomás, potrząsając głową. — Jeśli dalej tak będzie, pójdziemy z torbami. Nie zarabiamy tyle.

Matka zagrzała szklanke mleka w mikrofalówce, wysypała dwie łyżeczki rozpuszczalnego kakao i dwie łyżeczki cukru, wymieszała i postawiła na stole. Chwilę później charakterystyczny sygnał tosterka dał znak, że grzanki są gotowe. Constança wyjęła je, posmarowała cienko masłem i podała córce, która włożyła je od razu do buzi, trzymając, jak zawsze, posmarowaną stroną do dołu.

— Mmm... ale dobre! — chwaliła, delektując się gorącymi tostami.

Podniosła szklanke i wypila jeszcze jeden łyk kakao. Kiedy ją odstawiła, miała na buzi brązowe wąsy. — Pycha!

###

Dziesięć minut później ojciec z córką wyszli z mieszkania. Był zimny i wietrzny ranek. Nieprzyjemny wiatr dmuchał z północy i potrząsał topolami, które trzeszczały niepokojąco. Połyskujące krople deszczu pokrywały maskę samochodu, a na asfalcie widać było mokre plamy. Resztki nocnej wilgoci pozostawiały w całym Oeiras zaparowane okna, a gdzieś tam miniaturowe jeziora.

Tomás jedną ręką trzymał teczkę, a drugą paluszki małej. Margarida była ubrana w jasną dżinsową spódnice i ciemnoniebieską kurtkę. Na ramionach miała plecak. Ojciec otworzył drzwiczki małego białego peugeota, posadził ją na tylnym siedzeniu, położył plecak i teczkę w nogach i usiadł za kierownicą. Odpalił samochód, wrzucił wsteczny i ruszył. Spieszyło mu się, córka była spóźniona do szkoły, a on musiał pokonać poranne korki, by dotrzeć do centrum Lizbony, gdzie miał poprowadzić zajęcia.

Zatrzymując się na pierwszych światłach, spojrzął w lusterko. Na tylnym siedzeniu Margarida pochłaniała świat swoimi wielkimi czarnymi oczami. Żywe i wygłodniałe obserwowały ludzi mijających się na chodnikach i poddających się nerwowemu pulsowaniu życia.

Tomás spojrzął na nią jak ktoś obcy. Ciemne, niezbyt gęste włosy, duże oczy — z wyglądu przypominała małą grubiotką Azjatkę. Czy nazwałby ją nienormalną? To nie ulegało wątpliwości. Czyż nie nazywał ich tak kiedyś, spotykając na ulicy czy w supermarkecie? Nienormalni. Imbecyle. Opóźnieni w rozwoju. Co za ironia losu.

Pamiętał ten wiosenny poranek dziewięć lat temu, jakby to było wczoraj. Podekscytowany, tryskający radością i entuzjazmem dotarł do szpitala. Wiedział już, że został ojcem, i chciał zobaczyć córkę, która urodziła się o świcie. Biegiem wpadł do sali z bukietem wiciokrzewu w rękę, objął żonę i pocałował nowo narodzoną dziewczynkę jak skarb. Wzruszył się na jej widok — leżała opatulona w łóżeczku, pulchniutka, o zaróżowionej twarzyczce. Wyglądała jak miniaturowy śpiący Budda, mądra i łagodna.

To poczucie pełnego szczęścia — boska, transcendentalna chwila — nie trwało nawet pół godziny. Po dwudziestu minutach do sali weszła lekarka i dyskretnie poprosiła go do swojego gabinetu. Z poważną miną zaczęła od pytań o azjatyckich przodków i szczególnie kształt oczu. Tomásowi nie podobała się ta rozmowa. Szorstko i bezpośrednio dał jej do zrozumienia, że jeżeli chce mu coś powiedzieć, to niech przejdzie do rzeczy. Wtedy kobieta wyjaśniła, że kiedyś określano pewien typ ludzi jako mongoidalny, a obecnie to słowo wychodzi z użycia i zastępowane jest nazwą zespół Downa lub trisomia 21.

Poczuł się, jakby ktoś go zdzielił kulakiem w brzuch. Ziemia usunęła mu się spod nóg, a przyszłość okryła nieodwracalnym mrokiem. Żona zareagowała głębokim milczeniem. Długo nie poruszała tematu, ten okropny wyrok przekreślił plany względem córki. Przeżyli jeszcze tydzień w nikłej nadziei, czekając na wynik kariotypu z Instytutu Ricardo Jorge — testu genetycznego, który miał rozwiać wszelkie wątpliwości. Próbowali przekonywać się wzajemnie, że zaistniała jakaś pomyłka. Tomásowi wydawało się, że malutka miała mimikę jego matki, a Constança odnajdowała podobieństwo do jednej z ciotek. Z całą pewnością lekarze się pomylili, to niemożliwe, by dziewczynka była upośledzona umysłowo. Trzeba mieć tupet, by coś takiego sugerować! Niestety, osiem dni później telefon od laborantki z instytutu potwierdził wszystkie przypuszczenia lakonicznym „wynik pozytywny”.

Szok był brutalny. Miesiącami żyli, planując przyszłość córki, pielęgnując marzenia o tej, która miała być przedłużeniem ich życia. Konstrukcja z marzeń runęła po tych kilku oszczędnych słowach. Pozostały jedynie niedowierzanie, negacja, poczucie niesprawiedliwości, niekontrolowany bunt. Winny był położnik, który niczego nie rozumiał, winne były nieprzygotowane na takie sytuacje szpitale, winni byli politycy niezainteresowani prawdziwymi problemami obywateli, winny był wreszcie cały ten gówniany kraj. Potem przyszło poczucie straty, głębokiego bólu i wreszcie winy. Dlaczego ja? Dlaczego moje dziecko? Dlaczego? Tomás zadawał sobie to pytanie tysiące razy i teraz ponownie je powtarzał. Mieli za sobą nieprzespane noce, zastanawiając się, co zrobili źle, czując się odpowiedzialni, poszukując błędów i zaniedbań, winnych, przyczyn i sensu. Dopiero na trzecim etapie przestali koncentrować się na sobie i skierowali uwagę na córkę. Myśleli o jej przyszłości. Jak będzie żyła? Co się z nią stanie, kiedy dorośnie i zabraknie rodziców, ich opieki i pomocy? Kto się nią zajmie? Jak się utrzyma? Czy będzie jej się dobrze żyło? Czy będzie samodzielna?

Czy będzie szczęśliwa?

Dochodziło do tego, że życzyli jej śmierci. Aktu boskiego miłosierdzia, jak sugerowali. Być może tak byłoby lepiej dla wszystkich, a zwłaszcza dla niej, oszczędziłoby jej wiele niepotrzebnego cierpienia? Przecież nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Uśmiech dziecka, zwykła wymiana spojrzeń, niewinna igraszka i wszystko nagle się zmieniło. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przestali patrzeć na Margaridę jak na nienormalną i odnaleźli w niej swoją córkę. Od tej chwili skupili wszystkie swoje starania na dziewczynce, nic nie było dla niej wystarczająco dobre. Żyli iluzją, że zdołają ją wyleczyć. Od tamtej pory ich życie przypominało kręcący się młynek wśród instytucji, szpitali, klinik i aptek, między okresowymi badaniami kardiologicznymi, okulistycznymi, słuchu, tarczycy, niestabilności szczytowo-obrotowej, niekończącymi się analizami i testami, które wyczerpywały wszystkich. W tej sytuacji obronienie przez Tomasa doktoratu z historii graniczyło z cudem. Przy jednoczesnym bieganiu do lekarzy i robieniu badań studia nad kryptoanalizą Odrodzenia i skomplikowanymi szyframi Albertiego, Porty i

Vigenère'a okazały się niesłychanie trudne. Brakowało pieniędzy, uniwersytecka pensja i to, co zarabiała Constança, ucząc plastyki w liceum, ledwo wystarczało na codzienne wydatki. W ostatecznym rozrachunku ten nadludzki wysiłek odbił się na ich pożyciu małżeńskim. Zaabsorbowani swoimi problemami, prawie się nie dotykali. Na to nie było już czasu.

— Tato, śpiewamy?

Tomás wzdrygnął się, wracając do rzeczywistości. Spojrzał ponownie w lusterko i się uśmiechnął.

— Myślałem, że zapomniałaś, córeczko. Co mam ci zaśpiewać?

— Tę o Magaidzie, co na mnie patsy.

Ojciec odkaszlnął, strojąc głos.

Jestem Margarida

Z twojego ogrodu kwiat.

Jestem twoja.

Mój tato.

Wiem, że patrzysz na mnie.

— Tak, tak! — wykrzyknęła euforycznie, klaszcząc w dłonie. — A teraz o Jasiu, co wiąże buty.

###

Zaparkował w garażu instytutu, jeszcze prawie pustym o dziewiątej trzydzieści rano. Złapał windę na szóste piętro, sprawdził korespondencję w gabinecie i poszedł po klucz do sekretariatu. Zszedł na trzecie piętro po schodach, mijając grupki studentów paplających głośno. Na jego widok podekscytowane dziewczęta wzdychały. Dla nich Tomás Noronha był jak amant filmowy — wysoki, przystojny trzydziestopięcioletni mężczyzna o błyszczących zielonych oczach. Odziedziczył je po pięknej babce Francuzce i właśnie one szczególnie przykuwały uwagę młodych kobiet. Otworzył drzwi do sali numer T9, nacisnął kilka włączników, by zapalić wszystkie światła, i położył na stole teczkę.

Studenci wpadli do sali z hukiem. Kontynuując poranne rozmowy, rozchodzili się po niewielkiej przestrzeni, zajmując stałe miejsca obok tych samych kolegów. Wykładowca wyjął z teczki notatki i

usiadł. Czekał, aż studenci się usadowią i wejdą ci spóźnialscy. Przyglądał się twarzom, które poznał dwa miesiące temu, na początku roku akademickiego. Były to prawie same dziewczyny, niektóre jeszcze zaspane, niektóre zadbane, większość raczej nieprzywiązująca wagi do wyglądu. Reprezentowały typ intelektualistek, wołały poświęcać czas na naukę niż na makijaż. Te zaniedbane wykazywały zwykle tendencje lewicowe, dawały pierwszeństwo treści, pogardzając formą. Najbardziej eleganckie zaś były z reguły prawicowe, wierzące i dyskretne. Już teraz kochały przyjemności życia. Wymalowane i wyperfumowane, niezainteresowane ani religią, ani polityką. Ich ideologia sprowadzała się do poszukiwania obiecującego kandydata na męża. Szmer rozmów przedłużał się, ale spóźnialskich można już było policzyć na palcach.

W końcu Tomás podniósł się i stanął przed nimi.

— Dzień dobry.

— Dzień dobry — odpowiedzieli, mamrocząc nierówno.

Wykładowca zrobił kilka kroków w kierunku pierwszych ławek.

— Jak dobrze pamiętacie, na poprzednich zajęciach mówiliśmy o powstaniu pisma w Sumerii, dokładnie w Ur i Uruk. Przestudiowaliśmy napisy klinowe pochodzące z płytki z Uruk i przeczytaliśmy najstarsze znane dzieło literackie *Epos o Gilgameszu*.

Weszło jeszcze kilku studentów.

— Przyjrzeliliśmy się także steli boga Marduka i przeanalizowaliśmy symbole stosowane w Akadzie, Asyrii i Babilonii. Mówiliśmy o Egipcie i hieroglifach, czytaliśmy fragmenty z *Księgi Umarłych*, teksty ze świątyni w Karnaku i papirusy.

Przerwał na chwilę, sygnalizując koniec podsumowania przerebionego materiału.

— Dzisiaj zakończymy część poświęconą Egiptowi i dowiemy się, w jaki sposób odczytano hieroglify. — Ucichł i popatrzył dookoła. — Czy ktoś wie, jak to się stało?

Studenci uśmiechnęli się, przyzwyczajeni do sposobu, w jaki zachęcał ich do uczestnictwa w zajęciach.

— To był Kamień z Rosetty — powiedziała jedna z dziewcząt, starając się zachować powagę.

Znaczenie Kamienia z Rosetty dla odczytania hieroglifów było powszechnie znane.

— Tak — potwierdził Tomás, ku zdziwieniu studentów mało zdecydowanym tonem. — Kamień z Rosetty bez wątpienia odegrał swoją rolę, ale nie tylko on. Prawdopodobnie nie był nawet najważniejszy.

Na sali dało się słyszeć szepty świadczące o poruszeniu. Studentka, która odpowiedziała na pytanie, zachowywała milczenie, skosternowana brakiem akceptacji dla odpowiedzi, którą uważała za poprawną. Ale inni poruszyli się na krzesłach.

— Jak to, profesorze? — zapytała niska, pulchna dziewczyna w okularach. Jak zawsze jedna z najbardziej aktywnych. Wyglądała na zdolną, z pewnością była katoliczką. — Więc Kamień z Rosetty nie był kluczem do odcyfrowania hieroglifów?

Wykładowca się uśmiechnął. Podanie w wątpliwość wagi Kamienia z Rosetty dało pożądaný efekt. Obudziło audytorium.

— Był pomocny, owszem. Ale istniało wiele więcej...

Do sali weszła nowa osoba. Profesor przelotnie obrzucił ją spojrzeniem.

— Jak wiecie, w ciągu wieków... — zawahał się, przyglądając się nowo przybyłej. — Tak., w ciągu wieków... hieroglify... — Nigdy przedtem nie widział tej dziewczyny. — Hieroglify pozostawały... ee... pozostawały wielką tajemnicą.

Nieznajoma usiadła w ostatnim rzędzie z dala od wszystkich i w jednej chwili skupiła na sobie powszechną uwagę.

— Więc hieroglify... — Miała długie pasma lśniących blond włosów i pojętne ciało. — Tak... pierwsze hieroglify sięgają trzy tysiące lat przed Chrystusem.

Tomás próbował się skoncentrować na temacie i odwrócić wzrok od dziewczyny. Uświadomił sobie, że nie wypadało mu przyglądać się jej w osłupieniu i uporczywie jąkać.

— Hieroglify... ehm... pozostały nietknięte przez prawie trzy tysiące lat, do końca czwartego wieku naszej ery, kiedy to całkowicie wyszły z użycia. Posługiwanie się nimi i umiejętność ich odczytywania zanikły nagle, w ciągu jednego pokolenia. Wiecie dlaczego?

Grupa siedziała w milczeniu. Nikt nie wiedział.

— Egipcjanie dostali amnezji? — rzucił dowcipnie jakiś student, jeden z niewielu chłopaków integrujących grupę.

Śmiech na sali. Dziewczyny go lubiły.

— Powodem był Kościół chrześcijański — wyjaśnił profesor z wymuszonym uśmiechem. — Chrześcijanie zabronili Egipcjanom używać hieroglifów. Chcieli skończyć z ich pogańską przeszłością, zmusić do zapomnienia o Izydzie, Ozyrysie, Anubisie, Horusie i całej plejadzie bóstw. Zrobili to tak radykalnie, że znajomość starożytnego pisma po prostu zaniknęła. — Profesor wykonał szybki gest. — Puff! — wydmuchał powietrze. — Nagle nikt już nie potrafił zrozumieć, co mówiły hieroglify. Stare pismo egipskie w mgnieniu oka przeszło do historii.

Po upływie minuty Tomás zdobył się na odwagę, by ukradkiem spojrzeć na dziewczynę.

— Zainteresowanie hieroglifami wróciło pod koniec szesnastego wieku, kiedy to papież Sykstus Piąty polecił ustawić egipskie obeliski na rogach nowych alej rzymskich pod wpływem tajemniczej książki zatytułowanej *Hypnerotomachia Poliphili*, autorstwa Francesca Colony. — Tomás uznał, że to bogini, choć z pewnością nie z tego gatunku co Izyda. — Erudyci podjęli próbę odcyfrowania tego pisma. Nic jednak nie rozumieli, gdyż mieli przed sobą ideogramy, czyli znaki przed stawiające określone pojęcia. — Była raczej w typie bóstw nordyckich. — Kiedy Napoleon najechał na Egipt, zabrał z sobą zespół historyków i naukowców w celu wykonania map, katalogów i pomiarów wszystkich znalezisk i ich skatalogowania. — Przypominała kurtyzanę uświetniającą zabawy Thora i Odyna. — Grupa ta przybyła do Egiptu w roku tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym ósmym, a w następnym została wezwana przez żołnierzy stacjonujących w Forcie Julien, w delcie Nilu, by obejrzyć coś, co odkryli w pobliskim mieście Rosetta. — Blondynka miała kryształowe, niebiesko-turkusowe oczy, mlecznobiałą skórę i promieniała ekstrawaganckim pięknem, tym szczególnie podziwianym przez mężczyzn i znienawidzonym przez kobiety. — Żołnierze otrzymali rozkaz wyburzenia jednej ze ścian, by wykuć przejście do okupowanego fortu. Podczas tych prac odkryli w ścianie kamień z trzema rodzajami inskrypcji. — Tomás stwierdził, że musiała być cudzoziemką, w Portugalii bowiem rzadko spotykało się tak jasne blondynki. — Po obejrzeniu kamienia

naukowcy francuscy zidentyfikowali znaki jako pismo greckie, demotyckie i hieroglificzne. Doszli do wniosku, że mają do czynienia z tekstem sporządzonym w trzech językach, i natychmiast uświadomili sobie wagę tego odkrycia. — Niemka? — Problem polegał na tym, że do Egiptu wkroczyły wojska brytyjskie i pokonały Francuzów. Kamień, który miał być wysłany do Paryża, w ostateczności trafił do British Museum w Londynie. — Mogła być też Włoszką albo Francuzką, ale Tomás stawiał na kraj nordycki. — Tłumaczenie z greki wyjaśniło, że tekst zawierał dekret zgromadzenia kapłanów egipskich, zapis przywilejów przyznanych przez faraona Ptolemeusza ludowi egipskiemu oraz podziękowań, jakie w zamian kapłani kierowali do faraona. — Mogła być Holenderką albo nawet Angielką. Tomás stawiał na Niemkę, jednakże nie była typem Niemki kobyły czy Niemki krowy, ale raczej wysokiej i czarującej Niemki modelki. Prawdziwa dziewczyna z okładki. — A więc angielscy naukowcy doszli do wniosku, że jeżeli obie pozostałe inskrypcje zawierały ten sam tekst, odcyfrowanie zapisu demotyckiego i hieroglificznego nie powinno przysporzyć trudności.

— Aha! — zawołała pulchna studentka w okularach, ta sama, która poprzednio odpowiedziała na pytanie profesora. — W takim razie Kamień z Rosetty był jednak kluczem do odczytania hieroglifów.

— Spokojnie — poprosił wykładowca, podnosząc prawą dłoń. — Spokojnie. — Zrobił dramatyczną pauzę. — Kamień z Rosetty stawiał trzy problemy. — Podniósł kciuk. — Po pierwsze, był uszkodzony. Tekst grecki pozostał w zasadzie nienaruszony, natomiast brakowało ważnych fragmentów w demotyckim i przede wszystkim w hieroglificznym. Połowa z wierszy hieroglifów się nie zachowała, a pozostałe czternaście linijek było zniszczone. — Podniósł palec wskazujący. — Poza tym trudność stanowił fakt, iż oba niepełne teksty były napisane w języku egipskim, którym, wedle ówczesnych przekonań, nie mówiono od co najmniej ośmiu stuleci. Naukowcy zdołali odkryć, które hieroglify odpowiadały słowom greckim, ale nie znali ich brzmienia. — Dodał trzeci palec. — Wreszcie wśród erudyków zakorzenione było przekonanie, że hieroglify są ideogramami, z których każdy odpowiada jakiemuś pojęciu, a nie fonogramami, z których każdy znak ma określone brzmienie. Podobnie jak w naszym alfabecie fonetycznym.

— W jaki więc sposób rozszyfrowano hieroglify?

— Pierwszy krok do rozwiązania tajemnicy hieroglifów zrobił Anglik Thomas Young. Człowiek, który już w wieku czternastu lat zgłębiał takie języki, jak greka, łacina, włoski, hebrajski, kaldejski, syryjski, perski, arabski, etiopski, turecki i... hmm, niech się zastanowię...

— Hinduński? — zaryzykował klasowy błazen.

Ogólne rozbawienie.

— Samarytański — przypomniał sobie Tomás.


— A skoro mówił samarytańskim to dlatego, że dobry był z niego chłopak — kontynuował kawalarz, ośmielony reakcją na swoje dowcipy. — Samarytanin.



Kolejne śmiechy.



— Dobrze, już dobrze — uspokajał profesor rozochoconą młodzież.


Żarty zaczynały go drażnić. Wiedział, że w każdej grupie znajduje się pajac. Ten, najwyraźniej, miał tu właśnie dyżur.

— W tysiąc osiemset czternastym roku Young zabrał na letnie wakacje kopie trzech inskrypcji z Kamienia z Rosetty. Wziął się do ich analizy i jedna rzecz przykuła jego uwagę — ciągnął wykładowca. — Chodziło o grupę znaków otoczonych kartuszem, czymś w rodzaju pierścienia. Prawdopodobnie funkcją kartusza było wyróżnienie czegoś wielkiej wagi. Dzięki tekstowi greckiemu Young zorientował się, że w tym miejscu mówiono o faraonie Ptolemeuszu. Doszedł zatem do wniosku, że kartusz zawierał imię faraona, był jednym ze sposobów podkreślenia jego wielkości. Nastąpił wtedy rewolucyjny krok naprzód. Zamiast wychodzić z założenia, że zapis ów opierał się wyłącznie na ideogramach, uczoney dopuścił możliwość istnienia znaków fonetycznych. Zaczął snuć przypuszczenia, że każdy z hieroglifów wewnątrz kartusza odpowiada jakiemuś dźwiękowi.

Profesor podszedł do tablicy i narysował prostokąt: .

— Wychodząc z założenia, że zapisano tam imię Ptolemeusza, przyjął, że pierwszy znak w kartuszu odpowiadał pierwszej głosce w imieniu faraona, czyli „p”. — Obok narysował półkole obrócone przekrojem w dół: . — Potem stwierdził, że ten znak, drugi w kartuszu, odpowiada głosce „t”. — Następnie narysował z profilu leżącego lwa: . — A to lwiatko według niego reprezentowało głoskę „l”.

Kolejny nabazgrany znak na białej tablicy, tym razem dwie równoległe poziome linie połączone po lewej:  — W tym miejscu jego zdaniem znalazło się „m”. — Teraz pojawiły się dwa pionowe noże, jeden za drugim: . — Te noże to „i”. — Na koniec wykładowca

narysował: . — A ten znak to „s”. — Odwrócił głowę i spojrzał na klasę. — Widzicie? — Wskazał na nakreślone na tablicy rysunki i przeliterował, przesuwając palcem: — P, t, l, m, i, s. Ptlmis, Ptolemeusz. — Ponownie odwrócił się do studentów i uśmiechnął się na widok fascynacji malującej się na ich młodych twarzach. — Dzisiaj wiemy, że w przeważającej większości ta interpretacja dźwięków była trafna. — Odszedł od tablicy i zbliżył się do pierwszego rzędu. — I tutaj kończy się, moi drodzy, rola Kamienia z Rosetty. — Począł, aż oswoją się z tą myślą. — To prawda. Był to bardzo ważny pierwszy krok, ale wiele jeszcze brakowało. Po odczytaniu pierwszego napisu hieroglificznego Young szukał potwierdzenia swojej hipotezy. Odkrył kolejny kartusz w świątyni w Karnaku, części Teb. Wywnioskował, że zawierał on imię Bereniki, królowej ptolemejskiej. I w tym wypadku trafnie odgadł znaki. Problem polegał na tym, że zdaniem Younga transkrypcja fonetyczna miała zastosowanie jedynie w imionach obcych, jak to było w przypadku dynastii ptolemejskiej, wywodzącej się od jednego z generałów Aleksandra Wielkiego. Stąd obco brzmiące imiona. Uczony nie zakończył tych rozważań ostatecznym wnioskiem. W rezultacie nie doszło do złamania kodu, a jedynie do po-
bieżnych obserwacji.

— Nie rozumiem — przerwała grubiućka w okularach. — Z jakiego powodu nie poszedł dalej? Dlaczego uznał, że jedynie obce imiona były zapisane fonetycznie?

Profesor zawahał się, przez chwilę zastanawiając się, jak najlepiej to wytłumaczyć.

— Widzicie, to tak jak z chińskim — powiedział w końcu. — Czy ktoś z was zna chiński?

Pytanie wywołało śmiech grupy.

— Świetnie, widzę, że nie wiadomo dlaczego, nikt nie rozumie chińskiego. Nie szkodzi. Jak powszechnie wiadomo, w chińskim występują znaki ideograficzne, to znaczy określające pojęcia, a nie

dźwięki. Problem z tego rodzaju pismem polega na tym, że za każdym razem, kiedy pojawia się nowe słowo, potrzebny jest nowy symbol. Podczas gdy my w obliczu nowych słów stosujemy do ich zapisu istniejące już, znaki fonetyczne, Chińczycy stale zmuszeni są do tworzenia nowych znaków. W sumie są ich tysiące i nie sposób wszystkich zapamiętać. Co zrobili więc z tym problemem?

— Zażyli pigułki na polepszenie pamięci... — zasugerował zgrywus.

— Wprowadzili fonetyzowanie pisma — odparł profesor, ignorując żart. — A dokładnie, zachowali stare znaki ideograficzne, lecz w przypadku nowych słów, aby nie tworzyć wciąż kolejnych znaków, wykorzystali fonetycznie już istniejące. Weźmy na przykład słowo „Mozambik”. W dialekcie kantońskim cyfrę trzy określa się słowem *çam* i zapisuje jako trzy poziome kreski. — Tomás podszedł do tablicy i narysował trzy krótkie linie. — Aby napisać słowo „Mozambik”, posłużyli się znakiem *çam* i wstawili go w miejsce drugiej sylaby słowa *Moçambique*. Zrozumiano? — Rozejrzał się wokół i pojął, że idea została przyswojona. — To właśnie zdaniem Younga stało się z pismem Egipcjan. Tak jak Chińczycy mieli pismo ideograficzne, ale dla słów nowych, jak na przykład „Ptolemeusz”, wykorzystali fonetycznie znaki już istniejące, zamiast tworzyć nowe. Co do innych słów, Young uważał, że były czystymi ideogramami. Nie próbował więc nawet dochodzić ich brzmienia.

— I nie znalazł się nikt, kto by to zrobił? — zapytała grubiućka okularnica.


— Tak, oczywiście — potwierdził profesor. — Wtedy pojawił się Francuz Jean François Champollion. Był utalentowanym lingwistą, również on władał wieloma językami...

— Dobry Samarytanin? — Kolejny atak żartownisia.

— Nie, ale nauczył się wielu języków, oprócz tych popularnych także: sanskrytu, zenda, koptyjskiego i pahlevi. Jego wyłącznym celem było przygotowanie się w przyszłości do ataku na hieroglify.

Tomás ponownie spojrzał na blondynkę siedzącą w tyle i zastanawiał się, co ona tu robi. Studentka? Czy rzeczywiście była cudzoziemką? I czy w takim razie rozumiała, co mówił? Ponieważ wydawało się, że uważnie słucha, profesor starał się poprowadzić zajęcia tak, by nie

zapomniała ich prędko. Zdecydował, że powinna opuścić wykład z umiejętnością odczytania hieroglifów.

— Nasz przyjaciel Champollion zastosował metodę Younga z dobrym wynikiem wobec innych kartuszy, zawierających imiona Ptolemeusza i Kleopatry. Odcyfrował również imię Aleksandra. Kłopot w tym, że były to imiona obcego pochodzenia. Potwierdziło to tylko jego przeświadczenie, że zapis fonetyczny dotyczył jedynie słów należących do języka egipskiego. Jednak we wrześniu tysiąc osiemset dwudziestego drugiego roku wszystko się zmieniło. — Tomás zrobił pauzę, aby podkreślić dramatyczne odkrycie, o którym zamierzał opowiedzieć. — W tym czasie Champollion uzyskał dostęp do rzeźb w świątyni Abu Simbel, na których znajdowały się inskrypcje w kartuszach z okresu przed panowaniem grecko-rzymskim. Oznaczało to, że żadne z zawartych w nich imion nie mogło być obcego pochodzenia. — Obserwując studentów, zrozumiał, że należało wyjaśnić konsekwencje tego faktu. — Wyzwanie stojące przed Champollionem było teraz oczywiste. Jeżeli zdołałby rozszyfrować niektóre z hieroglifów zapisanych w czasach sprzed obcych wpływów, dowiódłby, że starożytny język egipski nie opierał się jedynie na ideogramach, jak sądzono, ale także na znakach fonetycznych. Sekret tego tajemniczego pisma zostałby wówczas ujawniony i jego kod ostatecznie złamany. Jednakże to nie rozwiązywało całego problemu. Nawet gdyby istniał zapis fonetyczny, co dopiero należało udowodnić w odniesieniu do dużo starszych słów, to w jaki sposób odczytać hieroglify, nie znając zależności pomiędzy dźwiękami i odpowiadającymi im znakami? — Pytanie zawisło w powietrzu. Tomás chciał podkreślić ogrom zadania stojącego przed francuskim lingwistą. — Nasz znajomy był jednak geniuszem i przestudiował uważnie napisy znalezione na rzeźbach. Po dokładnej analizie wszystkich hieroglifów skoncentrował się przede wszystkim na jednym kartuszu. — Profesor podszedł do tablicy i narysował kartusz z czterema hieroglifami wewnątrz . — Pierwsze dwa znaki w tym kartuszu były nieznanne, ale pozostałe dwa można było znaleźć w innych, z którymi Champollion miał już do czynienia, a mianowicie w kartuszach z imionami Ptlmis i Alksentr, czyli Aleksander. — Wskazał na dwa ostatnie hieroglify. — We wspomnianych kartuszach znaki te odpowiadają głosce

„s”. Champollion wyszedł więc z założenia, że dwa ostatnie dźwięki kartusza z Abu Simbel zostały odcyfrowane. — Tomás napisał na tablicy litery odpowiadające temu dźwiękowi w alfabecie łacińskim, stawiając przed nimi, w miejscu odpowiadającym dwu pierwszym hieroglifom, znaki zapytania: „?-?-s-s”.

Odwrócił się twarzą do studentów, wskazując palcem na oba pytajniki.

— Brakuje dwóch pierwszych symboli. Jakich? Jakie odpowiadają im dźwięki? — Wskazał teraz na pierwszy hieroglif w kartuszu. — Przyglądając się uważnie temu okrągłemu symbolowi z kropką w środku, Champollion zdecydował o podobieństwie do słońca. Podtrzymując to założenie, spróbował wyobrazić sobie jego dźwięk. Przypomnił sobie, że w języku koptyjskim słońce określa się słowem *ra*. Zamienił więc pierwszy znak zapytania na „ra”. — Profesor zmasował pierwszy pytajnik i w jego miejsce wstawił „ra”. Na tablicy pojawiło się „ra-?-s-s”. — A teraz? Czym zastąpić drugi znak zapytania? Champollion myślał intensywnie i doszedł do bardzo prostego wniosku. Fakt zawarcia słowa w kartuszu był silnym argumentem na to, że miał przed sobą imię faraona. Który więc z faraonów nosił imię zaczynające się na „ra” i kończące dwoma „s”? — rzucił pytanie milczącemu audytorium. — Wtedy do głowy przyszedł mu odważny, nadzwyczajny i decydujący pomysł. — Ostatnia pauza w celu wzmożenia napięcia. — Dlaczego nie „m”? — Tomás odwrócił się do tablicy, zmasował znak zapytania i w jego miejsce wstawił „m”. Przed oczyma studentów pojawiło się „ra-m-s-s”. Profesor stanął przed nimi z triumfalnym uśmiechem na ustach i dumnym błyskiem w Oku, jak ktoś, kto złamał kod hieroglifów.

— Ramzes.

###

Kiedy Tomás zakończył zajęcia, sala rozbrzmiała wieloma głosami. Szurały krzesła, chowano notatniki, studenci rozmawiali albo spieszyli do wyjścia. Jak zwykle, niektórzy podchodzili do wykładowcy, prosząc o dodatkowe wyjaśnienia.

— Panie profesorze — zaczęła chudzina w brązowej kurtce — gdzie można zdobyć *Précis du système hiéroglyphique*?

Była to książka opublikowana przez Champolliona w 1824 roku, dzieło, które ostatecznie odkrywało tajemnicę hieroglifów. Językoznawca francuski dowodził w nim, że językiem hieroglifów na Kamieniu z Rosetty był koptyjski oraz że starożytne pismo egipskie opierało się na zapisie fonetycznym, a nie ideograficznym. Najważniejsze jednak było odgadnięcie przez Champolliona znaczenia symboli.

— Ma pani dwie możliwości — tłumaczył Noronha, porządkując notatki. — Albo zamówi pani przez Internet, albo poszuka w Bibliotece Narodowej.

— Nie ma tej książki w sprzedaży w Portugalii?

— O ile mi wiadomo, nie.

Studentka podziękowała i ustąpiła drugiej dziewczynie, ubranej w szary kostium zdradzający kobietę biznesu, której wyraźnie się spieszyło.

— Panie profesorze, pracuję i nie mogłam uczestniczyć w poprzednich zajęciach. Czy już ustalił pan datę kolokwium?

— Tak, odbędzie się na ostatnich zajęciach.

— A dokładnie którego dnia?

— Nie pamiętam, proszę sprawdzić w kalendarzu.

— A na czym ono będzie polegać?

Tomás spojrział na nią, nie rozumiejąc.

— Słucham?

— Czy pytania będą dotyczyć pism starożytnych?

— O nie, zaplanowałem kolokwium praktyczne. — Mówiąc to, powrócił do porządkowania rzeczy w torbie. — Trzeba będzie przeanalizować dokumenty i odczytać starożytne teksty.

— Hieroglify?

— Również, ale nie tylko. Możecie się spotkać z sumeryjskimi tabliczkami z pismem klinowym, tekstami greckimi, hebrajskimi i aramejskimi lub z o wiele łatwiejszymi manuskryptami średnio-wiecznymi i renesansowymi.

Dziewczyna otworzyła usta z wyrazem przerażenia na twarzy.

— Och! — zawołała zszokowana. — To wszystko mamy umieć odczytać?

— Nie — zaprzeczył profesor, śmiejąc się. — Tylko niektóre drobiazgi...

— Ale ja nie znam żadnego z tych języków... — wymamrotała załośnie skonsternowana studentka.

— Po to właśnie uczęszcza pani na zajęcia, prawda? — Wykładowca podniósł brwi, akcentując swoje słowa. — Aby się nauczyć.

Zauważył, że blond piękność dołączyła do grupy czekających na swoją kolej. Poczul dreszcz podniecenia na samą myśl, że ją pozna. Ale dziewczyna domagająca się wyjaśnień nie odchodziła, co lekko go poirytowało. Zamiast tego wręczyła mu jakiś papier.

— Potrzebuję podpisu pana profesora — powiedziała, jak gdyby chciała go ukarać za wysilek, do którego będzie przez niego zmuszona. ,

Tomás przyglądał się kartce pytająco.

— Co to jest?

— To zaświadczenie do pracy potwierdzające, że musiałam się zwolnić, aby uczestniczyć w zajęciach. Mogę prosić o podpis?

Nabazgrał swoje nazwisko i studentka odeszła. Stały przed nim jeszcze tylko dwie, dziewczyna z czarnymi lokami i cudowna blondynka. Wybrał brunetkę, tak aby mieć więcej czasu dla ostatniej.

— Profesorze, w jaki sposób odróżnić, kiedy skrybowie egipscy uciekali się do zasady rebusu?

Rebus to układ długich wyrazów rozłożonych na części fonetyczne przedstawione za pomocą rysunków obiektów, których nazwy odpowiadają brzmieniu fragmentów składowych wyrazu. Na przykład słowo „słońce” można podzielić na dwa człony, co daje „słońce”. Zamiast zapisać to słowo fonetycznie, można przedstawić je, rysując słońca i dodając literę „c”. W ten sposób otrzymujemy „słońc”, czyli „słońce”.

— Zależnie od kontekstu — odpowiedział wykładowca. — Skrybowie egipscy mieli dość luźne zasady. Przykładowo, niekiedy używali samogłosek, niekiedy je opuszczali. W niektórych wypadkach odwracali kolejność hieroglifów z powodów czysto estetycznych. Od czasu do czasu uciekali się do rebusów, aby skrócić wyrazy lub nadać im podwójne znaczenie.

— Jak w wypadku Ramzesa?

— Tak — potwierdził. — Champollion spotkał się z rebusem już przy pierwszym odszyfrowanym hieroglifie z Abu Simbel. „Ra” nie było tam jedynie literą, lecz słowem. Wykorzystując je w ten sposób,

skryba porównał Ramzesa do słońca. Miało to sens, biorąc pod uwagę, że faraonowie traktowani byli niemal jak bogowie.

— Dziękuję, profesorze.

— Do zobaczenia za tydzień.

Nadszedł czas na blondynkę. Tomás doświadczył ogromnej przyjemności, mogąc wreszcie patrzeć na nią wprost, a nie ukradkiem. Jej blask go porażał, ale nie dał się oszołomić. Uśmiechnął się, a ona odpowiedziała mu tym samym.

— Cześć — powiedział.

— Dzień dobry, panie profesorze — odparła poprawnym portugalskim, choć z obcym akcentem. — Jestem nową studentką.

Wykładowca się zaśmiał.

— To już zauważyłem. Jak się pani nazywa?

— Lena Lindholm.

— Lena? — Udał przesadne zdziwienie, jak gdyby dopiero teraz zauważył w niej coś niezwykłego. — To w portugalskim zdrobnienie imienia Helena...

Roześmiała się dyskretnie.

— Tak, ale ja jestem Szwedką — odparła z rozbawieniem.

— Aaaaa! — wykrzyknął Tomás. — No tak. — Zawahał się, szukając ukrytych w pamięci słów. — Niech ja pomyślę... ee... *hej, trevligt att träffa!*

Dziewczyna otworzyła szeroko oczy.

— Co? — zapytała mile zaskoczona. — *Talar du svenska?*

Profesor pokręcił przecząco głową.

— *Jag talar inte svenska* — powiedział z uśmiechem. — Wyczerpałem prawie całą znajomość szwedzkiego. Podniósł ramiona, jak gdyby przeproszał. — *Förlat.*

Spojrzała na niego z podziwem.

— Nieźle, nieźle. Chociaż trzeba trochę podszlifować akcent. Musi być bardziej śpiewny, inaczej przypomina duński. Gdzie nauczył się pan szwedzkiego?

— Kiedy byłem studentem, wybrałem się w podróż z biletem InterRail i spędziłem cztery dni w Malmö. Jako że jestem ciekawski i mam słabość do języków, podłapałem kilka zwrotów. Na przykład

wiem, jak zapytać *Var är toaletten? Hur myctet kostar det?* — Nowy wybuch śmiechu. — *Äppelkaka med vaniljsås*. To ostatnie wywołało u niej pomruk rozkoszy.

— Och, profesorze, proszę mi nie przypominać o *äppelkaka*...

Przesunęła językiem po mięsistych różowych wargach w geście, który Tomás uznał za kusząco erotyczny.

— To coś pysznego! Strasznie tutaj za tym tęsknię...

Zaśmiał się, próbując ukryć wrażenie, jakie wywoływała na nim dziewczyna.

— Przepraszam, ale tutaj w towarzystwie lepiej nie nazywać deseru *kaka*.

— Rzeczywiście, nazywa się *kaka*, ale smakuje jak słodkie jabłuszko. — Zamknęła ładnie wykrojone powieki i ponownie oblizała usta. — Mmm, *utmärkt!* Coś wspaniałego!

Wyobraził sobie, jak przyciąga ją do siebie, całuje, wglębia się w te aksamitne usta, dotykając delikatnie rękami jej gorącego, wibrującego ciała. Musiał zdobyć się na wysiłek odsunięcia apetytu seksualnego, który w nim rozbudzała. Odkaszlnęła tępym „yhm-yhm”.

— Niech mi pani powie... jak się właściwie nazywa?

— Lena.

— Proszę mi powiedzieć, Heleno...

— Lena...

— Ach, Lena. — Zawahał się, niepewny, czy prawidłowo wymówił jej imię. Tym razem jednak nie poprawiła go, więc najprawdopodobniej trafił. — Proszę mi powiedzieć, Leno, gdzie tak świetnie nauczyła się pani portugalskiego?

— W Angoli.

Szwedka uśmiechnęła się, pokazując idealny szereg błyszczących zębów.

— Mój ojciec był ambasadorem w Angoli i mieszkałam tam pięć lat — dodała.

Profesor uporządkował już swoją torbę i się wyprostował.

— Aha, świetnie. I podobało się tam pani?

— Bardzo. Mieliśmy dom w Miramar, a weekendy spędzaliśmy w Mussole To było życie jak w bajce.

— W jakiej części Angoli to było?

Popatrzyła na niego ze zdumieniem, jak gdyby było dziwne, że istnieją Portugalczycy, dla których te nazwy nie brzmią znajomo.

— No więc... oczywiście w Luandzie. Mieszkaliśmy w dzielnicy Miramar, z widokiem na morze, fort i wyspę. A Mussolo to rajska wyspa na południe od Luandy. Nigdy pan tam nie był?

— Nie, nie znam Angoli...

— Jaka szkoda.

Tomás skierował się do drzwi, zapraszając gestem studentkę, aby mu towarzyszyła. Gdy Lena podeszła bliżej, zauważył, że była prawie jego wzrostu. Stawiał na metr osiemdziesiąt, trzy centymetry mniej niż sam mierzył. Miała na sobie miękki niebieski pulower, który doskonale pasował do jej oczu i blond włosów spadających zwojami na ramiona, w stylu Nicole Kidman. Sweter opinał ponętne i obfite piersi, podkreślone jeszcze wąską talią. Profesor z wysiłkiem odwrócił wzrok od tego kuszącego biustu.

— W takim razie co pani robi na moich zajęciach? — zapytał, zatrzymując się i przepuszczając ją w drzwiach.

— Przyjechałam w ramach programu Erasmus — odpowiedziała, mijając go.

Niemal bezwiednie i łakomie obserwował tyłeczek Szwedki. Był krągły i pełny. Mięsiste pośladki wypełniały jasnoniebieskie dżinsy. Nie panując nad sobą, wyobraził ją sobie bez spodni — jasne, delikatne ciało poszerzające się w biodrach i zwężające w talii. Puszczając wodze fantazji, widział przerwę między pośladkami i nagie plecy oraz lekki zarys piersi po bokach.

— Słucham? — wydukał, przełykając ślinę.

— Jestem tutaj w ramach programu Erasmus — powtórzyła Lena, odwracając głowę.

Znaleźli się w głównym holu i zaczęli wchodzić po schodach.

— Hmm... programu Erasmus?

— Tak, Erasmus. Myślę, że jest panu znany, prawda?

Tomás potrząsnął głową, usiłując pozbyć się demonów seksu, które, jak się okazało, zawaładnęły nim doszczętnie. Kategorycznie nakazał sobie odwrócić wzrok od piekielnej pokusy, jaką było to zmysłowe ciało, i skoncentrować się na rozmowie.

— Tak, oczywiście. Programu... ee... Erasmus? Oczywiście... Erasmus — powtarzał, pojmując wreszcie znaczenie jej słów. — Więc przybyła pani z Erasmusa?

Na twarzy studentki pojawił się wymuszony uśmiech, jękanie się profesora zaintrygowało ją.

— O tym właśnie panu mówię. Biorę udział w programie Erasmus.

Oczywiście wiedział, o czym dziewczyna mówi. W 1987 roku utworzono europejski program Erasmus, w którego ramach następowała wymiana studentów pomiędzy uniwersytetami krajów Unii Europejskiej, na jeden rok akademicki. Cztery lata temu, w 1995 roku, Erasmus wszedł w skład bardziej obszernego europejskiego programu edukacyjnego zwanego Sokratesem. Większość zagranicznych studentów przybywających na wydział historii Uniwersytetu Nowego w Lizbonie pochodziła z Hiszpanii, co łatwo zrozumieć z uwagi na język. Tomás pamiętał jednak studenta z Niemiec, z uniwersytetu w Heidelbergu.

— Gdzie pani studiuje?

— W Sztokholmie.

— Historię?

— Tak.

Nie zauważyli, kiedy pokonali trzy piętra, dochodząc do szóstej kondygnacji. Skręcili w lewo w kierunku gabinetów. Profesor szedł korytarzem wydziału historii ze Szwedką u boku i szukał w kieszeni klucza do swojego gabinetu.

— A dlaczego wybrała pani Portugalię?

— Z dwóch powodów — powiedziała Lena. — Pierwszym był język. Płynnie mówię i czytam po portugalsku, więc nie będę miała trudności z uczestnictwem w zajęciach. W piśmie sprawa się komplikuje...

Wykładowca znieruchomiał przed drzwiami gabinetu i wyciągnął klucz w kierunku zamka.

— W razie trudności z portugalskim może pani spokojnie pisać po angielsku, nie ma żadnego problemu. — Klucz znalazł się w szczelinie zamka. — A drugi powód?

Lena zatrzymała się za nim.

— Zastanawiam się nad tym, czy nie napisać pracy licencjackiej

na temat odkryć geograficznych. Przedstawiłabym wyprawy morskie wikingów i przeprowadziłabym porównanie z odkryciami Portugalczyków.

Drzwi otwarły się w uprzejmym geście. Tomás zaprosił ją do środka. W gabinecie panował nieporządek. Leżały tam sterty prac studentów i odbitek kserograficznych, rozrzuconych na stołach, a nawet na podłodze. Usiedli przy oknie, podziwiając z góry spokojny pejzaż terenów szpitala Curry Cabral, przycupniętego obok uczelni. Wśród nagich zimą koron drzew wyróżniały się niskie pawilony oddziałów o ceglanych dachach. Ludzie w szlafrokach, najwidoczniej pacjenci, krążyli wśród nich powoli, inni, w białych fartuchach, niewątpliwie lekarze, spieszyli się, wchodząc do budynków i z nich wychodząc. Ktoś wysiadał z zaparkowanego właśnie samochodu, ktoś inny zatrzymał się gwałtownie pod potężnym dębem i spojrział na zegarek.

— Każda rybka ma nadzieję stać się kiedyś wielorybem.

— Słucham?

— To przysłowie szwedzkie. Chcę przez to powiedzieć, że nie brak mi chęci do pracy.

— Nie wątpię, ale równie ważne jest ograniczenie zakresu badań. Jaki okres pani interesuje?

— Chciałabym zająć się tym, co wydarzyło się do czasów podróży Vasco da Gamy.

— Czyli tylko do roku tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego ósmego?

— Tak — odparła z entuzjazmem. — Gil Eanes, Gonçaves Baldaia, Nuno Tristão, Diogo Cão, Nicolau Coelho, Gonçaves Zarco, Bartolomeu Dias...

— O! — zawołał profesor ze zdumioną miną. — Zna pani wszystkich.

— Oczywiście. Już ponad rok zajmuję się tematem i przygotowuję do przyjazdu tutaj. — Otworzyła szeroko oczy. — Jak pan profesor myśli, czy możliwa będzie analiza oryginalnych relacji kronikarzy?

— Kogo? Zurary i spółki?

— Tak.

Tomás westchnął.

— To nie będzie łatwe.

— Oo! — zawołała Lena z widocznym rozczarowaniem.

— Wie pani, oryginalne teksty są bezcenne. To kruche relikwie, których biblioteki strzegą z troską i wielkim staraniem. — Udał zamysłenie. — Ale można analizować faksymilia i kopie, wychodzi prawie na to samo.

— Ach, ale oryginały to dopiero byłoby coś! — Utkwiła w nim niebieskie oczy z błagalnym wyrazem twarzy. — Czy profesor mógłby mi pomóc? — Wygięła usta w podkówkę. — Proszę...

Poruszył się niespokojnie na krześle.

— Właściwie można by spróbować...

— *Tack!* — wykrzyknęła, rozpromieniając się w czarującym uśmiechu podziękowania. — *Tack!*

Instynktownie wyczuł manipulację. Był jednak tak zauroczony, że to mu nie przeszkadzało. Spełnianie życzeń tej boskiej istoty sprawiało mu przyjemność.

— Ale czy pani potrafi odczytać piętnastowieczny język portugalski?

— Złodziej znajdzie kielich prędzej niż kościelny.

— Słucham?

Dziewczyna śmiała się ze zdziwionej miny Tomasa.

— To kolejne szwedzkie przysłowie. Oznacza, że kiedy bardzo chcemy, możemy osiągnąć wszystko.

— Bez wątpienia, ale pytanie nadal jest aktualne — nalegał. — Potrafi pani czytać język portugalski tamtej epoki, z całą jego skomplikowaną kaligrafią?

— Nie.

— Więc po co pani dostęp do tekstów?

Lena uśmiechnęła się przewrotnie, uśmiechem kogoś, kto z całą pewnością wie o tym, że jego życzenia są nie do odparcia.

— Jestem pewna, że pan profesor udzieli mi szczególnej pomocy.

###

Zebranie komisji naukowej wydziału historii zajęło całe popołudnie. Było pełne zwykłych plotek, manewrów polityki wewnętrznej, niekończących się punktów harmonogramu i dramatycznych wątpliwości co do niejasnych sformułowań protokołu z poprzedniego

spotkania. Oprócz tego omawiano sprawy aktualne, takie jak analiza procesów ekwiwalencji dyplomów i skład komisji egzaminacyjnych do trzech magisteriów i jednego doktoratu.

Wieczór już nastał, kiedy Tomás dotarł do domu. Constança i Margarida były w trakcie kolacji. Jadły ulubione danie małej — smażone hamburgery i makaron polany obficie ketchupem. Powiesił kurtkę, pocałował obie i usiadł do stołu.

— Znowu hamburgery i spaghetti? — zapytał marudnym tonem.

— O co ci chodzi, przecież ona to uwielbia...

— Makalon jest dobry! — potwierdziła Margarida, wciągając głośno nitki spaghetti. — Siurp!

— No dobrze — powiedział z rezygnacją, nakładając sobie porcję na talerz. Spojrzał na córkę i pogłaskał ją po czarnych, prostych włosach. — I co? Czego się dzisiaj nauczyłaś?

— Te, a: ta. Te, e: te.

— Znowu to samo? Ale czy zapomniałaś już to, czego się nauczyłaś w zeszłym roku?

— Te, i: ti. Te, o: to.

— Widziałaś to? — zapytał, patrząc na żonę. — Jest już w drugiej klasie i jeszcze nie umie czytać.

— To nie jej wina, Tomás. Szkoła jeszcze nie znalazła nikogo do nauczania specjalnego, więc czego od niej wymagasz?

— Musimy iść porozmawiać z tymi ludźmi...

— Rzeczywiście, musimy — zgodziła się. — Poprosiłam o spotkanie z dyrektorką szkoły w przyszłym tygodniu.

— Te, u: tu.

Jednym z objawów trisomii 21 u dzieci jest właśnie trudność w zapamiętywaniu. Z tego powodu żyją przede wszystkim według rutyny i przyzwyczajień. W ubiegłym roku Margarida zaczęła naukę w szkole publicznej, gdzie oprócz wychowawcy wspólnego dla wszystkich uczniów miała pomoc specjalisty przygotowanego do pracy z dziećmi upośledzonymi. Jednak ostatnie cięcia budżetowe w Ministerstwie Edukacji uniemożliwiły szkole dalsze jego zatrudnienie. Dziewczynka, tak jak inne dzieci w podobnej sytuacji, pozbawiona była teraz jakiegokolwiek fachowej pomocy pedagogicznej, pomimo że

taką pomoc gwarantowała ustawa. W rezultacie cofnęła się w nauce. Zapomniała to, czego nauczyła się w poprzednim roku, włącznie z czytaniem i pisaniem prostych wyrazów. Do dalszego rozwoju potrzebowała kogoś w rodzaju trenera, który stale by z nią pracował. Było jednak jasne, że niełatwo będzie przekonać zbiedniałą szkołę do ponownego zatrudnienia takiego specjalisty.

Tomás odgryzł kawałek hamburgera i wypił łyk czerwonego wina z Alentejo. W tym momencie Margarida kończyła już deser — obrane i pokrojone w plasterki jabłko. Po chwili podniosła się i zaczęła sprzątać ze stołu.

— Margarido, posprzątasz później, dobrze?

— Nie — odpowiedziała stanowczo, ustawiając stos brudnych naczyń w zlewozmywaku. — Czeba psątać, czeba psątać!

— Posprzątasz potem.

— Nie. Bludne, systko jest bludne. Czeba psątać!

— Ta mała kiedyś jeszcze otworzy firmę sprzątającą — skomentował ojciec, wybuchając śmiechem i przytrzymując talerz, aby mu go nie zabrała.

Porządki były największą manią Margaridy. Gdziekolwiek dostrzegła plamę, zaczynała ją usuwać, zdecydowana i bezwzględna w tej walce. Małżeństwo nieraz najadło się wstydu u przyjaciół. Na widok pajęczyny lub pyłków kurzu na meblach mała podnosiła raban i wskazywała oskarżająco palcem, mówiąc, że tam jest brudno. Ujawniała wszelkie zaniedbania z obrzydzeniem i wyczuwalnym wstrętem, przez co zażenowani gospodarze szybko dochodzili do wniosku, że mieszkają w odrażającym chlewie. Po tak traumatycznym doświadczeniu przed ponownym zaproszeniem rodziny Noronha rzucała się w wir prac porządkowych.

Po kolacji Margarida poszła do łóżka. Ojciec umył jej zęby i przygotował rzeczy na następny dzień, matka ubrała w piżamę i opowiedziała historię na dobranoc — tego dnia w karcie dań serwowano kota w butach. Kiedy dziewczynka zasnęła, rodzice wyciągnęli się na kanapie, relaksując się po całodziennej bieżączce.

— Tak daleko do soboty — skomentowała kobieta ze wzrokiem utkwiwionym w suficie. — Jestem padnięta.

Pokój był mały, ale gustownie urządzone. Ściany zdobiły kolorowe abstrakcje namalowane przez Constanę w czasach studenckich. Kanapy w różany deseń na tle złamanej bieli pasowały do zasłon i dywanu. Na meblach z jasnego buku stały wazony pełne czerwonych kwiatów wśród zielonych liści, które bardzo ożywiały wnętrze.

— Co to za kwiaty?

— Kamelie.

Tomás pochylił się nad eleganckimi płatkami, starając się wyczuć ich woń. Powąchał, ale nie poczuł żadnego aromatu.

— Wcale nie pachną — stwierdził zawiedziony.

— Pewnie, że nie, mój ty głuptasku — powiedziała ze śmiechem żona. — To kamelie, nie mają żadnego zapachu.

— Aha. — Przynął się do niej i wziął ją za rękę. — Opowiedz mi o kameliach.

Kochała kwiaty. Dziwnym trafem, była to jedna z tych rzeczy, które najbardziej zbliżyły ich do siebie, kiedy poznali się w czasach studenckich. Tomás uwielbiał zagadki i szarady, pasją jego życia było odcyfrowywanie kodów i szyfrów. Ciekawiły go symbole i ukryte informacje. Przez cały okres dorastania kupował „Mundo de Aventuras” (Świat przygód), niekoniecznie dla komiksu, który także czytał, ale z powodu entuzjazmu dla zagadek policyjnych z rubryki *Sete de Espadas* (Siódemka Pik). Kiedy się poznali, Constanca otworzyła mu drzwi do nowego świata symboli, świata kwiatów. Piegowata dziewczyna opowiedziała mu, że kobiety w tureckich haremach używały ich do kontaktów ze światem zewnętrznym, uciekając się do fantastycznego kodu znaków kwiatowych. Praktyki te, rozpoznane po raz pierwszy na Zachodzie w roku 1718 przez lady Montagu, leżały u źródeł narodzin symboliki kwiatów, systemu niesłychanie popularnego w dziewiętnastym wieku. Łączył on w sobie oryginalne znaczenia tureckie ze starożytną mitologią i tradycyjnym folklorem. Kwiaty stały się nośnikami ukrytych treści. Skrycie wyrażały emocje i uczucia, których w normalnych okolicznościach nie dopuszczały zasady społecznej etykiety. Na przykład, nie do pomyślenia było, aby mężczyzna powiedział kobiecie od razu na pierwszym spotkaniu, że się w niej zakochał. Jednak wręczenie jej wiązanki gloksynii, oczywistego symbolu miłości od pierwszego wejrzenia, było już do przyjęcia.

Język kwiatów odcisnął swój ślad na wyrobie biżuterii oraz na stylu artystycznym prerafaelitów. Jego wpływ sięgnął nawet świata mody. Na płaszczu koronacyjnym Elżbiety II wyszyte były liście drzewa oliwnego i kłosa pszenicy, co wyrażało nadzieję na panowanie w pokoju i obfitości. Constança, zakochana w naukach humanistycznych i przyrodniczych, stała się specjalistką od symboliki kwiatów, dopatrując się ich ukrytych znaczeń.

— Kamelie pochodzą z Chin, gdzie były bardzo cenione — tłumaczyła. — Do naszej kultury wprowadził je Aleksander Dumas, syn, powieścią *Dama kameliowa*, opartą na prawdziwej historii życia paryskiej kurtyzany z dziewiętnastego wieku, niejakiej Madeleine du Plessis. Najwyraźniej była ona uczulona na woń kwiatów i wybierała kamelie właśnie dlatego, iż pozbawione są zapachu. — Obserwowała Tomasa z rozbawioną miną. — Myślę, że wiesz, kim jest kurtyzana.

— Córniu, jestem historykiem.

— Otóż mademoiselle du Plessis codziennie kupowała bukiet świeżych kamelii. Przez dwadzieścia pięć dni wybierała białe jako znak dla mężczyzn, że była dostępna. W pozostałe dni czerwone, oznajmiając w ten sposób panom, że muszą obejść się smakiem.

— Oooo! — wykrzyknął z udanym rozczarowaniem.

— Verdi, zainspirowany powieścią Dumasa, napisał *Traviatę*, w której zaadoptował częściowo historię damy kameliowej. W operze Verdiego bohaterka została zmuszona do sprzedaży swoich klejnotów i w ich zastępstwie używała kamelii.

— Biedactwo — skomentował Tomáš z żartobliwym uśmiechem. — Nieszczęsne stworzenie. — Zastanowił się nad kwiatami ustawionymi przez żonę w pokoju. — Rozumiem więc, że skoro kupiłaś czerwone kamelie, to dzisiaj musisz obejść się smakiem.

— Dobrze rozumiesz — przytaknęła Constança, wzdychając. — Jestem do niczego.

Obserwował ją uważnie. Nadal miała w sobie melancholię, która go uwiodła, kiedy się poznali na wydziale sztuk pięknych. Studiował wtedy historię na Uniwersytecie Nowym w Lizbonie. Ich losy spotkały się na skutek rozmowy pomiędzy chłopakami na temat urody dziewcząt z uczelni artystycznej.

— To prawdziwe dzieła sztuki — żartował Augusto w patio Uniwersytetu Nowego, bardzo zadowolony ze swojej gry słów. Była pora poobiednia pewnego słonecznego wiosennego popołudnia. — Mówię ci, ich rodzice musieli być artystami. Któregoś dnia cię zabiorę w to miejsce i sam zobaczysz, co to za panienki.

Zaciągnięty tam przez kolegów Tomás pojawił się pewnego dnia na stołówce studenckiej wydziału sztuk pięknych i mógł potwierdzić krążące po pogłoski. Na żadnej uczelni w Lizbonie piękno nie było tak pielęgnowane, jak na wydziale artystycznym. Próbowali zagadnąć dziewczyny w kolejce, fantastyczne i zadbane blondynki. Spotkali się jednak z obojętnością. Po odejściu od okienka krążyli zagubieni po stołówce z tacami w rękach, w poszukiwaniu wolnego miejsca. Wybrali stół przy oknie, częściowo zajęty przez trzy dziewczyny. Jedna z nich była brunetką o kształtnej sylwetce.

— Natura bywa hojna — skomentował Augusto, puszczając oko do kolegów i prowadząc ich do wypatrzonych piękności.

Brunetka zainteresowała się zielonymi oczami Tomasa, ale chłopak wolał poświęcić uwagę jednej z jej koleżanek — dziewczynie o skórze białej jak mleko, nakrapianym piegami nosie i zagubionym spojrzeniu brązowych oczu. Być może melancholijnym, być może marzycielskim. To nie zmysłowość przykuła jego uwagę, ale słodycz. Nie była cukiereczkiem ani ciachem, ani nawet miodem. Była czekoladą, jedną z tych kremowych tabliczek, które są uczcą dla oczu i wywołują łaknienie. Jej łagodne, niespieszne gesty zdradzały na pierwszy rzut oka delikatną, nostalgiczną, miękką naturę. Jak odkrył to z czasem, wrażenie było czystą iluzją. Pod przykrywką czułości ukrywał się wulkan, w skórze łagodnej kotki poruszała się bezwzględna lwica. Nie odszedł stamtąd bez jej numeru telefonu. Po dwóch tygodniach i ofiarowaniu jej pierwszego bukietu wiciokrzewu, uprzednio dowiedziawszy się, że symbolizuje on obietnicę oddanej i wiernej miłości, Tomás pocałował Constançę na dworcu w Oeiras. Potem, trzymając się za ręce, spacerowali po szerokiej plaży w Carcavelos.

Wspomnienia przekształciły się w nieruchomy wizerunek Margarydy, jak gdyby mężczyzna odbył podróż w czasie i właśnie wrócił do terażniejszości. Córnka uśmiechała się do niego z fotografii stojącej na półce pośród kwiatów kamelii.

— Słuchaj, czy to nie teraz, na początku roku, Margarida ma wizytę u lekarza?

— Tak — potwierdziła Constança. W przyszłym tygodniu musimy ją zabrać do doktora Oliveiry. Pojadę jutro do Santa Marta po wyniki badań. Trzeba je pokazać lekarzowi.

— Wykańcza mnie to bieganie po lekarzach — przyznał.

— Ją też wykańcza — wtrąciła żona. — Pamiętaj, że kiedyś małą czeka operacja...

— W ogóle mi o tym nie mów.

— Tomás, czy to ci się podoba, czy nie, musisz mi w tym pomóc.

— Dobrze, dobrze.

— Mam dosyć żeglowania tą łajbą samotnie. Dziecko potrzebuje stałej opieki, aja nie radzę sobie sama ze wszystkim. Musisz mi więcej pomagać, w końcu jesteś ojcem.

Czuł się jak w potrzasku. Niepełnosprawność Margaridy za bardzo obciążała żonę, a on, nawet jeśli bardzo się starał, nie potrafił rozwiązać choćby połowy problemów, które Constança ze swoim zmysłem praktyczności niestrudzenie pokonywała.

— Nie martw się, pójdę z tobą do doktora Oliveiry.

Miał wrażenie, że się uspokoiła. Oparła się o kanapę i ziewnęła.

— No dobra, idę się położyć.

— Już?

— Tak, chce mi się spać — powiedziała, wstając. — Zostajesz?

— Tak, posiedzę jeszcze trochę. Poczytam coś i potem też się położę.

Pochyliła się nad nim i pocałowała go delikatnie w usta. Wyszła z pokoju, zostawiając za sobą silny aromat swoich chanel no. 5. Tomás stanął przed półką z książkami, zastanawiając się nad wyborem. Sięgnął w końcu po *Opowiadania* Edgara Allana Poego. Chciał ponownie przeczytać opowiadanie *Złoty żuk*, które w wieku lat szesnastu pogłębiło jego zainteresowanie kryptoanalizą, rozbudzone wcześniej czytaniem „Mundo de Aventuras”.

Był na trzeciej stronie, kiedy zadzwonił telefon komórkowy, przerywając mu lekturę.

— Słucham?

— *Hi*. Czy mogę rozmawiać z profesorem Noronhą?

Rozpoznał akcent brazylijski, ale używany przez anglojęzycznego cudzoziemca. Z uwagi na nosowy ton głosu Tomás uznał, że był to Amerykanin.

— Przy telefonie. Kto mówi?

— Nazywam się Nelson Moliarti, jestem doradcą przy radzie nadzorczej w American History Foundation. Dzwonię z New York... yy... Nowego Jorku.

— Jak się pan miewa?

— Dziękuję, wszystko okay. Przepraszam, że telefonuję o tak późnej porze. Przeszkadzam?

— Nie, absolutnie.

— *Oh, good!* — wykrzyknął. — Profesorze, nie wiem, czy zna pan naszą fundację...

Głos zawahał się, jakby oczekiwał potwierdzenia.

— Nie, nie znam.

— Nie szkodzi. American History Foundation to organizacja nie-dochodowa, której celem jest wspieranie badań w dziedzinie historii kontynentu amerykańskiego. Nasza siedziba mieści się w Nowym Jorku. Jesteśmy w trakcie ważnego projektu badawczego. Pojawił się jednak skomplikowany problem, który zagraża zniweczeniem całej dotychczas wykonanej pracy. *Executive board* poleciło mi znalezienie rozwiązania, czym zajmuję się od dwóch tygodni. Pół godziny temu przedstawiłem radzie raport z pewną rekomendacją. Rekomendacja została przyjęta i dlatego do pana dzwonię.

Nastąpiła przerwa.

— Tak?

— Profesorze Noronha?

— Tak, tak. Słucham.

— To pan jest tym rozwiązaniem.

— Co proszę?

— Pan jest rozwiązaniem naszego problemu. Czy mógłby pan wpaść tu, do Nowego Jorku?

II

Chmura pary wydobyła się z ziemi z niespotykaną siłą, jak gdyby wyrzucona została przez ukryty w asfalcie wulkan. Prędko jednak rozplynęła się w zimnym i suchym wieczornym powietrzu. Tomás wyczuł mdły odór smażenia i rozpoznał charakterystyczny zapach chińskiego *chao min*. Zignorował go, mając ważniejsze sprawy na głowie. Jedną z nich była ochrona przed utratą ciepła, obrona przed przenikliwym chłodem. Poprawił odpinający się guzik i wtulił się jeszcze bardziej w płaszcz, wciskając ręce do kieszeni. Na początku pory zimowej, kiedy wiatr hula po ulicach, Nowy Jork staje się nieprzyjemnym miastem. Odczuwają to zwłaszcza ci, którzy mają zbyt lekkie okrycie, dostosowane do łagodnego klimatu śródziemnomorskiego, takiego jak w Lizbonie, nie chroniące przed podmuchem zimy panującym na wschodnim wybrzeżu Ameryki. Północny wiatr zapowiadający opady śniegu był zdecydowanie zbyt ostry i przenikliwy.

Kilka godzin wcześniej samolot Tomasa wylądował na lotnisku JFK. Majestatyczna czarna limuzyna, oddana do jego dyspozycji przez American History Foundation, zawiozła go do hotelu Waldorf-Astoria. Wspaniała, imponująca budowla w stylu art déco zajmowała kilka przecznic pomiędzy Lexington i Park Avenue. Zbyt podekscytowany, by podziwiać finezyjne detale architektury tego monumentalnego budynku, nowo przybyły gość pospiesznie rzucił bagaże w pokoju, zaopatrzył się w mapę miasta u portiera w holu i wyszedł na ulicę, rezygnując z usług limuzyny. To był błąd. Chciał pójść na przechadzkę ulicami miasta. Słyszał zawsze, że Nowy Jork można poznać

wyłącznie na piechotę, ale zapomniano dodać, że to jest przyjemne tylko wtedy, kiedy nie panuje takie zimno. Mróz w Nowym Jorku to coś, czego się nie zapomina. Jest tak przenikliwy, że wzrok mętnieje, a wszystko wokół staje się nieistotne. Liczy się tylko ochrona przed chłodem.

Nad tą wielką betonową dżunglą zapadała już noc. Na początku Tomás miał rozgrzane ciało i nie czuł zimna. Idąc East 50th Street, podziwiał gigantyczne drapacze chmur, szczególnie General Electric Building, a na Lexington Avenue — kolejny budynek w stylu art déco. Ale kiedy przeszedł przez Avenue of the Americas i dotarł do Siódmej Alei, mróz zaczynał już poważnie mu dokuczać. Bolał go nos, oczy zachodziły mgłą i cały trząsł się w niekontrolowanych dreszczach. Najbardziej jednak ucierpiały jego uszy — wydawało się, że tnie je jakieś ostrze, szarpie niewidzialna siła.

Widok morza świateł po lewej na Times Square rozgrzał mu nieco duszę i dodał sił do dalszego marszu. Z Siódmej Alei wkroczył w samo serce Theatre District. Na skrzyżowaniu Siódmej z Broadwayem ukazał mu się ożywiony, mieniący się plac Times Square. Widowisko świetlne zaatakowało jego zmysły. Poczul inwazję kolejnych chromatycznych eksplozji i podziwiał upajającą orgię jasności. Tam był dzień, z wielokrotnione słońca pokonały noc i malowały zatłoczony plac na różne kolory. Panował tu wielki i chaotyczny ruch. Piesi mijali się jak mrówki. Niektórzy szli w jakimś celu, inni po prostu spacerowali, sycąc wzrok tym nierzeczywistym, magicznym spektaklem. Na wszystkich budynkach jarzyły się barwne neony. Ogromne napisy przesuwwały się spiesznie na billboardach. Gigantyczne ekrany emitowały reklamy lub nawet programy telewizyjne, przypominając hałaśliwy turniej niekończącego się ciągu obrazów i barw.

Tomás poczuł drganie telefonu w kieszeni spodni i usłyszał sygnał. Wyjął aparat i przyłożył do ucha.

- Tak, słucham?
- Profesor Noronha?
- Tak.
- Tu Nelson Moliarti. Wszystko w porządku? Jak podróż?
- O, witam. Wszystko dobrze, dziękuję.

— Szofer dobrze się panem zajął?

— Na medal.

— Podoba się panu hotel?

— Cudo.

— To prawda. Waldorf-Astoria to jedna z naszych atrakcji turystycznych. Wie pan, że wszyscy prezydenci amerykańscy zatrzymują się właśnie tam, kiedy przyjeżdżają do Nowego Jorku?

— Doprawdy? — zdziwił się Tomás. — Wszyscy co do jednego?

— Oczywiście. Od tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego roku. Waldorf-Astoria cieszy się ogromnym prestiżem. Mieszkają w nim głowy państw, wielkie gwiazdy kina, renomowani artyści, nawet członkowie rodzin królewskich. Księżę i księżna Windsoru, na przykład, nie zadowolili się kilkoma noclegami. Zamieszkali w hotelu... Wyobraża sobie pan? Zamieszkali...

— No proszę, nie wiedziałem. W takim razie pozostaje mi tylko podziękować za waszą gościnność i zakwaterowanie mnie w Astorii.

— Nie ma za co dziękować. Zależy nam, by było panu wygodnie. Już po kolacji?

— Nie, jeszcze nie.

— Jeżeli ma pan ochotę, proszę odwiedzić jedną z hotelowych restauracji. Jeśli lubi pan mięso, polecam Bull and Bear Steakhouse, lub Inagiku, gdyby wolał pan kuchnię japońską. Można również skorzystać z *room service*, która w Waldorf-Astorii cieszy się bardzo dobrą opinią. Odnotowano to nawet w magazynie „Gourmet”, sam pan rozumie. Należy jedynie podpisać rachunek, a fundacja pokryje wszystkie koszty. Tym proszę się nie przejmować.

— O, dziękuję, ale to nie będzie potrzebne. Przekąszę coś tutaj, na Times Square.

— Jest pan na Times Square?

— Tak.

— Teraz?

— Tak, teraz.

— Ale jest bardzo zimno. Czy jest z panem szofer?

— Nie, zwolniłem go.

— Więc jak dotarł pan na Times Square?

— Pieszko.

— *Holly cow!* Jest minus pięć... Przed chwilą usłyszałem w telewizji, że razem z *wind-chill* spodziewać się można piętnastu stopni poniżej zera. Mam nadzieję, że jest pan chociaż ciepło ubrany...

— Ee... tak średnio.

Moliarti z dezaprobatą cmoknął językiem.

— Musi pan bardziej uważać. Jeśli trzeba, wystarczy do mnie zadzwonić. Poproszę szofera, by po pana przyjechał. Ma pan mój numer?

— Myślę, że został zarejestrowany w mojej komórce.

— Good! Jeśli trzeba, niech pan dzwoni, dobrze?

— Och, nie będzie to konieczne. Złapię taksówkę.

— Jak pan sobie życzy. Zadzwoiłem jedynie, by przywitać pana w Nowym Jorku i przekazać, że jutro spotkamy się o dziewiątej rano w naszym *office*. Szofer będzie na pana czekał o ósmej trzydzieści w holu od strony Park Avenue. Nasze *office* znajduje się niedaleko od hotelu, ale jak pan wie, poranne korki to prawdziwe *hell*.

— Proszę się nie martwić. Zobaczymy się jutro.

— Tak jest. Do jutra.

Kiedy Tomás schował telefon do kieszeni, zauważył, że stracił czucie w palcach. Dłoń skostniała, nie była już posłuszna rozkazom mózgu. Wydawała się drętwa i obca, jak gdyby nie należała do niego. Wetknął ją głęboko do kieszeni w rozpaczliwym poszukiwaniu ciepła, ale nie na wiele się to zdało. Zrozumiał, że musi uciekać z ulicy. Po lewej zauważył drzwi restauracji i zdesperowany pchnął je gwałtownie. Wszedł do środka. Ciepło lokalu przyniosło niewysłowioną ulgę, jakby doświadczył zbawienia po zagrożeniu piekłem. Niecierpliwie zacierał ręce, próbując pobudzić krążenie, aż w końcu czucie wróciło do czubków palców.

— *Can I help you?* — zapytał kelner, uśmiechnięty młody chłopak.

Gość pokazał, że jest sam, i usiadł koło okna. Z jego stolika dobrze było widać Times Square. Zakorkowany, nerwowy plac stanowił niezły spektakl. *Waiter* przyniósł kartę dań, a klient zrozumiał, że znalazł się w meksykańskiej restauracji. Po przejrzeniu oferty poprosił o *enchiladas* z serem i wołowiną oraz koktajl *margarita on the rocks*. Kiedy chłopak odszedł, Tomás pochłonął chrupiące *nachos* w sosie

pomidorowo-cebulowym. Nasyciwszy się pikantną przystawką, oparł się na krześle, podziwiając widok. Pojął, że jego ubiór nie pozwala na takie przechadzki po mieście. Postanowił, że po kolacji złapie tak-sówkę i wróci do przytulnego hotelu.

Tej nocy pięciogodzinna różnica czasu w stosunku do Lizbony dała o sobie znać. Kiedy Noronha się obudził, była szósta rano. Za oknem królowała ciemność. Próbował jeszcze zasnąć, przewracając się w pościeli, ale po półgodzinie zrozumiał, że to bezcelowe, i usiadł na brzegu łóżka. Sprawdził czas na zegarku i obliczył — w Lizbonie była jedenasta trzydzieści. Nic dziwnego, że sen uleciał.

Rozejrzył się wokół i po raz pierwszy miał okazję zachwycić się pokojem. Dominującym kolorem było przetykane złotem bordo, wszechobecne na zasłonach, złożonej u stóp łóżka narzucie, na kanapie oraz dekoracyjnych poduszkach. Podłoga pokryta była ciemnoczerwonym miękkim dywanem. Obok łóżka czekała nietknięta butelka czerwonego sauternes, kąty ożywiały bujne rośliny.

Chwycił za telefon i wykręcił numer do Constançy.

— Cześć, piegusko — powiedział, przywołując przezwisko, które nadał jej, kiedy zaczęli z sobą chodzić. — Wszystko w porządku?

— Hej, Tomás? I jak Nowy Jork?

— Zimno jak w psiarni.

— Ale fajny?

— To dziwne miasto, ale owszem, zabawne.

— Co mi przywieziesz?

— Ciii, ciii — uciszył ją. — Wyszło w końcu na to, że jesteś interesowna...

— Patrzcie go! Chłopczyk jeździ sobie po Ameryce, a ja jestem interesowna?

— Dobrze, już dobrze. Przywiozę ci Empire State razem z King Kongiem i spółką.

— Aż tyle nie trzeba. — Zaśmiała się. — Wolę MoMA.

— Co?

— MoMA. Museum of Modern Art.

— Aha.

— Przywieź mi *Gwiazdzistą noc* van Gogha.

- Którą? Tę z nader okrągłymi gwiazdami? Mają ją tam?
- Tak, jest w MoMA. Chcę także *Lilie wodne* Moneta, *Panny z Avignon* Picassa, *Divan Japonais* Toulouse-Lautreca.
- King Konga też?
- Słuchaj, po co mi King Kong, skoro mam ciebie.
- Niedobra! — Roześmiał się. — Wystarczą ci kopie tych obrazów, które wymieniłaś?
- Ależ skąd, chcę, żebyś ukradł oryginały, głuptasie. A cóż innego miałoby być?
- W porządku, pójdę tam. A jak się czuje mała?
- Dobrze. Czuję się dobrze — zabrzmiała odpowiedź. — Łasuchuje jak zwykle.
- Wyobrażam sobie.
- Ale wczoraj miałyśmy przykrą rozmowę.
- Co się stało?
- Przy kolacji powiedziała: „Mamo, dzieci mówią, że ja jestem downem”. Mówię jej: „Na pewno nie, źle usłyszałaś, one mówią, że jesteś Margarida”. „Nie, mamo — odpowiedziała. — Opowiadają sobie na ucho, pokazują na mnie i mówią: ona jest downem”.
- Tomás westchnął.
- Wiesz, jakie są dzieciaki...
- Wiem, są dla siebie okrutne. Chodzi o to, że ona wszystko rozumie i jest jej przykro. Jeszcze raz zapytała mnie, co to znaczy „down”, kiedy poszła do łóżka, zanim przeczytałam jej bajkę.
- To przykre, ale co robić?
- Pójdę do szkoły porozmawiać z nauczycielką.
- Na pewno wiele wskórasz...
- Zawsze przecież może dzieciakom pewne rzeczy wytłumaczyć?
- Myślę, że tak.
- Powinieneś iść ze mną.
- Nie zaczynaj. Nie wiesz, że jestem za granicą?
- Tym razem jesteś usprawiedliwiony — zgodziła się. — Słuchaj, ci Amerykanie już powiedzieli, czego od ciebie chcą?
- Nie, niedługo mam z nimi spotkanie. Potem się zobaczy.
- Załóżę się, że potrzebują opinii o jakimś manuskrypcie.

— Prawdopodobnie.

Tomás po drugiej stronie linii usłyszał w tle ostry dźwięk.

— To pierwszy dzwonek — powiedziała. — Muszę kończyć, mam teraz lekcję. Poza tym ta rozmowa kosztuje pewnie majątek. Buziaki i bądź grzeczny.

— Buziak, piegusko.

— Uważaj na te Amerykanki, mój ty łobuzie. Słyszałam, że są zaczepne.

— Dobrze.

— I przywieź mi kwiaty.

Odłożył słuchawkę i nie mając co robić, włączył telewizor. Przeskakiwał z jednego kanału na drugi — NBC, CBS, ABC, CNN, CNN Headline News, MSNBC, Nick'at'Nite, HBO, TNT, ESPN. Kakofonia dźwięków zalała pokój, w końcu ziewnął z nudów. Spojrzał na wejście do pokoju i zauważył na dywanie gazetę. Prawdopodobnie ktoś ze służby hotelowej wsunął ją w nocy pod drzwi. Podniósł się i sięgnął po nią — to był „New York Times” — pierwszą stronę zdominował prezydent Bill Clinton, a z rogu wyglądał burmistrz Rudolph Giuliani. Pobieżnie przejrzał dziennik, tu i ówdzie podczytując leniwie.

Po zakończeniu lektury poszedł do łazienki, ogolił się i ubrał. Wybrał ciemnoniebieski garnitur w białe prążki. Zawiązał czerwony krawat w deseń ze złotych rogów obfitości. Wyszedł z pokoju i szedł do Oscar's American Brasserie — obszernego salonu, w którym serwowano śniadania. W zasadzie Tomás nie lubił rano się przejadać. Ale kiedy wyjeżdżał za granicę, co rzadko się zdarzało, miał nieposkromiony apetyt. Pożerał wszystko łapczywie. Pomyślał, że być może miało na to wpływ poczucie braku bezpieczeństwa z dala od domu, podświadoma obawa o to, kiedy będzie mógł zjeść następny posiłek. Z lubością rzucił się na naleśniki z syropem i jajka po benedyktyńsku. Danie składało się z dwóch jajek w koszulkach, grzanki z *english muffin* i kanadyjskiego bekonu z sosem holenderskim — dieta pod hasłem „czysty cholesterol”, która prawdopodobnie przyprowadziłaby o załamanie nerwowe jego lekarza rodzinnego. Zjadł jeszcze parówki i *baked beans*, popił sokiem z pomarańczy, a na koniec, zanim podniósł białą flagę i dał za wygraną, wchłonął przepysznego gofra z czekoladą i orzechami laskowymi.

Zakończył śniadanie około ósmej trzydzieści. Nie tracąc czasu, podążył do hotelowego holu — zgodnie z instrukcjami Moliartiego — przy wyjściu na Park Avenue. Czekając, kontemplował ogromny hol z kremowego marmuru, z rzeźbionymi kolumnami i kasetonami. Z sufitu zwisał efektowny żyrandol oświetlający mozaikowe wzory marmurowej posadzki, a ściany połyskiwały licznymi malowidłami olejnymi o charakterze alegorycznym.

— *Good morning, sir* — usłyszał przyjazny głos powitania. — *How are you today?*

Obrócił się i zobaczył poznanego poprzedniego dnia szofera — wesołego czarnoskórego w niebieskim uniformie.

— *Good morning.*

— *Shall we go?* — zapytał szofer, zapraszając go do wyjścia uprzejmym gestem ubranej w rękawiczkę dłoni.

Ranek był mroźny, ale triumfalne słońce oświetlało miasto. Szkoda, że nie dociera tutaj na dół, pomyślał Tomás, podziwiając lśniąca szczyty drapaczy chmur. Budynki metropolii były tak wysokie, że promienie słońca nie dotykały ziemi. W rezultacie ulice i chodniki Nowego Jorku pogrążone były w wiecznym cieniu. Gość rozsiadł się wygodnie w cadillacu, szofer zaś zajął swoje miejsce za kierownicą. Była to ta sama długa, czarna limuzyna, która przyjechała po niego na lotnisko poprzedniego dnia. Oddzielająca ich szyba opuściła się z cichym bzyczeniem, szofer zajrzał do tyłu i wskazał na mały telewizor oraz półkę po stronie pasażera, gdzie w wiaderku z lodem połyskiwały dwie butelki — whisky Glenlivet i szampan Moët et Chandon.

— *Enjoy the ride* — powiedział z uśmiechem.

Samochód ruszył, a pasażer oddał się obserwacji miasta. Niespokojny Nowy Jork przesunął się przed jego oczami. Jechali w górę Lexington Avenue, po czym skręcili w lewo, przejeżdżając obok Racquet Club. Fasada w stylu renesansowego pałacu wprawiła gościa w zdumienie. To był ostatni styl architektoniczny, jaki spodziewał się tu znaleźć. Dotarli do Madison, cadillac jechał długą aleją, przekraczając wiele przecnic, cały czas w natężonym ruchu. Kiedy w końcu znaleźli się przy budynku Sony, łatwym do rozpoznania z uwagi na swój wierzchołek w stylu chippendale, limuzyna zwolniła i zatrzymała się na następnym rogu ulicy.

— *The office is here* — oznajmił szofer, wskazując na wejście do drapacza chmur. — *Mister Moliarti is expecting you.*

Tomás wysiadł i zachwyił się budynkiem. Była to imponująca wieża z szarozielonego polerowanego granitu, o ponad czterdziestu piętrach i nowoczesnych, prawie aerodynamicznych konturach. Wyszedł z niej pospiesznie dobrze opatulony mężczyzna i zbliżył się, nie zważając na podmuch lodowatego wiatru.

— Profesor Noronha?

Tomás rozpoznał portugalski z brazylijsko-amerykańskim akcentem swojego telefonicznego rozmówcy.

— Dzień dobry.

— Dzień dobry, profesorze. Nazywam się Nelson Moliarti, reprezentuję American History Foundation. Miło pana poznać.

— Cała przyjemność po mojej stronie.

Uścisnęli sobie dłonie. Moliarti był niskim, chudym mężczyzną o siwych, kręconych włosach. Małe oczka i wąski nos, krzywy jak zaostrzony hak, upodobały go do drapieżnego ptaka.

— Witamy — powiedział.

— Dziękuję — odparł gość. Rozejrzał się wokół. — Co za paskudny mróz, prawda?

— Tak, tak, bardzo zimno — potwierdził tamten i skinął ręką. — Proszę, chodźmy do środka.

Zrobili kilka kroków i schronili się w ciepłym azylu wykwintnego budynku. Tomás podziwiał marmurowe atrium ozdobione zadziwiającą rzeźbą—blokiem granitu, jak gdyby zawieszonym w stalowym pojemniku. Pod nim szemrał strumyczek wody. Moliarti zauważył, że profesor ogląda rzeźbę, i się uśmiechnął.

— Ciekawa, prawda? Wykonał ją amerykański rzeźbiarz.

— Interesujące.

— Proszę, nasze *office* znajduje się na dwudziestym trzecim piętrze.

Wsiedli do windy i pojechali do góry ze zdumiewającą prędkością.

Po kilku sekundach otworzyły się drzwi i wysiedli na piętrze zajmowanym przez fundację. Główne drzwi wykonane były z matowego szkła w lśniącej stalowej framudze, z wytłoczonym z przodu logotypem instytucji. Królewski orzeł trzymał w szponach gałązkę drzewa oliwnego oraz szarfę z łacińskim napisem *Hos successus alit:*

*possunt, quia posse videntur**. Poniżej widniała pieczęć z wykaligrafowanymi inicjałami AHF.

* Tych powodzenie podsycą: mogą, ponieważ wyglądają na takich, że mogą.

Tomás przeczytał sentencję i wyteżył pamięć.

— Wergiliusz — przypomniał sobie.

— Słucham?

— To powiedzenie — wyjaśnił Portugalczyk, wskazując na szarfę trzymaną przez orła. — To cytat z *Eneidy* Wergiliusza. — Preczytał zdanie ponownie i wyjaśnił jego sens: — Powodzenie stanowi zachętę: mogą, ponieważ myślą, że mogą.

— Ach tak. To nasze motto. — Moliarti się uśmiechnął. — Sukces przynosi sukces, żadna, nawet największa przeszkoda nie zdoła nas zatrzymać. — Popatrzył na Noronhę z szacunkiem. — Jest pan biegły w łacinie?

— Naturalnie — odrzekł tamten. — Znam łacinę, grekę i język koptyjski, chociaż nie ćwiczę wystarczająco. — Westchnął. — Chcę też zacząć naukę hebrajskiego i aramejskiego, aby poszerzyć horyzonty.

Amerikanin zagwizdał z wrażenia, ale nie skomentował. Przekroczyli drzwi i przeszli obok recepcji. Moliarti poprowadził gościa korytarzem do nowoczesnego gabinetu, który zajmowała antypatyczna sześćdziesięciolatka.

— A oto nasz profesor — powiedział, wskazując na Tomasa. Kobieta podniosła się i pozdrowiła go skinieniem głowy.

— *Hi*.

— To pani Theresa Racca, sekretarka przewodniczącego fundacji.

— *Hello* — przywitał ją przybyły i uściśnął dłoń.

— Czy jest John? — zapytał przewodnik.

— *Yes*.

Przedstawiciel fundacji zapukał do drzwi i prawie nie czekając, otworzył je. Za ciężkim, mahoniowym, wypolerowanym biurkiem siedział prawie лысы mężczyzna. Resztki siwych włosów zaczesane miał do tyłu. U dołu jego twarzy zaznaczał się wyraźnie podwójny podbródek. Wstał i otworzył ramiona w powitalnym geście.

— *Nel, come in.*

— To profesor Noronha z Lizbony — Moliarti przedstawił gościa.

— Profesorze, to John Savigliano, przewodniczący *executive board* w American History Foundation.

Savigliano wyszedł zza biurka z szerokim, miłym uśmiechem wyłoczonym na twarzy.

— *Welcome! Welcome!* Witamy w Nowym Jorku, profesorze.

— Dziękuję.

Z entuzjazmem uścisnęli sobie ręce.

— Jak upłynęła podróż?

— Bardzo dobrze.

— Wspaniale! Wspaniale! — Gestem lewej ręki wskazał na wygodne skórzane kanapy w kącie gabinetu. — Proszę usiąść.

Tomás rozsiadł się wygodnie na wskazanym miejscu i błyskawicznie oszacował biuro. Umeblowano je w stylu konserwatywnym. Ściany i sufit wyłożono drewnem. Meble były europejskie, prawdopodobnie francuskie lub włoskie, osiemnastowieczne. Za ogromnym oknem rozciągał się Manhattan. Gość uświadomił sobie, że wychodzi ono na południe, gdyż wśród licznych drapaczy chmur po lewej rozpoznał Chrysler Building i spiczastą iglicę Empire State Building. Trochę dalej, jak gdyby w gigantycznej miniaturze, dostrzegł przeszklone fasady bliźniaczych wież World Trade Center. Podłoga w biurze przewodniczącego fundacji wykonana była z lakierowanego orzecha amerykańskiego. W rogach pokoju stały ogromne kwiaty. Dekoracji dopełniała piękna abstrakcja przedstawiająca jaskrawoczerwone formy na oliwkowym tle.

— To Franz Marc — wyjaśnił Savigliano, zauważając zainteresowanie profesora obrazem. — Zna pan?

— Nie — odpowiedział Tomás, kręcąc głową.

— Był przyjacielem Kandinskiego, razem założyli w tysiąc dziewięćset jedenastym roku grupę *Der Blaue Reiter*. — oznajmił. — Kupiłem to płótno cztery lata temu na aukcji w Monachium. — Gwizdnął. — Majątek, proszę mi wierzyć, prawdziwy majątek.

— John jest miłośnikiem znakomitych obrazów — wyjaśnił Moliarti. — W domu ma Pollocka i Mondriana, wyobraża sobie pan?

Savigliano uśmiechnął się i opuścił wzrok.

— Och, to mój mały nałóg. — Spojrzał na Tomasa. — Napije się pan czegoś?

— Nie, dziękuję.

— Proszę się nie krępować. Kawy? Mamy tu wspaniałe cappuccino...

— Mm... dobrze, niech będzie cappuccino.

Przewodniczący skierował głowę w stronę drzwi.

— Theresa! — zawołał.

— Tak, panie przewodniczący?

— Proszę przynieść trzy cappuccino i kilka *cookies*.

— *Right away*, proszę pana. Mężczyzna zatarł ręce i uśmiechnął się.

— Profesorze — zaczął — mogę mówić do pana Tom?

— Tom? — roześmiał się gość. — Jak Tom Hanks? Nie ma sprawy.

— Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu. Widzi pan, my, Amerykanie, jesteśmy bardzo bezceremonialni. — Wskazał na siebie. — Proszę mówić mi John.

— A ja jestem Nel — dodał Moliarti.

— Czyli wszystko jasne — zawyrokował Savigliano. Spojrzał na drapacze chmur widoczne za oknem. — Po raz pierwszy w Nowym Jorku?

— Tak, nigdy dotąd nie opuszczałem Europy.

— I podoba się panu?

— Jeszcze niewiele widziałem, ale na razie wydaje mi się w porządku — odrzekł Tomáš z lekkim wahaniem. — Widzi pan, przyglądam się tym ulicom i Nowy Jork wydaje mi się scenerią z filmu Woody'ego Allena.

Amerykanie wybuchnęli śmiechem.

— Dobrze! — wykrzyknął przewodniczący. — Z filmu Woody'ego Allena!

— Tylko Europejczyk mógł powiedzieć coś takiego — skomentował rozbawiony Moliarti.

Gość znieruchomiał. Uśmiechał się, ale nadal nie rozumiał, w czym leżał dowcip.

— Nie sądzą panowie?

— To kwestia punktu widzenia — odpowiedział Savigliano. — Całkiem możliwe, że tak myśli ktoś, kto zna Nowy Jork tylko z kina. Ale proszę pamiętać, że to nie Nowy Jork wygląda jak z filmu, tylko to, co oglądamy w filmach, wydaje się Nowym Jorkiem — wyjaśnił. — *Capisce?*

Do gabinetu weszła pani Racca z tacą. Postawiła filiżanki na stoliku przed kanapą i napełniła je parującą kawą. Obok, na talerzyku, położyła torebki z cukrem i kilka czekoladowych ciastek, po czym wyszła. Wszyscy trzej popijali swoje cappuccino. Przewodniczący oparł się o kanapę i odkaszlnął.

— Tom, pomówmy więc o tym, co pana do nas sprowadza. — Spojrzał krótko na swego kolegę. — Spodziewam się, że Nel wyjaśnił, czym jest nasza instytucja...

— Tak, w zarysie.

— Świetnie. American History Foundation to niedochodowa organizacja finansowana z funduszy prywatnych. Fundacja powstała tutaj, w Nowym Jorku, w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym roku, w celu rozwoju badań nad historią kontynentu amerykańskiego. Ustanowiliśmy stypendium dla studentów ze Stanów Zjednoczonych i całego świata, które miało stanowić nagrodę za odważne projekty i studia, odkrywające nieznanne fragmenty naszej przeszłości.

— Chodzi o Columbus Scholarship — sprecyzował Moliarti.

— Właśnie. Ponadto sfinansowaliśmy badania dokonane przez profesjonalnych archeologów i historyków. Wiele z tych prac doczekało się publikacji i można je znaleźć w dziale literatury o tematyce amerykańskiej w każdej szanującej się księgarni w mieście.

— Prac o jakim charakterze? — chciał się dowiedzieć Tomás.

— Wszystkich dotyczących historii kontynentu amerykańskiego — poinformował przewodniczący fundacji. — Począwszy od dinozaurów zamieszkujących ten kontynent, poprzez badania nad *native Americans*, aż do okupacji wskutek kolonizacji europejskiej i ruchów migracyjnych.

— *Native Americans?*

— Tak! — Uśmiechnął się Savigliano. — To politycznie poprawne wyrażenie, którego używamy w Ameryce. Odnosi się do ludów zamieszkujących te tereny, kiedy przybyli tu Europejczycy.

— Ach tak.

— W takim razie przejdźmy konkretnie do naszego problemu. — Przewodniczący przerwał, zastanawiając się, jak zacząć. — Jak pan wie, w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim świętowaliśmy pięćsetną rocznicę odkrycia Ameryki. Obchody były wspaniałe i, co mówię z dumą, American History Foundation odegrała w ich organizacyjnym sukcesie znaczną rolę. Kiedy się zakończyły, zgromadziliśmy się, by podjąć decyzje co do naszego następnego projektu. Pewna data w kalendarzu zwróciła naszą uwagę. — Spojrzał znacząco na Tomasa. — Czy wie pan jaka?

— Nie.

— Dwudziesty drugi kwietnia dwutysięcznego roku. Za trzy miesiące.

Profesor obliczał w myślach.

— Odkrycie Brazylii.

— Bingo! — wykrzyknął Savigliano. — Pięćsetlecie odkrycia Brazylii. — Wypił jeszcze łyk kawy. — Więc co zrobiliśmy? Zaprosiliśmy naszych sponsorów na spotkanie i poprosiliśmy o opinie. Wyzwanie polegało na tym, by określić właściwą datę tego wydarzenia. Wśród obecnych wtedy konsultantów był Nel, który wykładał wcześniej historię na jednym z uniwersytetów brazylijskich i bardzo dobrze zna ten kraj. Złożył nam ciekawą propozycję. — Spojrzał na Moliartiego. — Nel, myślę, że najlepiej będzie, jeśli sam przedstawiś swój pomysł.

— Oczywiście, John — potwierdził tamten. — Generalnie moja idea opiera się na polemice, która od wieków jest pożywką dla historiografii. Czy Pedro Alvares Cabral odkrył Brazylię przypadkiem, czy celowo? Jak zapewne pan wie, historycy podejrzewają, że Portugalczycy uprzednio wiedzieli o jej istnieniu i że Cabral jedynie zalegaliżował dokonane już wcześniej odkrycie. Zaproponowałem więc *executive board*, aby sfinansować badania, które ostatecznie rozstrzygnęłyby tę kwestię.

— *Board* wyraziło zgodę i wprawiono maszynę w ruch — dodał Savigliano. — Zdecydowaliśmy się zatrudnić najznakomitszych specjalistów w tej dziedzinie, ale potrzebowaliśmy osób, które choć zdyscyplinowane, byłyby otwarte i miałyby odwagę zakwestionować

zakorzenione poglądy. Ludzi, którzy potrafią wykroczyć poza zwyczajową analizę źródeł i są dostatecznie sprawni intelektualnie, by wywnioskować to, czego nie można znaleźć w dokumentach czarno na białym. To, co pozostało w domyśle.

— Jak z pewnością panu wiadomo — wtrącił Moliarti — dokonano wielu odkryć, których nie ujawniono; istniały informacje uważane za nienaruszalną tajemnicę państwową.

— Portugalia była mistrzem sekretu — potwierdził Tomás. — Istniała tak zwana polityka milczenia.

— Właśnie — zgodził się Nel. — Biorąc zatem pod uwagę fakt, że odkryć dokonywano po kryjomu i utrzymywano je w tajemnicy, trudno wymagać, by historycy zechcieli poszukiwać poza oficjalnymi dokumentami. Jeżeli jednak zadaniem oficjalnych dokumentów było ukrywanie prawdy, a nie ujawnianie jej, nie można odnosić się do nich z pełnym zaufaniem. Dlatego zależało nam na badaczach o otwartych umysłach.

Noronha skrzywił się w sceptycznym grymasie.

— Wszystko pięknie, ale nie można oczekiwać, że poważny historyk zdecyduje się, tak ni stąd, ni zowąd, zignorować teksty źródłowe i ruszyć tropem przygody. Musi oprzeć swoje poszukiwania na istniejących dokumentach, a nie na swobodnych spekulacjach. Nie można oczekiwać, że puści wodze fantazji. W przeciwnym razie nie mówimy już o historii, lecz o fikcji historycznej, prawda?

— Z całą pewnością.

— To oczywiście, że należy przyjrzeć się dokumentom krytycznie — ciągnął swój wywód Tomás. — Trzeba rozumieć cel, jaki przyświecał tworzeniu manuskryptów, pojąć ich przeznaczenie i ocenić stopień wiarygodności. W końcu na tym polega krytyka źródeł. Jednak badania historyczne muszą opierać się na dokumentach źródłowych, co do tego nie mam żadnych wątpliwości.

— Ani my — pospieszył z wyjaśnieniami Moliarti. — Ani my. Z tego powodu zależało nam na ugruntowanych naukowcach. Ale uważaliśmy także, że powinny to być osoby zdolne do samodzielnego zrzucenia sztywnego gorsetu dokumentów, których celem, w myśl obowiązującej w Portugalii w piętnastym wieku „polityki milczenia”,

było utajnienie prawdy. Oznacza to, że nasi badacze powinni być solidni, ale jednocześnie swobodnie myślący. — Chwycił za czekoladowe ciasteczko i ugryzł je. — *Board* wyznaczyło mi za zadanie znalezienie historyków o takim potencjale. Przez kilka miesięcy prowadziłem poszukiwania, przeglądałem życiorysy, pytałem, czytałem publikacje, radziłem się przyjaciół. W końcu znalazłem człowieka odpowiadającego naszym oczekiwaniom.

Moliarti zrobił tak długą pauzę, że Tomás czuł się w obowiązku zapytać:

— Kogo?

— Profesora Martinha Vasconcelosa Toscano z wydziału humanistycznego Uniwersytetu Klasycznego w Lizbonie.

Noronha otworzył szeroko oczy.

— Profesora Toscano? Ale on...

— Tak, mój drogi — uciął Nelson z poważną miną. — Zmarł dwa tygodnie temu.

— To właśnie mi powiedziano. Nawet pojawiła się wzmianka w gazetach.

Amerykanin westchnął ciężko.

— Profesor Toscano zwrócił moją uwagę swoimi innowacyjnymi badaniami nad twórczością Duarte Pacheca Pereiry, a szczególnie dotyczącymi jego najbardziej znanego i enigmatycznego dzieła *Esmeraldo de Situ Orbis*. Czytałem jego prace i byłem pod wrażeniem żywej inteligencji i widocznej umiejętności demaskowania pozorów, podważania ustanowionych prawd. Co więcej, jego dzieło cieszyło się dużym szacunkiem w Instytucie Historii w PUC.

— PUC?

— Pontyfikalny Uniwersytet Katolicki w Rio de Janeiro, gdzie wykładam — wyjaśnił Moliarti. — Tak więc wybrałem się do Lizbony, by z nim porozmawiać, i przekonałem go do objęcia kierownictwa nad tym projektem. — Uśmiechnął się. — Sądzę, że siłą perswazji wzmocniły również wysokie honoraria, jakie oferujemy.

— American History Foundation szczyści się tym, że jest instytucją, która płaci najlepiej swoim współpracownikom — chełpił się Savigliano. — Najwięcej wymagamy, najlepiej płacimy.

— Tak, wydawało się nam, że profesor Toscano jest najbardziej odpowiednią osobą — podjął jego kolega. — Co prawda, nie pisał najlepiej. Wydaje się, że to problem niektórych portugalskich historyków. Ale nie stanowiło to istotnej przeszkody. Do poprawienia stylu mamy tu specjalistów, takich Hemingwayów, którzy sprawią, że profesor Toscano upodobni się pod tym względem do Johna Grishama.

Obaj członkowie fundacji się roześmieli.

— A dlaczego nie do Jamesa Joyce'a? — zapytał Tomás. — Mówi się, że to najznakomitszy pisarz języka angielskiego...

— Joyce?! — wykrzyknął Savigliano. — *Jesus Christ!* Ten pewnie pisze jeszcze gorzej niż Toscano!

Nowe wybuchy śmiechu.

— No, dosyć już pogaduszek — powiedział w końcu Moliarti. — Na czym to ja skończyłem?

— Na tym, że profesor Toscano był najbardziej odpowiedni, ale źle pisał — podpowiedział Portugalczyk.

— O tak — westchnął Nelson głęboko. — Właściwie to powiedziałbym, że profesor najbardziej pasował do profilu, jaki mi nakreślono.

— Czy to nie to samo?

Amerikanin zrobił grymas.

— Niezupełnie to samo. Widzi pan, Toscano borykał się z pewnymi problemami, o czym miałem okazję przekonać. — Wypił łyk kawy. — Przede wszystkim nie był osobą, która trzyma się swojego zakresu badań. Był człowiekiem niezdiscyplinowanym, podążał za tropem, który, choć ciekawy, nie wnosił niczego istotnego do powierzonego mu zadania. Tym samym tracił mnóstwo czasu na rzeczy z nim niezwiązane. Po drugie, nie lubił zdawać relacji z wykonanej pracy. Chciałem śledzić rozwój badań i prosiłem go o regularne sprawozdania, ale on odburkiwał tylko pod nosem jakieś bezsensowne dyrdymały. Oznajmił mi nawet, że doszukał się dokumentów niezwykłej wagi, które zmieniają sposób myślenia o epoce odkryć geograficznych, spowodują prawdziwą rewolucję. Kiedy pytałem, czego dotyczyły, milczał jak grób. Kazał mi czekać.

— I czekaliście?

— Czekaliśmy. Nie mieliśmy wyboru, nieprawdaż?

— A potem?

- Potem zmarł — oznajmił ponuro Savigliano.
- Hmm — mruknął zamyślony Tomás. — Nie wyjaśniając, co to było za odkrycie?
- Właśnie.
- Rozumiem — odrzekł Portugalczyk, opierając się o kanapę. — I na tym polega wasz problem.
- Moliarti odkaszlnął.
- To jeden z naszych problemów. — Podniósł palec wskazujący.
- Ale nie jedyny, być może nawet nie największy.
- Ach nie? — zdziwił się gość.
- Nie — odparł tamten. — Największy problem polega na tym, że termin prezentacji wyników badań upływa za trzy miesiące i nie mamy czego przedstawić.
- Jak to?
- Tak jak mówię. Za trzy miesiące zaczynają się obchody pięćsetlecia odkrycia Brazylii, a wkład American History Foundation nie będzie widoczny. Jak już panu wyjaśniłem, profesor Toscano miał manię sekretów i nie przekazał nam żadnych materiałów. Zostawił nas z pustymi rękami. Nie mamy nic. — Zgiął palec wskazujący w stronę kciuka, tworząc kółko. — Zero.
- Po raz pierwszy w swojej karierze fundacja nie będzie miała żadnego udziału w wielkim wydarzeniu historycznym dotyczącym naszego kontynentu — dodał Savigliano.
- Wstyd — skomentował Nelson, potrząsając głową.
- Obydwoj spojrzeli na Portugalczyka z oczekiwaniem.
- Właśnie dlatego skontaktowaliśmy się z panem — wyjaśnił przewodniczący. — Chcemy, by odzyskał pan wyniki pracy profesora Toscano.
- Ja?
- Tak, pan — potwierdził, wskazując na niego palcem. — Będzie pan miał dużo do zrobienia i będzie pan musiał zrobić to szybko. Potrzebujemy gotowego manuskryptu najdalej za dwa miesiące. Nasze wydawnictwo może w ciągu zaledwie jednego miesiąca wprowadzić książkę na rynek, ale cudów zdziałać nie potrafi. W połowie marca praca musi być już zakończona.

Tomás patrzył na niego osłupiały.

— Przepraszam bardzo, ale zaszła jakaś pomyłka. — Pochylił się do przodu i położył dłoń na sercu. — Nie jestem znawcą epoki odkryć geograficznych. Specjalizują się w innej dziedzinie. Jestem paleografem i kryptoanalitykiem, moja praca polega na odszyfrowywaniu ukrytych informacji, interpretacji tekstów i ocenie ich wiarygodności. W tym jestem dobry, najlepszy w swojej dziedzinie. Jeśli potrzebujecie specjalisty od epoki odkryć, to chętnie wskażę wam odpowiednie osoby. W moim instytucie, na Uniwersytecie Nowym w Lizbonie, pracują profesorowie o wiele bardziej ode mnie kompetentni w zakresie tych badań. Właściwie to już przychodzą mi do głowy odpowiednie nazwiska. Ale nie ja, moi drodzy, nie ja. — Spojrzał na obu Amerykanów. — Wyraziłem się jasno?

Tamci spojrzeli na siebie.

— Tom, wyraził się pan wystarczająco jasno — odrzekł Savigliano. — Tylko że my chcemy zatrudnić właśnie pana.

Noronha obserwował go nieruchomo przez dwie długie sekundy.

— Prawdopodobnie nie wytłumaczyłem tego dostatecznie dobrze — powiedział w końcu.

— Tom, pan wytłumaczył to bardzo dobrze. *Crystal clear*. Myślę, że to my nie wytłumaczyliśmy wszystkiego wystarczająco zrozumiale.

— Jak to?

— Proszę posłuchać, nam nie jest potrzebny znawca epoki odkryć — wyjaśnił przewodniczący. — Od tego mamy tu Nela. — Wskazał kciukiem na Moliartiego. — Najbardziej brakuje nam kogoś, kto pomoże zrekonstruować wszystko, co profesor Toscano znalazł na temat odkrycia Brazylii.

— Ależ o tym właśnie mówię — upierał się Tomás. — Zrozumiałem już, że nie chcecie kolejnego historyka do dalszych badań, ale kogoś, kto zajmie się tym, co zostało już opracowane, i przygotowuje publikację. Świetnie. Ale któż lepiej nadaje się do tego zadania, jeżeli nie prawdziwy specjalista w dziedzinie odkryć geograficznych, co? Ja na pewno nie jestem właściwą osobą, rozumiecie? Jestem znawcą paleografii i kryptoanalizy, nie potrafię wam pomóc. Pojmujecie?

— Nie, to pan jeszcze nas nie zrozumiał — odparł Savigliano. —

Jak przed chwilą panu powiedziałem, profesor Toscano był osobą lubiącą utrzymywać wszystko w tajemnicy. Nie przedstawiał nam sprawozdań okresowych, nie nam nie mówił, pozostawiał nas w niewiedzy. Kiedy zadawałem mu pytania, uciekał się do wykrętów i unikał tematu. Dochodziło nawet do kłótni na tym tle. — Odetchnął głęboko. — Jednak jego mania tajemniczości doszła do kompletnego absurdu. Kategorycznie wymagał, aby nikt nie dowiedział się o jego odkryciu. W paranoicznym strachu, że wszyscy chcą mu wykraść sekret, zdecydował się ukryć wszelkie zgromadzone informacje.

— W jaki sposób?

— O tym właśnie mówię! — wykrzyknął Moliarti. — Schował wszystko. Wszystko! Zostawił zaszyfrowane zagadki. Prawda jest taka, że te dokumenty nie są dla nas dostępne. — Nachylił się do Noronhy. — Tom, jest pan Portugalczykiem i znawcą kryptoanalizy. To pan jest kluczem do rozwiązania problemu.

Zdziwiony profesor ponownie oparł się na kanapie.

— Nie... ee... to naprawdę...

— Będzie mógł pan liczyć na moją pomoc — podkreślił Nelson. — Jestem do pańskiej dyspozycji w każdej potrzebie. — Zawahał się. — Chociaż będę też wymagał od pana bieżących sprawozdań z postępów w pracy.

— Nie tak prędko — uciął Tomás. — Nie wiem, czy mogę sobie na to pozwolić. Wykładam na uczelni, co więcej, mam wystarczająco dużo problemów w moim...

— Pokryjemy wszystkie niezbędne koszty — uprzedził Savigliano, wyciągając asa z rękawa. — Dwa tysiące dolarów tygodniowo, plus wszelkie poniesione przez pana wydatki. Jeżeli uda się panu skończyć pracę w wyznaczonym przez nas terminie, dostanie pan ponadto nagrodę w wysokości pół miliona dolarów. — Wyciągnął dłoń. — *Take it or leave it.*

Noronha nie potrzebował zbyt długo przeliczać. Dwa tysiące dolarów równały się prawie dwu tysiącom euro. Pół miliona dolarów to mniej więcej pół miliona euro, cent w tę czy w tamtą. To rozwiązywałoby wszystkie jego problemy. Wizyty lekarskie Margaridy, nauczyciel dla dzieci specjalnej troski, lepsze mieszkanie, bezpieczniejsza

przyszłość i jeszcze kilka pomniejszych drobiazgów, których brak dotkliwie odczuwali. Choćby takich prostych rzeczy, jak kolacja w restauracji czy wycieczka do Óbidos bez przejmowania się kosztem paliwa. Albo nawet weekend w Paryżu, by zabrać Constanę do Luwru i małą do Disneylandu. Właściwie, pytał sam siebie, nad czym się tu zastanawiać? Była to propozycja nie do odrzucenia.

Pochylił się do przodu i popatrzył obu rozmówcom w oczy.

— Gdzie mam podpisać? — zapytał.

Dobili targu i entuzjastycznie uścisnęli sobie dłonie.

— *Tom, welcome aboard!* — huknęła Savigliano, uśmiechając się od ucha do ucha. — Razem dokonamy wielkich rzeczy. Wielkich rzeczy!

— Mam taką nadzieję — zgodził się Portugalczyk, nie mogąc uwolnić ręki maltretowanej przez pełnego euforii Amerykanina. — Kiedy zaczynam?

— Natychmiast.

— A gdzie?

— Profesor Toscano zmarł dwa tygodnie temu w jednym z hoteli w Rio de Janeiro — oznajmił Moliarti. — Dostał zawału serca, kiedy pił sok, niech pan sobie wyobrazi. Wiemy, że analizował manuskrypty w Bibliotece Narodowej oraz w bibliotece portugalskiej w Rio. Tam mogą się znajdować potrzebne panu ślady.

Twarz Johna Savigliano przybrała ironicznie przygnębiony wyraz.

— Tom, z przykrością oznajmiam panu, że jutro wsiada pan w samolot do Rio de Janeiro.

III

Przez kratę metalowej bramy można było dostrzec fragmenty pałacu São Clemente. Architektoniczne linie tej eleganckiej trzypiętrowej budowli były wyraźnie inspirowane europejskimi pałacami z osiemnastego wieku. Strzelista konstrukcja wznosiła się dumnie wśród wypielegnowanego ogrodu, w którym dominowały wysokie bananowce, palmy zwyczajne i kokosowe, a także drzewka mango i *flamboyant*. Bujna roślinność Botafogo otaczająca rezydencję stanowiła naturalne ogrodzenie. Z tyłu — jak milczący olbrzym — górowało nagie, ciemne zbocze Morro Santa Marta.

Było upalnie. Wychodząc z taksówki, Tomás otarł czoło. Podeszedł do bramy i zajrzał do budki strażniczej przycupniętej po lewej stronie.

— Przepraszam! — zawołał.

Umundurowany mężczyzna drzemiący na krześle wzdrygnął się, wstał i podeszedł bliżej.

— Tak?

— Mam spotkanie z konsulem.

— Jest pan umówiony?

— Tak.

— Jak się pan nazywa?

— Tomás Noronha z Uniwersytetu Nowego w Lizbonie.

— Proszę chwilę poczekać.

Strażnik wrócił do swojej budki, przekazał informację przez domofon, odczekał chwilę i otrzymawszy odpowiedź, otworzył bramę.

— Proszę uprzejmie — powiedział, wskazując na główne wejście do pałacu. — Zechce pan skierować się do tamtych drzwi.

Tomás przeszedł po drobnym bruku w stylu portugalskim, który prowadził do konsularnego budynku, uważając, by nie podeptać trawnika, po czym udał się we wskazanym kierunku, wspinając się po schodach. Wszedł do środka przez rzeźbione drzwi z ciemnego drewna i znalazł się w małym holu wyłożonym siedemnastowiecznymi kafelkami zdobionymi motywami kwiatowymi i postaciami ludzi w ówczesnych strojach. Przed nim otwierała się kolejna para drzwi z ornamentami ze złotych listków. Wszedł przez nie do przestronnego westybulu, pośrodku którego stał wytworny stół w stylu Józefa I* nakryty porcelaną. Z góry zwieszał się imponujący żyrandol.

* Józef I, zwany Reformatorem (1714–1777) — król Portugalii z dynastii Bragança.

Młody mężczyzna o czarnych, zaczesanych do tyłu włosach, w ciemnoniebieskim garniturze, podszedł do gościa. Jego kroki odbijały się echem po marmurowej posadzce.

— Profesor Noronha?

— Tak.

— Nazywam się Lourenço de Mello — przedstawił się, wyciągając rękę. — Zajmuję w konsulacie stanowisko attaché kulturalnego.

— Miło mi poznać.

— Pan konsul już idzie. Bardzo proszę, poczekamy w sali balowej. — Wskazał na pomieszczenie po lewej stronie.

Okazało się długie i wysokie, chociaż niezbyt obszerne. Kremowy sufit i ściany w kolorze łososiowym obramowane były ornamentem ze złotych liści. Wysokie okna z czerwonymi, haftowanymi złotem zasłonami wychodziły na frontowy ogród. Podłoga, skomponowana z kilku gatunków drewna brazylijskiego, błyszcząca od lakieru, w którym odbijały się jak w lustrze kanapy i fotele. Zdaniem Tomasa meble reprezentowały styl imitujący Ludwika XVI. Ścianę zdobił wielki portret Jana VI — króla, który uciekł do Rio przed inwazją napoleońską. W głębi sali stał duży fortepian, prawdopodobnie marki Erard, czarny i lśniący.

- Napije się pan czegoś? — zapytał attaché, wskazując gościowi fotel.
- Nie, dziękuję — odparł Tomás, sadowiac się wygodnie.
- Kiedy pan przyleciał?
- Wczoraj późnym popołudniem.
- Liniami TAP?
- Delta Airlines.
- De Mello zrobił zdziwioną minę.
- Delta? Delta lata tu z Lizbony?
- Nie — zaprzeczył Noronha z uśmiechem. — Leciałem z Nowego Jorku do Atlanty, a z Atlanty tutaj.
- Pojechał pan do Stanów Zjednoczonych, aby stamtąd udać się do Brazylii?
- Ee... właściwie tak. — Profesor poruszył się w fotelu. — Chodzi o to, że miałem w Nowym Jorku spotkanie z ludźmi z American History Foundation. Czy panu coś wiadomo...
- Raczej niewiele — przerwał mu rozmówca.
- I tam zapadła decyzja o mojej natychmiastowej podróży do Brazylii.
- Attache przygryzł dolną wargę.
- Hmm, rozumiem. — Westchnął. — Nieprzyjemna sprawa.
- Jaka?
- Śmierć profesora Toscano. Nie wyobraża sobie pan...
- Do sali wkroczył gwałtownie energiczny, elegancki mężczyzna w średnim wieku, z siwizną na skroniach.
- Dzień dobry.
- De Mello powstał, a Tomás poszedł jego śladem.
- Panie ambasadorze, to profesor Noronha — powiedział urzędnik, dokonując prezentacji. — Panie profesorze, ambasador Alvaro Sampayo.
- Witam.
- Bardzo proszę się rozgościć — powiedział konsul, po czym usiedli. — Mój drogi Lourenço, zaproponowałeś kawę naszemu gościowi?
- Tak, panie ambasadorze, ale profesor sobie nie życzy.
- Nie życzy sobie? — zdziwił się dyplomata, spoglądając na

Tomasa z dezaprobatą. — Przyjacielu, to brazylijska kawa. Lepsza jest tylko z Angoli.

— Z ogromną przyjemnością skosztuję pańskiej kawy, panie ambasadorze, ale nie na pusty żołądek, zaszkodziłaby mi.

Dyplomata uderzył ręką w kolano i żwawo się podniósł.

— Ma pan całkowitą słuszość! — Zatrzymał wzrok na attaché. — Lourenço, poleć personelowi, by podano obiad, już pora.

— Tak, panie ambasadorze — odpowiedział de Mello, wychodząc, by przekazać polecenie.

— Proszę za mną. — Sampayo wziął Tomasa za łokieć. — Przejdziemy do sali jadalnej.

Weszli do ogromnego pomieszczenia, w którym poczesne miejsce zajmował długi stół o toczonych nogach z drewna jacaranda. Z obu stron stało po dwadzieścia krzeseł, wyściełanych bordową tkaniną. Z sufitu, nad krańcami stołu zwieszały się dwa imponująco piękne, kryształowe żyrandole. Pod bogato zdobioną fasetą widniało godło Portugalii. Posadzkę z marmuru alpenina częściowo tylko przykrywał dywan z Beiriz. Na ścianie w głębi wisiał ogromny gobelin przedstawiający siedemnastowieczną scenkę w ogrodzie angielskim. Z prawej strony oddzielony od sali czterema wysokimi marmurowymi kolumnami korytarz prowadził do patio, gdzie tryskała wyłożona kafelkami fontanna. Po lewej skrzydła okiennic otwierały się na bujny tropikalny ogród.

Na krańcu stołu, przed gigantycznym gobelinem, przygotowano już trzy nakrycia — porcelanowe talerze, srebrne sztućce i kryształowe kieliszki.

— Proszę spocząć. — Ambasador wskazał na miejsce po prawej stronie, sam zajmując krzesło u szczytu.

Tomás usiadł, a wkrótce dołączył do nich attaché.

— Za chwilę podadzą obiad — oświadczył.

— Doskonale — odrzekł konsul, układając na kolanach serwetkę. Skupił uwagę na gościu.

— Jak minęła podróż?

— Hmm... tak sobie. Była niewielka turbulencja.

Dyplomata się uśmiechnął.

— Tak, turbulencja potrafi być irytująca. — Uniósł brwi w ironicznym grymasie. — Przyjacielu, proszę mi nie mówić, że boi się pan latać?

— Ee... więc... — zająknął się Noronha. — Nie powiedziałbym, że się boję. Raczej trochę się obawiam.

Roześmiali się.

— Wie pan, to kwestia przyzwyczajenia — powiedział konsul. — Im więcej podróżujemy samolotami, tym mniejszy strach przed lataniem. Rzadko pan podróżuje, prawda?

— Tak, nieczęsto. Od czasu do czasu otrzymuję zaproszenia na konferencje w Hiszpanii, Grecji lub we Włoszech. Niekiedy wzywają mnie też na konsultacje lub do uczestnictwa w badaniach naukowych, ale głównie przebywam w Lizbonie. Moje życie jest zbyt skomplikowane, by rozjeżdżać się po świecie.

Pojawił się mężczyzna w białej liberii ze złotymi guzikami, z tacą w rękach, i podał supę. Tomás spojrział na warzywa pokrojone w słupki i rozpoznał jarzynową.

— To pana pierwsza wizyta w Rio? — pytał Sampayo.

— Tak, nigdy dotąd tu nie byłem.

Rozpoczęli posiłek.

— I jak się panu podoba?

— Jeszcze za wcześnie, by to ocenić — odrzekł profesor, przekłnąwszy łyżkę zupy. — Przyjechałem dopiero wczoraj, pod koniec dnia. Ale jak na razie miasto bardzo przypadło mi do gustu. Przypomina Portugalię w tropikach.

— Rzeczywiście, trafnie ujęte. Tropikalna Portugalia.

Noronha na moment zawiesił w powietrzu łyżkę z zupą.

— Proszę wybaczyć pytanie. Jeżeli jest pan ambasadorem, to dlaczego nazywają pana konsulem? Czy nie powinien pan zajmować stanowiska ambasadora?

— W normalnych warunkach tak by to właśnie wyglądało. Ale, wie pan, Rio de Janeiro to miejsce szczególne — zniżył głos. — Tak między nami, to konsulat w Rio jest znacznie lepszą posadą niż ambasada w Brasilii, rozumie pan?

— Ach, rozumiem — odrzekł gość, ale po chwili, wciąż zaintrygowany, zapytał: — Dlaczego?

— Nie ma o czym mówić, Rio de Janeiro to znacznie bardziej przyjemne miejsce niż Brasilia, zagubiona gdzieś na wyżynie, w środku buszu.

— Ach tak! Ale gościł pan już w innych ambasadach?

— Oczywiście, w Bagdadzie, Luandzie, Bejrucie. Wszędzie tam, gdzie sytuacja się komplikowała, posyłano moją skromną osobę, gotową do wyrzeczeń w służbie narodu.

Skończyli jeść zupełę, a obsługa wyniosła talerze. Po krótkiej chwili kelner powrócił, niosąc parujący półmisek z pieczonym schabem. Do niego podano ryż z pomidorami i groszkiem oraz pieczone ziemniaki. Kieliszki zostały napełnione wodą i winem z Alentejo.

— Panie ambasadorze, pragnę podziękować za uprzejmość i zaproszenie mnie tutaj.

— Ależ nie ma za co, na litość boską, nie trzeba dziękować. To dla mnie przyjemność przyjść z pomocą w pańskiej misji. — Zabrali się do jedzenia. — Poza tym, po pana telefonie z Nowego Jorku otrzymałem stosowne instrukcje od ministerstwa w Lizbonie, aby udzielić panu wszelkiego potrzebnego wsparcia. Wie pan, badania dotyczące pięsetlecia odkrycia Brazylii traktowane są jako strategiczna sprawa dla rozwoju obustronnych relacji państwowych. W związku z tym, proszę mi wierzyć, nie wyświadczam panu żadnej przysługi. Wypełniam po prostu swój obowiązek.

— Niezależnie od tego dziękuję. — Tomás się zawahał. — Czy udało się panu zdobyć informacje, o których rozmawialiśmy telefonicznie?

— Uhm, uhm — potwierdził ambasador, przełykając kawałek mięsa. — Śmierć profesora Toscano wyrzuciła do góry nogami pracę konsulatu. Nie wyobraża pan sobie, jakie napotkaliśmy trudności z przetransportowaniem zwłok do Portugalii. — Westchnął. — Jakiż to był kłopot. Dobry Boże! Papiery tam i formularze z powrotem, plus przesłuchanie przez policję, problemy w kostnicy i dodatkowo cała lista zezwoleń, pieczętek. Biurokracja. Jakby tego było mało, trudności nastroczały linie lotnicze. Krótka mówiąc, horror. Trzeba to było zobaczyć na własne oczy. — Spojrzał na attaché. — Nasz Lourenço tyle się nacierpiał, czyż nie?

— Och, panie ambasadorze, lepiej tego nie wspominać. — De Mello machnął ręką.

— Co do potrzebnych panu informacji — ciągnął konsul — przejrzelśmy dokumenty profesora Toscano i odkryliśmy, że swoje poszukiwania prowadził prawie zawsze w Bibliotece Narodowej, a sporadycznie w Portugalskiej Czytelnicy Królewskiej.

— Gdzie to się znajduje?

— W centrum miasta. — Wziął łyk wina. — To czerwone wino jest rzeczywiście boskie! — powiedział, podnosząc kieliszek do światła i analizując ciemny napój. Spojrzał na Tomasa. — Ale niewiele jest do odkrycia, wie pan? Profesor Toscano przebywał tu tylko trzy tygodnie, zanim kopnął w kalendarz... ee... przepraszam... zanim odszedł.

— Tak, z pewnością niewiele zdążył przebadać.

— Nieszczęśnik, zabrakło mu czasu.

Noronha chrząknął.

— Pan ambasador mówił, że przeglądał dokumenty profesora?

— Uhm, uhm.

— Rozumiem, że przekazał je pan już do Lizbony.

— Oczywiście.

Attaché odkaszlnął i włączył się do rozmowy.

— Niezupełnie tak — podsumował.

— Jak to niezupełnie tak? — zdziwił się konsul.

— Wystąpiły trudności z teczką dyplomatyczną i papiery profesora Toscano jeszcze tutaj są. Zostaną wysłane dopiero jutro.

— Doprawdy? — wykrzyknął Alvaro Sampayo. Spojrzał na gościa.

— Widzi pan, okazało się, że dokumenty są tu nadal.

— Czy mogę je zobaczyć?

— Papiery? Oczywiście. — Skierował wzrok na attaché. — Lourenço, proszę je przynieść.

De Mello wstał i zniknął za drzwiami.

— Jak smakował panu pieczony schab? — zapytał konsul, wskazując na talerz Tomasa.

— Wspaniały — pochwalił tamten. — A pomysł podania patatów w wianuszkach ze zwykłych ziemniaków był fenomenalny.

— Prawda?

Attaché wrócił z teczką w dłoni. Usiadł, otworzył ją i wyjął na stół pliki papierów.

— To przede wszystkim kserokopie i notatki — wyjaśnił.

Noronha chwycił za papiery i przejrzał je. Były to odbitki kserograficzne starożytnych ksiąg. Rodzaj druku i sam tekst wskazywały na pochodzenie z piętnastego wieku. Niektóre teksty sporządzono w języku włoskim, inne w staroportugalskim, a kilka po łacinie. Wszystkie ozdobione były pracochłonnymi ornamentami i pięknymi iluminacjami wykonanymi pędzelkiem i piórkiem. Same notatki przypominały niemal nieczytelne, nagryzmołone pospiesznie bazgroły. Udało mu się rozpoznać niektóre słowa, takie jak „Cantino”, „Quinzoón”, „Cabral” — wystarczająco, by się zorientować, że zapiski dotyczyły odkrycia Brazylii.

Wśród tych gryzmołów Tomás znalazł jedną luźną kartkę z dwiema wyraźnymi linijkami. Były to trzy słowa zapisane z nadzwyczajną starannością, nakreślone wielkimi literami. Kaligrafia o dziwnych, intrygujących liniach przywodziła na myśl archaiczne zaklęcie magiczne, stworzone przez starodawnych druidów i zapomniane w zawierusze dziejów. Pochylił się nad kartką i powąchał ją — prawie bez zastanowienia, nie wiedząc dlaczego, jak gdyby posłuszny odwiecznemu instynktowi historyka, temu szóstemu zmysłowi bibliotecznego szczura przyzwyczajonego do zakurzonej pleśni starych rękopisów. Wyczuł tajemniczą woń, sekretny aromat dawnych czasów. Niczym ezoteryczne zaklęcie, które nic nie ujawnia, a wszystko sugeruje, te zaszyfrowane słowa miały enigmatyczny zapach tajemnicy.

MOLOC

NINUNDIA OMASTOOS

— Dziwne, prawda? — skwitował zaintrygowany Lourenço. — Znalezione tę kartkę złożoną w portfelu profesora Toscano. Nie wiadomo, o co chodzi. Co, do licha, chciał przez to powiedzieć?

Noronha nadal w milczeniu studiował notatkę trzymaną w dłoniach. — Hmm — mruknął zamyślony.

— Zmiłuj się, Panie! — wykrzyknął ambasador. — Przypomina to flamandzki.

— Albo jeden z tych starożytnych języków... — zasugerował attaché.

Gość skoncentrował się na dziwnych słowach.

— Być może — powiedział w końcu, nie odrywając wzroku od tekstu. — Wygląda mi to jednak bardziej na zakodowaną wiadomość.

Sampayo pochylił się, by spojrzeć na kartkę.

— Jak to? Nie rozumiem.

— W Nowym Jorku uprzedzono mnie, że profesor Toscano szyfrował lub kodował wszelkie istotne zdobyte przez siebie informacje — wyjaśnił Tomás. — Podobno miał obsesję na punkcie bezpieczeństwa i manię tworzenia szarad. — Westchnął. — Jak widać, to prawda.

— Co za potworny galimatias! — wykrzyknął konsul. — Mój drogi przyjacielu, rozumie pan z tego cokolwiek?

— Tak, są tu pewne ślady — wymamrotał Noronha. — Zacznijmy od tego „moloc”. To pierwsze słowo wiadomości i jedyne, którego znaczenie wydaje mi się jasne, choć zagadkowe.

— Co ono oznacza?

— Moloc był jednym z bóstw starożytności. — Podrapał się w zamyśleniu po brodzie. — Po raz pierwszy spotkałem się z tym słowem w komiksie Bernarda Prince'a, jednego z moich ulubionych autorów. Historia zatytułowana była *Le soufflé de Moloch* i, o ile dobrze pamiętam, rozgrywała się na wyspie zagrożonej wybuchem wulkanu. Wulkan ów znany był jako Moloch. Jako chłopiec czytałem również kilka opowiadań o Aliksie, którego przygody toczyły się w starożytności i pojawiał się w nich bóg Moloch. Przypominam sobie jeszcze, że miałem w rękę książkę Henry'ego Millera zatytułowaną *Moloch*.

— Ale tutaj jest napisane „moloc”, a nie „moloch”.

— Można mówić „moloc”, „molech” albo „melech”, na jedno wychodzi. Oryginalne brzmienie słowa to „melech”, co w językach semickich oznacza „król”. Żydzi świadomie przekreśliли je na hebrajskie „molech”, tak aby „melech”, czyli król, kojarzył się ze słowem „bosheth”, wstyd. W taki sposób powstał Moloch, chociaż częściej spotyka się pisownię Moloc.

— O jakiego króla chodzi?
— Była to postać wspaniała, lecz okrutna — przygryzł dolną wargę. — Widzi pan, chociaż słowo „moloch” oznacza „król”, w rzeczywistości chodziło o bóstwo czczone przez mieszkańców Moabu, Kanaanu, Tyru i Kartaginy. Dokonywano dla niego strasznych ofiar, a dokładnie ofiar całopalnych z pierworodnych dzieci. — Rozejrzył się dokoła, jakby czegoś szukał. — Macie tu Biblię?
— Biblię? — zdziwił się konsul. — Tak, jest.
— Czy mogę ją zobaczyć?
— Przyniosę — zadeklarował Lourenço, po czym wstał od stołu i wyszedł z sali.

— Mam wrażenie, że w Starym Testamencie istnieje wzmianka o Molochu — wyjaśnił Tomás. — Widzi pan, z czasem kult Molocha związane z mitem o Minotaurze, potworze, który co roku pożerał siedmiu chłopców i siedem dziewcząt w labiryncie pod pałacem Miñosa, króla Krety. Porównywano go także z Kronosem, który połykał własne dzieci. Przede wszystkim jednak Moloch utożsamiany był z Melkartem z Tyru i amonickim Milcomem. Dla mnie jednak najważniejsze jest, w jakim kontekście Moloch pojawia się w Piśmie Świętym.

— Boże drogi! — zawołał konsul. — Widzę, że ten Moloch był przerażającą postacią. — Ponownie rzucił okiem na zagadkową wiadomość. — Co chciał dać do zrozumienia profesor Toscano, wspominając tak straszego osobnika?

— Sam chciałbym to wiedzieć.

Lourenço powrócił z księgą w ręku i położył ją na stole. Noronha przekartkował Biblię, dokładnie badając tekst. Chwilami prędko przewracał kartki, a czasem zatrzymywał się, by odczytać uważnie jakiś werset. Po upływie kilku minut podniósł dłoń.

— Uwaga, tutaj jest!

Obaj dyplomaci pochylili się nad księgą.

— Co?

— Wzmianka o Molochu. — Wskazał na odpowiedni akapit. — To fragment, w którym Bóg poprzez Mojżesza zakazuje oddawania czci Molochowi. Słuchajcie: „Miejscowa ludność ukamieniuje go... wyłączy go spośród jego ludu, jak również i tych wszystkich, którzy go

naśladować, którzy uprawiają nierząd z Molochem”. — Podniósł głowę. — Widzicie?

— Ale co to znaczy?! — zadał pytanie konsul, nic nie rozumiejąc.

— No tak... nie wiem — przyznał Tomás. — Kodeks Mojżeszowy zakazywał składania Molochowi ofiar z dzieci pod karą śmierci dla każdego, kto nakazałby lub pozwolił na złożenie dziecka w ofierze. Trzeba jednak przyznać, że w Starym Testamencie często znaleźć można pogwałcenie tego zakazu.

— Ale jaki ma to związek z dziwną wiadomością pozostawioną przez profesora Toscano?

— Muszę się temu dokładnie przyjrzeć. Wszystko, co wam opowiedziałem, to elementy, które mogą nam pomóc w rozszyfrowaniu wiadomości. To na razie tyle. Kiedy mamy do czynienia z zaszyfrowanym lub zakodowanym tekstem, musimy chwycić się drobiazgów, które rozumiemy. Dopiero na ich podstawie można złamać szyfr lub kod, zależnie od przypadku.

— Czy to nie to samo?

— Co?

— Szyfr i kod.

Noronha pokręcił przecząco głową.

— Absolutnie nie. Kod polega na zastępowaniu słów innymi, podczas gdy szyfr opiera się na zamianie liter. Można powiedzieć, że kod to arystokrata wśród szyfrów, ponieważ stanowi złożoną formę szyfru zamiennego.

— A to? — zapytał konsul, wskazując na kartkę napisaną przez profesora Toscano. — To kod czy szyfr?

— Hmm... nie wiem — odparł Tomás z wahaniem. — Słowo „moloc” natychmiast przywodzi na myśl kod, ale reszta... — Zaintrygowany zawiesił zdanie, lecz po dokładnym zastanowieniu w końcu zdecydował. — Nie, pozostała część to również powinien być kod. — Wskazał na dwa następne słowa. — Widzi pan, w jaki sposób samogłoski łączą się ze spółgłoskami, tworząc sylaby i wyrażając dźwięki? „Ninundia. Omastoos”. To są wyrazy, panie ambasadorze. Szyfr wygląda inaczej, rzadko pojawiają się sylaby, wszystko sprawia chaotyczne, nieuporządkowane wrażenie. Wystarczy spojrzeć na ciągi liter w rodzaju HSDB, JHWG. Tego tutaj nie ma, istnieją sylaby,

tworzą słowa i sugerują ich brzmienie. — Wlepił wzrok w zagadkowe zdanie i trwał tak z uporem przez kilka sekund w nadziei, że wpadnie mu w oko coś, czego dotychczas nie zauważył. Coś, co ukrywało się za tymi tajemniczymi słowami. W końcu pokręcił głową w geście rezygnacji. — Kłopot w tym, że ich nie rozumiem. — Zamknął powieki i przetarł je, przeczuwając czekający go ogrom pracy. — Muszę to dokładnie przeanalizować.

— Z niczym te słowa się panu nie kojarzą?

— Cóż... „ninundia” i „omastoo”, szczerze mówiąc... e... nie mam pojęcia — przyznał. Skoncentrował uwagę na pierwszym wyrazie, cichutko go wymówił i przyszedł mu do głowy pewien pomysł. — Hmm — mruknął. — Ninundia wygląda mi na nazwę krainy, nie sądzi pan? — Uśmiechnął się nieco podbudowany odnalezieniem czegoś, co wydawało mu się potencjalnym tropem. — Być może ostatnia sylaba, „dia”, wskazuje na określenie jakiegoś miejsca.

— Miejsca?

— Tak, jak na przykład Normandia, Grenlandia, Finlandia...

— Więc?

— Więc byłyby to Ninundia.

— A jak nazywaliby się jej mieszkańcy? — zażartował Sampayo. — Ninundzycy?

— Proszę posłuchać, to tylko hipoteza, nic więcej.

— Ale, dobry Boże, co to wszystko oznacza?

— Będę to musiał dokładnie przeanalizować. Wybierając słowo „ninundia”, profesor Toscano mógł dawać wskazówkę, że kluczem do szyfru jest jakaś kraina. — Otworzył ramiona w bezradnym geście. — Któż to wie? Faktem jest, że znajdujemy tutaj odniesienie do potężnego bóstwa starożytności, strasznego Molocha z Kanaanu, i prawdopodobnie sugestią nieznanego kraju, czyli owej Ninundii. Co, u diabła, profesor Toscano chciał powiedzieć, umieszczając boga i hipotetyczną krainę w tej samej wiadomości, to coś, co dopiero będę musiał ustalić. — Spojrzał na konsula i pomachał kartką. — Czy mogę ją zatrzymać?

— Nie — powiedział dyplomata. — Bardzo mi przykro, ale wszystkie dokumenty musimy przekazać wdowie.

Tomás cmoknął z niezadowoleniem.

— Kurczę blade — zaklął. — Co za pech...

— Ale można zrobić ksero — pospieszył z wyjaśnieniem Sampayo.

— Skserować kartkę?

— Tak, tę i inne, jeśli pan sobie życzy, pod warunkiem że nie dotyczą prywatnego życia profesora.

— Ach, to dobrze! — wykrzyknął Noronha z ulgą. — Gdzie zatem mogę to zrobić?

— Lourenço się tym zajmie — stwierdził konsul, dając urzędnikowi sygnał.

— Co chce pan skserować? — zapytał attaché, zwracając się do gościa.

— Wszystko. Wszystko będzie mi potrzebne. — Ponownie poruszył kartką z zagadkową wiadomością. — Ale to jest najważniejsze.

— Proszę się nie martwić — zapewnił de Mello. — Wróć za chwilę.

Wziął wszystkie papiery i wyszedł z sali.

— Dziękuję za pańską pomoc — powiedział Tomás, patrząc na konsula. — Jest bardzo istotna.

— Ależ nie ma za co. Czy jeszcze w czymś mogę pomóc?

— Właściwie tak. Chciałbym skontaktować się z dyrektorami bibliotek, z których korzystał profesor Toscano.

— Biblioteki Narodowej i Portugalskiej Czytelni Królewskiej?

— Tak.

— Proszę się tym nie martwić.

###

Upał coraz bardziej doskwierał, gdyż słońce paliło z bezwzględnym okrucieństwem. Wolne popołudnie zapowiadało się jednak obiecująco. Po powrocie do pokoju w tym samym hotelu, w którym mieszkał profesor Toscano, Tomás nie mógł oprzeć się pokusie wybrania się na plażę. Włożył kąpielówki, zjechał windą na dół, poprosił o ręcznik i opuścił hotel. Przeszedł wzdłuż Rua Maria Quitéria aż do wspaniałej Avenida Vieira Souto, poczekał na zielone światło na przejściu dla pieszych, przekroczył wielką nadbrzeżną arterię i zszedł na plażę.

Złoty, drobny piasek parzył go w stopy. Podbiegł do namiotu z logo swojego hotelu i poprosił o leżak oraz parasol. Dwóch pracowników, ciemnoskórych i dobrze zbudowanych, w niebieskich koszulkach i czapeczkach, rozłożyło biały leżak jak najbliżej wody i umocowało na piasku biało-niebieski parasol. Tomás dał im jednego reala napiwku. Na plaży w Ipanema cisnęło się tysiące ludzi, nigdzie nie było więcej niż metr kwadratowy wolnego piasku. „Ach, Italia! Jakie pyszne!”, krzyknął ktoś, przechodząc. Profesor usiadł na skraju leżaka, wyjął krem ochronny i się posmarował, po czym rozsiadł się wygodnie.

Rozejrzał się dookoła. Po jego prawej stronie rozłożyła się grupa młodych chłopaków — Włochów, z przodu siedziała sześćdziesięcioletka w kapeluszu i ciemnych okularach, po lewej zaś ujrzał trzy brazylijskie mulatki demonstrujące wielkie sterzące piersi. Przyglądając się im uważnie, Tomás stwierdził, że były doskonałe, aż do momentu, w którym przekonał się, że nienaturalna perfekcja została stworzona skalpelem chirurga. „Cytryny i mate! Matia! Lemoniada Matia!”, zaintonował przechodzący obok sprzedawca. Plaźowicz poczuł, jak skórę parzą mu agresywne promienie słoneczne, i schował się głębiej w cień parasola.

— No, córeczko, zrelaksuj się, słyszysz? Odpręż się, moja droga... — mówił ktoś za nim. Odwrócił się i zobaczył tysego mężczyznę po pięćdziesiątce, leżącego na słońcu z telefonem komórkowym przy uchu. — Widzisz, kochana, twoje dzieci jadą na wakacje... tak — gadał. Nie dało się go nie słyszeć. — Tak... właśnie tak... no tak, jadą na wakacje... no to, moja droga, będziesz mogła kochać się z mężem, no widzisz, córciu?

Noronha odwrócił głowę zażenowany, próbując zignorować rozmowę, jaką ów brazylijski ojciec prowadził z córką pośrodku zatłoczonej plaży. Starał się skoncentrować na tym, co działo się wokół niego. Nie było to specjalnie trudne. Co chwilę kolejny sprzedawca przechodził obok, zachwalając swój towar. „Uwaga, mate! Uwaga, mate z cytryną!”. Przyjemny zapach pieścił nozdrza, podczas gdy mężczyzna z tyłu wciąż udzielał córce rad, jak najlepiej zaspokoić seksualnie męża. „Uwaga, ser z rusztu! Najlepszy, biały, świeży ser!”. Miły aromat rozchodził się właśnie z miejsca, gdzie opiekano ser. „Sok pomarańczowo-marchwiowyyy! Sok pomarańczowo-marchwiowyyy!”.

Gość za nim radził córce praktykowanie seksu oralnego z mężem: „Mężczyźni to lubią, skarbie”. W tym momencie, niemal jak zba-
wienny sygnał, zaczął dzwonić telefon komórkowy Tomasa. „Woda
mineralna i cola light! Mate!”. Wyciągnął ramię i sięgnął po aparat.
„Włoski sorbet! Dobrze zmrożona Italiaaaa!”.

— Tak, słucham?

— Profesor Noronha? Tu Lourenço de Mello, z konsulatu.

— A, cześć. Dopiero co...

— Tak. Więc zorganizowałem już wszystko na jutro. Może pan
zanotować?

— Chwileczkę. — Tomás pochylił się nad torbą i wyjął z niej dłu-
gopis i notatnik. Ponownie przykleił komórkę do ucha. — Tak, pro-
szę.

— O dziesiątej rano czekać będą na pana w Portugalskiej Czytelnii
Królewskiej.

— Tak.

— A o trzeciej po południu sam dyrektor Biblioteki Narodowej
przyjmie pana i udzieli wszelkiej pomocy. Znane mu są już szczegóły
pańskiej misji i jest do pana dyspozycji. Nazywa się Paulo Ferreira da
Lagoa.

— Uhm, uhm.

— Zapisał pan? Paulo Ferreira da Lagoa.

— Daaa La-go-a. Już mam. O piętnastej.

— Właśnie.

— A gdzie znajdują się te biblioteki?

— Czytelnia Królewska jest na Rua Luís de Camões, łatwo zapa-
miętać. To niedaleko Praça Tiradentes, w centrum miasta. Biblioteka
Narodowa też jest blisko, przy Avenida Rio Branco. Każda taksówka
bez problemu pana tam zawiezie.

— Świetnie.

— Jeżeli będzie pan jeszcze czegokolwiek potrzebował, proszę się
ze mną ponownie skontaktować.

— Cudownie. Bardzo dziękuję.

Człowiek z tyłu również skończył rozmowę i głosy sprzedawców

ponownie zdominowały plażę: „Acaíí! Açai, acaíí! Skoncentrowany mus açai z granóla!”. Masa ludzi rozłożyła się na leżakach lub bezpośrednio na piasku, choć większość szukała schronienia pod parasolami. Ipanema przypomniała Caparicę, ale była jeszcze gęściej zaludniona. „Uwaga, empaaaada! Halo, empada!”. Grupki ustawione w kołach grały w piłkę tuż nad wodą, wykonując karkołomne skoki. „Carioca, panie turysto! Przybył Claudinho i jego sok, najlepszy sok w Rio!”. Pary grały przy brzegu we frescobol, uderzając mocno w małą piłeczkę. Wielu ludzi zmagало się z falami. „Ooo, frytykiii!”. Po prawej stronie, powyżej Leblonu, wznosiły się bliźniacze szczyty Morro dos Dois Irmaõs. „Halo, woda! Halo, mate!”. Małe wyspy Cagarras plamiły na zielono-niebieski horyzont na wprost plaży. „Zdrowa kanapka szalonego kurdupła!”. Po lewej, za Pedra do Arpoador, dwa statki towarowe zmierzały leniwie w stronę wąskiego gardła zatoki Guanabara. „Uwaga, empaaaada! Lagosta-krewetki-palmito-suszone mięso-banany-kurczak-galeto-ser-solony dorsz!”. Handlarze stanowili swoiste widowisko — przemieszczali się obładowani ciężkimi towarami, spoceni, ciemni, w kolorowych koszulkach i czapczkach. „Ooo! Krem do opalania. Taniutki. Krem do opalaniaa!”. Sprzedawcy żywności chodzili z wrzaskiem, podczas gdy pozostali oferowali swe towary nieco dyskretniej. Niektórzy mruczeli pod nosem: „Może tatuaż?”. Łazili zygzakami po piasku, pokazując kremy do ochrony przed słońcem, kolczyki, bransoletki, olejek sandałowy, wzory tatuaży, czapki z daszkiem, kapelusze, koszule, torby i plecaki, stroje bikini, pamiątki, okulary, kółka do pływania, wiaderka, piłki. Pojawiali się nawet jasnowidze i wróżbici. „Włoskie lizaki lodowe! Pyszne lizaki! Prosto z Włoch!”.

Tomás zamierzał przemyśleć sobie zagadkową informację zostawioną przez Toscano, ale intensywny żar i wrzawa na kąpielisku przeszkadzały mu w koncentracji. Wstał, wyminął zygzakami plażowiczów i wszedł do morza. Poczłł pieszczotę chłodnej wody na stopach — była jednak zbyt zimna jak na tropikalną kąpiel. Trochę dalej dwumetrowe fale uderzały z hukiem w pluskających się ludzi. Niektórzy sprytnie kładli się na wodzie, zamieniając się w deskę do surfingu; wykorzystując siłę wody, sunęli po niej z prądem. Słońce

piekło, szczególnie w ramiona, ale chłód morza dawał ulgę od gorąca i pozwolił profesorowi na powrót do dręczącego go problemu.

Pierwszą sprawą do rozwiązania było znaczenie słowa „moloc”, tym bardziej że było ono wyodrębnione spośród innych. Z jakiego powodu Toscano odwołał się do okrutnego bóstwa Kanaanu na samym początku zagadki? Czyżby sugerował, że klucz do tajemnicy wiąże się z jakimś poświęceniem, ofiarą? Należało też rozważyć możliwość połączenia przez uczonego systemów szyfrowego i kodowego w jednej informacji. „Moloc” mogło rzeczywiście stanowić kod lub symbol czegoś, ale Noronha uważał, że pozostałe słowa mogły wskazywać na jakiś rodzaj szyfru. Jeżeli nie były zaszyfrowane, musiałyby być zakodowane, co w gruncie rzeczy wydawało się bardziej logiczne i prawdopodobne, biorąc pod uwagę, że przypominały wyrazy. W takim wypadku następnym problemem do rozwiązania było słowo „ninundia”. Po zastanowieniu się zdecydował odsunąć hipotezę szyfru. Postanowił wyjść z założenia, że ma przed sobą kod. Jeżeli zatem była to informacja zakodowana, co, u licha, miało znaczyć „ninundia”? Czy naprawdę chodziło o nieznaną krainę? I co Ninundia miałyby wspólnego z Molochem? Gdyby zrozumiał związek pomiędzy obiema częściami kodu, prawdopodobnie udałoby mu się odgadnąć kolejne słowo — „omastoos”, podobnie jak Champollion dwieście lat wstecz, odczytując dwa „s” i jedno „ra”, zdołał ujawnić sekret hieroglifów.

Tomás miał już dość myślenia nad zagadką, brodząc w wodzie, i wrócił na leżak. Rozciągnął się, czekając, aż wyschnie na słońcu.

— Aaaaaaaa! — wrzasnął ktoś obok.

Profesor zerwał się z leżaka z sercem w gardle i zobaczył mężczyznę z nożem wyciągniętym w kierunku siedzącej przed nim sześćdziesięciolatki. Napad, pomyślał przerażony. Kiedy przyjrzał się lepiej, dostrzegł, że na czubku noża sterczało coś żółtego. Mężczyzna nie wyglądał zwyczajnie — niewysoki, o ciemnej karnacji, w czarnych rękawiczkach i z balansującym na głowie ogromnym wiklinowym koszem. Ta dziwaczna poza nie wskazywała raczej na to, by był bandytą.

— Ananasa? — zapytał.

Był sprzedawcą ananasów.

— Och, ale się przestraszyłam! — poskarżyła się sześćdziesięcioletka.

Twarz mężczyzny rozjaśnił zaraźliwy uśmiech.

— Nie ma się czego bać. Chłop ze mnie, to i mam mocny głos.

Kobieta roześmiała się i odmówiła kupna kawałka owocu, który handlarz oferował jej na końcu noża. Mimo wszystko podziękował z uśmiechem i poszedł dalej, wciąż z częstką owocu na ostrzu i koszem ananasów na głowie, jak gdyby był to duży meksykański kapelusz. Zrobił kilka kroków i zatrzymał się przy zamysłonej dziewczynie. Krzyknął jej do ucha:

— Ahaaa! Ananas!

Podskoczyła i utkwiała w nim wzrok.

— Ale się przeraziłam! — krzyknęła.

###

Niebawem Tomás odkrył smakołyki Ipanemy. W lokalnych barach sokowych wypróbował specjałów z owoców mango i z trzciny cukrowej, zagryzając sprężystymi bułkami serowymi, które kupił jeszcze ciepłe i mięciutkie. Korzystając z rad informacji hotelowej, po zapadnięciu zmroku przeszedł się ulicą Visconde de Pirajá aż do Rua Farmę de Amoedo, skręcił w lewo i dotarł do Sindicato do Chopp. Była to bardzo uczęszczana restauracja, częściowo na wolnym powietrzu, z otworami okiennymi bez szyb. Poprosił *opicanha* — grillowaną wołowinę z ryżem i czarną fasolą, którą podano mu w towarzystwie podobnej do kapuśniaku zupy *caldo verde* z *farofą*, posypką z mąki manioku. Posiłek uzupełnił schłodzonym koktajlem *caipirinha*. Obok, w barze Bofetada, kłębił się tłum mężczyzn. Obserwował ich z uwagą i rozumiał, że to homoseksualiści.

Gryząc kruche mięso, Noronha wrócił myślami do szarady profesora Toscano. Ponownie skupił uwagę na słowie „ninundia”. Jeżeli to nazwa nieznaney krainy, pomyślał, to siłą rzeczy drugie słowo w tej samej linijce — „omastoos” — musi mieć z nią związek, ale jaki, na Boga? Przypomniał sobie, że jeden z najstarszych tekstów literackich zatytułowany był *Przygody Ninurty*. Było to dzieło Sumerów spisane w języku akadyjskim. Czyżby nazwa Ninundia odnosiła się do kraju Ninurty? Ale, o ile dobrze pamiętał, Ninurta pochodził z Nippuru

w obecnym Iraku, więc nie mogło to mieć żadnego związku z Brazylią. Stwierdził, że nie. Pomimo podobieństwa pomiędzy słowami Ninundia nie mogła mieć nic wspólnego z Ninurta. Czując, że znalazł się w impasie, Tomás usiłował ponownie przeanalizować słowa z drugiej linijki, ale kolejne eksperymenty odnotowane na papierowej serwecie w restauracji Sindicato do Chopp nie dały rezultatu.

Sfrustrowany, zaczął się zastanawiać nad związkiem pomiędzy znalezioną informacją a zasadniczą kwestią. Innymi słowy, co mają z sobą wspólnego Moloch i odkrycie Brazylii? Czy Brazylija to Ninundia? Czy informacja miała w ogóle jakikolwiek związek z owym przełomowym odkryciem, które mogłoby zrewolucjonizować dotychczasową wiedzę o epoce wielkich wypraw? I co Moloch ma wspólnego z ekspansją morską? Czyżby Toscano odkrył, że już starożytni dotarli do Brazylii? Niewątpliwie było to ciekawe, ale Tomás ciągle nie wiedział, w jaki sposób ta informacja mogłaby dokonać przewrotu w dziejach portugalskich podróży morskich w celu odkrywania świata. Nie, zdecydował. To coś innego, coś co wydarzyło się później. Udowodnienie faktu, iż mieszkańcy Kanaanu dotarli do Brazylii, choć interesujące, nie zmieniało wiedzy o wielkich odkryciach. A może zmieniało? Zagadka dręczyła profesora — szukał rozwiązań, stawiał hipotezy, usiłował odtworzyć tok myślenia Toscano, nie zdołał jednak posunąć się dalej na drodze do jej odgadnięcia. Miał wrażenie, że zderzył się z potężną, nieprzebytą przeszkodą.

Zadzwonił telefon.

— Słucham?

— *Hej! Kan jag fã tala med Tomás?*

— Co proszę?

W odpowiedzi usłyszał kobiecy chichot.

— *Jag heter Lena.*

— Słucham? Kto mówi?

— To ja, Lena, profesorze.

— Lena?

— Tak, testowałam pańską znajomość szwedzkiego. — Kolejny chichot. — Przydałoby się panu kilka lekcji.

— Aaa, Lena — rozpoznał Noronha. — W jaki sposób zdobyła pani mój numer?

— Otrzymałam go od sekretarki wydziału. — Zawahała się. — Dlaczego pan pyta? Nie życzy pan sobie, bym dzwoniła?

— Nie, nie — pospieszył z wyjaśnieniem w obawie przed wywołaniem niemiłego wrażenia. — Żaden problem. Po prostu się zdziwiłem. Chodzi o to, że nie spodziewałem się telefonu od pani.

— Na pewno nie ma problemu?

— Nie, proszę się nie obawiać. Więc co się stało?

— Przede wszystkim dobry wieczór, panie profesorze.

— Cześć, Lena. Wszystko w porządku? Co słyhać?

— Dziękuję, wszystko gra. — Nieznacznie zmieniła ton głosu. — Panie profesorze, dzwonię, ponieważ potrzebna mi pańska pomoc.

— Słucham.

— Jak już mówiłam, dopiero od kilku dni zaczęłam zajęcia. Z powodu opóźnień w moim uczestnictwie w programie Erasmus, przyjechałam do Lizbony po terminie.

— Tak.

— W związku z tym muszę nadgonić przerobiony już materiał.

— Tak, chyba najlepiej byłoby poprosić koleżanki o notatki.

— Już o tym myślałam. Problem polega na tym, że części tego materiału nie da się przyswoić z notatek, prawda? Na przykład pismo klinowe, które profesor omawiał na pierwszych zajęciach. Zauważyłam, że Sumerowie mieli zwyczaj łączenia dwóch znaków słownych, tworząc symbole złożone, których znaczenie pochodziło od elementów składowych. Kłopot w tym, że te znaki nie zawsze występują w tej samej kolejności.

— Tak, dzieje się to w wypadku... moment... hmm... na przykład *geme* i *ku*. *Geme* oznacza niewolnicę i zapisuje się, stawiając znak *sal*, czyli kobieta, obok *kur*, obcy kraj. Ale przy *ku*, które oznacza również „jeść”, symbol *ninda*, „chleb”, stoi nie obok, lecz wewnątrz *ka* oznaczającego „usta”.

— Dla mnie to skomplikowane. W jakich sytuacjach znaki znajdują się obok siebie, a w jakich symbole zawarte są jeden w drugim?

— Tak, to zależy od...

— Profesorze — ucieła Lena. — Nie będzie pan chyba prowadził wykładu przez telefon, prawda?

Tomás się zawahał.

— Hmm... tak... nie...

— Czy moglibyśmy się spotkać i wtedy pan by mi to wyjaśnił? Czy ja wiem, na przykład jutro albo nawet jeszcze dzisiaj, jeżeli ma pan chwilę.

— Dzisiaj to niemożliwe...

— To jutro.

— Proszę poczekać. Ani dzisiaj, ani jutro. Chodzi o to, że jestem w Brazylii.

— W Brazylii? Pan profesor jest w tej chwili w Brazylii?

— Tak. W Rio de Janeiro.

— Ooo! Ale ma pan szczęście! Był pan już na plaży?

— Tak. Poszedłem dzisiaj.

— Jak ja panu zazdroszczę! Gorąco jest?

— Trzydzieści stopni.

— A tutaj pana nieszczęsna szwedzka studentka marznie, biedactwo — powiedziała, udając żalorny lament pieszczotliwym tonem. — Brrr. Nie szkoda panu mnie?

— Przypadkiem szkoda. — Roześmiał się.

— Więc musi mi pan pomóc! — powiedziała dziewczyna, tryskając wesołością.

— Oczywiście. Czego pani potrzeba?

— Potrzebuję kilku wykładowców.

— Doskonale. Ale nie jestem pewien, kiedy wrócę do Lizbony. To zależy od postępu w moich badaniach tutaj, w Rio de Janeiro. Z całą pewnością pojawię się w poniedziałek, ponieważ mam zajęcia. Niech pani wtedy zadzwoni, dobrze?

— Tak jest. Bardzo dziękuję, panie profesorze.

— Nie ma za co.

— Wie pan co? — zaproponowała Szwedka — jestem przekonana, że nauka z panem będzie prawdziwą rozkoszą.

Podkreśliła słowo „rozkosz”.

###

Ulica tętniła pospiesznym porannym życiem. Tomás wyglądał z okna taksówki na elewacje budynków i witryny tradycyjnych sklepów, które otwartymi drzwiami zapraszały klientów. Były to malownicze domy, choć sprawiały wrażenie wiekowych i cokolwiek zdegradowanych. Miały balkony i wysokie okna, ściany zaś pomalowane na najrozmaitsze kolory — tu żółte, tam różowe, gdzieś zielone, a nieco dalej niebieskie lub kremowe. Noronha dostrzegł tu charakterystyczne cechy tradycyjnej architektury portugalskiej. Chodniki wyłożone były nieregularnym, drobnym brukiem z figurami geometrycznymi ułożonymi z czarnej kostki. Sklepy miały pretensjonalne nazwy — Złota Peseta, Pałac Narzędzi, Dom Towarowy Oliveira.

— Co to za ulica?

— Nie zrozumiałem? — zapytał taksówkarz, spoglądając w tylne lustro.

— Jak się nazywa ta ulica?

— To Rua da Carioca, proszę pana. Jedna z najstarszych w Rio, sięga dziewiętnastego wieku. Widzi pan tamten bar? — zapytał, patrząc na lewo.

Pasażer przyjrzał się wskazanemu miejscu. Wewnątrz lokalu zauważył nakryte stoły.

— Tamtą restaurację?

— Tak. To Bar Luisa. — Taksówka stanęła przed restauracją, zatrzymana ogromnym porannym ruchem ulicznym, i obydwaj spoglądali na lokal. — To najstarszy bar w Rio, proszę pana. Otwarto go w tysiąc osiemset osiemdziesiątym siódmym roku i ma ciekawą historię. Dawniej nazywano go Bar Adolf i właśnie tutaj serwowano najlepsze dania kuchni niemieckiej w całym mieście. Mieli pyszne parówki. Wszyscy intelektualiści tamtych czasów wpadali tu coś zjeść i wypić kielicha. — Korek trochę zelżał i taksówka ponownie ruszyła. — Potem przyszła druga wojna światowa i wie pan, co zrobili?

— Zburzyli go?

Taksówkarz się roześmiał.

— Przemianowali.

Przejeżdżali teraz przez Avenida República do Paraguai i szofer ponownie wskazał na lewo, w kierunku budynku o metalowej konstrukcji.

— A tam jest kino Íris — oświadczył, przeobrażając się niemal w przewodnika turystycznego. — To było najbardziej eleganckie kino w Rio.

Ulica Carioca kończyła się rozległym placem ze skwerem otoczonym metalowym ogrodzeniem. Na jego obwodzie rosły drzewa, a w środku wznosił się duży pomnik z brązu. Przedstawiał rycerza na koniu trzymającego w prawej ręce coś, co wyglądało na dokument. U podstawy znajdowały się inne figury, wśród nich uzbrojeni w oszczepy i siedzący na krokodylach Indianie.

— Co to za plac?

— To jest Praca Tiradentes, proszę pana.

— A tamten to Tiradentes? — zapytał Tomás, wskazując na postać konną z pomnika dominującego nad placem.

Mężczyzna się roześmiał.

— Nie, proszę pana. Ten tam to cesarz Pedro Pierwszy.

— Aha! Więc dlaczego plac nosi nazwę Tiradentes?

— To długa historia. Na początku nazywano go Polem Cyganów. Potem wybudowano tu pręgierz do karania niewolników i teren znany był jako miejsce tortur. Później, kiedy wybuchła rewolta Tiradentesa, która doprowadziła do uzyskania niepodległości, postawiono tam drewniane podium i zabito go.

— Kogo zabito?

— No Tiradentesa, proszę pana.

— Aha! — rzekł Noronha, krzywiąc usta. Przyglądał się postaci na koniu. — A co trzyma w dłoni Pedro Pierwszy?

— Deklarację niepodległości Brazylii. — Taksówkarz westchnął. — Pomnik wzniesiono na życzenie jego syna, cesarza Pedra Drugiego. Powiadają, że w dniu jego odsłonięcia imperator spojrział na statwę i nabrał odwagi. — Uśmiechnął się. — Postać na koniu nie miała w sobie nic z ojca.

Taksówka okrążyła plac i wjechała w wąską uliczkę, po czym skręciła w prawo i stanęła kawałek dalej, przy antykwariacie. Szofer wskazał na przecnicę po lewej.

— To Rua Luís de Camões, proszę pana. Tam właśnie znajduje się czytelnia.

Tomás zapłacił i wysiadł. Przeszedł wąską, brukowaną jednokierunkową ulicę i dotarł do małego placu — Largo de São Francisco. Wagi dodawał mu piękny, biały budynek w stylu neomanuelińskim*.

* Styl manueliński, zwany inaczej portugalskim późnym gotykiem, rozpowszechnił się za czasów panowania Manuela I Szczęśliwego z dynastii Aviz (1469—1521) w okresie rozkwitu gospodarczego i kulturalnego Portugalii (król sfinansował m.in. podróż Vasco da Gamy).

Przypominał nieco Torre de Belém, tylko w nieco bardziej wykwintnej wersji. Cztery wyrzeźbione postacie naturalnej wielkości umieszczone na fasadzie wydawały się go strzec. Wchodząc na plac gość cofnął się o kilka kroków i zachwyił wspaniałością architektury — jedyną barwą, która zakłócała jej biel, była czerwień dwóch portugalskich krzyży zakonu Rycerzy Chrystusa, podobnych do tych z piętnastowiecznych okrętów i karaweli. U szczytu widniał wielki napis — Portugalska Czytelnia Królewska.

Nadal pełen zachwytu nad wspaniałą elewacją Noronha przekroczył zwieńczone łukiem monumentalne drzwi i znalazł się w drugiej pod względem wielkości bibliotece w Rio de Janeiro. Była to piękna, dziewiętnastowieczna budowla — prezent Portugalii dla Brazylii. Zgromadzono w niej najcenniejsze zbiory dzieł portugalskich autorów poza krajem. Gość pokonał niewielki hol trzema długimi krokami i niemal wstrzymał oddech, kiedy otwarła się przed nim przestrzeń sali głównej. Sycił oczy widokiem tej pięknej czytelni, w której styl neomanueliński sięgał szczytów swojej świetności. Książki wypełniały całe ściany, ustawione na ciemnych regałach pnących się do samego sufitu. Pierwszą i drugą kondygnację podtrzymywały wspaniałe kolumny z toczonego drewna, przechodzące w zgrabne łuki. Balkon drugiej kondygnacji zakończony był przepiękną balustradą. Podłogę kryła lśniąca posadzka z polerowanego, jasnoszarego granitu, kontrastującego z czarnymi wstawkami o geometrycznych kształtach. Na suficie imponujących rozmiarów oculus z ornamentem z niebiesko-czerwonych witraży pozwalał na równomierne rozprzestrzenianie się naturalnego światła. W każdym z czterech rogów sufitu namalowano postać jednego z portugalskich bohaterów. Wśród

nich Tomás rozpoznał oblicza Camõesa* i Pedra Álvaresa Cabrala**. Ze środka oculusa zwiisał ogromny, ciężki, mosiężny żyrandol ozdobiony godłem Portugalii.

* Luis de Camoës (1524–1580) – portugalski poeta renesansowy, prekursor barmoku, jeden z najwybitniejszych twórców literatury portugalskiej; filozof.

** Pedro Alvares Cabral (1467–1520) – portugalski żeglarz i odkrywca; jako pierwszy Europejczyk dotarł w 1500 r. do Brazylii.

Oczarowany widokiem wnętrza biblioteki Noronha statecznie przeszedł przez salę, kierując się do siedzącej w kącie kobiety wpatrzonyj w monitor. Podniosła głowę i spojrzała na nowo przybyłego gościa.

– Tak? – zapytała.

– Dzień dobry. Pani tu pracuje?

– Tak, jestem bibliotekarką. W czym mogę pomóc?

– Nazywam się Tomás Noronha, jestem profesorem z Uniwersytetu Nowego w Lizbonie.

– Ach tak! – rzekła, rozpoznając go. – Doktor Rebelo wspominał mi o pana wizycie. Przychodzi pan z rekomendacji konsula, prawda?

– Tak.

– Poproszono mnie, by się panem dobrze zaopiekować. – Uśmiechnęła się. – Czym mogę służyć?

– Potrzebna mi informacja, z jakich dzieł korzystał tutaj profesor Vasconcelos Toscano około trzech tygodni temu.

Bibliotekarka wystukała nazwisko na klawiaturze.

– Vasconcelos Toscano, tak... Chwileczkę... zaraz zobaczę, proszę pana.

Odpowiedź pojawiła się na ekranie po kilku sekundach.

– Czy profesor Toscano nie był czasem staruszkim z siwą brodą?

– Tak, był.

– No tak. Pamiętam go – oznajmiła. – Troszeczkę uparty i opryskliwy, jakby zamknięty w sobie. – Spojrzała na Tomasa i w obawie, że mógłby być przyjacielem lub kimś z rodziny profesora, szybko dodała: – Ale był z niego prawdziwy skarb, co do tego nie mam wątpliwości. Nie dał żadnych powodów do narzekania.

– Oczywiście.

— Oj! — zawołała, coś sobie przypominając. — Nigdy więcej się tu nie pojawił. Obraził się na nas?

— Nie, zmarł dwa i pół tygodnia temu.

Kobieta spojrzała na gościa z przerażeniem.

— Och! Naprawdę? Co za życie, nic niewarte! Sam pan widzi! Jeszcze niedawno tu był, a teraz... — Przeżegnała się. — Najświętsza Panienko!

Noronha westchnął, udając współczucie, choć w środku skręcał się z niecierpliwości, by poznać odpowiedź na swoje pytanie.

— Taki los!

— Matko święta! Pan z rodziny?

— Nie, nie... Jestem jego kolegą. Moim zadaniem jest rekonstrukcja ostatnich badań profesora Toscano. Do publikacji. — Kiwnął głową w stronę monitora. — Już ma pani odpowiedź?

Wzdrygnęła się i spojrzała na ekran komputera.

— Tak — powiedziała. — Tak, widzi pan, ten staruszek... oj... ee... profesor Toscano odwiedził nas tylko trzy razy i za każdym razem studiował to samo dzieło. — Utkwiła wzrok w wyświetlonym na monitorze tytule. — Prosił zawsze o książkę *Historia da Colonização Portuguesa do Brasil*, wydaną w tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym roku w Porto. To jedyna pozycja, z jakiej korzystał.

— Ach tak? — zdziwił się Tomás. — I jest w tej chwili dostępna?

— Oczywiście. Który tom pan sobie życzy?

— A który z nich czytał Toscano?

— Czytał jedynie pierwszy.

— Wobec tego proszę mi go przynieść — zdecydował.

Kobieta wstała i poszła poszukać książki. W oczekiwaniu na nią

Noronha usiadł wygodnie na jednym z drewnianych krzeseł stojących przy stole i zachwycał się urodą wnętrza. Z rozkoszą wdychał ciepły, słodkawy zapach starego papieru — woń bibliotek, do której od dawna się przyzwyczaił i bez której nie potrafił się obejść. To był jego tlen. Owo powietrze z przeszłości było źródłem jego inspiracji i życiowym przeznaczeniem — niewidzialny, tajemniczy podróżnik w czasie, który przynosi wieści o czymś, co już nie istnieje. Tomás zdawał sobie sprawę, że każdy ma swoje nałogi. Istnieli ludzie, którzy nie mogli żyć bez słonej morskiej bryzy, innym wciąż brakowało czystego,

chłodnego powietrza górskiego. Byli też tacy, którzy ulegali czarowi oczyszczającej woni lasów i zagajników. Ale on odnajdował swoje źródło oczarowania właśnie w starych rękopisach, poźółkłych i zapleśniałych, rozpadających się na kawałki i porzuconych w zapomnianym kącie zakurzonej biblioteki, i z nich czerpał energię do życia. Wiedział, że to był jego dom. Jego najgłębsze korzenie sięgały tam, gdzie znajdowały się starożytne księgi.

— Proszę bardzo — oznajmiła bibliotekarka, kładąc na stole obszerny tom.

Tomás obejrzał dzieło i sprawdził, że *Historia da Colonização Portuguesa do Brasil* została zredagowana przez Malheira Diasa oraz wydana przez oficynę Litografia Nacional w roku 1921 w Porto. Zaczął czytać tekst, początkowo z uwagą. Po upływie godziny, widząc, że książka ogranicza się do usystematyzowania szeregu informacji, począł nieco szybciej przewracać kartki. Po skończeniu, nie znalazłszy niczego istotnego, i co mogłoby być pomocne w jego badaniach, sfrustrowany podszedł do bibliotekarki i zwrócił jej tomisko.

— Już przejrzałem — oświadczył. — Profesor Toscano nie korzystał z niczego więcej?

— Komputer zarejestrował tylko to dzieło.

Noronha się zamyślił.

— Hmm — mruknął. — Czytał tylko tę książkę? Na pewno?

Zastanowiła się.

— Tak, tylko tę pozycję, bez wątpienia — potwierdziła. — Ale przypominam sobie, że interesowały go także nasze relikwie, nawet rzucił na nie okiem.

— Relikwie?

— Tak, jesteśmy w posiadaniu egzemplarzy pierwszego wydania dzieła *Luzjady** z tysiąc pięćset siedemdziesiątego drugiego roku i *Ordenações de D. Manuel* z tysiąc pięćset dwudziestego pierwszego. Mamy także *Capitulos de Cortes e Leys que sobre alguns delles*

* *Luzjady* — narodowy epos nawiązujący do mitu o pochodzeniu Portugalczyków, największe dzieło Luisa de Comõesa.

fizeram z tysiąc pięćset trzydziestego dziewiątego i *Verdadeira informaçam das terras do Preste Joam, segundo vioe escreveo ho padre Francisco Alvarez* z tysiąc pięćset czterdziestego.

— Profesor Toscano studiował wszystkie te dzieła?

— Nie — odparła, energicznie potrząsając głową. — Po prostu je przejrzał.

— Aha — zrozumiał Tomás. — Ciekawość historyka?

— Właśnie — potwierdziła bibliotekarka z uśmiechem. — Widzi pan, mamy tutaj trzysta pięćdziesiąt tysięcy woluminów, ale najważniejsza jest dla nas kolekcja dzieł rzadkich, cenny zbiór, do którego zalicza się oryginalny rękopis *Amor de Perdição* Camila Castela Branco*. To przyciąga wielu ludzi, prawda? — Uniosła brew w geście zaproszenia. — Pan również chciałby je obejrzeć?

Portugalczyk westchnął i spojrzął na zegarek.

— Może innym razem — powiedział. — Już trzynasta, a ja jestem głodny. Nie orientuje się pani, czy w pobliżu Biblioteki Narodowej są jakieś restauracje?

— Oczywiście. Naprzeciwno, po drugiej stronie placu.

— Tym lepiej. Czy da się tam dojść pieszo?

— Piechotą do Biblioteki Narodowej? Ej! Nie, to spory kawał stąd, około godziny. Jeżeli panu się spieszy, lepiej wziąć taksówkę.

* Camilo Castelo Branco (1825–1890) — portugalski powieściopisarz, poeta, dramaturg, krytyk, publicysta, historyk, tłumacz.

###

Na obiad zjadł kruchą sztukę mięs w ogródku restauracji Cinelândia, z której słynął Praca Floriano, skąd rozpoczyna się rozległa Avenida Rio Branco. Smakując potrawę, nie odrywał myśli od tajemniczej szarady, wciąż pozostającej zagadką. W głowie miał mnóstwo wątpliwości wynikających z niezrozumienia zależności pomiędzy Molochem, Ninundią i odkryciem Brazylii, jaką sugerował Toscano. Im bardziej wyteżał umysł, tym bardziej wątpił w możliwość znalezienia rozwiązania. Postanowił wrócić do pierwotnego pomysłu, który odrzucił, że informacja mogła być zaszyfrowana. Idea ta jednak zupełnie nie trafiała mu do przekonania. Żadna bowiem z

tych dziwnych konstrukcji wyrazowych nie przypominała szyfru. Samogłoski łączyły się tu ze spółgłoskami, tworząc sylaby i wyrażając dźwięki, co sugerowało, że ma się do czynienia ze słowami. Wyglądało to bez wątpienia na kod. Ale gdyby to był jednak szyfr? Z braku lepszych pomysłów Tomás wziął pod uwagę tę możliwość i zdecydował poddać ją analizie w celach czysto badawczych. Przede wszystkim należało określić, w jakim języku zaszyfrowano wiadomość, o ile rzeczywiście ją zaszyfrowano. Skoro Toscano był Portugalczykiem, byłoby zupełnie naturalne, gdyby tajemnicza informacja była zapisana w jego języku ojczystym.

Wyjął złożoną odbitkę kserograficzną szarady z notatnika i uważnie ją przestudiował. Policzył litery obu słów z pierwszego rzędu i odkrył, że dwie z nich — „o” i „n” — pojawiały się trzy razy, podczas gdy „a”, „s” oraz „i” po dwa razy, a „d”, „t”, „u” i „m” tylko raz. Jako kryptoanalista Tomás wiedział, że najpowszechniejszymi głoskami w językach europejskich są „e” i „a”, więc zdecydował zastąpić nimi najczęstsze w szaradzie „n” i „o”. Do pozostałych popularnych liter alfabetu zaliczają się „s”, „i” oraz „r”. Spróbował zastąpić nimi kolejno „a”, „s” oraz „i” w szaradzie. Napisał tekst zagadki na papierowej serwetce restauracyjnej i przystąpił do zamiany liter. Na koniec oddał się obserwacji wyniku swojego eksperymentu.

N I N U N D I A O M A S T O O S
E R E ? E ? R S A ? S I ? A A I

Co znaczyło pierwsze słowo — „ere?e?rs”, w którym brakowało tylko dwóch liter? Brał pod uwagę spółgłoski rzadziej występujące do wypełnienia luk w pierwszym słowie i przeprowadzał symulacje — najpierw z „c” — „erececrs”, potem z „m” — erememrs, i na końcu z „d” — erededrs. Pokręcił głową. To nie miało sensu. Skupił się na drugim wyrazie — „a?si?aa”, ale ten okazał się równie nieodgadniony. „Acsicaai”? „Amsimaa”? „Adsidaai”? Niezadowolony uznał, że źródłem jego niepowodzenia prawdopodobnie było niewłaściwe umiejscowienie domyślnych głosek. Aby rozwiać wszelkie wątpliwości, zamienił miejscami „a” i „e”, spoglądając na rezultat.

Jeszcze gorzej. W tej wersji po uzupełnieniu słów przypuszczalnymi spółgłoskami byłoby: „aramamrs”? „Aratatr”? Bez sensu. Zdesperowany spróbował z drugim słowem — „e?si?eei” — ale i ono nie zdradziło swojego sekretu. „Emsimei”? „Etsitei”? Nie. Zdecydował teraz zmienić kolejność liter „s”, „r” oraz „i”, sądząc, że błąd leżeć mógł w złym doborze innych liter, co było zupełnie naturalne. Po zakończeniu spojrzął na nowy układ, ale ponownie nie zdołał z niego wydobyć żadnego sensu. Potrząsnął głową i dał sobie spokój, absolutnie przekonany, że nie ma do czynienia z szyfrem. Z całą pewnością był to kod. Ale jaki? W Portugalskiej Czytelnicy Królewskiej nie znalazł niczego istotnego. Całą nadzieję pokładał zatem w Bibliotece Narodowej, gdzie, jak się wydawało, Toscano spędzał większość czasu i gdzie mógł dokonać owego ważnego odkrycia, o którym mówił Moliarti.

Westchnął ciężko.

Spojrzał na fasadę budynku wylaniającą się znad koron drzew ożywiających plac. Wiedział, że nie była to zwykła biblioteka. Liczyła ponad dziesięć milionów tytułów, dzięki czemu była ósmą pod względem wielkości biblioteką na świecie i największym zbiorem dzieł w języku portugalskim. Nie tylko to jednak czyniło ją szczególną. Waga tej instytucji nie opierała się wyłącznie na liczbie zgromadzonych woluminów, lecz także na ich jakości, co zawdzięczała swojej burzliwej i długiej historii. Biblioteka Narodowa w Rio de Janeiro tak naprawdę była spadkobierczynią dawnej portugalskiej Książnicy Królewskiej, pochłoniętej przez pożar powstały w wyniku trzęsienia ziemi w 1755 roku w Lizbonie. Odbudowano ją wtedy na polecenie króla Józefa I i zmieniono nazwę na Real Bibliotheca. Kiedy na początku dziewiętnastego wieku wojska napoleońskie najechały na Portugalię, król Jan VI uciekł do Brazylii, przenosząc stolicę imperium do Rio de Janeiro. W ślad za nim zostały tam przeniesione zbiory biblioteki. Sześćdziesiąt tysięcy ksiąg, rękopisów, rycin i map, włącznie z ponad dwustoma cennymi inkunabułami przekroczyło Atlantyk w kufkach. Zdeponowano je na brzegach zatoki Guanabara, a następnie zabezpieczono w katakumbach szpitala brazylijskich karmelitów. Złożono tam prawdziwe skarby światowej bibliografii — między

innymi dwa egzemplarze *Psalterza Mogunckiego* z 1462 roku, pierwszego drukowanego Pisma Świętego po Biblii Gutenberga. Ponadto zachowano pierwsze wydanie *Os Lusíadas* Camõesa datowane na rok 1572 oraz *Registrum huius operis libri cronicarum cu(m) figuris et ymagibus ab inicio mu(n)di*, znane również jako *Kronika norymberska*. To słynne dzieło Hartmanna Schedela — będące ogólną kroniką świata znanego w roku jego wydania, 1493 — zawierało trzy drzeworyty Albrechta Durera. Po uzyskaniu przez Brazylię niepodległości Portugalia domagała się zwrotu owego skarbu kultury, ale Brazylijczycy nie ustąpili. Doszło do wzajemnego porozumienia i ustalono, że Lizbona otrzyma odszkodowanie w wysokości osmiuset tysięcy reali.

###

Za pięć trzecia po południu Tomás, pełen nadziei, opuścił restaurację, przeszedł na drugą stronę placu i skierował się wzdłuż Avenida Rio Branco do Biblioteki Narodowej. Gdy wszedł po szerokich kamiennych schodach, przy wejściu zatrzymał go pracownik ochrony, wskazując portiernię po lewej. Na odwiedzających czekały tam cztery dziewczyny o znudzonych minach.

— Dzień dobry — pozdrowił je Noronha. Zajrzał do notatnika w poszukiwaniu nazwiska, które podał mu asystent konsula. — Chciałbym rozmawiać z Paulem Ferreirą da Lagoa.

— Czy jest pan umówiony? — zapytała dziewczyna o smagłej twarzy i krystalicznie zielonych oczach.

— Tak, oczekuje mnie.

— Pana nazwisko?

Nowo przybyły przedstawił się i recepcjonistka wzięła do ręki telefon. Po chwili wręczyła mu identyfikator i wyjaśniła, że powinien wjechać windą na czwarte piętro. Gość udał się we wskazanym kierunku. Znowu sprawdzono jego tożsamość — tym razem zrobiła to przysadzista kobieta strzegąca dostępu do wind. Zweryfikowała identyfikator i zmarszczyła brwi na widok notatnika, który Tomás trzymał w dłoni.

— W czytelni wolno używać jedynie ołówka — poinformowała.

— Ale ja mam przy sobie tylko długopis...

— Nie szkodzi. Proszę pożyczyć ołówek w sali, a gdyby nie było, kupić w kafeterii.

Odczekał kilka chwil przy windzie. Drzwi się otworzyły i wszedł do przepelnionej kabiny jadącej z niższego piętra. Pojechał na ostatnie, czwarte piętro. Kiedy wysiadł, ujrzał marmurowe schody z ciągnącą się przez cały hol balustradą. Zbliżył się do zwieńczającej ją poręczy z połączanego brązu, ozdobionej fryzem i pokrytej patyną. Zdumiał się na widok wnętrza budowli. Spostrzegłszy na pierwszych drzwiach po prawej stronie napis „Gabinet dyrektora”, podszedł do nich i otworzył. Owionęła go fala suchego, chłodnego powietrza z klimatyzacji. Sądził, że ujrzy gabinet, a tymczasem, ku swojemu zaskoczeniu, znalazł się w obszernej sali. Właściwy gabinet znajdował się na szerokiej antresoli wokół pomieszczenia. Stały tam szafy i biurka, przy których pracowali ludzie. Cały sufit zajmował wielki oculus, bogato zdobiony kolorowymi witrażami, który zapewniał dostęp dziennego światła.

— Tak? — zapytał chłopak siedzący blisko drzwi. — W czym mogę pomóc?

— Przyszedłem na rozmowę z dyrektorem.

Pracownik zaprowadził Tomasa do asystentki przewodniczącego Biblioteki Narodowej — smagłej dziewczyny o czarnych oczach i spiczastym podbródku. Siedziała przy starym drewnianym biurku i rozmawiała przez telefon. Po chwili odłożyła słuchawkę i przyjrzała się gościowi.

— Pan profesor Noronha?

— Tak, to ja.

— Poproszę doktora Paula, który chciałby się z panem przywitać, dobrze?

Podeszła do mężczyzny o jasnobrązowych włosach, łysiejącego na czubku głowy, w wieku około czterdziestu pięciu lat, który siedział przy długim stole w towarzystwie innych osób. Bez wątpienia odbywało się jakieś spotkanie. Wstał jednak i podszedł, aby powitać Tomasa. Był wysoki, z lekko, choć nie przesadnie, zaokrąglonym brzuchem.

— Profesor Noronha, bardzo mi miło — powiedział, wyciągając prawą dłoń. — Nazywam się Paulo Ferreira da Lagoa.

— Miło mi.

Uścisnęli sobie dłonie.

— Konsul rozmawiał ze mną telefonicznie i wyjaśnił pańską misję. Odrobiłem lekcje i zleciłem przygotowanie zestawienia zamawianych przez profesora Toscano dzieł. — Dał znak asystentce. — Célia, ma pani to dossier?

— Tak, panie doktorze — potwierdziła dziewczyna, podając mu beżową teczkę.

Dyrektor biblioteki otworzył ją, przekartkował dokumenty i podał gościowi.

— Proszę, profesorze.

Noronha wziął teczkę i przejrzał jej zawartość. Była w niej lista dzieł przeglądanych przez Toscano kilka tygodni temu. Uwagę Tomasa zwróciła jakoś spisanych książek. Na pierwszym miejscu była *Cosmographiae introductio cum quibusdam geometriae ac astronomiae principiis ad eam rem necessariis, Insuper quatuor Americi Vesputii navigationes*, autorstwa Martina Waldseemüllera, z 1507 roku; następna to *Narratio regionum indicarum per hispanos quosdam devastatarum verissima* Bartolomé de las Casasa z roku 1508. Kolejną pozycją okazała się *Epistola de Insulis nuper inventis*, opublikowana przez Krzysztofa Kolumba w 1493 roku, a po niej *De orbe nouis decades* Pietra D'Anghiery z 1516. Na przedostatniej stronie widniało *Psalterium* Bernarda Giustinianiego, również z roku 1516. Listę kończyło dzieło *Paesi nouamente retrovati et nouo mondo da A. Vesputio* z 1507 roku, którego autorem był Fracanzano da Montalboddo.

— Czy tego pan szukał?

— Tak — potwierdził Noronha, zamyślony.

Dyrektor wyczuł pewne wahanie w odpowiedzi Portugalczyka.

— Wszystko w porządku?

— Hmm... tak... to znaczy, jest w tym coś dziwnego...

— Tak?

Tomás podał mu spis wypożyczonych książek.

— Proszę mi powiedzieć, doktorze Lagoa, czy któreś z tych dzieł ma cokolwiek wspólnego z odkryciem Brazylii przez Pedra Alvaresa Cabrala?

Brazylijczyk przeanalizował figurujące na liście tytuły.

— Tak — zaczął — w *CoSmographiae* Waldseemüllera znajduje się jedna z pierwszych map, na których pojawia się Brazylia. — Zerknął na kolejną pozycję. — A *Paesi* Montalbodda to pierwsza księga, w której opublikowano relację z odkrycia Brazylii. Do tysiąc pięćset siódmego roku szczegóły wyprawy Cabrala znane były jedynie Portugalczykom. Jego dokonania nigdy nie doczekały się zasłużonego przedstawienia w dziele literackim. W *Paesi* uczyniono to po raz pierwszy.

— Hmm... — mruknął gość, rozważając to, co usłyszał. — Inne książki nie mają związku z Brazylią?

— O ile mi wiadomo, nie.

— To dziwne...

Zapadło milczenie.

— Czy życzy pan sobie obejrzeć któreś z tych dzieł?

— Tak — zdecydował Noronha. — *Paesi*.

— Poproszę, aby zaprowadzono pana do sekcji mikrofilmów. Lagoa sprawdził zamówienie. — Nie, on miał w ręku oryginał — stwierdził.

— W takim razie, jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, lepiej byłoby, gdybym ja również mógł go obejrzeć. Chcę przeanalizować dokładnie te same egzemplarze co profesor Toscano. Proszę sobie wyobrazić, że istnieją ważne notatki na marginesie, a nawet rodzaj użytego papieru może okazać się czymś istotnym. Muszę zobaczyć to, co on widział, tylko w taki sposób będę miał pewność, że nic mi nie umknie.

Brazylijczyk dał sygnał asystentce.

— Célia, proszę zwrócić się o przyniesienie oryginału *Paesi*. — Ponownie spojrzął na zamówienie. — Jest w sejfie jeden-trzy. Potem proszę zaprowadzić pana profesora do sekcji dzieł rzadkich i udostępnić mu książkę zgodnie z regulaminem. — Zwrócił się do Tomasa i uścisnął mu rękę. — Było mi bardzo miło, panie profesorze. Jeżeli będzie pan jeszcze czegoś potrzebował, Célia służy panu pomocą.

Lagoa powrócił na spotkanie, a asystentka, po krótkiej rozmowie telefonicznej, dała znak gościowi, by jej towarzyszył. Przeszli do holu i zeszli marmurowymi schodami piętro niżej. Dziewczyna zaprowadziła Noronhę do drzwi gabinetu, na których widniała tabliczka

„Dzieła rzadkie”. Wewnątrz Tomás przekonał się, że wrócili do tej samej sali, tyle że nie byli już na antresoli. Po lewej stała długa drewniana szafa z małymi szufladami o metalowych uchwytach, do których przyczepione były kartki z odnośnikami do autorów i tytułów. Przeszli przez salę i podeszli do stołu stojącego na wprost biurki bibliotekarek, okrytego bordowym welurem. Położono na nim niewielką brązową książkę w okładce o złożonych brzegach oraz parę białych cienkich rękawiczek. Célia przedstawiła profesorowi bibliotekarkę — pulchną i niską kobietę.

— To ta książka? — zapytał, wskazując na wiekowy egzemplarz leżący na aksamicie stołu.

— Tak — potwierdziła. — To *Paesi Montalbodda*.

— Hmm. — Zbliżył się, pochylając się nad dziełem. — Czy mogę ją obejrzeć?

— Oczywiście — wyraziła zgodę kobieta. — Przepraszam, ale proszę włożyć rękawiczki. To bardzo stara książka i obawiamy się pozostawienia odcisków palców i...

— Wiem, o co chodzi — uciął Tomás, uśmiechając się. — Proszę się nie martwić, jestem do tego przyzwyczajony.

— Może pan używać jedynie ołówka.

— A tego właśnie nie mam — odrzekł, obmacując kieszenie.

— Proszę wziąć ten — zaproponowała bibliotekarka, kładąc na stole zaostrzony ołówek.

Noronha włożył białe rękawiczki, usiadł i wziął do ręki tę niewielką brązową książkę, delikatnie gładząc skórzane obicie. Na pierwszych stronach widniały tytuł, nazwisko autora, a ponadto miejsce wydania — Vicentia, oraz data publikacji — rok 1507. Adnotacja zapisana ołówkiem w nowoczesnym portugalskim informowała, że można tu było znaleźć pierwszą relację z wyprawy Pedra Álvaresa Cabrala do Brazylii oraz iż dzieło było drugim spośród najstarszych opisów tej podróży. Kartki książki były pożółkłe i poplamione. Wydzielały ciepły, słodkawy zapach. Tomás żałował, że nie może wyczuć struktury papieru opuszkami palców. Rękawiczki stępiły jego zmysł dotyku, jak gdyby został znieczulony. Miał wrażenie, że tekst napisano w dialekcie tokańskim. Wydrukowano go, dzieląc na akapity po dwadzieścia dziewięć wierszy, a każdy rozdział rozpoczął się ornamentem.

Lektura dzieła zajęła profesorowi dwie godziny, łącznie z notatkami robionymi ołówkiem w notesie. Skończywszy, odłożył książkę, wstał z krzesła, przeciągnął się i podszedł do bibliotekarki zajętej kolejnymi zamówieniami.

— Przepraszam — powiedział, kierując na siebie jej uwagę. — Już skończyłem.

— Ach tak! Czy życzy pan sobie przejrzeć jeszcze jakieś dzieło? Spojrzał na zegarek. Była siedemnasta.

— O której państwo zamykają?

— O ósmej wieczorem, proszę pana. Portugalczyk westchnął.

— Nie, chyba już pójdę, jestem zmęczony. Przyjadę jutro, by obejrzeć Waldseemüllera. — Ukłonił się. — Bardzo dziękuję i do jutra.

Célia wróciła do czytelni dzieł rzadkich i dotrzymała mu towarzystwa w drodze do windy. Zjechali na parter i wyszli do holu, mijając marmurowe schody. Kiedy dochodzili do portierni, by gość mógł oddać identyfikator, asystentka dyrektora zatrzymała się nagle, otworzyła szeroko oczy i złapała się za głowę.

— Oj, profesorze, teraz dopiero coś mi się przypomniało — jęknęła.

Noronha popatrzył na nią zdziwiony.

— Co takiego?

— Widzi pan, profesor Toscano używał zwykle naszych skrytek dla czytelników, a teraz, po jego śmierci, jego szuflada pozostaje zamknięta i nie możemy z niej korzystać. — Zrobiła proszącą minę. — Czy mógłby pan oddać do konsulatu rzeczy, które tu zostawił?

Portugalczyk wzruszył ramionami i otworzył ręce w bezradnym geście.

— Oczywiście. Ale nie zabierze nam to wiele czasu, prawda?

— To tutaj obok — uspokoiła go Célia.

Przyspieszyła kroku, podążając w kierunku ochroniarza, który stał po lewej stronie holu, bezpośrednio za portiernią. Tomás poszedł za nią. Przeszli przez wykrywacz metali, podobny do tych, które znajdują się na lotniskach, i znaleźli się przed dwiema czarnymi, solidnymi, pojemnymi szafami. Dziewczyna sprawdziła numery na wszystkich

szufladach i zatrzymała się przed skrytką numer sześćdziesiąt siedem. Wyjęła z torebki oryginalny klucz i włożyła go do zamka skrytki. Drzwiczki się otworzyły, ukazując niewielki sejf z różnymi dokumentami. Wyjęła papiery i wręczyła je profesorowi, który przyglądał się całej operacji z rosnącą ciekawością.

— Co to jest? — zapytał, patrząc na trzymane kartki.

— To rzeczy pozostawione przez profesora Toscano. Nie ma pan nic przeciwko temu, by je wziąć, prawda?

Tomás przerzucił papiery — były wśród nich kserokopie mikrofilmów i jakieś notatki. Próbował je odczytać i zauważył coś dziwnego. Na jednej z kartek były napisane wielkimi literami dwa zdania — każde złożone z trzech wyrazów — oraz szlaczek z połączonych meandrycznie liter alfabetu.

ANA
ASSA
ARARA

SONOS
MATAM
OTTO

A	D—E	H—I	M
B—C	F—G	J—L	

Noronha zamknął oczy i próbował odgadnąć znaczenie tych dziwacznych wyrazów. Po chwili refleksji i zastanowienia się nad różnymi możliwościami, uśmiech zajaśniał mu na twarzy. Tryskając dumą, pokazał triumfalnie kartkę Célii.

— Co pani o tym myśli?

Brazylijka przyjrzała się zapisom, zmarszczyła brew i podniosła wzrok.

— No... nie wiem, to coś dziwnego, prawda? — Pochyliła głowę nad kartką, czytając to, co zostało napisane w pierwszych dwóch grupach słów. — „Ana assa arara” i „Sonos matam otto”.

Tomás podniósł brew.

— Nie zauważyła pani nic szczególnego?

Dziewczyna ponownie przyjrzała się kartce, a po chwili daremnych poszukiwań wykrzywiła usta w grymasie bezradności.

— Tak, to jakieś zdania pozbawione sensu, nieprawdaż?

— Ale nic poza tym pani nie dostrzegła?

Znów skupiła wzrok na kartce.

— Nie — powiedziała w końcu. — Dlaczego?

Portugalczyk wskazał na oba zdania.

— Zauważyła pani, że te słowa są symetryczne?

— Symetryczne? Jak to?

— Brzmią tak samo, niezależnie, czy czyta tak się je od lewej do prawej, czy od prawej do lewej. — Utkwił wzrok w literach. — Proszę zauważyć. Pierwsze słowo to „ana”, które czyta się w taki sam sposób w obie strony. To samo dotyczy „assa”. I „arara”. I tak dalej.

— Oj, coś fantastycznego! — wykrzyknęła zdumiona Célia. — Ale super!

— Ciekawe, prawda?

— Ale dlaczego on to zrobił?

— Profesor lubił szarady. Wygląda na to, że się bawił... — Tomás urwał, otworzył szeroko oczy, które zaszyły mu mgłą, a usta ułożyły się w okrągłe „o”. — Chce pani zobaczyć, co ten facet... co ten facet... — jąkał się, otwierając i zamykając usta jak ryba, po czym pospiesznie włożył ręce do kieszeni. Nie znajdując tego, czego szukał, gwałtownie sprawdzał złożone w notatniku papiery. W końcu znalazł to, czego potrzebował. — Ha! Jest tutaj.

Célia zerknęła na kartkę, ale nic nie zrozumiała.

MOLOC

NINUNDIA OMASTOOS

Tomás wodził wzrokiem po zapisanych na niej słowach, mamrocząc je pod nosem. Potem nerwowo nagryzmolił jakieś nieczytelne bazgroły. Nagle twarz mu się rozjaśniła i z radości podniósł ręce w geście zwycięstwa.

— Jest! ! ! — krzyknął. Jego głos rozległ się po holu i przyciągnął ciekawe spojrzenia.

Asystentka obserwowała go ze zdziwieniem.

— Co się stało, profesorze?

— Odcyfrowałem szaradę! — wykrzyknął. Oczy błyszczały mu z radości i podekscytowania. — Była dziecinnie prosta. — Uderzył się palcem wskazującym w skroń. — Głowiłem się jak głupek, kiedy wystarczyło przeczytać pierwsze słowo od prawej do lewej. — Spojrzał ponownie na kartkę. — Chce pani zobaczyć?

Wziął do ręki długopis i nabazgrał pod spodem rozwiązanie szyfru. Przy górnej linijce napisał:

COLOM

Przy dolnej, porównując z alfabetycznym ciągiem liter utworzonym przez Toscano, narysował dziwny schemat.

NINUNDIA
OMASTOOS
N I—N U—N D—I A
| | | | | | | |
O—M A—S T—O O—S

NOMINASUNTODIOSA

Dokładniej przestudiował zdanie, zastanowił się nad właściwymi przerwami i ponownie zapisał:

NOMINA SUNT ODIOSA

— Co to znaczy? — zapytała Célia.

— Hmm — mruknął Tomás, grzebiąc z wysiłkiem w pamięci. Zmarszczył brew i przypomniał sobie cytata. — Owidiusz.

— Słucham?

— Owidiusz — powtórzył. — Taką wiadomość pozostawił nam profesor Toscano.

— Owidiusz? Ale co to znaczy?

— Znaczy to, moja droga, że zaraz wrócę tam na górę i jeszcze raz obejrzę wszystko od nowa — powiedział i szybkim krokiem skierował się do wind. Pomachał jej kartką. — Tutaj znajduje się trop prowadzący do wielkiego odkrycia.

IV

Chmury niemal zasłaniały słońce — wylaniały się zza horyzontu od zachodu i rozprzestrzeniały nierównomiernie jak dym. Były to wielkie stratocumulusy — lekko kłębiaste i ciemniejsze niżej, a strzępiaste i przeświecające w górnej warstwie. Zimowe słońce opromieniało połyskującą tafłę rzeki Tag i niskie zabudowania Lizbony chłodnym, czystym, klarownym światłem. Podkreślało żywe odcienie kolorowych ścian i ceglanych dachów, które niczym fale pięły się i rozlewały po pagórkowatym, przypominającym kobiece kształty terenie wzgórza Lapy.

Tomás krążył po opustoszałych uliczkach dzielnicy, skręcając to w prawo, to w lewo — niezdecydowany, w jakim kierunku jechać, by nie zbłądzić w miejskim labiryncie. W końcu niemal instynktownie skręcił na cichą Rua do Pau da Bandeira. Zjechał w dół stromej uliczki i w połowie drogi znalazł piękny budynek w kolorze łososiowym. Wprowadził swojego małego peugeota do dużej otwartej bramy z lewej strony i zaparkował między dwoma lśniącymi czarnymi mercedesami, przed drzwiami wejściowymi do eleganckiego pałacyku. Nieskazitelnie ubrany portier — w jasnoszarym kapeluszu, płaszczu, ciemnoszarej kamizelce i srebrzystym krawacie — zbliżył się do samochodu. Przybysz obniżył szybę.

— Czy to jest hotel Da Lapa?

— Tak jest.

— Czy mogę zaparkować tutaj, w patio? Bo na ulicy...

— Proszę się tym nie martwić i zostawić mi kluczyki. Zajmę się pana samochodem.

Noronha wszedł do przytulnego hotelowego holu z teczką w ręku. Marmurowa podłoga o barwie kości słoniowej wyglądała jak lustro. Gładką, błyszczącą powierzchnię zakłócał jedynie geometryczny wzór na środku. Stał tam zgrabny okrągły stół, a na nim pysznił się bukiet wysokich malw w wazonie. Cudowne, pełne gracji kwiaty otwierały wachlarze płatków niczym paw swoje pióra. Dobrze je znał — kiedyś znajdowano je na mogiłach neandertalczyków i w grobowcach faraonów. Pomyślał, że Constança potrafiłaby zinterpretować ich znaczenie. Meble w holu — kremowe kanapy i obite białą skórą krzesła — reprezentowały lub imitowały styl Ludwika XV.

Po lewej Tomás ujrzał znaną twarz — małe oczy i haczykowany nos. Mężczyzna odłożył brukową gazetę, powstał z kanapy i podszedł do niego.

— Tom, widzę, że punktualny z siebie gość — rzekł, uśmiechając się, Nelson Moliarti, ze swoim charakterystycznym brazylijsko-amerykańskim akcentem.

Uścisnęli sobie dłonie.

— Cześć, Nelson. Jak się pan miewa?

— Cudownie. — Przedstawiciel American History Foundation rozpostarł ramiona i wziął głęboki oddech. — Ach, jak wspaniale jest być w Lizbonie.

— Dawno pan przyjechał?

— Trzy dni temu. Wybawiłem się za wszystkie czasy.

— Tak? A gdzie?

— Tu i tam, sam pan rozumie. — Gestem zaprosił gościa do sali noszącej nazwę, jak obwieszczał szyld, Rio Tejo Bar. — Chodźmy, napijemy się czegoś. Jest pan głodny?

— Nie, dziękuję. Jestem po obiedzie.

— Tom, już prawie siedemnasta. *Tea time*.

Niczym samotny milczący strażnik, czarny lśniący fortepian marki Kawai pilnował wejścia do baru, czekając cierpliwie, aż czyjeś zwinne palce ożywią jego kremowe klawisze. Po prawej stronie znajdował się barek z lakierowanego drewna orzechowego, za którym ktoś z obsługi wycierał szklanki. Naprzeciw stały stoliki i krzesła w stylu Ludwika

XV, obite wzorzystą tkaniną. Pięć wielkich okien przysłoniętych ciemnoczerwonymi zasłonami wychodziło na ogród. Zwiewnie delikatna melodia baletu Czajkowskiego nadawała sali atmosferę harmonii, wdzięku i elegancji. Moliarti wybrał stolik przy jednym z okien i gestem poprosił Tomasa, by zajął miejsce.

— Czego się pan napije?

— Och, herbatki.

— *Waiter* — powiedział Amerykanin, dając znak kelnerowi. Chłopak wyszedł zza barku i zbliżył się do klientów. — Herbata dla mojego przyjaciela.

— Którą z herbat pan sobie życzy? — zapytał tamten, trzymając w ręku notatnik.

— Czy mają państwo zieloną?

— Naturalnie. Jaki rodzaj zielonej herbaty?

— Ee... nie wiem... po prostu zieloną — wyjąkał Noronha, drapiąc się po głowie. — Jest więcej niż jeden gatunek?

— To zależy od upodobań. Ale, jeżeli pan pozwoli, poleciłbym japońską *gabalong*. Ma szlachetny, delikatny, odświeżający smak z leciutką nutką owocową. Jest granulowana, kwiatowa.

— Już mnie pan przekonał — roześmiał się Tomás. — Proszę o tę.

— A do herbaty?

— Jakieś ciasteczka. Czy są czekoladowe?

— Mamy *cookies* bardzo chwalone przez wszystkich klientów.

— Więc proszę o kilka.

— Doskonale — potwierdził kelner, notując zamówienie. Podniósł głowę i spojrzał na Moliartiego. — A dla pana?

— Proszę o tę samą przekąskę, którą jadłem wczoraj.

— *Foie gras* z kaczki aromatyzowany armaniakiem, konfitura z zielonych pomidorów i grzanki z chałki z orzechami i figami?

— *That's right* — odpowiedział Nelson, wykonując zabawny gest. — I szampan.

— Czy przypadkiem nie Louis Roeder z Reims?

— Właśnie ten. Dobrze schłodzony.

Obsługa zniknęła, a doradca fundacji poklepał profesora przyjaźnie po plecach.

- No i co, Tom? Jak było w Rio?
- Cudowne miasto. — Tomás uśmiechnął się, nucąc znany refren. — Pełne tysiąca czarów.
- *I agree* — zgodził się Moliarti. — Kiedy pan wrócił?
- Wczoraj rano. Spędziłem całą noc w samolocie.
- *Oh, shit*. Męczące, prawda?
- Strasznie. Oka nie zmrużyłem.
- Wiem, jak to jest — powiedział, wykrzywiając usta w grymasie.
- Utył pan?
- E... raczej nie. Widzi pan, nawet sam się zdziwiłem, kiedy w domu stanąłem na wagę i odkryłem, że nadal ważę tyle samo. Jak to możliwe po tylu porcjach *picanha*?
- Jadł pan dużo owoców?
- Tony. Soki z mango, marakui, ananasa. Na śniadanie mnóstwo papai.

— To dlatego. Jak chciałby pan utyć, pochłaniając tyle owoców?
— Rzeczywiście.

Kelner podszedł z ciasteczkami i butelką szampana, którą otworzył dyskretnym „puf”. Nalał trochę złocistego, musującego płynu do kieliszka Moliartiego i oddalił się, by zająć się resztą podwieczorku.

— Więc niech mi pan opowie — powiedział Amerykanin, przyjmując poważny wyraz twarzy. Oparł łokcie na stole i złożył dłonie, stykając je z sobą czubkami palców. — Co pan odkrył?

Tomás otworzył teczkę, którą postawił uprzednio na podłodze, i wyjął z niej notatnik oraz kilka dokumentów. Położył je na stole.

— Dowiedziałem się co nieco — wyjął, zamykając teczkę.

Wyprostował się i spojrzął na swojego rozmówcę. — Przeczytałem wszystkie dzieła, które studiował profesor Toscano w Bibliotece Narodowej i w Portugalskiej Czytelnicy Królewskiej. Uzyskałem dostęp do jego odbitek ksero i notatek, zarówno tych, które znajdowały się w hotelu Ipanema i zostały wysłane do konsulatu w celu zwrócenia ich wdowie, jak i tych, które zostawił w skrytce Biblioteki Narodowej. A dzisiaj rano byłem jeszcze w tutejszej Bibliotece Narodowej, aby sprawdzić pewne rzeczy. W związku z tym, choć daleko mi jeszcze do udzielenia odpowiedzi ostatecznej, powiedziałbym, że zrobiłem pewien postęp. — Zjrzał do notatnika. — Jeżeli nie ma pan nic

przeciwno temu, zacznijmy od opisanego tego wszystkiego, co znalazł profesor Toscano na temat odkrycia Brazylii. W końcu to jest celem badań zleconych mi przez waszą fundację.

— Okay.

— Jak mnie poinformowano, Toscano miał podjąć badania nad dotychczasowymi podejrzeniami historyków. Wielu z nich wierzyło, że Pedro Alvares Cabral jedynie oficjalnie ogłosił to, co inni żeglarze odkryli przed nim, a co utrzymywane było w tajemnicy.

— *That's right.*

— Po kolei. Pierwszą, fundamentalną kwestią jest ta, czy w Portugalii w okresie wielkich odkryć geograficznych istniała tak zwana polityka milczenia. Jeżeli bowiem „polityka milczenia” nie istniała, to bierze w łeb hipoteza, jakoby Cabral jedynie ogłosił publicznie wcześniejsze dokonania innych. To oczywiście, że ukrywanie informacji o odkryciu Brazylii nie miałoby sensu, gdyby nie stosowano takiej polityki.

— Myślę, że tak.

— To jednak kwestia kontrowersyjna. Niektórzy historycy twierdzą, że „polityka milczenia” jest wymysłem, mitem historycznym.

— A jest?

Tomás się skrzywił.

— Nie sądzę. Moim zdaniem „polityka milczenia” rzeczywiście istniała. Tak też myślał profesor Toscano i tak uważa wielu innych historyków. Chociaż nie ulega wątpliwości, że niektórzy badacze nadużywali tej zasady jako sposobu na wypełnienie luk w wiedzy źródłowej. Prawda jednak jest taka, że wiele z portugalskich wypraw zamorskich otoczono ogromną tajemnicą, nawet te najważniejsze. Na przykład oficjalne kroniki tamtych czasów przemilczały dokonania Bartolomeu Diasa, który opłynął Przylądek Dobrej Nadziei i odkrył drogę z Atlantyku do Oceanu Indyjskiego. To Krzysztof Kolumb, który przypadkiem przebywał w Lizbonie podczas powrotu Diasa, ogłosił światu owo nadzwyczajne wydarzenie. Gdyby nie przypadkowa obecność Kolumba w Portugalii, kto wie, czy Dias nie zostałby pominięty w historii, a jego słynna podróż na zawsze przemilczana wskutek utajnienia spowodowanego „polityką milczenia”.

Dotychczas myślelibyśmy, że pierwszym, który przekroczył przylądek, był Vasco da Gama.

— Rozumiem. — Moliarti przytaknął ruchem głowy. — W istocie rzeczy twierdzi pan, że w historii ekspansji morskiej Portugalii na pęczki jest takich odkrywców, jak Bartolomeu Dias, którzy pozostali anonimowi, ponieważ nie mieli szczęścia trafić na Kolumbów, którzy wyłamałoby się z „polityki milczenia”.

— Właśnie. Jednakże taka polityka nie była pozbawiona swoich racji. Portugalczycy byli narodem nielicznym, o ograniczonych możliwościach. Nie mogliby konkurować z wielkimi potęgami europejskimi, gdyby ujawnili swoją wiedzę. Zrozumieli, że kto posiada informacje, ten posiada władzę, i świadomie pilnie jej strzegłi, zachowując tym samym monopol na wiedzę w tej strategicznej dla ich przyszłości dziedzinie. Przemilczenie, rzecz jasna, nie było całkowite, a raczej wybiórcze, utajniano jedynie pewne kluczowe fakty. Proszę zauważyć, że istniały sytuacje odwrotne, w których ogłaszanie odkryć stawało się nawet wygodne, ponieważ pierwszeństwo w eksploatacji danego terytorium było podstawą roszczeń do władzy.

Powrócił kelner, trzymając tacę opuszkami palców. Postawił na stole parujący czajniczek, filiżankę i cukierniczkę. Tomás zauważył, że była to porcelana firmy Vista Alegre z dekoracją *typu familie verte* — biała ceramika ozdobiona motywami motyli i listków jeżyn, powielająca styl chińskiej porcelany z okresu Kangxi z dynastii Qing. Chłopak nalał herbaty do filiżanki i nieznacznie się uklonił.

— Japońska herbata *gabalong* — oświadczył, po czym natychmiast się oddalił.

Tomás przyjrzał się rozhuśtanej w filiżance cieczy — zielona herbata była jasna i przejrzysta. Parowała przyjemnie i aromatycznie. Posłodził ją dwiema łyżeczkami cukru, ostrożnie pomieszał, dzwoniąc łyżeczką o ścianki naczynia, i skosztował. Rzeczywiście była delikatna i lekko owocowa.

— Hmm, przepyszna — wymruczał, stawiając gorącą filiżankę. — Na czym to ja stanąłem?

— Na „polityce milczenia”.

— Ach tak. Więc chodzi o to, że ta strategia rzeczywiście była

stosowana selektywnie, a jej konsekwencją, jeśli chodzi o zakres naszych zainteresowań, był fakt, iż wiele z najważniejszych wypraw portugalskich zostało przemilczanych w imię wyższych interesów państwa. Dokonania te nie przeszły zatem do historii. Wydarzyły się, lecz skoro o nich nie wiemy, to tak jakby ich nie było.

— Co prowadzi nas do odkrycia Brazylii.

— Właśnie. Według tekstów oficjalnych odkrycie Brazylii nastąpiło dwudziestego drugiego kwietnia tysiąc pięćsetnego roku, kiedy to flota Pedra Alvaresa Cabrala, zepchnięta przez burzę z drogi do Indii, wypatrzyła na horyzoncie wysokie, okrągłe wzgórze, które Portugalczycy ochrzczili mianem Monte Pascoal. Było to wybrzeże Brazylii. Statki stały na kotwicy przez dziesięć dni i w tym czasie poznawano nowy ląd nazwany Terra de Santa Cruz. Uzupełniono nawet zapasy i nawiązano kontakt z miejscową ludnością. Drugiego maja flota popłynęła dalej kursem do Indii, ale jeden z okrętów, niewielki statek dostawczy, powrócił do Lizbony pod dowództwem kapitana Gaspara de Lemosy. Miał na pokładzie około dwudziestu relacji z dokonanego odkrycia sporządzonych dla króla Manuela Pierwszego Szczęśliwego. Znajdował się wśród nich także słynny tekst dziejopisarza Pêra Vaz de Caminhy. — Tomás pogładził się po podbródku. — Ton owej kroniki jest pierwszą oznaką, że odkrycie nie mogło być przypadkowe. Caminha nie wyraża bowiem żadnego zdziwienia z powodu znalezienia w tamtych stronach stałego lądu.

— Ale to subiektywna opinia — odparł Moliarti. — Przecież mogli być zaskoczeni, ale tego zdumienia nie oddać w kronice. Albo nawet mogli uznać to za całkiem naturalne. Skoro ta część świata pozostała nieznana, dlaczego nie miałby się tam znajdować ląd?

— To prawda. Brak zdziwienia w tekście Pêra Vaz de Caminhy nie byłby istotny, gdyby nie powiązać go z innymi szczegółami. Jednym z nich jest sama obecność we flocie Cabrala wspomnianego stateczku. Chodzi o to, że owa jednostka była zbyt krucha na podróż z Lizbony do Indii. Ktoś, kto zna się nieco na nawigacji, wie, że nie spełniała ona warunków do odbycia całego rejsu, przede wszystkim biorąc pod uwagę konieczność opłynięcia niebezpiecznego Przylądka Dobrej Nadziei, nazywanego również przez żeglarzy, całkiem słusznie

zresztą, Przylądkiem Burz. Portugalczycy w owym czasie byli najlepszymi żeglarzami na świecie, więc nie lekceważyliby tego. Po jakiego diabła zatem w skład floty złożonej z wielkich okrętów wszedł ten mały stateczek? — Tomás zawiesił pytanie. — Istnieje tylko jedno możliwe wytłumaczenie. Od razu wiedzieli, że nie będzie uczestniczył w całym rejsie. Co więcej, zdawali sobie sprawę, że pokona jedynie jedną trzecią drogi w jednym kierunku i powróci do Lizbony z wiadomością o odkryciu nowego terytorium. Innymi słowy, znany był fakt, że w owych rejonach znajduje się ląd, a statek wszedł w skład floty właśnie po to, by powrócić z oficjalną nowiną.

— Ciekawe to i logiczne, ale nie decydujące.

— Zgadza się. Istnieje jednak wart uwagi szczegół. Kiedy okręcik przybył do Lizbony, żeglarze zachowali milczenie na temat tego, co się wydarzyło. Informacje o odkryciu Brazylii utrzymywane były w tajemnicy przez dwór i ujawnione dopiero po powrocie Pedra Alvaresa Cabrala. Zdradza to uprzednie ukartowanie całego przedsięwzięcia.

— Hmm... interesujące, wciąż jednak daleko do konkluzji. Proszę mówić dalej.

— Tak. Dlatego właśnie na scenę wkracza trzecia poszlaka. Albo lepiej poszlaki. Mam na myśli dwie mapy. Pierwsza i najważniejsza to planisfera przygotowana przez anonimowego portugalskiego kartografa na zamówienie Alberta Cantina dla Hérculesa d'Esté, księcia Ferrary. Jest to rękopis wykonany na pergaminie o długości jednego metra i szerokości dwóch metrów. Z uwagi na to, że autor pozostaje nieznanym, owa ogromna mapa określana jest jako *Planisfério de Cantino* i obecnie znajduje się w zbiorach biblioteki we włoskiej Modenie. W liście z dziewiętnastego listopada tysiąc pięćset drugiego roku Cantino wyjawia, że mapa jest kopią prototypów portugalskich, bez wątplenia nielegalną z powodu obowiązującej wówczas „polityki milczenia”. Dla nas w tej mapie istotne jest to, że zawiera dokładny rysunek ważnej części brazylijskiego wybrzeża. Przeprowadźmy więc kilka obliczeń. — Noronha przygotował długopis i otworzył notatnik na czystej stronie. — Mapa znalazła się w rękach Cantina najpóźniej w listopadzie tysiąc pięćset drugiego roku, co daje nam nieco ponad dwa lata różnicy pomiędzy odkryciem Cabrala a dostarczeniem planisfery do Włoch. — Nakreślił na kartce horyzontalną linię, na

lewym krańcu pisząc „Cabral, kwiecień 1500”, a na przeciwnym „Cantino, listopad 1502”. — Kłopot w tym, że Cabral nie zrobił żadnej szczegółowej mapy brazylijskiego wybrzeża, więc informacje, na których podstawie wykonano planisferę, mogły pochodzić, w najlepszym wypadku, z późniejszych wypraw. — Profesor podniósł dwa palce. — Tak, druga oficjalna podróż Portugalczyków do Brazylii odbyła się w kwietniu tysiąc pięćset pierwszego roku, ponad rok wcześniej, nim *Planisfério de Cantino* trafiła w ręce księcia Ferrary. Ale uwaga, celem wyprawy João da Novy nie była eksploracja brazylijskiego wybrzeża. Tak jak Cabral on również wybierał się do Indii, więc nie miał wystarczająco dużo czasu na wykonanie pomiarów kartograficznych linii brzegowej. Poza tym powrócił do Lizbony dopiero w połowie roku tysiąc pięćset drugiego. — Tomás wystawił trzeci palec. — Bardziej prawdopodobne jest więc to, że wiedza, na której opierała się *Planisfério de Cantino*, była wynikiem kolejnej, trzeciej wyprawy. Rzeczywiście znalazła się flota, która wyruszyła z Lizbony z misją zbadania wybrzeża Brazylii. Chodzi tu o wyprawę Gonçala Coelha, który opuścił stolicę w maju tysiąc pięćset pierwszego roku. W skład jego załogi wchodził florentyńczyk Amerigo Vespucci, ten sam człowiek, którego imieniem nazwano kontynent amerykański. Wyprawa dotarła do Brazylii w połowie sierpnia, w ciągu roku dokonano badań ważnej części wybrzeża, a nawet zapuszczono się daleko na południe, odkrywając dużą zatokę ochrzczonej mianem Rio de Janeiro. Posuwano się dalej w kierunku południowym, aż do Cananei, po czym nastąpił rejs powrotny do Portugalii. Trzy karawele tej ekspedycji wpłynęły do portu w Lizbonie dwudziestego drugiego lipca tysiąc pięćset drugiego roku. — Noronha napisał na swej kartce: „Gonçalo Coelho, lipiec 1502” przy końcu nakreślonej linii poziomej, przed notatką „Cantino — listopad 1502”. — Tu właśnie leży największy dylemat — powiedział, wskazując na obie daty. — Czy w ciągu jedynie czterech miesięcy, od lipca do listopada, kartografowie lizbońscy mogli wykonać dokładne mapy na podstawie informacji zebranych przez Gonçala Coelha i czy inny portugalski kartograf, anonimowy zdrajca zatrudniony przez Cantina, zdołał skopiować owe mapy i dostarczyć je do Włoch? — Tomás podkreślił długopisem krótką odległość, widoczną na poziomej linii czasu, między

„Gonçalo Coelho” i „Cantino”. Zrobił grymas i potrząsnął głową. — Nie wydaje mi się. Tego wszystkiego nie da się zrobić w zaledwie cztery miesiące. Stawia nas to przed poważnym pytaniem. Jak, u licha, było to możliwe, że Alberto Cantino kupił planisferę portugalską, zawierającą określone informacje, zanim, jeśli wierzyć chronologii oficjalnych przekazów, upłynął czas potrzebny na to, aby na ich podstawie nakreślić szczegółowe mapy? Z jakiego źródła pochodziła zatem ta wiedza? — Profesor podniósł teraz lewą dłoń, jak gdyby miał w niej jakiś dowód. — Istnieje tylko jedno rozwiązanie tej zagadki. W przygotowaniu *Planisfério de Cantino* nie wykorzystano informacji zebranych podczas oficjalnych wypraw do Brazylii, lecz wykonano ją na podstawie danych uzyskanych przed wyprawą Cabrala, w tajnych ekspedycjach przemilczanych przez historię na skutek „polityki milczenia”.

— Hmm — zastanawiał się Moliarti w zamyśleniu. — Interesujące, ale czy pana zdaniem to decydujący dowód?

Tomás potrząsnął głową.

— Sądzę, że trudno byłoby w ciągu zaledwie czterech miesięcy wykonać oficjalne, szczegółowe mapy wybrzeża Brazylii, a następnie w tajemnicy je powielić i dostarczyć kopię do Włoch. To wszystko nie mogło wydarzyć się w tak krótkim czasie. — Zrobił pauzę i podniósł znacząco brew. — Uwaga. Trudne, ale nie niemożliwe.

Na twarzy Amerykanina malowało się lekkie rozczarowanie.

— Tak — mruknął. — Ale wspomniał pan również o drugiej mapie?

— To właściwie nie jest mapa. Raczej odniesienie do mapy.

— Co ma pan na myśli?

— Jedna ze wspomnianych kronik opisujących odkrycie Brazylii, które statek Gaspara de Lemosy zawiózł do Lizbony, została napisana przez mistrza João dla Manuela Pierwszego Szczęśliwego i nosi datę pierwszego maja tysiąc pięćsetnego roku. W owej kronice znajduje się wzmianka o umieszczeniu Terra de Santa Cruz, w Brazylii, na pewnej zagubionej mapie, *mapa mundi*, Portugalczyka Pêra Vaz Bizaguda. — Tomás zerknął do notatnika. — Mistrz João napisał: „Jeżeli chodzi o to, mój Panie, gdzie się ta ziemia znajduje, to niech Wasza Wysokość pośle po *mapa mundi*, którą ma Pêro Vaz Bizagudo,

i tam Wasza Wysokość ujrzy to miejsce. Aczkolwiek owa *mapa mūndi* nie daje świadectwa, jakoby owa ziemia była zamieszкана czy też nie. To stara *mapa mūndi*”. — Noronha spojrział na Moliartiego i wskazał palcem na notatnik. — Jak więc to możliwe, że Bizagudo umieścił na swojej starej mapie jeszcze nieodkryty ląd?

Kelner powrócił z soczystą przekąską — zamówieniem Nelsona. Tomás wykorzystał tę chwilę, by łyknąć swojej zielonej herbaty.

— To mocne argumenty — zgodził się Amerykanin, chwytając za grzanekę z chałki. — Ale brakuje nam jeszcze... no... jak to się mówi... *smoking gun*?

— Brakuje nam niezbitego dowodu.

— Tak.

— Spokojnie, to nie wszystko. — Profesor powrócił do notatnika. — Francuz Jean de Léry przebywał w Brazylii w latach tysiąc pięćset pięćdziesiąt sześć— pięćdziesiąt osiem i rozmawiając z najstarszymi kolonizatorami, dowiedział się, że istnieje „czwarta część świata, znana Portugalczykom od około osiemdziesięciu lat, kiedy to została po raz pierwszy odkryta...”. — Nabazgrał jakieś cyfry. — Osiem odjąć zero daje osiem... piętnaście odjąć osiem daje siedem... Wychodzi rok tysiąc czterysta siedemdziesiąty ósmy. — Spojrział na Moliartiego. — Nawet biorąc pod uwagę, że określenie „około osiemdziesięciu lat” mogłoby oznaczać siedemdziesiąt sześć albo siedemdziesiąt pięć, nadal mówimy o dacie znacznie wcześniejszej niż rok tysiąc pięćsetny.

— Hmm.

— Istnieje również list niejakiego Estêvão Fróisa, zatrzymanego przez Hiszpanów, przypuszczalnie w okolicach Wenezueli, pod pozorem przebywania na terytorium będącym pod zwierzchnictwem Kastylii. — Tomás znów powrócił do notatek. — List pochodzi z tysiąc pięćset czternastego roku. Jego adresatem był Manuel Pierwszy Szczęśliwy. Fróis pisze w nim, że ograniczył się do zajęcia „ziemi Waszej Wysokości, odkrytej uprzednio przez João Coelha z Porta da Luz, niedaleko Lizbony, dwadzieścia jeden lat temu. — Tu nastąpiły kolejne obliczenia. — Odejmując więc dwadzieścia jeden od tysiąca pięćuset czternastu, otrzymujemy... trzy, dziewięć, odjąć jeden, cztery... otrzymujemy rok tysiąc czterysta dziewięćdziesiąty trzeci. —

Uśmiechnął się do Amerykanina. — Ponownie mamy do czynienia z datą wcześniejszą niż tysiąc pięćsetny rok.

— Czy te listy nadal istnieją?

— Oczywiście.

— Ale czy nie uważa pan, że owe źródła wzbudzają wątpliwości? To znaczy, jakiś nieznanany nikomu Francuz, jakiś pojmany Portugalczyk... No nie wiem.

— Nel, mój drogi, pozostają nam jeszcze czterej wielcy żeglarze, którzy potwierdzają fakt, jakoby o Brazylii wiedziano już, zanim dotarł do niej Cabral.

— Ach tak? Ale o kim mowa?

— Pierwszy, o którym wspomnę, to Hiszpan Alonso de Hojeda, który w towarzystwie naszego przyjaciela Ameriga Vespucciego ujrział brzegi Ameryki Południowej w czerwcu tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego dziewiątego roku, prawdopodobnie w okolicach Gujany. Następnie inny Hiszpan, Vicente Pinzón, dotarł do wybrzeża Brazylii w styczniu tysiąc pięćsetnego roku, czyli kilka miesięcy przed Cabralem.

— Inaczej mówiąc, Hiszpanie wyprzedzili Portugalczyków.

— Niekoniecznie. Tym trzecim był Duarte Pacheco Pereira, jeden z największych żeglarzy doby odkryć geograficznych, a jednocześnie jeden z najmniej znanych ludzkości.

— Mówi pan o żeglarzu Pacheco Pereirze, który był tematem pracy doktorskiej profesora Toscano?

— Właśnie o nim. Był nie tylko żeglarzem, ale również poważnym naukowcem i wojskowym. To człowiek umiejący najdokładniej obliczyć stopień geograficzny i najlepiej określić odległość bez odpowiednich przyrządów, które pojawiły się znacznie później, wraz z rozwojem zegarów. Cały ten wstęp zmierza do tego, by powiedzieć, iż Duarte Pacheco Pereira był autorem jednego z najbardziej tajemniczych tekstów epoki, dzieła zatytułowanego *Esmeraldo de Situ Orbis*. — Tomás zajrzał do notatek. — W jednym z fragmentów traktatu napisał on, że Manuel Pierwszy polecił mu „znaleźć zachodnią część” i było to „w roku Pańskim tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym ósmym, kiedy to znaleziono i osiągnięto wielki stały ląd z przyległymi mu licznymi wyspami”. — Profesor utkwiał wzrok w swym rozmówcy.

– Inaczej mówiąc, w tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym ósmym roku żeglarz portugalski odkrył ziemie na zachód od Europy.

– Och! – wykrzyknął Amerykanin – Dwa lata przed Cabralem.

– Tak.

Moliarti ugryzł kolejny kęs grzanki i popił go łykiem szampana.

– A kim był ów czwarty podróżnik?

– To Kolumb.

Nelson przestał przeżuwać i spojrzał na Noronhę ze zdziwieniem.

– Kolumb? Który Kolumb?

– Ten Kolumb.

– Krzysztof Kolumb?

– Nikt inny.

– Jak to Krzysztof Kolumb?

– Po powrocie ze swojej pierwszej wyprawy zwieńczonej odkryciem Ameryki Kolumb zatrzymał się w Lizbonie, gdzie odbył rozmowę z królem Janem Drugim, w której to władca Portugalii wyjawiał mu, że na południe od miejsca, w którym żeglarz przebywał, znajdują się inne ziemie. Na mapie łatwo sprawdzić, że na południe od Karaibów znajduje się Ameryka Południowa. Spotkanie Kolumba z Janem Drugim odbyło się w tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym trzecim roku, co oznacza, że Portugalczycy wiedzieli już wcześniej o istnieniu ziem w tych rejonach.

– Ale gdzie istnieje zapis tej rozmowy?

– W dziele pewnego hiszpańskiego historyka, który, zdaniem wielu, znał Kolumba osobiście. – Tomás ponownie skupił się nad notatnikiem. – Chodzi o Bartolomeu de las Casasa, który w związku z trzecią wyprawą Kolumba do Nowego Świata napisał, co następuje: „Admirał ponownie powiada, że chce płynąć na południe, pragnie bowiem zobaczyć to, co planuje król Jan Pierwszy Dobry, i jest przekonany, że znajdzie tam sławne rzeczy i ziemie, o ile pozwolą mu na to okoliczności”.

Moliarti zakończył swoją przekąskę i oparł się na kanapie, delektując się szampanem i podziwiając widoki. Za szerokimi oknami baru, w ogrodzie, wiatr poruszał gałęziami gęstych drzew figowych, rzucających na zadbane trawnik przyjemny cień.

— Wie pan, Tom, jest coś, czego nie rozumiem — powiedział w końcu. — Z jakiego powodu Portugalczycy, jeśli rzeczywiście wiedzieli o istnieniu Brazylii, czekali tak długo z oficjalnym ogłoszeniem swojego odkrycia? Co sprawiło, że zrobili to dopiero w tysiąc pięćsetnym roku? Dlaczego nie wcześniej?

— Symulacja — odparł Noronha. — Proszę nie zapominać, że Portugalczycy wierzyli w zalety „polityki milczenia”, myśląc o korzyściach płynących z utrzymywania w tajemnicy wszystkich strategicznych informacji. Znali świat o wiele lepiej, niż wydawało się to im współczesnym i kolejnym pokoleniom. Korona była świadoma tego, że w momencie, kiedy ogłosiłaby odkrycie owych ziem, wiadomość ta przyciągnęłaby uwagę, rozbudziłaby niepotrzebną zawiść, co mogłoby skutkować niepożądanymi działaniami. Portugalczycy wiedzieli, że nikt nie będzie zazdrościł czegoś, o czego istnieniu nie ma pojęcia. Pozostali Europejczycy, nie wiedząc o nowym lądzie, nie stanowili dla Portugalczyków konkurencji w jego eksploracji. W ten sposób odkrywcy mieli wolną rękę, by spokojnie prowadzić swoje poszukiwania, bez obaw o współzawodnictwo.

— Tom, to jest jasne — powiedział Moliarti. — Ale w takim razie, jeżeli dla Portugalczyków zachowanie tajemnicy było korzystne, to co ich skłoniło do zmiany postawy i do ujawnienia odkrycia Brazylii w tysiąc pięćsetnym roku?

— Myślę, że stało się to za sprawą Kastyliei. „Polityka milczenia” miała sens jako strategia zmierzająca do uniknięcia szerszego zainteresowania odkryciami Portugalii. Jednak kiedy Hojeda, w tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym dziewiątym roku, i Pinzón, w styczniu tysiąc pięćsetnego, zaczęli zapuszczać się na wybrzeża Ameryki Południowej, dla korony portugalskiej stało się jasne, że tajność przestała być rozsądna. Groziła bowiem utratą odkrytych przez Portugalie ziem na rzecz Kastyliei. W tej sytuacji zaistniała konieczność formalizacji odkrycia Brazylii.

— Rozumiem.

— Co prowadzi nas do ostatniego ważnego dowodu.

— Jakiego?

— Traktatu z Tordesilhas.

— Ach tak! — przyznał Moliarti, słysząc nazwę sławnego dokumentu, który podzielił świat na dwie części, jedną pod panowaniem Portugalii, a drugą Hiszpanii. — Mówi pan o akcie narodzin globalizacji.

— Właśnie o nim — potwierdził Tomás, z uśmiechem przyjmując tę metaforę. Amerykanie mieli nawyk używania górnolotnych zwrotów, dokonywania atrakcyjnych porównań zaczerpniętych ze słownictwa współczesnego. — Traktat z Tordesilhas był układem usankcjonowanym przez Watykan i oddawał zwierzchnictwo nad światem w połowie Hiszpanom i w połowie Portugalczykom.

— Szczyt arogancji.

— Niewątpliwie. Ale prawda jest taka, że w owym czasie były to najpotężniejsze narody świata, więc naturalnie podzieliły między siebie dobrodziejstwa planety. — Tomás dopił swoją herbatę. — Podczas negocjacji traktatu każdy z obu krajów miał swoje atuty w politycznej rozgrywce. Portugalczycy byli bardziej zaawansowani w technice nawigacji, uzbrojenia i wypraw morskich. Hiszpanie z kolei, choć w tych dziedzinach pozostawali w tyle, mieli jednak asa ukrytego w rękawie: papieża krajana. To trochę tak jak w meczu piłkarskim. Nasi zawodnicy są lepsi, mamy lepszego trenera, lepszą drużynę, ale sędzia w rozgrywce został przekupiony przez przeciwnika. Arbiter skłonny jest więc unieważnić wszystkie nasze bramki i przyznać przeciwnemu zespołowi rzuty karne. Do tego właśnie w pewnym stopniu doszło. Żeglarze portugalscy swobodnie opływali wybrzeża Afryki i zapuszczali się na Atlantyck, podczas gdy Kastylijczycy kontrolowali jedynie Wyspy Kanaryjskie. W tysiąc czterysta siedemdziesiątym dziewiątym roku, w traktacie z Alcáovas sytuacja się wykryształizowała: Kastylia uznała wyłączne prawo Portugalii do Afryki i wysp na Atlantyku w zamian za dominację hiszpańską nad Wyspami Kanaryjskimi. Porozumienie potwierdzono w roku następnym w Toledo. Było ono jednak nieprecyzyjne w sprawie zachodniej części Atlantyku, kwestii, która powstała w rezultacie pierwszej podróży Krzysztofa Kolumba. Z uwagi na to, że żadna klauzula dokumentu nie regulowała bezpośrednio tej sprawy, zaistniała potrzeba utworzenia nowego traktatu.

— Traktatu w Tordesilhas.

— Właśnie. Pierwszą propozycją Lizbony był podział Ziemi wzdłuż

równoleżnika przebiegającego przez Wyspy Kanaryjskie. Hiszpanii przypadłyby wszystkie ziemie leżące na północ od równoleżnika, a Portugalczykom reszta. Jednak papież Aleksander Szósty, Hiszpan, w tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym trzecim roku sporządził dwie bulle, w których wyznaczył linię demarkacyjną wzdłuż południka oddalonego o sto mil na zachód od Azorów i Wysp Zielonego Przylądka. Jak doskonale widać, papież działał na korzyść Kastylii. Portugalczycy nie dali się zwieść i akceptując linię podziału, domagali się jej przesunięcia do trzysta siedemdziesiątej mili na zachód od Wysp Zielonego Przylądka. Nie mając powodów do sprzeciwu, zarówno papież, jak i Hiszpanie wyrazili zgodę. Na tym jednak nie koniec negocjacji. — Tomás narysował planisferę na kartce notatnika. W tych niezgrabnych bazgrołach można było rozpoznać kontury Afryki, Europy i całego kontynentu amerykańskiego. Poprowadził następnie pionową kreskę przez Atlantyk, w połowie drogi między czarnym lądem a Ameryką Południową. Pod spodem napisał liczbę 100. — To propozycja papieża i Kastyljczyków, linia sto mil na zachód od Wysp Zielonego Przylądka. — Historyk narysował teraz długą pionową prostą dalej na lewo, tak by złapać część Ameryki Południowej, i podpisał liczbą 370. — To linia podziału, której domagali się Portugalczycy, położona trzysta siedemdziesiąt mil na zachód od Wysp Zielonego Przylądka. — Spojrzał na Moliartiego. — Proszę mi powiedzieć, Nel, jaka jest podstawowa różnica pomiędzy obiema liniami?

Amerykanin pochylił się nad notatnikiem i przyjrzał się rysunkowi.

— No więc jedna z nich przebiega jedynie przez ocean, a druga zahacza o kawałek lądu.

— A jaki to ląd?

— Brazylia.

Noronha potwierdził skinieniem głowy i uśmiechnął się.

— Brazylia. A teraz niech mi pan powie, dlaczego Portugalczykom tak zależało na tej drugiej linii podziału?

— Żeby dostać Brazylię.

— Co prowadzi do trudnego pytania. Skąd, u licha, Portugalczycy wiedzieli, że ta druga linia obejmowała Brazylię, jeżeli w tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym czwartym roku jeszcze jej nie odkryto? — Tomás nachylił się ku swemu rozmówcy. — A może odkryto?

Moliarti opadł na kanapę i westchnął głęboko.

— *I see your point.* — Chwycił za butelkę Louisa Roedera, dolał sobie jeszcze trochę szampana i zaspokoił pragnienie. Odstawił kieliszek i wyprostował się, spoglądając Portugalczykowi prosto w oczy. — Rzeczywiście, daje to do myślenia — potwierdził wolno. — Ale, Tom, proszę mi powiedzieć, co tak naprawdę nowego jest w tym wszystkim, co pan mi powiedział?

Noronha wytrzymał wzrok Amerykanina, jakby rzucał mu wyzwanie.

— Nic — odparł.

— Zupełnie nic?

— Zupełnie nic. Wszystko, co powiedziałem, znalazłem w notatkach z badań profesora Toscano nad tajemnicą odkrycia Brazylii.

— I nie było w nich niczego nowego?

— Nie. Toscano ograniczył się jedynie do zgromadzenia tego wszystkiego, co znaleźli i dowiedli inni historycy.

Nelson patrzył na Tomasa, jak gdyby nie dowierzał własnym uszom.

— Z pewnością?

— Absolutną.

Moliarti wyglądał na pokonanego. Ramiona mu opadły, a pierś wklęsa. Odwrócił wzrok i spojrział gdzieś w przestrzeń. Po chwili coś w nim drgnęło — policzki mu się zarumieniły, a na twarzy pojawił się cień źle skrywanego gniewu na granicy eksplozji.

— *Motherfucker, son of a bitch* — wyszeptał sam do siebie z furją.

Zamknął powieki, oparł się łokciem o stół i dotknął czoła lewą dłonią w geście konsternacji. — *Damn it! I knew it! Shit!*

Profesor zachował milczenie, czekając na finał tego przejawu kontrolowanej wściekłości. Nelson wymamrotał jeszcze kilka niezrozumiałych słów w ferworze wewnętrznego buntu, w końcu westchnął, otworzył oczy i zwrócił się ku Norohnie.

— Tom — zaczął głuchym głosem — profesor Toscano nas oszukał.

— W jakim sensie?

— Zgodnie z tym, co ja i Savigliano powiedzieliśmy panu w Nowym Jorku, chcieliśmy mieć swój wkład w obchody pięćsetlecia odkrycia Brazylii w postaci ostatecznych wyników badań nad

potwierdzeniem ewentualnych wypraw wcześniejszych od ekspedycji Pedra Álvaresa Cabrala. To w tym celu siedem lat temu zatrudniliśmy profesora Toscano. Tymczasem on przez cały ten czas wydawał nasze pieniądze, oznajmiając mi, że dokonał przełomowego odkrycia, które zmieni całą naszą wiedzę o tamtej epoce. Teraz profesor nie żyje, a pan mówi mi, że jedynym zajęciem, jakim Toscano parął się w ciągu tych siedmiu lat, była kompilacja prac innych historyków, bez żadnego własnego wkładu. Jak pan zapewne się domyśla, my nie...

— Tego nie powiedziałem — uciał Tomás.

Moliarti przerwał swą wypowiedź i spojrzał na niego, nie rozumiejąc.

— Słucham?

— Nie powiedziałem, że profesor Toscano nie dodał nic nowego i że ograniczył się do cytowania innych.

— Przepraszam, ale tak to zrozumiałem z pańskich słów.

— I zrozumiał pan prawidłowo, jeśli chodzi o tę część badań profesora, którą przeanalizowałem. Ale, jak już mówiłem na początku naszej rozmowy, nie mam jeszcze w tym momencie ostatecznych odpowiedzi. Profesor pozostawił pewne ślady, których tropem zamierzam dopiero podążyć.

— Ach, to dobrze! — wykrzyknął Nelson, podwajając uwagę. — Więc jednak było coś więcej.

— Oczywiście — przyznał ostrożnie Noronha. — Nie jestem jednak pewien, czy dotyczy to bezpośrednio odkrycia Brazylii.

— Co chce pan przez to powiedzieć?

Portugalczyk opuścił wzrok i pokręcił przecząco głową.

— Jeszcze nie wiem. — Przygryzł dolną wargę. — Będę prowadził dalsze poszukiwania, a potem, kiedy już dojdę do czegoś konkretnego, wrócimy do rozmowy.

— Tom, proszę, niech pan nie pozostawia mnie bez żadnej odpowiedzi. O czym pan właściwie mówi?

— Odnoszę się do zaszyfrowanej zagadki.

Moliarti uśmiechnął się dziwnie, jak gdyby usłyszał potwierdzenie tego, co dawno podejrzewał.

— Ha! Wiedziałem, że musiało być coś więcej. Przewidywałem to. Niech pan mówi, Tom, co to za zagadka?

— Nelson, czy kiedykolwiek słyszał pan o Owidiuszu?

— Tak — odpowiedział ostrożnie Amerykanin, starając się znaleźć związek między usłyszanym nazwiskiem a badaniami profesora Toscano. — To był Rzymianin, prawda?

— Owidiusz to poeta rzymski żyjący w czasach Jezusa Chrystusa. Był mistrzem pióra, pisał wiersze z dużą dozą ironii i zmysłowości. W decydujący sposób wpłynął na poezję włoskiego renesansu. Do jego licznych dzieł zalicza się zbiór *Heroidy*. W jednym z fragmentów tego słynnego tekstu Owidiusz napisał pewne zdanie. — Zrobił pauzę, żeby wziąć ciasteczko.

— Jakie zdanie? — dopytywał się niecierpliwie rozmówca.

— *Nomina sunt odiosa*.

— Co proszę?

— *Nomina sunt odiosa*.

— Co to oznacza?

— Nazwiska są niepożądane.

Moliarti patrzył na niego, niczego nie rozumiejąc. Rozpostarł ramiona i przybrał pytający wyraz twarzy.

— *So what?* Jak to się ma do naszej rozmowy?

— *Nomina sunt odiosa* to zagadkowy trop do wielkiego odkrycia, który pozostawił nam profesor Toscano.

— Ach tak?! — zawołał Amerykanin z zachłanną niecierpliwością.

— Trop? A dokąd on prowadzi?

— Nie wiem — odparł Tomás sucho, spokojnie pogryzając ciasteczko. — Ale rozpocząłem poszukiwania. Porozmawiamy, Nelson, kiedy znajdę odpowiedź.

V

Poczekalnia lśniła czystością. Sprawiała wrażenie niemal sterylnej. Była pomalowana na biało — jedynie żółte kanapy i brązowa posadzka kontrastowały z tą śnieżną barwą. W powietrzu unosiła się woń jakiegoś środka dezynfekującego, która przypominała drażniący zapach szpitalny. Było w niej coś niepokojącego. Szerokie okna piątego piętra wychodziły na wesołe miasteczko. Patrząc przez szyby, można było rozróżnić wagoniki kolejki — opuszczone i puste o tej popołudniowej porze. Niebieska konstrukcja zadaszenia, smagana wiatrem, rysowała się na tle smutnego, szarego nieba, falując niepokojąco nad koronami drzew i kolorowymi straganami, ustawionymi obok siebie na placu rozrywki.

Tomás oparł się na kanapie i wziął jeden z magazynów ze stosu leżącego na stoliku. Przekartkował go pobieżnie. Strony wypełniały zdjęcia dobrze ubranych ludzi o identycznych, niemal stereotypowych uśmiechach, trąbiących na cały świat o swych idyllicznych ślubach lub o beztróskich przyjęciach w Lizbonie. To była prasa adresowana do określonej grupy społecznej — pokazywała starannie upozowanych ludzi, mężczyzn w eleganckich, markowych koszulach z rozpiętymi kołnierzykami, którym wyraźnie się w życiu powodziło. Pozowali u boku utlenionych blondynek, o skórze zniszczonej przez nadmiar słońca i twarzach z przesadnym makijażem. Rzecz jasna, takie osoby walczyły z upływem czasu w daremnym, a nawet groteskowym wysiłku zachowania urody, którą wiek odbierał im nieubłaganie z każdą chwilą. Młodość ulatywała niczym piasek, który przesypując się przez klepsydrę, odmierza czas.

Znudzony tym mdłym, przeciętnym spektaklem Noronha odłożył magazyn na miejsce i oparł się wygodnie. Margarida stała niewzruszenie przy oknie z nosem przyklejonym do szyby i rysowała coś palcem na plamach skroplonej pary. Marzycielskim okiem spoglądała na puste stragany targowiska i samotne pętle kolejki, fantazjując o pełnych kremu ciastkach, wacie cukrowej i silnych emocjach w pociągu strachu. Constança odpoczywała przy boku męża. Pełna niepokoju, obserwowwała dziecko z milczącą troską.

— Czy tym razem wyznaczy operację? — wyszeptał Tomás dostatecznie cicho, by córka go nie usłyszała.

Kobieta westchnęła.

— Czy ja wiem. Lepiej nic nie mówić. Z jednej strony chcę, by ją operowano, bo potem może być lepiej. Ale z drugiej strasznie się boję; jakoś to, że będą jej grzebać w sercu, odbiera mi cały spokój.

Margarida miała problemy kardiologiczne, które wiązały się z jej upośledzeniem. Po urodzeniu się dziewczynki i zdiagnozowaniu zespołu Downa — potwierdzonego przez Instytut Ricardo Jorge — pediatra zaprosił rodzinę na wizytę. Jej celem nie było badanie dziecka, lecz wyjaśnienie pewnych kwestii przerażonym rodzicom. Zgodnie z przekazanymi im przez lekarza informacjami, które zgłębić mogli później, czytając liczne publikacje naukowe, problem ich córki polegał na błędzie występującym w chromosomach każdej komórki, decydującym o wszystkich cechach osobowych, włącznie z kolorem oczu i kształtem serca. W każdej komórce znajduje się czterdzieści sześć chromosomów łączących się w pary. Jedną z nich określa się numerem dwadzieścia jeden i właśnie tam wystąpił błąd. Zamiast dwóch chromosomów dwadzieścia jeden w każdej komórce — jak jest u większości ludzi — Margarida miała trzy. Stąd określenie trisomii 21. Innymi słowy, trisomia chromosomu 21 odpowiadała za zespół Downa.

Zdaniem pediatry nastąpił „genetyczny wypadek”, któremu nikt nie był tak naprawdę winien. Mimo wszystko żadne z rodziców w głębi duszy nie wierzyło w takie wyjaśnienie. Sądziли, że to zwykłe gadanie, które miało uspokoić ich sumienia. Oboje byli przekonani — być może pod wpływem przesądu, bez jakichkolwiek podstaw logicznych — że z pewnością musieli zrobić coś, co zasługiwało na taką karę.

Niewątpliwie spadała na nich odpowiedzialność za to, że właśnie do ich drzwi zapukało takie nieszczęście. Od tej pory żyli ze źle skrywanym poczuciem winy wobec dziewczynki. W pewnym stopniu czuli się odpowiedzialni za jej stan. W ostatecznym rozrachunku to była ich córka, ich dzieło. W obliczu tego podjęli się niemożliwej misji zrobienia wszystkiego, co w ich mocy, by odwrócić kolej rzeczy; by walczyć o prawo do sprawiedliwości, którego odmówiła im natura; by zbawić się od grzechu, za który zostali ukarani.

Poczucie uśpionej winy pogarszało problemy powszechnie związane z tego typu schorzeniem. Margarida — tak jak każdy człowiek z trisomią 21 — miała dużą skłonność do przeziębień i infekcji dróg oddechowych, do zapaleń ucha środkowego, do skutków refluksu gastryczno-przełykowego, do problemów ortopedycznych związanych z niestabilnością szczytowo-obrotową i, co najgorsze, do kłopotów z sercem. Już przy pierwszym badaniu tuż po urodzeniu lekarkę odbierającą poród zaniepokoił rytm pracy serca dziewczynki i odesłała ją do dyżurnego kardiologa. Doszukano się niewielkiego ubytku w przegrodzie, która oddziela krew tętniczą od krwi żyłnej — wady wrodzonej, którą w przyszłości trzeba będzie usunąć. Jeszcze tego samego dnia, pod porażającym wpływem strasznej wiadomości, rodzice przestudiowali pospiesznie jedną z naukowych publikacji na ten temat. Zawitym medycznym językiem, z odniesieniami do ubytku przegrody międzykomorowej w połączeniu z przeciekiem międzykomorowym typu *sinus venosus*, opisano w niej to, co w rezultacie lekarz wyjaśnił im w sposób znacznie bardziej przystępny.

Na kolejnych wizytach poinformowano Constanę i Tomasa, nadal pozostających w stanie szoku po lawinie okropnych wiadomości, że Margarida w ciągu pierwszych trzech miesięcy życia powinna być operowana na serce w celu zamknięcia przegrody i że po upływie tego czasu każda interwencja stanowić będzie ryzyko. Był to trudny okres w ich życiu — każdy dzień zamieniał się w niepojęty koszmar. Każda kolejna nowina była gorsza od poprzedniej. Trzy tygodnie po decyzji operowania dziecko zatrzymano w szpitalu Santa Maria, ale w ostatniej chwili, po konsultacji z chirurgiem, kardiolog zaczął mieć wątpliwości. Obydwaj ponownie zabrali się do analizy obrazu rezonansu

magnetycznego serca i doszli do wniosku, że szczelina w przegrodzie była bardzo niewielka. Istniało całkiem duże prawdopodobieństwo, że wraz z rozwojem dziecka sama się zamknie. To była pierwsza dobra wiadomość od urodzenia dziewczynki. Kardiolog podpisał deklarację odpowiedzialności, a Margarida i jej rodzice z ulgą wrócili do domu. Problem polegał na tym, że po dziewięciu latach, wbrew oczekiwaniom, szczelina pozostawała otwarta. Powróciło widmo operacji serca.

— Margarida Noronha — ogłosiła pulchna dziewczyna w białym fartuchu, wyglądając zza drzwi rejestracji.

— To my — odpowiedziała Constança, podnosząc się z krzesła.

— Proszę wejść.

We troje podążyli za rejestratorką. Po chwili stanęła przed drzwiami na końcu korytarza i przepuściła ich. Weszli do gabinetu i poczuli bardziej intensywny zapach środka dezynfekującego. Po prawej stronie stała kozetka przykryta białym, lekko wymiętym prześcieradłem, jak gdyby przed chwilą ktoś tam leżał. Obok niej znajdował się niewielki parawan z żółtego materiału — tam rozbierali się pacjenci. Po przeciwnej stronie, przed niewielkim oknem z widokiem na sąsiedni budynek siedział lekarz, pisząc coś, pochylony nad biurkiem. Kiedy weszli, podniósł głowę i uśmiechnął się.

— Cześć — powitał ich.

— Dzień dobry, doktorze Oliveira.

Uścisnęli sobie dłonie i lekarz — kardiolog w średnim wieku — pogłaskał dziewczynkę po głowie.

— I jak tam Margarida? Jak się masz?

— Kławo, doktoze.

— Byłaś grzeczna?

Dziecko spojrzało na rodziców, szukając u nich aprobaty.

— Tak sobie.

— Tak sobie? Jak to?

— Mama mówi, że nie mogę cały czas systkiego psątać.

— Czego robić?

— Systkiego psątać.

— Wszystkiego sprzątać — przetłumaczyła Constança. — Ma taką manię, nieustannie wszystko sprząta i czyści.

— Aha! — zawołał lekarz, nie odrywając od małej wzroku. — Więc jesteś kompulsywną sprzątaczką.

— Nie lubię bludu. Bludu nie.

— I słusznie. Koniec z brudem! — Lekarz roześmiał się i, patrząc na rodziców, wskazał na dwa krzesła znajdujące się przed biurkiem. — Usiądźcie, rozgośćcie się.

Usiedli wygodnie na krzesłach, a Margarida na lewym kolanie ojca. Kardiolog przygotował notatnik, podczas gdy Constança przetrząsała torebkę, a Tomás przyglądał się plastikowemu sercu, które stało na biurku. Był to rozkładany, miniaturowy model.

— Mam tutaj wyniki badań, panie doktorze — powiedziała matka, podając lekarzowi dwie wielkie brązowe koperty.

Oliveira wziął je i spojrział na wydrukowane w lewym górnym rogu znaki firmowe szpitala.

— Widzę, że byli państwo na oddziale kardiologii dziecięcej w szpitalu Santa Maria, aby wykonać echokardiogram i prześwietlenie.

— Tak, panie doktorze.

— Czy była przy tym pani doktor Conceição?

— Tak, panie doktorze. To ona nas przyjęła.

— Czy potraktowała was dobrze?

— Bardzo dobrze.

— Tym lepiej, inaczej nasłuchałaby się ode mnie. Czasami jest nieco postrzelona.

— Nie mamy jednak powodu na narzekań.

Lekarz pochylił się nad kopertami; najpierw wyjął białą-szarą kłiszę z wynikiem prześwietlenia i zajął się analizą obrazu klatki piersiowej Margaridy.

— Hmm — wymruczał, nie wyrażając ani zadowolenia, ani dezaprobaty.

Małżeństwo obserwowało go uważnie, usiłując doszukać się w jego spojrzeniu oznak dobrych lub złych wieści, lecz owo „hmm” było nieprzeniknione i niejednoznaczne. Rodzice dziecka nerwowo poruszyli się na krzesłach, pełni niepokoju i niepewności.

— I jak, panie doktorze? — zaryzykował Tomás.

— Pozwoli pan, że najpierw się temu przyjrzę.

Kardiolog wstał i umieścił prześwietlenie w wiszącej na ścianie szklanej tablicy. Nacisnął włącznik i zapaliło się światło. Tablica ożyła i podświetliła radiografię niczym slajd. Lekarz zbliżył się do obrazu, założył okulary i dokładnie go przestudiował. Potem, kiedy poczuł się usatysfakcjonowany, zgasił światło, zdjął z tablicy kliszę i wrócił do biurka. Chwycił za drugą kopertę i wyciągnął z niej echokardiogram — zapis badania za pomocą ultradźwięków w celu analizy struktur serca dziewczynki.

— Panie doktorze, czy wszystko jest w porządku?

Tym razem zapytała Constança, nie mogąc opanować dławiącego niepokoju. Oliveira jeszcze przez kilka sekund rozważał wynik, który trzymał w dłoniach.

— Chciałbym zobaczyć elektrokardiogram — powiedział w końcu, chowając okulary do kieszeni fartucha. Wstał zza biurka i podszedł do drzwi, aby zawołać swoją asystentkę. — Cristina!

Natychmiast pojawiła się młoda, chuda dziewczyna o czarnych, krótkich włosach. Również i ona nosiła biały fartuch.

— Tak, panie doktorze?

— Proszę zrobić Margaridzie EKG, dobrze?

Asystentka zaprowadziła dziecko do kozetki. Dziewczynka rozebrała się i położyła sztywno. Cristina rozprowadziła żel na nagich piersiach pacjentki, a następnie umocowała na nich zaczepty. Na ramionach i nogach przyczepiła obręcze połączone przewodami z aparaturą znajdującą się u wezłowania łóżka.

— Teraz leż spokojnie, dobrze? — poprosiła. — Możesz udawać, że śpisz.

— I ze mam sen?

— Tak.

— Kololowe sny?

— Właśnie tak — odpowiedziała zniecierpliwiona. — No, odpoczywaj.

Margarida przymknęła powieki, a asystentka włączyła urządzenie, które lekko zadrżało i zabrzęczało. Siedząc przy biurku z daleka od kozetki, Oliveira wykorzystał tę chwilę, by zadać rodzicom kilka pytań.

— Czy córka skarżyła się, że brakuje jej powietrza, że szybko się męczy, puchną jej stopy?

— Nie, panie doktorze.

Constanța przejęła inicjatywę w udzielaniu odpowiedzi.

— Żadnego kołatania, omdleń?

— Nie.

— A gorączka?

— A tak, miała niewielką.

Kardiolog podniósł brew.

— Ile?

— Około trzydziestu ośmiu stopni, nie więcej.

— Jak długo?

— Słucham?

— Jak długo trwała gorączka?

— Och, jakiś tydzień.

— Tylko jeden tydzień?

— Tak, tylko jeden.

— A kiedy to było?

— Jakiś miesiąc temu.

— Bezpośrednio po świętach Bożego Narodzenia — sprecyzował Tomás, który dotychczas zachowywał milczenie.

— Czy zauważyli państwo jakieś zmiany w zachowaniu dziecka?

— Nie — odpowiedziała Constanța. — Być może ostatnio jest jakby przygaszona, tylko to.

— Przygaszona?

— Tak, mniej się bawi, jest spokojniejsza...

Wydawało się, że lekarz jest niezdecydowany.

— Hmm — wymamrotał. — Dobrze.

Tymczasem elektrokardiogram był już gotowy. Kiedy Margarida się ubierała, Cristina przekazała lekarzowi długi pas papieru wydrukowany przez maszynę. Oliveira ponownie założył okulary i przeanalizował zapis uderzeń serca. W końcu, biorąc pod uwagę wszystkie zebrane dane, zwrócił się do rodziców.

— Tak, wyniki badań są podobne do poprzednich — powiedział.

— Jeżeli chodzi o przegrodę międzykomorową, nie nastąpiło pogorszenie, ale szczelina nadal jest.

Constanța nie zadowolila się w pełni taką odpowiedzią.

— Panie doktorze, co to oznacza? Będzie musiała poddać się operacji czy nie?

Lekarz zdjął okulary, upewnił się, czy szkła są czyste, i po raz ostatni schował je do kieszeni fartucha. Pochylił się do przodu, oparł na łokciach i spojrzał na zaniepokojoną matkę.

— Myślę, że tak — odrzekł z westchnieniem. — Ale nie ma pośpiechu.

###

Zajęcia skończyły się dziesięć minut temu. Po rozmowie ze studentami, którzy zwykle zwracali się do niego z pytaniami na koniec, Tomás poszedł do swojego gabinetu na szóstym piętrze. Przez półtorej godziny wykładu obserwował dyskretnie Lenę. Szwedka siedziała na tym samym miejscu, które wybrała w poprzedzającym tygodniu. Cały czas słuchała uważnie. Spoglądała na niego intensywnie czystymi niebieskimi oczami, a jej usta pozostawały w półotwarte, jak gdyby spijała jego słowa. Ubrana była w obcisły, purpurowo-czerwony pulower, który podkreślał obfite krągłości jej biustu i kontrastował z szeroką kremową spódnicą. Co za pokusa, pomyślał profesor, uważając, że jest jeszcze bardziej atrakcyjna niż na zachowanym w jego pamięci obrazie. Po wykładzie Tomás zaniepokoił się tym, iż nie podeszła do niego od razu. Szybko się jednak zreflektował i zbeształ w duchu. Lena była studentką, a on wykładowcą. Była młoda i samotna, a on miał trzydzieści pięć lat i... żonę. Musiał zachować rozsądek i przywołać się do porządku. Potrząsnął głową szybkim ruchem, jak gdyby chciał z niej wyrzucić złe myśli, i wyjął z szuflady zeszyt z podsumowaniami.

Trzykrotne pukanie zmusiło go do spojrzenia na drzwi. Otworzyły się i wyjrzała zza nich piękna, uśmiechnięta twarz blondynki.

— Mogę wejść, panie profesorze?

— Aa! Proszę, proszę — powiedział, może trochę zbyt pośpiesznie. — Pani tutaj?

Szwedka przeszła przez gabinet kołyszącym krokiem, prężąc ciało niczym kotka w rui. Wyraźnie była kobietą pewną siebie, świadomą wrażenia, jakie robiła na mężczyznach. Przysunęła jedno z krzeseł i przysiadła się do biurka Tomasa.

- Dzisiejsze zajęcia były bardzo ciekawe — wymruczała wolno.
- Ach tak? Wspaniale.
- Nie zrozumiałam tylko, w jaki sposób dokonano się przejście od pisma ideograficznego do alfabetycznego?

Pytanie dotyczyło tematu porannych zajęć — powstania alfabetu.

— Tak, powiedziałbym, że był to naturalny krok, konieczne uproszczenie — wyjaśnił profesor, zadowolony, że może zademonstrować swoją wiedzę i zaimponować dziewczynie. — Proszę zauważyć, że zarówno pismo klinowe, jak i hieroglify oraz znaki chińskie wymagają zapamiętania ogromnej liczby symboli. Mówimy o kilku setkach obrazów, które trzeba przyswoić. Otóż, co oczywiste, stało się to wielką przeszkodą w nauce czytania i pisania. Problem rozwiązał alfabet, ponieważ dzięki niemu nie musimy zapamiętać tysiąca znaków, jak to się dzieje w wypadku Chińczyków, czy też sześciuset hieroglifów, tak jak u Egipcjan. Wystarczy nauczyć się co najwyżej trzydziestu znaków. — Uniósł brwi. — Rozumie pani? Dlatego twierdzę, że alfabet przyniósł demokratyzację pisma.

— A wszystko zaczęło się od Fenicjan...

— Widzi pani, tak naprawdę to podejrzewa się, że pierwszy alfabet pojawił się w Syrii.

— Ale pan profesor na zajęciach wspominał jedynie o Fenicjanach.

— Tak, alfabet fenicki jest najstarszy z tych, co do których mamy pewność, że można je zaliczyć do alfabetów. Przypuszcza się, że ewoluował z pewnych znaków klinowych lub z egipskiego pisma demotycznego. Faktem jest, że alfabet ten, złożony jedynie ze spółgłosek, rozpowszechnił się we wschodnim basenie Morza Śródziemnego wskutek wypraw Fenicjan, którzy byli wielkimi kupcami i docierali do wielu odległych miejsc. W ten sposób alfabet fenicki poznali Grecy, a w końcu i my. Ale czy był to pierwszy alfabet? — Tomáš przyjął pytającą minę. — W Syrii, w miejscu zwanym Ugarit, dokonano odkrycia pisma klinowego z czternastego wieku przed naszą erą, czyli starszego niż fenickie, które posługiwało się tylko dwudziestoma dwoma znakami. Tu właśnie pojawia się wątpliwość. Trudno uwierzyć, by pismo o tak niewielkiej liczbie symboli było ideograficzne. Jestem przekonany, że to właśnie był pierwszy zapis alfabetyczny.

Jednakże, ponieważ jego twórcy byli ludem osiadłym, pismo nie zostało rozpowszechnione, w przeciwieństwie do alfabetu fenickiego, który podróżował wraz ze swoimi wynalazcami.

— Rozumiem — powiedziała Lena. — A Biblia została napisana po fenicku?

Noronha wybuchnął głośnym śmiechem, który natychmiast stłumił, nie chcąc obrazić dziewczyny.

— Nie, Biblia została napisana w języku hebrajskim i aramejskim — wyjaśnił. — Ale pani pytanie nie jest zupełnie pozbawione sensu. W Syrii, która w owych czasach znana była jako kraj Abrahama, znaleziono bowiem alfabet aramejski podobny do alfabetu używanego przez Fenicjan, co pozwala przypuszczać, że oba systemy znaków mają z sobą związek. Wielu historyków uważa, że to alfabet fenicki leży u źródeł pisma hebrajskiego, aramejskiego i arabskiego, chociaż niejasne pozostaje, jak do tego doszło.

— A nasz alfabet również pochodzi od fenickiego?

— Pośrednio tak. Grecy zapożyczyli wiele od Fenicjan i na podstawie spółgłosek aramejskich i hebrajskich utworzyli swoje głoski. Na przykład pierwsze litery alfabetu hebrajskiego to alef, bet, gimel i dalet, co w języku greckim odpowiada znakom alfa, beta, gamma i delta. Jak widać, podobieństwo pomiędzy tymi dwoma alfabetami to nie żaden zbieg okoliczności, mają z sobą związek. Jednakże proszę zauważyć, że z połączenia dwóch pierwszych liter alfabetu greckiego, alfa i beta, powstała nazwa alfabet. Później, od alfabetu greckiego bierze swój początek alfabet łaciński. Alfa przekształciło się w „a”, beta w „b”, gamma w „c”, a delta w „d”. I tak dochodzimy do nas, mówiących po portugalsku, który to język, jak pani wiadomo, jest językiem romańskim.

— Ale nie jest nim szwedzki.

— To prawda, szwedzki jest językiem skandynawskim, należy do rodziny języków germańskich. Ale także korzysta z alfabetu łacińskiego, czyż nie?

— A rosyjski?

— Rosyjski posługuje się cyrylicą, która również pochodzi od greckiego.

— Pan profesor nie wyjaśnił tego na dzisiejszych zajęciach.

— Spokojnie. — Tomás uśmiechnął się, podnosząc prawą dłoń jak ktoś, kto zatrzymuje ruch uliczny. — Rok akademicki jeszcze się nie skończył. Język grecki to temat naszych następnych zajęć. Powiedzmy, że przybliżyłem pani materiał nieco wcześniej...

Lena westchnęła.

— Och, panie profesorze! — zawołała. — To, co jest mi potrzebne, to nie przerabianie następnego materiału, ale nadrobienie tego, co straciłam na początkowych zajęciach.

— Proszę bardzo, niech pani mówi. Co chce pani wiedzieć?

— Tak jak wyjaśniłam panu przez telefon, wskutek opóźnienia mojego udziału w programie Erasmus straciłam pierwsze zajęcia. Przeglądałam niektóre pożyczone od kolegów notatki na temat sumeryjskiego pisma klinowego i wyznam panu, że niczego nie rozumiałam. Bardzo potrzebna mi pańska pomoc.

— Doskonale. Jakie dokładnie ma pani wątpliwości?

Studentka pochyliła się nad biurkiem, blisko głowy Tomasa. Profesor poczuł zapach jej perfum i wyobraził sobie jej wielkie, pełne, nabrzmiałe piersi, sterczące teraz prowokująco pod pulowerem. Zdobył się na wysiłek poskromienia fantazji, powtarzając sobie, że ona jest studentką, a on wykładowcą, ona młodą dziewczyną, a on trzydziestopięcioletnim mężczyzną, ona jest wolna, a on żonaty.

— Czy pan profesor próbował kiedykolwiek kuchni szwedzkiej? — zapytała ze słodyczą w głosie.

— Kuchni szwedzkiej? Ee... tak, wydaje mi się, że próbowałem w Malmö, podczas mojej podróży InterRailem.

— I jak smakowało?

— Bardzo. Pamiętam, że dania były starannie przyrządzone, ale jednocześnie bardzo drogie. Dlaczego?

Lena się uśmiechnęła.

— Wie pan, profesorze, myślę, że nie da pan rady wytłumaczyć mi wszystkiego w pół godziny. Czy nie wolałby pan przyjść do mnie na obiad i pomóc mi spokojnie, bez pośpiechu, to wszystko zrozumieć?

— Przyjść do pani na obiad?

Propozycja padła nieoczekiwanie i zdezorientowała Tomasa; nie

wiedział, jak potraktować to zaproszenie. Instynktownie wyczuł, że mogło przynieść całą masę problemów, przewidział liczne komplikacje. Nie ulegało jednak wątpliwości, że Szwedka była miłą dziewczyną, czuł się dobrze w jej obecności i pokusa była ogromna.

— Tak, przygotuję dla pana jedno ze szwedzkich dań, na którego widok polecą panu ślinka. Przekona się pan.

Zawahał się. Pomyślał, że nie powinien przyjmować zaproszenia. Pójście na obiad do domu studentki, zwłaszcza do takiej studentki, to niebezpieczne posunięcie — w jego życiu nie było miejsca na takie przygody. Ale pytał sam siebie o realne konsekwencje przyjęcia propozycji. Czy trochę nie przesadzał? Przecież chodziło tylko o obiad i korepetycje, o nic więcej. Jedna lub dwie godziny u dziewczyny w domu, by opowiedzieć jej o piśmie klinowym — w czym problem? O ile mu wiadomo, nie istniał zakaz udzielania korepetycji studentom w zakresie wiedzy ze swojej dziedziny. Tyle że odbywałyby się to poza uczelnią zamiast w sali wykładowej lub w gabinecie. I co z tego? W czym trudność? W gruncie rzeczy udzielałby studentce pomocy, wcielał w życie praktykę pedagogiczną. Czyż nie jest to powinność nauczyciela? Patrząc na to z innego punktu widzenia, spędzi miło czas. Cóż w tym złego? Czy nie ma prawa do chwili rozrywki? Co więcej, przypomniał sobie, byłaby to wspaniała okazja, by wypróbować smaki nowej kuchni. Kuchnia skandynawska niewątpliwie miała swoje specjalności. A dlaczego nie?

— Dobrze — zgodził się. — Zjemy razem obiad.

Twarz Leny rozpromienił czarujący uśmiech.

— Jesteśmy więc umówieni! Przyrządzę panu danie, po którym będzie pan prosił o dokładkę. Jutro?

Tomás przypomniał sobie, że następnego dnia miał iść razem z Constancą do szkoły Margaridy. Poprosili o spotkanie z dyrektorką, aby spróbować rozwiązać problem braku pedagoga specjalnego. Jego nieobecność przy tej rozmowie była nie do pomyślenia.

— Niemożliwe — odrzekł, kręcąc głową. — Muszę iść do...uhm... jestem jutro zajęty, nie mogę przyjść.

— A pojutrze?

— Pojutrze? W piątek? Hmm... tak, może być.

- O pierwszej po południu?
- O pierwszej. Gdzie pani mieszka?

Lena podała mu adres i pożegnała się, wyciskając mu na policzkach dwa wilgotne całusy. Kiedy wyszła, pozostawiając w gabinecie woń perfum, Tomás spojrział w dół i zorientował się — zaskoczony i podekscytowany — że jego hormony już zaczęły działać. Doszło do reakcji chemicznej i ciało domagało się tego, co wypierał umysł. Nastąpiła silna erekcja.

###

Przekroczyli bramę szkoły imienia São Julião de Barra późnym rankiem. Poszli podejrzeć Margaridę podczas lekcji i dostrzegli ją, zerkając przez szparę niedomkniętych drzwi. Siedziała na swoim miejscu przy oknie i sprawiała wrażenie bardzo skoncentrowanej. Rodzice wiedzieli, że cieszyła się opinią dobrej koleżanki — zawsze stawała w obronie słabszych, na przerwie pomagała dzieciom, które coś bolało. Nie zależało jej natomiast na tym, by wygrywać w organizowanych przez szkołę konkursach i rozgrywkach. Zawsze zgłaszała się na ochotnika, jeżeli ktoś musiał zrezygnować z gry, ponieważ drużyna była zbyt liczna. Czasami udawała nawet, że nie rozumie, kiedy któryś z kolegów się z niej wyśmiewał, i szybko zapomniała urazy. Tomás i Constança patrzyli na nią długo przez szczelinę w drzwiach — z podziwem, jakby była jakąś świętą. Zbliżała się jednak godzina spotkania i zmuszeni byli odejść. Przyspieszyli kroku i stanęli przed gabinetem dyrektorki — nie musieli długo czekać, aby poproszono ich do środka.

Kierowniczka szkoły była kobietą po czterdziestce — wysoką, kościstą, o ufarbowanych na blond włosach i w okularach o okrągłych oprawkach. Przyjęła ich uprzejmie, ale widać było, że nie miała dla nich zbyt wiele czasu.

— O pierwszej jestem umówiona na obiad — wyjaśniła. — A o trzeciej po południu mam zebranie koordynatorów z gronem pedagogicznym.

Tomás spojrział na zegarek — było dziesięć po dwunastej. Mieli do dyspozycji pięćdziesiąt minut. Powinno wystarczyć.

— Świetnie się składa, że ma pani dzisiaj to spotkanie z gronem pedagogicznym — przeszła do rzeczy Constança. — To, co nas tutaj sprowadza, ewidentnie ma związek z kwestiami pedagogicznymi.

— Wiem o tym doskonale — uprzedziła dyrektorka, dla której ów problem stał się koszmarem od momentu ostatniej rozmowy z rodzicami Margaridy na początku roku szkolnego. — Rozumiem, że chodzi o kwestię nauczyciela dzieci specjalnej troski.

— Naturalnie.

— Tak, sprawa jest skomplikowana.

— Nie wątpię, że dla pani tak właśnie jest — ucięła Constança lekko poirytowanym tonem. — Ale proszę mi wierzyć, że dla nas, a przede wszystkim dla naszej córki, to prawdziwa tragedia. Czy pani zdaje sobie sprawę, jaką szkodę wyrządza naszemu dziecku brak nauczyciela specjalnego?

— Droga pani, robimy, co w naszej mocy...

— Robią państwo niewiele.

— To nieprawda.

— Prawda — nalegała matka. — A pani dobrze o tym wie.

— Dlaczego nie zatrudnili państwo ponownie profesora Correia? — zapytał Tomás, włączając się do rozmowy i starając się, by nie przeobraziła się ona w słowną potyczkę pomiędzy dwiema kobietami. — Świetnie spełniał swoje obowiązki.

Ostry ton poprzedniego spotkania, kiedy zaczynał się rok szkolny, dał mu do myślenia. Oznajmiono im wtedy, że ani profesor Correia, ani żaden inny nie będzie służył Margaridzie fachową pomocą. Konflikt zaostrzał się, w miarę jak odkładano jego rozwiązanie, podczas gdy uwstecznienie dziecka stawało się widoczne.

— Bardzo chętnie zatrudniłabym profesora Correię — powiedziała dyrektorka. — Jak już państwu wyjaśniłam na poprzednim spotkaniu, problem polega na tym, że ministerstwo obcięło nam dotacje i nie mamy pieniędzy na zatrudnienie dodatkowych kolaboratorów.

— Bujda! — orzekła Constança. — Na tyle rzeczy znajduje się pieniądze, a brakuje ich dla pedagoga specjalnego.

— Naprawdę brakuje. Obniżono nam dostępne środki.

— Czy zdaje pani sobie sprawę, że w zeszłym roku Margarida

potrafiła czytać, a w tym roku nie rozumie ani jednego napisanego słowa? — zapytał Tomás.

— O... nie wiedziałam o tym.

— W zeszłym roku miała zajęcia wspomagające z profesorem Correią, a w tym roku nie ma żadnych oprócz zwykłych lekcji. — Wskazała na drzwi, jak gdyby za nimi stała ich córka. — Rezultat widać wyraźnie.

— Nie ulega wątpliwości, że nauczyciel przedmiotowy nie ma pojęcia o nauczaniu dzieci specjalnej troski — dodała matka dziewczynki.

Dyrektorka rozłożyła ręce, kierując je w stronę rodziców, jak gdyby prosiła ich o spokój.

— Państwo mnie nie słuchają — stwierdziła. — Jeżeli zależałoby to ode mnie, zatrudniłabym profesora Correię natychmiast. Kłopot w tym, że nie mam pieniędzy. Ministerstwo obcięło dotacje.

Constança pochyliła się nad biurkiem.

— Pani dyrektor — powiedziała, usiłując zachować spokój. — Ustawa przewiduje wsparcie dla dzieci specjalnej troski uczęszczających do szkół publicznych przez pedagogów specjalnych. To nie jest nasz kaprys ani wygórowane wymagania, ani też żadna przysługa ze strony szkoły. To zgodne z prawem. Ja oraz mój mąż prosimy jedynie o to, by szkoła działała w myśl ustawy. Ni mniej, ni więcej. Aby przestrzegala prawa.

Kobieta westchnęła i pokręciła głową.

— Wiem, o czym mówi prawo — oznajmiła. — Problem polega na tym, że w naszym kraju uchwała się bardzo piękne ustawy, ale nie stwarza warunków do wprowadzania ich w życie. Co mi z prawa, które wymaga ode mnie zatrudnienia pedagoga specjalnego, jeżeli nie mam na to pieniędzy? Jeżeli o mnie chodzi, panowie deputowani mogą uchwalić nawet... hmm... czyja wiem... że należy żyć wiecznie. Jednak to, że wyjdzie ustawa o obowiązku życia wiecznego, nie oznacza, że ludzie będą jej przestrzegać. Byłoby to prawo zupełnie nierealne. To samo dotyczy naszej kwestii. Powstała bardzo sprawiedliwa, piękna, niezwykle humanitarna ustawa, ale kiedy przychodzi do wyłożenia kasy na stół, pozostaje się z niczym. Inaczej mówiąc, prawo

jest tylko po to, by można było stwierdzić, że istnieje, i ktoś mógł się pochwalić przeforsowaniem jakiejś ustawy. Nic więcej.

— Więc co pani proponuje? — zapytał Tomás. — Sytuacja ma pozostać bez zmian? Nasza Margarida ma być zdana na własne siły i nie otrzyma pomocy ze strony wykwalifikowanego nauczyciela? Tak to ma wyglądać?

— No właśnie — podjęła Constança. — Co ma pani zamiar zrobić?

Dyrektorka zdjęła okulary, nawilżyła je wydychanym z płuc powietrzem i wytarła małą, pomarańczową szmatką.

— Mam dla państwa propozycję.

— Słuchamy.

— Jak już mówiłam, nie ma środków na zatrudnienie profesora Correi. Biorąc to ograniczenie pod uwagę, pomyślałam, że pani profesor Adelaide mogłaby pomóc Margaridzie w nauce.

— Pani profesor Adelaide? — zdziwiła się Constança.

— Tak.

— Ale czy ona ma odpowiednie kwalifikacje w zakresie nauczania specjalnego?

— Droga pani, jeśli się nie ma tego, co się lubi, to się lubi, co się ma.

— Zapytam inaczej. Czy ta pani wie, na czym polega praca z dziećmi specjalnej troski?

— Myślę, że lepiej by było ją poprosić — odparła dyrektorka, wstając zza biurka i kierując się do wyjścia. Szczegółem, który nie uszedł uwagi rodziców, było to, że w ten sposób uniknęła bezpośredniej odpowiedzi na zadane pytanie. Otworzyła drzwi i wyrzała na zewnątrz. — Marilia, proszę zawołać panią profesor Adelaide.

Usiadła ponownie i dokończyła czyszczenia szkieł, wkładając je na nos. Tomás i Constança wymienili pełne obaw spojrzenia. Byli gotowi walczyć do końca o prawo córki do wsparcia pedagogicznego ze strony wykwalifikowanego specjalisty, który rozumiałby jej ograniczenia i umiałby im w najlepszy sposób zaradzić. Oboje byli przekonani, że Margarida może poczynić postępy — tak jak inne dzieci — ale z uwagi na to, że uczyła się znacznie wolniej, potrzebna jej była pomoc.

— Można?

Do gabinetu weszła profesor Adelaide — przysadzista, potężna

kobieta o matczynym, pełnym łagodności wyglądzie. Przypominała jedną z tych wiejskich kobiet — rumianych, pyzaty, opiekuńczych, otoczonych zawsze gromadką dzieci. Przywitali się, a nowo przybyła usiadła obok rodziców.

— Adelaide — zaczęła dyrektorka — jak pani wiadomo, w tym roku nie mamy środków na zatrudnienie profesora Correi, który pomagał Margaridzie. Rozmawialiśmy już o tej sprawie i pamiętam, że zgłosiła pani gotowość prowadzenia nauczania specjalnego w tym roku.

Pani profesor potwierdziła skinieniem głowy.

— Tak. Jak już pani mówiłam, martwi mnie sytuacja, w której znaleźli się Margarida i Hugo. — Hugo był drugim dzieckiem z trisomią 21, które uczęszczało do tej szkoły. — Jeżeli niemożliwa jest obecność profesora Correi, jestem do całkowitej dyspozycji, aby pomóc tym dzieciom.

— Pani profesor Adelaide — zwróciła się do niej Constança — czy ma pani jakieś kwalifikacje w zakresie nauczania specjalnego?

— Nie.

— Czy kiedykolwiek udzielała pani pomocy w nauce dzieciom z trisomią dwadzieścia jeden?

— Nie. Proszę zauważyć, że oferuję jedynie swoją pomoc w znalezieniu jakiegoś wyjścia z sytuacji.

— Czy uważa pani, że pracując z panią, Margarida poczyni wyraźne postępy?

— Myślę, że tak. Będę starać się jak najlepiej.

Tomás poruszył się na krześle.

— Z całym szacunkiem dla pani dobrych chęci, pozwoli pani, że coś powiem. Margaridzie nie są potrzebne lekcje, na których nie będzie się rozwijać, lekcje, które będą tylko po to, by były. Zajęcia nie są celem samym w sobie. To środek zmierzający do osiągnięcia określonego efektu. Nie chodzi nam o to, by lekcje się odbywały, ale by ona się na nich uczyła. Po co jej zajęcia, jeśli w ostatecznym rozrachunku nadal nie będzie niczego umiała?

— Mam nadzieję, że jednak czegoś się nauczy.

— Ależ na podstawie tego, co pani przed chwilą powiedziała, nie ma pani najmniejszego pojęcia, na czym ma polegać nauczanie takiego

dziecka. Nigdy nie zrobiła pani specjalizacji w tej dziedzinie ani nie prowadziła pani zajęć z dziećmi z trisomią dwadzieścia jeden. Nie wiem, czy pani wiadomo, ale pedagog specjalny nie jest nauczycielem w powszechnym tego słowa rozumieniu. To raczej ktoś pomiędzy trenerem a fizjoterapeutą, ktoś, kto dziecko zachęca, ćwiczy z nim, dochodzi do granic jego możliwości. Powiem pani z całą szczerością: pomimo dobrych chęci nie widzę u pani cech nauczyciela przygotowanego do takiego zadania.

— Zdaję sobie sprawę, że być może nie mam kwalifikacji i wiedzy odpowiednich do...

— Chwileczkę — przerwała dyrektorka, której nie podobał się kierunek, jaki obrano w rozmowie. — Jest, jak jest. Nie będziemy mieć profesora Correi. Możemy skorzystać z pomocy pani profesor Adelaide. Wszyscy zgadzamy się co do tego, że pani profesor nie jest pedagogiem specjalnym. Ale czy chcemy tego, czy nie, to jedyna osoba, którą dysponujemy. Więc wykorzystajmy okazję i rozwiążmy problem. To nie jest rozwiązanie idealne, ale jedyne możliwe.

Tomás i Constança, poirytowani, skrzyżowali spojrzenia.

— Pani dyrektor! — wykrzyknął ojciec. — To, co pani proponuje, nie jest rozwiązaniem problemów Margaridy. To rozwiązanie pani problemu. Chce pani mieć tę kwestię za sobą, a nie rzeczywiście się nią zająć. Postawmy sprawę jasno. To, co jest potrzebne naszej córce, to właśnie zajęcia z pedagogiem specjalnym. Powtórzę: z pedagogiem specjalnym. — Niemal to przeliterował. — Nasza córka nie potrzebuje dodatkowych lekcji, potrzebuje postępów w nauce. Przy pomocy pani profesor Adelaide będzie miała zajęcia, ale nie będzie się rozwijać. Pani profesor Adelaide to nie rozwiązanie.

— To rozwiązanie, jakie proponujemy.

— To rozwiązanie pani problemu, ale nie problemu Margaridy.

— Nie ma innego wyjścia — zakończyła dyrektorka ostatecznym, decydującym tonem. — To profesor Adelaide będzie prowadziła zajęcia nauczania specjalnego.

— Tak nie może być.

— Ale to będzie konieczne.

— Wybacz pani, ale nie możemy tego zaakceptować.

- Jak to nie mogą państwo tego zaakceptować?
 - Nie akceptujemy. Żądamy wykwalifikowanego pedagoga specjalnego, tak jak przewiduje ustawa.
 - Niech pan zapomni o ustawie. Nie ma pieniędzy na zatrudnienie takiego specjalisty.
 - Proszę je znaleźć.
 - Proszę dobrze posłuchać tego, co mówię: nie ma pieniędzy. To będzie musiała być pani profesor Adelaide.
 - Już mówiłem, że tego nie akceptujemy.
- Dyrektorka zmrugała oczy, patrząc na siedzących przed nią rodziców. Ciężko westchnęła, jak gdyby właśnie podjęła trudną decyzję.
- W takim razie będą musieli państwo oświadczyć na piśmie, że nie chcą państwo korzystać z zajęć nauczania specjalnego.
 - Czegoś takiego nie napiszemy.
 - Słucham?
 - Nie napiszemy.
 - Dlaczego nie?
 - Ponieważ jest to niezgodne z prawdą. My chcemy zajęć nauczania specjalnego, oczywiście, że chcemy. Ale zależy nam na tym, by prowadził je odpowiednio przeszkolony pedagog. Odrzucamy, i to możemy oświadczyć na piśmie, nauczycielkę, która pomimo najlepszych chęci nie jest przygotowana do udzielania fachowej pomocy dzieciom o specjalnych potrzebach.

Spotkanie dobiegło końca bez ostatecznej konkluzji. Dyrektorka pożegnała się sucho sfrustrowana patową sytuacją. Rodzice opuścili szkołę w przekonaniu, że tam niczego nie załatwią. Dla Tomasa i Constançy stało się jasne, że nie mogą już liczyć na szkołę publiczną. Musieli sami zatrudnić pedagoga specjalnego. Problem jednak w tym, że nie mieli na to pieniędzy.

###

Noronha spojrzął na budynek stojący pod adresem zapisanym w notatniku. Był to stary dom, niezaprzeczalnie błagający o pilny remont, położony przy wylocie Rua Latino Coelho. Profesor podszedł do wejścia i stwierdził, że drzwi były uchylone. Popchnął je i znalazł

się w korytarzu wyłożonym zniszczonymi kafelkami — część z nich już popękała, niektóre z czasem wyblakły. Jedyne oświetlenie było to dochodzące z ulicy przez uchylone drzwi, zalewało swoim blaskiem niewielki hol, rysując na podłodze geometryczne kształty świetlne. Tomás zrobił trzy kroki, zanurzył się w cieniu i wszedł po drewnianych schodach. Stąpienie po kolejnych stopniach powodowało skrzywienie, jak gdyby protestowały one przed wtargnięciem intruza, który zmaćlił ich spokój. Dom wydawał charakterystyczny zapach starości — odór pleśni i przesyconej wilgocią podłogi oraz ścian, który był charakterystycznym fetorem starego budownictwa Lizbony. Przybysz dotarł na drugie piętro i sprawdził numer — szukał mieszkania na drugiej kondygnacji po lewej stronie. Okazało się, że stanął przed właściwymi drzwiami. Nacisnął czarny przycisk przytwierdzony do ściany gwoździem — w mieszkaniu rozległo się spokojne dingdong. Usłyszał kroki i hałas otwieranego metalowego zamka.

— Hej! — powitała go Lena. — *Valkommen*.

Przez długą chwilę Tomás stał jak wryty w półmroku przy drzwiach, patrząc na gospodynię. Szwedka pojawiła się ubrana w obcisłą, satynową koszulę, jak gdyby była pełnia lata. Głęboki dekolt obnażał jej wielkie, zmysłowe piersi — bez biustonosza — rozdzielone głębokim wgłębieniem. W ukryciu pozostawały jedynie sutki, choć i te można było dostrzec przez materiał — sterczące niczym schowane guziki. Biała mini z żółtą przepaską na biodrach uwydatniała długie, zgrabne nogi w eleganckich czarnych butach. Wysoki obcas podkreślał zmysłowe linie ciała.

— Cześć — powiedział w końcu. — Wygląda pani dzisiaj... bardzo ładnie.

— Tak pan myśli? — Dziewczyna się uśmiechnęła. — Dziękuję, jest pan bardzo miły. — Zaprosiła go do środka. — Widzi pan, w porównaniu z zimą w Szwecji portugalska przypomina lato. Stale mi tu gorąco, więc ubrałam się lekko. Mam nadzieję, że panu to nie przeszkadza.

Tomás przeszedł przez próg i wszedł do mieszkania.

— Ależ skąd — powiedział, czując, że na policzki wypływają mu rumieńce. — Słusznie. Całkiem słusznie.

Wnętrze było dobrze ogrzane, co stanowiło duży kontrast z temperaturą panującą na zewnątrz. Na podłodze leżały wielkie, lakierowane deski ze starego drewna. Ściany zdobiły wiekowe obrazy, sprawiające jednak wrażenie dość kiepskich. Tutaj już nie czuć było wilgoci — wręcz przeciwnie — w powietrzu unosił się przyjemny zapach przygotowywanego obiadu.

— Czy mogę wziąć pana płaszcz? — zapytała Lena, wyciągając ku niemu ramię.

Profesor zdjął wierzchnie okrycie i podał dziewczynie. Powiesiła je na wieszaku nieopodal wejścia i poprowadziła gościa długim korytarzem. Po lewej stronie spostrzegł dwie pary zamkniętych drzwi, a przy końcu kuchni. Obok niej otwierały się kolejne drzwi — było to wejście do pokoju gościnnego, gdzie stał stół nakryty dla dwóch osób.

— W jaki sposób znalazła pani to mieszkanie? — dopytywał się, zaglądając do środka.

Stare dębowe i orzechowe sprzęty stanowiły niewyszukane umeblowanie saloniku. Znajdowały się w nim dwie brązowe kanapy o wysłużonym i surowym wyglądzie, telewizor na niewielkim stoliku oraz kredens ze starą porcelaną. Dwa wysokie okna wpuszczały rozproszone światło dzienne. Oba wychodziły na wewnętrzne podwórze.

— Wynajęłam je.

— Tak, ale w jaki sposób dowiedziała się pani o jego istnieniu?

— W GIRE.

— GIRE? A co to jest?

— To biuro informacyjne zajmujące się sprawami pozauczelnianymi. To oni oferują pomoc logistyczną. Po przyjeździe do Lizbony udałam się tam, aby zobaczyć, co mają do wynajęcia. Odkryłam to mieszkanie. Malownicze, prawda?

— Tak, bez wątplenia jest malownicze — potwierdził Tomás. — Kim jest właściciel?

— Starsza pani mieszkająca na pierwszym piętrze. Mieszkanie należało do jej brata, który w zeszłym roku zmarł. Zdecydowała, że będzie je wynajmować obcokrajowcom. Twierdzi, że to jedyni klienci, co do których można mieć pewność, że po jakimś czasie się wyprowadzą.

— Sprytna staruszka.

Lena weszła do kuchni, zajrzała do garnka stojącego na ogniu, zamieszała w nim drewnianą łyżką, wciągnęła nosem rozchodzący się aromat i uśmiechnęła się do profesora.

— Będzie pyszne. — Wyszła z kuchni i zaprowadziła Tomasa do saloniku. — Proszę się rozgościć — powiedziała, wskazując na kanapę. — Niedługo obiad będzie gotowy.

Tomás rozsiadł się wygodnie, a dziewczyna przysiadła się do niego, swobodnie podkulając nogi. Aby nie dopuścić do kłopotliwego milczenia, profesor otworzył trzymaną w ręce teczkę i wyjął z niej kilka kartek.

— Przyniosłem notatki o piśmie klinowym Sumerii i Akadu — oznajmił. — Szczególnie ciekawe jest zagadnienie rdzeni wyrazów.

— Rdzeni wyrazów?

— Tak — potwierdził. — Nazywane są również wskaźnikami semantycznymi. — Wskazał na niektóre kreski klinowe narysowane wśród notatek. — Widzi pani? Oto przykład wyrazu, który jest jednocześnie wskaźnikiem semantycznym. W tym wypadku chodzi o słowo *gis*, co oznacza „drewno”. Stosuje się je w odniesieniu do drzew i przedmiotów wykonanych z drewna. Funkcją wskaźników semantycznych jest ograniczenie wieloznaczności symboli. W tym przykładzie rdzeń *gis*, kiedy jest poprzedzony...

— Och, profesorze — przerwała mu Lena z proszącą miną. — Czy nie możemy odłożyć tego na po obiedzie?

— Uhm... tak, oczywiście — odrzekł Tomás zdziwiony. — Myślałem, że chciała pani wykorzystać czas na omówienie części materiału.

— Nigdy na pusty żołądek. — Uśmiechnęła się. — Karm dobrze swojego sługę, a twoja krowa będzie dawać więcej mleka.

— Słucham?

— To szwedzkie przysłowie. Co w tym przypadku znaczy, że więcej się pomieści w mojej głowie, jeżeli nie będzie mi burczało w brzuchu.

— Aha. Zauważyłem już, że bardzo lubi pani przysłowia.

— Uwielbiam. Przysłowia zawierają wielką mądrość, nie uważa pan?

— Prawdopodobnie tak.

— O, ja tak sędę — powiedziała zdecydowanym tonem. — W Szwecji mówi się, że przysłowia zdradzają, co myśli naród. — Uniosła brew. — Portugalczycy mają wiele przysłów?

— Trochę.

— Nauczy mnie ich pan?

Tomás wybuchnął śmiechem.

— To w końcu czego mam panią nauczyć? — zapytał. — Pisma klinowego czy przysłów portugalskich?

— A dlaczego nie obu rzeczy?

— Wydaje mi się, że zajęłoby to zbyt dużo czasu...

— Och, nie szkodzi. Całe popołudnie przed nami, prawda?

— Widzę, że pani ma na wszystko gotową odpowiedź.

— Miecz kobiet znajduje się w ich ustach — wygłosiła Lena. — Kolejne szwedzkie przysłowie. — Rzuciła mu przewrotne spojrzenie. — I wie pan co, w moim przypadku ma ono podwójne znaczenie.

Noronha, zbity z tropu, nie wiedział, co powiedzieć.

— Poddaję się.

— I bardzo dobrze — powiedziała, opierając się na kanapie. — Proszę mi powiedzieć, panie profesorze, pan jest z Lizbony?

— Nie, urodziłem się w Castelo Branco.

— A kiedy przyjechał pan do Lizbony?

— Jak byłem młody. Przyjechałem tu na studia, wybrałem kierunek historia.

— Na jakiej uczelni?

— Na naszej.

— Ach — odrzekła. Utkwiła w nim niebieskie oczy, obserwując uważnie. — Nie ożenił się pan?

Przez kilka chwil nie wiedział, co odpowiedzieć. Zawahał się na zbyt długo, nie mogąc wybrać pomiędzy kłamstwem, które łatwo było zdemaskować, a prawdą, która nieuchronnie odsunęłaby od niego dziewczynę. W końcu opuścił wzrok i usłyszał swój głos mówiący:

— Tak, jestem żonaty.

Obawiał się reakcji Szwedki. Ale ku jego ogromnemu zdziwieniu Lena wcale nie wyglądała na poruszoną.

— Nic dziwnego! — wykrzyknęła. — Taki przystojniacha...

Tomás się zarumienił.

— Tak... hmm...

— Czy kocha ją pan?

— Kogo?

— Swoją żonę, oczywiście. Czy kocha ją pan?

Tu pojawiała się okazja na odzyskanie twarzy.

— Kiedy się pobraliśmy, tak, bez wątpienia. Ale, wie pani, z czasem oddaliliśmy się od siebie. Dzisiaj jesteśmy bardziej przyjaciółmi, o tak... chociaż nie można powiedzieć, że nie ma między nami miłości.

Spojrzał na nią badawczo, usiłując wyczuć reakcję. Odniósł wrażenie, że odpowiedź ją zadowolila, i poczuł ulgę.

— W Szwecji mówimy, że życie pozbawione miłości jest jak rok bez lata — skomentowała. — Zgodzi się pan?

— Tak, oczywiście.

Lena otworzyła szeroko oczy i przyłożyła dłoń do ust. Zerwała się z kanapy przestraszona.

— Och! — zakrzyknęła — Zapomniałam o obiedzie!

W mgnieniu oka wymknęła się do kuchni. Tomás usłyszał odgłosy krzątania wokół gotującej się potrawy i mieszania w garnku przy akompaniamencie stłumionych okrzyków gospodyni.

— Wszystko w porządku? — zapytał, wyciągając szyję w kierunku drzwi.

— Tak — padły słowa Szwedki dochodzące z kuchni. — Już gotowe. Może pan usiąść do stołu.

Nie usłuchał. Zamiast tego podszedł do kuchennych drzwi. Zobaczył, jak Lena trzyma przez ścierekę gorący garnek, nalewając zupę do szerokiej wazy ze starej porcelany — z tego samego serwisu co ustawione na stole talerze.

— Pomóc pani?

— Nie, nie trzeba. Proszę do stołu.

Profesor spojrzał na nią, nie wiedząc, czy rzeczywiście powinien usiąść, czy lepiej byłoby nalegać. Ale stanowcza mina Szwedki przekonała go, że powinien posłuchać. Powrócił do pokoju i zajął miejsce przy stole. Po chwili wkroczyła Lena z parującą zupą. Ciężko postawiła wazę na stole i odetchnęła.

— Uff! Gotowe! — wykrzyknęła z ulgą. — Smacznego.

Zdjęła pokrywkę i nałożyła chochlę zupy gościowi. Potem sobie.

Tomás przyjrzał się podejrzliwie zawartości talerza — zupa była biała z pływającymi w środku kawałkami. Wydzielała przyjemny, intensywny aromat.

— Co to jest?

— Zupa rybna.

— Zupa rybna?

— Proszę spróbować. Jest smaczna.

— Wygląda inaczej niż nasza. Czy to danie kuchni szwedzkiej?

— Tak się składa, że nie. Norweskiej.

Skosztował trochę. Zupa była kremowa, z intensywnym posmakiem morza.

— Mmm, dobra — przyznał, smakując gęsty wywar. Skinieniem głowy pochwalił gospodynię. — Brawo, wspaniała z pani kucharka.

— Dziękuję.

— Jakie ryby pani wykorzystała?

— Och, różne. Ale nie znam ich portugalskich odpowiedników.

— A danie główne również będzie rybne?

— To jest danie główne.

— Jak to? To przecież zupa...

— Norweska zupa rybna jest bardzo pożywna. Sam pan zobaczy, że po skończeniu będzie miał pan dosyć.

Skosztował kawałek ryby. Przypominała mu witlinka, przyprawionego białym wywarem.

— Dlaczego zupa jest biała? — zdumiał się. — Nie jest ugotowana na wodzie?

— Na wodzie, ale i na mleku.

— Na mleku?

— Tak — potwierdziła. Przestała jeść i spojrzała na niego znacząco. — Wie pan, jaka jest moja największa fantazja kulinarna?

— Hmm?

— Pewnego dnia, kiedy wyjdę za mąż i będę miała dziecko, przygotuję zupę rybną na mleku z moich piersi.

Tomás omal się nie udławił.

— Co?

— Chcę przyrządzić zupę rybną na mleku z moich piersi — powtórzyła, jak gdyby powiedziała rzecz najbardziej naturalną na świecie. Położyła dłoń na prawej piersi i nacisnęła na nią tak, by sutek wyskoczył zza dekoltu. — Miałby pan ochotę spróbować?

Tomás poczuł w spodniach gigantyczną erekcję. Niezdolny wyduścić z siebie ani słowa, z wyschniętym nagle gardłem skinął potwierdzająco głową. Lena wyciągnęła spoza niebieskiego jedwabiu lewą pierś — mleczną jak zupa, z dużym jasnoróżowym sutkiem sterzącym niczym smoczek. Wstała i podeszła do profesora. Stając przy nim, przysunęła mu pierś do ust.

Nie odparł pokusy.

Objął ją w pasie i zaczął ssać wystający sutek. Jej pierś była ciepła i miękka — tak ogromna, że zanurzył w niej całą twarz. Położył ręce na obu piersiach i ścisnął je jak poduszki w zmysłowym geście, pragnąc poczuć ich przyjemną sprężystość. Kiedy ją ssał, dziewczyna rozpięła mu pasek i guzik od spodni i otworzyła suwak. Odebrawszy mu sutek, szybko zrewanżowała się inaczej — uklękła u stóp krzesła, pochyliła się nad jego członkiem i wzięła go do ust. Tomás jęknął i stracił resztkę kontroli nad sobą.

VI

Ciężkie drewniane drzwi prowadzące od strony południowej do klasztoru Hieronimitów były zamknięte dla odwiedzających. Portal stanowił jedną z najpiękniejszych części długiej, imponującej fasady, szczególnie podziw budziły jego wspaniałe koronkowe ornamenty z jasnego marmuru, w stylu gotyckim, z elementami *plateresco* * i renesansowymi. Podwójny łuk nad drzwiami zdobiły sceny religijne i świeckie, precyzyjnie wyrzeźbione w kamieniu. Nad całością dominowała rzeźba Henryka Żeglarza** wieńcząca środkowy pilaster. Liczne smukłe kolumny i pilastry przeplatane rzeźbami upiększały portal do samej góry, pnąc się strzeliście ku porannemu niebu.

* *Plateresco* — styl w architekturze hiszpańskiej rozwijający się w XV i XVI w. (odpowiednik wczesnego renesansu) charakteryzujący się podobieństwem dekoracji ornamentalnych do wyrobów złotniczych; łączył motywy mauretańskie, późnogotyckie i renesansowe.

** Henryk Żeglarz (1394–1460) — trzeci syn króla Portugalii Jana I Dobrego, uważany za twórcę portugalskiego imperium kolonialnego; mistrz zakonu Rycerzy Chrystusa, patron rozwoju floty i odkryć geograficznych, założyciel uniwersytetu w Lizbonie oraz szkoły kartografii i astronomii w Sagres.

Tomás okrążył południową fasadę klasztoru. Jasny marmur, a także górującą nad dzwonnica kopułę w kształcie mitry, inspirowaną architekturą bizantyjską, liznęły gdzieniegdzie brunatne i szare plamy brudu. Skręcił za rogiem i wszedł przez drzwi zachodnie, leżące na centralnej osi budowli, stanowiące wejście główne. Wskutek skromnego, ciasnego przedsionka i niskiego sklepienia przytłaczającego

bogate renesansowe ornamenty traciło ono jednak na znaczeniu. Przybysz minął przedsionek i znalazł się w majestatycznym kościele Santa Maria. Jego wzrok przykuł natychmiast firmament sanktuarium. Monumentalne sklepienie oparte było na smukłych, ośmiokątnych marmurowych bogato zdobionych kolumnach w kształcie ogromnych pni palm. Ich korony podtrzymywały kopułę, przeplatając się i tworząc geometryczną sieć stylizowanych gałęzi.

Nelson Moliarti, zajęty podziwianiem kościelnych witraży, dostrzegł gościa pod chórem i podszedł do niego. Jego kroki odbijały się echem w niemal pustym wnętrzu.

— Cześć, Tom — przywitał się. — Jak leci? Noronha uściśnął mu dłoń.

— Cześć, Nelsonie.

— Zdumiewający zabytek, prawda? — zapytał tamten, wykonując ręką szeroki gest. — Wpadam tu za każdym razem, kiedy jestem w Lizbonie. To miejsce nie ma sobie równych jeśli chodzi o upamiętnienie epoki odkryć geograficznych i początku globalizacji. — Pociągnął profesora do jednej z ośmiokątnych kolumn i wskazał na marmurową płaskorzeźbę. — Czy pan to widzi? To lina żeglarska. Pańscy przodkowie wyrzeźbili w kościele żeglarski sznur! — Zwrócił się w przeciwnym kierunku. — A tam są ryby, karczochy, rośliny tropikalne, a nawet liście herbaty.

Tomás uśmiechnął się na widok entuzjazmu Amerykanina.

— Dobrze znam klasztor Hieronimitów. Tematyka marynistyczna marmurowych ornamentów czyni ten styl w architekturze, zwany manuelińskim, wyjątkiem na skalę światową.

— Otóż to — zgodził się Moliarti. — To wyjątek.

— A wie pan, jak sfinansowano budowę klasztoru? Z podatków od przypraw, kamieni szlachetnych i złota, które karawele przywoziły z całego świata.

— Ach tak?

— Nazywano je pieniędzmi od pieprzu.

— Trudno to sobie wyobrazić — skomentował Amerykanin, rozglądając się wokół. — A kto zlecił budowę? Henryk Żeglarz?

— Nie, klasztor Hieronimitów pochodzi z okresu późniejszego, odpowiadającego końcowej fazie odkryć geograficznych.

— Ale czy to nie było za czasów Henryka?

— Oczywiście, że nie, Nelsonie. To właśnie Henryk zaplanował wszystko w piętnastym wieku. Ale odkrycia geograficzne osiągnęły swoje apogeum na przełomie wieków, za panowania Jana Drugiego i Manuela Pierwszego Szczęśliwego. Manuel Pierwszy zlecił budowę klasztoru Hieronimitów pod koniec piętnastego wieku. — Noronha wykonał szeroki gest. — Wie pan, kościół, w którym się spotkaliśmy, dawniej był kaplicą należącą do Krzyża Orderu Chrystusa. To tutaj w tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym siódmym roku przybył Vasco da Gama, by pomodlić się przed podróżą do Indii. W owym czasie Manuel Pierwszy marzył o władzy nad całym Półwyspem Iberyjskim i założeniu stolicy w Lizbonie. Robił wszystko, by odziedziczyć tron Kastylii i Aragonii. W tym celu opracował plan zyskania przychylności katolickich władców. Ożenił się z dwiema córkami pary panującej w Kastylii i Aragonii. Aby im się przypodobać, wypędził z Portugalii Żydów oraz zlecił budowę tego klasztoru. Nie przekazał go jednak Orderowi Chrystusa, co wydawało się oczywistym posunięciem, ale zakonowi Hieronimitów, mnichów spowiedników Izabeli I Katolickiej. Zapędy Manuela Pierwszego niemal uwieńczył sukces, kiedy to w czterysta dziewięćdziesiątym ósmym roku król został ogłoszony dziedzicem władców katolickich. Jak się później okazało, jego plany spełzyły na niczym.

Przeszli pod chórem, by podziwiać znajdujący się po lewej grobowiec Vasco da Gamy. Sarkofag wielkiego żeglarza wieńczyła naturalnej wielkości rzeźba z różowego marmuru. Postać leżała ze wzniesionymi do modlitwy dłońmi, obramowana dekoracjami z motywami lin, sfer armilarnych, karaweli, krzyża Orderu Chrystusa i innych marynistycznych symboli. Po prawej stronie, pod chórem, znajdował się grób Luisa de Camõesa, wielkiego epickiego poety epoki odkryć geograficznych. Leżąca na sarkofagu rzeźba przedstawiała go z rękami złożonymi do modlitwy i głową w koronie laurowej spoczywającą na marmurowej poduszce.

— Czy ich szczątki rzeczywiście się tam znajdują? — zapytał Mo-liarti, ze wzrokiem utkwionym w rzeźbionej trumnie Vasco da Gamy.

— Czyje?

— Vasco da Gamy i Camõesa.

Tomás się roześmiał.

— Tak opowiadamy turystom.

— Więc są tam czy nie?

— Pozwoli pan, że tak to przedstawię — powiedział Noronha, opierając się ręką o grobowiec sławnego żeglarza. — To prawie pewne, że znajdujące się w tym sarkofagu szczątki należały do Vasco da Gamy. — Wskazał ręką na przeciwną stronę. — Natomiast szczątki pośmiertne, które spoczywają w tamtym sarkofagu, niemal z pewnością nie należały do Camõesa. Ale przewodniki mówią turystom, że właśnie tutaj jest on pochowany. Wygląda na to, że idea cieszy się powodzeniem i wielu odwiedzających kupuje od razu egzemplarz dzieła *Luzjady*.

Moliarti potrząsnął głową z dezaprobatą.

— To nieuczciwe.

— Och, Nelsonie, nie bądźmy naiwni. Jak można mieć pewność, że szczątki osoby zmarłej pięćset lat temu należą rzeczywiście do niej? O ile mi wiadomo, wtedy nie było testów DNA, więc nie mamy na to gwarancji.

— Mimo wszystko...

— Czy był pan w Sewilli na grobie Kolumba?

— Tak.

— I jest pan pewien, że był w nim właśnie Kolumb?

— Tak mówią, prawda?

— A jeżeli panu powiem, że to bajka, a spoczywające w Sewilli szczątki być może wcale do Kolumba nie należały?

Amerikanin spojrział na niego pytająco.

— Nie należały?

Tomás wytrzymał jego spojrzenie i pokręcił głową.

— Niektórzy mówią, że nie.

Moliarti wzruszył ramionami.

— *Who cares?*

— Właśnie. W czym problem? Najważniejsza jest wartość symboliczna. Prawdopodobnie nie ma tam Kolumba, ale znajdujące się w grobie pozostałości reprezentują go. To trochę tak jak z grobem nieznanego żołnierza. Symbolizuje ich wszystkich, nawet dezertera czy zdrajcę.

Głównym wejściem coraz silniejszą falą zaczął napływać tłum turystów paplających nerwowym, podnieconym szeptem. Byli to Hiszpanie. Wysiedli z autokaru, który właśnie zaparkował przed klasztorom Hieronimitów. Rozleźli się po sanktuarium niczym wygłodniałe mrówki z zawieszonymi na szyjach aparatami fotograficznymi i ciastkami z Belém w dłoniach. Chaotyczny harmider, brak organizacji zwiedzania, choć mimo wszystko poszanowanie zasad, zakłóciły spokój historyków, szukających raczej cichego kąta do rozmowy.

— Chodźmy stąd — powiedział Moliarti, dając ręką sygnał. — Porozmawiamy w klasztorze.

Umknęli turystom, opuszczając kościół głównym wejściem. Skręcili w prawo, kupili w kasie dwa bilety i zapuścili się w korytarze klasztorne. Przed nimi rozpościerał się Krużganek Królewski. Oś dziedzińca ubarwiał niewielki ogród pejzażowy w stylu francuskim. Prosty i pozbawiony kwiatów — porośnięty jedynie niską trawą. Trawniki miały kształty geometryczne i otaczały niewielkie, okrągłe oczko wodne. Cały wewnętrzny dziedziniec okalały dwupoziomowe krużganki. Łuki sklepień wsparte były z każdej strony czworoboku na czterech filarach zakończonych stożkowato. Zwiedzający skręcili w lewy dolny krużganek, spacerując po zacienionej stronie. Obejrzeni koronkowe ozdoby i zachwycili się bogactwem detali płaskorzeźb. Wszędzie można było dostrzec symbole religijne, krzyże Orderu Chrystusa, sfery armilarne, tarcze i emblematy, motywy lin, zawiązanych wstęg, roślin, kolb kukurydzy, ptaków, zwierząt fantastycznych, jaszczurek, koników morskich. Między wyobrażeniami egzotycznej fauny i flory pojawiały się medaliony z popiersiami — tu profil Vasco da Gamy, tam Pedra Alvaresa Cabrala.

— Niezwykle są te krużganki — skomentował Moliarti.

— Majestatyczne — zgodził się Tomás. — Jedne z najpiękniejszych na świecie.

Podziwiali łuki dolnego korytarza, po którym krążyli bez wyraźnego celu. Dwukondygnacyjne arkady wsparte były na spiralnych kolumnach. Pilastry zewnętrzne miały delikatne, płaskie ozdoby, podczas gdy łuki arkad zdobione były koronkową, misterną dekoracją w stylu manuelińskim. Przechadzali się po krużgankach bez

pośpiechu, aż w końcu Amerykanin odwrócił uwagę od wyrzeźbionych w kamieniu symboli i spojrzął na Tomasa.

— Więc jak, Tom? Ma pan już dla mnie jakieś odpowiedzi?

Portugalczyk wzruszył ramionami.

— Nie wiem, czy raczej nie więcej pytań.

Moliarti cmoknął z niezadowoleniem.

— Tom, odliczanie zostało włączone, nie mamy czasu do stracenia. Minęły już dwa tygodnie od pana przyjazdu do Nowego Jorku, tydzień temu powrócił pan do Lizbony. Potrzebne nam szybkie odpowiedzi.

Noronha podszedł do fontanny na dziedzińcu. Był na niej wyrzeźbiony lew — zwierzę z legendy o świętym Hieronimie. Siedział z podniesionymi przednimi łapami, a z paszczy tryskał mu strumyk wody szmerzący nieustannie relaksującym bulgotaniem. Tomás włożył dłoń do zimnej krystalicznej wody, ale na rzeźbę nie zwrócił uwagi. Jego umysł zaprzętały inne, ważniejsze sprawy.

— Proszę posłuchać, Nelsonie. Nie wiem, czy usatysfakcjonuje pana to, co przygotowałem, ale jest to rezultat pracy nad zagadką profesora Toscano.

— Zdołał pan odcyfrować tę wiadomość? — zapytał przedstawiciel fundacji.

Profesor usiadł na kamiennym parapecie pod łukiem galerii, tyłem do dziedzińca. Przed sobą miał solidny blok marmuru, który okazał się nagrobkiem Fernanda Pessoa*.

* Fernando Antonio Nogueira Pessoa (1888—1935) — poeta portugalski, przedstawiciel modernizmu. Autor m.in.: *Antinous* (1918), *English Poems* (1921), *Mensagem* (1933, jedyny zbiór poezji opublikowany w jęz. portugalskim).

— Tak — powiedział. Wyjął z teczki dokumenty i szukał jednej z kartek. Znalazł ją i pokazał Moliartiemu, który usiadł obok niego. — Widzi pan to?

Wskazał na niektóre z odręcznie napisanych dużymi literami słów.

— MOLOC — przeczytał Nelson pierwszy wiersz. A dalej: — NINUNDIA OMASTOOS.

— To kserokopia pozostawionego przez Toscano szyfru — wyjaśnił Tomás. — Przez kilka dni męczyłem się z tą szaradą, myśląc, że to kod, ewentualnie szyfr zastępczy, chociaż ta ostatnia hipoteza

wydawała mi się mniej prawdopodobna. Ale prawda jest taka, że chodziło o pewien rodzaj szyfru. — Spojrzał na swego rozmówcę. — Wie pan, co to jest anagram?

— Nie. — odrzekł Amerykanin.

— Anagram to słowo lub zdanie powstałe w wyniku przestawienia liter innego wyrazu lub zdania. Na przykład „tyran” to anagram wyrazu „narty”. W obu słowach występują te same litery, ale w innej kolejności. Rozumie pan?

— Aha — pojął Moliarti. — Czy tak dzieje się również w języku angielskim?

— Oczywiście, we wszystkich językach posługujących się pismem alfabetycznym — wyjaśnił Tomás. — Zasada jest wszędzie ta sama.

— Nie znam żadnego przykładu.

— Naturalnie, że pan zna. W języku angielskim istnieje wiele słynnych anagramów. Na przykład: „Elvis” to anagram słowa „lives”. „Funeral” to anagram wyrażenia „real fun”.

— Bardzo ciekawe — skomentował Nelson poważnie. — Ale co to ma wspólnego z badaniami profesora Toscano?

— To, co nam pozostawił, to właśnie anagram, w pierwszej linijce całkiem prosty, z tych, w których pierwsza litera zajmuje miejsce ostatniej, druga przedostatniej i tak dalej, jak w odbiciu lustrzanym. — Ponownie pokazał kopię zaszyfrowanej wiadomości. — Widzi pan? „Moloc” trzeba czytać „Colom”. Natomiast „Ninundia omastoos” to anagram bardziej skomplikowany. Jego odgadnięcie wymaga czytania liter określonym ciągiem. A rozwiązanie to „Nomina sunt odiosa”.

— Zdanie Rzymianina.

— Owidiusza.

— Co ono znaczy?

— Jak już panu wyjaśniłem, *nomina sunt odiosa* to inaczej: nazwiska są niepożądane.

— A Colom?

— To nazwisko.

— Niepożądane nazwisko?

— Tak.

— A kim jest ten typ?

— Krzysztof Kolumb.

Moliarti przez długą chwilę patrzył na Tomasa.

— Niech mi pan wyjaśni tak, żebym dobrze zrozumiał — powiedział w końcu, drapiąc się po brodzie. — Co profesor Toscano chciał przez tę zagadkę powiedzieć?

— To, że nazwisko Colom było niepożądane.

— Tak, ale jaki to zdanie ma sens?

— To była część najtrudniejsza do odgadnięcia, biorąc pod uwagę, że interpretacje mogą być różne — przyznał Tomás. Wyjął z teczki kolejną kartkę i pokazał ją Amerykaninowi. Była to kserokopia łacińskiego tekstu. — Aby poznać znaczenie tego cytatu, porównałem go z oryginalnym tekstem *Heroid*. Wygląda na to, że zdaniem Owidiusza nie powinno się lekkomyślnie podawać nazwisk osób, jeżeli w grę wchodzi fakty wstydlive lub bardzo poważne w skutkach.

Nelson wziął kartkę do ręki i dokładnie się jej przyjrzał.

— Czy nazwisko Kolumba ma związek z jakimiś wstydlivymi faktami?

— Nazwisko Kolumb nie, ale Colom tak.

— *Gee, man!* — wykrzyknął Moliarti, potrząsając głową. — Nic nie rozumiem. Przecież mówił mi pan, że Colom to Kolumb?

— Tak, ale z jakiegoś powodu profesor Toscano chciał zwrócić uwagę na nazwisko Colom. Jeżeli nie miałoby ono żadnego znaczenia, napisałby po prostu Kolumb. Mimo to napisał Colom. Stało się tak, ponieważ coś to oznacza.

— Ale co?

— To, że właśnie to jest owo niepożądane nazwisko.

— Ależ Tom, w jakim stopniu niepożądane? Nie pojmuję.

— Identyczne pytanie sam sobie zadałem. Co szczególnego jest w nazwisku Colom, by profesor Toscano wskazywał je jako niepożądane?

Obydwaj patrzyli na siebie. Pytanie zawisło pomiędzy nimi niczym ciężka chmura, a oni czekali, aż zamieni się w rześisty deszcz.

— Mam nadzieję, że znalazł pan na to odpowiedź — wymruczał w końcu Moliarti.

— Znalazłem, jak również wiele nowych pytań. — Tomás przekartkował swoje notatki. — To, czym się ostatnio zajmowałem, to

badania nad pochodzeniem nazwiska Krzysztofa Kolumba. Jak panu wiadomo, odkrywca przebywał przez dziesięć lat w Portugalii, gdzie nauczył się wszystkiego o nawigacji po Oceanie Atlantyckim. Mieszkał na Maderze i ożenił się z Filipa Moniz Perestrelo, córką żeglarza Bartolomeu Perestrelo, pierwszego mianowanego kapitana wyspy Porto Santo w archipelagu Madery. W owym czasie Portugalia była najbardziej zaawansowanym w żegludze krajem na świecie, posiadała najlepsze statki, najbardziej dokładne przyrządy nawigacyjne, najnowszą broń. To tutaj znajdowało się źródło wiedzy. Opracowany przez Henryka Żeglarza plan polegał na znalezieniu morskiej drogi do Indii po to, aby odebrać Wenecji monopol na handel przyprawami ze Wschodu. Wenecjanie zawarli z imperium otomańskim kontrakt na wyłączność. Inne miasta-państwa włoskie, a zwłaszcza pokrzywdzone tą umową Genua i Florencja, popierały starania Portugalii. W tych okolicznościach w tysiąc czterysta osiemdziesiątym trzecim roku Genueńczyk Kolumb zaproponował Janowi Drugiemu, że zakładając kulistość Ziemi, podejmie się żeglugi na zachód aż do Indii, zamiast kierować się na południe, by opłynąć Afrykę. Portugalski władca doskonale wiedział, że Ziemia jest okrągła, lecz zdawał sobie również sprawę, iż jest znacznie większa, niż Kolumbowi się wydawało. Droga na zachód była zbyt długa. Dzisiaj wiemy, że to Jan Drugi miał rację, a nie Kolumb. Wtedy to Genueńczyk, któremu zmarła wówczas portugalska żona, udał się do Hiszpanii, aby zaferować swoje usługi władcom katolickim.

— Tom — uciał Moliarti — ale dlaczego pan mi to wszystko opowiada? Dzieje Kolumba są mi bardzo dobrze znane...

— Chwileczkę — uspokoił go Noronha. — Niech mi pan pozwoli przedstawić odpowiedni kontekst tego, co mam panu do wyjawienia. Ogólny zarys historii Kolumba jest ważny, ponieważ istnieje coś dziwnego, co związane jest z jego nazwiskiem, co jest ważne zarówno w jego życiu, jak i w szaradzie pozostawionej przez profesora Toscano.

— *All right, go on.*

— Świetnie — odrzekł Tomás. Zrobił pauzę, by powrócić do miejsca, w którym przerwał opowieść. — Jak mówiłem, Kolumb udał się do Hiszpanii. Wiedzieć trzeba, że rządzą tam wtedy królowa Izabela

Kastylijska i król Fernando Aragoński, tak zwani Władcy Katolicy, którzy swoim małżeństwem połączyli dwie korony i dwa królestwa. W tamtym okresie kraj zaangażowany był w kampanię wojenną, której celem było wypędzenie Arabów z Półwyspu Iberyjskiego. Królowa jednak wysłuchała Kolumba z zainteresowaniem. Żeglarz poddał swój projekt analizie komisji mędrców Kolegium Dominikańskiego. Problem polegał na tym, że Hiszpanie w kwestiach nauki byli bardzo opóźnieni w stosunku do Portugalczyków. Po czterech latach studiów nad tematem domniemani mędracy doszli do wniosku, że pomysł żeglugi na zachód w poszukiwaniu Indii był nie do zrealizowania, ponieważ w ich opinii Ziemia była płaska. W tysiąc czterysta osiemdziesiątym ósmym roku Kolumb powrócił do Portugalii, został przyjęty przez o wiele bardziej światłego Jana Drugiego i ponowił swoją propozycję. Tyle że kiedy znalazł się w Lizbonie, był świadkiem powrotu Bartolomeu Diasa z nowiną o opłynięciu Afryki i odkryciu przejścia z Oceanu Atlantyckiego na Indyjski, które otwierało upragnioną bezpośrednią drogę do Indii. Naturalnie, w obliczu tego faktu projekt Kolumba stracił sens. Z jakiego powodu król portugalski miałby inwestować w długą i niepewną wyprawę na zachód, jeśli miał do dyspozycji nowo odkryty skrót na południu? Zniechęcony Kolumb wrócił do Hiszpanii, gdzie poślubił Beatriz de Arana. Tymczasem, w tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym drugim roku, Arabowie poddali Granadę, a chrześcijanie opanowali cały Półwysep Iberyjski. W euforii zwycięstwa królowa Kastylii dała Kolumbowi zielone światło i żeglarz wyruszył w podróż, której owocem było odkrycie Ameryki.

— Tom, niech pan mi powie coś nowego — nalegał Amerykanin.

— Zrelacjonowałem to wszystko, aby jasno ustalić związek Krzysztofa Kolumba z krajami iberyjskimi, zarówno Kastylią, jak i Portugaliją. Jak pan widzi, nie był on przelotny, ale głęboki.

— To już zrozumiałem.

Noronha odłożył notatki oraz przyniesione dokumenty i spojrzał na Moliartiego.

— Jeżeli pan rozumie, to proszę mi wyjaśnić jedną rzecz — rzekł.

— Skoro Portugalczycy i Kastylijczycy byli tak głęboko związani z Kolumbem, to dlaczego nigdy go tak nie nazywali?

— Słucham?

— W piętnastym wieku, kiedy żeglarz przebywał w Portugalii i Kastylii, nikt nigdy nie nazywał go Kolumbem.

— Nigdy nie mówili do niego Kolumb? Co pan chce przez to powiedzieć?

— Nie istnieje żaden dokument, portugalski bądź kastylijski, w którym występuje nazwisko Kolumb. Pierwszy tekst portugalski, w którym pojawia się odniesienie do Colonbo, przez „n”, to *Crònica de D. João II*, autorstwa Ruy de Piny, napisana na początku szesnastego wieku. Przedtem żaden Portugalczyk nie nazywał go Kolumbem.

— Więc jak na niego mówiono?

— Colom albo Colon.

Moliarti przez długą chwilę pozostawał w milczeniu. — Co to oznacza?

— Zaraz do tego dojdziemy — powiedział Tomás, ponownie wertując notatki. — Przeglądałem ówczesne dokumenty i odkryłem, że Kolumb opisywany jest jako Christovam Colom lub Colon. Imię czasem zdrabniano do Xpovam. Kiedy żeglarz udał się do Hiszpanii, ci zaczęli zwracać się do niego per Colomo, co szybko ewoluowało do Christóbal Colon, a imię Christóbal skrócono do Xpoval. Ale nigdy Kolumb. Nigdy, nigdy. — Przeszukał plik papierów. — Niech pan spojrzy. — Wyciągnął kartkę, której szukał. — To kserokopia listu księcia de Medinaceli do kardynała Mendozy z datą dziesiętnastego marca tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego trzeciego roku, przechowywanego pod sygnaturą dokumentu numer czternaście w archiwum w Simancas. Proszę zauważyć, co tu jest napisane. — Wskazał na znajdujące się na kartce zdanie. — „Gościłem w moim domu przez długi czas Cristóbalu Colomo, który przybył z Portugalii i pragnął udać się do króla Francji”. — Podniósł głowę. — Widzi pan? Tutaj jest Colomo. Ale, co dziwne, dalej w tym samym liście książę nazywa go inaczej. — Wskazał na kolejny fragment. — Tutaj. Cristóbal Guerra. — Ponownie spojrzął pytająco na Moliartiego. — Guerra? Więc w końcu jak: Kolumb, Colom, Colon, Colomo czy Guerra?

— Czy ten Guerra nie był czasem innym człowiekiem o imieniu Cristóbal?

— Nie, list księcia jasno daje do zrozumienia, że ów Guerra to nasz Kolumb. Niech pan popatrzy. — Rozprostował odbitkę ksero, aby lepiej odczytać. — Książę pisze: „W owym czasie Cristóbal Guerra i Pedro Alonso Niño wyruszyli na poszukiwania, co tak właśnie potwierdza naoczny świadek, razem z flotą Hojedy i Juana de la Cosy”. — Spojrzał na Nelsona. — Rzeczony Cristóbal, który dokonywał odkryć wraz z Niño, Hojedą i la Cosą, był Kolumbem, co wie pan doskonale.

— Być może to nieścisłość, pomyłka.

— Z pewnością jest to nieścisłość, ale nie sądzę, by był to błąd. A wie pan dlaczego? — Tomás kolejny raz przeszukał plik papierów i znalazł dwie kserokopie. Pierwszą z nich pokazał Amerykaninowi. — To jest fragment pierwszego wydania *Legatio Babylonica* Pietra Martire d’Anghiery z roku tysiąc pięćset piętnastego. W tekście tym d’Anghiera mówi, że Kolumb, vel Colom, vel Colomo, vel Colon, vel Colonus, vel Guerra naprawdę nazywał się Guiarra. — Przedstawił drugą kopię. — A to jest wycinek z drugiego wydania *Legatio Babylonica* d’Anghiery, tym razem zatytułowanego *Psalterium* i noszącego datę tysiąc pięćset trzydziesty rok. Tutaj identyfikacja nieco się zmienia. Pojawia się „Colonus vero Guerra”. — Profesor szukał gorączkowo jeszcze jednej kartki. — To jest dokument numer trzydzieści trzy z archiwum w Simancas, z datą dwudziestego ósmego czerwca tysiąc pięćsetnego roku. Zawiera rozkaz skierowany do niejakiego Afonsa Álvaresa, któremu „Ich Wysokości każą udać się wraz z Xprovałem Guerra do nowo odkrytej ziemi”. — Ponownie spojrzął na Moliartiego. — Jeszcze raz nazwisko Guerra.

— To już trzy dokumenty określające go jako Guerra — zauważył Amerykanin.

— Cztery — poprawił Tomás, ponownie poświęcając uwagę notatkom. — Po śmierci Kolumba jego portugalski syn, Diogo Colom, starając się o prawa po ojcu, wytoczył proces sądowy przeciwko koronie Kastylii, o którym wiadomo z dokumentu pod tytułem *Pleyto con la Corona*. Przesłuchania rozpoczęły się w roku tysiąc pięćset dwunastym na karaibskiej wyspie São Domingos, a zakończyły w Sewilli w tysiąc pięćset piętnastym. W owym procesie przesłuchano wszystkich marynarzy i kapitanów uczestniczących w odkryciu Ameryki pod

przysięgą składaną z ręką na Biblii. — Noronha wyjął z pliku następną kartkę. — To jest kserokopia zeznania głównodowodzącego Nicolasa Pereza. Powiedział on przed sądem, z ręką na Biblii, że „prawdziwe nazwisko Colona było Guerra”.

— Więc mówi mi pan, że za swego życia Kolumb nie był znany jako Kolumb, lecz jako Guerra?

— Nie, niekoniecznie. Staram się przekazać, że z jakiegoś powodu miał on wiele nazwisk, ale żadne z nich nie brzmiało Kolumb. — Profesor wykonał w powietrzu nieokreślony gest. — Wie pan, nie zachowały się praktycznie żadne dokumenty dotyczące pobytu Kolumba w Portugalii, co jest dosyć tajemnicze, ale o ile udało mi się zrozumieć, w tym kraju znany był jako Colom lub Colon. Do Hiszpanii wyjechał w tysiąc czterysta osiemdziesiątym czwartym roku i tam zaczęto go nazywać Colomo. Dopiero osiem lat później Kastyljczycy przechrzcili go na Colon.

— Osiem lat później?

— Tak. Pierwszym hiszpańskim dokumentem, w którym na piśmie pojawia się nazwisko Colon bez akcentu w drugiej sylabie, jest *Provisión* z trzydziestego kwietnia tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego drugiego roku. A dopiero po śmierci żeglarza, w tysiąc pięćset szóstym roku, dodano akcent nad drugim „o”, co w rezultacie dało Colón.

— Cristóbal Colón.

— Tak. Ale uwaga, nawet imię Kolumba ma swoją historię. Portugalczycy zazwyczaj nazywali go Cristofom lub Cristovam, podczas gdy Włosi woleli Cristoforo. Co ciekawe, Pietro d’Anghiera w swoich dwudziestu dwóch listach, w których wspomina o Kolumbie, nazywa go zawsze Cristophom Colonus, nigdy Cristoforo. Sam papież Aleksander Szósty, w ramach traktatu z Tordesilhas, wydał dwie bulle o tym samym tytule, *Inter caetera*, w których używa kastyljskiej wersji nazwiska. W pierwszej bulli, noszącej datę trzeciego maja tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego trzeciego roku, nazywa żeglarza Crhistofom Colon, a w drugiej, z dwudziestego ósmego czerwca, Crhistoforu Colon. Taka ewolucja jest ciekawa, ponieważ Crhistofom to ewidentnie Cristofom lub Cristovam po portugalsku. Crhistoforu z kolei to imię łacińskie, od którego pochodzą antroponimy: portugalski Cristovam i hiszpański Cristóbal.

— A Guerra?

— Zrozumiemy się dobrze. Kolumb wszędzie znany był jako Cristofom albo Cristovam. Jego nazwisko brzmiało Colom lub Colon, a nawet Collon, przez dwa „l”. Po jego przybyciu do Hiszpanii zmieniło się na Colomo. Począwszy od tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego drugiego roku, Hiszpanie zaczęli nazywać go przede wszystkim Cristóbal Colon, chociaż tu i tam ponownie pojawiało się Colom. — Profesor wyjął jedną z kserokopii. — Na przykład w tym łacińskim wydaniu publikacji zawierającej listy opisujące odkrycie Nowego Świata, datowane na rok tysiąc czterysta dziewięćdziesiąty trzeci, ponownie wraca Colom. Istnieje więcej podobnych przykładów, ale warto poświęcić uwagę jeszcze temu. — Przedstawił kolejny dokument. — To wycinek z publikacji petycji złożonej przez admirała w Santo Domingo i przedstawionej w tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym ósmym roku. Również tutaj pojawia się Colom. — Tomás schował obie kserokopie. — Jak już mówiłem, istnieją także cztery dokumenty, w których znajdują się domyślne lub dosłowne wzmianki, jakoby Colom nie było prawdziwym nazwiskiem żeglarza. Poprawnym nazwiskiem powinno być Guerra. Mamy więc: Guiarra, Guerra, Colonus, Colom, Colomo, Colon i Colón.

— Ale po co tyle nazwisk?

Noronha przekartkował notatnik.

— Wydaje mi się, że jest tu jakaś tajemnica — powiedział. — Hiszpański syn Kolumba, Hernando, zrobił kilka interesujących uwag na temat nazwiska ojca. — Profesor skoncentrował się na pełnej notatek kartce. — W jednym z fragmentów swojej książki Hernando napisał: „Nazwisko Colón, które ponownie przyjął”. W innej części jest następujące zagadkowe zdanie, które spróbuję przetłumaczyć: „Moglibyśmy przytoczyć wiele nazwisk; na przykład tych, które zostały przyjęte nie bez ukrytego powodu, aby mogło nastąpić coś, co powinno jako to, co zostało przewidziane”. — Spojrzał na Amerykanina. — Widzi pan? Po pierwsze, owo „ponownie przyjął” sugeruje, że Kolumb wielokrotnie zmieniał nazwisko. Gdyby było tylko „przyjął”, odnosiłoby się do jednego razu. Ale „ponownie przyjął” daje do zrozumienia, że nastąpiło to po raz kolejny, czyli doszło do więcej niż jednej zamiany.

Po drugie, co można by powiedzieć o zdaniu: „Moglibyśmy

przytoczyć wiele nazwisk; na przykład tych, które zostały przyjęte nie bez ukrytego powodu...”. Wiele nazwisk? Ukryty powód? Ależ co to, do licha, za tajemnica? Jakie nazwiska? Jaki ukryty powód? O co chodzi w tym, że te liczne nazwiska zostały przyjęte, „aby mogło nastąpić coś, co powinno jako to, co zostało przewidziane”? Czyżby Hernando dawał do zrozumienia, że jego ojciec przyjmował kolejne fałszywe nazwiska, tak aby miały związek z przepowiedniami? Które z nich w końcu było prawdziwe?

— Hmm — wymruczał Moliarti. — Skąd więc w tym wszystkim pojawia się nazwisko Kolumb?

Tomás ponownie zatopił się w notatkach.

— Pierwszy tekst, w którym występuje wzmianka o nazwisku Kolumb, pochodzi z tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego czwartego roku. Wszystko zaczęło się od listu napisanego przez żeglarza rok wcześniej z Lizbony, w którym ogłasza odkrycie Ameryki. List ten opublikowano w wielu miejscach. Na ostatniej stronie wydania z Bazylei z tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego czwartego roku jeden z biskupów włoskich dodał epigram, gdzie przeczytać można: *merito referenda Columbo Gratia*, latynizując tym samym nazwisko Colom. Tę nową wersję ponownie zastosował weneccjanin Marcantonio Coccio, znany powszechnie jako Sabellico, w swoich *Sabellici Enneades* z tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego ósmego roku. Sabellico podaje tożsamość żeglarza jako *Christophorus cognomento Columbus*, choć nie znał go osobiście, więc zapewne czerpał inspirację ze słynnego epigramu. Istnieje także list weneccjanina Angela Trevisana do Domenica Malipera, z sierpnia tysiąc pięćset pierwszego roku, w którym, cytując pierwsze wydanie *Decades* Pietra d’Anghiery z tysiąc pięćsetnego roku, mowa o tym, że autora łączyła wielka przyjaźń „z żeglarzem, którego nazywał Christophoro Colombo Genueńczyk”. Problem polega na tym, że analizując inne listy d’Anghiery, odnosi się wrażenie, jakby nie znał on osobiście Kolumba, gdyż pisze o nim „niejaki Cristovam Colon”. Nasuwa się przekonanie, że Trevisano sfałszował tekst d’Anghiery — dostosowując go do gustów czytelników włoskich, przekształcił nazwisko Kolumba. Istnieje także wzmianka o jednej z księzek Trevisana, pod tytułem *Libretto di tutte le Navigazioni di Re de Spagna*, opublikowanej w tysiąc pięćset

czwartym roku i opartej na kopiach listów królewskiego kapelana i wikariusza. Nie zachował się wprawdzie żaden z egzemplarzy tej książki, ale współczesny mu Francesco da Montalboddo potwierdził, że Trevisano przedstawił w niej Kolumba jako Cristoforo Colombo Zenoveze. Kłopot w tym, że ów tekst Trevisana nie dotarł do nas w swoim oryginalnym wydaniu. Najstarsza posiadana przez nas kronika, w której nazwisko Kolumb odnosi się do odkrywcy Ameryki, to *Paesi nuovamente ritrovati*, opublikowana przez Montalbodda w tysiąc pięćset siódmym roku. Studiowałem to dzieło w Bibliotece Narodowej w Rio de Janeiro. Była to w swoim czasie książka bardzo popularna, na miarę tego, co dzisiaj nazwalibyśmy bestsellerem. Zawierała nawet pierwszy opis odkrycia Brazylii przez Pedra Alvaresa Cabrala, co pomogło rozpowszechnić drugie kłamstwo: jakoby odkrywcą Nowego Świata był Amerigo Vespucci.

— Drugie kłamstwo? A jakie było pierwsze?

Tomás popatrzył ze zdziwieniem na swego rozmówcę.

— Czy to nie oczywiste? Pierwszym jest to, że Colom nazywał się Kolumb.

— Na jakiej podstawie pan to twierdzi?

— Uciekając się po prostu do zdrowego rozsądku. Faceta przez całe życie nazywano różnymi innymi nazwiskami, przede wszystkim Colom i Colon. Dopiero później pojawiają się jacyś Włosi, którzy go osobiście nie znali. Jeden z nich cytuje listy pewnego wikariusza i powołuje się na podejrzaną tłumaczenie obecnie niedostępnego wydania *Decades d'Anghiery*. Utrzymują oni, że w końcu nie nazywał się Colon, a Kolumb. Jak moglibyśmy nazywać go Kolumbem, jeżeli on sam we wszystkich podpisywanych przez siebie dokumentach określał się jako Colom lub Colon?

— Co?

— Nie wiedział pan? W żadnym ze znanych dokumentów nigdy odkrywca Ameryki nie określał siebie mianem Kolumba ani nawet nie wspominał o łacińskiej wersji, Columbus. Nigdy. Nie zachował się ani jeden dokument dotyczący historii genueńskich wypraw morskich, w którym znajdowałaby się wzmianka o istnieniu żeglarza o takim nazwisku. Pierwszym znanym tekstem, w którym Kolumb sam

się przedstawia, jest list wysłany w roku tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym trzecim bezpośrednio po odkryciu Ameryki do niejakiego Rafaela Sancheza, który miał go przekazać Władcom Katolickim. W owym liście żeglarz przedstawiał się jako „Christofori Colom”. Colom, z „m” na końcu. Później w swoim testamencie wyjaśnił, że należał do rodziny Colonów, a nie Kolumbów. — Noronha się uśmiechnął. — Czyż nie jest zatem jasne jak słońce, że nazwisko Kolumb urwało się z choinki?

— Jeśli tak, to dlaczego do dzisiaj nazywamy go Kolumbem?

— Tak samo jak do dzisiaj nazywamy Amerykę kontynent, którego wcale nie odkrył Amerigo Vespucci. To proste powtarzanie popełnionego na początku błędu. Spójrzmy. We wszystkich dokumentach Kolumb określał się jako Colom lub Colon. Współcześni mu, włącznie z ludźmi, którzy znali go osobiście, czynili tak samo lub nadawali mu inne nazwiska, takie jak Colomo, Colonus, Guiarra i Guerra. Pojawił się jednak jakiś włoski biskup, który doszedł do wniosku, że łacińskim odpowiednikiem nazwiska Colom będzie Kolumb. Po nim pojawił się niejaki Sabellico, który Kolumba nie znał, nigdy się z nim nie spotkał ani z nim nie rozmawiał, i na podstawie owego błędnego tłumaczenia podtrzymywał nazwisko Kolumb. Niewiele później zrobił to samo inny weneccjanin, Trevisano. A kolejny Włoch, Montalboddo, który również osobiście nie znał Kolumba, posłużył się tekstem Trevisana i rozpowszechnił go w swoim dziele *Paesi nuovamente ritrovati*, wydanym w tysiąc pięćset siódmym roku, rok po śmierci żeglarza. *Paesi* było niewątpliwie sukcesem wydawniczym, wszyscy czytali Montalbodda i nagle Colom zaczął uchodzić za Kolumba. Tak się to przyjęło, że kronikarz portugalski Ruy de Pina w *Crònica do Rei D. João II* określił go tym samym, nowym nazwiskiem.

— Ale skąd pan wie, że biskup włoski nie mówił prawdy?

— Jeszcze na tej samej stronie wydania z Bazylei, gdzie napisał „Kolumb”, widnieje także nazwisko Colom. W języku hiszpańskim *colom* oznacza „gołąb”. — Profesor obrzucił Moliartiego pytającym spojrzeniem. — Niech pan powie, jak po włosku mówi się gołąb...?

— *Colombo*.

— A po łacinie?

— *Columbus*.

— Widzi pan? Biskup znający hiszpański pomyślał, że nazwisko Colom powinno znaczyć „gołąb”. Chciał je zlatynizować, więc napisał Columbo.

— Właśnie — potwierdził Amerykanin. — Jeśli *colom* oznacza „gołąb”, to po włosku poprawnie brzmi to *colombo*. Colombo byłoby więc odpowiednikiem nazwiska Colom w przekładzie na włoski.

— Byłoby, jeśli oczywiście *colom* oznacza „gołąb”.

— A nie? Więc co oznacza?

Tomás przekartkował notatnik.

— Po raz kolejny sam syn Kolumba, Hernando Colón, udziela nam wyjaśnień co do pochodzenia nazwiska ojca: *Por consiguiente, le vino a propòsito el sobrenome de Colón, porque en griego quiere decir miembro**.

* Konsekwentnie, jeśli chodzi o nazwisko Colón, ponieważ po grecku oznacza ono „członek”.

— Nie rozumiem.

— Jak po grecku wymawia się „członek”?

— Czy ja wiem...

— *Kolon*.

— *Coloni*

— *Kolon*, przez „k”. Inaczej mówiąc, Colom nie odnosi się do *colombo*, „gołębia”, a do *kolon* „członka” — Noronha zerknął na notatki. — Co więcej, Hernando Colón w tym samym fragmencie, w którym podaje, że nazwisko Colón pochodzi od greckiego słowa *kolon*, czyli „członek”, wyjaśnia jednocześnie: „Jeżeli chcemy doszukiwać się łacińskiego odpowiednika jego nazwiska, to jest nim Christophorus Colonus”. — Uśmiechnął się do Moliartiego. — Widzi pan? Hernando powiedział, że łacińskim tłumaczeniem nazwiska Colón nie powinno być Columbo ani Columbus, lecz Colonus. Naturalnie byłoby inaczej, gdyby pochodziło ono od *colombo* i oznaczało „gołąb”. Generalnie chodzi o to, że jakiegokolwiek byłoby jego prawdziwe nazwisko, na pewno nie brzmiało ono Kolumb.

— Z tego wynika, że brzmiało Colonus, tak?

Portugalczyk pochylił głowę i zrobił sceptyczną minę.

— Prawdopodobnie. Tyle że Colonus może być także niczym więcej niż pseudonimem. Proszę przypomnieć sobie słowa Hernando: „Moglibyśmy przytoczyć wiele nazwisk; na przykład tych, które zostały przyjęte nie bez ukrytego powodu, aby mogło nastąpić coś, co powinno jako to, co zostało przewidziane”. Żeglarz wybierał więc nazwiska, które coś przepowiadały.

— A jakie proroctwo kryje się za nazwiskiem Colonus?

— Na to pytanie odpowiada nam Hernando: „Prosząc o pomoc Chrystusa, by go wspierał w niebezpieczeństwach podróży, on sam i jego ministrowie starali się przekształcić lud Indii w członków triumfującego kościoła niebieskiego. Albowiem wierzyć trzeba, że wielu z nich stało się mieszkańcami nieba, a wieczna chwała rajy ich udziałem”. Inaczej mówiąc, wybór padł na nazwisko Colonus, ponieważ przepowiadało narzucenie Indiom wiary chrześcijańskiej.

— Hmm! — Wyraz twarzy Moliartiego wyraźnie wyrażał sprzeciw.

— Według pana na tym polegało odkrycie profesora Toscano?

— Bez cienia wątpliwości mogę stwierdzić, że pozostawiając przesłanie: *Nomina sunt odiosa*, Toscano chciał powiedzieć, że nazwisko Colom było niepożądane lub też niefortunna była jego interpretacja.

— I to wszystko?

— Myślę, że jest jeszcze coś. Jak już wspomniałem, Owidiusz napisał zdanie *Nomina sunt odiosa* w kontekście, że nie powinno się lekkomyślnie cytować nazwisk, jeżeli w grę wchodzi sprawy wstydlive lub bardzo poważne. Ewidentnie profesor Toscano sugerował związek pomiędzy Colomem a jakimś faktem o wielkim znaczeniu.

— Odkryciem Ameryki.

— Jednak wydarzenie to jest już nam znane, Nelson. Przypuszczam, że Toscano odniósł się do czegoś innego, do czegoś, co nie należy jeszcze do powszechnej wiedzy.

— Do czego zatem?

— Gdybym to wiedział, mój drogi, już bym pana o tym poinformował, prawda?

Amerykanin poruszył się niecierpliwie na kamiennym parapecie; wyraźnie było mu niewygodnie i zaczął się irytować.

— Wie pan, Tom — rzekł. — Nie ma to nic wspólnego z odkryciem Brazylii.

— Oczywiście, że nie.

— Więc z jakiego powodu profesor Toscano tracił czas na Kolumba?

— Coloma.

— *Whatever*. Dlaczego na te badania przepuszczał nasze pieniądze?

— Nie wiem. — Tomás położył lewą rękę na sercu. — Jedno jest dla mnie jasne. Jak widać, nie istnieje jakikolwiek związek pomiędzy badaniami profesora Toscano a odkryciem Brazylii, co stanowi pewien praktyczny problem. Czy warto kontynuować te poszukiwania? Niezależnie od tego, jakiego odkrycia dokonał Toscano, wszystko wskazuje na to, że nie zostanie to podane do wiadomości publicznej przed dwudziestym drugim kwietnia. Przede wszystkim dlatego, że nie ma nic wspólnego z pięćsetletnią rocznicą podróży Pedra Alvaresa Cabrala. — Spojrzał Moliartiemu w oczy. — Czy życzy pan sobie, bym dalej prowadził badania?

Amerykanin się nie zawahał.

— Oczywiście, że tak — odrzekł. — Fundacja będzie chciała wiedzieć, czym profesor zajmował się tyle czasu, trwoniąc jej pieniądze.

— Co prowadzi nas do problemu numer dwa. Nie mam więcej materiałów badawczych.

— Jak to? A co z dokumentami i zapiskami profesora Toscano?

— O jakich dokumentach i zapiskach pan mówi? Przeanalizowałem już wszystko, co pozostawił w Brazylii.

— Ale profesor prowadził znacznie więcej poszukiwań w Europie.

— Aha, to co innego. Gdzie dokładnie?

— Tu, w Lizbonie, odwiedzał Bibliotekę Narodową i Archiwum Torre do Tombo. Potem udał się do Hiszpanii i Włoch.

— W poszukiwaniu?

— Tego nigdy nam nie powiedział.

Tomás zamyślił się, błędząc wzrokiem po koronkowych arkadach krążanków.

— Hmm — wymruczał. — Gdzie znajdują się jego notatki?

— Przypuszczam, że w domu, u żony.

— A czy poprosiliście ją już o te dokumenty? Mają kluczowe znaczenie w badaniach.

Moliarti potrząsnął głową zniechęcony.

— Nie.

— Nie? — zdziwił się Tomás. — Dlaczego?

Po twarzy Amerykanina przemknął nerwowy tik.

— Wie pan, postępowanie profesora Toscano wywołało między nami duże napięcie. Wyklócaliśmy się z nim, ponieważ wymagaliśmy okresowych sprawozdań z pracy, a on odmawiał ich wykonania. Rzecz jasna, to napięcie przeniosło się także na relacje z żoną, które stały się równie trudne.

Noronha się roześmiał.

— Po prostu nie może na was patrzeć.

Nelson westchnął z przygnębieniem.

— Właśnie tak.

— Więc co robimy?

— Niech pan do niej pójdzie.

— Ja?

— Tak, oczywiście. Pana nie zna. Nie wie, że pracuje pan dla fundacji.

— Wybacz, ale tak być nie może. Mam iść do domu zmarłego i oszukać wdowę?

— A jakie mamy wyjście?

— Czy ja wiem? Porozmawiajcie z nią, wyjaśnijcie, o co chodzi, dojdźcie do porozumienia.

— To nie takie proste. Sprawy między nami stanęły w miejscu, z którego nie ma odwrotu. To pan będzie musiał tam pójść.

— Ależ to niemożliwe. Nie mam zamiaru oszukiwać staruszki...

Moliarti rzucił mu twarde spojrzenie nieustępliwych oczu. Nie był już sympatyczny, swobodny Amerykanin, ciepły, o przyjemnym sposobie bycia. Zamiast niego pojawił się bezlitosny człowiek interesu.

— Tom, płacimy panu dwa tysiące dolarów tygodniowo. Dodatkowo otrzyma pan nagrodę w wysokości pół miliona dolarów, jeśli uda się panu odzyskać tajne badania profesora Toscano. Chce pan tych pieniędzy czy nie?

Tomás zawahał się, przybity chłodnym tonem swojego rozmówcy.

— Ee... oczywiście, że chcę.

— Więc pójdzie pan do *fucking* domu *fucking* Toscano i wydrze pan tej *fucking* wdowie wszystko, co ma — zaryczał Moliarti agresywnym, wybuchowym tonem. — Zrozumiano?

Noronha, po pierwszej chwili zdumienia nad nagłą zmianą usposobienia Nelsona, poczuł narastający bunt, kipiący mu w żołądku. Miał na tyle odwagi, by wstać i odejść. Nie mógł pozwolić, by ktoś mówił do niego takim tonem. Twarz oblał mu rumieniec ledwie kontrolowanej wściekłości. Podniósł się, nie wiedząc, w którą stronę się udać. Dostrzegł wyrastający przed nim blok marmuru nagrobka Fernanda Pessoa i poszukując ucieczki, zbliżył się do niego. W kamieniu wyryty był wiersz poety pod pseudonimem Ricardo Reis:

*ABY WIELKIM BYĆ, sobą bądź: niech nic
W Tobie nie przesadza ani nie wyklucza.
Bądź całym sobą we wszystkim.
Zaangażuj wszystko, kim jesteś,
W najmniejszą rzecz, którą robisz.
Wtedy w każdym jeziorze pełnia księżycy
Zajaśnieje, ponieważ mieszka on na wyżynach.*

W tym momencie Tomás chciał być tak wielki, jak Fernando Pessoa, chciał być dla Moliartiego całym sobą, nie wyłączając niczego, wkładając wszystko to, co czuł i kim był, w słowa, które dławiły go w gardle. Ale po chwili, kiedy minął wybuch oburzenia, uspokoił się. Zastanowił się racjonalnie. Bycie wielkim, bycie tak wielkim to luksus, na który nie mógł sobie pozwolić. Nie mógł być takim ktoś, kogo córka potrzebowała operacji serca i pomocy nauczyciela, na którego szkoły nie było stać. Nie ktoś, kogo małżeństwo rozsypywało się pod naporem niepokoju o przyszłość dziecka i pod wpływem nieodpartych pokus ze strony prowokującej Szwedki. Dwa tysiące dolarów tygodniowo to duże pieniądze, co więcej, nagroda w wysokości pół miliona dolarów za odzyskanie wszystkich badań profesora Toscano. A Tomás wiedział, że to mu się uda.

Odzyskał kontrolę nad sobą. Odwrócił się i spojrzął na Amerykankę, pogodzony z sytuacją.

— Dobrze.

VII

Małe kropelki wody ślizgały się po gładkiej zielonej powierzchni liści i gromadziły się na krawędziach do momentu, aż utworzyła się wielka kropla, która pęczniała, nabierając objętości. Wtedy zsuwała się z koniuszka liścia, a po chwili wahania ciężko spadała na wilgotną, żyzną ziemię. Po niej pojawiała się następna, potem kolejna i było ich coraz więcej. Spadały z błyszczących, skórzastych liści drzewa figowego. Sprawiały wrażenie łez na tle chłodnego zimowego nieba.

Siedząc przy śniadaniu, Tomás wyglądał przez okno. Utkwił wzrok w tym płaczącym drzewie figowym. Patrzył na nie niewidzącymi oczami, pochłonięty swoimi problemami, zanurzony w dylematach życiowych. Dziesięć minut temu wyszła Constança — tego dnia przypadała jej kolej odwiezienia Margaridy do szkoły. Mężczyzna myślał o nich obu, ale też o Lenie. Zastanawiał się nad obroną drogą — kierunkiem, w jakim prowadził ten niepewny szlak. Po raz pierwszy dopuścił się zdrady małżeńskiej i doświadczał w związku z tym sprzecznych uczuć. Z jednej strony dręczyło go głębokie poczucie winy i wstydu — ma córkę, która potrzebuje pomocy, a on spotyka się z prawie piętnaście lat młodszą od siebie studentką. Jednak z drugiej strony to nie była zwykła dziewczyna. Chodziło o piękną kobietę, która uwodziła go w taki sposób, że nie mógł się temu oprzeć. Co miał robić? — pytał sam siebie. Był mężczyzną. Jak mężczyzna może takiej kobiecie odmówić? Odetchnął ciężko. Tak. Był mężczyzną, to fakt. Co nie znaczy, że pozbawiono go własnej woli i że mógł stać się kukielką w rękach kobiety, choćby nie wiem jak pięknej i

kuszającej. Nie tłumaczyło to jego zachowania, ulegania najbardziej prymitywnym instynktom, lekkomyślnym kaprysom.

Zamknął oczy i przesunął ręką po włosach, jak gdyby tym prostym gestem chciał zetrzeć brud kalający mu umysł i duszę. Niepokoiły go własne pobudki, jakimi się kierował, ale nie tylko. Gryzło go sumienie — bezlitosne, nieugięte, dręczące go pytaniami, wątpliwościami, dylematami, zamęczające decyzjami, które należałoby podjąć, oraz faktami, z którymi trzeba by się zmierzyć, torturujące obrazami zdrady, której dopuścił się wobec swoich bliskich i ostatecznie także wobec siebie. Co tak naprawdę sprawiało, że utrzymywał kontakt z Leną? Pokusa zakazanego owocu? Pragnienie młodości, która oddalała się z każdą chwilą? A może seks, wyłącznie seks? Potrząsnął głową, kontynuując wewnętrzny dialog i badając swoje motywy, te najbardziej skryte i niewymowne.

Nie.

Nie tylko. To nie był wyłącznie seks, to niemożliwe. Chociaż wołałby, aby tak było. Gdyby chodziło tylko o seks, zadowoliliby się pierwszym razem, kiedy był u niej na obiedzie i skończyło się na tym, że wtuleni w siebie pochłaniali się, dając upust zżerającej namiętności i czerpiąc rozkosz ze swych ciał. Gdyby był to tylko seks, ograniczyliby się do kilku skoków w bok, czułby wewnętrzną pustkę po stosunku, kiedy to wyczerpywała się niekontrolowana żądza, którą dziewczyna w nim wzbudzała i rozpalala. Prawda była jednak taka, że Tomás stał się częstym gościem w domu Szwedki. Przyzwyczaił się do tych poobiednich wizyt. Zdrada przekształciła się w rutynę, zwyczaj, w przyjemną część harmonogramu dnia.

Było w niej coś, co pobudzało jego najbardziej zmysłowe pożądanie. Zawsze słyszał, że kobiety o wielkich piersiach nie są szczególnie dobre w łóżku. Jeśli to była prawda, Lena z pewnością stanowiła wyjątek. Okazała się pozbawiona zahamowań, zachłanna i z dużą wyobraźnią. Dbała o to, by jemu było dobrze. Kiedy cieszył się jej ciałem, głośno wyrażała swoje doznania. Co więcej, w codziennych sprawach nie była zbyt wymagająca. Zadawała, co prawda, niezliczone

pytania na temat badań, które prowadził nad dokonaniem profesora Toscano, ale nie pytała o życie osobiste. Wystarczyła jej jego obecność niemal każdego popołudnia. Lena stała się częścią jego życia, zachowując spokojną niezależność. Dawała mu bezpieczną przystań, ucieczkę od problemów dnia codziennego, przyjemną rozrywkę.

Wypił łyk letniego mleka i powtórzył w myślach to określenie: przyjemna rozrywka. Tak, to właśnie było to. Szwedka stała się zabawką, która sprawiała, że wyrastały mu skrzydła. Lalką, która chociaż na godzinę czy dwie wymazywała mu z pamięci wieczne problemy zdrowotne Margaridy i obowiązki wobec Constaney. Codzienne zmartwienia Tomasa przyrównać można było do wody, a Lenę do wchłaniającej je gąbki. Kochanka stała się w jego życiu miłą rozrywką. Potrzebował jej, by się odprężyć i pozbyć źródeł niepokoju kumulującego się z każdym dniem. To przy niej porządkował swoje doświadczenia i potrafił spojrzeć na nie z perspektywy. Pomagała mu rozwijać własne emocje, eksperymentować z nowymi zachowaniami i uciec od trudności życiowych. W pewien sposób udawało mu się obiektywnie patrzeć na przeciwności losu, a dystans pozwalał mu na lepsze ich zrozumienie. Dzięki kochance odczuwał ulgę od dręczących go zmartwień. Związek z nią był swego rodzaju zaworem bezpieczeństwa, który chronił go przed codziennym nadmiarem napięcia wskutek prozaicznych problemów.

Odkrył, że w dziwny, tajemniczy sposób, odkąd związał się z Leną, poświęcał córce więcej uwagi, a żonie okazywał więcej czułości. Jak gdyby jedna relacja pomagała drugiej. Zdawał sobie sprawę, że to jakiś złożony paradoks — trudny do zrozumienia i niemożliwy do wytłumaczenia, choć mimo wszystko bardzo prawdziwy, namacalny, doświadczany. Związek z kochanką powodował, że dzięki chwilowemu zawieszeniu w czasie Tomás znajdował przestrzeń potrzebną do pokonywania osobistych trudności. Odprężał umysł, a procesy myślowe podlegały innej aktywacji. Zmieniał się kąt postrzegania problemów. Stawiał im czoło w zupełnie nowy sposób, bardziej otwarty i obiektywny. Prawda była taka, że dzięki Lenie odczuwał odnowę więzów rodzinnych. Obecność Constaney i Margaridy stawała się tym bardziej cenna.

Wypił do dna resztkę mleka. Sprawdził czas na zegarku — było dziesięć po dziewiątej. Trzeba się pospieszyć. Wstał od stołu i włożył płaszcz. Miał złożyć komuś wizytę w Lizbonie.

###

Nabazgrany w notatniku adres zaprowadził go na wąską ulicę sprawiającą wrażenie spokojnej, cichej jak na prowincji. Wyglądała niemal obco, choć znajdowała się w samym centrum miasta, biegła bezpośrednio za ulicą Marquês de Pombal i prostopadle do drogi prowadzącej w górę do Amoreiras. Pomiędzy bardziej nowoczesnymi budynkami stał stary dom mający na tyłach patio. Takie zabudowania zobaczyć można tylko w rdzennej Portugalii — wiejskie, surowe, z kawałkiem ziemi, na której uprawiano sałatę, kapustę i sadzono ziemniaki. W kurniku gdakały kury, a obok znajdował się chlew. Przy murze niczym milczący strażnik rosła jabłoń. Z jej dorodnych owoców przygotowywano desery po posiłkach, które również bazowały na płonach z przydomowej uprawy.

Tomás sprawdził numer domu. Zgadzał się. Niezdecydowany rozejrzał się wokół, niemal nie dowierzając, że to był dom profesora Toscano. Ale nagryzmołona notatka nie pozostawiała wątpliwości — to był adres, który mu podano w Uniwersytecie Klasycznym. Przybysz bez przekonania popchnął furtkę ogrodzenia i wszedł na dróżkę równoległą do poletka uprawnego. Zatrzymał się po chwili, nasłuchując dochodzących go dźwięków. Oczekiwał, że nagle może pojawić się ujadający pies. To był typ domu, którego obejście patrolowały bestie z pyskami o wyszczerzonych zębach. Usłyszał jednak tylko spokojne i swojskie gdakanie kur. Zachęcony zrobił kilka kroków naprzód, po czym nabrał pewności siebie. Nie było śladów wskazujących na obecność groźnego rottweilera czy jakiegoś stróżującego owczarka niemieckiego.

Drzwi wejściowe były na wpół otwarte. Wszedł do wnętrza budynku tonącego w ciemności. Po omacku poszukał przycisku. Kiedy go znalazł i nacisnął, światła nadal nie było. Ponowna próba też nie dała rezultatu.

— Co za szajs — wymruczał sfrustrowany.

Pozwolił oczom przyzwyczać się do mroku. Nikłe światło przedostawało się przez drzwi, ale dzień był pochmurny, więc oświetlenie

było słabe i rozproszone, a cień gęsty. Powoli zaczął jednak odróżniać kształty. Po prawej kryły się stare, zniszczone drewniane schody. Obok nich okratowana niczym klatka dla ptaków kabina mieściła starodawną, zardzewiałą windę. Sądząc po wyglądzie, z pewnością od dłuższego czasu była zepsuta. Przedsiónek wypełniało stęchłe powietrze — odór zgnilizny, starości i zaniedbania. Tomás natychmiast porównał budynek z tym, w którym mieszkała Lena. Tamten był stary, ale nadający się do zamieszkania. Ten popadał w ruinę jak sterta gruzu na granicy rozsypki albo śmiertelnie chory człowiek przeobrażający się w widmo. Próbował wyszukać dalsze informacje w notatniku, ale ciemność rzucała na papier nieprzenikalną zasłonę. Nie zdołał odczytać zapisanego numeru mieszkania, więc zrobił krok w tył, by cofnąć się do wejścia, gdzie było dostatecznie jasno. Przypominał sobie jednak zasłyszaną informację, że mieszkanie profesora Toscano znajdowało się na parterze. Wszedł zatem do korytarza i odnalazł dwoje drzwi. Obmacał ścianę w poszukiwaniu dzwonka, ale niczego takiego nie znalazł. Przyłożył ucho do zimnego drewna pierwszych drzwi i nasłuchiwał. Żadnego dźwięku. Jednak za drugimi wyczuł jakiś ruch. Zapukał. Usłyszał szurnięcie. Ktoś się zbliżał. Drzwi się uchyliły, ukazując w szparze przypięty do zamka metalowy łańcuch. Wyjrzała zza nich starsza kobieta w niebieskim szlafroku narzuconym na beżową piżamę, z nieuczesanymi szarymi włosami. Na jej twarzy pojawił się pytający wyraz.

— Słucham?

Miała słaby, załamujący się, strachliwy głos.

— Dzień dobry. Czy pani Toscano?

— Tak, to ja. Czego pan sobie życzy?

— Przychodzę z... eh... przychodzę z Uniwersytetu Nowego.

Zrobił przerwę w nadziei, że będzie to wystarczająca rekomendacja. Wyraz czarnych oczu kobiety pozostawał jednak bez zmian. Najwyraźniej Tomás nie wymówił żadnego zaklęcia w stylu: „Sesamie, otwórz się”.

— Tak?

— W związku z badaniami pani męża.

— Mój mąż nie żyje.

— Wiem, droga pani. Wyrazy współczucia. — Zawahał się zmieszany.

— Ja... ee... przyszedłem właśnie po to, by dokończyć prace prowadzone przez pani męża.

Kobieta zmrużyła podejrzliwie oczy.

— Kim pan jest?

— Nazywam się Tomás Noronha. Jestem profesorem na wydziale historii Uniwersytetu Nowego w Lizbonie. Poproszono mnie, bym doprowadził do końca badania profesora Toscano. Otrzymałem pani adres na Uniwersytecie Klasycznym.

— Ale po co chce pan doprowadzić tę pracę do końca?

— Jest bardzo ważna. To ostatnie dzieło życia pani męża. — Zorientował się, że znalazł mocny argument, i stał się bardziej pewny siebie, asertywny. — Szkoda by było, gdyby nie ujrzało światła dziennego, nie uważa pani?

Kobieta zmarszczyła czoło, jakby się zastanawiała.

— W jaki sposób planuje pan urzeczywistnić to dzieło?

— Oczywiście poprzez publikację. Tylko to stanowiłoby najbardziej sprawiedliwy hołd. Rzecz jasna, będzie to możliwe jedynie wtedy, gdy zdołam zrekonstruować badania pani męża.

Staruszka wciąż się zastanawiała.

— Nie jest pan z fundacji, prawda?

Tomás przelknął ślinę i poczuł, jak występuje mu na czoło zimny pot.

— Jakiej fundacji? — wyjąkał.

— Tej amerykańskiej?

— Pracuję na Uniwersytecie Nowym w Lizbonie, droga pani — powiedział, unikając odpowiedzi na pytanie. — Jak pani widzi, jestem Portugalczykiem.

Wydawało się, że kobieta poczuła się usatysfakcjonowana odpowiedzią. Zdjęła łańcuch z zamka i otworzyła drzwi, zapraszając gościa do środka.

— Ma pan ochotę na herbatkę? — zapytała, prowadząc go do salonu.

— Nie, dziękuję. Niedawno jadłem śniadanie.

Pokój gościnny miał przestarzały, dekadenski wygląd. Ściany wyłożone były tapetą w kwiatki i ozdobione fryzami. Na gwoździach wisiały kiepskie obrazy ukazujące ludzi o surowym wyglądzie,

sielankowe sceny i starożytne statki. Wokół małego telewizora stały dziurawe kanapy. Na sosnowej etażerze poustawiane były czarno-białe zdjęcia w ramkach z brązu. Ukazywały jakieś pary i liczne, uśmiechnięte dzieci. Wnętrze śmierdziało stęchlizną. Błyszczące pyłki kurzu unosiły się w smugach światła przedostającego się przez okna. Przypominały mikroskopijne świetliki — fluorescencyjne drobinki tańczące w zwolnionym tempie. Był to jednak zawieszony w martwym powietrzu kurz. Tomás rozsiadł się na kanapie, a gospodyni dotzymała mu towarzystwa.

— Proszę, niech pan nie zwraca uwagi na bałagan.

— Ależ skąd, droga pani — zapewnił i rozejrzał się wokół.

Rzeczywiście, wszystko wyglądało na zaniedbane. Czystość pozostawiała tu wiele do życzenia. Na zasłonach i kanapach widoczne były plamy, a meble pokrywała warstwa kurzu.

— Wszystko w porządku, w najlepszym porządku. Proszę się tym nie przejmować.

— Ach, odkąd Martinho zmarł, nie mam siły sprzątać. Czuję się bardzo samotna.

Noronha przypomniał sobie imię profesora. Martinho Vasconcelos Toscano.

— Takie jest życie, droga pani. Cóż robić?

— No tak — zgodziła się starszka zrezygnowanym tonem. Wyglądała na kobietę wykształconą, ale bardzo przybitą. — Ale, widzi pan, to kosztuje. I to jeszcze jak!

— Życie to chwila. Kiedy się o tym przekonujemy... trach!

— Święta prawda. To rzeczywiście chwila. — Zrobiła szeroki gest obejmujący cały pokój. — Uwierzy pan, że ten dom wybudował na początku stulecia dziadek mojego męża?

— Ach tak?

— Był jednym z najładniejszych domów w Lizbonie. Wtedy nie było takich budynków, jakich teraz wszędzie pełno. Tych paskudztw, które stawiają. Nie, w owym czasie wszystko miało swój porządek, wszystko wykonywano bardzo starannie. Przy rondzie znajdowało się wiele pięknych domów. Było bardzo ładnie.

— Wyobrażam sobie.

— Ale czas nie stoi w miejscu. Proszę na to spojrzeć. Wszystko jest stare, zniszczone, rozpada się. Jeszcze kilka lat i dom wyburzą, niewiele do tego brakuje.

— Tak, prędzej czy później nie da się tego uniknąć.

Kobieta westchnęła. Poprawiła szlafrok i odgarnęła kosmyk włosów.

— Niech pan mówi. Czego panu potrzeba?

— Chciałbym przyrzeć się dokumentom i wszystkim notatkom, które zgromadził pani mąż w ciągu ostatnich sześciu, siedmiu lat.

— Badania, które prowadził dla Amerykanów?

— Tak... ee... dokładnie nie wiem. Chciałbym zobaczyć zgromadzone przez niego materiały.

— To były badania dla Amerykanów. — Odkasznęła. — Widzi pan, Martinho został zatrudniony przez jakąś fundację ze Stanów Zjednoczonych. Płacili mu fortunę. Zaszł się w bibliotekach i w Torre do Tombo, analizując rękopisy. Czytał do znudzenia, dotykał tak wiele starego papieru, że przychodził do domu z rękami czarnymi od kurzu. Czasami brud schodził dopiero po użyciu wybielacza. Później, któregoś dnia, dokonał odkrycia, które obudziło w nim wielki entuzjazm. Po powrocie do domu zachowywał się jak dziecko. Siedziałam sobie z książką, a on cały czas powtarzał: „Madalena, odkryłem coś niezwykłego, niezwykłego”.

— I co to było? — chciał się dowiedzieć Tomás, niecierpliwie nachylając się w stronę kobiety.

— Nigdy mi nie powiedział. Wie pan, Martinho był specyficzny. Kochał kody i szarady, całymi dniami rozwiązywał krzyżówki w gazetach. Nigdy o niczym mi nie opowiadał. Powiedział tylko: „Och, Madalena, w tej chwili to tajemnica, ale kiedy przeczytasz to, co tutaj mam, usta otworzysz ze zdumienia. Zobaczysz”. Nie wtrącałam się. Dopóki zajmował się swoimi sprawami, był szczęśliwy, prawda? Podróżował, pojechał do Włoch i Hiszpanii, przemieszczał się tam i z powrotem, kontynuując swoje badania. — Kaszlnęła ponownie. — W pewnym momencie Amerykanie zaczęli go dręczyć, koniecznie chcieli wiedzieć, czym się zajmował, jakich odkryć dokonał i tak dalej. Tyle że Martinho nie puszczał pary z ust, mówił im to samo co i mnie: „Cierpliwości, pokażę wam, kiedy wszystko będzie gotowe”. Ale im

to nie wystarczało i historia omal nie skończyła się źle. Któregoś dnia przyszli tutaj i był jeden wielki wrzask. Za wszelką cenę chcieli, by Martinho zdradził im to, czego się dowiedział. — Kobieta zakryła twarz dłońmi. — Doszło do strasznej awantury, myśleliśmy, że przestaną płacić. Ale zapłacili.

— Czy to nie dziwne?

— Co?

— Jeżeli Amerykanie tak się upierali, by wszystkiego się dowiedzieć, a profesor Toscano o niczym ich nie informował, nie uważa pani za dziwne, że nie wstrzymali wynagrodzenia?

— Tak uważam. Ale Martinho powiedział mi, że bardzo się bali.

— Ach tak?

— Tak, byli przerażeni.

— Przerażeni czym?

— Och, tego mąż mi nie wyjaśnił. To były sprawy między nimi, nie wtrącałam się. Ale Amerykanie obawiali się, iż Martinho pozostawi swoje odkrycia dla siebie i pokaże wszystkim figę z makiem. — Uśmiechnęła się. — Doprawdy, nie znali mojego męża, zgodzi się pan? Czy po zakończeniu swoich badań miałby je zamknąć w szufladzie? Nie do pomyslenia!

— Ale dlaczego pani po śmierci męża nie powierzyła Amerykanom wszystkich materiałów badawczych? W końcu byłby to sposób na doprowadzenie do ich publikacji.

— Nie zrobiłam tego z powodu konfliktu pomiędzy nimi a Martinhem. — Wdowa roześmiała się i zmieniła ton głosu, jak gdyby dodawała do swojej wypowiedzi komentarz w nawiasie. — Widzi pan, to był profesor uniwersytecki, ale kiedy się unosił, używał najbardziej ordynarnych słów. — Wyostrzyła głos. — Pewnego dnia mój mąż powiedział: „Madaleno, oni niczego nie zobaczą, póki nie będzie gotowe. Ani krztyny. A jeżeli się tu pojawią z pięknymi słówkami, to pogoń ich miotłą. Miotłą”. Znałam Martinha bardzo dobrze. Jeżeli mówił coś takiego, to musiał mieć powód. Zrobiłam więc tak, jak sobie życzył. Amerykanie nogi tutaj nie postawią ze strachu. Kiedyś pojawił się jeden z nich, nawet po portugalsku mówił, choć zaciągał trochę po brazylijsku. Stał w drzwiach niczym sęp. Zapowiedział, że nie

odejdzie, póki się nie dogadamy. Było to podczas pobytu Martinha w Brazylii. Stał tak godzinami, jakby korzenie zapuścił, poważnie mówiąc. Musiałam wezwać policję, naprawdę. Przyjechali i wzięli nogi za pas.

Tomás roześmiał się, wyobrażając sobie całą scenę — brygada brzuchatych funkcjonariuszy policji zabierająca Moliartiego.

— A wrócili?

— Po śmierci Martinha facet kręcił się tutaj niczym pies *perdigueiro* za suką. Ale potem zniknął, nigdy więcej go na oczy nie widziałam.

Gość przesunął ręką po włosach, próbując skierować rozmowę na tory zgodne z celem jego wizyty.

— Badania pani męża bardzo mnie zaciekały — zaczął. — Czy wie pani, gdzie przechowywał zgromadzone przez siebie materiały?

— Och, to musi być gdzieś w jego gabinecie. Chce pan zobaczyć?

— Tak, tak.

Kobieta poprowadziła go korytarzem, ciągnąc za sobą szlafrok po dębowej podłodze. Niektóre deski były poluzowane, inne popękane, z wielkimi szczelinami. Przeszli przez cały przedpokój, tonąc w nieprzyjemnym, cuchnącym półmroku, po czym weszli do gabinetu. Wszędzie leżały stosy książek. Zapelnione były nimi półki, piętrzyły się na podłodze, tak że z ledwością można było się poruszać.

— Niech pan nie zwraca uwagi na nieporządek — poprosiła gospodyni, przeciskając się pomiędzy rozrzuconymi po pokoju tomiškami. — Jeszcze nie miałam czasu ani nastroju, by zabrać się do posprzątania gabinetu męża.

Madalena Toscano otworzyła pierwszą szufladę i pospiesznie ją przejrzała, zajrzała do kolejnej i po krótkiej analizie też ją zamknęła. Po przeszukaniu szafy w końcu wydała z siebie okrzyk zadowolenia. Wyciągnęła z niej beżowy karton z nadrukiem japońskiego producenta sprzętu AGD. Wewnątrz, na wierzchu dużego zbioru dokumentów, leżała zielona teczka z odręcznym napisem „Colom” na okładce.

— Jest — powiedziała kobieta, wskazując na pudło. — To tu Martinho przechowywał wszystko, co sukcesywnie zbierał.

Tomás podniósł karton jak cenny skarb. Był ciężki. Zaniósł go do wolnego kąta w pokoju i usiadł po turecku na podłodze, pochylając się nad papierami.

— Czy mogłaby pani zapalić światło? — poprosił.

Madalena nacisnęła włącznik i gabinet rozświetliła nieco słaba żarówka. Profesor zatopił się w papierach, tracąc poczucie czasu i przestrzeni. Głuchy na komentarze pani domu zapomniał, gdzie jest. Przeniesiony do odległej rzeczywistości zagubił się w świecie należą-cym tylko do niego i profesora Toscano. Kserokopie i notatki latały mu przed oczami. Te, które uznał za ważne, odkładał na prawą stro-nę. Po lewej natomiast znalazł miejsce dla tych, które nie wydawały mu się najbardziej istotne. Rozpoznał odbitki z *Historia de los Reys Católicos* Bernáldeza, *Historia General y Natural de las Indias* Oviedy, *Psalterium* Giustinianiego, *Historia del Almirante* ojca Hernanda Colóna, z dokumentów autorstwa Muratoriego: *Minuta de Mayorazgo*, *Raccolta*, *Anotaciones* i *Documento Asseretto*. Znajdo-wały się tam również kopie listu Toscanelliego i inna korespondencja podpisana przez samego Coloma. Do kompletu brakowało tylko dzie-ła *Paesi nuovamenti ritrovati* Francesca da Montalbodda. Tomás wiedział jednak, że tę pozycję Toscano znalazł w Rio de Janeiro.

Kiedy wrócił do rzeczywistości, miasto okrywała już ciemna za-słona nocy. Zorientował się, że zapomniał o obiedzie. Był w gabinecie sam. Siedział na podłodze, a wokół niego leżały rozrzucone doku-menty. Uporządkował je w kartonie i podniósł się. Skurczone i obola-łe mięśnie dały o sobie znać — ledwie mógł się poruszać. Przeszedł przez korytarz do salonu, niemal kuśtykając. Madalena drzemała na kanapie. Obok niej leżała książka o sztuce renesansu. Tomás od-kaslnął, próbując ją obudzić.

— Droga pani — wyszeptał. — Droga pani.

Otworzyła oczy.

— Przepraszam — wymamrotała wybita ze snu. — Na chwilę zmrużyłam oko.

— Bardzo dobrze pani zrobiła.

— Znalazł pan to, czego szukał?

— Tak.

— Biedaczek, z pewnością jest pan zmęczony. Próbowałam poczę-stować pana obiadem, ale nawet mnie pan nie usłyszał. Wyglądał pan jak zahipnotyzowany w środku całego tego bałaganu.

— Przepraszam, nie zauważyłem pani obecności. Wie pani, kiedy pogrążam się w pracy, nie dostrzegam tego, co dzieje się wokół mnie. Mógłby nastąpić koniec świata, nic mnie nie rusza, nic do mnie nie dociera.

— Mój mąż był dokładnie taki sam, niech się pan nie przejmuję. Kiedy zajmował się swoimi sprawami, wydawało się, że był nieobecny. — Gestem zaprosiła go do kuchni. — Ale zrobiłam panu pyszny kotlet.

— Och, dziękuję. Nie trzeba było się kłopotać.

— To żaden kłopot. Ma pan ochotę? Jeszcze na pana czeka...

— Nie, nie, dziękuję. Miałbym do pani tylko jedną prośbę...

— Proszę mówić.

— Czy mogę zabrać z sobą karton z dokumentami, by je skserować? Jutro obowiązkowo je oddam.

— Chce pan wziąć to pudło? — zapytała z niechęcią. — Och, sama nie wiem.

Noronha włożył rękę do kieszeni i wyciągnął z niej portfel. Otworzył go i wyjął dwa dokumenty, które pokazał Madalenie.

— Proszę wziąć mój dowód osobisty i kartę kredytową. Zostawię je jako gwarancję, że jutro wszystko pani odniosę.

Kobieta wzięła dokumenty i przyjrzała się im uważnie. Spojrzała mu w oczy i w końcu się zdecydowała.

— Dobrze — powiedziała, chowając je do kieszeni szlafroka. — Ale jutro koniecznie proszę mi wszystko zwrócić.

— Może pani być spokojna — zapewnił Tomás, kierując się z powrotem do gabinetu.

Kiedy był już w połowie korytarza, usłyszał za sobą słaby głos Madaleny, dostatecznie jednak słyszalny.

— Czy chce pan zobaczyć także to, co jest w sejfie?

Zatrzymał się i spojrzał do tyłu.

— Słucham?

— Czy chce pan także to, co jest w sejfie?

Profesor wrócił do pokoju i stanął w drzwiach.

— Nie rozumiem.

— Martinho przechowywał również dokumenty w sejfie. Czy chciałby pan je zobaczyć?

— Czy są to dokumenty dotyczące badań?
— Tak.
— Oczywiście, że chcę — potwierdził zaintrygowany. — Co to za papiery?

Starsza pani poprowadziła go do następnego pokoju. Znajdujące się w nim łóżko było niezaścielone, na podłodze stał nocnik, a na wiklinowym krześle leżały porozrzucane ubrania. W powietrzu unosił się nieprzyjemny, kwaśny odór.

— Nie wiem — powiedziała. — Ale Martinho mówił, że był to ostateczny dowód.

— Dowód ostateczny? Dowód na co?

— Tego nie wiem. Przypuszczam, że chodzi o rezultat badań, jakie prowadził.

Z rosnącą niecierpliwością Tomás przyglądał się, jak kobieta otwiera drzwi szafy i wyjmuje z niej ciężką, metalową skrzynkę. To był sejf.

— Zabezpieczył dokumenty w sejfie?

— Tylko te najważniejsze. Powiedział mi kiedyś: „Ach, Madaleno, tutaj mam dowód na to, co odkryłem. Kiedy oni to zobaczą, otworzą usta ze zdumienia”. Zdaniem Martinha było to tak ważne, że zmienił nawet kod w zamku.

Noronha podszedł bliżej i przyjrzał się pancерnej skrzyni. Zamek posiadał dziesięć cyfr.

— A jaki jest szyfr? — zapytał, z trudnością opanowując podniecenie.

Pani Toscano wyjęła z szafki nocnej jakąś kartkę i podała mu ją.

— Jest tutaj.

Po rozłożeniu kartka miała format A4. Widniało na niej dziesięć grup znaków umieszczonych w dwóch kolumnach:

Q U O	E L E
L A E	F T A
D O C	O P 5
U A C	U E 4
T N E	D N 5

— To ma być szyfr do sejfu? — zdumiał się Tomás. — Widzę tu prawie same litery, a w zamku znajdują się tylko liczby...

— Tak — przyznała Madalena. — Jednak każda z liter odpowiada wartości liczbowej. Na przykład: „a” to jeden, „b” to dwa, „c” — trzy i tak dalej. Pojmuje pan?

Przyjrzała się kartce dokładniej.

— A tego to już nie rozumiem — wyznała. — Mąż niczego mi nie wyjaśnił.

Profesor przepisał kod do sejfu, pospiesznie gryzmołąc w swoim notatniku. Potem — w ramach eksperymentu — zdecydował się zamienić litery na liczby, zachowując trzy znajdujące się już w kluczu cyfry. Zakończył obliczenia i przyjrzał się wynikowi:

17	21	15	5	12	5
12	1	5	6	20	1
4	15	3	15	16	5
21	1	3	21	5	4
20	14	5	4	14	5

Wprowadził numery do sejfu, co okazało się czynnością dosyć uciążliwą, i odczekał chwilę. Drzwiczki jednak nadal pozostawały zamknięte. Żadna niespodzianka — klucz powinien być oparty na kombinacji bardziej złożonej niż zwykła zamiana liter na liczby. Spojrzał na Madalenę i wzruszył ramionami.

— To o wiele trudniejsze, niż na to wygląda — stwierdził. — Wezmę dokumenty do domu, aby wykonać kopie, i przyniosę pani wszystko jutro, dobrze? — Wskazał na kartkę z szyfrem. — Powrócę, kiedy znajdę rozwiązanie tej zagadki. Jeżeli nie będzie pani miała nic przeciwko temu, zabierzemy się do sejfu, by zobaczyć, co kryje w środku. Zgadza się pani?

###

Od razu po opuszczeniu domu profesora Toscano udał się do punktu ksero Apolo 70, niedaleko uczelni, i zostawił tam kartonowe pudło z dokumentami. Powiedziano mu, by się nie martwił i przyszedł po nie następnego dnia przed południem, a wszystko będzie gotowe.

Tego wieczoru Tomás poświęcił żonie i córce wiele uwagi. Obsypał je pocałunkami, pieścizkami, wyznaniem miłości i opiekuńczymi gestami. Tryskał wręcz czułością, która je zaskoczyła. Co więcej, zdumiała nawet jego samego. Nie znał siebie od takiej strony. Wyobrażał sobie, że doszło do głosu poczucie winy i pragnienie zrehabilitowania rodziny zdrady, której dopuszczał się z Leną. Po raz kolejny stwierdził, że związek z kochanką czynił go lepszym mężem i ojcem.

Constança zmieniła kwiaty w wazonach. Tym razem wybrała hiacynthy, które rozjaśniały niewielkie mieszkanie orgią czystej, anielskiej bieli. Śnieżne płatki — gęste i karbowane — wyglądały ze szklanych wazonów. Po kolacji, kiedy odbywał się rytuał kładzenia Margarydy do łóżka, Noronha poszedł do pokoju gościnnego, aby przestudiować notatki, które wziął z domu profesora Toscano. Chwilę później weszła tam również jego żona i usiadła obok. Podniósł wzrok, pogłaskał ją po piegawatej twarzy i się uśmiechnął.

— Zasnęła już?

— Jak aniołek.

— Jak ci minął dzień?

— Normalnie. Miałam lekcje, potem pojechałam odebrać Margarydę i poszłyśmy na mały spacer.

— Gdzie?

— Do parku Poetów, obok centrum handlowego. Uczyłam ją jeździć na rowerze.

— I jak?

Constança się roześmiała.

— Katastrofa. Jechała kawałek i od razu spadała. Nie dało się w żaden sposób temu zaradzić. W pewnym momencie się rozzłościła i powiedziała: „Kulczę, no kulczę blade”, i wsiadła na trójkołowy rowerek czteroletniej dziewczynki.

— Tak zrobiła?

— Pewnie, że tak.

— I nie wstydzila się używać zabawki młodszego od siebie dziecka?

— Och, wiesz, jaka ona jest. Niczego się nie wstydzi!

Potrząsnął głową z rozbawieniem. Rzeczywiście, jeżeli coś charakteryzowało jego córkę, to był to absolutny brak zażenowania. Można

było się z niej wyśmiewać, komentować jej wygląd i próbować ją poniżyć. Odwracała głowę i udawała, że to jej nie dotyczy. Podczas pływania wciąż upierała się przy naramiennikach, których wstydziły się już inne dzieci w jej wieku. Jej to jednak w niczym nie przeszkadzało. Uczucie zażenowania było jej obce.

Tomás wyprostował się, przeciągnął i ziewnął.

— Muszę zakasać rękawy i wziąć się do roboty.

Drezczyła go chęć rozwiązania zagadki. Było to dla niego wyzwanie. Rzucił okiem na nową szaradę pozostawioną przez Toscanę.

— Co to jest? — zapytała żona, spoglądając na kolumny liter pozabawione widocznego sensu.

— Myślę, że to zakodowana wiadomość — odparł, nie podnosząc głowy. — Zabiła mi ćwieka.

— To ma związek z pracą dla tych Amerykanów?

— Tak.

Noronha chwilowo zatracił poczucie rzeczywistości, pochłonięty tajemniczą notatką, która stanowiła klucz do sejfu. Rozwagał różne możliwości podejścia do szyfru. Wiedział jednak, że najpierw musiał określić jego typ. Nie było to proste. Zaczął analizować różne warianty, ale ciąg rozumowania przerwała mu dłoń zabierająca mu sprzed nosa notatnik.

— Tomás — odezwał się głos. — Tomás.

— He? — zapytał, wracając do teraźniejszości ze zdezorientowaniem wypisanym na twarzy.

— Przepraszam, że przeszkadzam ci w pracy — mówiła Constança. — Wiem, co się z tobą dzieje, kiedy pogrążasz się w swoim świecie. Ale mam ci coś do powiedzenia.

— Co się stało?

— Jak mówiłam, po lekcjach odebrałam Margaridę i poszłyśmy na spacer. Zabrałam ją do parku Poetów, aby nauczyła się jeździć na rowerze. Wiesz, za dużo czasu spędza w domu. Świeże powietrze dobrze jej robi.

— Tak.

— Więc po przejażdżce rowerem pozwoliłam jej pobawić się z dziećmi, a sama usiadłam na ławce. I wiesz, co się wydarzyło?

— Co?

— Podeszły mamy tamtych dziewczynek i zabrały je. Nie chciały, by ich dzieci bawiły się z naszą córką.

Zszokowany spojrzął na żonę. Oczy jej błyszczały. Z trudem starała się powstrzymać łzy. Tomás wziął ją w ramiona i przytulił.

— Och, nie martw się tym. Nie przejmuj się.

— Traktują ją jak chorą na jakąś zakaźną chorobę...

— Ignorancja ludzka nie zna granic. I tyle. Nie przejmuj się.

Pocałowali się. Pieścił dłońmi jej twarz wilgotną od łez spływających po mlecznobiałych policzkach. Gorące krople zatrzymywały się na trzęsącej się brodzie. Pomógł jej wstać z kanapy i zabrał ją do łóżka. Przykrył kocem i przyrzekł, że wkrótce wróci. Zajrzał do pokoju obok, ucałował pograżone w półcieniu miękkie policzki córki, pogłaskał jej rozsypane na poduszce proste włosy i wrócił do sypialni. Rozebrał się, włożył piżamę, zgasił światło i przytulił się do Constançy, która leżała w pozycji embrionalnej — jak zawsze przed zaśnięciem.

###

Spędził w Bibliotece Narodowej całe przedpołudnie, studiując to, co uznał za pożyteczne w świetle dokumentów znalezionych poprzedniego dnia w domu profesora Toscano. W przerwie między przeglądaniem kolejnych książek starał się ćwiczyć umysł — przeprowadzał kolejne eksperymenty z łamaniem szyfru skrywającego tajemnicę sejfów. Koło południa wpadł do centrum Apolo 70 po odbiór zamówionych poprzedniego dnia kserokopii. Wziął pudło z oryginalnymi dokumentami i zaniósł do samochodu. Udał się do domu Madaleny Toscano, oddał jej karton i odzyskał dowód osobisty i kartę kredytową złożone w depozycie. Pożegnał się z wdową, obiecując, że powróci, jak tylko zdoła odszyfrować klucz do sejfów. Kiedy wyszedł na ulicę, była już trzynasta. Chwyił za telefon komórkowy i zadzwonił do Leny, która obiecała, że zrobi mu na obiad łososia.

Dotarł do ulicy Latino Coelho i wpadł na schody biegiem, który zakończył się dopiero w ramionach dziewczyny. Oboje gorączkowo zrzucaли ubrania, nie czekając, aż znikną się drzwi wejściowe. Dygotali z oczekiwania i niecierpliwości. W pośpiechu podarli ubrania, by

poczuć swoje gorące, dyszące, splatające się wzajemnie ciała — wilgotne, spragnione, płonące w ogniu pożądania, łakome i łapczywe. Objęli się i przetoczyli po podłodze pokoju. Raz ona była na górze, to znowu on siedział na niej, jęcząc i łapiąc chciwie powietrze. Ścisnął jej pełne piersi, łaknąc ich obfitości, z erotyczną zmysłowością. Obejmował je dłońmi, sprężyste, seksowne, ściskając wokół sutków, jak gdyby chciał wycisnąć z nich mleko. Stopili się z sobą i w końcu wybuchli w uwalniającym spazmie rozżarzonych ciał, nie powstrzymując się od krzyków i zdyszanych jęków rozkoszy.

Zjedli obiad w szlafrokach. Ich ciała były rozleniwione i rozluźnione, a żądze cielesne zaspokojone. Żołądek domagał się swoich praw. Tomás raczej nie lubił łososia, ale Szwedka przyrządzała go w specjalny sposób. Dodawała słodkawej skandynawskiej przyprawy, która skutecznie tłumiała silny smak ryby.

— Jak się nazywa to danie? — chciał się dowiedzieć, próbując potrawę.

— *Gravad lax* — zabrzmiała odpowiedź.

— Jak to robisz, że jest taki słodki?

— Och, to stara szwedzka receptura. — Uśmiechnęła się. — Przez dwa dni łosoś marynuje się w cukrze, soli, i... ee... i w czymś, czego portugalskiej nazwy nie znam.

— A jarzyny?

— To jest *gubbröra*.

— Gu... co?

— *Gubbröra*. To specjalność stołu szwedzkiego, złożona z koreczków anchois, buraków, cebuli, kaparów i żółtka. A sos do *gravad lax* robi się ze słodko-kwaśnej musztardy i natki pietruszki. Smakuje ci?

— Tak — potwierdził, kręcąc głową z podziwem. — Bardzo dobre.

Zamilkli i skoncentrowali się na posiłku. Łosoś był naprawdę smaczny. Tomás nie jadł dotychczas ryby przyprawionej w taki sposób. Przy stole słychać było jedynie brzęk sztućców i odgłos przeżuwania pokarmu. Milczenie zaczynało ciążyć, stawało się kłopotliwe, jak gdyby seks wyczerpał całe paliwo, które ich ku sobie napędzało. Jakby nie pozostało już nic do powiedzenia, a posiłek był wygodnym pretekstem do zachowania milczenia.

— Kochasz mnie? — zapytała w końcu Szwedka, obserwując go przez połyskujące pasma blond włosów spadających jej na twarz.

— Oczywiście, moja mała wikińska wojowniczo. Bardzo cię kocham.

Nie wiedział, czy mówił prawdę, czy kłamał. Zadawała mu pytania, a on odpowiadał to, co — jak mu się wydawało — kochanka chciała usłyszeć. Wiedział, że szczerść, z jaką wypowiadał słowa, była ważna, i sam przekonywał siebie, że to prawda. Wiara dodawała jego słowom autentyczności. Ale w głębi nie był tego taki pewny. Wiedział, że kocha Constanę, i o porzuceniu żony nie było mowy. Pewnie, że chwilami, w momentach największego oczarowania Leną, rozważał taką możliwość. Wyobrażał sobie, że opuszcza żonę i zamieniają na kochankę. Jednak zaraz po tym, jak powracał do normalności, taka hipoteza rozwiewała się i stawała czystą fantazją, kaprysem namiętności, ulotnej, choć intensywnej egzaltacji i żądzy. Być może bardziej pożądał Leny, niż ją kochał. Nie pragnął jednak jedynie jej ciała, chociaż było ono ważnym elementem w tej grze. Pragnął również jej towarzystwa, ucieczki, jaką mu umożliwiała. Potrzebował energii, jakiej paradoksalnie mu dodawała, by ratować małżeństwo. Kochał Constanę. Być może kochał i Lenę, ale w inny sposób — przypuszczalnie pozorny. Prawdopodobnie mylił miłość z pragnieniem bycia blisko niej, z chęcią wypełnienia rąk jej obfitymi kształtami. Przenosiła go w inny wymiar — do świata, gdzie nie istniały trisomia 21, problemy z sercem ani brak uwagi ze strony żony, która poświęcała ją potrzebującej córce.

— Więc jak przebiegają twoje badania? — zapytała Szwedka, wymachując widelcem z nabitym na nim kawałkiem łososia. — Udało ci się poczynić jakieś postępy?

Jej zainteresowanie badaniami było autentyczne. Tomás zauważył to już wcześniej. Z początku dziwił się, nie wyobrażał sobie, by coś tak zawilego mogło wzbudzić jej ciekawość. Jednak uwaga, jaką poświęcała jego pracy, pochlebiała mu. Ważniejsze jednak było to, że ten problem podtrzymywał ich rozmowy — stał się tematem wspólnych zainteresowań, co wzmacniało ich związek.

— Wyobraź sobie, że wczoraj byłem w domu profesora Toscano

i wdowa pozwoliła mi skserować wszystkie dokumenty i notatki, które jej mąż zgromadził w ciągu ostatnich lat.

— Bravo! — wykrzyknęła usatysfakcjonowana. Czy zawierały ciekawe materiały?

— Doskonale. — Pochylił się na krzesło i wziął teczkę. Otworzył ją, po czym wyjął i przekartkował notatnik. — Ale prawdopodobnie najważniejsze ukryte jest w sejfie. — Wyszukał zaszyfrowaną wiadomość i pokazał ją kochance. — Problem polega na tym, że aby dostać się do niego, muszę odgadnąć tę zagadkę.

Lena pochyliła się i przeanalizowała szyfr.

— Nic nie rozumiem. Dasz radę wybrnąć z tego kłopotu?

— Nie mam innego wyjścia — odrzekł, pochylając się znowu nad teczką. — Ale widzę tylko jeden sposób. — Wyciągnął niebieską książkę. — Za pomocą tabeli częstotliwości.

Położył książkę na stole. Była napisana po angielsku i zatytułowana *Cryptanalysis*.

— To jest tabela częstotliwości? — dopytywała się dziewczyna, spoglądając na okładkę z rysunkiem przypominającym krzyżówkę.

— W tej książce znajduje się ich wiele. — Otworzył dzieło i wyszukał odpowiednią stronę, a następnie pokazał ją kochance. — Widzisz, zawiera tabele częstotliwości w różnych językach: angielskim, niemieckim, francuskim, włoskim, hiszpańskim i portugalskim.

— I za ich pomocą możesz odszyfrować każdą wiadomość?

Tomás się roześmiał.

— Nie, moja bogini. Tylko szyfry przestawieniowe.

— Nie rozumiem.

— Istnieją trzy rodzaje szyfrów: ukryte, przestawieniowe i podstawieniowe. Szyfr ukryty to taki, w którym tajna wiadomość jest zakamuflowana w taki sposób, aby nikt się nie zorientował, że ona w ogóle istnieje. Najstarszy znany system utajnienia pochodzi ze starożytności, kiedy to wiadomości zapisywano na ogolonej głowie posłańca, z reguły niewolnika. Autorzy szyfrogramu czekali na odrost jego włosów i dopiero wtedy posyłali go do odbiorcy. Wysłannik z łatwością przedostawał się przez terytorium wroga, który nie miał pojęcia o wiadomości zapisanej na skórze głowy. Odbiorcy zaś

pozostawało tylko ogolenie posłańca i odczytanie tego, co było ukryte pod włosami.

To nie dla mnie — stwierdziła Lena, uśmiechając się i przesuwając ręką po bujnych, jasnych włosach, długich i kręconych. — A inne rodzaje?

— Szyfr przestawieniowy polega na zmianie kolejności znaków. W gruncie rzeczy mamy do czynienia z anagramem podobnym do tego, który odcyfrowałem w Rio de Janeiro: „Moloc”, czyli „Colom”, czytając od prawej do lewej. Prosty anagram. Rzecz jasna, w przypadku wiadomości bardzo krótkich, a dokładnie zawierających tylko jedno słowo, ten typ szyfru nie jest zbyt bezpieczny. Istnieje bardzo ograniczona liczba możliwości przestawienia liter. Ale jeśli zwiększy się liczbę słów, możliwość kombinacji wzrasta proporcjonalnie. Na przykład zdanie składające się z zaledwie trzydziestu sześciu liter można przekształcić na tryliony różnych sposobów. — Nabazgrał w notatniku długą liczbę 50 000 000 000 000 000 000 000 000 000. — Widzisz, to liczba możliwych kombinacji przy zaledwie trzydziestu sześciu znakach. — Poczekał, aż przetrawiła cyfrę pięć i następujące po niej trzydzieści jeden zer. — W założeniu istnieje jakiś system uporządkowania znaków, w przeciwnym razie bowiem wiadomość byłaby nie do odszyfrowania nawet dla odbiorcy. Taka sytuacja zaistniała w złamanym przeze mnie anagramie „Moloc, ninundia omastoos”. W tym zdaniu występuje dwadzieścia jeden liter, co oznacza, że możliwe są miliony kombinacji. Doszedłem do wniosku, że pierwszy wiersz szyfrogramu, w którym znajdowało się słowo „Moloc”, opierał się na prostej symetrii. Pierwsza litera była ostatnią. Natomiast w drugiej linijce natknąłem się na symetryczne skrzyżowanie zgodnie z ustalonym ciągiem. Konieczne było umieszczenie obu słów jednego nad drugim i skrzyżowanie ich w kolejności alfabetycznej w ustalonym kierunku.

— Geniusz z ciebie — skomentowała Lena, głaszcząc go pieszczotliwie po twarzy. Wskazała na szyfrogram przyniesiony przez Tomasa z domu profesora Toscano. — A to? Czy to szyfr przestawieniowy?

— Wątpię. Wydaje mi się, że to szyfr podstawieniowy.

— Skąd wiesz?

— Z ogólnego wyglądu wiadomości. Zwróć uwagę na pierwszą

kolumnę. Składa się z trzyliterowych zespołów, a zależność pomiędzy znakami wydaje się przypadkowa. Widzisz? — Wskazał na pierwszą kolumnę. — „Quo, lae, doe”. Wygląda to, jakby właściwe litery zostały zastąpione innymi.

Szwedka przygryzła dolną wargę.

— Ale na czym dokładnie polega to podstawienie?

— Chodzi o system, w którym właściwe litery są zastąpione innymi zgodnie z porządkiem niezrozumiałym dla kogoś, komu nieznanym jest użyty alfabet szyfru. Na przykład wyobraź sobie słowo „syn”. Jeżeli ustalili się, że „s” zastąpione będzie literą „t”, „y” literą „x”, a „n” zamienione na „r”, to słowo „syn” w szyfrogramie przekształci się w „txr”. Problem polega na tym, by zrozumieć, że „t” to „s”, „x” to „y”, a „r” to „n”. Kiedy odgadniemy alfabet szyfru, reszta jest łatwa. Każdy może odczytać wiadomość.

— Więc jeśli dobrze zrozumiałam, chodzi o to, by poznać alfabet, w jakim zapisano szyfr?

— Właśnie.

Dokończyli łośosia i Lena poszła do kuchni po deser. Wróciła za chwilę z czymś w rodzaju musu jabłkowego, ale bardziej suchego i mączystego.

— Skoro któregoś dnia wspominałaś o *appelkaka*, stwierdziłam, że przygotuję je dla ciebie — oznajmiła, stawiając jabłkowy specjał na stole. Rozdzieliła porcję na dwie miseczki i podała Tomásowi. — Proszę.

Portugalczyk spróbował łyżeczkę.

— Hmm — wymruczał. — Ten *appel* to nie żadna *kaka*.

— Żartowniś. — Uśmiechnęła się i wskazała na książkę. — Wracając do naszej rozmowy, czy ten system szyfrowania przez podstawienie jest często spotykany?

— Bardzo. Pierwszy znany szyfr podstawieniowy opisał Juliusz Cezar w swoim dziele *O wojnie galijskiej*. Jego pomysł opierał się na alfabecie przesuniętym o trzy znaki do przodu w odniesieniu do normalnego. W ten sposób literze „a” w alfabecie normalnym odpowiadała litera znajdująca się trzy miejsca po niej, czyli „d”. „B” zapisywano jako „e” i tak dalej. System ten znany jest jako szyfr Cezara.

Również erudyta bramiński Vatsyayana zalecił w Kamasutrze, w czwartym wieku przed naszą erą, aby kobiety nauczyły się sztuki tajnego pisma w celu bezpiecznej komunikacji ze swoimi kochankami. Jedną z proponowanych przez niego technik zapisu był właśnie szyfr podstawieniowy. Obecnie system ten jest niezwykle rozwinięty, a takie szyfrogramy, w bardzo skomplikowanych przypadkach, można złamać jedynie za pomocą komputerów zdolnych do testowania milionów kombinacji na sekundę.

Tomás zjadł jeszcze trochę *appelkaka*.

— Hmm — ponownie wymruczał z zadowoleniem. — Wspaniale.

Lena nawet nie zwróciła uwagi na komplement, tak była pochłonięta kontemplacją szarady profesora Toscano.

— Jeżeli uważasz, że jest to zapisane szyfrem podstawieniowym, to w jaki sposób masz zamiar go złamać? Masz klucz do szyfru?

— Nie.

— Co więc zrobisz?

Pomachał jej przed nosem wyciągniętą z teczki książką.

— Posłużę się tabelami częstotliwości.

Dziewczyna utkwiała w nim wzrok, nie rozumiejąc.

— Tabele częstotliwości zawierają klucz?

— Nie — odrzekł, potrząsając głową. — Ale oferują pewien skrót.

— Przelknął resztę jabłecznego deseru. — Pomysł tabel narodził się wśród erudyków arabskich, kiedy to studiowali objawienia Mahometa w Koranie. Starając się ustalić chronologię objawień proroka, teolodzy muzułmańscy zaczęli liczyć, z jaką częstotliwością pojawiają się każde słowo i każda litera. Odkryli, że pewne litery występowały częściej niż inne. Na przykład „a” i „l”, które tworzą rodzajnik określony *al*, zidentyfikowano jako najczęściej spotykane znaki alfabetu arabskiego, dziesięć razy częściej niż przykładowo litera „j”. W gruncie rzeczy Arabowie stworzyli pierwszą tabelę częstotliwości, czyli zestawienie określające frekwencję każdego znaku w danym języku. Opierając się na tym odkryciu, wielki arabski naukowiec dziewiętnastego wieku, al-Kindi, napisał traktat o kryptografii. Bronił w nim tezy, jakoby najlepszym sposobem złamania zaszyfrowanej wiadomości było określenie, która z liter występuje najczęściej w języku szyfrogramu i która z liter powtarza się najczęściej w samej wiadomości.

Istnieje duże prawdopodobieństwo, że będą to te same znaki.

— Nie rozumiem.

— Przyjmijmy, że zaszyfrowana wiadomość w oryginale została utworzona w języku arabskim. Jeżeli wiemy, że najczęstszymi literami tego języka są „a” i „l”, to pozostaje nam tylko sprawdzić, które dwa znaki pojawiają się najczęściej w szyfrogramie. Przypuśćmy, że będą to „t” i „d”. Z dużym prawdopodobieństwem, wstawiając znaki „a” i „l” w miejsce „t” i „d”, zapoczątkujemy odcyfrowanie wiadomości. Na tym polega deszyfrowanie za pomocą tabeli częstotliwości. Znając częstotliwość występowania każdego znaku w określonym języku, możemy z pewnym marginesem błędu odnieść go do każdego znaku w szyfrogramie i tym samym określić litery wiadomości oryginalnej.

— Aha, już rozumiem. Wydaje się to łatwe.

— Niekoniecznie. To nie jest system nieomyślny. Zestawienie opiera się na średniej występowania każdej litery w danym języku. Naturalnie w szyfrogramach znajdować się mogą litery, które z jakiegoś powodu nie pojawiają się z dokładnie określoną przez tabelę częstotliwością. Zdarza się tak przede wszystkim w przypadku tekstów bardzo krótkich. Przyjmijmy, że oryginalna wiadomość brzmi: „Król Karol kupił królowej Karolinie korale koloru koralowego”. Od razu widać, że w tym tekście „k” pojawia się znacznie częściej niż zwykle w tym języku. Jest tu odstępstwo od schematycznej częstotliwości występowania tej litery. Takie prawdopodobieństwo istnieje przy analizie tekstów zawierających poniżej stu znaków. Dłuższe teksty z reguły odpowiadają wzorcowej frekwencji poszczególnych liter. Niestety, nie dotyczy to szyfrogramu, który mamy w rękach.

— Ile zawiera liter?

— Nasza szarada? — Sprawdził w notatkach. — Wczoraj wieczorem je liczyłem. Tylko trzydzieści. A właściwie to dwadzieścia siedem liter i trzy cyfry. To niewiele.

Szwedka podniosła się i zaczęła sprzątać ze stołu.

— Masz ochotę na kawę?

— Chętnie.

Tomás pomógł jej odnieść brudne naczynia do kuchni, oczyścił je

z resztek i włożył do zmywarki. Następnie zdjął obrus, pozostawiając Lenie przygotowanie kawy. Nastawiła starą francuską kafeterię marki Melior, należąca do wyposażenia mieszkania, i wróciła do pokoju. Usiedli na kanapie wśród rozrzuconych dokumentów.

— A teraz? — zapytała. — Co będziesz robił?

— Muszę znaleźć nową linię ataku.

— Nie zastosujesz metody z tabelą?

— Próbowałem już wczoraj wieczorem i dzisiaj rano w Bibliotece Narodowej. — Westchnął.

— I co? Pokręcił nosem.

— Nic konkretnego.

— Nie? Pokaż.

Otworzył książkę o kryptoanalizie i sprawdził tabelę częstotliwości.

— Widzisz? — Pokazał kochance odpowiednie strony. — Są tu różne tabele. — Sięgnął również po notatnik i wyszukał kartkę, na której nabazgrał szyfrogram, pozostawiając otwarty zeszyt pod ręką. — Pierwszy problem polega na tym, by określić, w jakim języku zre-dagowano wiadomość.

— Nie po portugalsku?

— Być może — przyznał. — Ale nie zapominajmy, że poprzednią szaradę napisano po łacinie. Był to cytat z Owidiusza. Nie ma gwarancji, że profesor Toscano ponownie nie wybrał właśnie tego, a może innego martwego języka do konstrukcji szyfrogramu.

— Nie masz tabeli częstotliwości dotyczącej łaciny?

— Nie, nie przy sobie. Ale mogę się o nią postarać, jeśli zajdzie taka konieczność. — Ponownie skierował uwagę na książkę ze schematami. — W każdym razie już sprawdzałem tabelę portugalskiego.

— I jak?

— Po pierwsze, język portugalski ma pewne cechy charakterystyczne. Na przykład najczęstszą literą w językach angielskim, francuskim, niemieckim, hiszpańskim i włoskim jest „e”. W wypadku portugalskiego pierwsze miejsce zajmuje „a”.

— Tak?

Wskazał na dane zawarte w tabelach.

— W tekście portugalskim litera „a” występuje średnio w trzynastu i pół procenta, a „e” w trzynastu. To prawda, że w pozostałych językach romańskich pomiędzy tymi dwoma znakami istnieje równowaga, choć litera „e” ma zawsze lekką przewagę. W języku angielskim „e” reprezentuje trzynastą część wszystkich znaków, podczas gdy „a” siedem przecinek osiem procenta, ustępując nawet miejscu „t”, które osiąga dziewięć procent. Jeszcze bardziej znacząca różnica istnieje w języku niemieckim. Występowanie litery „e” dochodzi do osiemnastu i pół procenta, natomiast „a” to jedyne pięć procent, w tyle za „n”, „i”, „r” oraz „s”.

— Znalezienie tekstu bez litery „e” jest więc niemożliwe, prawda?

— Wysoce nieprawdopodobne. Ale nie powiedziałbym, że niemożliwe. Pisarz francuski Georges Perec w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku wydał powieść zatytułowaną *La disparition*, w której dokonał wyczynu, używając wyłącznie słów pozbawionych litery „e”.

— O!

— Tym bardziej niewiarygodny jest fakt, że książkę przełożono na język angielski pod tytułem *A Void*, a tłumacz znalazł sposób, by w przekładzie również uniknąć litery „e”.

Ekspres zabalgotał i Lena poszła do kuchni po kawę. Minutę później wróciła, niosąc tacę z dzbankiem i wysłużonymi, starymi filiżankami z białej porcelany. Postawiła tacę na stoliku obok kanapy, podniosła kafeterię i napełniła naczynia. Oboje wsypali po dwie porcje cukru i wymieszali go łyżeczką, dzwoniąc metalem o porcelanę. Kawa miała pełny, bogaty smak. Gęsta i kremowa, wydzielala mocny aromat, a jej kolor przypominał orzech lekko wpadający w czerwień.

— Smakuje? — zapytała.

— Cudowna. Ale nie masz do niej kropelki?

— Słucham?

— Kropelki. Nie wiesz, co to takiego?

— Ja? Skąd.

— Znalazłabyś trochę wódki?

Lena podniosła się i podeszła do kredensu. Otworzyła barek i wyjęła butelkę alkoholu z białą etykietką, przedstawiającą polną drogę i

nagie drzewa. Na dole widniała nazwa Skane Akvavit. Zwróciła się do Tomasa z butelką w dłoni.

— Coś takiego?

— A co to jest?

— Wódka szwedzka — wyjaśniła, pokazując butelkę.

— Zwykle używa się grappy, włoskiej wódki z wyciżyn winogron, lub jakiejś portugalskiej. Wydaje mi się jednak, że i szwedzka świetnie się nada.

— Wlejesz alkohol do kawy, tak?

— Tylko kapkę. — Nalał do filiżanek po kilka kropel. — Włosi nazywają to *caffé corretto*. No, spróbuj.

Lena wypiła łyk i poczuła smak alkoholu wymieszanego z aromatycznym kremowym płynem.

— Nie jest złe — przyznała.

— Dla ciebie robię tylko dobre rzeczy — odrzekł ze śmiechem.

Szwedka wskazała na notatnik, kierując ponownie rozmowę na problem z szyfrogramem.

— Kiedy zamierzasz zastosować tabelę do szarady?

Tomás odstawił parującą filiżankę i zrobił zrezygnowaną minę. ;

— Już zastosowałem.

— I co?

— Przeanalizowałem litery szyfrogramu i odkryłem, że najczęściej występuje „e”, pięć razy. Po nim następują „a”, „o”, „u”, każda z nich trzykrotnie. Biorąc pod uwagę, że najczęstszym znakiem jest „e”, zamieniłem je na „a”. Potem robiłem eksperymenty z „a”, „e” oraz „u”, zastępując je kolejno przez „e”, „o”, „r” oraz „s”, najczęściej występujące znaki w języku portugalskim.

— I nic to nie dało?

— Nic.

Dziewczyna przyjrzała się tabeli.

— Ale skoro nic z tego, a najczęstszą literą jest „e”, to dlaczego nie wyjść z założenia, że tekst napisano w innym języku?

— Ponieważ to oznaczałoby, że nie jest to szyfr podstawieniowy, lecz...

Zamilkł w pół słowa, zdumiony tym, co właśnie powiedział.

— Więc jaki? — dopytywała się Lena.

Przez chwilę milczał, rozważając nieoczekiwane możliwości, jakie otwierały się w wyniku nieuchronnie nasuwającej się konkluzji. Przesunął ręką po ustach, oddając się refleksji nad analizowanym wariantem.

— Więc jaki? — nalegała niecierpliwie.

W końcu spojrzął na nią.

— Hmm... być może to właśnie to.

— Czyli co?

Skoncentrował się na zanotowanej w zeszycie zagadce.

— Być może to wcale nie jest szyfr podstawieniowy.

— Ach nie? Więc co to jest?

Tomás zaczął liczyć litery szarady.

— Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem — wymruczał cicho, przeskakując palcem z litery na literę, niemal przypadkowo. — Czternaście — powiedział w końcu. Zanotował liczbę w notatniku i zaczął liczyć od nowa. — Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć... — Litania trwała aż do trzynastu. — Trzynaście — skończył. Potem wziął książkę i sprawdził tabelę częstotliwości. — To właśnie to! — wykrzyknął, zaciskając pięść w geście zwycięstwa.

— Właśnie to, czyli co? — powtórzyła Lena, nic nie rozumiejąc. Pokazał jej wartość podaną w tabeli częstotliwości.

— Widzisz to?

Pod wskazaną palcem pozycją była podana wartość: czterdzieści osiem procent.

— Tak — potwierdziła Lena. — Czterdzieści osiem procent. Ale o co chodzi?

— To współczynnik występowania samogłosek w języku portugalskim — odrzekł Tomás z uśmiechem.

— Co?

— Średnio czterdzieści osiem procent liter w tekście portugalskim to samogłoski — wyjaśnił podniecony. Wskazał na wartości obok. — Widzisz? Tylko Włosi używają tylu samogłosek, co Portugalczycy. Hiszpanie mają ich czterdzieści siedem procent, podczas gdy Anglicy i Niemcy tylko czterdzieści.

— I co dalej?

— Wiesz, ile samogłosek występuje w szyfrogramie profesora Toscano?

— Ile?

— Czternaście. I trzynaście spółgłosek. Inaczej mówiąc, ponad połowa z dwudziestu siedmiu liter szarady to samogłoski. — Spojrzał jej w oczy. — Wiesz, co to oznacza?

— Wiadomość napisana została po portugalsku?

— Być może — przyznał. — Ale ważniejszy jest inny wniosek. Tak wysoki współczynnik samogłosek w zastosowaniu do szyfrogramu, który w założeniu został skonstruowany w języku europejskim, a dokładnie w portugalskim, może oznaczać, iż użyty szyfr to nie szyfr podstawieniowy, a przestawieniowy.

— Przestawieniowy?

— Tak. Czyli mamy do czynienia z kolejnym anagramem.

— Przepraszam, ale nie nadążam za twoim tokiem myślenia.

— To proste. Gdyby to był szyfr podstawieniowy, najliczniejsze litery w tekście, czyli samogłoski, byłyby przekształcone w spółgłoski. Na przykład przyjmijmy, że „e” zostało zastąpione przez „x”. W konsekwencji po analizie częstotliwości odkrylibyśmy, że w tekście występuje niespotykane wysoki procent litery „x”. Ale tak się nie dzieje, prawda? W tym szyfrogramie samogłoski utrzymują wysoki współczynnik występowania. Nasuwa się wniosek, iż samogłoski pozostają liczne, ponieważ nie zostały zastąpione. Inaczej mówiąc, zostały przemieszczone, zamienione w kolejności. Mamy przed sobą anagram.

— Tak jak „Moloc”?

— Właśnie. Ale tym razem zawiera więcej liter i jest bardziej złożony. — Spojrzał na szyfrogram. — Zastosowano w nim metodę, dzięki której sprawia wrażenie szyfru podstawieniowego.

Popijali kawę.

— Czy tabela częstotliwości pomoże ci w odgadnięciu wiadomości?

— Nie. Tabele te są użyteczne jedynie w przypadku szyfrów podstawieniowych. W wypadku anagramów, służą tylko do rozpoznania szyfru przestawieniowego, ale nie do jego złamania.

— Co więc zamierzasz zrobić?

— Muszę przetestować połączenia samogłosek ze spółgłoskami

i sprawdzić, czy jakiegokolwiek z nich ma sens. Jeżeli się go doszukam, być może uda mi się odtworzyć tok rozumowania profesora Toscano. Na przykład, w przypadku słowa „Moloc” profesor uciekł się do metody symetrii, odbicia lustrzanego, w którym należało szyfrogram odczytać od prawej do lewej. — Pokazał Lenie szaradę. — Ale wydaje się, że ten szyfrogram nie opiera się na podobnej zasadzie. Spójrz. — Przeczytał pierwszą kolumnę od prawej do lewej. — „Ouuq” — Wzruszył ramionami. — To nie ma sensu. — Przeczytał pierwszy wiersz drugiej kolumny. — „Ele”* — Zawahał się. — Tak, to już coś. Ale jeżeli to samo zastosujemy do drugiego wiersza, wychodzi nam „atf”, co przecież nic nie znaczy.

* *Ele* – port. „on”.

— A może spróbować z dołu do góry?

— Kierunek może być każdy. Z lewej do prawej, z dołu do góry lub z góry do dołu, po przekątnej, skokowo, zygzakując, różnie...

— „Qldut” — wymruczała Lena, czytając litery w pierwszej kolumnie z góry na dół. Później próbowała w odwrotnym kierunku: — „Tudlq”.

Tomás przeanalizował szyfrogram i po namyśle chwycił za ołówek.

— Spróbujmy połączyć obie kolumny.

Przepisał szyfrogram na sąsiedniej kartce — już nie w trzyliterowych, poziomych grupach, lecz w zespołach sześcioliterowych. Rezultat wyglądał chaotycznie:

Q	U	O	E	L	E
L	A	E	F	T	A
D	O	C	O	P	5
U	A	C	U	E	4
T	N	E	D	N	5

— „Quoele” — kontynuowała Szwedka szeptem, literując teraz całą poziomą linijkę. Dźwięk nie przypominał słowa, więc przeczytała ten sam wiersz ponownie, lecz tym razem od prawej do lewej: — „Eleouq”.

— To nie ma sensu — zamruczał profesor, potrząsając głową.

— „Laefta” — ciągnęła, literując drugą linijkę. — „Atfeal”. Podczas gdy dziewczyna zajęła się odczytywaniem szyfru w różnych kierunkach, Tomás skoncentrował się na umiejscowieniu dwu- i trzyliterowych sylab. W języku portugalskim do najczęściej spotykanych sylab dwuliterowych należą „es”, „os”, „de”, „as” i „ro”. Wyszukał w szyfrogramie miejsca, w których litery te znajdowały się obok siebie właśnie w takich parach. Nie znalazł „es”, „os”, „as” ani „ro”, natomiast udało mu się odnaleźć parę „de” zapisaną jednak odwrotnie, jako „ed”, w środku ostatniego poziomego wiersza. Czytając od prawej do lewej, ów ostatni wiersz brzmiał „5ndent”, co wydawało się pozbawione sensu. Rozczarowany skierował uwagę na sylaby trzyliterowe. W tekstach portugalskich najczęściej spotykane połączenia trzech liter to „que”, „ent”, „nte”, „des” i „est”. Przeszukał szaradę, nie znajdując ani jednego „que”, „nte”, „des” lub „est”. Istniało tylko jedno „ent” — w tym samym końcowym wierszu, lecz czytany od prawej do lewej: „5ndent”.

— O kurczę — wymruczał prawie niedosłyszalnie. — Znowu w ostatniej linijce.

Ten zbieg okoliczności zwrócił jego uwagę. Jedna z dwuliterowych sylab najczęściej używanych w języku portugalskim — „de” — znajdowała się w tej samej linijce co najczęściej występująca sylaba trzyliterowa — „ent”. Tomás zaczął przypominać sobie słowa ojczyste, które zawierały sylabę „dent”. *Independente. Correspondente. Intendente.*

— „Dut” — ciągnęła obok Lena, koncentrując się teraz na trzech ostatnich znakach w liniach pionowych. — „Tud”.

Pozostawał oczywiście problem cyfry 5 i litery „n” przyklejonych do sylaby „dent”. „5ndent”. Piątka nie miała tam sensu, ale „n” tak. Zamiast „dent” mogłoby być „ndent” — grupa często spotykana w wielu językach europejskich. Niewątpliwie owo „ndent”, zaliczające się do licznie występujących w języku portugalskim sylab, trudno by było zaliczyć do przypadków. Kłopot w tym, że wiersze powyżej — czytane w takim samym kierunku — nie miały żadnego sensu. Przedostatnia pozioma linia czytana od prawej do lewej brzmiała „eucau”, a znajdująca się nad nią — „pocod”. Nic konkretnego.

Dłoń Leny głaszcząca go pomiędzy udami zakłóciła jego tok rozumowania.

— Ta część mnie podnieca powiedziała zmysłowym głosem.

— Co?

— Tutaj. — Wskazała na trzy ostatnie litery przedostatniej pionowej linii, czytane z góry na dół. — „Pen”. — Uśmiechnęła się przewrotnie. — Czyżby to był początek słowa „penis”?

Tomás się roześmiał.

— Ty zbereźnico. — Pochylił się nad szyfrogramem, szukając ewentualnej końcówki „is”, którą można by połączyć z sylabą „pen”.

Czytał z góry na dół i tam skręcił w lewo. Uśmiech zastygł, ustępując miejsca szeroko otwartym ze zdumienia ustom. Łącząc „pen” z „ndent”, które uprzednio rozpoznał, prawie otrzymywał całe słowo: „pendent”. Zaczął szukać brakującej litery „e”, którą mógłby dodać do ostatniego „t”. Znalazł ją w prawym górnym rogu szyfrogramu. Jeszcze raz nabazgrał szaradę, wyróżniając odszyfrowane właśnie słowo:

Q	U	O	E	L	<u>E</u>
L	A	E	F	T	<u>A</u>
D	O	C	O	<u>P</u>	5
U	A	C	U	<u>E</u>	4
<u>T</u>	<u>N</u>	<u>E</u>	<u>D</u>	<u>N</u>	5

— To jest to! — wykrzyknął głośno. — Jest tutaj!

— Co? Co?

— Szarada. Odkryłem wyłom w szyfrze. — Wskazał na podkreślone litery. — Widzisz? *Pendente*. Tutaj napisane jest słowo *pendente*.

Lena podążyła wzrokiem za podkreślonymi literami.

— O, rzeczywiście. Ciekawe, naprawdę układa się w słowo *pendente*. — Zmarszczyła brwi, patrząc podejrzliwie na dziwną formę zapisu. — Ale ostatnie „e” jest oddzielone od reszty wyrazu?

— To z powodu trasy odczytu — skrótowo wyjaśnił podekscytowany Tomás. — Prowadzi ona pionowo, z góry na dół, oraz jednocześnie poziomo, od prawej do lewej, rozszerzając się, w miarę jak przebiega od lewej do prawej. — Chwycił za ołówek i sprawdził szyfrogram. —

Niech no się przyjrzę. Zaraz za *pendente*, kontynuując w tej samej kolumnie z góry na dół, mamy „a pięć—cztery—pięć”. O ile się nie mylę, powinno to znaczyć *pendente a 545*. Wrócił do poprzednich wierszy. — A tu z przodu wychodzi „efoucault”. — Zastanowił się. — Hmm. — Podrapał się w nos. — Być może powinno się to czytać „e foucault *pendente a 545*”?

Wrócił do pierwszej kolumny i podążył za ciągiem liter od początku, odszyfrowując je zgodnie z odkrytą właśnie trasą. W dół i w lewo, w dół i w lewo — tak jak odwija się kłębek. Napisał jednym ciągiem odszyfrowany tekst:

QUALOECODEFOUCAULTPENDENTE A 545

Przeanalizował zapis i przepisał go ponownie, starając się znaleźć logiczne odstępstwa pomiędzy wyrazami. Kiedy skończył, przyjrzał się swojej pracy i spojrzał na kochankę. Na jego ustach pojawił się triumfalny uśmiech.

— *Voilà* — powiedział niczym iluzjonista, który właśnie wykonał magiczną sztuczkę.

Lena spojrzała na nabazgrane zdanie i podziwiała, w jaki sposób ten niezrozumiały, nieczytelny, skomplikowany zbitek liter i cyfr przeobraził się — kto wie czy nie w wyniku tajemnych mocy — w przejrzyste, proste, jasne zdanie:

QUAL O ECO DE FOUCAULT PENDENTE A 545?*

* Jakie jest echo Foucaulta przy 545? (z portug.).

VIII

Nerwowe piski latających nisko mew zagłuszały jednostajny szum fal, które delikatnie obmywały szeroką plażę stałym wahadłowym ruchem. Rytmicznie, według swoistego cyklu, pozostawiały cienkie paski piany na smaganym przez ocean brzegu. Plaża w Carcavelos na tle szarego, zimowego nieba wyglądała melancholijnie. Prawie pusta, bez życia, zimna i wietrzna — można było się doliczyć jedynie kilku amatorów surfingu, dwóch czy trzech par zakochanych i staruszka spacerującego brzegiem z psem. Ten smutny i monochromatyczny pejzaż kontrastował z orgią barw latem, kiedy to miejsce tryskało życiem i energią. Teraz pozostawało samotne i przygnębione.

Kelner obsługujący taras oddalił się, pozostawiając parującą kawę na stoliku, przy którym dziesięć minut wcześniej usiadł klient. Tomás wypił łyk i sprawdził czas — była piętnasta czterdzieści. Jego rozmówca spóźnił się — umówili się na wpół do czwartej. Westchnął z rezygnacją. W końcu to on był zainteresowany spotkaniem. W przeddzień zadzwonił do kolegi z wydziału filozofii, profesora Alberta Saraivy, z prośbą o pilną rozmowę. Saraiva mieszkał w Carcavelos, dwa kroki od Oeiras, więc naturalnym miejscem spotkania stała się plaża, mimo zimowej pory znacznie przyjemniejsza niż ciasne gabinety uczelniane.

— *Mon cher*, proszę mi wybaczyć spóźnienie — usłyszał Noronha za plecami.

Wstał i uściśnął nowo przybyłemu dłoń. Saraiva był pięćdziesięcioletnim mężczyzną, o rzadkich, siwych włosach, cienkich wargach

i rozbieganym spojrzeniu w stylu Jeana-Paula Sartre'a. Miał w sobie coś ekstrawaganckiego, coś z trochę szalonego żartownisia, pewien niedbały urok, który rzecz jasna hołubił. W końcu tajemniczy wygląd pasował do jego specjalności — dziedziny zajmującej się dekonstruktywistami francuskimi, których to pasjami analizował podczas studiów doktoranckich na Sorbonie.

— Cześć, panie profesorze — powitał go Tomás. — Bardzo proszę. — Gestem dłoni zaprosił go do zajęcia miejsca na krześle obok. — Napije się pan czegoś?

Saraiva rozsiadł się wygodnie, spoglądając na filizankę stojącą się na stoliku.

— Być może także kawusi...

Noronha podniósł rękę i przywołał zbliżającego się kelnera.

— Proszę o jeszcze jedną kawę.

Przybysz odetchnął głęboko, napełniając płuca zapachem morza. Rozejrzał się wokoło, próbując objąć wzrokiem widoczny z tarasu ocean.

— Uwielbiam przychodzić tu zimą — skomentował. Wyrażał się pompatycznie, dokładnie cedząc sylaby sentencjonalnym tonem, jakby recytował wiersze. Wyglądało na to, że słowa były niezbędne do oddania wyraźnie odczuwalnego tu leniwego nastroju. — Ten niewymowny spokój jest dla mnie inspirujący i dodaje mi energii, rozszerza moje horyzonty i napełnia duszę.

— Przychodzi pan tu często?

— Tylko jesienią i zimą, kiedy nie ma turystów.

Zrobił minę, jakby było mu niedobrze i jakby właśnie przeszedł obok jednej z tych politowania godnych istot rodzaju ludzkiego. Wzdrygnął się, jakby chciał odrzucić od siebie nawet taką myśl. Być może uznał jednak, że prawdopodobieństwo takiego wydarzenia było małe, ponieważ od razu rozluźnił mięśnie twarzy, która odzyskała spokojny, nieco zblazowany wyraz, czyli swój właściwy wizerunek.

— Kocham tę równowagę, ten brutalny kontrast pomiędzy łagodnością ziemi a wściekłością oceanu, wieczny pojedynek spokojnych mew i cholerycznych fal, niekończącą się walkę nieśmiałego słońca z zazdrosnymi chmurami. — Przymknął powieki i ponownie głęboko odetchnął. — To, *mon cher*, mnie pobudza.

Kelner postawił na stoliku drugą filiżankę kawy. Brzęk porcelany przerwał dywagacje Saraivy, który otworzył oczy i ujrzał przed sobą gorący napój.

— Coś jeszcze? — dopytywał się kelner.

— Nie, dziękuję — odpowiedział Tomás.

— To tutaj najlepiej zagłębiam się w myśl Jacques'a Lacana, Jacques'a Derridy, Jeana Baudrillarda, Gilles'a Deleuze'a, Jeana-François Lyotarda, Maurice'a Merleau-Ponty'ego, Michela Foucaulta, Paula...

Noronha odkaszlnął, szukając dogodnego momentu, aby wpaść mu w słowo.

— Właśnie, panie profesorze. To o Foucaulcie chciałem z panem pomówić.

Saraiva spojrział na niego, unosząc wysoko brwi, jakby jego rozmówca przed chwilą dopuścił się bluźnierstwa, wzywając nadaremnie imię boże.

— Michelu Foucaulcie?

Podkreślił słowo „Michel”, subtelnie dając do zrozumienia, że kiedy wspomina się Foucaulta, należy wymienić jego imię, *noblesse oblige*.

— Tak, Michelu Foucaulcie — odrzekł dyplomatycznie Tomás. — Widzi pan, obecnie prowadzę historyczne badania naukowe i natknąłem się właśnie, proszę nie pytać, jak to się stało, na postać Michela Foucaulta. Sam nie wiem, jakich informacji poszukuję, ale istnieje coś, co dotyczy tego filozofa i jest kluczowe w mojej pracy. Co pan może mi o nim powiedzieć?

Profesor filozofii wykonał nieokreślony gest, jakby chciał pokazać, że jest tak wiele do opowiedzenia i nie wie, od czego zacząć.

— Och, Michel Foucault! — Podziwiał wzburzone morze nostalgicznym spojrzeniem, obserwował rozległy ocean, ale oczyma duszy widział odległą Sorbonę swojej młodości. Westchnął ciężko. — Michel Foucault był największym filozofem po Immanuelu Kancie. Czytał pan kiedykolwiek *Krytykę czystego rozumu*?

— Uu... nie.

Saraiva westchnął ciężko, dając do zrozumienia, że przyszło mu rozmawiać z ignorantem.

— To najbardziej godny uwagi ze wszystkich tekstów filozoficznych, *mon cher* — oświadczył, nie spuszczać wzroku z Tomasa. — W *Krytyce czystego rozumu* Immanuel Kant zauważył, że człowiek nie ma rzeczywistego dostępu do siebie samego, do ontologicznej rzeczywistości, lecz jedynie do reprezentacji rzeczy. Nie znamy natury przedmiotów jako takich, lecz w zależności od sposobu, w jaki je postrzegamy, sposobu, który jest dla nas specyficzny. Na przykład człowiek odbiera świat inaczej niż nietoperz. Ludzie widzą obrazy, nietoperze czują echa dźwiękowe. Ludzie odróżniają barwy, a psy jedynie kolor czarny i biały. Ludzie odbierają obraz świata, węże wyczuwają temperaturę. Żadna z tych form nie jest bardziej prawdziwa od innej. Są różne. Żadna też nie jest doskonała, pozwalająca na postrzeganie rzeczywistości samej w sobie, lecz jedynie na poznanie jej przejawów. Powołując się na słynną alegorię Platona, Immanuel Kant mówi nam, że wszyscy znajdujemy się w jaskini, spętani granicami naszej percepcji. Widzimy jedynie cienie rzeczywistości, nigdy jej samej. — Zwrócił się w stronę Tomasa. — Rozumie pan?

Noronha obserwował w zamyśleniu białą pianę pozostawioną przez fale na jasnym piasku plaży. Nie odrywając wzroku od bąbelkującej substancji, pokiwał potakująco głową.

— Tak.

Saraiva przez chwilę przyglądał się swoim paznokciom, po czym podjął tok rozumowania.

— Dlatego dekonstruktywiści francuscy mówią, że nie istnieje nic poza tekstem. Jeżeli z powodu ograniczeń naszej percepcji rzeczywistość jest dla nas niedostępna, oznacza to, że to my sami budujemy jej obraz. I wizerunek ten nie wynika wyłącznie z rzeczywistości samej w sobie, lecz również z naszych szczególnych mechanizmów kognitywnych.

— Tego właśnie broni Foucault?

— To odkrycie wywarło silny wpływ na Michela Foucaulta, o tak — potwierdził, ponownie akcentując słowo „Michel”, delikatnie nalegając w ten sposób na konieczność podawania zawsze pełnego imienia i nazwiska, kiedy wspomina się filozofa, którego on ceni. — Przekonał się, że nie istnieje jedna prawda, ale wiele prawd.

Tomás zrobił grymas powątpiewania.

— Czy nie uważa pan tego za zbyt sztuczne? Jak można twierdzić, że nie ma jednej prawdy?

Mon cher, to logiczna konsekwencja odkrycia Immanuela Kanta. Nie mogąc dotrzeć do rzeczywistości, gdyż jest ona niedostępna naszym zmysłom i rekonstruowana na podstawie naszych ograniczonych mechanizmów kognitywnych, nie możemy dotrzeć do prawdy. Pojmuje pan to? Rzeczywistość to prawda. Jeżeli nie możemy jej poznać, nie poznamy też prawdy. — Zrobił dłonią gest. — Logiczne.

— Więc nie ma prawdy, he? — Noronha uderzył dłonią w bukowe krzesło. — Jeżeli powiem, że to krzesło jest drewniane, to nie mówię prawdy? — Wskazał na ocean. — Jeśli powiem, że morze jest niebieskie, nie mówię prawdy?

Saraiva uśmiechnął się, rozmowa wkroczyła na teren dobrze mu znany.

— To problem, który musiała rozwiązać szkoła fenomenologiczna w następstwie *Krytyki czystego rozumu*. Stąd nastąpiła konieczność ponownego zdefiniowania pojęcia prawdy. Jeden z ojców fenomenologii, Edmund Husserl, poświęcił uwagę tej kwestii i stwierdził, że sądy o świecie nie mają w sobie żadnego obiektywizmu. Opierają się na prawdzie subiektywnej. Ustalił rozdział pomiędzy rzeczami samymi w sobie, czyli noumenami, a zespołem subiektywnych prawd i zjawisk określanych jako fenomeny. Inaczej mówiąc, prawda nie jest czymś obiektywnym, lecz subiektywną reprezentacją rzeczy samej w sobie. Ideę tę podjął Martin Heidegger, który zaobserwował, że prawda to upodobnienie się przedmiotu do wiedzy, ale także upodobnienie się wiedzy do przedmiotu, jako że esencją prawdy jest prawda o esencji.

— Hmm, nie wiem — wyraził swą wątpliwość Tomás. — Wydaje mi się, że to tylko gra słów.

— Nie, ależ nie — zaprzeczył energicznie Saraiva. — Niech pan spojrzy na swoją dziedzinę, historię. Teksty historyczne mówią o Portugalczyku Wiriatusie, który stawił opór inwazji rzymskiej. Lecz skąd mam mieć pewność, że Wiriatus istniał naprawdę? Oczywiście, jedynie opierając się na mówiących o nim tekstach. Ale jeżeli te źródła to bajki? Wie pan lepiej ode mnie, że tekst historyczny nie zajmuje się rzeczywistością samą w sobie, lecz przekazami o niej. Owe relacje

mogą być niepoprawne, jeśli nawet nie zmyślone. Tak więc w dyskursie historycznym nie istnieje prawda obiektywna, lecz subiektywna. Jak zauważył Karl Popper, nie ma czegoś prawdziwego z definicji. Są tylko rzeczy zdecydowanie fałszywe i inne tymczasowo prawdziwe.

— To można odnieść do wszystkiego — zgodził się Noronha. — Przyznaję, że również i do dyskursu historycznego. Wystarczy poczytać Marroua, Ricoeura, Veyne'a, Collingwooda czy Galliego, by zrozumieć, że w przekazie historycznym nie ma definitywnych prawd. Historia podaje to, co wydarzyło się w przeszłości zgodnie z tym, co mówią świadkowie i dokumenty, oba równie zawodne. Dodatkowym czynnikiem jest praca historyków, tak samo zawodna. Ale, jeśli chce pan poznać moje zdanie, nie stanowi to odpowiedzi na zadane przeze mnie pytanie. — Ponownie wskazał na horyzont. — Jak można powiedzieć, że to jest subiektywna prawda? — Wykrzywił usta z przekąsem. — Z tego, co wiem, kolor wody morskiej to prawda obiektywna.

— Tak się składa, że nie — odparł Saraiva, kręcąc głową. — Gdyby przeanalizował pan fenomen barw, dowiedziałby się pan, że w pewnym stopniu są iluzją. Morze i niebo wydają się nam niebieskie z powodu drogi, jaką dociera do Ziemi światło słoneczne. Kiedy blask Słońca dochodzi z punktu położonego blisko horyzontu, niebo może nabrać barwy czerwonej wskutek spektrum światła promieni słonecznych. Niebo pozostaje to samo, to światło zmienia się z powodu innej pozycji Słońca wobec Ziemi. To dowód na to, że morze nie jest niebieskie, lecz nasze oczy dzięki swoim właściwościom percepcyjnym, w zależności od spektrum światła, tak je postrzegają. W istocie na tym polega problem prawdy. Wiem, że zmysły są zawodne; moje rozumowanie może zaprowadzić mnie do fałszywych wniosków; pamięć może wystrychnąć mnie na dudka. Rzeczywistość sama w sobie jest mi niedostępna; obiektywna, definitywna, ostateczna prawda sama w sobie nigdy nie stanie się moim udziałem. Patrzy pan na morze i widzi kolor niebieski. Pies patrzy na ocean i widzi szarość, ponieważ jest daltonistą. Żadne z was nie osiąga rzeczywistości samej w sobie, jedynie jej wizję. Żadne nie staje się panem prawdy obiektywnej, lecz tylko czegoś mniej kategoriycznego. — Otworzył dłonie, jakby przechowywał w nich coś cennego, co dopiero teraz ujawniał. — Prawdy subiektywnej.

Tomás potarł oczy prawą dłonią.

— Rozumiem — powiedział. — I tutaj pojawia się Foucault?

— Michel Foucault przychodzi w następstwie tego odkrycia — sprostował Saraiva, ponownie podkreślając imię, które ignorował jego rozmówca. — Jego dokonania polegają na udowodnieniu, iż prawdy zależą od założeń epoki, w której są wygłaszane. Pracując niemal jak historyk, doszedł do wniosku, że wiedza i władza są nierozzerwalnie połączone, przeobrażając się w wiedzę-władzę. Są niczym obie strony tego samego medalu. W gruncie rzeczy na tej fundamentalnej osi Foucault oparł całą swoją pracę. — Wykonał gest w kierunku historyka. — Czy czytał pan kiedykolwiek Michela Foucaulta?

— Więc... — zawahał się Noronha, obawiając się obrazić profesora. — Nie.

Saraiva pokręcił głową w geście ojcowskiej dezaprobaty.

— Musi pan przeczytać — polecił.

— Proszę mi o nim opowiedzieć.

— Co chce pan usłyszeć, *mon cher*? Michel Foucault urodził się w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym i był homoseksualistą. Po tym jak odkrył Martina Heideggera, natknął się na Fryderyka Nietzschego i jego przesłanie o centralnej roli władzy w całej aktywności ludzkiej. To odkrycie głęboko go poruszyło. Michel Foucault doszedł do wniosku, że za wszystkim stoi władza, i poświęcił się misji zbadania sposobów jej sprawowania za pomocą nauki; posługiwania się wiedzą w celu narzucenia społecznej kontroli. Innymi słowy, zbadania mariażu wiedza-władza.

— Ale gdzie zostało to opisane?

— Och, w wielu książkach. W *Słowach i rzeczach* na przykład przeanalizował założenia i przesłanki, które kształtują myśl danej epoki. — Wymówił tytuł książki w bardzo paryskiej odmianie francuskiego, z dostrzegalnym eleganckim akcentem.

Tomás robił notatki.

— Proszę poczekać — powiedział, pospiesznie gryzmołąc. — *Słowa i rzeczy*, tak?

— Właśnie. Być może jest to tekst Michela Foucaulta najbardziej inspirowany Kantem. Słowa stanowią manifestację rzeczywistości,

a obiekty rzeczywistość samą w sobie. W pewnym stopniu dzieło to przyczyniło się do zniszczenia pojęcia prawdy absolutnej. Skoro nasz sposób myślenia jest zdeterminowany założeniami i przesłankami czasów, w których przyszło nam żyć, niemożliwe jest dotarcie do obiektywnej prawdy. Prawda staje się względna, zależy od sposobu postrzegania.

— Tak mówił Kant?

— Oczywiście. Dlatego wielu uważa Michela Foucaulta za nowego Immanuela Kanta.

— Czy nie byłby to raczej jego następca? W końcu kontynuował jedynie jego idee?

— Michel Foucault przedstawił owe idee w nowym kontekście — skorygował Saraiva, dbając o to, by jego ulubiony filozof nie został postrzegany jako swego rodzaju plagiator. — *Mon cher*, opowiem panu historię. Kiedy poproszono go o udzielenie wykładów w Collège de France, zapytano, jaki jest jego tytuł naukowy. Wie pan, co odpowiedział?

Noronha wzruszył ramionami.

— Nie.

— Profesor historii systemów myślowych. — Saraiva wybuchnął śmiechem. — Wyobrażam sobie ich głupie miny. — Śmiech ustąpił miejsca westchnieniu zadowolenia. — W istocie rzeczy tym właśnie był, prawda? Historykiem systemów myślowych. Właściwie doskonale było to widoczne w jego następnym dziele, *Archeologii wiedzy*. Tam Michel Foucault zdefiniował prawdę jako wypadkową, produkt wiedzy danej epoki, oraz rozciągnął tę definicję na inne pojęcia. Na przykład na określenie autora dzieła literackiego. Według niego autor to nie tylko osoba, która pisze książkę, ale cała konstrukcja wzniesiona na podstawie zespołu czynników, włącznie z językiem, aktualnymi prądami literackimi oraz wieloma elementami społecznymi i historycznymi. Inaczej mówiąc, autor nie jest niczym więcej jak produktem swego dzieła i towarzyszących mu okoliczności.

Nieprzekonany Tomás zrobił grymas.

— To oczywiste, nie sądzi pan? — zapytał. — Wszyscy jesteśmy wypadkową naszych działań i towarzyszących im okoliczności. To żadna nowość...

— Jeszcze raz kontekst, *mon cher*. Zdzierając w taki sposób skalp pojęciu prawdy, Foucault dokonuje jego obalenia.

— Aha! — wykrzyknął Noronha, jak gdyby w końcu zrozumiał. W rzeczywistości nie widział w tym nic nadzwyczajnego lub szczególnie nowatorskiego, ale nie chciał zaprzeczać Saraivie ani studzić jego entuzjazmu. — I co dalej?

Patrząc jednym okiem na kolegę, a drugim obejmując horyzont, profesor filozofii obszernie przedstawił dorobek Foucaulta, opisując szczegółowo *Historię szaleństwa w dobie klasycyzmu*, *Narodziny kliniki*, *Nadzorować i karać*, *Narodziny więzienia* oraz trzy tomy *Historii seksualności*. Była to entuzjastyczna prezentacja, której historyk wysłuchał uważnie, choć ostrożnie. Zachował uwagę, by wyłowić istotne dla rozwiązania swojej zagadki elementy, ale i ostrożność, ponieważ jego zdaniem dekonstrukcyoniści mieli tendencję do przeceniania znaczenia Foucaulta.

— To by było wszystko — zakończył Saraiva po długim opisie. — Dwa tygodnie po oddaniu do druku rękopisu trzeciego tomu *Historii seksualności* Michel Foucault dostał zapaści i został internowany w szpitalu. Miał AIDS. Zmarł latem tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku.

Tomás przejrzał notatki, kartkując je tam i z powrotem.

— Hmm — wymruczał zamyślony, ze wzrokiem utkwionym w zapiskach. — Nie widzę tu żadnej podpowiedzi.

— Podpowiedzi do czego?

— Do szarady, którą się zajmuję.

— Szarady na temat Michela Foucaulta?

— Tak — odpowiedział tamten, przesuwając ręką po twarzy w roz-targnieniu.

Podniósł wzrok na wody oceanu; połyskiwały złotawym, migocącym blaskiem, jakby na powierzchni unosił się błyszczący dywan z diamentów falujący niespokojnie na grzbietach fal. Popołudnie zbliżało się ku końcowi, po prawej stronie za zasłoną chmur toczyła się w dół żółto-czerwona kula. Słońce przedzierało się przez szarą kotarę okrywającą niebo, aby zatonać za odległą linią horyzontu.

— Co to za zagadka?

Historyk spojrział na Saraivę z wahaniem. Czy warto było mu pokazywać szaradę? Chociaż, prawdę mówiąc, co miał do stracenia? Być może profesor filozofii wpadłby na jakiś pomysł. Ponownie przekartkował notatnik i znalazł zapisane zdanie. Podniósł zeszyt i pokazał mu je.

— Widzi pan?

Saraiva pochylił się i spojrział na kartkę prawym okiem, podczas gdy lewe zagubiło się gdzieś w obserwacji morza. Miał przed sobą dziwne zdanie pytające:

JAKIE JEST ECHO FOUCAULTA PRZY 545?

— A co to za diabeł? — zapytał sam siebie. — Jakie jest echo Foucaulta przy pięćset czterdzieści pięć? — Spojrział na Noronhę. — Ale co to za echo?

— Nie wiem. Niech pan mi powie.

Filozof ponownie przyjrzał się zapisanemu w notatniku zdaniu.

— *Mon cher*, nie mam najmniejszego pojęcia. Być może chodzi o kogoś, kto powtarza za Michelelem Foucaultem?

— A to jest ciekawy pomysł — stwierdził Tomás, zastanawiając się. Popatrzył na Saraivę z odrobiną niepokoju. — Czy wie pan o kimś, kto byłby echem Foucaulta?

— Jeżeli już, to tylko Immanuel Kant. Chociaż w rzeczywistości to raczej Michel Foucault był echem Immanuela Kanta, a nie odwrotnie.

— Ale nie było nikogo, kto był następcą Foucaulta?

— On miał wielu następców, *mon cher*.

— Czy którykolwiek z nich ma związek z liczbą pięćset czterdzieści pięć?

— Nie potrafię na to odpowiedzieć, ponieważ nie rozumiem, o co chodzi. Co to znaczy „ma związek z liczbą pięćset czterdzieści pięć”, he? Co to za pięćset czterdzieści pięć?

Noronha nie spuszczał wzroku z rozmówcy.

— Czy nie brzmi to dla pana znajomo?

Profesor filozofii przygryzł dolną wargę.

— Nic, *mon cher* — powiedział, potrząsając głową. — Nic a nic.

Historyk zamknął notes z wielką starannością i westchnął.

— Co za pech! — wykrzyknął i z frustracją uderzył dłonią w blat stołu. — Miałem nadzieję, że coś znajdę. — Rozejrzał się wokół i skinął ręką na kelnera. — Proszę o rachunek.

Saraiva zapisał sobie enigmatyczne zdanie i schował kartkę do kieszeni płaszcza.

— Przestudiuję uważnie książki — obiecał. — Być może czegoś się doszukam.

— Dziękuję panu.

Podszedł kelner i podał wysokość rachunku. Tomás zapłacił i obaj wstali. Zrobiło się późno.

— Co teraz pan będzie robił? — dopytywał się jego towarzysz.

— Pójdę do domu.

— Nie, chodzi mi o szaradę.

— Ach tak. Wstąpię do księgarni i kupię dzieła Foucaulta. Może wpadnę na jakiś trop. Klucz do zagadki tkwi zapewne w jakimś szczególe.

Wyszli razem z restauracji i pożegnali się na parkingu.

— Michel Foucault to ciekawa postać — skomentował Saraiva, zanim się rozstali.

— Dlaczego?

— Był wielkim filozofem i przyzwoitym historykiem. Człowiekiem, który proklamował, że prawda obiektywna jest niedostępna, że mamy dostęp tylko do prawdy subiektywnej, a zatem prawda jest względna i zależy od naszego sposobu postrzegania rzeczy. Ale wie pan, co powiedział kiedyś o całej swojej pracy na temat dążenia do prawdy?

— Co takiego?

— To, że przez całe swoje życie nie zajmował się niczym innym niż fikcją literacką.

IX

Podniecenie spowodowane wywołującą dreszcze tajemnicą stopniowo ustawało, tak jak notorycznie łamany zakaz przeradza się w dyskretne przyzwyczajenie — niewątpliwie naganne, jednak tolerowane uzależnienie. Po prawie dwóch miesiącach związek z Leną wszedł definitywnie na tory rutyny. Huragan żądz, który ich smagał nieposkromioną zmysłowością i porywał na szczyty ekstazy, pochłaniał tyle energii, że samoistnie się wyczerpał. Porywisty wiatr osłabł zadziwiająco szybko i przeszedł w delikatną bryzę, spokojny, ciepły i miły podmuch na leniwej równinie codzienności.

Tomás wchodził na schody budynku przy ulicy Latino Coelho i stawał przed drzwiami kochanki już bez pełnej drżenia, palącej niecierpliwości ich pierwszych spotkań. Lena przyjmowała go ciepło, lecz minęło już dawne podniecenie nowością. Wizyty profesora były na porządku dziennym, stały się przyjemnym zwyczajem ich lizbońskich popołudni. Na początku kolejne spotkanie natychmiast kończyło się pospieszną fuzją ciał. Oboje tak bardzo przepelnieni byli pożądaniem, że nie mogli się doczekać rozładowania ładunku zmagazynowanej energii. Dotykali się, z ledwością zachowując nad sobą kontrolę. Dochodziło do natychmiastowego wypalenia się trawiącego ich ognia w upajającym wybuchu zmysłów. Jednak po akcie miłosnym Tomás coraz częściej pogrążał się w nieprzyjemnym poczuciu pustki, próżni, jak gdyby energia, która kilka minut wcześniej go oślepiła, nagle się ulotniła. Niesamowicie podniecające ciało Szwedki naraz stawało się dla niego obojętne. Zupełnie nie pojmował, jak przed

chwilą mógł jej tak bardzo pragnąć. Zaczęli czuć się z sobą jakoś niezręcznie. Starali się opanowywać tę początkową niecierpliwość i gwałtowność. Zaczynali spotkanie od drobnych, rutynowych zajęć. Zwierzęce instynkty drzemały stłumione w ich ciałach, niczym niespokojny, krwiożerczy drapieżnik zamknięty w zbyt ciasnej klatce. Zamiast natychmiast je zaspokajać, starali się przedłużyć oczekiwanie, podsycać napięcie seksualne, potęgować je, rozciągać w czasie, opóźniać aż do granic wytrzymałości, aż do momentu, w którym nie mogli dłużej powstrzymać pożądania. Tym razem Lena pojawiła się w białej jedwabnej sukience. Na piersiach materiał był niemal przezroczysty, co pozwalało podziwiać jej duże różowe sutki ze stojącymi na baczność koniuszkami oraz rozkoszne zarysy obfitych piersi sprawiających wrażenie przepelnionych mlekiem. W niemal zwierzęcej reakcji Tomás poczuł chęć natychmiastowego oddania się przyjemności i zaczął miętosić jej dorodny biust, jakby chciał wycisnąć soczysty owoc. Szwedka jednak odsunęła się, uśmiechając się przekornie.

— Teraz nie, mój obzartuchu — ostrzegła go. — Jeśli będziesz grzeczny, mamusia da ci potem papu. — Dotknęła wskazującym palcem czubka jego nosa jak ktoś, kto chce skarcić dziecko. — Ale tylko wtedy, gdy będziesz posłuszny...

— Och, daj mi troszkę spróbować...

— Nie. — Oddaliła się korytarzem, kołysząc prowokacyjnie ciałem. Odwróciła się, spojrzała na niego z triumfalną złośliwością i uśmiechnęła się. — Nie możesz mieć wszystkiego naraz. Jak mówi szwedzkie przysłowie: pamiętamy o obiecany pocałunku, a zapominamy o tych już otrzymanych.

Usiedli na kanapie obok grzejnika. Lena przygotowała w dzbanku gorącą herbatę z kwiatów lipy i podała tradycyjne szwedzkie ciasteczka imbirowe na talerzyku, który postawiła na tacy obok filiżanek. Tomás wypił łyk naparu i skosztował jeden z brązowych herbatników.

— Bardzo dobre — skomentował z pełną aprobaty miną, delektując się słodkim i lekko pikantnym smakiem imbirowego ciastka.

Dziewczyna zajrzała do jego plastikowej torby.

— Nadal masz tu Foucaulta?

Profesor pochylił się i wyjął książkę z reklamówki.

— Mam — potwierdził. — Ale już nie *Słowa i rzeczy*. — Pokazał jej okładkę nowego dzieła pod tytułem *Nadzorować i karać*. — To brazylijskie tłumaczenie oryginału *Surveiller et punir*. Sama widzisz, w Portugalii jeszcze ani razu nie wydano tej książki.

— Ale to wydanie się nada, prawda?

— Oczywiście.

— A ta poprzednia? Już ją skończyłeś?

— Tak.

— I co?

Wzruszył ramionami w geście rezygnacji.

— Nic tam nie znalazłem. — Położył nową pozycję na kolanach i otworzył na pierwszej stronie, nadal przeżuując ciasteczko. — Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Tomás zorientował się, że być może właśnie to była ich płaszczyzna porozumienia. Oczywiście oprócz seksu. Prawdopodobnie każde z nich miało własne zainteresowania, ale sprawa badań profesora Toscano przykuwała uwagę obojga, a Szwedka okazała się nieocenioną pomocą. Zadawała pytania; uczestniczyła w pracy; pomagała mu w poszukiwaniach; rozmawiała z kolegami studiującymi filozofię; starała się szukać tropów, które mogłyby mu się przydać do rozwiązania zagadki. Nawet przynosiła eseje na temat Michela Foucaulta w nadziei, że znajdzie się tam jakiś pominięty ślad. W ten sposób wpadł mu w ręce między innymi egzemplarz *The Cambridge Companion to Foucault* Guttinga, *The Foucault Reader* Rabinowa oraz *The Lives of Michel Foucault*, autorstwa Maceya. Poświęcenie kochanki sięgało tak daleko, że sama zagłębiła się w lekturę portugalskiego tłumaczenia *Historii szaleństwa w dobie klasycyzmu*, nieustannie szukając liczby 545 albo słów podobnych do występujących w szaradzie.

— Wszyscy szaleńcy są braćmi — skomentowała, otwierając książkę.

— Co? — zapytał, podnosząc wzrok znad *Nadzorować i karać*.

— To inne szwedzkie przysłowie — wyjaśniła. Uniosła tom *Historii szaleństwa* i powtórzyła powiedzenie: — Wszyscy szaleńcy są braćmi.

Przebierając w palcach zaostrzony ołówek, Tomás poświęcił uwagę

swojej książce i wyłączył się z otaczającego świata. Ale jego koncentracja nie trwała długo. Pierwsze strony prędko go wyczerpały. Zbladł i wkrótce wskutek narastających mdłości musiał przerwać lekturę. Nigdy nie czytał czegoś tak gwałtownie agresywnego, tak bezpodstawnie brutalnego.

— Co się stało? — dopytywała się Lena, zaintrygowana jego reakcją.

— To jakiś horror — powiedział, przewracając oczami.

— Co?

— Historia opisana na początku książki...

— Jaka historia? — Dziewczyna wyprostowała się i spojrzała na dzieło. — Opowiedz mi.

Roześmiał się i pokręcił głową.

— Nie wiem, czy chciałabyś to usłyszeć...

— Oczywiście, że chcę — nalegała. — No, opowiedz.

— Nie będzie ci się to podobało.

— Dawaj, nie wymiguj się. No, opowiadaj.

Otworzył ponownie książkę, nie spuszczać z kochanki wzroku.

— Ostrzegalem cię, więc potem nie narzekaj. — Popatrzył na pierwsze słowa tekstu. — To dokument, który opisuje publiczną egzekucję Roberta Damiensa w Paryżu. Fanatyka, który próbował zamordować Ludwika Piętnastego w tysiąc siedemset pięćdziesiątym siódmym roku w Wersalu. Egzekucję przeprowadziła grupa katów pod przewodnictwem niejakiego Samsona. Przewidywała ona potraktowanie szczypcami sutków, ramion, ud i łydek skazanego. Jego prawa dłoń trzymająca nóż, narzędzie zbrodni, miała być opalona gorącą siarką, a na unieruchomione szczypcami części ciała miano wylać ciekły ołów, wrzący olej, smołę oraz rozpuszczone razem siarkę i воск. Na sam koniec skazańca czekało włóczenie czterema końmi. Taki był plan. Kaźń została szczegółowo opisana przez komisarza policji Boutona, który był jej naocznym świadkiem. — Noronha ponownie spojrzał na Lenę. — Jesteś pewna, że chcesz tego posłuchać?

— Nie — odparła, wyciągając mu z ręki książkę.

— Co? Muszę to przeczytać...

— Potem przeczytasz.

Dziewczyna podeszła do odtwarzacza CD i nastawiła płytę kompaktową. Rozległ głos Bono i melodyjne dźwięki utworu *Joshua Tree*, tworząc zmysłową atmosferę. Zaczęli wymieniać znaczące, coraz bardziej prowokujące uśmiechy, a następnie pożądliwe, łakome, łase spojrzenia. Kiedy skończyli herbatę i ciasteczka, Lena sprzątnęła tacę i rozpinając kołnierzyk, oznajmiła kochankowi, że nadeszła pora na deser. Zdjęła białą sukienkę i naga pochyliła się nad nim. Jej mleczna skóra drżała z podniecenia, była rozpalona pragnieniem i żądzą. Tomás przejął inicjatywę i oboje sycili się sobą nawzajem na kanapie, obok grzejnika. Książka Michela Foucaulta, być może zdradzająca sekret, który tak starał się ukryć Toscano, spadła na podłogę. Jak zwykle między nimi seks był gwałtowny. Odbywał się bez słów. Było w nim miejsce tylko na szal zmysłów, pomruki i jęki, aż do wyzwalającej eksplozji. Huragan przeszedł i uspokoił zawracającą im w głowach łączywość wyglodniałych ciał. Leżały na kanapie — puste, próżne, porzucone i sapiące ciężko w poczuciu zaspokojenia, zachwycone, pijane słodką bezwładnością doznanej przyjemności. Lena wyciągnęła leniwie ramiona, podparła się łokciem i pochyliła nad kochankiem. Jej wielkie piersi o różowych sutkach znalazły się nad jego torsem.

— Nie kochasz się ze swoją żoną, prawda?

Spojrzał na nią zaskoczony, otrząsając się z letargu, w który wtrąciły go potężne fale rozkoszy.

— Nie — odparł, kręcąc głową. Takiego pytania nigdy się nie spodziewał. — Oczywiście, że nie.

Lena westchnęła z rezygnacją i opadła na kanapę. Rozrzucając jasne włosy na poduszce, utkwiała swoje niebieskie oczy w suficie.

— Będę musiała ci uwierzyć.

###

Wielkie kwiaty cisnęły się w glinianych wazonach. Wychylały się spoza liści, jak gdyby stawały na palcach, łaknąc świeżego powietrza. Miały lekkie jak piórka, delikatne płatki, które błyszczały różnymi odcieniami różu i zawijały się do środka niczym postrzępione muszle. Były piękne, dorodne, zmysłowe.

— Czy to róże? — zapytał Tomás ze szklanką whisky w dłoni.

— Przypominają je — odpowiedziała Constança. — Ale to piwonie lub peonie.

Byli już po kolacji i odpoczywali w dużym pokoju, wykorzystując chwilę, gdy Margarida ubierała się u siebie w piżamę.

— Pierwsze slysze — wymruczał. — Co to za kwiaty?

— Paion to epitet Apollina jako uzdrowiciela. Legenda głosi, że uleczył Hadesa nasionami pewnych szczególnych kwiatów. W hołdzie dla Paiona nazwano je peoniami. Pliniusz Starszy głosił, że owe kwiaty były lekarstwem na dwadzieścia chorób, ale tego nigdy nie udowodniono. Mimo to w osiemnastym wieku nasion piwonii używano, by chronić dzieci przed padaczką i koszmarami. Stąd kojarzy się te kwiaty z dzieciństwem.

Tomás nadal przyglądał się peoniom.

— Przysiagłbym, że to róże.

— W pewnym stopniu to prawda, ale nie mają kolców. Ich brak sprawił, iż chrześcijanie porównywali piwonie do Najświętszej Maryi Panny, mówili, że obie są jak róże bez kolców.

— A co one symbolizują?

— Nieśmiałość. Poeci chińscy zawsze uciekali się do peonii, by opisać dziewczęce rumieńce zawstydzienia, kojarząc te kwiaty z niewinnością i dziewictwem.

Usłyszeli głos Margaridy dochodzący z jej pokoju. Nawoływanie małej było niemal błagalne.

— Mamo, psyjć, pocytaj mi bajkę.

Constança spojrziała na męża zmęczonym wzrokiem.

— Tym razem twoja kolej. Ja mam fajrant na dzisiaj.

Poszedł do pokoju córki i znalazł ją przeglądającą się w lustrze. Położył ją do łóżka, przykrył kołderką i pochylił się nad nią. Ucałował jej zaróżowione policzki i pogłaskał po cienkich włosach. Obojgu sprawiło to widoczną przyjemność.

— Jaką dzisiaj chcesz bajkę?

— Kopciuska.

— Jeszcze raz tę samą? Nie wolałabyś posłuchać jakiejś nowej?

— Kcem Kopciuska.

Zgasił górne światło, pozostawiając zapaloną lampkę nocną. Żółte

oświetlenie było słabe i przytłumione, idealne do usypiania. Przyśiadł na brzegu łóżka, wziął córkę za rękę i hipnotycznie szepcząc, rozpoczął opowiadanie bajki o Kopciuszku, dziewczynce, która straciła matkę, potem ojca i w końcu zamieszkała ze złą macochą i jej rozpieszczonymi córkami. Margarida słuchała z szeroko otwartymi oczami aż do momentu, w którym Kopciuszek poznaje na balu księcia. Wtedy, uspokojona tym daleko idącym w skutkach spotkaniem, poczuła, że powieki zaczynają jej ciążyć, i przestała walczyć ze snem. Poddała się harmonijnemu rytmowi wyszeptywanych przez ojca słów i zapadła w słodką niemoc, która zawładnęła jej ciałem. Oczy jej się zamknęły, a oddech stał się bardziej równomierny i głęboki. Ojciec jeszcze raz ucałował dziecko i zgasił lampkę. Krok za krokiem, prawie wstrzymując oddech, wyszedł z pokoju, delikatnie przymknął drzwi i wrócił do Constanicy.

Spała na kanapie. Głowa opadła jej na ramię, w telewizji emitowano jakiś konkurs, którego wcale nie oglądali. Podniósł żonę i zaniósł ją do sypialni. Podtrzymując ją jedną ręką, drugą zdjął jej sweter, następnie buty i położył na pościeli, przykrywając po samą brodę kocem. Wymruczała coś niezrozumiale i obróciła się, przytulając do poduszki. Ciepło okrycia zaróżowiło jej piegowate policzki i mleczną skórę. Wyglądała jak niemowlę. Tomás zgasił światło i zamierzał wrócić do dużego pokoju. Zawahał się jednak. Zatrzymał się w drzwiach i odwrócił, patrząc na kobietę, która już twardo spała. Powoli się zbliżył, starając się nie robić hałasu. Usiadł na brzegu łóżka i obserwował ją w milczeniu, patrząc na lekko unoszący się i opadający w rytmie jej oddechu koc.

Pytanie Leny nadal rozbrzmiewało mu w myślach, teraz jeszcze głośniejsze niż kiedykolwiek. „Nie kochasz się ze swoją żoną, prawda?“, pytała z odrobiną niepokoju. Prawdę mówiąc, już od jakiegoś czasu nie uprawiał seksu z Constancą, a odkąd zaczęły się jego stosunki pozamałżeńskie, nie zbliżył się do niej. Ale nie mógł zagwarantować, że któregoś dnia do tego nie dojdzie. Jak mógłby coś takiego obiecać? To pytanie, sformułowane tak bezpośrednio po kulminacji intensywnego aktu miłosnego, wytrąciło go z jakiegoś irracjonalnego snu, brutalnie go obudziło, jak gdyby wylano mu na głowę kubel zimnej wody. Zmusiło go do twardej konfrontacji z rzeczywistością, jakby zapaliło się w nim nagle światło. A być może zgasło. Co go teraz

czekało? Czy będzie kochał się z dwiema kobietami, oszukując nie tylko jedną, ale obie? Jak wyobrażał sobie przyszłość swojej żony, córki, swojej kochanki? Jakie było ich przeznaczenie? Czyżby igrał z ogniem? Czy nadal był panem swojego losu, czy też podlegał zaistniałym okolicznościom? Czy chciał żyć w prawdzie? Ale w jakiej prawdzie? Czyż Saraiva nie mówił, że prawda jest niedostępna? Być może. Mimo wszystko, jako przedstawicielowi rodzaju ludzkiego, pozostawała mu zawsze alternatywa — prawda subiektywna. Moralna.

Uczciwość.

Było oczywiste, że nie żył w moralnej prawdzie — egzystował w iluzji i kłamstwie, prowadził podwójne życie. Okłamywał żonę i wkrótce przyjdzie mu oszukiwać kochankę. Czy takiej przyszłości chciał dla siebie i trzech kobiet, z którymi zetknęło go przeznaczenie? Pytanie Leny — wyraźnie niewinne i przypadkowe — wprawiło w ruch skomplikowany proces myślowy, rozpętało w głowie Tomasa zamieszanie. Postawiło go twarzą w twarz z samym sobą, po raz pierwszy zmusiło do spojrzenia sobie w oczy. Zakręciło mu się w głowie, kiedy zobaczył, jaki jest naprawdę; kiedy pytał sam siebie, jaki chciałby być; kiedy zakwestionował niepewną drogę, którą podążał. Prawdziwe lustrzane odbicie ukazało go nad krawędzią przepaści.

Przyglądając się uważnie przygodzie, w której brał udział, odkrył dziwny podtekst. Być może była to historia mrocznej części jego osobowości — pogrążonej w cieniu, ukrytej w odległym zakątku umysłu, co do której miał największe wątpliwości i która wzbudzała jego największe obawy. Kim w końcu była dla niego Lena? Zwykłą zdobyczą seksualną? Poszukiwaniem czegoś bliżej nieokreślonego? Nieodpowiedzialną fantazją? Ryzykownym zagraniam, w którym niebezpieczeństwo działało jak afrodyzjak? Zastanowił się jeszcze raz. Być może reprezentowała coś innego? Drogę okrężną, pretekst, poszukiwanie.

Ucieczkę.

Twierdząco pokiwał głową, jak gdyby odnalazł właściwe słowo, które najlepiej określało targającą nim wewnętrzną walkę. Ucieczka. Któż to wie, być może Lena bardziej niż chemię seksu proponowała

mu chemię ucieczki — ucieczki od samego siebie, od zmęczenia żony; ucieczki od trudności związanych z Margaridą, od problemów braku pieniędzy; ucieczki od życiowego rozczarowania. Była wyjściem awaryjnym, wybiegiem, unikaniem. Fantazją. Z dnia na dzień jednak sekret tracił na tajemniczości; iluzji zaczynało brakować polotu; kaprys wy-czerpał całą swoją atrakcyjność. Co więc mu pozostawało?

Uległ wdziękom Szwedki, by uciec od zawilej sieci własnych niezliczonych trudności. Przynajmniej przez jakiś czas iluzja zdawała egzamin. Teraz dostrzegł, że problemy właściwie nigdy nie zniknęły. Były jedynie zakamuflowane porażającym blaskiem oszałamiającego związku z Leną. Poczul się jak oślepiiony reflektorami samochodu zając, który tkwi nieruchomo na drodze, oszołomiony ową przerażającą jasnością, zachwycony migocącymi punktami światła pojawiającymi się w szarości nocy. Zapominał, że za tą piękną, wytworną poświatą kryła się niewidzialna, ogromna, przerażająca istota, która za chwilę wyskoczy z cienia niczym dziki kot i wtłoczy go w asfalt. W ostatecznym rozrachunku właśnie tym groził mu dokonany wybór. Czy chciał być zmiażdżony przez tego czającego się drapieżnika? Czy potrafi zobaczyć coś więcej niż tylko oślepiający blask reflektorów? Czy zdoła zdjąć z siebie ten niebezpieczny czar, który hipnotyzuje go na samym środku drogi?

Spojrzał na Constanę. Spała, trzymając się poduszki. Wyglądała niewinnie i krucho, a jej włosy na pościeli układały się w pierścienie. Westchnął. Pomyślał, że być może zdrada miała większy związek z nim samym niż z Leną. Była prawdopodobnie czymś, co dotyczyło jego osobowości, targających nim obaw, pielęgnowanych oczekiwań, sposobu radzenia sobie w konfliktach i stawiania czoła problemom. Żona była źródłem jego niepokoju, ucieleśniała trudności, od których usiłował uciec. Lena natomiast reprezentowała ochronne skrzydła, bilet na loterii, który obiecywał wyrwać go z tego wzburzonego morza przeszkód i przenieść na rozległe przestrzenie wolności. Ale teraz zdał sobie sprawę, że ów bilet ostatecznie donikąd go nie zabierał, nie przenosił do upragnionego celu podróży. Prawda była taka, że docelowe przeznaczenie nie istniało — przynajmniej nie w jego wypadku. Podejmując tę podróż, znalazłby się w zupełnie innym miejscu, być może jeszcze bardziej trudnym, pozostając przy starych

problemach i dokładając do nich nowe przeciwności losu.

Pogładził palcami loki Constancy, bawiąc się nimi bezmyślnie. Poczul jej lekki oddech i podziwiał siłę ducha, jaką wykazywała, pokonując trudności, przed którymi on dezerterował. Gładząc ją po twarzy, poczul ciepło jej miękkiej skóry. Wyobraził sobie, że w dłoni trzyma dwa bilety — jeden, by zostać, a drugi, by odejść. Musiał podjąć decyzję. Rozejrzał się wokół jak ktoś, kto chce zachować w pamięci zarejestrowany obraz — pokój, harmonijny oddech żony, subtelny aromat chanel no. 5 unoszący się w powietrzu. Odetchnął głęboko i właśnie w owym momencie, kiedy czule pieścił spokojnie śpiącą Constance, zakończył linię rozumowania.

Podjął decyzję.

###

Zawsze kiedy wybierał się do Chiado, najbardziej przeszkadzał mu nerwowy pośpiech tłumu przypominającego mrówki. Krążył po Rua do Alecrim, szukając miejsca, aż w końcu zostawił samochód na podziemnym parkingu imienia Camõesa i doszedł placem aż do początku Rua Garrett. Obserwował mijających go przechodniów. Niektórzy pieli się w górę w kierunku Bairro Alto, inni schodzili do Baixa. Wszyscy mieli nieobecny, skierowany w jakiś nieokreślony punkt wzrok — myśleli zapewne o pieniądzach, wzdychali za dziewczynami, nienawidzili szefów czy też zajęci byli swoimi sprawami.

Przekroczył równoległą do placu ulicę i w końcu wstąpił na szeroki chodnik Rua Garrett. Przestrzeni było tu niewątpliwie dużo, ale robiło się już ciasno, gdyż dużą powierzchnię zajmowały stoliki i krzesła, na których rozsiedli się leniwi klienci. Najślynniejszym z nich był Fernando Pessoa, którego upamiętniała rzeźba przedstawiająca postać siedzącą przy jednym ze stolików. Poetę uwieczniono w kapeluszu, okularach w okrągłych oprawkach, z jedną nogą opartą kostką o kolano drugiej. Tomás rozejrzał się wokół, próbując dojrzeć złote włosy Leny, ale nie było jej tam. Skręcił w lewo, w kierunku wielkiego, zwieńczonego łukiem wejścia do kawiarni A Brasileira, ulubionego miejsca dawnej lizbońskiej bohemy.

Wystarczyło przekroczyć próg kawiarni, by przenieść się w czasie do lat dwudziestych ubiegłego stulecia. A Brasileira była długim, wąskim lokalem z bogatą dekoracją w stylu secesyjnym. Sufit oraz górne partie ścian wyłożone były snycerką i ozdobione rogami obfitości, falistymi liniami i obrazami z epoki. Podłoga przypominała czarno-białą szachownicę. Ze środka ornamentów na suficie zwisały staroświeckie żyrandole. Przywodziły na myśl pająki, których jedne odnóża opadały łukowato, a inne zawijały się do góry, podtrzymując na końcach niewielkie świece. Ściana po lewej stronie jak gdyby otwierała się na cały lokal, powodując wrażenie przestrzenności. Iluzję tę tworzyły piękne, pozłacane lustra, wzdłuż których ustawiono stoliki. Prawą stronę natomiast zajmował długi kontuar barowy zdobiony motywami spiralnymi w stylu secesyjnym. Ściana w głębi zastawiona była całym arsenalem butelek ustawionych jedno nad drugim – wina, *aguárdente* i innych rodzajów wódek, whisky, brandy i likierów. Stary zegar z rzymskimi cyframi wskazywał godzinę jedenastą.

Tomás znalazł miejsce przy częściowo zajęтым stoliku i usiadł, opierając się prawym ramieniem o lustro, przodem do wejścia. Poprosił o tradycyjne ciastko z Belém i herbatę jaśminową. Czas oczekiwania wypełnił ukradkową lekturą gazety czytanej przez siedzącego obok niego mężczyznę. To był numer „A Bola”*, w którym zamieszczono dwustronicowy wywiad z przewodniczącym klubu Benfica, pełen oskarżeń wobec związku oraz sensacyjnych wiadomości o fantastycznych zakupach transferowych do „kręgosłupa” drużyny, za które nie miał zamiaru zapłacić. Noronha obserwował spod oka swojego sąsiada – prawie łysęgo mężczyznę, z kępkami siwych włosów za uszami. Prawdopodobnie był emerytem, a z całą pewnością kibicem Benfiki. Pojawił się zabiegany kelner o nerwowych ruchach, jakby miał wiele zajęć, do których brakowało mu rąk. Koniuszkami palców utrzymywał w równowadze tacę, z której zdjął mały metalowy zaparacz, filiżankę, talerzyk z ciastkiem, dwie saszetki cukru i jedną cynamonu oraz rachunek. Postawił to wszystko na stoliku z zawodową zręcznością. Profesor zapłacił, a kelner skinął lekko głową i się ulotnił.

* „Piłka” – popularny dziennik sportowy.

Czekając na Lenę, Noronha wyjął z kieszeni telefon komórkowy i wybrał numer Nelsona Moliartiego. Amerykanin odezwał się sennym głosem — było oczywiste, że właśnie został obudzony. Po zwyczajowej wymianie uprzejmości Tomás poinformował go, że prowadzenie dalszych poszukiwań będzie wymagało udania się w kilka podróży — badania prowadziły w kierunku, który wymagał uważnej weryfikacji. Nelson dopytywał się, na co wskazywały poszlaki, ale historyk odmówił podawania szczegółów. Wyjaśnił, że chwilowo ma jedynie wiele wątpliwości, a chciałby rozmawiać o konkretnych. Amerykanin — choć początkowo niechętnie — udzielił mu zgody na wyjazdy i związane z nimi wydatki. W końcu fundacja przywiązywała wielką wagę do tych badań. Już po uzyskaniu zielonego światła na kolejne kroki Tomás zadzwonił do biura podróży i zarezerwował bilety lotnicze oraz hotele.

Zorientował się, że do kawiarni weszła Lena, kiedy wszystkie głowy jednocześnie odwróciły się w stronę drzwi. Wyglądało to jak wykonanie milczącego rozkazu podczas musztry. Szwedka ubrana była w czarną, niezwykle obcisłą sukienkę z lycry, sięgającą powyżej kolan. Bardzo cienkie, ciemnoszare nylonowe rajstopy opinały długie nogi. Czarne, lśniące buty na wysokich obcasach podkreślały linie jej jakby wyrzeźbionego ciała. W rękach niosła torby z butików, które oparła o krzesło, kiedy pochyliła się, by ucałować Tomasza.

— Hej — powitała go. — Przepraszam za spóźnienie, byłam na zakupach.

— Nie szkodzi.

Wiedział, że Chiado było pokusą dla wielu kobiet. Markowe sklepy i modne butiki przyciągały klientów i ożywiały brukowane, krzywe uliczki tej starej dzielnicy.

— Uff! — wykrzyknęła, odgarniając do tyłu jasne włosy. — Padam z nóg, a dzień dopiero się zaczął.

— Dużo nakupowałaś?

Pochyliła się i podniosła jedną z toreb.

— Trochę — potwierdziła. Otworzyła pakunek i pokazała mu coś czerwonego z koronkami. — Podoba ci się?

— A co to jest?

— Biustonosz, głuptasku — wyjaśniła, przekornie unosząc brwi. — Aby doprowadzić cię do szaleństwa.

Emerytowany kibic wyjrzał zza gazety, ostentacyjnie obserwując Szwedkę. Spojrzała na niego groźnie, dając do zrozumienia, by zajął się sobą. Mężczyzna skulił się i schował za numerem „A Bola”.

— Więc spędziłeś dzień na zakupach?

— Tak, przejechałam się także starą windą na Rua do Ouro.

— Wsiadłaś w Elevador de Santa Justa?

— Tak. Byłeś tam kiedyś?

— Nie, nigdy.

— Bez wątpienia. — Uśmiechnęła się. — Cudze chwalicie, swego nie znacie.

— Co?

— To kolejne przysłowie. Oznacza, że cudzoziemcy częściej znają dany kraj lepiej niż jego mieszkańcy.

— Bardzo to prawdziwe — przyznał.

Zbliżył się ubrany na biało kelner, wciąż sprawiający wrażenie niesłychanie zajętego. Spojrzał na nich pytająco.

— Zamówić ci coś? — zapytał Tomás.

— Nie, już jadłam.

Gość gestem podziękował kelnerowi, który natychmiast zniknął w tłoczonym teraz korytarzu. Ruch był natężony i nie było czasu do stracenia. Noronha chwycił za filiżankę i wypił kilka łyków.

— Cudowna ta herbata.

Lena nachyliła się do niego i szukała jego wzroku.

— Co się dzieje? — spytała z wyrazem zaintrygowania w niebieskich oczach. — Nie widzę cię od dwóch dni, zachowujesz się dziwnie, jakbyś z księżycą spadł. Co z tobą?

— Nic.

— To ta głupia zagadka nie daje ci spokoju, tak?

— Nie.

— Więc co?

Przejechał ręką po włosach, czując się niezręcznie. Pokręcił nerwowo głową, obejmując wzrokiem wnętrze kawiarni. W końcu spojrział na kochankę.

— Wiesz, myślę, że nie byłem z tobą do końca uczciwy.

Uniosła brwi, zaskoczona.

— Ach nic? O co chodzi?

— Ktoregoś dnia zapytałaś, czy kocham się ze swoją żoną...

— I kochasz się?

— Nie, odkąd się znamy. Ale uczciwie mówiąc, nie mogę ci zagwarantować, że nigdy tego nie zrobię.

Spojrzała na niego twardo, jej oczy nabrały nagle surowego wyrazu.

— Ach tak.

— Więc w ten sposób będę oszukiwał was obie, prawda?

Szwedka zaczęła się przyglądać wirującej w filiżance herbaty, zainteresowała się kilkoma obrazami, jednak po kilku chwilach udawanej obserwacji lokalu ponownie utkwiała wzrok w Tomásie.

— Mnie to nie przeszkadza.

— Nie przeszkadza ci? — zapytał, otwierając ze zdumienia usta.

— Nie, nie przeszkadza. Dla mnie możesz być jednocześnie z nami obiema. Żaden problem.

— Ale... — Zawahał się, zdezorientowany. — To dla ciebie nie problem, że jednocześnie kochałbym się z tobą i ze swoją żoną?

— Nie — powtórzyła, kręcąc przecząco głową, by uwydatnić swoją postawę. — Dla mnie to żaden problem.

Profesor oparł się ciężko o krzesło. Czuł się zaskoczony, zbity z tropu. Prawdę mówiąc, nie wiedział, co powiedzieć. Wszystko to było dla niego zupełnie nieoczekiwane i mało konwencjonalne. Nigdy nie wyobrażał sobie, że kobiecie — i to takiej kobiecie — nie przeszkadzałoby, literalnie mówiąc, należenie do haremu.

— Hmm... Nie wiem, czy ten pomysł spodobałby się mojej żonie...

— Twojej żonie?

— Tak, jej.

Szwedka wzruszyła ramionami.

— To oczywiste, że nigdy się na to nie zgodzi.

— O to właśnie chodzi.

— Z tego powodu nie powinieneś jej o tym mówić, prawda?

Tomás ponownie przejechał nerwowo ręką po włosach.

— Tak... hmm... w tym właśnie sęk. Nie potrafię tak żyć...

— Jak to nie potrafisz? Przecież od dwóch miesięcy żyjesz z dwiema kobietami i dotychczas nie zauważyłam, żebyś chociaż trochę się tym przejął. Co cię teraz ugryzło?

— Mam wątpliwości odnośnie do tego, co robimy.

Teraz to Lena otworzyła ze zdumienia usta.

— Wątpliwości? Jakie wątpliwości? Zgłupiałeś czy co? Twoja rodzina o niczym nie wie. Masz kochankę, której, wybacz nieskromność, pozazdrościłby ci każdy mężczyzna. Kochankę, która nie przysparza ci żadnych kłopotów. Co więcej, dziewczynę, której nie przeszkadza twoje ułożone życie osobiste. W czym właściwie tkwi twój problem? Skąd te wątpliwości?

— Lena, problem polega na tym, że nie chcę żyć w taki sposób.

— Nie wiesz, czy... — Ściągnęła brwi, próbując go zrozumieć. — Tomás, o co tak naprawdę chodzi?

— Chodzi o to, że nie chcę, by dalej tak było.

— Więc czego chcesz?

— Chcę zakończyć nasz związek.

Dziewczyna opadła zrezygnowana na krzesło. Miała otwarte usta, a w jej oczach pojawił się wyraz niedowierzania. Patrzyła na kochankę jak ktoś, kto uznał, że ma przed sobą szaleńca.

— Chcesz zerwać? — zapytała w końcu, niemal literując słowa.

Kiwnął twierdząco głową.

— Tak. Przepraszam.

— Czyś ty zwariował? Przecież mie to nie przeszkadza, że jesteś ze swoją żoną. Z mojej strony nie będziesz miał problemów. A ty chcesz zerwać? Dlaczego?

— Dlatego, że nie czuję się dobrze w takiej sytuacji.

— Ale czemu?

— Ponieważ żyję w kłamstwie, a pragnę żyć w prawdzie.

— Patrzcie go! — wykrzyknęła. — Płaszcz prawdy podszyty jest często podszewką kłamstwa.

— Przestań już z tymi przysłowiami.

Szwedka pochyliła się nad stołem i mocno chwyciła go za rękę.

— Powiedz mi, co mogę zrobić, byś poczuł się lepiej? Potrzebujesz większej przestrzeni? Pragniesz więcej seksu? Czego chcesz?

Tomás zdumiał się siłą, z jaką trzymała się tego związku. Wyobrażał sobie, że czując się odrzucona, wyjdzie wściekła z kawiarni i na tym sprawa się zakończy. Ale wyraźnie tak się nie działo.

— Widzisz, Lena, nie potrafię być jednocześnie z dwiema kobietami. Nie potrafię i koniec. Czuję, że jestem nieuczciwy. Lubię sytuacje jasne, przejrzyste, jednoznaczne. A to, co robimy, jest tego pełnym przeciwieństwem. Bardzo cię lubię, jesteś niesamowitą dziewczyną, ale kocham również swoją rodzinę. Moja żona i córka są dla mnie bardzo ważne. Kiedy kilka dni temu zapytałaś, czy kocham się z żoną, coś we mnie pękło. Nie umiem tego wyjaśnić. W jednej chwili byłem tobą oszołomiony, a w następnej, po tym, jak padło to pytanie, zacząłem analizować nasz związek. To tak, jakbyś nagle włączyła światło, a ja przejrzałbym na oczy i dostrzegł sytuację, w której dotychczas działałem na ślepo. To oświecenie przebudziło mnie do rzeczywistości, zainicjowało serię pytań, które sobie postawiłem. W istocie zacząłem badać swoje sumienie w kwestiach dla mnie fundamentalnych.

— Jakich kwestiach?

— Bo ja wiem. — Rozejrzał się wokół, jak gdyby gdzieś w kawiarni mógł znaleźć odpowiedź na to pytanie. — Pytam siebie na przykład, jakie są motywy, dla których wystawiam na niebezpieczeństwo swoje życie rodzinne. W imię czego? Dlaczego to robię? Czy rzeczywiście warto? W końcu mam problemy, którym muszę stawić czoło, a nie przed nimi uciekać. Dlatego uważam, że powinienem najpierw je rozwiązać, zająć się swoim życiem osobistym. Muszę dać swojemu małżeństwu drugą szansę. Jestem to winien żonie i córce. Jeżeli wszystko się ułoży, cudownie. Jeśli nie, to będę musiał zacząć od nowa w inny sposób. Ale to niesprawiedliwe, nieuczciwe, abym was obie oszukiwał. Co to, to nie.

— Czyli zostawiasz mnie? Tak?

— Nie warto dramatyzować. Jestem żonaty i muszę dbać o swoją rodzinę. Jesteś młoda, wolna i bardzo piękna. Jak sama powiedziałaś, wystarczy kiwnąć palcem i każdy mężczyzna jest twój. Nie komplikujmy więc sprawy niepotrzebnie. Każdy pójdzie w swoją stronę i pozostaniemy przyjaciółmi.

Dziewczyna, załamana, potrząsnęła głową.

— Nie wierzę własnym uszom.

Spojrzał na nią i pomyślał, że od tej chwili będzie się jedynie powtarzał. Podjął już decyzję i powiedział wszystko, co miał do powiedzenia. Po chwili wstał od stolika i wyciągnął do Leny rękę. Spojrzała na jego dłoń. Wciąż zdumiona i przybita zignorowała zaproponowany gest. Tomás niezręcznie wycofał rękę i skierował się do wyjścia.

— Do zobaczenia na uczelni — powiedział w formie pożegnania.

Śledziła go wzrokiem.

— Myślał indyk o niedzieli — wyszczała przez zęby — a w sobotę łeb mu ścieli.

Profesor jednak opuścił już kawiarnię A Brasileira i szybkim krokiem piął się w górę Rua Garrett w kierunku placu Luisa de Camõesa.

X

Krystaliczne, spokojne wody Morza Śródziemnego połyskiwały w blasku porannego słońca. Stara latarnia w Porto Antico rozdzielala niebieskie lustro niewielkiej zatoki i białe, przymocowane do przystani żaglówki. Sterczała niewzruszenie u wejścia do portu niczym strażnik czasu z misją ochrony tego pięknego zakątka Morza Liguryjskiego. Wybrzeże otaczały strome klify apenińskie, osłaniając zaciszne, niskie zabudowania położone wzdłuż pasm górskich.

Taksówka skręciła w prawo i zanurzyła się w gąszczu starego miasta, krążąc po poplątanych, ruchliwych, wąskich ulicach Genui.

— La Piazza Acquaverde — oznajmił nieustannie paplający szofer, kiedy dotarli do placu. Szerokim gestem dłoni wskazał na olbrzymi pomnik na środku z postacią stojącą na cokole. — *Questo è Cristoforo Colombo*.

Korek uliczny zmusił pojazd do chwilowego postoju. Tomás wyjrzał przez okno i zobaczył umieszczoną wysoko rzeźbę przedstawiającą Kolumba o długich rozwianych włosach, ubranego w krótką hiszpańską kamizelkę i długą rozpiętą pelerynę. Jego lewa dłoń spoczywała na kotwicy, podczas gdy prawa głaskała ramię kłęczącej obok Indianki. Niżej, w narożach pomnika znajdowały się jeszcze cztery inne postacie. Pomiedzy nimi widniały płaskorzeźby ze scenami z życia żeglarza. U podstawy pomnika, pomiedzy licznymi opartymi o nią wieńcami, odczytać można było dedykację: „Krzysztofowi Kolumbowi — Ojczyzna”.

Ruch uliczny ożył i taksówka ruszyła, niesiona hałaśliwym prądem innych samochodów. Kierowca — rubaszny młody człowiek, zwany Marco jakiś tam z Kalabrii — w nerwowym, pospiesznie wypowiedanym włoskim rozpoczął relację ze swojego skomplikowanego życia. Z chaotycznej kanonady słów wyrzucanej w akompaniamencie rześście tryskającej śliny i z intensywnej gestykulacji pasażer zdołał zrozumieć, że taksówkarz był *divorziato*, miał *due bambini* i poszukiwał towarzystwa w celu *il letto matrimoniale*. Szczególnie zależało mu na tym ostatnim, ponieważ gustował w *avere la colazione in camera*. Tu kierowca przeszedł do swoich ulubionych dań. Jego preferencje kulinarne najwyraźniej koncentrowały się na zupie z soczewicy, a przede wszystkim na *spaghetti alla puttanesca*. Usłyszawszy tę nazwę, Tomás zmarszczył brwi; i przyszło mu do głowy, że było w niej coś zdradzieckiego, jakieś drugie, ukryte znaczenie.

— Il Palazzo Ducale — oznajmił Marco kilka minut później, przerywając wypowiedź na temat terapeutycznych właściwości *vinu rosso* i wskazując na piękny stary budynek z bogatą w kolumny fasadą i wysokimi oknami, wznoszący się na Piazza Matteotti. — Podoba się panu?

— *Si* — przyznał Tomás, patrząc obojętnie i przytakując tylko po to, by sprawić mu przyjemność.

Szofer poświęcił teraz uwagę nieprzerwanej serii pochwał dla cudownych właściwości wytrawnego wina i korzyści płynących ze stałej diety, którą oferowała jego ulubiona *trattoria* gdzieś na tyłach Piazza Campetto. Jednocześnie wyśmiewał tych, którzy raczyli się tylko *piatti vegetariani*. Taksówka wjechała właśnie w Salita Pollaiuoli i skręciła w lewo na Vico Tre Re Magi, kiedy Marco wyznał, że ma alergię na orzechy. W miarę jak niewielki fiat przemierzał Via Ravecca, kierowca opisywał drobiazgowo efekty uczulenia na skórze. Zaliczały się do nich czerwone plamy, które traktował okładami z ligniny namoczonej w gorącej wodzie. W końcu — ku niezmiernej radości Tomasa — dotarli do Piazza Dante.

— *Ecco-ti qua!* — ogłosił Marco z wielką pompą, widząc przed sobą zielone światło.

Noronha pospiesznie zapłacił za kurs, ponaglany chóralnym

trąbieniem czekających samochodów. Obojętny na dochodzące z tyłu protesty kierowca pożegnał się zwrotem *a più tardi*, co wywołało u pasażera dreszcze. Taka perspektywa wydała mu się przerażająca. Pierwotny plan przewidywał wolny przejazd przez Piazza Dante w celu obejrzenia znajdujących się tam zabytków historycznych. Jednak niepohamowany potok słów taksówkarza spowodował, iż Portugalczyk pospiesznie zmienił plany, przekształcając przejażdżkę w postój. Każdy pretekst był dobry, byle wydostać się z tej piekielnej taksówki. Zawsze podziwiał sympatyczną komunikatywność Włochów, ale prawdę mówiąc, ten posunął się trochę za daleko.

Plac zdominowany był przez dwie półkoliste kamienne wieże w stylu gotyckim wieńczące Porta Soprana — wschodnią bramę do starej części miasta. U szczytów średniowiecznych wież, pomiędzy blakniętymi murów, łopotały dwie białe flagi przekreślone czerwonymi krzyżami świętego Jerzego — sztandary miasta. Krzyż Republiki Genui był świadkiem czasów świetności, kiedy państwo stanowiło potęgę na Morzu Śródziemnym i postrach dla wrogów. Mówiono, że nawet Anglicy podszywali się pod banderę miasta, by pod jej protektorem móc spokojnie żeglować. W średniowieczu imponująca Porta Soprana była częścią murów obronnych Genui; w czasach rewolucji francuskiej ustawiono tam gilotynę, a któryś z katów mieszkał na szczycie jednej z wież przeznaczonych na więzienie. Najślynniejszym więźniem był weneccjanin Marco Polo, którego wtrącono tam po bitwie morskiej u wybrzeży miasta Korcula. U podstawy bramy, pod łączącym obie wieże mostkiem, wielkie zakończone łukowato wrota prowadziły do ogrodu. Jego największą atrakcją były ruiny klasztoru Sant'Andrea. Zwiedzający jednak nie poświęcił im większej uwagi, zwracając ją raczej na sąsiedni obiekt.

Obok Porta Soprana, wśród gęstych krzaków, znajdowały się zaniedbane, kamienne ruiny pokryte mchem. Wyglądały na pozostałości wiejskiego, górskiego domostwa — surowego, lecz solidnego, z szerokimi drzwiami na parterze i dwoma wąskimi oknami na pierwszym piętrze. Tomás przybliżył się i obejrzał to miejsce. Znalazł tablicę z informacją, że ruiny są zamknięte do zwiedzania, oraz inną z następującym tekstem:

Nessuna casa ha nome più degno qui questa.

Qui nell 'abitazione paterna,

Cristoforo Colombo trascorse l'infanzia e la prima giovinezza.*

* „W tym domu rodzinnym Krzysztof Kolumb spędził dzieciństwo i wczesną młodość”.

Dom stał pod numerem trzydzieści siedem przy dawnej ulicy Vico Diritto di Ponticello, gdzie według starej księgi rachunkowej i innego dokumentu z Archiwum Watykańskiej Biblioteki Apostolskiej w latach 1455—1470 mieszkał Dominicus Columbus wraz ze swoją rodziną, włącznie z synami Bartłomiejem, Jakubem i Krzysztofem. Innymi słowy, w tym domu Krzysztof Kolumb przeżył swoją młodość.

Przy chodniku zatrzymał się autokar, z którego wysiadło mrowie japońskich turystów. Zwiedzający udali się w stronę ruin uzbrojeni w aparaty fotograficzne i kamery wideo, cisnąc się przed wejściem. Jeden z Japończyków wykrzykiwał polecenia i informacje — bez wątpienia był przewodnikiem.

— Nie podoba mi się to — skomentował jeden z obecnych tam Włochów, zwracając się do Tomasa porozumiewawczo, obserwując tłum rozentuzjasmowanych turystów kłócących się o skrawek wolnego miejsca, aby pstryknąć fotkę.

— Przepraszam — wyjaśnił profesor. — Nie znam włoskiego. Czy mówi pan po angielsku?

— Och, przepraszam — odpowiedział Włoch w języku Szekspira.

— Jest pan Amerykaninem?

— Nie, Portugalczykiem.

Na twarzy tamtego pojawiło się zaskoczenie.

— Portugalczykiem?

— Tak. Co pan mówił?

— Och, nic... nic.

— Proszę powiedzieć.

Mężczyzna się zawahał.

— Chodzi o to... że... nie podoba mi się to, iż w taki sposób oszukujemy turystów.

— Oszukujecie? Jak to?

Włoch rozejrzał się dookoła, zniżył głos i przybrał ton konspiracji.

— Widzi pan, to bardzo ładny, fascynujący zabytek. Ale prawdopodobnie Kolumb nigdy tutaj nie mieszkał.

— Ach tak?

— To tylko atrakcja turystyczna, nic więcej — wyznał. — Dom bez wątpienia pochodzi z jego czasów, lecz nie ma gwarancji, że to właśnie o nim wspominają dokumenty historyczne. Wiadomo nam, że ojciec Krzysztofa, Domenico Colombo, wynajął dom od mnichów niedaleko Porta Soprana. W owym czasie znajdowało się tu wiele budynków mieszkalnych. Sprawdzenie, który z nich był tym prawdziwym, nie jest obecnie możliwe. Wybrano ten, ale równie dobrze mógłby to być jakikolwiek inny.

— Więc to nic innego niż zwykły blef?

Mężczyzna wykonał w powietrzu nieokreślony gest i skrzywił usta.

— Powiedzmy, że trochę ułatwione zadanie, rozumie pan? Wszystko w celach turystycznych, jak również do argumentowania, że Kolumb pochodzi z Genui. — Podniósł wskazujący palec i przyjął poważny wyraz twarzy, jak gdyby wypowiadał jakieś ostrzeżenie. — W gruncie rzeczy to prawda. Udowodniono naukowo ponad wszelką wątpliwość, że Krzysztof Kolumb był Genueńczykiem.

Tomás się uśmiechnął. Wielce by się zdumiał, gdyby kiedykolwiek spotkał mieszkańca tego miasta głoszącego przeciwny pogląd.

— Tak — przyznał. — Ale co z domem?

Włoch pochylił głowę, jakby odpowiadając na to pytanie, czynił swego rozmówcę osobą uprzywilejowaną.

— To zupełnie nieprawdopodobne, aby właśnie tutaj znajdował się dom rodzinny Kolumba.

Panował natężony ruch. Noronha chciał przywołać następną taksówkę, ale nie znalazł żadnej wolnej. Zdecydował się iść pieszo do Piazza Matteotti w nadziei, że gdzieś dalej, po drodze, uda mu się złapać środek transportu do archiwum, które planował odwiedzić. Przeszedł pod Porta Soprana. W połowie drogi poczuł głód i, długo nie szukając, udał się na obiad do restauracji o odpowiedniej do okazji nazwie: La Cantina di Colombo. Nie żałował sobie — jadł na koszt fundacji. Rozpoczął posiłek od *pappardelle al ragù di coniglio alla*

ligure — przystawki z długiego makaronu w sosie z królika. Następnie przystąpił do konsumowania *filetto all'aceto balsamico di Modena* — pasków grillowanej wołowiny w sosie na bazie octu balsamicznego. Kulminacją obiadu był bajkowy deser: *degustazioni di cioccolatini Domori e bicchiere di Rum* — czekolada Domori ze szklaneczką rumu. Na koniec delektował się czerwonym liguryjskim winem — Rossesse di Dolceacqua 1999 Giuncheo, w towarzystwie *misto formaggi con confetture* — deski doskonałych serów z konfiturami.

Popołudnie spędził w Sala Colombiana czytelnicy Archiwum Państwowego w Genui, zajmującego wspaniałą białą budynek — renesansowy pałac Sant'Ignazio usytuowany w samym środku Piazza Santa Maria in Via Lata. To tutaj znajdowały się Archivio dei Banco di San Giorgio i Archivio Notarile, które Tomás cierpliwie studiował. Godzinami przeglądał mikrofilmy i przekartkował część ze stu osiemdziesięciu ośmiu dokumentów z Genui i Savony, pochodzących z lat 1429—1494 i niektóre późniejsze, cały czas robiąc notatki. O piątej trzydzieści po południu obsługa archiwum oznajmiła mu, że zamykają czytelnię, więc był zmuszony przerwać pracę.

Wieczorem przechadzał się przez Piazza delle Erbe, gdzie odwiedził piękną księgarnię pełną starodawnych rękopisów oraz wypił piwo w Berto Bar. Potem odwiedzał sklepiki niedaleko Porto Antico, po drodze wstępując do kolejnych knajpek i próbując specjałów z całego świata, takich jak tajlandzki ryż jaśminowy, grecka wódka *ouzo* czy marokański kuskus. Później, już z hotelu Bristol Palace, zadzwonił do Constaney. Żona nadal zamartwiała się brakiem nauczyciela specjalnego dla córki, ale oboje nie znaleźli rozwiązania tego problemu. Gdy do słuchawki przyssała się Margarida, wymogła na ojcu obietnicę, że przywiezie jej w prezencie „płaczącą lalkę”.

Następnego dnia z samego rana Tomás ponownie zasiadł do pracy w Sala Colombiana Archiwum Państwowego w Genui. Tym razem skoncentrował uwagę na dwóch kolosalnych rozmiarów dziełach. Oba nosiły tytuł *Colombo* i opublikowano je w roku 1932. Książki te — jedna po włosku, a druga w angielskim i niemieckim przekładzie — zawierały faksymilia rękopisów; uważano je za słowo ostateczne *Scuola Genovese* — zbiór dokumentów stanowiący podsumowanie

pracy rozpoczętej w 1614 roku przez Gerolama Bordonego i zakończonej w roku 1904 wraz z publikacją dokumentu Ugonia Assereta. Noronha zrobił obszerne notatki i skserował co ważniejsze teksty. Przeglądał później dzieło *Nuova Raccolta Colombiana*, aż w końcu, około szesnastej, dał za wygraną i zwrócił oba wielkie tomiska. Plan został zrealizowany. Teraz czekała go nowa podróż, w innym kierunku, do kolejnego archiwum.

Wielka, monumentalna wieża, postrzępiona niczym wyszczerbiona skała na tle błękitnego nieba rzucała zbawienny cień na konne powozy oczekujące na chodniku rozległego Plaza Virgen de los Reyes. Tomás oparł się o drzewo pomarańczowe na ulicy Calle Mateos Gago i spoglądał na figurę z brązu wieńczącą dzwonnice katedry La Giralda. Górowała nad kościołem i Barrio de Santa Cruz — starą Dzielnicą Żydowską u podnóża zbocza El Arenal na lewym brzegu rzeki Gwadalkiwir. Była to malownicza część miasta, pełna jasnych uliczek i kolorowych patio, okratowanych okien i wesołych ogrodów, tętniąca szumem kaskad i kanałów, kwitnąca jaśminami.

Imponujące zabytki mówiły o dawnej świetności, kiedy gromadziły się tu nieprzebrane bogactwa płynące z obu Ameryk. Tomás przybył właśnie do Sewilli i dopisywał mu apetyt. Z miejsca, nie pozbywając się podręcznego bagażu, wszedł do pobliskiej restauracji o nazwie Bar Giralda. Odniósł wrażenie, że znalazł się w jakimś arabskim suku. Wnętrze zdobiły arabeski i sklepienia w stylu mauretańskim. Usiadł przy stoliku i poprosił o kartę dań.

— Dawniej były tu tureckie łaźnie, *señor* — wyjaśnił mu kelner, nieogolony, chudy mężczyzna o tłustej cerze i gęstych, czarnych wąsach.

Silił się na mieszankę hiszpańskiego i portugalskiego. Wskazał wzrokiem na menu i przeszedł na rodzimy język. — Na co ma pan ochotę?

Gość zamknął kartę dań. Nic nie przypadło mu do gustu.

— Co pan poleca?

— Czy lubi pan tapas?

— To nie jest zły pomysł. Proszę mi przynieść kilka.

— Dobrze. Do tego sherry?

— Sherry? Czy nie lepiej czerwone wino?

— Do tapas bardziej pasuje sherry, *señor*.

— Niech będzie.

W ciągu dziesięciu minut stół zapełnił się niewielkimi talerzykami, obok których stał kieliszek białego słodkiego wina jerez amontillado. Połyskiwało złotym odcieniem i wyglądało na schłodzone. Kellner pospieszył z wyjaśnieniem, że właśnie w kombinacji przekąsek i trunku tkwi tajemnica tego popularnego andaluzyjskiego dania. Najwyraźniej wszystko zaczęło się od przykrywania talerzem kieliszka sherry. Z czasem na spodeczku zaczęły pojawiać się oliwki lub ser — co dało początek innym przekąskom. Zanim Andaluzjczycy się zorientowali, tapas oferowały różnorodność barw i smaków — tak jak można było zauważyć na stoliku portugalskiego gościa.

Tomás spędził pół godziny na smakowaniu zawartości talerzyków, sprzątając je do czysta. Bez wątpienia, pomyślał, racząc się rozstawionymi na stole specjałami, próbując wszystkiego po kolei, podróże zaliczają się do największych przyjemności, szczególnie wtedy, kiedy odbywają się na czyjś koszt. Zrywał z rutyną; zwiedzał; oglądał nowe rzeczy; płał się w luksusach życia. Czy istniało coś przyjemniejszego? Siedząc wygodnie w barze, delektował się przede wszystkim smakiem *mejillones a la marinera* — małżami w sosie z duszonej cebuli i czosnku z dodatkiem białego wina, oliwy, natki pietruszki i soku z cytryny. W tyle nie pozostawały *salpicón de mariscos* — swoista mieszanka mięsa z homara, krewetek i krabów w sosie winegret z cebulką i czerwoną papryką, ani *banderillas* — zakąska z różnych ryb, marynowanych jarzyn, jajek na twardo, krewetek i oliwek, podawana na wykałaczkach. Reszta składała się z wędzonej, surowej szynki — *jamón serrano*, pulpetów *albóndigas*, *patatas bravas* — podsmażonych ziemniaków w ostrym sosie oraz sałatki z czerwonej papryki i kawałków smażonych ryb. Pochłonął to wszystko, zagryzając popularnym owczym serem *manchego* i pieczywem. Zakończył posiłek ciastkiem *churros* posypanym cukrem, po czym z uwagi na czekającą go pracę, wypił mocną kolumbijską kawę.

Po obiedzie, w trosce o przetrwanie tak obfitego posiłku, Noronha wyszedł na ulicę i przespacerował się imponującym placem Plaza Virgen de los Reyes. Miejsce sprawiało wrażenie, jakby życie

się tu zatrzymało — ludzie przechadzali się leniwie, bez pośpiechu i bieganiny. Przeszedł obok Convento de la Encarnación, podziwiając stojący po przeciwnej stronie pałac arcybiskupi. Okrążył katedrę i skręcił za rogiem na Plaza del Triunfo, gdzie barokowa kolumna z posągami Najświętszej Maryi Panny upamiętniała trzęsienie ziemi, które w 1755 roku dokonało ogromnych zniszczeń w Lizbonie, lecz oszczędziło Sewillę. Znalazł się na rogu czworobocznego budynku Głównego Archiwum Indii. Wzniesiono go z czerwonej cegły, tak lubianej przez Hiszpanów, a która tak nie podobała się Tomásowi. Tego typu budownictwo wzbudzało w nim dreszcze — przywodziło na myśl fabryki lub nawet rzeźnie i areny walk byków.

Przeszedł przez ulicę i wkroczył południowym wejściem z rzeźbionego kamienia do wielkiej katedry — największego kościoła gotyckiego w Europie. Przeszłszy próg tego monumentalnego sanktuarium, odniósł wrażenie, że wszedł do potężnego, choć surowego wnętrza, można by powiedzieć, że nawet przejmującego. Czuł się, jakby wepchnięto go do środka wielkiej, mrocznej jaskini. Dochodząc do skrzyżowania nawy z prawym transeptem, dostrzegł coś jednocześnie groźnego i majestatycznego.

Cztery posągi z polichromowanego brązu o alabastrowych twarzach, umieszczone na piedestale, dźwigały na ramionach sarkofag. Nosiły odświętne, bogate piętnastowieczne szaty. Niewielki sarkofag — również z brązu — okryty był całunem i ozdobiony emaliowanymi tabliczkami. Z prawej strony wyryto herb, który Tomás rozpoznał jako insygnia rodowe Kolumba. Zajrzał pod spód sarkofagu i dostrzegł u podstawy godło Hiszpanii otoczone napisem gotycką kaligrafią o następującej treści:

*Aquí jacen los restos de Cristobal Colon desde 1796
los guardo la Habana y este sepulcro por R. D.to
de 26 de febrero de 1891*.*

* „Tu spoczywają szczątki Cristobala Colona; od 1796 były przechowywane w Hawanie, w tym grobowcu od 26 lutego 1891 r.”

Grób Kolumba.

Dokładniej — miejsce spoczynku szczątków wielkiego żeglarza. Noronha wiedział jednak, że nawet w sprawie śmierci odkrywcy Ameryki okazał się mistrzem tajemnicy — iluzjonistą najwyższej klasy. Wszystko zaczęło się po powrocie Kolumba z czterech wypraw do Nowego Świata, kiedy to zamieszkał w Sewilli. W 1504 roku, po śmierci swojej protektorki Izabeli Kastylijskiej, popadł w niełaskę na dworze królewskim. Rok później Admirał Oceanu próbował odzyskać względy króla Fernanda, wtedy już starego i schorowanego, udając się do Valladolid. Misja okazała się porażką, a Kolumb zmarł tam 20 maja 1506 roku. Ponad rok zwłoki pozostawały w klasztorze Franciszkanów w Valladolid, po czym przetransportowano je do Mosteiro da Cartuja de Las Cuevas w Sewilli. Był to początek ich skomplikowanych kolei losu. Trzydzieści lat później zdecydowano, że śmiertelne szczątki Kolumba i jego portugalskiego syna Diogo, który tymczasem zmarł, zostaną pochowane na Hiszpanioli, czyli dzisiejszym Haiti. W związku z tym przewieziono ciała do katedry w Santo Domingo. Jednak dwieście lat później, w 1793 roku, na mocy traktatu z Bazylei, hiszpańska część wyspy miała należeć do Francji. Z uwagi na to szczątki odkrywcy Ameryki ceremonialnie przeniesiono do katedry w Hawanie. W 1898 roku Kuba uzyskała niepodległość, co wymusiło kolejny przewóz — tym razem do punktu wyjścia, czyli Sewilli. Problem w tym, że w wyniku tylu przemieszczeń gdzieś prawdopodobnie nastąpiła pomyłka. Przypuszczalnie w Santo Domingo. Szczątki, tak pieczołowicie i majestatycznie przechowywane w katedrze w Sewilli, w ostateczności nie należały do Krzysztofa Kolumba, lecz do jego pierworodnego syna, Portugalczyka Diogo Coloma, lub do innych potomków.

Tomás przez długą chwilę pozostał przy grobowcu, obojętny na historyczne wątpliwości. W końcu jego osobistego hołdu w niczym one nie umniejszały — jeżeli nie było tam wielkiego żeglarza, to przynajmniej spoczywał w tym miejscu jego syn Diogo, rodak. To mu wystarczyło. Ostatecznie odwrócił się plecami od sarkofagu i odszedł nawą sanktuarium. Krążył bez celu po katedrze, podziwiając sklepienie i Capilla Mayor chronioną olbrzymimi kratami. Udał się w kierunku zachodniego wejścia zwanego Puerta de la Asunción. W połowie

drogi natknął się na następny grobowiec — tym razem bardziej dyskretny. Był to płaski nagrobek Hernanda Colona — hiszpańskiego syna Kolumba i autora jednego z najważniejszych dzieł o życiu odkrywcy Ameryki. Minawszy go, Noronha skierował się ku lewemu skrzydłu nawy, gdzie były kolejne drzwi. Przekroczył je i poczuł słabe światło zimowego słońca, zawieszono nisko na czystym niebie. Znalazł się w prostokątnym Patio de los Naranjos obsadzonym drzewami pomarańczowymi w geometrycznym porządku. W środku tryskała mała okrągła fontanna, a dookoła biegły długie krużganki, tworząc zamknięty dziedziniec. Obok dzwonnicy La Giralda, która nie była niczym innym niż zakamuflowanym minaretem, patio było pozostałością dawnego saraceńskiego meczetu, zrównanego z ziemią, by zrobić miejsce gotyckiej katedrze.

Prawdziwym celem wizyty Tomasa było miejsce znajdujące się właśnie nad krużgankami. Profesor wszedł po schodach do Biblioteki Colombina. Po sprawdzeniu jego tożsamości i dokonaniu rejestracji wpuszczono go do środka. Bibliotekę Colombina założył w szesnastym wieku Hernando Colón — ten sam, który został pochowany w katedrze niedaleko Puerta de la Asunción. Hiszpański syn odkrywcy Ameryki zgromadził w sumie dwanaście tysięcy woluminów, włącznie z należącymi do ojca książkami i dokumentami. Przed śmiercią przekazał cenne zbiory dominikanom z klasztoru Świętego Pawła w Sewilli. Rękopisy umieszczono w budynku otaczającym Patio de los Naranjos, po lewej stronie katedry.

Dzieła w Bibliotece Colombina przechowywano w oszklonych gablotach rozmieszczonych w wielu salach. W środkowych witrynach wystawiono „klejnoty koronne” — książki i dokumenty należące do samego Krzysztofa Kolumba. Noronha zaopatrzył się w specjalne upoważnienie, udzielone mu ze względu na charakter badań naukowych, oraz w referencje z Uniwersytetu Nowego w Lizbonie i American History Foundation, które natychmiast okazał. Dzięki nim uzyskał dostęp do gablot i pozwolenie na studiowanie przechowywanych tam dzieł.

Historyk spędził popołudnie, analizując egzemplarze będące w posiadaniu i czytane przez admirała pięćset lat wcześniej. Rozpoczął od biblijnej Księgi Proroków, na którą Kolumb wielokrotnie powoływał się w swoim pamiętniku i listach. Wyglądało na to, że odkrywca

Ameryki darzył szczególnym szacunkiem proroka Izajasza, którego najczęściej cytował. Tomás rzucił okiem także na *Imago Mundi* autorstwa kardynała Petrusa d'Ailly'ego, tekst opisujący świat z własnoręcznymi notatkami na marginesach. Przejrzał pobieżnie *Historię naturalną* Pliniusza — również pełną znaczących zapisków. Co za zbieg okoliczności, pomyślał. Ów Pliniusz to prawdopodobnie ten sam, o którym wspominała Constança w związku z peoniami. Dokładnie przestudiował notatki — większość z nich była napisana po hiszpańsku i portugalsku. Tylko jedna przypominała język włoski. Zanim przeszedł do dalszych dzieł, skoncentrował uwagę na dziwnych zapiskach znalezionych w *Historia rerum ubique gestarum* papieża Piusa II. Przejrzał również egzemplarz *De consultudinibus et conditionibus orientalem regionum* autorstwa Marco Polo, a także jeden tom autorstwa Plutarcha, różne dzieła Seneki i jedną pozycję Żyda portugalskiego Abrahama Zacuty — wpływowego doradcy króla Jana II.

Wyszedł z Biblioteki Colombina już po zmroku, zakończywszy swoje poszukiwania, i mając w teczce kilka kserokopii. Skręcił w lewo w Avenida de la Constitución, doszedł do Puerto de Jerez i skierował się ku rzece, po czym przemierzył Puente de San Telmo na Gwadalquivirze. Znalazł się na Plaza de Cuba i wszedł na Calle del Betis — malowniczą uliczkę nadbrzeżną, gdzie mieścił się jego hotel El Puerto. W pokoju zatrzymał się przez chwilę przy oknie, podziwiając panoramę dzielnicy historycznej, skąd właśnie wrócił — po prawej Torre del Oro, po lewej biało-żółta Plaza de Toros de la Maestranza, a w głębi smukła dzwonnica La Giralda. Usiadł na brzegu łóżka i chwycił za telefon komórkowy. Zadzwoił do Constançy, ale odpowiedziała mu automatyczna sekretarka. Zostawił wiadomość i ponownie wyszedł na ulicę.

Przechadzał się bez celu po wesołej Calle del Betis, po czym usiadł przy stoliku nad rzeką przy szklance piwa. Zagubionym wzrokiem kontemplował powolny ruch statków na ciemnym lustrze rzeki Gwadalquivir. Po przeciwnej stronie, na Paseo de Cristobal Colón, widać było pulsujące życiem miasto. Spędził na tej barwnej ulicy sporą część wieczoru, oddając się zwyczajowi spożywania tapas, czyli andaluzyjskiej sztuce chodzenia od knajpy do knajpy i smakowania kolejnych przekąsek, i popijając je manzanilla. Wszystko to oczywiście na

koszt fundacji. W jednym z ogródków restauracyjnych zatrzymał się dłużej, czytając kolejny rozdział *Nadzorować i karać* Foucaulta w poszukiwaniu rozwiązania szarady Toscana. Tańczący w rytmie fal odbłask światła na rzece i ożywiony ruch miasta szybko go jednak przekonały, by zapomnieć o pracy i wtopił się w nocne życie Sewilli.

Pod gwiazdzistym niebem stolica Andaluzji tętniła wibrującym flamenco i rytmicznymi ruchami jej mieszkanek. To było miasto Carmen i Don Juana, tańca i walk byków, wagabundów i włóczyki-jów. Najbardziej czuło się to w Trianie — dzielnicy, w której królowały tapas i *tablaos*, zmysłowy taniec i gorące noce. Opuścił brzeg rzeki i poszedł na przechadzkę ulicą Calle de la Pureza, zafascynowany bogatymi, kolorowymi fasadami domów. W jednym ze sklepów z pamiątkami kupił małą lalkę w czerwonej sukience naszywanej koralikami — prezent dla Margaridy. Dla żony wybrał piękny album z reprodukcjami obrazów El Greca. Z prezentami opakowanymi i schowanymi w torbie obok książki Foucaulta przemierzał Trianę aż do chwili, gdy przyciągnął go hałas jednego z miejsc rozrywki. Był to zadymiony, ożywiony *tablaos*, gdzie powietrze wibrowało od twardego akordów gitary, ochryplego głosu śpiewaka w rozchełstanej koszuli oraz od szybkich, mocnych uderzeń butów i kastanietów potrząsanych przez wirujące na scenie tancerki. Tańcząc flamenco, prostowały ramiona we wdzięcznych gestach i przybierały dumne pozy wśród oklasków i tłumnych, głośniejszych okrzyków *ole!* Wyczerpany Tomás wrócił do hotelu El Puerto, na wpół ubrany opadł na łóżko i po kilku sekundach zasnął, zapominając o rzuconej na podłogę reklamówce z prezentami i książką Michela Foucaulta.

Następnego ranka powrócił do dzielnicy Barrio de Santa Cruz i skierował się do Głównego Archiwum Indii. Budynek o barwie cegły, z otoczonym balustradą tarasem, miał prawie pięćset lat i na początku był siedzibą giełdy. Jednak od osiemnastego wieku zgromadzono w nim niemal wszystkie dokumenty dotyczące Nowego Świata. Przechowywano tam osiemdziesiąt milionów stron rękopisów oraz osiem tysięcy map i rysunków, nie licząc korespondencji Cortesa, Cervantesa, Filipa II i wielu innych. Właśnie jeden z tych pozostałych wzbudzał zainteresowanie Tomasa.

Naukowiec spędził cały ranek na lekturze archiwalnych listów Krzysztofa Kolumba. Z niektórych nie mógł skorzystać, ponieważ udostępniano je w systemie cyklicznym, minimalizując w ten sposób szkodliwe działanie światła. Tomás próbował przekonać kierownictwo archiwum, aby dano mu dostęp do owych oryginałów, ale nie ugięło się ono nawet przed referencjami Uniwersytetu Nowego w Lizbonie ani American History Foundation, twierdząc, że w danej chwili nie można ich wyjąć z gabloty. W tym celu powinien złożyć podanie, na które w ciągu kilku dni otrzyma odpowiedź. Tym samym historyk musiał zadowolić się mikrofilmami i faksymiliami wspomnianych listów. Wykonał odpowiednie kserokopie. Nie skoncentrował się wyłącznie na korespondencji Kolumba, lecz także na notarialnej kopii ustanowienia jego ordynacji rodowej — *Institución de Mayorazgo*, ważnego dokumentu testamentowego, który również się tam znajdował.

Zakończył swoje badania w Głównym Archiwum Indii, niemal ścigając się z czasem. O trzeciej po południu miał bowiem lot powrotny, a chciał jeszcze coś przekąsić. W barze przy Calle Romero Murube pospiesznie przelknął przepyszną zupę *cachorreñas* z mnóstwem ryb, owoców morza i skórek z gorzkiej pomarańczy oraz potrawę o nazwie *fideos a la malagueña*, popijając winem z Montilla. Złapał taksówkę, i w duszącym upale pojechał do hotelu po rzeczy. Zapłacił rachunek po czym wyruszył na lotnisko. Siedząc na tylnym siedzeniu taryfy, odetchnął z ulgą na myśl o zakończonym właśnie, trwającym od rana, maratonie. Ponownie próbował dodzwonić się do Constaney, ale jeszcze raz odpowiedziała mu automatyczna sekretarka.

###

Była dziesiąta wieczorem, kiedy włożył klucz do drzwi wejściowych. Był zmęczony, chciał wziąć kąpiel, zjeść kolację i pójść spać. Przekręcił klucz w lewo i usłyszał charakterystyczny zgrzyt zamka — drzwi się otworzyły. Tomás wszedł do domu i postawił torbę w przedpokoju.

— Dziewczyny, jestem! — oznajmił z lalką w czerwonej sukience w jednej ręce i albumem El Greca w drugiej. Prezenty czekały na wręczenie.

W mieszkaniu było ciemno, co wydało mu się nadzwyczaj dziwne. Zapalił światło i stwierdził, że wszędzie panowały czystość i porządek, ale nie było widać śladu żywego ducha.

— Dziewczyny! — zawołał ponownie zaniepokojony. — Gdzie jesteście?

Spojrzał na zegarek i doszedł do wniosku, że prawdopodobnie już się położyły. Było jeszcze wcześniej, ale czasem zmęczenie brało górę i sen potrafił ogarnąć je nawet o tej porze. Prędko przemierzył niewielkie mieszkanie, starając się nie robić hałasu. Zajrzał przez drzwi, ale oba pokoje — jego i córki — pozostawały puste. Zostawił torbę u siebie na łóżku i rozejrzał się dookoła, jakby stracił orientację. Gdzie, u diabła, się podziały?

Zaintrygowany podrapał się po głowie. Czyżby coś się stało? Przez dłuższą chwilę rozważał różne możliwości. Mógłby jeszcze raz wybrać numer Constaney, ale nie minęło jeszcze pięćdziesiąt minut, odkąd próbował do niej dzwonić z lotniska. Po raz kolejny usłyszał automatyczną sekretarkę. Co miał robić?

Wyszedł z pokoju i skierował się do kuchni. Umierał z głodu — nie cierpiał jedzenia w samolotach. Pomyślał, że z pełnym żołądkiem łatwiej mu będzie ocenić sytuację. Najprawdopodobniej trzeba po prostu poczekać, w końcu się pojawią, doszedł do wniosku. Wracając do kuchni, zauważył na komodzie w przedpokoju wazon pełen wysokich, żółtych i lososiowych kwiatów. Wyłaniały się z naczynia smukłymi, pochyłymi lodygami w towarzystwie innych żółtych kwiatów, ewidentnie przypominających róże. Intensywna barwa płatków harmonizowała z soczystą zielenią liści. Przez chwilę przyglądał się im w zamyśleniu. Podszedł bliżej, powąchał — wyglądały na świeże. Zawahał się przez moment i potarł ręką po brodzie, analizując powstającą w myślach hipotezę. Im dłużej rozmyślał, tym bardziej wymagała ona weryfikacji. Zmienił kierunek — zamiast do kuchni udał się do pokoju gościnnego.

Zobaczył te same kwiaty w stojących na meblach wazonach. Na stole znalazł jakiś świstek. Podniósł go — był to rachunek z kwaciarni za róże i naparstnice. Na dłuższą chwilę pograżył się w rozmyślniach. Później z rachunkiem w dłoni podszedł do segmentu z książkami. Obrzucił wzrokiem tytuły i wybrał tom stojący na najwyższej półce.

Była to ulubiona pozycja Constançy — *Linguagem das Flores* (Język kwiatów). Otworzył ją na ostatniej stronie i sprawdził alfabetyczny spis treści, szukając litery „n” — jak naparstnice. Znalazł odpowiednią stronę. Według opisu kwiaty te oznaczały nieszczerłość i egoizm. Zaniepokojony podniósł głowę. Czy była to jakaś wiadomość? Gorączkowym, nagłym, niekontrolowanym ruchem przekartkował książkę i wyszukał literę „r”. Niecierpliwie przesunął palcem po spisie treści, szukając odnośnika do żółtych róż. Znalazł słowo „róże” i prawie jednocześnie „róże, żółte”. Znieruchomiał na widok podanego znaczenia. Zdrada.

XI

Rozległ się dźwięk telefonu, brzęczący, jakby urządzenie traciło cierpliwość. Na wpół przytomny Tomás podniósł głowę z poduszki. Przez okno wpadało światło dzienne, rażąc go prosto w oczy. Uniósł rękę i spojrzął na zegarek — była dziewiąta trzydzieści. Telefon komórkowy wciąż atakował jego uszy. Zaspany wyciągnął rękę i macając blat stolika, znalazł aparat. Czuł w dłoni jego wibracje, spojrzął na ekran i rozpoznał numer.

— Constança, gdzie wy jesteście? — wypalił natychmiast po naciśnięciu zielonego przycisku.

— U moich rodziców — odpowiedziała chłodnym tonem, jakby nie czuła się w obowiązku informowania go o miejscu swojego pobytu.

— Czy wszystko w porządku?

— Znakomicie.

— Ale co wy tam robicie?

— A jak ci się wydaje? — odparła wyzywającym tonem. — Naturalnie organizuję sobie życie.

— Jak to organizujesz sobie życie? — dopytywał, udając, że nie rozumie i że to ona robi coś niewłaściwego. Żył skrytą nadzieję, że problem zniknie, jeżeli on zignoruje całą sprawę i kwiaty w wazonach o tak wymownym znaczeniu. — Z tego, co wiem, twoje życie jest tutaj.

— Ach tak? A twoje gdzie?

— Moje? — zapytał, symulując zdziwienie. — Oczywiście, że tutaj, a gdzie byś chciała, żeby było?

— Tak? A zauważyłaś przypadkiem kwiaty, które zostawiłam?

— Jakie kwiaty?

Zawahała się i nastąpiła krótka przerwa. Tomásowi wydawało się, że zdobył punkt, i poczuł się pewniej.

— Nie udawaj głupka! — zawołała po chwili Constança. Uznała, że mąż zgrywa się na nieświadomość, by uniknąć odpowiedzi. Znała go nazbyt dobrze, by dać się złapać w tę pułapkę. — Naparstnice i żółte róże. Dobrze wiesz, co one znaczą.

Pojął, że taktyka robienia uników nie przyniesie rezultatu, lecz konsekwentnie trzymał się swojej wersji.

— Nie, nic nie widziałem — powtórzył. — Więc co one znaczą?

— Imię Lena nic ci nie mówi?

Pytanie to zostało wypowiedziane z lodowatym spokojem, a mężczyzna poczuł przeszywający go zimny dreszcz. Żona wiedziała o wszystkim. To było oczywiste i nie ulegało wątpliwości.

— To moja studentka.

— Fantastyczna studentka! — wykrzyknęła ironicznie Constança. — A można wiedzieć, w jakiej dziedzinie udzielałaś jej korepetycji?

Tym razem nie miał gotowej odpowiedzi. Skąd, u licha, wszystko wiedziała? Próbował zebrać myśli i natychmiast doszedł do wniosku, że udawanie głupka nie doprowadzi do niczego. Musiał wziąć odpowiedzialność za zaistniałą sytuację i próbować zniwelować niszczące skutki. Jeśli w ogóle było to jeszcze możliwe.

— Rzeczywiście, doszło do pewnych sytuacji z tą studentką — powiedział uległym, słabym tonem. — Trwało to krótko i już się zakończyło, tym samym...

— Pewnych sytuacji? — zapytała żona, podnosząc głos, pełna urażonej pewności siebie. — Sytuacji, mówisz. Tak nazywasz pieprzenie się ze studentką?

Tomás wyczuł bezpośredni atak i skulił głowę w odruchowym geście.

— Więc... ee...

— To ja jak niewolnica łączę tam i z powrotem, pomagając naszej córce, walcząc o nauczyciela specjalnego, wydeptuję ścieżki do Ministerstwa Edukacji z podaniami i skargami, uczę ją czytać, ciągam po

niekończących się badaniach lekarskich, flaki sobie wypruwam, a nasz chłoptys spędza popołudnia w lizbońskim mieszkanku, ostro angażując się w „sytuacje” ze szwedzką kurwą? Jak śmiesz, po tym jak zabawiasz się z tą panienką, przychodzić mi do domu słodki niczym miód, ha? Jak masz czelność robić mi coś takiego, mnie, która cały czas daje się wykorzystywać i robi wszystko, co możliwe i niemożliwe, by jakoś to ciągnąć? Jak możesz...?

Krzyki buntu wyrzucane z niecierpliwym hukiem utonęły w łkaniu. Kobieta płakała.

— Już dobrze, kochanie, dobrze.

— Skurwysyn — wymruczała pełnym bólu jękiem. — Skończony łajdak.

— Przepraszam, przepraszam. Żałuję tego po tysiąc razy.

— Jak mogłeś mi to zrobić?

— Constança, posłuchaj. Zrobiłem coś, czego bardzo żałuję. Już to zakończyłem. Nie mogę cofnąć czasu, jedynie obiecać, że to się więcej nie powtórzy. Bardzo cię kocham.

Płacz ustał. Najwyraźniej żona dochodziła do siebie.

— Idź do diabła! Słyszałeś? Idź do diabła, ty skończony draniu!

Tomás się zniechęcił. Sytuacja była poważna, wszystko następowało szybko i wymykało się spod kontroli.

— Och, kochanie. Wiem, że źle zrobiłem, nigdy sobie tego nie wybaczę.

— Ani ty, ani ja, ty skurwysynu!

— Dobrze, uspokój się.

— Jestem spokojna, słyszysz?! — krzyczała, ponownie wyprowadzona z równowagi. — I to bardzo!

— Dobrze, dobrze.

— Dzwonię do ciebie, żeby cię poinformować, że w przyszłą sobotę o trzeciej możesz przyjść do moich rodziców po Margaridę. Masz ją przyprowadzić w niedzielę do godziny siedemnastej. Słyszałeś? Moja mama ci ją przekaże, ponieważ ja nie mam nawet ochoty oglądać twojej gęby. Zrozumiałeś, ty kanalio?

Noronha kręcił się niespokojnie na łóżku, wolną ręką targając włosy. Obrót sprawy zaczynał go przerażać.

— Ależ, kochanie...

Trzy sygnały oznaczały koniec rozmowy. Constança się rozłączyła. Ogłupiały usiadł i patrzył na telefon. W jego głowie przetaczał się huragan myśli, obaw i udręk. Wśród całego ciężącego mu na sumieniu chaosu, wobec żywiołu, który groził zniszczeniem jego życia, ponownie zastanawiał się nad czymś, czego nie umiał sobie wyjaśnić. Skąd, u licha, jego żona wszystko wiedziała?

###

Przez kolejne dni wielokrotnie próbował rozmów z Constançą, ale jej matka jasno dała mu do zrozumienia, że ona nie chciała go nawet widzieć. Kiedy nadeszła sobota, pojechał do São João do Estoril i za dziesięć trzecia stanął się przed domem jej rodziców. Teściowa, Teresa, przyjęła go ze zrozumiałą oziębłością, kaząc mu czekać przy bramie na deszczu, aż Margarida będzie gotowa. Córnka rozpromieniła się na jego widok, a tym bardziej na widok lalki w sukience z koralikami.

Poszli na obiad do pizzerii w centrum handlowym Cascaishopping i zdecydowali, że popołudnie spędzą w kinie. Margarida wybrała film *Toy Story 2*, więc Tomásowi nie pozostawało nic innego, jak stoicko wytrzymać dwie godziny z bohaterami Chudym i Buzzem Astralem. Dopiero wieczorem, kiedy rozciągnęli się na kanapie z książką z serii *Anita*, dla dziewczynki, zdołał wydusić z małej nowiny.

— Mama jest bardzo na ciebie zła, tato — potwierdziła Margarida.
— Cały czas płacze i mówi, że jesteś kanalia. — Zmarszczyła brew. — Tato, a kto to jest kanalia?

— Ktoś, kto był niegrzeczny.

— A ty byłeś niegrzeczny, tak?

Westchnął z przygnębieniem.

— Tak, córeczko.

— A co zrobiłeś?

— Widzisz, nie papusiałem wszystkiego.

— Aha! — wykrzyknęła mała, medytując nad powagą takiego przestępstwa. — Teraz masz kale, co?

— Właśnie tak. Mam karę.

— Biedny. Musis systemko jeść.

— No tak. Co jeszcze mówi mama?
— Ze jesteś dlań.
— Dłoń?
— Tak, dlań.
— Ach, drań.
— No, skończone dlań. A babcia powiedziała, żeby porozmawiać z jej znajomym adwokatem.

Tomás podskoczył na kanapie, wyprostował się i zaalarmowany spojrzął na córkę.

— Z adwokatem?
— No, babcia mówi, że on jest bardzo dobie i da ci do wiwatu.
— Ach tak?
— Tak, a co to znaczy wiwat?
— Nic takiego, córciu. A co mówi mama?
— Ze pomyśli.

Nic więcej nie udało mu się wyciągnąć z Margaridy. Następnego popołudnia odprowadził ją do bramy domu w São João do Estoril. Pocałował ją raz w policzek — drugi raz nie chciała. Patrzył, jak znika za drzwiami. Przez kolejne dni, pomimo żywionych nadziei, nie otrzymał od żony żadnych wiadomości.

Na uczelni spotkał Lenę. Temat zajęć koncentrował się wokół sztuki zdobienia pergaminów i pracy kopistów w skryptoriach. Przewidziana była analiza niektórych dominujących stylów kaligrafii, z naciskiem na minuskułę karolińską i uncjałę, oraz różnych rodzajów pisma gotyckiego, począwszy od jego wersji prymitywnej, poprzez teksturę, frakturę, włoską rotundę, italikę, aż do kroju czcionki zwanego bastarda. Szwedka jak zwykle usiadła w końcu sali. Ubrana była tak prowokacyjnie, jak nigdy dotąd. Opięta, krzycząco czerwona sukienka otwierała się szerokim dekoltem ukazującym masywne piersi, które przyciśnięte do siebie tworzyły głęboki rowek. Trudno było, patrząc na nią, nie kierować automatycznie wzroku na ten obfity biust. Nie zamienili z sobą ani słowa, ale w pewnym momencie Tomás miał ochotę podjąć rozmowę, którą sam zakończył. W końcu od ich ostatniego spotkania okoliczności diametralnie się zmieniły. Teraz był samotny, a młoda Szwedka, apetyczna jak zawsze, nadal była w zasięgu ręki. Mimo wszystko profesor powstrzymał swoje

instynkty, odparł atakującą go w momencie słabości pokusę i pozostawił wszystko bez zmian.

Spędzał wieczory samotnie na lekturze Michela Foucaulta, wciąż angażując się w desperackie próby wytropienia klucza do prowokującej go zagadki Toscana. Szybko jednak uciekał myślami od tematyki *Nadzorować i karać*. Błądził w zamieszaniu, którym stało się jego życie, odkąd z domu odeszła Constança z córką. Wszystkie te godziny domowej izolacji, które spędzał niczym oderwany od świata pustelnik, sprawiły, że ponownie analizował głęboko swoje małżeństwo i swój wybór ucieczki do kochanki. Brał pod uwagę, że być może zdrada bardziej niż seksualną przygodą była rezultatem oddalenia się od Constançy – dystansu spowodowanego prawdopodobnie rozczarowaniem z powodu niespełnionych oczekiwań co do ich wspólnej przyszłości. Owocem tego rozczarowania była niewierność, która pomimo próby jej racjonalizacji nigdy nie doczekała się emocjonalnego wyjaśnienia i ciążyła mu na sercu niewymowną urazą i milczącym buntem, a być może nawet rozpaczą kogoś, kto znalazł się w ślepych zaułku.

Leżąc na łóżku lub wyciągając się na kanapie, czekał nieustannie na telefon od Constançy, która uparcie nie dzwoniła. Wielokrotnie powracał do tej samej myśli. W tytanicznym wysiłku introspekcji rekonstruował wszystkie kroki, które powoli, lecz nieubłaganie doprowadziły go do takiego finału. Teraz wydawało mu się, że przelotny związek z Leną miał ukryte znaczenie, jak tekst napisany kodem; był wyrazem buntu, który targał jego duszą. Podejmując się wyprawy w głąb samego siebie, odkrywał dziewicze kontynenty swojego istnienia, chciał usłyszeć stłumione głosy dobiegające z najbardziej odległych zakątków swojego jestestwa, gdzieś z głębi podświadomości. Zrozumiał, że jedynym możliwym dźwiękiem było słowo „zdrada”. Próbował pojąć jego sens, analizując je, jakby było najbardziej znaczącym emocjonalnie przekazem, jaki kiedykolwiek opisywał jego osobę. Co zatem mówił mu ten niemy krzyk, rozbrzmiewający echem w jego umyśle i dręczący sumienie?

W konfrontacji z tym pytaniem po wielokroć wstawał i krążył po niewielkim mieszkaniu, nieogolony i w piżamie, mówiąc głośno sam do siebie. Jak miał interpretować zdradę? Odpowiedź, której sam

sobie udzielał, leżała w głębokim rozczarowaniu, które nastąpiło bezpośrednio po narodzinach Margaridy. Pokładał w niej wszystkie nadzieje, marzenia i aspiracje, które dla niego samego nie były już osiągalne. Poznanie jej ograniczeń było ciosem nazbyt bolesnym, przeszkodą, której, wbrew pozorom, nigdy nie zdołał pokonać. Constança stawiała czoło rozczarowaniu z odwagą, mierząc się oko w oko z problemem. On jednak reagował w inny sposób. Zdezercerował po dziewięciu latach wewnętrznego oporu. Jego ucieczką była Lena. Przypominała zawór bezpieczeństwa, który uruchamiał, unikając problemów i żyjąc iluzją rajy. Wierzył, że tym sposobem trudności po prostu znikną. Wiedział już, że tak się nie stało. Nadal miał je przed sobą, jeszcze bardziej palące, namacalne i nieuchronne niż wcześniej. W końcu doszedł do wniosku, że przygoda ze studentką nie miała żadnego związku z nią samą i jej fantastycznym ciałem ani też z upajającym seksem. Dotyczyła jego samego i nurtujących go problemów, niespełnionych oczekiwań, głęboko skrywanych obaw. Szukając ulgi, wkroczył na drogę iluzji niczym pijak zamroczony zniewalającą siecią uzależnienia. Teraz zdawał sobie sprawę, że to właśnie strach nie pozwalał mu na stawienie czoła problemom życiowym. Nie obawiał się nikogo konkretnie, był to lęk przed głęboko zepchniętymi emocjami, przed cierpieniem i niepokojem wywołanym uświadomieniem sobie własnych odczuć. Odczuwał strach przed dojrzałością, przed krytyką i odrzuceniem; strach przed dokonywaniem wyborów; strach przed odpowiedzialnością i jej konsekwencjami; obawę przed przytłaczającym niepokojem i trudnościami związanymi z pożyciem małżeńskim. Obiektywnie patrząc, Lena stanowiła wygodny objazd codzienności, który w jego przeświadczeniu miał ominąć wszelkie dręczące go obawy. Była narkotykiem, który uwalniał go od dławiącego niepokoju przypominającego krępujący ruchy kaftan bezpieczeństwa. Potrzebował magicznego środka, który przywróciłby mu energię pozwalającą na zerwanie cisnących go więzów. Zdrada nie była niczym więcej niż skorupą, do której chował się w złudzeniu, że w ten sposób uchroni się przed światem, jak gdyby życie było wzburzonym morzem, a Lena spokojną przystanią.

Tomás złapał się na mówieniu do siebie przed lustrem w łazience. Szukał metafor pasujących do jego małżeństwa. Do ulubionych

należało porównanie siebie do góry lodowej, a związku z Constançą do „Titanica”. Tak jak góra lodowa odpowiedzialna za słynną tragedię na Atlantyku, tak większa część jego osobowości — owa mroczna i niepoznana mieszanina tworząca podświadomość — pozostawała w ukryciu, daleko poza widokiem i skrupulatną uwagą. Ignorował tę część siebie, z której wypływały emocje, zachowania, szukającą rozwiązania problemów, jakich istnienia nawet się nie domyślał. Aby uniknąć spotkania z tym tajnym światem podświadomości ze wszystkimi jego tłumionymi frustracjami i niespełnionymi oczekiwaniami, szukał ucieczki w innym łóżku, pozwalając, by ukryty w lodowatej tafli morski gigant roztrzaskał nieodwracalnie pokład statku, który symbolizował jego małżeństwo. Teraz okręt tonął, rozbity przez niewidzialnego morskiego potwora, a on sam, niczym kapitan tragicznej historii, pozwalał, by niekontrolowany wir przeznaczenia ciągnął go na dno.

Freud zauważył kiedyś, że miłość to ponowne odkrywanie. W niej próbujemy odzyskać odczuwaną niegdyś niewinność szczęścia, kiedy to byliśmy dziećmi i żyliśmy w pokoju ze światem. W gruncie rzeczy miłość polega przede wszystkim na nieokreślonym, eterycznym i nieuświadomionym pragnieniu powrotu do dzieciństwa i matczynej czułości. Żywi się próżną nadzieją ponownego odnalezienia tego poczucia szczęścia, które zatracą się już w zaraniu życia. Tomás doszedł do wniosku, że to właśnie dostrzegł na mlecznej, usypanej piegami twarzy Constançy, kiedy poznali się na wydziale sztuk pięknych i poszli na spacer po plaży w Carcavelos. Małżeństwo nie było niczym więcej niż pragnieniem odnalezienia rajy, który istniał właściwie jedynie w najcenniejszym zakątku pamięci. To nie Constançę widział przed sobą, lecz ideał, marzenie, bajkową postać wywołaną tęsknotą za dzieciństwem, miraż nieuświadomionych wspomnień z czasów szczęścia. Margarida, ze wszystkimi wynikającymi z choroby ograniczeniami, nieodwracalnie ten ideał burzyła. W milczeniu, nigdy jasno nie wyrażając swoich myśli ani w pełni nie uświadamiając sobie dręczącego go dramatu, upadł pod ciężarem rozczarowania. Nie potrafił dojść do siebie po tym, jak w traumatyczny sposób rozwiąły się jego marzenia. Po utracie jednego złudzenia natychmiast szukał pocieszenia w następnym.

Medytacje Tomasa z każdym dniem postępowały naprzód. Przeprowadził dogłębną analizę samego siebie w poszukiwaniu potrzebnych mu odpowiedzi. W konfrontacji z konsekwencjami swoich czynów i oblegającej go samotności lepiej i wyraźniej rozumiał, co się stało. Żył projekcją świata, zamiast przyjmować go takim, jaki jest. Zamiast Constancy i Margaridy widział przed sobą obraz namalowany własnymi oczekiwaniami wobec nich. Karmił się fantazjami, których nie sposób było zrealizować. Rozpad owych złudzeń wywołany okolicznościami życiowymi stanowił cios zbyt potężny wobec jego oczekiwań. Nie akceptował żony i córki takimi, jakie są. Ratował się ucieczką w kolejne złudzenia, uwalniając się tym samym od negatywnego napięcia skrywanego pod milczeniem podświadomości. Na tym etapie stojący przed nim problem nie polegał już na zrozumieniu, dlaczego wyszło źle, lecz na obraniu drogi naprawy. Tutaj konieczna była dalsza introspekcja.

Wydawało mu się, że rozwiązanie leżało w ponownym stworzeniu bliskości. Po ślubie, porwani potężnym wichrem nadziei i opromienieni niebiańskim blaskiem swoich marzeń, potrafili wszystko robić razem. W początkowych latach ich związek przypominał Tomásowi mit o Arystofanesie opisany przez Platona w jego *Sympozjone*. Zgodnie z nim pierwotny człowiek miał cztery ręce i cztery nogi. Kiedy rzucił wyzwanie bogom, wpadł w kłopoty. Aby ukarać człowieka, Zeus podzielił go na dwie części — męską i żeńską. Te połowy zostały skazane na życie w złudzeniu, że któregoś dnia uda im się odzyskać pierwotne zespolenie. Tak właśnie czuli się w momencie ślubu — oboje pragnęli, by ich związek trwał wiecznie, dążyli do bycia jednością i tym próżnym dążeniem definiowali wzajemną bliskość.

To Margarida zburzyła marzenie o jedności. Sprawiała, że wskutek niezliczonych problemów dotychczas tak sobie bliscy — stali się dla siebie obcy. Narodziny córki zastąpiły słodkie złudzenie twardą rzeczywistością. W ich życiu pojawił się nowy priorytet — pomoc jej żyć jak najbardziej normalnie. Nie chodziło już o zrobienie z niej kogoś nieprzeciętnego, a po prostu o umożliwienie jej bycia zwykłą osobą. Teraz musieli zadowolić się znacznie bardziej skromnymi ambicjami. Załamali się pod wpływem szoku, a w bolesnej rekonwalescencji po brutalnym zderzeniu z rzeczywistością, w otoczeniu potłuczonych

skorup marzeń, zabrakło miejsca na rekonstrukcję pierwotnego, przepołowionego przez Zeusa człowieka. Podjęli obowiązek pomocy córce z upartą rezygnacją, unikając rozmów o korodującym ich rozczarowaniu, jakby zwerbalizowanie uczuć mogło jeszcze pogorszyć sytuację. Tym samym tłumili głuchy, dławiący ich w środku protest. Stali się aktorami w sztuce hipokryzji, krwawili od wewnątrz, a na zewnątrz się uśmiechali. On, bardziej niż ona, doświadczał dezintegracji własnego świata. Jego marzenia były zamkami z piasku, a rzeczywistość najsilniejszym przyływem. Po drodze ztratili bliskość. Utonęła w morzu codziennych trudności. Nastąpiły nagłe ubytki w liniach komunikacji. Kiedy zrozumieli, że córka nigdy nie będzie taka jak inne dzieci, powalił ich cios frustracji z powodu niespełnionych oczekiwań.

Tomás zamknął się w domu i stanął do konfrontacji ze wspomnieniami swojego obecnie zdruzgotanego małżeństwa. Był teraz mocno przekonany, że jeżeli miałyby jakąkolwiek szansę, nawet najbardziej odległą, na odbudowanie wspólnego życia z żoną, musiałyby zaakceptować jego realia i dopiero wtedy mogłyby odzyskać tę utraczoną bliskość.

Kiedy zadzwoniła komórka, nacisnął natychmiast zielony guzik w nadziei, że to tak oczekiwany telefon od Constanicy. Czekał na niego już od ponad tygodnia, ale ponownie się rozczarował.

— *Hi*, Tom — powitał go Moliarti.

— Cześć, Nelsonie — odpowiedział ciężko Tomás, kiepsko skrywając rozczarowanie.

— Od dawna nie mam od pana wiadomości. Co się dzieje?

Portugalczyk cmoknął w geście rezygnacji.

— To nie jest takie proste — tłumaczył się. — Jeszcze nie udało mi się odcyfrować szarady profesora Toscano.

— Fundacja zasponsorowała panu podróżę do Genui i Sewilli. Z pewnością dowiedział się pan czegoś nowego, prawda?

— Tak, oczywiście — przyznał. Amerykanin miał rację, narzekając na brak wiadomości o postępach badań, a Tomás przeklinał sam siebie za odsunięcie pracy na drugi plan, jeśli nawet nie zna jej opuszczenie. — Skonsultowałem cenne dokumenty i zrobiłem kopie wszystkich tych, które uznałem za istotne. Ale w tym momencie mój

problem polega na niemożności otwarcia sejfu profesora Toscano. Aby to zrobić, muszę najpierw rozwiązać pozostawioną przez niego, skomplikowaną szaradę, która w założeniu stanowi klucz do sejfu.

— Czy nie może pan po prostu... jak to się mówi? Ee... Włamać się?

— Włamać się do sejfu? — Tomás roześmiał się, rozbawiony praktyczną mentalnością Amerykanina. — To niemożliwe, wdowa się na to nie zgodzi.

— *Fuck her!* — wykrzyknął Moliarti. — Dlaczego więc nie upozoruje pan włamania?

— Och, oszalał pan? Jestem profesorem uniwersyteckim, a nie złodziejaszkiem. Jeśli chce pan dostać się do sejfu bez pozwolenia wdowy, niech pan sam się wybierze do Cais do Sodr e i zatrudni do tego jakiegoś opryszka. Co to, to nie ja.

Po drugiej stronie linii Moliarti westchn ł.

— Okay, okay. Niech pan o tym zapomni. Ale potrzebuj  od pana raportu.

— Naturalnie — zgodzi  si  Noronha. Obrzuci  wzrokiem rozrzucone na stoliku papiery. — Spotkajmy si  jutro.

— Dobrze.

— Gdzie? U pana w hotelu, tak?

— Nie, w hotelu nie. My la em o obiedzie w restauracji Casa da  guia. Wie pan, gdzie to jest?

— Casa da  guia? Czy to nie w Castelo de S o Jorge?

— Tak jest. Spotkamy si  punkt trzynasta. Okay?

W zwi zku z problemami, kt re ostatnio nagromadziły si  w jego  yciu i odsun y od pracy, Tom s zaniedba  lektur  Michela Foucaulta. Telefon od Moliartiego sprawi ,  e na czo o priorytet w wysun o si  rozwi zanie zagadki Toscano. Ponownie skupi  uwag  na *Nadzorowa  i kara *. Zostały mu ostatnie strony, wi c jeszcze tej nocy zdoła  dokończy  ksi zk . Zamkn ł dzieło i pogr ży  si  w kontemplacji. Pocz ł zniech cenie — znowu, mimo ogromnego wysi ku i koncentracji na szczeg łach, nie uda o mu si  wpa  na  aden trop prowadz cy do odpowiedzi na tajemnicze pytanie sformu owane przez niezycj cego historyka. Wiedzia ,  e rezygnacja nie wchodziła w gr  i  e czekała go suta nagroda, pod warunkiem  e doprowadzi badania do

szczęśliwego końca. Włożył płaszcz i wyszedł z domu. Musiał przejrzeć jeszcze wiele książek, miał przed sobą huk roboty.

Wpadł do centrum handlowego i odwiedził księgarnię, szukając innych pozycji Michela Foucaulta. Znalazł egzemplarz *Słów i rzeczy* i wziął go do ręki w nadziei, że znajdzie tam rozwiązanie zagadki. Przed pójściem do kasy stwierdził, że wykorzysta okazję, by rozejrzeć się po księgarni. Była to w końcu jakaś forma relaksu, odprężenia dla ciała i ducha, choćby chwilowa ucieczka od nerwowego napięcia nagromadzonego przez ostatni tydzień. Przejrzał dział historyczny i przez dłuższą chwilę zatrzymał się przy dziele Samuela Kramera *Historia zaczyna się w Sumerze*. Czytał to jeszcze na studiach, ale pomyślał, że chciałby mieć tę książkę na swojej półce, obok dzieła Douglasa McMurtriego *The Book*, wydanego przez fundację Gulbenkiana, i kilku tomów *Historii dzieciństwa* Philippe'a Arièsa, które zaliczały się do jego ulubionych.

Potem przeszedł do działu literatury, do której nie zawsze pałał miłością, chyba że chodziło o powieści historyczne — jako historyk tylko taki rodzaj fikcji uznawał za godny uwagi. Znalazł dwie pozycje Amina Maaloufa, które z zainteresowaniem przekartkował. Jedną z nich była *Skala Taniosa*, a drugą *Samarkanda*. Zapoznał się z twórczością tego pisarza podczas lektury *Ogrodów świata* — godnej uwagi rekonstrukcji życia pochodzącego z Mezopotamii Maniego — założyciela manicheizmu. Kusiło go kupienie obu powieści libańskiego autora, ale się powstrzymał. W chwili obecnej jego życie zbyt się skomplikowało, by tracić czas na literaturę. Mimo wszystko pozostał w tym dziale, oglądając tytuły dla rozrywki. Brał do ręki różne pozycje, takie jak *Nação Crioula* autorstwa José Eduarda Agualusa oraz *Pantaleon i wizytantki* Maria Vargasa Llosy. Peruwiański pisarz skierował jego uwagę na chilijską autorkę i w następnej chwili kartkował *Córkę fortuny* Isabell Allende. Na innym regale jego wzrok przykuła piękna okładka z enigmatycznym tytułem *Bóg rzeczy małych* Arundhatiego Roya, choć na jego twarzy pojawił się uśmiech dopiero wtedy, gdy zobaczył *Imię róży* Umberta Eco. Wielka powieść, trudna, lecz interesująca, pomyślał. Nigdy nikt inny w tak dołąbny sposób nie spenetrował średniowiecznej mentalności.

Obok słynnej powieści na półce stało ostatnie dzieło tego samego autora — *Wahadło Foucaulta*. Tomás się skrzywił — jeszcze jeden pechowiec bawiący się w kotka i myszkę z Foucaultem. Szczęściarz z tego Eco, pomyślał, uśmiechając się porozumiewawczo. Nie musiał męczyć się z francuskim filozofem, a niewątpliwie z bardziej dostępnym fizykiem, Leonem Foucaultem. O ile dobrze pamiętał, to właśnie Léon w dziewiętnastym wieku przedstawił ruch obrotowy Ziemi za pomocą wahadła, które do 1995 roku stanowiło eksponat w Conservatoire National des Arts et Metiers w Paryżu, a obecnie w Pantemonie. Trzy słowa na okładce przykuły uwagę profesora. Eco, wahadło, Foucault. Zmarszczył brwi, a krzyczące z okładki wyrazowe trio spalizowało go na chwilę, która zdawała się wiecznością.

Eco, wahadło, Foucault.

Podekscytowany sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i w gorączkowym, pospiesznym geście wyciągnął spośród banknotów o nominale tysiąca i pięciuset skudów mały świstek z szaradą Toscano. Widniało na nim pytanie historyka, intrygując go z całą mocą zagadki, która zaczynała już wydawać się nie do rozwiązania.

JAKIE JEST ECHO FOUCAULTA PRZY 545?

Przeskakiwał wzrokiem od okładki do gryzmołów na kartce. Eco, Foucault, wahadło. Eco, wahadło, Foucault. Tytuł książki brzmiał *Wahadło Foucaulta*, a jej autorem był Umberto Eco. Profesor Toscano pytał: Co mówi Eco w Foucaulcie na 545? Tomásowi rozjaśniło się w głowie, jak gdyby poraziła go błyskawica z jasnego nieba.

Fiat lux!

Klucz do szarady znajdował się w powieści Umberta Eco o wahadle innego Foucaulta, Léona, a nie w książkach francuskiego filozofa. Jak mogłem być tak głupi? — wypominał sobie. Rozwiązanie zagadki miał cały czas pod nosem — tak oczywiste, łatwe i logiczne. Absurdalne uczepienie się Michela Foucaulta przysłoniło mu właściwą odpowiedź. Każdy od razu skojarzyłby wyraźną aluzję do wahadła Foucaulta, ale nie on — człowiek wykształcony, profesor uniwersytetu i miłośnik filozofii. Idiota.

Ponownie przyjrzał się książce i kartce, nieustannie przeskakując wzrokiem od jednej do drugiej, aż w końcu zatrzymał spojrzenie na końcowej części zdania — znajdujące się przed znakiem zapytania trzy cyfry.

545.

Pospieszenie, niezgrabnymi ruchami, przekartkował książkę, jak gdyby umierał z głodu i zaproponowano mu godny króla bankiet. Zatrzymał się dopiero na stronie 545.

XII

Alfama błyszczała całą swoją malowniczością. Bujne kwiaty w doniczkach i suszące się w wielkich oknach ubrania odwracały uwagę od zniszczonych fasad. Na sznurkach rozwieszonych na balkonach wisiały koszule, majtki, spodnie i skarpety. Obcy w tej tętniącej życiem dzielnicy Tomás szedł z pochyloną głową i wzrokiem utkwionym w kamieniach bruku. Sapał, wspinając się stromymi uliczkami i po licznych schodach murów obronnych wokół zamku. W prawej dłoni trzymał teczkę z dokumentami niczym targany pod górę ciężar. Ignorował zachęcające do odpoczynku stoliki kawiarniane, ożywione tawerny i małe sklepy spożywcze w zaułkach. Nie zwracał uwagi na senne antykwariaty ani na kolorowe sklepiki z rękodziełem, stłoczone w płataninie ciasnych uliczek. Z ulgą dotarł do Rua do Chão da Feira i przekroczył Porta de São Jorge, w końcu dochodząc do okrągłego, szerokiego zamkowego dziedzińca Castelo de São Jorge.

Wykończony i zdyszany zatrzymał się w cieniu sosen na Praça de Armas, obok monumentalnego pomnika króla Afonsa Henriquesa. Na chwilę postawił teczkę i rozejrzał się dokoła, podziwiając szesnastowieczne mury obronne osłaniające ów wielki plac. Castelo de São Jorge był siedzibą wszystkich królów portugalskich, odkąd Afonso Henriques w roku 1147 odbił Lizbonę Arabom. Zamek, wzniesiony na dominującym nad miastem wzgórzu, był nawet rezydencją obu wielkich władców epoki odkryć geograficznych — Jana II i Manuela I Szczęśliwego. Tomás przeszedł na drugą stronę zadrzewionego placu i oparł się o kamienne mury, podziwiając leżące u stóp miasto,

czerwone dachy domów ciągnące się aż po horyzont i połyskujące, spokojne lustro Tagu, zakłócone jedynie ogromną żelazną konstrukcją rozpiętą nad wodami rzeki — Ponte 25 de Abril.

Rozkoszując się widokiem Lizbony, szedł wzdłuż murów aż do stolików rozstawionych w patio dawnej królewskiej rezydencji, w cieniu kolosalnej Torre do Paço. Stąd otwierał się widok na miasto. Wejścia na dziedziniec strzegły małe kamienne lwy, obserwujące to, co działo się przy stolikach. Nelson Moliarti machał do profesora, siedząc przy jednym z nich, pomiędzy starym drzewem oliwnym o grubym pniu a gigantyczną osiemnastowieczną armatą. Noronha przysiadł się do niego. Zostali na zewnątrz, chociaż chłód i szare niebo nie zachęcały do zjedzenia obiadu na wolnym powietrzu. Zimowa aura jednak najwyraźniej nie przeszkadzała Amerykaninowi — w patio bardzo mu się podobało. Wymienili powitania i zwyczajowe grzeczności, po czym zamówili posiłek. Po krótkiej okolicznościowej rozmowie, jaką zwykle nawiązuje się przy tego typu spotkaniach, Tomás przedstawił swoje odkrycia dotyczące pracy badawczej profesora Toscano.

— Na podstawie znalezionych u wdowy kserokopii oraz rejestrów kart bibliotecznych w Lizbonie, Rio de Janeiro, Genui i Sewilli można ponad wszelką wątpliwość ustalić, iż większą część badań Toscano poświęcił zagadnieniu korzeni Krzysztofa Kolumba — oznajmił. — Przede wszystkim interesowały go dokumenty dotyczące powiązań odkrywcy Ameryki z Genuą, a szczególnie ich wiarygodność. Za chwilę przedstawię panu zgromadzone przez profesora dane oraz wnioski, do których, w mojej opinii, doszedł.

— Pozwoli pan, że wyjaśnię pewną kwestię—poprosił Moliarti. — Czy może pan udzielić gwarancji, że Toscano nie poświęcił w ogóle czasu studiom nad odkryciem Brazylii?

— Wydaje mi się, że w początkowej fazie projektu zajmował się tym zagadnieniem. Jednak w toku badań natknął się prawdopodobnie na jakiś dokument, który odciągnął go od obranego na początku kierunku.

— Jaki dokument?

— Och, tego to ja nie wiem.

Nelson pokręcił głową.

— *Son of a bitch!* — przeklął cicho. — Przez cały czas jednak nas oszukiwał.

Nastąpiła przerwa. Noronha czekał w milczeniu, aż jego rozmówca się uspokoi. Z wielkim wyczuciem chwili pojawił się kelner z przystawkami — *foie gras sauté* w sosie własnym w towarzystwie „pijanaj” gruszki i listków cykorii dla Amerykanina oraz półmiskiem koziego sera z pomidorkami koktajlowymi, karmelizowanymi jabłkami, miodem i orégano dla jego gościa. Wykwintny wygląd *hors d'oeuvre* ułatwił Moliartiemu odzyskanie równowagi.

— Dalej? — zapytał Tomás po odejściu kelnera.

— Tak. *Go on.* — Amerykanin chwycił za widelec, po czym zatopił go w gruszcze *i foie gras sauté*. — Smacznego.

— Dziękuję — odparł Portugalczyk, kosztując karmelizowanego jabłka i koziego sera. — Przyjrzyjmy się więc dokumentom wykazującym na związek Kolumba z Genuą. — Pochylił się i podniósł opartą o nogę od stołu teczkę. Wyjął z niej jedną kartkę. — To jest kopia listu numer sto trzydzieści, wysłanego przez przeora arcybiskupstwa Granady, mediolańczyka Pietra Martire'a d'Anghiere do hrabiego Giovanniego Borromea, czternastego maja tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego trzeciego roku. — Wręczył dokument przedstawicielowi fundacji.

Moliarti wziął kartkę do ręki, obrzucił ją wzrokiem i oddał.

— Wybacz, Tom, ale nie znam łaciny.

— Och, przepraszam. — Portugalczyk wziął dokument i wskazał na jedno zdanie. — Tu jest napisane: *Redita ab Antipodibus ocidinis Christophorus Colonus, quidam vir ligur.*

— I co to znaczy?

— To, że na zachodnie Antypody przybył niejaki Christophorus Colonus, Liguryjczyk. — Noronha wyciągnął z teczki kolejną kartkę. — A w innym dokumencie, zaadresowanym do włoskiego kardynała Ascania, liście numer sto czterdzieści dwa, Anghiera określa Kolumba jako *Colonus Ule novi orbis reperator*, czyli „Colonus, ów odkrywca Nowego Świata”. — Podniósł palec. — Uwaga, nazywa go Colonus, a nie Colombo.

— Gdzie znajdują się te listy?

— W tysiąc pięćset jedenastym roku opublikował je Niemiec Jacob Corumberger pod tytułem *Legatio Babilonica*. Ponownie wydał je w tysiąc pięćset szesnastym roku mediolańczyk Arnaldi Guillelmi w dziele *De orbe novo decades*, upstrzonym błędami na temat historii Kastylii.

— Ale czy widział pan te listy w oryginale?

— Nie, sądzę, że nie zachowały się do naszych czasów.

— W takim razie ci, którzy je zebrali, mogli się pomylić co do brzmienia nazwiska Kolumba.

Tomás twierdząco skinął głową, pochłaniając resztki przystawki z koziego sera.

— Oczywiście, wobec braku tekstów oryginalnych to poważny problem. Co więcej, w dokumentach dotyczących pochodzenia Kolumba notorycznie się on powtarza. Nigdy nie wiemy, w jakim stopniu było to spowodowane próbami przywłaszczenia sobie narodowości żeglarza i w niektórych wypadkach fałszowania dokumentów. Być może w większości z nich zmieniano jedynie treść w kwestiach kluczowych. Jak zapewne pan wie, czasem wystarczy przesunąć przecinek, by całkowicie wypaczyć znaczenie tekstu. Nie mając dostępu do oryginalnych tekstów d'Anghiery, a tylko do reprodukcji z lat tysiąc pięćset jedenaście i tysiąc pięćset szesnaście, nie możemy wykluczyć, że doszło do fałsyfikacji. Należy jednak podkreślić, że dotyczy to nie tylko nazwiska, lecz także pochodzenia Kolumba. Anghiera sugerował, że wywodził się on z Ligurii, ale czy te dane dotyczące miejsce urodzenia odkrywcy Ameryki zostały poprawnie przekazane?

— Czy ten Anghiera znał Kolumba osobiście?

— Według niektórych historyków tak, chociaż w liście numer sto trzydzieści określa on żeglarza jako „niejakiego Christophorusa Colonusa”. Jeżeli ktoś odnosi się do innej osoby, używając określenia „niejaki”, można założyć, że nie zna jej osobiście, przynajmniej w danym czasie, prawda?

— Przyjmijmy, że tak — zgodził się Moliarti, kończąc swoje *foie gras sauté*. — Przyznajmy, że co do tekstu tego Anghiery, istnieje problem jego wiarygodności. Przypuszczam, że są inne dokumenty mówiące o związku Kolumba z Genuą, czyż nie?

— Oczywiście, to nie wszystko — odrzekł Tomás. — W tysiąc pięćset pierwszym roku inny Włoch, Wenecjanin Angelo Trevisano, wysiał do swojego ziomka tłumaczenie pierwszej wersji *De orbe novo decades* z tekstem Anghiery, w którym wspomniał o swojej przyjaźni z „Christophoro Colombo Zenoveze”. Tym samym ustanowił po raz pierwszy bezpośredni związek żeglarza z Genuą.

— Widzi pan?

— Problem polega na tym, że profesor Toscano poddawał w wątpliwość wiarygodność owego wydania. Opierał się na podejrzeniach badacza Bayerriego Bertomeu, cytując je w swoich notatkach. Sprawdziłem, że Bertomeu powątpiewał w autentyczność tekstu Anghiery, ponieważ odnosił wrażenie, że został on dostosowany do gustów światłej części odbiorców włoskich. To trochę tak, jakby dzieło *De orbe novo decades* opierało się na sensacjach w stylu tych, opublikowanych w owym czasie przez Ameriga Vespucciego na temat Nowego Świata. Niekoniecznie były one zgodne z prawdą, głosiły to, co chcieli usłyszeć odbiorcy. A Włosi pragnęli usłyszeć, że wielkiego odkrycia Ameryki dokonał ich rodak.

— Hmm — mruknął Moliarti, drapiąc się po brodzie. — Wygląda mi to na spekulacje.

— I są to spekulacje — przyznał profesor. — Ale w końcu, co nimi nie jest w wypadku Kolumba? — Uśmiechnął się znacząco. — Zaraz do tego dojdziemy. Powiem tylko, że w tysiąc pięćset czwartym roku Trevisano opublikował *Libretto di tutte le Navigazioni di Re di Spagna*, w którym po raz kolejny spotykamy określenie „Cristoforo Colombo Zenoveze”.

Amerikanin wskazał na leżącą na kolanach historyka książkę.

— Czy ma pan kopię tego listu?

— Nie — odparł Tomás, kręcąc głową. — Nie zachował się ani jeden egzemplarz *Libretta*.

— Skąd zatem pan wie, co w nim jest napisane?

— Powołuje się na niego Francesco da Montalboddo w dziele *Paesi nuovamente ritrovati* wydanym w tysiąc pięćset siódmym roku.

— To wystarczy?

— Tak, jeśli dopuścimy drugorzędne źródła. Tyle że znowu nie

mamy dostęp do tekstu oryginalnego, a jedynie do kopii z drugiej ręki ze wszystkimi tego konsekwencjami. Warto jednak podkreślić, że Trevisano osobiście nie znał Kolumba. Również i on ograniczył się do zapożyczenia cytatów, w tym wypadku z Anghieri. Innymi słowy, Montalboddo cytuje Trevisana, który cytuje Anghiere. — Tomás wyszukał odpowiednie notatki. — Poza tym sam Montalboddo przyznał, że „po Rzymianach nowe ziemie odkrywali tylko Włosi”. To niezwykle deklaracja, na tyle absurdalna, by sugerować, jakoby autor chciał udowodnić, że wszyscy odkrywcy byli Włochami, nawet ci, którzy nimi nie byli. — Spojrzał na swojego rozmówcę. — Jak sam może pan ocenić, w takich warunkach i przy takich motywach wiarygodność podawanych informacji raczej do pewnych nie należy.

— Wyeliminujmy więc Trevisana. Co nam pozostaje?

— Sporo, sporo. — Historyk wyjął z teczki niewielki plik odbitek kserograficznych. — W tysiąc pięćset szesnastym roku, dziewięć lat po śmierci Kolumba, mnich z Genui i biskup Nebbio Agostino Giustiniani opublikował w różnych językach tekst pod tytułem *Psalterium hebraeum, graecum, arabicum et chaldeum etc*, który okazał się skarbnicą nieznanych wcześniej informacji. Giustiniani ogłosił światu, że odkrywca Ameryki, rzeczony Christophorus Columbus z „patria Genuensis” pochodził od „Vilibus ortus parentibus”, czyli skromnych, plebejskich rodziców, przy czym jego ojciec był „carminatore”, pospolitym tkaczem wełny. Nie podał jego nazwiska. Co więcej, według Giustinianiego Kolumb również parał się tym rzemiosłem i otrzymał podstawowe w nim nauki. Przed śmiercią pozostawił jedną dziesiątą swoich dochodów w Ufficio di San Giorgio, Banku Świętego Jerzego w Genui. Giustiniani powtarza te informacje w kolejnym dziele, *Castigatissimi Annali*, opublikowanym po jego śmierci, w roku tysiąc pięćset trzydziestym siódmym. Zawiera ono jedynie sprostowanie co do zawodu Kolumba. Autor zastępuje w nim wełnę jedwabiem.

— Zgadza się to z naszą wiedzą o Kolumbie?

— Niewątpliwie — przyznał Tomás. — Jednak w swoich notatkach profesor Toscano wylicza nieścisłości, jakie wyśledził w danych zaprezentowanych przez Giustinianiego w *Psalterium* i *Castigatissimi Annali*. Po pierwsze, Kolumb nie mógł pozostawić dziesiątej części

swoich dochodów w genueńskim banku, ponieważ umarł w biedzie. Jedna dziesiąta zera pozostaje zerem. — Uśmiechnął się. — Ale to tylko jeden karykaturalny szczegół — ciągnął. — Bardziej znacząca jest informacja, jakoby Kolumb był tkaczem jedwabiu bez jakiegokolwiek nauki rzemiosła. Wzbudza to znaczne wątpliwości. Skoro tkął jedwab i był niedouczoneym przeciętniakiem, skąd, u licha, jego zaawansowana znajomość kosmografii i nawigacji, które pozwalały mu na żeglugę po nieznanym morzach? Jak to możliwe, że w tej sytuacji powierzono mu nie jeden okręt, lecz całą flotę? W jaki sposób mógł osiągnąć tytuł Admirała Oceanu? Czy do przyjęcia byłoby małżeństwo takiego plebejusza z Filipa Moniz Perestelo, Portugalką arystokratycznego pochodzenia, potomkinią Egasa Moniza i krewną kondestabla Nuna Álvaresa Pereiry? W epoce panujących podziałów klasowych, w której związku pomiędzy mężczyznami z klasy plebejskiej a arystokratkami po prostu nie istniały? W jaki sposób ordynarna, niewykształcona osoba mogła dostać się na dwór wielkiego Jana Drugiego, który w swoim czasie był najpotężniejszym, najlepiej poinformowanym monarchą na świecie? — Tomás pomachał kopia-
mi notatek Toscana. — To dla mnie oczywiste, że dla profesora nie miało to sensu. Tym bardziej że Giustiniani nie znał osobiście Kolumba i ograniczał się do podawania zapożyczonych informacji. Sam hiszpański syn Kolumba, Hernando Colón, oskarżył Giustinianiego o fałszowanie historii i wskazał na inne niezgodności. Tajemniczo zasugerował, że autor genueński podał nieprawdziwe informacje na temat tego, co „en este caso es oculto”*. Było to enigmatyczne zdanie z książki Hernanda, które przypuszczalnie dotyczy pochodzenia jego ojca.

* W tym przypadku pozostaje tajemnicą.

— *I see* — mruknął milczący Nelson. — Co jeszcze?

— To koniec, jeżeli chodzi o roszczenia Włochów wyrażone w szesnastym wieku.

Rozmowę przerwał kelner, przynosząc obiad. Sprzątnął puste talerze po przystawkach, po czym postawił przed Moliartim filety z tamborila z cytryną, a przed Noronhą pieczone krewetki i langusty w sosie z pomidorów, soku z cytryny i kaparów oraz *xarém* z białej

kukurydzy i omułków. Zgodnie z życzeniem Amerykanina do kieliszków nalał białego, dobrze schłodzonego wina marki Casal Garcia.

— Z potraw portugalskich najbardziej lubię ryby — skomentował przedstawiciel fundacji, skrapiając potrawę sokiem z cytryny. — Grillowane ryby i schłodzone wino verde.

— Nie do pogardzenia, o nie — zgodził się Tomás, nadziewając krewetkę na widelec.

— Hmm, przepyszne! — wykrzyknął Nelson, gryząc filet z tamborila. Widełcem wykonał gest w stronę swojego gościa. — Nic więcej?

— Więcej czego?

— Eh... wzmianek o Kolumbie w piętnastowiecznych kronikach?

— Istnieją jeszcze autorzy z Półwyspu Iberyjskiego. — Profesor popił łykiem wina. — Zaczniemy od Portugalczyków. Na początku szesnastego wieku Ruy de Pina wspominał o „Cristovam Colombo, italiano”. To samo czynią Garcia de Resende w tysiąc pięćset trzydziestym trzecim roku i Antonio Galvão w tysiąc pięćset pięćdziesiątym. Natomiast Damião de Góis w tysiąc pięćset trzydziestym szóstym roku oraz João de Barros i Gaspar Frutuoso w 1552 podają genueńskie pochodzenie żeglarza, którego większość określa mianem Colom.

— Wielu ludzi mówi to samo...

— Rzeczywiście — przyznał Tomás. — Ale szczególna zasługa należy się tylko Ruy de Pinie, ponieważ był współczesny wydarzeniom i prawdopodobnie osobiście poznał Kolumba. Pozostali kronikarze portugalscy ograniczyli się do powtarzania po nim i po wspomnianych przeze mnie autorach włoskich. Niektórzy pisali, że Kolumb był Włochem, ponieważ tak podawał Pina, inni przypisywali żeglarzowi pochodzenie genueńskie, ponieważ taką informację puścili w obieg Trevisano, Montalboddo i Giustiniani.

— Czy stwierdzenie Piny uważa pan za autentyczne?

— Całkowicie.

— Aha. — Moliarti uśmiechnął się, zacierając z satysfakcją ręce. — Świetnie.

— Muszę jednak powiedzieć, że badając notatki profesora Toscano, ze zdumieniem zauważyłem, iż miał co do tego wątpliwości.

— Wątpliwości?

— Tak — potwierdził Noronha z przekąsem. — Chociaż nie poparł ich żadnymi argumentami. Zanotował jedynie ołówkiem ciekawą obserwację na marginesie kopii mikrofilmu dzieła *Crònica do D. Rei João II*, która znajduje się w Torre do Tombo. — Wyjął odpowiednią odbitkę ksero. — „Tak by było dobrze”, napisał, dodając jeszcze: „spryciarz”.

Po twarzy Moliartiego przeszedł skurcz. Zmarszczył brwi zaintrygowany.

— Co, u diabła, ma to znaczyć?

— Nie mam najmniejszego pojęcia, Nelsonie. Muszę to przestudiować.

Amerikanin przyzwalająco skinął głową.

— Dobrze, a inni autorzy iberyjscy?

— Wspomniałem już o Portugalczykach, teraz kolej na Hiszpanów. Zacznijmy od wikariusza Andresa Bernáldeza, który w 1518 roku wydał *Historia de los Reyes Católicos*. Otóż nasz przyjaciel Bernaldez głosi, że Kolumb narodził się jednocześnie w dwóch miastach: Genui i Mediolanie.

— Jak to w dwóch miastach? Albo w jednym, albo w drugim.

— Jeśli wierzyć Bernáldezowi, to nie. Wydane w tysiąc pięćset pięćdziesiątym szóstym roku w Granadzie dzieło podaje Mediolan jako miejsce urodzenia Kolumba, natomiast wydanie z Madrytu z roku tysiąc pięćset siedemdziesiątego ustanawia jego kolebką Genuę.

— Przecież powiedział pan, że do publikacji doszło w tysiąc pięćset osiemnastym roku?

— Dojść, doszło. Ale nie zachował się żaden egzemplarz z pierwszego wydania. Do najstarszych zalicza się te z Granady i Madrytu, które różnią się tą zasadniczą informacją.

Zniecierpliwiony Amerikanin przewrócił oczami.

— *Next.*

— W kolejce stoi następny Hiszpan. — Tomás przedstawił niewielki plik kserokopii. — Nazywał się Gonzalo Fernández de Oviedo i w tysiąc pięćset trzydziestym piątym roku rozpoczął publikację swojego dzieła *Historia General y Natural de las Indias*. Otóż Oviedo cytuje Włochów niezgadających się co do pochodzenia Kolumba.

Jak podaje, niektórzy twierdzą, jakoby żeglarz pochodził z Savony, inni, że z Nervi, a jeszcze inni, że z Cugureo. Oviedo nie znał Kolumba osobiście i wszystkie dostępne mu dane czerpał z tego, co zasłyszał od niektórych Włochów. — Historyk schował pęk kartek do teczki. — Oviedo zatem to jeszcze jedno źródło pośrednie.

Moliarti westchnął ze znużeniem.

— *What else?*

— Pozostają dokumenty opublikowane w późniejszych wiekach oraz trzy teksty bardzo ważne z uwagi na tożsamość ich autorów.

Zrobił dramatyczną przerwę, która wzbudziła ciekawość rozmówcy.

— O kim mowa?

— Był to hiszpański historyk, mnich Bartolomé de las Casas, hiszpański syn Kolumba Hernando Colón i sam Krzysztof Kolumb.

— Doskonale.

— Zacznijmy od Bartolomé de las Casasa. Poza Hernandem Colonem był współczesnym Kolumbowi kronikarzem, który najwięcej napisał o odkrywcy Ameryki. Las Casas zredagował swoje dzieło *Historia de las Indias* w latach tysiąc pięćset dwadzieścia pięć - pięćdziesiąt dziewięć. Twierdził, że poznał Kolumba po jego przybyciu do Hiszpanii i miał dostęp do dokumentów żeglarza złożonych w Convento de Las Cuevas w Sewilli. Ów historyk przypisywał mu genueńskie pochodzenie.

— Aha! — wykrzyknął Moliarti, pochylając się nad stołem i wycierając ręce serwetką. — Tutaj mamy wiarygodne źródło.

— Bez wątpienia — stwierdził Tomás, przegryzając langusta. — Niestety, tu znowu napotykamy na pewne problemy. Po pierwsze. *Historia de las Indias* doczekała się wydania dopiero w tysiąc osiemset siedemdziesiątym szóstym roku, ponad trzysta lat po jej napisaniu. Któż wie, przez ile rąk w tym czasie przeszła. Profesor Toscano dostrzegł w oryginalnym tekście ślady wycierania oraz dopiski. Drugi problem polega na wiarygodności tekstu de las Casasa. Badacz hiszpański Menéndez Pidal doszukał się w nim ubarwień i niedokładności, takich jak deklaracja, że autor poznał osobiście Kolumba po jego powrocie do Hiszpanii.

— A nie poznał?

— Spójrzmy na to tak — powiedział Noronha, biorąc do ręki długopis. — Krzysztof Kolumb przybył z Portugalii do Hiszpanii w tysiąc czterysta osiemdziesiątym czwartym roku. — Napisał datę 1484 na odwrocie strony. — Las Casas urodził się w tysiąc czterysta siedemdziesiątym czwartym roku. — Pod spodem nagryzmołił liczbę 1474 i postawił znak odejmowania. — Oznacza to, że Las Casas poznał admirała, mając zaledwie dziesięć lat, co więcej, kiedy Kolumb nie był jeszcze sławny. — Tomás napisał równanie: $1484-1474=10$. — Czy uważa pan za wiarygodne, że dziesięcioletnie dziecko odnotuje w pamięci spotkanie z człowiekiem, któremu w owym czasie, na osiem lat przed odkryciem Ameryki, nikt nie przypisywał najmniejszego znaczenia? Czy sądzi pan, że to normalne?

Moliarti znowu westchnął i opuścił wzrok.

— Rzeczywiście...

— Przejdźmy teraz do najważniejszego świadka, oprócz samego Kolumba. — Profesor schował długopis do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyjął z teczki jakąś książkę. — Hernando Colón, drugi syn admirała, urodzony ze związku z Hiszpanką Beatriz de Arana, autor dzieła *Historia del Almirante*. — Tomás pokazał książkę o hiszpańskim tytule zakupioną w Sewilli. — Niewątpliwie tutaj powinna znajdować się prawdziwa skarbnica informacji. Hernando Colón był synem admirała i nikt nie ośmielił się zakwestionować, iż znał ojca. W związku z tym miał dostęp do szczególnych informacji. Nasz Hermandito więc natychmiast dał jasno do zrozumienia, że powodem stworzenia biografii ojca były próby napisania takowej przez innych, niezających prawdziwych faktów. Do fałszerzy zaliczył między innymi Agostina Giustinianiego, owego genueńskiego zakonnika, który głosił na cały świat, że Kolumb był tkaczem jedwabiu w Genui.

— Czy Hernando potwierdził pochodzenie ojca?

— W tym właśnie tkwi problem. Syn Kolumba nigdy nie powiedział stanowczo, że ojciec pochodził z Genui. A wręcz przeciwnie. Hernando trzykrotnie udał się do Włoch, w roku tysiąc pięćset szesnastym, dwudziestym dziewiątym i trzydziestym, w celu sprawdzenia, czy rozpowszechniane ówczesnie informacje mają jakieś podstawy. Szukał członków rodziny, rozmawiał z wieloma osobami o

nazwisku Kolumb i prowadził badania w archiwach notarialnych. Bezskutecznie. Podczas żadnej z trzech wizyt w regionie Genui nie odnalazł śladów jakiegokolwiek rodziny. Zlokalizował natomiast pochodzenie ojca w innym miejscu we Włoszech, dokładnie w Piacenza, gdzie na miejscowym cmentarzu znajdowały się według niego groby z herbem Kolumbów oraz stosowne epitafia. Hernando ujawnił, że jego przodkowie należeli do wysoko urodzonego rodu, choć dziadkowie popadli w wielką biedę. Zaprzeczył, jakoby ojciec był niewykształcony, zwracając uwagę na szczególne, że tylko osoba o znacznej wiedzy mogła sporządzać mapy czy też dokonywać tak wielkich czynów. *Historia del Almirante* podawała również szczegóły podróży ojca do Portugalii. Jej powodem był „człowiek podpisujący się nazwiskiem Kolumb”, którego Hernando nazywa Kolumb junior. Podczas jednej z bitew morskich, gdzieś pomiędzy Lizboną a Przylądkiem Świętego Wincentego w Algarve, Krzysztof wpadł do wody i płynął dwie mile do lądu, trzymając się wiosła. Potem udał się do Lizbony, gdzie, według Hernanda, znajdowało się wielu jego genueńskich rodaków.

— I tu cię mamy! — wykrzyknął Moliarti z triumfalnym uśmiechem. — Dowód dostarczony przez samego syna Kolumba.

— Zgodziłbym się z panem — uciął Tomás — gdybyśmy mieli pewność, że były to rzeczywiście słowa Hernanda Colona.

Zdziwiony Amerykanin odgiął głowę do tyłu.

— Ejże! A nie były?

Historyk zajrzał do kserokopii notatek swego poprzednika.

— Najwyraźniej profesor Toscano miał, co do tego wątpliwości.

— Jakie wątpliwości?

— Wątpliwości związane z wiarygodnością tekstu oraz dziwnymi sprzecznościami i brakiem konsekwencji, które z niego wynikają — wyjaśnił Noronha. — Zacznijmy od rękopisu. Hernando Colón ukończył dzieło, ale go nie opublikował. Zmarł, nie pozostawiając potomków, siłą rzeczy więc rękopis trafił w ręce jego siostrzeńca, Luisa de Colona, najstarszego syna przyrodniego brata Hernanda, Dioga Coloma. W tysiąc pięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku zwrócił się do Luisa Genueńczyk Baliano Fornari z propozycją wydania dzieła w trzech językach: łacińskim, hiszpańskim i włoskim. Siostrzeniec

Hernanda wyraził zgodę i udostępnił rękopis owemu Genuieńczykowi. Fornari zabrał manuskrypt do Genui, dokonał przekładu i w tysiąc pięćset siedemdziesiątym szóstym roku, w Wenecji, wydał go w wersji włoskiej, głosząc, iż robi to, by „powszechnie można było poznać historię, której zasługi w pierwszej kolejności należały się Genui, ojczyźnie wielkiego żeglarza”. Zapomniał o dwóch pozostałych wersjach, włącznie z hiszpańskim oryginałem, po czym za jego sprawą rękopis zaginął. — Tomás po raz kolejny zademonstrował egzemplarz hiszpańskiej wersji książki Hernanda Colona. — Innymi słowy, to, co tutaj mamy, to nie oryginalny hiszpański tekst, lecz tłumaczenie z włoskiego będące z kolei przekładem z hiszpańskiego zleconym genuieńczykowi, który nie ukrywał, iż starał się przyznać zasługi swojej ojczyźnie. — Odłożył książkę na stół. — Podsumowując, w pewien sposób mamy do czynienia z następnym źródłem pośrednim.

Moliarti potarł oczy, znużony całą tą płataniną.

— A brak konsekwencji?

— Przede wszystkim wzmianka o grobach z herbami i epitafiami rodziny Kolumbów w Piacenza. Wizyta na miejskim cmentarzu dowodzi, że rzeczywiście takie groby istnieją, jednak nie widnieje na nich nazwisko Kolumb. Jest natomiast Colonna. — Historyk się uśmiechnął. — Opierając się na notatkach profesora Toscano, odnosi się wrażenie, iż genueński tłumacz maczał w tym palce, zmieniając nazwisko Colonna na Kolumb. Tym bardziej że w innym fragmencie pozostawił zlatynizowaną wersję nazwiska Colón, czyli Colonus. A nie Columbus. Tym samym zaprzeczył sam sobie, jakoby groby należały do rodziny Kolumbów.

— Ale czy Hernando nie pisał, że ojciec udał się w morze z powodu jakiegoś młodego Kolumba, który należał do jego rodziny?

Tomás się roześmiał.

— Kolumba Juniora, Nelsonie. Juniora. — Przekartkował egzemplarz *Historia del Almirante*. — Książka rzeczywiście zawiera relację na ten temat. Ale, proszę zauważyć, to kolejna sprzeczność. Kolumb Junior był korsarzem i wcale nie nosił takiego nazwiska. Chodziło o Jorge Bissipata, którego Włosi przewalili Kolumbem Juniorem, porównując do Kolumba Seniora. Takie przydomko nosił Normandczyk

Caseneuve Coullon, zwany Kolumbem przez analogię z francuskim wyrażeniem *coup-long*, czyli niski cios.

— Co za zamieszanie.

— Żeby pan wiedział. Ale problem jest następujący. W jaki sposób Kolumb Junior mogło być nazwiskiem rodzowym ojca Hernanda, jeżeli w przypadku chłopca był to pseudonim? Pozostaje jedynie hipoteza, że tłumacz maczał palce w tym, co nie było mu znane, ustanawiając tak zwane *motu proprio* co do więzów rodzinnych pomiędzy Krzysztofem a Juniorem, które, rzecz jasna, nie istniały.

Moliarti oparł się o krzesło. Wyraźnie czuł się niewygodnie. Skończył już swojego tamborila i odsunął talerz.

— Niezależnie, czy to Colonna, czy Kolumb, czy z Piacenzy, czy Genui, faktem jest, iż Hernando wskazywał na włoskie pochodzenie ojca.

— Właśnie co do tego profesor Toscano miał wątpliwości — odparł Noronha, nadal pogrążony w notatkach. — W swoich zapiskach, obok adnotacji o prawdziwym pochodzeniu Kolumba z Piacenzy w *Historia del Almirante*, ołówkiem zanotował, że to nie żeglarz był rodem z owego włoskiego miasta, ale jego portugalska żona i matka Dioga Coloma, Filipa Perestelo. Najwyraźniej z Piacenzy pochodzili jacyś jej przodkowie. Profesor wierzył, jak mi nie mam, iż Hernando w oryginalnym tekście podał to miasto jako dalekie korzenie Filipy, a tłumacz włoski „poprawił” ten fragment, zamieniając Filipę na Krzysztofa. Co więcej, Toscano skomentował to włoskim przysłowiem *traduttori traditori*, co oznacza dosłownie „tłumacze, zdrajcy”.

— To tylko domysły.

— To prawda. Ponownie jednak zwrócę pana uwagę na to, że w wypadku Kolumba wszystko pozostaje w sferze spekulacji. Osoba odkrywcy Ameryki owiana jest licznymi tajemnicami i sprzecznościami. — Spojrzał ponownie na *Historia del Almirante*. — Pokażę panu kolejne wyśledzone przez profesora niekonsekwencje w tekście, które potwierdzają hipotezę, iż Hernando Colón nie był autorem wszystkich zawartych w nim stwierdzeń. Na przykład słów mówiących o tym, że ojciec po dotarciu na ląd udał się do Lizbony, gdzie znajdowało się wielu rodaków z Genui.

— Tutaj mamy do czynienia z oczywistym dowodem.

— Ależ, Nelson, niech pan się dokładnie zastanowi. Czyż nie Hernando kilka stron wcześniej mówił, że udał się do Genui i nie odnalazł tam żadnej rodziny? Czyż nie ten sam Hernando podejrzewał, że ojciec pochodził z Piacenzy? Więc jak po napisaniu tego wszystkiego można wnioskować, że jednak narodowość ojca była genueńska? W jednym miejscu nie pochodzi z Genui, a zaraz potem tak? Co to za zamieszanie? — Historyk oderwał się od kserokopii, wracając do notatek. — Jeszcze raz profesor Toscano podejrzewa, że była to sprawka genueńskiego tłumacza. Po raz kolejny pojawia się notatka z wyrażeniem *traduttori, traditori*. — Tomás chwycił kolejne odbitki kserograficzne. — *Historia del Almirante* obfituje w dalsze niekonsekwencje. Do tego stopnia, że ojciec Alejandro de la Torre y Velez, kanonik w katedrze w Salamance, po przestudiowaniu dzieła Hernanda doszedł do podobnego wniosku, iż „zostało ono zmienione i tknięte obcą ręką”.

— Mówi, że to wszystko jest fałszem?

— Nie. *Historia del Almirante* bez wątpienia została napisana przez Hernanda Colona, nikt tego nie kwestionuje. Jednak w opublikowanym tekście istnieją pewne sprzeczności, brak konsekwencji, które wyjaśnić można tylko na dwa sposoby. Albo Hernando był trochę nierozgarnięty, co raczej nie wydaje się prawdopodobne, albo ktoś pozmieniał kluczowe szczegóły w jego rękopisie, dostosowując go do upodobań włoskich odbiorców, zanim doszło do pierwszego wydania dzieła.

— Ale kto?

— Odpowiedź na to pytanie wydaje się oczywista. Mógł to być jedynie Baliano Fornari, Genueńczyk, który dostał rękopis z rąk Luisa de Colona i wydał go tylko w wersji włoskiej, otwarcie dając do zrozumienia, że jego celem jest, by „główna zasługa” w odkryciu Ameryki należała „do państwa Genui, ojczyzny wielkiego żeglarza”.

Amerykanin wykonał niecierpliwy gest.

— Dalej.

— Świetnie — odrzekł Tomás. — Przejdźmy więc do ostatniego świadka, z pewnością najważniejszego ze wszystkich.

— Kolumba.

— Właśnie. Świadectwa samego Krzysztofa Kolumba, Admirala Oceanu.

Powrócił kelner z tacą, zebrał puste talerze, a na stole pozostawił deskę serów portugalskich i marmoladę. Obaj mężczyźni poczęstowali się miękkim owczym serem o silnym zapachu, zatapiając go w marmoladzie i natychmiast łakomie połykając.

— Co więc mówił Kolumb? — zapytał Moliarti, zlizując przyklejony do kciuka kawałek sera.

Portugalski historyk westchnął głęboko, porządkując notatki w torbie.

— Dzisiaj wiemy, że przez całe życie Kolumb ukrywał swoją przeszłość. Nazywamy go Kolumbem, jednak nie istnieje ani jeden dokument, w którym on sam tak siebie nazywa. Ani jeden. W rękopisach, które przetrwały do naszych czasów, zawsze przedstawiał się jako Colom albo Colón. Faktu tego nikt nie podważa, co stawia w bardzo niezręcznej sytuacji obrońców tezy genueńskiej. Jeżeli odkrywca Ameryki i tkacz jedwabiu jest tą samą osobą, jak wyjaśnić to, że sam żeglarz nigdy nie wspomniał o swoim zawodzie? Zwolennicy Genui oskarżają anty-Genueńczyków o opieranie swoich tez na daleko idących domysłach, choć sami uciekają się do wielkich spekulacji w swoich hipotezach. Z tego, co wiemy, człowiek, którego dzisiaj nazywamy Kolumbem, nie tylko nie przedstawiał się tym nazwiskiem, ale, co więcej, rozmyślnie utrzymywał swoje pochodzenie w tajemnicy.

— Czy to znaczy, że nigdy nie powiedział, gdzie się urodził?

— Powiedzmy to tak. Kolumb zawsze bardzo uważnie ukrywał swoje pochodzenie z wyjątkiem jednej jedynej okazji. — Noronha zademonstrował uporządkowane kserokopie, — *Mayorazgo*.

— Major... co?

— *Mayorazgo* albo inaczej ordynacja. Chodzi o zapis testamentowy z datą dwudziesty drugi lutego tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego ósmego roku, który stanowi o prawach jego portugalskiego syna, Dioga Coloma, sporządzony przed trzecią wyprawą admirała do Nowego Świata. — Tomás rzucił okiem na tekst. — W tym dokumencie Kolumb przypomina koronie hiszpańskiej o swoich zasługach dla narodu i apeluje do Władców Katolickich i do ich pierworodnego syna, księcia Juana, aby bronili jego praw oraz „mojego urzędu Admirała Mórz i Oceanów, który rozciąga się, zgodnie z poleceniem

Waszej Wysokości, w promieniu stu mil morskich od Azorów i tyłu samo na wschód od Wysp Zielonego Przylądka”. W drodze testamentu Kolumb przekazał takie uprawnienia swojemu synowi Diogo, wskazując, że to pierworodny syn odziedziczy prawowite nazwisko ojca i jego przodków „nazywanych Colonami”. W wypadku gdyby Diogowi nie pozostał męskich potomków, prawa przechodziły na jego przyrodniego brata Hernanda, a potem na brata Kolumba, Bartolomeu, następnie na kolejnego brata i tak dalej, póki istniełby descendenci w linii męskiej. — Profesor podniósł głowę i spojrzał na Moliartiego. — Proszę zauważyć tu istotny szczegół. Admirał nie wyraził się „nazywanych Kolumbami” w odniesieniu do siebie i swoich przodków. Powiedział: „nazywanych Colonami”.

— Zrozumiałem — odburknął nachmurzony Amerykanin. — Ale co z pochodzeniem?

— Zaraz do tego dojdziemy — odparł historyk, gestem prosząc go o cierpliwość. — Testament przewidywał również, że część przysługujących admirałowi dochodów miała być przekazywana do Banku Świętego Jerzego, i podawał szczegółowe instrukcje co do sposobu, w jaki jego spadkobiercy mieli podpisywać wszelkie dokumenty. Kolumb życzył sobie, żeby nie posługiwali się nazwiskiem, a jedynie tytułem *El Almirant* pod jakąś dziwną piramidą inicjałów i kropek. — Tomás pokazał Moliartiemu następną kartkę. — Dochodzimy tu do części interesującej pana, Nelsonie, pana i najwyraźniej także profesora Toscano. W pewnym punkcie testamentu Kolumb zrobił coś bez precedensu. Przypomniawszy panującym władcom, że służył im w Kastylii, „będąc urodzonym w Genui”.

— Ha, ha! — wykrzyknął Moliarti, niemal podskakując na krześle. — Oto dowód!

— Spokojnie! Spokojnie! — poprosił Noronha, śmiejąc się z entuzjazmu Amerykanina. — W innej części swego *Mayorazgo* Kolumb zaleca spadkobiercom, by utrzymywali w Genui zawsze kogoś ze swojego rodu, „ponieważ z niej się wywodzę i tam się urodziłem”.

— Widzi pan? Skąd więc wątpliwości? Skąd?

— Wszystko jasne — zgodził się Tomás, uśmiechając się przewrotnie. — O ile zgodne z prawdą.

Ciemna chmura przysłoniła entuzjazm przedstawiciela fundacji.

Uśmiech zniknął, ale usta nadal pozostały otwarte. Zdumione oczy nie dawały wiary, aż w końcu zamknęły się w geście sprzeciwu.

— Co? Co? — wybuchł. — *Fuck you!* Chyba mi pan nic powie, że to wszystko jest fałszem, co? Niech pan sobie ze mnie nie żartuje. Proszę mnie nie prowokować, o nie!

— Spokojnie, Nelson, spokojnie! — poprosił Portugalczyk, zaskoczony takim nieoczekiwanym wybuchem i podnosząc ręce w geście poddania się. — Zrozumiejmy się dobrze. Nie mówię, że coś jest prawdą, a coś innego fałszem. Ograniczyłem się do przeanalizowania dokumentów i relacji świadków, do prześledzenia notatek profesora Toscano i do prób rekonstrukcji jego toku myślenia. W końcu po to mnie pan zatrudnił, prawda? Sprawdziłem, że Toscano miał ogromne wątpliwości co do pewnych aspektów życia Krzysztofa Kolumba uważanych za dowiedzione. Idąc tym tokiem poszukiwań, przedstawiam panu wątpliwości dotyczące wiarygodności, które każdy z dokumentów i świadków budzi. Jeżeli uznamy za poprawne wszystkie istniejące przekazy, historia życia admirała nie będzie miała sensu. Musiałby narodzić się jednocześnie w wielu miejscach, mieć jednocześnie różne daty urodzenia i różne nazwiska. Tak być nie może. W ostatecznym rozrachunku to pan będzie musiał zdecydować, który z przekazów jest prawdziwy, a który nie. W tym celu konieczne są analiza oraz ocena sprzeczności i niekonsekwencji zawartych w każdym z nich. Mając wszystkie dane, może pan dokonać wyboru. Jeżeli życzy pan sobie, by Kolumb pozostał Genuńczykiem, wystarczy zignorować niezgodności występujące w dokumentach potwierdzających tę tezę, stosując metodę czystej spekulacji. To samo tyczy się sytuacji odwrotnej. Ale proszę zauważyć, że moim zadaniem nie jest obalenie teorii genuńskiej. Prawdę mówiąc, pochodzenie Kolumba jest mi obojętne. Wszystko mi jedno! Jak panu wygodnie... — Zrobił przerwę, by podkreślić swoje stanowisko. — Moim zadaniem, proszę zauważyć, jest rekonstrukcja badań profesora Toscano, po to mnie zatrudniono. A także analiza problemów, jakie rodzi każdy z tych dokumentów. Nic więcej.

— Ma pan rację — przyznał Moliarti, już spokojniej. — Przepraszam, że się uniosłem. Proszę kontynuować.

— Dobrze — ciągnął Tomás. — Jak już mówiłem, w *Mayorazgo*

Kolumb zamieścił dwie bezpośrednie, wyraźne wzmianki o Genui jako miejscu swojego urodzenia. Ale na tym nie koniec. Trochę dalej znajduje się trzecia, która podaje, że „Genua to szlachetne i potężne miasto nie tylko z powodu morza”. Kilka stron później Kolumb dodaje czwartą wzmiankę, apelując do swoich spadkobierców, by starali się „pracować zawsze na cześć, pożytek i rzecz powiększenia miasta Genui i dbać o nie, wytěżając wszystkie siły i środki na rzecz obrony oraz wspólnego dobra i chwały swojej republiki”.

— Kolumb zrobił zatem cztery odniesienia do Genui, a w dwóch z nich otwarcie zadeklarował, że tam się urodził.

— Racja — potwierdził Noronha. — Oznacza to, że wszystko teraz zależy od oceny wiarygodności tego dokumentu. Istnieje królewskie potwierdzenie zapisu testamentowego, datowane na rok tysiąc pięćset pierwszy, które znajduje się w Głównym Archiwum Indii w Sewilli. — Pomachał wykonanymi tam kserokopiami. — Dowiedziałem się, że oryginalny dokument zaginął jeszcze w szesnastym stuleciu, ale nie wiem, czy to prawda. Mogę jedynie zagwarantować, że Główne Archiwum Indii posiada tylko kopię. Przypuszczam, że wchodziła w skład *Pleyto Sucessorio*, bardzo ważnego procesu sądowego rozpoczętego w tysiąc pięćset siedemdziesiątym ósmym roku w celu wskazania prawowitego następcy admirała po śmierci Don Diega, wnuka Dioga Coloma i prawnuka Krzysztofa Kolumba. Warto pamiętać, że zgodnie z *Mayorazgo* spadkobiercami mogli być jedynie potomkowie w linii męskiej o nazwisku Colón. Wbrew bezpośredniemu i jasno wyrażonemu przez admirała życzeniu sąd postanowił uznać również nazwisko Kolumb. Wieść ta rozeszła się po Włoszech. Jako że Krzysztof Kolumb miał prawo do części pochodzących z Indii bogactw, co uzgodnił z Władcami Katolickimi w tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym drugim roku, wiadomość, że każdy Kolumb mógł ubiegać się o prawo dziedziczenia, wzbudziła ogromne zainteresowanie wśród wszystkich Włochów o tym nazwisku. Problem polegał na tym, że imię Krzysztof Kolumb było we Włoszech dosyć popularne, sąd więc wymagał od kandydatów przedstawienie rodowodu od braci Kolumba: Bartolomeu, Jacoba i ojca Domenica. Wymagania te spełniali trzej kandydaci, a spośród nich pozostał w końcu tylko jeden. Był to niejaki Baldassare Colombo z Cuccaro Monferrato,

niewielkiej osady w Piemoncie. Baldassare konkurował z innymi hiszpańskimi potomkami Kolumba. W następstwie tego procesu sądowego jeden z hiszpańskich adwokatów, niejaki Verástegui, przedstawił kopię jego zapisu, wskazując na fakt, iż została ona sygnowana przez księcia Juana Drugiego dwudziestego drugiego lutego tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego ósmego roku. Była to jednocześnie data sporządzenia testamentu.

— Co to za księżę Juan?

— Pierworodny syn Władców Katolickich.

— Więc jest pan w posiadaniu odpisu protokołu sądowego potwierdzonego przez następcę tronu i nadal ma pan jakieś wątpliwości co do wiarygodności testamentu?

— Nelsonie — powiedział cicho Tomás. — Księżę Juan zmarł czwartego października tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego siódmego roku.

— I co z tego?

— Proszę sobie policzyć. Jeżeli zmarł w tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym siódmym roku, jak mógł potwierdzić odpis protokołu z roku tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego ósmego? — Mrugnął okiem. — He?

Moliarti zamarł na długą chwilę, zatapiając wzrok w rozmówcy i przetrawiając tę niezgodność.

— No tak... ehe... — wyjąkał w końcu.

— To, mój drogi, bardzo poważny techniczny problem. Podważa całkowicie wiarygodność kopii *Mayorazgo*. Co gorsza, to nie jedyna nieścisłość w dokumencie.

— Jest ich więcej?

— Oczywiście, że tak — potwierdził historyk. — Proszę spojrzeć tylko na to zdanie Kolumba. — Wziął do ręki kserokopię tekstu. — „O to błagam Króla i Królową, Naszych Władców i Księcia Juana Drugiego, ich pierworodnego syna, Naszego Władcy”. — Podniósł głowę i spojrzał na Amerykanina. — Ten sam problem, Kolumb błaga księcia Juana, jak gdyby ów jeszcze żył, chociaż zmarł w roku poprzedzającym, mając zaledwie dziewiętnaście lat. Wydarzenie to było w swoim czasie szeroko komentowane, dwór przybrał surowe, żałobne barwy, a instytucje publiczne i prywatne pozostawały zamknięte przez

czterdzieści dni. Na murach i bramach miast hiszpańskich umieszczono znaki żałoby. W takich okolicznościach jak to możliwe, by admirał, będąc osobą bliską dworowi królewskiemu, a szczególnie królowej, nie wiedział o śmierci księcia Juana? — Uśmiechnął się i pokręcił głową. — A teraz niech pan spojrzy na to. — Ponownie zatopił wzrok w kserokopiach. — „Otrzyma rzeczony Don Diego...”. — Przerwał, by wyjaśnić: — Diego to po hiszpańsku Diogo. — Podjął lekturę: — „...lub ktokolwiek, kto odziedziczy ten zapis i mój urząd Admirała Oceanu, który rozciąga się na zachodzie od linii wyznaczonej przez Waszą Wysokość w odległości stu mil od wysp Azorów i drugie tyle na wschód od Wysp Zielonego Przylądka”. — Spojrzył na Moliartiego. — To krótkie zdanie zawiera niewiarygodną serię niezgodności. Po pierwsze, jak to możliwe, by wielki Krzysztof Kolumb twierdził, że południk przechodzący przez Wyspy Zielonego Przylądka znajdował się w tej samej odległości co południk Azorów? Nie wiedziałyby więc tego, co w owym czasie wiedzieli już wszyscy żeglarze, a mianowicie, że Azory znajdowały się bardziej na zachód niż Zielony Przylądek? Czy ktoś uwierzy, że odkrywca Ameryki, który na dodatek odwiedził oba te portugalskie archipelagi, mógłby napisać taką głupotę? Po drugie, warto zauważyć, że wzmianka o stu milach znajduje się w bulli papieskiej *Inter caetera*, z roku tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego trzeciego, dotyczącej traktatu z Toledo bądź Alcácovas. Problem polega na tym, że w tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym ósmym roku, kiedy podpisano *Mayorazgo*, obowiązywał już traktat z Tordesilhas. Fakt ów nie mógł ujść uwagi Kolumba, ponieważ on sam był przyczyną owego podziału stref wpływów na świecie pomiędzy Hiszpanią a Portugalią. Jak więc to możliwe, by admirał używał wyrażen papieskich odnoszących się do nieaktualnego już traktatu? Czyżby zwaśniował? Po trzecie, mówiąc o „linii wyznaczonej przez Waszą Wysokość”, musiałby przewidzieć śmierć królowej Izabeli, która zmarła sześć lat później, w tysiąc pięćset czwartym roku. Jak więc doszło do tego, że Kolumb zwracał się do Władców Katolickich w liczbie pojedynczej? Standardem, jak widać to w każdym z ówczesnych dokumentów, był zwrot „Wasze Wysokości”. Wasze, czyli liczba mnoga. Czy Kolumb zdecydowałby się obrażać jednego z panujących monarchów, insynuując jego nieistnienie? A może jakiś fałszerz sporządził

dokument po roku tysiąc pięćset czwartym, kiedy to pozostał tylko jeden władca, pomijając ten szczegół i zmieniając datę na tysiąc czterysta dziewięćdziesiąty ósmy?

— *I see* — skomentował Moliarti zniechęcony. — Czy to wszystko?

— Nie — odrzekł Noronha. — Ważna jest również kwestia, dlaczego Kolumb w *Mayorazgo* zamieścił ni mniej, ni więcej, tylko cztery wzmianki na temat Genui. — Wystawił cztery palce. — Cztery — powtórzył, po czym opuścił dwa. — A dwie z nich wyraźnie mówią, że w tym mieście się urodził. — Tomás oparł się o poręcz krzesła i uporządkował kserokopie. — Proszę zauważyć, że Krzysztof Kolumb przez całe życie ukrywał swoje pochodzenie. Jego ostrożność graniczyła z obsesją do tego stopnia, że kryminolog Cesare Lombroso, jeden z największych detektywów dziewiętnastego wieku, uznał go za paranoika. Od jego syna Hernanda wiemy, że admirał po odkryciu Ameryki w tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym drugim roku stał się jeszcze bardziej skryty. Proszę przyjrzeć się jego słowom w *Historia del Almirante*. — Otworzył książkę i wyszukał podkreślony fragment. — *Quando fué su persona a propòsito y adornaba de todo aquello, que convenia para tan grand hecho, tanto menos conocido y cierto quiso que fuese su origen y patria*. — Spojrzał na swojego rozmówcę. — Innymi słowy, im bardziej sławny stawał się Kolumb, tym bardziej nie życzył sobie, by poznano jego pochodzenie i ojczyznę. Człowiek tyle czasu utrzymuje w tajemnicy miejsce swojego urodzenia, zadaje sobie tyle trudu, aby ukryć ten fakt pod gęstą zasłoną milczenia i nagle przychodzi mu do głowy, aby zasypać swój testament wzmiankami o Genui, niwecząc tym samym wszystkie swoje poprzednie wysiłki? I to ma mieć jakikolwiek sens?

Amerykanin westchnął.

— Niech mi pan wyjaśni, Tom. Czy to oznacza, że ten testament jest fałszywy, tak?

— Do takiego wniosku, Nelsonie, doszedł sąd hiszpański. Do tego stopnia, że ostatecznie przyznano prawa do spadku innemu wnukowi Dioga Coloma, Nuno de Portugal.

— Więc co z królewskim potwierdzeniem z tysiąc pięćset pierwszego roku, które znajduje się w Archiwum Głównym w Simancas. Czy również jest fałszywe?

— Tak.

— Ee... nie rozumiem. Jak to możliwe, by dokument z królewską pieczęcią był nieprawdziwy?

— W Archiwum Głównym w Simancas znajduje się rejestr Pieczęci Królewskiej dotyczący września tysiąc pięćset pierwszego roku. Także i tam istnieją wzmianki o księciu Janie jako żyjącym. — Tomás uderzał wskazującym palcem w skroń. — Niech pan dobrze zapamięta. Nigdy żaden dwór nie przyjąłby dokumentu adresowanego do księcia dziedzica, który by nie żył. To byłoby nie do pomyślenia. — Profesor zrobił przerwę. — A teraz, proszę zwrócić uwagę na to, co za chwilę powiem. Istniał prawdziwy testament, jednak zniknął. Niektórzy historycy, tak jak Hiszpan Salvador de Madariaga, uważają, że hipoteza falsyfikacji jest prawdopodobna, choć przyznają, że fałszywy testament zawiera wiele z zagubionego oryginału. — Sprawdził notatki. — Madariaga pisze: „Większość klauzul wykonawczych jest prawdopodobnie, ale tylko prawdopodobnie zgodna. Między innymi dziwny podpis z inicjałami w formie piramidy”. Takie samo zdanie ma historyk Luis Ulloa, który odkrył, że fałszywa kopia *Mayorazgo*, przedstawiona przez adwokata Verástegui, przeszła przez ręce Luísy de Carvajal, której mężem był Luís Buzón, człowiek znany z przekształcania dokumentów.

— A profesor Toscano? Jaka była jego opinia?

— Rzecz jasna, zgadzał się z sądem Madariagi i Ulloi. Wierzył w ewentualność sfalszowania na podstawie oryginalnego, zaginionego testamentu. Co do reszty, tylko falsyfikacja wyjaśnia poważny brak konsekwencji w tekście. Jak już wspominałem, wszyscy chcieli być spadkobiercami Kolumba. To zupełnie naturalne, że w okolicznościach, w których wchodzi w grę tyle pieniędzy, mnożą się fałszerze. Pozwalając sobie na pewne domysły, można przypuszczać, że jakiś zręczny fałszerz, prawdopodobnie ów Luís Buzón, sporządził nowy testament. Z technicznego punktu widzenia stworzył produkt dobrej jakości: poprawnie skopiował bardziej neutralne części dokumentu, włącznie z głównymi klauzulami wykonawczymi, jednak nie dostrzegł w wytworzonym przez siebie tekście pewnych anachronizmów wynikających z braku wiedzy. Zaliczały się do nich na przykład zwroty Kolumba do nieżyjącego księcia, nierozważne podanie danych geograficznych wyraźnie zaczerpniętych z bulli papieskiej, -

oparcie się na postanowieniach traktatu z Alcácovas lub Toledo oraz niedopuszczalne omińnięcie jednego z monarchów przez użycie liczby pojedynczej w wyrażeniu „Wasza Wysokość”. Szczegół ten w epoce Władców Katolickich odebrany byłby jako obraza, ale po śmierci przynajmniej jednego z nich nie stanowił już problemu. — Tomás wykonał ręką gest, jakby chciał dodać coś jeszcze. — Co więcej, dziwne jest dla nas to, że Kolumb zmarł w roku tysiąc pięćset szóstym, a testament nie pojawił się od razu. Jeżeli ktoś sporządza testament, to chce, by jego wolę poznano i uszanowano bezpośrednio po jego śmierci, prawda? Najwyraźniej jednak ów *Mayorazgo* nie pojawił się w normalnym czasie, to znaczy bezpośrednio po śmierci autora, ale znacznie później. Ujrzał światło dzienne wtedy, kiedy jego istnienie było korzystne dla jednej ze stron, nawet pomimo poważnych błędów i braku konsekwencji. Jak możemy w takich okolicznościach wierzyć w to, co jest tutaj napisane, he? W ogóle. Amerykanin wzruszył ramionami z rezygnacją.

— Zapomnijmy więc o *Mayorazgo*. Czy są jeszcze jakieś dokumenty?

— To wszystkie, które zostały opublikowane w danej epoce, zwłaszcza w szesnastym wieku.

— I wśród nich jedynie kronika Portugalczyka Piny nie przedstawia problemów wiarygodności?

— Nie dostrzegłem takowych, chociaż przypominę panu, iż notatki profesora Toscano na marginesie sugerują, jakoby coś tam znalazł.

Kelner wrócił z kawą, którą postawił przed gośćmi.

— To już wszystko, jeżeli chodzi o dokumenty? — zapytał Moliarti, mieszając cukier w aromatycznym napoju.

— Są jeszcze inne, które przypuszczalnie pochodzą z owego okresu, chociaż poznano je o wiele później, dokładnie w dziewiętnastym wieku.

— A co mówią owe dokumenty?

— Postaram się je streścić. — Tomás schował do teczki część odbitek kserograficznych i wyjął inne. — W tysiąc siedemset trzydziestym trzecim roku pewien ksiądz z Modeny, Ludovico Antonio Muratori, opublikował dzieło pod tytułem *Rerum Italicarum Scriptores*. Zawiera ono dwa niespotykane dotychczas teksty. Pierwszy z

nich to *De Navigatione Columbi...* sporządzony prawdopodobnie w tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym dziewiątym roku przez kanclerza Banku Świętego Jerzego, Antonia Galla. Drugi to praca Bartolomea Senaregi, najwidoczniej zainspirowanego Gallem, w której określa Krzysztofa jako *scarzadore*, raczej mało sympatycznym epitetem. Rzecz jasna, ważniejszy jest tekst autorstwa Galla. Ówczesny kanclerz banku głosił, że Krzysztof był najstarszy z trzech braci, drugi w kolejności pojawił się Bartolomeu, a trzeci Jacobo. Jak podaje Galio, w wieku dojrzewania, *et pubere deinde facti*, Bartolomeu udał się do Lizbony, a potem za jego przykładem poszedł Krzysztof. Później, w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku, wydano *Annali della Repubblica di Genova* genueńczyka Filippa Casoniego, które to dzieło zawiera drzewo genealogiczne rodu Krzysztofa Kolumba, tkacza jedwabiu. Nadal pozostawał wciąż nierozwiązany problem, czy odkrywca Ameryki nazywał się Kolumb, czy Colom bądź Colón. Casoni próbował znaleźć z tego wyjście i uznał, że forma „Kolumb” to rodzaj deklinacji nazwiska Colom. Według niego forma „Kolumb” oznaczała w istocie „z rodziny Colomów”. Był to odważny krok, który otworzył drzwi prawdziwemu zalewowi dokumentów. W rezultacie pojawiły się niezliczone teksty oficjalne. W całej Ligurii, a szczególnie w Savonie, Cogoleto i Nervi mnożyły się papiery. Wszędzie gromadzono dowody związane z rodziną Kolumbów, włącznie z informacją o wykonywanych przez nich zawodach. Wiele z tych dokumentów zebrano w tysiąc osiemset dwudziestym trzecim roku w dziele *Codice Colombo-Americano*, podczas gdy inne, a szczególnie akty notarialne, weszły w skład *Raccolta di documenti et studi...* zbioru wydanego w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym drugim roku z okazji czterechsetnej rocznicy wyprawy z tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego drugiego roku. W tysiąc dziewięćset czwartym roku gazeta akademicka „Giornale Storico e Letterario della Liguria” ogłosiła ostatnie odkrycie na temat Kolumba, podając wiadomość, iż pułkownik genueński Ugo Assereto znalazł akta notarialne datowane na dwudziesty piąty sierpnia tysiąc czterysta siedemdziesiątego dziewiątego roku, które rejestrują wyjazd Christophorusa Columbusa *die bestino demane pro Ulisbonna*, czyli dnia następnego do Lizbony. Dokument Assereta, jak dzisiaj go określamy, ujawnia również, że

Kolumb oświadczył: *etatis annorum viginti septem vel circa*, czyli że ma około dwudziestu siedmiu lat, co ustala jego datę urodzenia na rok tysiąc czterysta pięćdziesiąty pierwszy.

— Chyba nie powie mi pan, że to wszystko nieprawda? — zapytał Moliarti, niemal przerażony.

— Nelson! — zawołał Tomás, śmiejąc się. — Czy myśli pan, że mógłbym wyrządzić panu taką krzywdę? Tak pan myśli?

— Owszem.

— Myli się pan. Nigdy bym panu tego nie zrobił.

Na twarzy człowieka z fundacji pojawił się wyraz nieśmiałej ulgi.

— *Good.*

— *Ale...*

— *Please...*

— ...zawsze należy ocenić wiarygodność danego dokumentu, spojrzeć na niego krytycznie, starać się zrozumieć jego intencje i zagwarantować, że nie istnieją w nim sprzeczności.

— Nie powie mi pan teraz, że w tych dokumentach występują anomalie...

— Niestety, tak.

Amerikanin odrzucił głowę do tyłu w geście zniechęcenia.

— *Fuck!*

— Przede wszystkim należy zastanowić się nad faktem, iż owe dokumenty nie pojawiły się wtedy, kiedy powinny się pojawić, ale o wiele później. Profesor Toscano zamieścił nawet w swoich notatkach przysłowie francuskie: *Le temps qui passe c'est l'évidence qu'efface*, co znaczy, że im więcej mija czasu, tym więcej znika dowodów. Tutaj najwyraźniej mamy sytuację odwrotną. Pierwszy problem dotyczy tekstu Antonia Galla. Jeżeli rzeczywiście został napisany w tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym dziewiątym roku, z jakiego powodu opublikowano go dopiero w osiemnastym wieku? Toscano podejrzewał falsyfikację z uwagi na to, że dane, które podaje Galio, są zbliżone do danych Giustinianiego, którego Hernando Colón określał jako kłamcę, kogoś, kto, zdaniem syna Kolumba, nie znał prawdziwej historii życia odkrywcy Ameryki.

— To są spekulacje.

— Oczywiście, że tak. Jednakże historia Galla jest identyczna z historią Giustinianiego, a Hernando stwierdził, iż wersja Giustinianiego jest fałszywa. W takiej sytuacji widzę jedynie dwie możliwości. Hernando kłamał, a zatem historia Giustinianiego jest prawdziwa i konsekwentnie to samo dotyczyć będzie wersji Galla. A według drugiej możliwości Hernando, syn odkrywcy Ameryki, wiedział o ojcu więcej niż obaj Włosi i stąd założenie, że obie historie są fałszywe. Każda z tych hipotez oparta jest na spekulacjach, ale tylko jedna z nich może być słuszna. Niezależnie od tego, że nie możemy jednak ślepo ufać tekstowi Galla.

— A akty notarialne? Są oficjalnymi dokumentami...

— Rzeczywiście, są. Ale dowodzą, że w Genui żył niejaki Krzysztof Kolumb, tkacz jedwabiu, który miał braci Bartolomeu i Jacoba, a jego ojciec, Domenico, prządzł wełnę. Być może to prawda, nikt tego nie kwestionuje. Mimo to wspomniane akty nie potwierdzają, że ów tkacz jedwabiu z Genui był odkrywcą Ameryki. Istnieje tylko jeden dokument, który jasno wskazuje na taki związek. — Noronha zademontrował kilka kserokopii. — Chodzi o Dokument Assereta. Istniały wcześniej teksty Savony, opublikowane w tysiąc sześćset drugim roku przez *Salineria w jego Adnotationes... ad Cornelium Taciturn*, które sugerowały taką zależność, ale nie były dostatecznie jasno sformułowane i wykazywały się pewnym brakiem konsekwencji. Natomiast Dokument Assereta w sposób przejrzysty ustala relację pomiędzy Genuieńczykiem Kolumbem a iberyjskim Colomem, odnotowując datę wyjazdu tkacza jedwabiu do Portugalii.

— Niech zgadnę — skomentował Moliarti z przekąsem. — W tym dokumencie istnieje problem wiarygodności.

— A tak — odparł Tomás, ignorując ironiczny ton. — Zróbmy wysiłek, by nakreślić cały problem. W tym celu musimy pamiętać, że dokumenty wspominające o Kolumbie w Genui zaczęły się pojawiać jak grzyby po deszczu dopiero w dziewiętnastym wieku. Wcześniej istniały pewne oświadczenia, bardziej lub mniej mgliste, z licznymi anomaliami. Ale prawda była taka, że nikt w Genui nie znał Kolumba. Francesco Marchesi i Giovanni Grimaldi, ambasadorzy genuieńscy, którzy znaleźli się w Barcelonie w roku tysiąc czterysta dziewięć-

dziesiątym trzecim podczas powrotu żeglarza z pierwszej podróży do Nowego Świata, zanieśli nowinę do rodzinnego miasta, zapominając o drobnym szczególe, o czymś pozornie bez znaczenia: o fakcie, że admirał był ich ziomkiem. W Genui również nikt nie zwracał na ów fakt uwagi. Czy to ma jakiś sens? Ale to nie wszystko. Jak już wspominałem, hiszpański syn Kolumba, Hernando, trzykrotnie udał się do regionu Genui w poszukiwaniu mglistych śladów pochodzenia ojca i nie znalazł tam ani jednego członka rodziny. Żadnego. Akty notarialne zaś ujawniają, że w tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym drugim roku, w czasie odkrycia Ameryki, nadal żył ojciec tkacza jedwabiu Krzysztofa Kolumba. Ale nie ma żadnej wiadomości o tym, by on lub jakakolwiek jego rodzina, sąsiedzi, przyjaciele czy znajomi uczcili lub chociaż zauważyli wyczyn swojego krajana. Ponadto dokumenty oficjalne z Genui wskazują, że Domenico umarł w tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym dziewiątym roku, w biedzie, a wszystkie jego dobra objęte były hipoteką. W niewiarygodny sposób odkrywca Ameryki zignorował ojca będącego w nędzy, a także po jego śmierci. Wierzyście Domenica również nie domagali się od jego sławnego syna spłaty długów zmarłego. W co jeszcze trudniej uwierzyć, kronikarze i historycy genueńscy szesnastego i siedemnastego wieku stoicko zignorowali, że odkrywca Ameryki był ich ziomkiem. W dziele *Di Uberto Foglietta, della Repubblica di Genova* autor Uberto Foglietta dokonuje spisu sławnych mieszkańców Genui. Zarówno w pierwszym wydaniu z Rzymu, z tysiąc pięćset pięćdziesiątego dziewiątego roku, jak i w drugim z Mediolanu, z tysiąc pięćset siedemdziesiątego piątego roku, na liście osobistości miasta nie widnieje nazwisko Cristoforo Colombo, Cristóvam Colom ani nawet Cristóbal Colón. Pojawiają się jednak inni pomniejsi genueńscy żeglarze, tacy jak Biagio d'Assereto, Lázaro Doria, Simone Vignoso i Ludovico di Riparalo. Historyk genueński Federico Federici, żyjący w siedemnastym wieku, również kompletnie zignorował odkrywcę Ameryki. To samo przydarzyło się innemu historykowi z Genui następnego stulecia, Gianbattistie Richeriemu. W tysiąc siedemset dwudziestym czwartym roku Richeri wydał *Foliatum Notariorum Genuensium*, którego oryginał znajduje się w Biblioteca Comunale Berio di Genova. Owo dzieło mówi nam o osiemnastu Kolumbach w mieście

w latach tysiąc dwieście dziewięćdziesiąt dziewięć-tysiąc pięćset dwa, lecz żaden z nich nie nosił imienia Domenico albo Cristoforo. Z pewnością obaj istnieli, czego dowodzą akty notarialne z *Raccolta*, ale najwyraźniej historycy genueńscy nie uznali ich za osoby godne uwagi. Na tyle nieistotne, że w pochodzących z owych czasów listach uczniów szkół miejskich, listach, które zachowały się do dziś, nie figuruje imię Cristoforo, pomimo że wielki żeglarz władał łaciną, czytał klasyków, znał matematykę i kosmografię. Jeżeli nie uczęszczał do szkół w Genui, to do jakich? Po zakończeniu słynnego *Pleyto Successorio*, procesu sądowego rozpoczętego w tysiąc pięćset siedemdziesiątym ósmym roku w celu określenia prawowitego spadkobiercy admirała po śmierci jego prawnuka, pojawili się w Hiszpanii liczni kandydaci z całej Ligurii. Wszyscy oni twierdzili, że są członkami rodziny Kolumba. — Tomás utkwiał w Moliartim wzrok. — A wie pan, ilu z nich pochodziło z Genui?

Amerikanin pokręcił przecząco głową.

— Nie.

Tomás złączył kciuk z palcem wskazującym, tworząc znak zero.

— Zero, Nelsonie. — Pozwolił odpowiedzi zawisnąć w powietrzu niczym brutalnemu echu gongu. — Ani jeden. Żaden z kandydatów nie pochodził z Genui. — Zrobił przerwę, by podkreślić dramatyczny efekt tego odkrycia. — Aż do dziewiętnastego wieku, kiedy to wszędzie zaczęły pojawiać się dokumenty. Należy jednak zrozumieć, że w owym okresie badania historyczne niebezpiecznie mieszały się z interesami politycznymi. Włosi znajdowali się w trakcie procesu zjednoczenia i afirmacji narodowej pod przewodnictwem genueńczyka Giuseppe Garibaldiego. Wtedy to pojawiły się pierwsze hipotezy, że Kolumb ostatecznie mógł nie być Włochem. Było to nie do przyjęcia przez nowe państwo. Kolumb genueńczyk był symbolem wewnętrznej jedności i dumą dla milionów Włochów mieszkających w nowo utworzonym państwie, a także dla tych, którzy rozpoczęli emigrację do Stanów Zjednoczonych, Brazylii i Argentyny. Debata przybrała charakter szowinistyczny. Właśnie w tym społeczno-politycznym kontekście hipoteza genueńska nagle znalazła się w niezłych tarapatach. Z jednej strony udało się zgromadzić wiele dokumentów potwierdzających, że istotnie w mieście żyli niejacy Cristoforo,

Domenico, Bartolomeu i Jacobo, jednak nie było sposobu na jasne określenie związku tych osób z odkrywcą Ameryki. Co więcej, takie relacje rodzinne wydawały się absurdalne, biorąc pod uwagę, że w przypadku Kolumba z Genui mówimy o nieuczonym tkaczu, a Kolumb iberyjski to admirał ze znajomością kosmografii, nawigacji i literatury. W zaistniałej sytuacji politycznej oraz w klimacie tworzących się we Włoszech więzów narodowych tego nie można było zaakceptować. Stawka była za wysoka. W sukurs przychodzi Dokument Assereta, dostarczając brakującego dowodu. Fakt, że tekst pojawia się właśnie w najbardziej potrzebnym momencie, bez wątpienia budzi podejrzenia. Tym bardziej że pułkownik Assereto po okazaniu tak upragnionego dowodu został udekorowany przez państwo włoskie orderem za wysokie zasługi na rzecz narodu oraz podniesiony do rangi generała.

— Tom, to wszystko może być prawdą, ale, wybaczyć, znowu są to domysły. Czy istnieje jakikolwiek element w aktach notarialnych znalezionych przez Assereta, który wzbudza podejrzenia?

— Tak, istnieje.

Obaj mężczyźni przyglądali się sobie przez dłuższą chwilę.

— Jaki? — zapytał w końcu Moliarti, przelękając z trudem.

— Data urodzenia Kolumba.

— Co w niej podejrzanego?

— Dwie anomalie — oświadczył Tomás. — Pierwsza, po raz kolejny, dotyczy *timingu* odkrycia Dokumentu Assereta. W tysiąc dziewięćsetnym roku odbył się Kongres Amerykanistów, na którym ustalono datę urodzenia Kolumba na rok tysiąc czterysta pięćdziesiąty pierwszy. Było to zwykłe założenie na podstawie tylko aktów notarialnych z tysiąc czterysta siedemdziesiątego roku, w których jest napisane... — Zajrzał do kopii akt uzyskanych w Genui. — *Cristoforo Colombo, figlio di Domenico, maggiori di diciannove anni*. — Nabażrał w notatniku jakieś liczby. — Tysiąc czterysta siedemdziesiąt minus dziewiętnaście daje tysiąc czterysta pięćdziesiąt jeden. Uczestnicy kongresu na podstawie tylko owego dokumentu notarialnego i bez dowodu na to, że Cristoforo Colombo i Cristóvão Colom to jedna osoba, określili, że był to rok urodzenia odkrywcy Ameryki. Przyjrzyjmy się, co zaobserwował historyk portugalski Armando Cortesão

odnośnie do Dokumentu Assereta. — Tomás wyjął z teczki grubą książkę pod tytułem *Cartografia e Cartógrafos Portugueses dos Séculos XV e XVI*. Wyszukał potrzebną mu stroną i przeczytał kilka linijek uprzednio podkreślonych ołówkiem: — „To nadzwyczajne, że tak ważny dokument, tak pasujący do testamentu Kolumba i innych znanych dokumentów oraz potwierdzający z taką dokładnością jego wiek, określony przez Kongres Amerykanistów w tysiąc dziewięćsetnym roku, znajdował się w wielokrotnie przeszukanym archiwum w Genui, archiwum, z którego korzystały setki dociekliwych badaczy okresu kolumbijskiego, szukając przede wszystkim w aktach notarialnych, i aż do owego momentu nikt nie zwrócił uwagi ani na niego, ani na tak ważną deklarację. Co za fatalny zbieg okoliczności! W tysiąc dziewięćsetnym roku Kongres Amerykanistów ustala rok tysiąc czterysta pięćdziesiąty pierwszy jako datę urodzenia Kolumba, a od razu w tysiąc dziewięćset czwartym roku pojawia się tekst z tysiąc czterysta siedemdziesiątego dziewiątego, w którym on sam mówi, że ma dwadzieścia siedem lat i wszystko zaczyna pasować do innych danych, dotychczas uznawanych za mało pewne, tak jak pobyt w Portugalii w tysiąc czterysta siedemdziesiątym ósmym roku”. Dziwnym zbiegiem okoliczności sławny portugalski historyk zaobserwował, nadal w odniesieniu do Dokumentu Assereta, że „przemysł fałszowania ›dawnych‹ dokumentów doszedł do takiej perfekcji, iż w tej dziedzinie nic już nas nie może zaskoczyć”. — Tomás spojrzął na swojego rozmówcę. — Jeśli chodzi o *timing*, drogi Nelsonie, nic więcej nie mam do powiedzenia. — Schował książkę Armanda Cortesão do teczki. — Przejdźmy teraz do samej daty. Dokument Assereta potwierdza z godną podziwu stanowczością datę wybraną niemal przypadkowo cztery lata wcześniej przez Kongres Amerykanistów. Ale stwierdzeniu, że rok tysiąc czterysta pięćdziesiąty pierwszy był rokiem urodzenia Kolumba, zaprzecza poważne świadectwo. — Przez chwilę patrzył na Moliartiego wyzywająco. — Czy wie pan, kto zakwestionował datę podaną przez Dokument Assereta?

— Nie mam najmniejszego pojęcia.

— Sam Krzysztof Kolumb. Dzisiaj wiemy, że odkrywca Ameryki przywiązywał szczególną wagę do tego, by nie poznano daty jego

urodzenia. Jego syn Hernando ujawnił jedynie, że ojciec rozpoczął życie żeglarza w wieku czternastu lat. Sam Kolumb natomiast zachowywał milczenie co do swojego wieku, chociaż dwukrotnie uchylił rąbka tajemnicy. — Tomás zajął do notatek. — W dzienniku pokładowym swojej pierwszej podróży w dniu dwudziestego pierwszego grudnia tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego drugiego roku napisał: *yo he andado veinte y três años en la mar, sin salir della tiempo que se haya de contar**. Na podstawie tego stwierdzenia można przeprowadzić proste obliczenia. — Chwycił za długopis i nabazgrał w notatniku kilka liczb. — Jeżeli do dwudziestu trzech lat na morzu dodamy osiem spędzonych w Kastylii, owym *tiempo que se haya de contar***, kiedy to czekał na zgodę na wyprawę, plus czternaście lat dzieciństwa, zanim rozpoczął życie żeglarza, to otrzymamy wynik czterdziestu pięciu lat. — Napisał równanie: $23+8+14=45$. — Innymi słowy, Kolumb miał czterdzieści pięć lat kiedy w tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym drugim roku odkrył Amerykę. Jeśli od tysiąca czterystu dziewięćdziesięciu dwóch odejmiemy czterdzieści pięć, zostaje nam tysiąc czterysta czterdzieści siedem. — Na papierze pojawiło się kolejne równanie: $1492-45=1447$. — Rok urodzenia wielkiego żeglarza. — Powrócił do notatek. — Później, w liście datowanym na rok tysiąc pięćset pierwszy i przepisany przez jego syna Hernanda, Kolumb oznajmia Władcom Katolickim, że „mija już czterdzieści lat, odkąd jestem w tej służbie”, czyli nawigacji. — Noronha powrócił do kartki, na której były poprzednie obliczenia. — Jeśli dodamy czterdzieści do czternastu lat dzieciństwa, otrzymamy pięćdziesiąt cztery. — Zanotował: $40+14=54$. — Więc Kolumb napisał list w tysiąc pięćset pierwszym roku, mając pięćdziesiąt cztery lata. Tysiąc pięćset jeden odjąć pięćdziesiąt cztery daje tysiąc czterysta czterdzieści siedem. — Pojawiło się równanie $1501-54=1447$. — Reasumując, w obu tych wzmiankach Kolumb dał do zrozumienia, że urodził się w tysiąc czterysta czterdziestym siódmym roku, cztery lata wcześniej niż podawał Dokument Assereta. — Uderzył wskazującym palcem we właśnie przeprowadzone obliczenia. — To jest, mój

* Spędziłem na morzu 23 lata, nie odliczając od nich czasu, który powinno się wziąć pod uwagę.

** Czasie, który powinno się wziąć pod uwagę.

drogi Nelsonie, owa nieściskość w Dokumentcie Assereta, która poważnie podważa jego wiarygodność. Poza tym, ów akt notarialny, mówiąc ściśle, nie jest niczym więcej niż protokołem bez podpisów deklarującego i notariusza. Nie podaje także imienia ojca Krzysztofa, czego nie spotyka się w podobnych dokumentach z owego okresu.

Moliarti westchnął ciężko. Oparł się o krzesło i patrzył na stojący przed nim mur obronny oraz na rozpościerające się za nim miasto. W dole dokładnie widoczny był Praca da Figueira i stojący na placu konny pomnik. Na horyzoncie rysowała się zielona plama parku Monsanto kontrastująca z zabudowaniami. Pojawił się kelner i pozostawił na stole talerzyk z rachunkiem, a kiedy się oddalił, parka ptaszków zaczęła wydziobywać okruszki chleba z chodnika biegnącego wzdłuż muru, zanesione tam przez wiatr. Ptaszki po chwili odleciały na prawie nagie gałęzie starego drzewa oliwnego i tam już pozostały, ćwierkając w duecie i improwizując urywaną melodię.

— Niech pan mi powie, Tom — wymruczał Amerykanin, przerywając milczenie, które między nimi zapadło. — Czy pana zdaniem Kolumb nie był Genuńczykiem?

Historyk chwycił za wykałaczkę i zaczął się nią bawić, przekładając między palcami na różne sposoby, kręcąc nią i obracając, jak miniaturowym akrobatą.

— Wydaje mi się jasne, że zdaniem profesora Toscano, Kolumb rzeczywiście nie był Genuńczykiem.

— To już zrozumiałem — powiedział Moliarti i wskazał palcem na swego rozmówcę. — Ale chciałbym znać pańskie zdanie.

Portugalczyk się uśmiechnął.

— Chce pan znać moje zdanie, tak? — Zaśmiał się cicho. — Dobrze, oto ono: nie można z całą pewnością stwierdzić, że Kolumb nie był genuńczykiem. Istnieje zbyt wielu świadków temu zaprzeczających: Anghiera, Trevisano, Gallo, Giustiniani, Oviedo, Las Casas, Ruy de Pina, Hernando Colón i sam Krzysztof Kolumb. Oczywiście niektórzy z wymienionych ograniczają się jedynie do cytowania siebie wzajemnie, a kłamstwo powtarzane nawet tysiąc razy nie staje się prawdą. Pewne jest również to, że na dokumentach, w których podane są te wszystkie źródła, nie można się całkowicie opierać z powodów,

które już wyczerpująco przedstawiłem. Faktem jednak jest, że wskazują na ten sam kierunek, więc powinniśmy zachować ostrożność. Powiedziałbym, że genueńskie pochodzenie Kolumba pozostaje punktem odniesienia, chociaż należy brać pod uwagę to, iż istnieją liczne i mocne argumenty przeciwko tej hipotezie. Prawdę mówiąc, jak już przed chwilą wyjaśniłem, niemożliwe jest poznanie historii życia Krzysztofa Kolumba, jeśli zaakceptuje się wszystkie wzmianki i dokumenty, które do nas dotarły, ponieważ wiele z nich jest z sobą sprzecznych. Jeśli jedno z nich będziemy uważać za prawdziwe, inne siłą rzeczy będą musiały być fałszywe. — Podniósł dwa palce. — I tutaj mamy do wyboru dwie drogi. Albo uznamy za prawdziwe wszystkie dokumenty i wzmianki potwierdzające hipotezę genueńską, pomimo ich nieściśłości, i wtedy uznamy, że Kolumb był Genueńczykiem, albo przyjmujemy liczne sprzeczności wobec tej hipotezy i w takim wypadku okaże się, że nim nie był. — Podniósł jeszcze jeden palec. — Istnieje jeszcze trzecia hipoteza, być może najbardziej prawdopodobna, która stanowi kompromis pomiędzy dwiema pierwszymi. Wymaga natomiast odważnego posunięcia w naszym rozumowaniu. Polega ona na tym, że dowody obu wersji są, w ogólnym rozrachunku, prawdziwe, choć w obu występują pewne nieściśłości i fałszerstwa.

— To mi się podoba.

— Podoba się panu, mój drogi, ponieważ jeszcze nie zdał pan sobie sprawy z konsekwencji takiego założenia — zauważył Tomás.

— Konsekwencji?

— Tak, Nelsonie. — Profesor ponownie pokazał dwa palce. — Trzecia hipoteza zakłada, że mamy do czynienia z dwoma Kolumbami. — Zrobił przerwę, by idea zdążyła okrzepnąć. — Dwóch. — Zgiął jeden palec. — Pierwszy z nich to Krzysztof Kolumb, Genueńczyk, niewykształcony tkacz jedwabiu, być może urodzony w tysiąc czterysta pięćdziesiątym pierwszym roku. — Zgiął drugi palec. — Pozostaje nam Cristóvão Colom albo Cristóbal Colón o nieokreślonej narodowości, znawca kosmografii i nauk nawigacji, posługujący się łaciną, admirał i odkrywca Ameryki, urodzony w tysiąc czterysta czterdziestym siódmym roku.

Moliarti spojrział na Noronhę zszokowany.

— Ale tak nie może być.

— Drogi Nelsonie, to hipoteza, którą trzeba wziąć pod uwagę. Proszę zauważyć, że owa trzecia możliwość również ma swoje słabe strony. Polegają one na tym, iż znalazły się osoby znające odkrywcę Ameryki, które, wierząc dokumentom niedającym stuprocentowej pewności, wskazywały na jego pochodzenie z Genui. Aby ta hipoteza była prawdziwa, należy przyjąć, że zawarte w tych dokumentach informacje są fałszywe. W końcu w całym tym zamieszaniu coś musi okazać się fałszem, czyż nie? Nie wszystko może być prawdą, tym bardziej że, jak już mówiłem, dane są wobec siebie sprzeczne.

— Czy uważa pan to za prawdopodobne?

— Bez wątpienia idea, że istniało dwóch Kolumbów, albo jeden Colom i jeden Kolumb, to ewentualność, którą należy brać pod uwagę. Mimo wszystko trzeba sobie uświadomić, że największą słabością tezy antygenueńskiej jest niemożność okazania dokumentów, które pozwolą na określenie pochodzenia Krzysztofa Kolumba, odkrywcy Ameryki. Ten problem nie występuje, jeśli przyjmuje się hipotezę genueńską niezależnie od jej wewnętrznych sprzeczności, braków i prawdopodobnie falsyfikacji. Dlatego wciąż pozostaje punktem odniesienia. Dopóki nie pojawi się jakiś wiarygodny dokument przypisujący Kolumbowi inną tożsamość, wersja o tkaczu jedwabiu, choćby wydaje się absurdalna, jest jedyną istniejącą i taką musimy przyjąć.

— Jestem pewien, że to ona jest prawdziwa — skomentował Molarti.

— Człowiek wiary z pana — stwierdził Tomás. — Jeżeli po tym wszystkim, co panu powiedziałem, nadal uważa pan, że wersja genueńska nie ma poważnych braków, w takim razie, mój drogi, w pana wypadku nie jest to kwestia rozsądku, ale czystej wiary.

— Być może — przyznał Amerykanin. — Jest jednak coś, co mi nie daje spokoju. Czy to dla pana nie dziwne, że profesor Toscano uważa hipotezę genueńską za fałszywą, nie opierając się na nowych danych?

— To dziwne, racja.

— W końcu, jak pan przed chwilą mówił, jeżeli omal nie porzucił badań nad odkryciem Brazylii, by zająć się tym kierunkiem, to przecież musiał coś znaleźć.

— Tak, to możliwe.

Przedstawiciel fundacji zmrużył oczy, analizując Portugalczyka, jak gdyby chciał zbadać szczerłość odpowiedzi na swoje następne pytanie.

— Jest pan pewien, że zrekonstruował wszystkie przeprowadzone przez profesora badania?

Noronha uniknął spojrzenia swojemu rozmówcy prosto w oczy.

— Eh... właściwie to, Nelsonie — wyjąkał — ja... ja jeszcze nie zdołałem odcyfrować szarady profesora.

Moliarti się uśmiechnął.

— Tak mi się wydawało. Czego panu brakuje?

— Odpowiedzi na to pytanie.

Wyjął z portfela wymiętoszony świstek i pokazał go.

CO MÓWI ECO W FOUCAULCIE NA 545?

Moliarti założył okulary i pochylił się nad papierem.

— „Co mówi Eco w Foucaulcie na pięćset czterdzieści pięć?”. Matko Boska! Nic nie rozumiem. — Spojrzał na Tomasa. — A co to znaczy?

Portugalczyk wyjął z teczki powieść z tytułem *Wahadło Foucaulta* widocznym na okładce.

— Najwyraźniej profesor Toscano odnosił się do tej książki Umberta Eco.

Amerykanin wziął do ręki dzieło, przejrzał je, a potem ponownie spojrzął na świstek z dziwnym pytaniem.

— Ee! — wykrzyknął. — Odpowiedź jest prosta. Wystarczy sprawdzić, co jest na stronie pięćset czterdziestej piątej.

Tomás roześmiał się.

— A myśli pan, że już na to nie wpadłem?

— Tak? I co?

Historyk chwycił książkę, otworzył na stronie 545 i pokazał ją Nelsonowi.

— To scena, która rozgrywa się na cmentarzu. Opisuje pogrzeb partyzantów podczas okupacji niemieckiej pod koniec drugiej wojny światowej. Czytałem ją dziesiątki razy, szukając jakiegokolwiek śladu,

który naprowadziłby mnie na rozwiązanie zagadki. Niczego nie znalazłem.

— Mogę zobaczyć? — poprosił Moliarti, wyciągając dłoń. Wziął dzieło, ponownie założył okulary i przeczytał stronę 545 wolno i uważnie. Zajął mu to ponad dwie minuty, czas, który Tomás wykorzystał na kontemplację spokojnego widoku domów, rozpościerającego się na zewnątrz murów obronnych zamku. — Tu naprawdę... ee... nic nie ma — powiedział w końcu przedstawiciel fundacji.

— Już łamałem sobie głowę tą stroną i nie wiem, co myśleć.

— To prawda — mruknął Amerykanin, przyglądając się okładce. Przewrócił kilka pierwszych kartek i obserwował diagram z Drzewem Życia, opisujący dziesięć hebrajskich *sephirot*, znajdujący się na początku. Przeczytał motto i zawahał się. Dotknął ręką ramienia Noronhy. — Tom, widział pan ten cytat?

— Który?

— Ten tutaj. Niech pan zobaczy. — Zaczął głośno czytać: — „Dla was jedynie, synowie wiedzy i mądrości, napisaliśmy to dzieło. Badajcie księgę, skupcie się na tym zamiarze, który rozproszyliśmy po wielu miejscach, to zaś, co zakryliśmy w jednym miejscu, odsłoniliśmy w innym, aby zostało zrozumiane przez waszą mądrość”. To cytat z Heinricha von Nettesheima, *De occulta philosophia*. — Spojrzał na Portugalczyka. — Czy uważa pan, że tutaj może znajdować się jakiś trop?

— Być może. — Tomás chwycił książkę i przeanalizował motto. — „...to zaś, co zakryliśmy w jednym miejscu, odsłoniliśmy w innym”. Rzeczywiście, sprawia wrażenie jakiegoś podtekstu. Muszę się temu lepiej przyjrzeć. — Przekartkował powieść uważnie. Po motcie znajdowała się pusta strona, widniały na niej tylko cyfra 1 i słowo *Keter*. — *Keter*.

— A co to jest?

— To pierwsza *sephirah*.

— Co to jest *sephirah*”?

— W liczbie pojedynczej mówi się *sephirah*, a w mnogiej *sephirot*. To elementy strukturalne kabały żydowskiej. — Historyk przewrócił kartkę i spojrzął na pierwszą stronę tekstu. Na początku było kolejne motto, tym razem w języku hebrajskim, oraz po lewej jeszcze

mniejsza cyfra 1. Przeczytał cicho pierwsze zdanie powieści: „I wtedy zobaczyłem Wahadło”. Przekartkował książkę i sześć stron dalej zobaczył drugi podrozdział uwieńczony kolejnym mottem. Tym razem był to cytat z Franciszka Bacona, a po lewej widniała niewielka dwójka. Kolejne osiem przewróconych kartek i znowu biała kartka jedynie z cyfrą 2 i słowem *Hokmah*, które zidentyfikował jako drugą *sephirah*. Przeskoczył aż do końca książki i odszukał spis treści. Zawierał dziesięć *sephirot*, a w każdej z nich były liczne podrozdziały. W niektórych jedynie kilka, a w innych więcej. *Sephirot* o największej liczbie rozdziałów to 5, *Geburah*, i 6, *Tiferei*. Rzucił okiem na podrozdziały piątki. Były ponumerowane od 34 do 63. Przez chwilę odwrócił uwagę od książki i skierował ją ku wygniecionemu świstkowi z niedającym mu spokoju pytaniem:

CO MÓWI ECO W FOUCAULCIE NA 545?

Ponownie przestudiował podrozdziały *Geburah*, piątej *sephirah*, przeskakując wzrokiem od owej listy numerów do kartki z zagadką. Nagle coś, co dotychczas wydawało się nikłym światełkiem w otchłaniach ignorancji, przeobraziło się w oślepiającą jasność.

— Mój Boże! — wykrzyknął, niemal spadając z krzesła.

— Co? Co?

— Mój Boże, mój Boże!

— O co chodzi Tom? Co się stało?

Tomás pokazał Moliartiemu spis treści.

— Widzi to pan?

— Co?

Palec wskazywał na cyfrę 5 i stojące za nim słowo *Geburah*.

— To.

— Widzę, to piątka. I co z tego?

— Jaka jest pierwsza cyfra z pytania Toscano?

— Chodzi o pięćset czterdzieści pięć?

— Tak. Jaka jest pierwsza cyfra?

— No, pięć, oczywiście. No i co?

— A jakie są dwie pozostałe cyfry?

— Z pięćset czterdzieści pięć?
— No jasne, człowieku — zniecierpliwił się. — Jakże są dwie pozostałe cyfry?

— Cztery i pięć.

— Cztery i pięć, prawda? Czy w rozdziale piątym istnieje jakiś podrozdział o numerze czterdzieści pięć?

Nelson spojrzął na spis treści.

— Tak, jest tutaj.

— Więc, jak pan widzi, w rozdziale pięć, pod tytułem *Geburah*, istnieje podrozdział numer czterdzieści pięć. Mam rację?

— Tak.

— Więc to, co chciał powiedzieć Toscano, to nie było pięćset czterdzieści pięć, ale pięć przecinek czterdzieści pięć. Rozdział piąty, podrozdział czterdziesty piąty. Rozumie pan?

Moliarti otworzył usta.

— Rozumiem.

— Niech pan teraz spojrzy — poprosił znowu Tomás, pokazując mu jeszcze raz spis treści. — Jaki jest tytuł podrozdziału czterdziestego piątego?

Amerikanin odnalazł właściwy wiersz i przeczytał:

— „Stąd wynika zadziwiające pytanie”.

— Rozumie pan? — roześmiał się profesor. — „Stąd wynika zadziwiające pytanie”. A jakie to pytanie? — Jeszcze raz zademonstrował zgnieciony karteluszek. — „Co mówi Eco w Foucaulcie na pięćset czterdzieści pięć?”. — Podniósł prawą brew. — Tutaj mamy owo zadziwiające pytanie.

— Widzi pan! — wykrzyknął Moliarti. — Odkryliśmy! — Pochylił się jeszcze raz nad spisem treści. — Na której stronie zaczyna się ten podrozdział?

Sprawdzili w spisie treści i zlokalizowali stronę podrozdziału 45.

— To strona dwieście trzydzieści sześć.

Podniecony Amerikanin się roześmiał.

— Pamięta pan, o czym mówiło motto? — zapytał. — „To zaś, co zakryliśmy w jednym miejscu, odsłoniliśmy w innym”. — Mrugał oczami w nerwowym tiku. — Innymi słowy, to, co było ukryte na

stronie pięćset czterdzieści pięć, odsłonięto na stronie dwieście trzydziestej szóstej.

Tomás w podnieceni, gorączkowo przekartkował książkę i nerwowo szukał strony 236. Po chwili ją znalazł i przeanalizował uważnie tekst. Na górze strony, po lewej znajdowała się liczba 45 napisana małymi cyframi, a po prawej cytata Petera Kolosimo z *Terra senza tempo*.

— „Stąd wynika zadziwiające pytanie — przeczytał Tomás. — Czyżby Egipcjanie znali elektryczność?”

— Co to oznacza?

— Nie wiem.

Noronha obrzucił stronę zbolalym spojrzeniem. Tekst sprawiał wrażenie mistycznego, znajdowały się tam liczne odniesienia do mitycznych zaginionych kontynentów, Atlantydy i Mu, do legendarnej wyspy Avalon oraz kompleksu Majów w Chichén Itzá, a zaludniony był Celtami, Nibelungami oraz wymarłymi cywilizacjami Kaukazu i Indu. Jednak podczas lektury ostatniego akapitu serce mu podskoczyło, a oczy otworzyły się tak szeroko, że niemal zaszklily łzami.

— Mój Boże! — mruknął, przykładając dłoń do ust.

— Co? Co?

Podsunał Moliartiemu książkę i pokazał mu ostatni akapit na stronie.

— Niech pan zobaczy, co napisał tutaj Umberto Eco.

Amerikanin poprawił okulary i przeczytał wskazane mu zdania:

JEDYNIIE INTERESUJĄCY TEKST O KRZYSZTOFIE KOLUMBIE. AUTOR ANALIZUJE JEGO PODPIS I ZNAJDUJE W NIM NI MNIEJ, NI WIĘCEJ, TYLKO NAWIĄZANIE DO PIRAMID. ZAMIAREM KOLUMBA BYŁO ODBUDOWANIE ŚWIĄTYNI JEROZOLIMSKIEJ, JAKO ŻE PEŁNIŁ OBOWIĄZKI WIELKIEGO MISTRZA TEMPLARIUSZY NA WYGNANIU. PONIEWAŻ POWSZECHNIE WIA-
DOMO, ŻE BYŁ PORTUGALSKIM ŻYDEM, A WIĘC BIEGŁYM KABALISTĄ, STOSUJĄC TALIZMATYCZNE ZAKŁĘCIA, USPOKOIŁ BURZĘ I OPANOWAŁ SZKOR-
BUT.

— *Fuck!* — zaklął Mollarti.

XIII

Pukanie do drzwi nie było znajome. Madalena Toscano przyzwyczaiła się do rutynowych sposobów pukania swoich bliskich, takich jak niecierpliwe walenie starszego syna — czterdziestolatka, który zrobił doktorat z psychologii, jak nerwowe stukanie młodszego — miłośnika sztuki, który zarabiał na życie jako krytyk filmowy w tygodniku, a także miarowe pukanie pana Ferreiry — obwoźnego sprzedawcy, który regularnie zapelniał jej małą, starą lodówkę. Ale to wydało się jej inne, było szybkie i silne. Mimo że nastąpiło tylko raz, jakby ktoś za drzwiami próbował sprawiać wrażenie spokojnego, tak naprawdę maskowało tłumioną niecierpliwość.

— Kto tam? — zapytała staruszka swoim łamiącym się głosem. Owinięta w szlafrok pochylała głowę w stronę drzwi. — Kto tam?

— To ja — odpowiedział z drugiej strony męski głos. — Profesor Tomás Noronha.

— Kto? — nalegała podejrzliwie. — Jaki profesor?

— Ten, który stara się zrekonstruować badania pani męża, droga pani. Byłem już tutaj niedawno, nie pamięta mnie pani?

Madalena uchyliła drzwi, pozostawiając zamknięty łańcuch, i wyjrzała przez szparę. Taki miała zwyczaj. Lizbona nie była już, jak kiedyś, większą wsią, jak zwykła teraz mówić. Grasowali tu złodzieje i ludzie agresywni, z najgorszego rodzaju marginesu. Wystarczyło obejrzeć wiadomości w telewizji. Kobiętę paraliżował wręcz strach przed wszystkim, co dochodziło ze świata zewnętrznego, i każda ostrożność wydawała się jej niewystarczająca. Jednak po drugiej

stronie drzwi nie dostrzegła widomego zagrożenia. Z korytarza patrzył na nią mężczyzna o ciemnobrązowych włosach, krystalicznie zielonych oczach i uśmiechniętej twarzy, którą natychmiast rozpoznała.

— Ach, to pan! — wykrzyknęła z sympatią. Hałaśliwie zdjęła łańcuch i otworzyła drzwi. — Proszę wejść.

Przekroczył próg starego mieszkania. Przywitały go ten sam odór zamkniętego pomieszczenia i wilgoci, to samo słabe oświetlenie. Promienie słoneczne z trudnością przedzierały się przez grube zasłony, niezdolne do rozproszenia półmroku w kątach pokoju. Wyciągnął rękę, wręczając gospodyni białe zawiniątko przewiązane wstążką.

— To dla pani.

Madalena spojrzała na niewielki pakunek.

— A co to jest?

— Wypieki, które przyniosłem z ciastkarni. To dla pani.

— Och, mój Boże. Nie trzeba było zadawać sobie trudu...

— Ależ skąd. Z przyjemnością.

Pani Toscano poprowadziła Noronhę do pokoju gościnnego i otworzyła paczuszkę. W kartonowym pudełku znajdowały się ekler z polewą czekoladową, ciastko *duchesse* przybrane bitą śmietaną i nitkami z jajek w cukrze oraz *palmière*.

— Coś wspaniałego! — wykrzyknęła staruszka. Wyjęła z kredensu talerzyk i ułożyła na nim trzy ciastka. — Na co ma pan ochotę?

— Są dla pani.

— To dla mnie za dużo, nie zjem wszystkiego. Poza tym lekarz dałby mi popalić, gdyby wiedział, że napycham się takimi słodkościami pełnymi cholesterolu. — Podała mu talerz. — Niech pan się poczęstuje jednym, no proszę.

Tomás wziął *duchesse*, ciastko wyglądało naprawdę apetycznie i już dawno nie miał w ustach czegoś tak miękkiego i słodkiego. Madalena zdecydowała się na chrupiące *palmière*.

— Nie chciałbym się chwalić, ale to był bardzo dobry wybór, prawda? — zapytał, niemal oblizując palce.

— O tak, tak. Wspaniałe. Napije się pan herbaty?

— Nie, dziękuję.

- Już zaparzyłam — nalegała.
- Dobrze, skoro jest już gotowa...

Gospodyni poszła do kuchni i chwilę później wróciła z tacą w dłoni, na której stały zielony zaparacz, dwie filiżanki ze starej porcelany i metalowa cukierniczka. Postawiła tacę na stole. Obsłużyli się. Tomás nie przepadał za czarną herbatą, wolał bardziej delikatne napary, jednak wypił i dał do zrozumienia, że mu smakowała.

— Niedawno myślałam o panu — skomentowała pani Toscano, kiedy skończyła swoje *palmière*.

— Ach tak?

— To prawda. Nawet powiedziałam do mojego najstarszego syna: „Och, Manel, chciałabym jeszcze zobaczyć pracę twojego ojca wydaną w książce”. Opowiedziałam mu, że przyszedł tutaj jakiś chłopak z uczelni w poszukiwaniu dokumentów, a potem nie miałam od niego wiadomości.

— Właśnie teraz je pani przynoszę.

— Rzeczywiście. Znalazł już pan to, czego potrzebował?

— Mam prawie wszystko. Zostało mi tylko obejrzeć zawartość pani sejf.

— Ach tak, sejf. Ale ja już panu mówiłam, że nie znam klucza.

— To kod liczbowy, prawda?

— Tak.

— Kiedy byłem tu poprzednio, powiedziała mi pani, że znając kluczowe słowa, wystarczyłoby zamienić ich litery na cyfry, według kolejności alfabetycznej.

— Tak, tak właśnie zawsze robił mój mąż.

— Czyli jeden to „a”, dwa to „b”, trzy „c” i tak dalej.

— Właśnie tak.

— W alfabecie portugalskim?

— Alfabecie portugalskim?

— Tak, w alfabecie bez liter „k”, „y” lub „w”.

— A tak. Mój Martinho używał tylko naszego alfabetu, nie wtrącał obcych słów, jak robią to teraz w gazetach.

Tomás się uśmiechnął.

— Ja już znam słowa klucza.

- Zna pan? — zdziwiła się Madalena. — Skąd?
- Pamięta pani ten szyfr, który mi pani dała?
- Tę mieszaninę cyfr i liter?
- Tak.
- Oczywiście, że pamiętam. Mam to tutaj.
- Odcyfrowałem go i znam odpowiedź.
- Ach tak?
- Możemy sprawdzić?

Pani Toscano zabrała gościa do pokoju. Tak jak poprzednio, panował tam rozgardiasz. Łóżko było niepościelone, na podłodze i krzesła leżały rozrzucone ubrania, a w powietrzu unosił się ten sam kwaśny odór, być może trochę mniej intensywny niż wtedy, ale równie nieprzyjemny. Przykucnęli przy sejfie, a Noronha wyjął z teczki notatnik. Przekartkował go, aż w końcu znalazł potrzebne mu bazygroły. Słowa klucza były napisane na papierze, pod każdą literą znajdowała się odpowiadająca mu liczba.

J U D E U	P O R T U G U Ê S*
10 20 4 5 20	15 14 17 19 20 7 20 5 18

* Żyd portugalski.

Profesor pochylił się nad sejfem i wybrał numery. Nic się nie wydarzyło. Gość i gospodyni wymienili krótkie, rozczarowane spojrzenia. Tomás nie poddał się jednak. Wystukał tylko jeden ciąg liczb, odpowiadający wyrazowi *portugués*, mimo to drzwi sejfu się nie poruszyły.

- Jest pan pewien, że to właściwy klucz? — zapytała Madalena.
- Pewności nigdy nie mamy, prawda? Ale byłem przekonany, że ten był poprawny, tak.
- W jaki sposób doszedł pan do tego klucza?
- Odkryłem, że szyfr sam w sobie był pytaniem.
- Ach tak? Pytaniem? Jakim pytaniem?
- Pytanie zawarte w szyfrze brzmiało: „Co mówi Eco w Foucaulcie w pięć przecinek czterdzieści pięć? Po dłuższym namyśle uznałem,

że odpowiedź brzmi: *judeu português*, czyli Żyd portugalski. — Wzruszył ramionami, tłumiąc irytację. — Ale najwyraźniej to nie to.

— Czy nie ma jakiegoś synonimu? Czasami Martinho bawił się synonimami...

— Ach tak? — zdziwił się historyk. Poglaskał się po brodzie w zamyśleniu. — Hmm, od szesnastego wieku Żydów, którzy przeszli na chrześcijaństwo, nazywano *crístãos novom*, czyli nowymi chrześcijanami...

Wyjął z kieszeni płaszczka długopis, chwycił za notatnik i zapisał oba słowa. Potem, licząc na palcach, pod spodem zanotował odpowiadające im liczby.

C	R	I	S	T	Ã	O		N	O	V	O*
3	17	9	18	19	1	14		13	14	21	14

* Nowy chrześcijanin.

Wprowadził oba ciągi numerów do sejfu i chwilę odczekał. Ponownie nic się nie wydarzyło, drzwiczki nadal pozostawały zamknięte. Westchnął i przesunął ręką po włosach, zniechęcony i bez kolejnych pomysłów.

— Nie! — wykrzyknął, kręcąc głową. — Pudło.

###

Pałac wylaniał się z mgły, jak gdyby był zawieszony ponad chmurami i melancholijnie dryfował nad ponurym pogórzem Sintry. Fasada tego piętnasto wiecznego zabytku z jasnego kamienia prezentowała całą wspaniałość gotyku manuelińskiego. Była pełna sfinksów, skrzydlatych figur i dziwnych, przerażających zwierząt, w otoczeniu charakterystycznych dla tego manuelińskich węzłów lub ornamentów z motywem liści akantu. Teraz sprawiała mroczne, a nawet przerażające wrażenie wyklętej twierdzy, potężnego potwora wylaniającego się z szarych dymów mgły, która oblegała zieleń zbocza. Pałacyk błyszczał w szarym, rozproszonym świetle zamglonego popołudnia. Ze swoją koronkową dekoracją z wieżyczek, frontonów, kolumniek i wieżyc przypominał bajkowy zamek albo nawiedzony dom —

tajemniczą rezydencję. Miejsce nierzeczywiste i zagubione w czasie.

Stojąc ze wzrokiem utkwionym w zawieszonym we mgle pałacyku, Tomás nie zdecydował jeszcze, co ma myśleć o tym enigmatycznym miejscu. Chwilami Quinta da Regaleira wydawała mu się zakątkiem pięknym, transcendentalnym, wysublimowanym. Jednak pod gęstym płaszczem mgieł piękno emanujące z tego mistycznego miejsca przeobrażało się w coś przerażającego, ponurego, w schronienie dla cieni i w labirynt mroku. Poczul przeszywający ciało dreszcz i sprawdził godzinę na zegarku. Była piętnasta pięć — Moliarti się spóźniał. Posiadłość wydawała się opustoszała. O tej porze roku i w dzień powszedni z całą pewnością nie można było oczekiwać zwiedzających. Profesor gorąco pragnął, by Amerykanin się pospieszył. Nie miał ochoty długo pozostawać sam w miejscu, które choć niegdyś wydawało mu się przyjemne, teraz sprawiało tak niesamowite wrażenie.

Siedząc na ławce w przylegającym do pałacu parku, obok drogi łączącej posiadłość z ulicą, oderwał wzrok od niezwyklej budowli i przez chwilę obserwował stojący przed nim posąg. Przedstawiał Hermesa, posłańca Olimpu, boga elokwencji i sztuki oratorskiej, ale również bóstwa zwodniczego i pozbawionego skrupułów, które zabierało do piekła dusze zmarłych. Od jego imienia powstało określenie hermetyzm — symbol niedostępności. Noronha rozejrzał się wokół i pomyślał, że był to bez wątpienia odpowiedni patron Quinta da Regaleira, gdzie kamienie kryły w sobie tajemnice, a nawet wydawało się, że krążą one w powietrzu.

— *Hi*, Tom — powitał go Moliarti. Jego głowa stopniowo wyłaniała się ponad schodami prowadzącymi do ogrodu. — Przepraszam za spóźnienie, ale miałem kłopoty ze znalezieniem tego miejsca.

Profesor podniósł się z ławki i przywitał się z przybyszem z uczuciem ulgi. Wreszcie miał towarzystwo.

— Nie szkodzi. Wykorzystałem czas, by podziwiać krajobraz i odetchnąć tym czystym, górskim powietrzem.

Amerykanin rozejrzał się wokół.

— Co to za miejsce? Przechodzą mnie... *creeps*. Jak to się mówi po portugalsku?

— Ciarki.

— Tak. Ciarki mnie przechodzą.

— To Quinta da Regaleira, być może najbardziej ezoteryczne miejsce w całej Portugalii.

— *Really?* — zdziwił się Nelson, patrząc na opuszczony pałacyk. — Dlaczego?

— Na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku, jeszcze za czasów monarchii, posiadłość tę zakupił człowiek zwany Carvalho Monteiro. Znany był jako Monteiro od Milionów, ponieważ dzięki swoim interesom w Brazylii został jedną z najbogatszych osób w kraju. Należał również do najbardziej wykształconych ludzi swojej epoki. Zdecydował się przekształcić swoją posiadłość w miejsce pełne ezoteryki, alchemii, miejsce, gdzie mógłby zrealizować fantastyczny projekt wskrzeszenia wielkości Portugalii, opartej na mityczno-nacjonalistycznej tradycji epoki odkryć geograficznych, sięgający do korzeni piątego imperium. — Wskazał na pałacyk, który wylańiał się z mgły, milczący, majestatyczny, niemal groźny. — Niech pan spojrzy na tę architekturę. Co panu przypomina?

Moliarti przestudiował koronkową, srebrzystą konstrukcję pałacyku.

— Hmm — mruknął. — Być może Torre de Belém...

— Właściwie. Styl neomanueliński. Widzi pan, dworek został wybudowany w czasach odrodzenia, odnowy starożytnych wartości. W całej Europie rządził wtedy neogotyck. Gotyk portugalski wyrażał się w stylu manuelińskim, tym samym neogotyck mógł się przeobrazić tylko w styl neomanueliński. W tym miejscu podążono jeszcze dalej, usiłując wskrzesić także ducha ery wielkich odkryć geograficznych. Stąd znajdziemy tu liczne odniesienia do Ubogich Rycerzy Chrystusa, których w Portugalii zastąpił zakon templariuszy i odegrał fundamentalną rolę w wyprawach morskich. Rozsiane na tym terenie magiczne symbole, zgodnie z formułą alchemii, pochodzą z chrześcijaństwa templariuszy oraz klasycznej, renesansowej tradycji, głęboko zakorzenionej w Rzymie, Grecji i Egipcie. — Zrobił szeroki gest w lewą stronę. — Widzi pan te rzeźby?

Amerykanin przyjrzał się rzędowi milczących figur wyrzeźbionych w kamieniu, otaczających geometryczny francuski ogród.

— Tak.

— Przedstawiam panu Hermesa, boga, od którego pochodzi słowo „hermetyzm” — powiedział Tomás, wskazując na najbliższą rzeźbę. Potem, przesuając palcem w lewo, nazywał kolejne figury. — To jest Hefajstos, ułomny syn Jupitera i Juno, tamten to Dionizos, kolejny to Pan satyr przedstawiany zwykle z nogami kozła i rogami na głowie, jak gdyby był diabłem, choć tutaj, na szczęście, w bardziej ludzkiej postaci. Dalej stoją: Demeter, Persefona, Wenus, Afrodyta, Orfeusz i na samym końcu Fortuna. Wszyscy oni strzegą ezoterycznych sekretów tego miejsca. To strażnicy broniący dostępu do ukrytych tu, w Quinta da Regaleira, tajemnic. — Zrobił gest zapraszający. — Idziemy?

Obaj zaczęli podążać ścieżką, przy której ustawione były rzeźby, w kierunku głównej drogi prowadzącej w głąb ogrodu.

— Niech więc pan opowiada. Co znajdowało się w sejfie staruszki? Profesor pokręcił głową.

— Nie zdołałem się tam dostać.

— To nie był właściwy klucz?

— Najwyraźniej nie.

— Dziwne.

— Ale mam pewność, że jesteśmy blisko. Pytanie profesora Toscano bez jakichkolwiek wątpliwości kieruje nas do owego fragmentu *Wahadla Foucaulta*.

— Jest pan tego pewien?

— Absolutnie. Proszę zauważyć, że profesor Toscano badał pochodzenie Krzysztofa Kolumba, powątpiewając w jego korzenie genezyjskie. Rzeczony fragment jasno podaje, że Kolumb był portugalskim Żydem. Wystarczy dodać dwa do dwóch, prawda? — Przesunął ręką po włosach. — Moim zdaniem jednak popełniliśmy jakiś błąd w próbach sformułowania słów kluczowych.

Przeszli obok Orfeusza i Fortuny, a przy koronkowej altanie stojącej przy drodze dojazdowej skręcili w prawo i wspięli się na zbocze. Miejsce ogrodu geometrycznego zajął tu ogród romantyczny, gdzie harmonijnie współistniały obok siebie trawa, kamienie, krzewy i drzewa. Dostrzegli magnolie, kamelie, paprotniki, palmy, sekwoje oraz egzotyczne rośliny sprowadzone z całego świata. Wśród bujnej

zieleni zauważyli dziwny staw, zasnuty gęstą szmaragdowozieloną pokrywą. Po gładkiej powierzchni ślizgały się z melancholijnym kwakaniem dwie kaczki, otwierając pod sobą ciemne szczeliny, które natychmiast się za nimi zamykały, pokrywając się gęstą rzęsą.

— Jezioro Tęsknoty — oznajmił Tomás. Wskazał na dwa ogromne luki sąsiadujące ze stawem i odbijające się w wodzie, tworząc jakby ponure otwory jaskini. Porastały je łodygi bluszczu i paprocie. — To Grota Czystych, wypełniona wodą jeziora.

— Imponujące — skomentował Moliarti.

Przemierzyli ścieżkę graniczącą z oczkiem wodnym, otoczonym pozieleniałymi od mchu kamieniami. Przeszli przez niewielki most łukowato rozpięty ponad wodą i zasłonięty gigantyczną magnolią. Przed nimi pojawił się domek z elewacją inkrustowaną kwarcem i innymi kamyczkami. Wewnątrz była olbrzymia muszla napełniona czystą wodą.

— A to jest Egipskie Źródło — wyjaśnił Noronha, wskazując na odwróconą muszlę służącą za pojemnik. — Widzi pan te rysunki? — Pokazał dwa ptaki ułożone z kamyków na ścianie. — To ibisy. W mitologii egipskiej uosabiają Thota, boga słowa twórczego i tajemnej wiedzy, tego, który dał początek hieroglifom. Wie pan, kto jest jego odpowiednikiem na greckim Olimpie?

Moliarti pokręcił przecząco głową.

— Nie mam pojęcia.

— Hermes. Z połączenia idei Hermesa i Thota powstały tajemnicze traktaty ezoteryczne i alchemiczne o Hermesie Trismegistosie. — Tomás wskazał na ibisa po lewej, który, jak się zdawało, trzymał w dziobie gigantyczną dżdżownicę. — Ten ptak ma w dziobie węża, symbol *gnose*, czyli inaczej wiedzy. — Wykonał szeroki gest. — Pokazuję to panu, by wyjaśnić, że niczego nie umieszczono tutaj przypadkowo. Wszystko ma swoje znaczenie, motyw, ukryte przesłanie, zagadkę sięgającą zarania cywilizacji.

— Ale ibis nie ma żadnego związku z odkryciami geograficznymi.

— Tutaj, mój drogi Nelsonie, wszystko dotyczy wielkich odkryć. Jak już mówiłem, ibis symbolizuje tajną wiedzę. W Księdze Hioba, gdzie ów ptak uosabia zdolności przewidywania, czytamy: „Kto dał ibisowi mądrość?”. Czym w końcu był świat wieków piętnastego i

szesnastego, jeżeli nie miejscem tajemniczym, czekającą na interpretację wyrocznią, zagadką wymagającą rozwiązania? — Spojrzał do tyłu, na ściany pałacyku zawieszonych w chmurach, — Wielkie odkrycia geograficzne dotyczą templariuszy, którzy znaleźli w Portugalii schronienie przed prześladowaniami ustanowionymi dekretem we Francji i popieranymi przez papieża. W rzeczywistości templariusze przywieźli z sobą do Portugalii wiedzę konieczną do zrealizowania wielkich przygód zamorskich piętnastego i szesnastego wieku. Z tego powodu wokół odkryć geograficznych powstała kultura mistyczna, zakorzeniona w czasach klasycznych i idei odrodzenia człowieka. — Tomás podniósł cztery palce. — Istnieją cztery teksty, które stanowią podstawę do zrozumienia konstrukcji tego tajemniczego miejsca. Należą do nich *Eneida* Wergiliusza, jej portugalski odpowiednik *Luzjady* Luisa de Camõesa, *Boska komedia* Dantego. Miejsce czwarte zajmuje równie pełen zagadek i alegorii tekst ezoteryczny z epoki renesansu pod tytułem *Hypnerotomacha Poliphili* autorstwa Francesca Colonna. Wszystkie w jakiś sposób zostały uwiecznione w kamieniach Quinta da Regaleira.

— *I see.*

Portugalski profesor wskazał na ławkę obok Egipskiego Źródła.

— Może usiądziemy?

— Chętnie.

Podeszli do marmurowej ławki. Na jej krańcach przysiadły dwa kamienne psy w pozycji strażników, a w środku wyrzeźbiono stojącą postać kobiecą z pochodnią w ręku.

— To jest ławka pięćset piętnaście — wyjaśnił Noronha, zatrzymując się przed figurą. — Wie pan, co to znaczy pięćset piętnaście?

— Nie.

— To kod pochodzący z *Boskiej komedii* Dantego. Numer pięćset piętnaście przypisany jest wysłannikowi Boga, który pomści koniec templariuszy i ogłosi trzeci wiek chrześcijaństwa, wiek Ducha Świętego, który przyniesie światu powszechny pokój. — Zacytował z pamięci: — „W którym pięćset piętnaście, wysłannik Boga, zabije ładacznicę olbrzymem, z którym ona grzeszy”. — Uśmiechnął się. — To fragment *Czyśćca*, drugiej części *Boskiej komedii*. — Gestem wskazał

na marmurową ławkę. — Jak sam pan widzi, tak jak wszystko w Quinta da Regaleira, nawet ta ławka stanowi alegorię.

Usiedli na zimnym kamieniu. Amerykanin przyglądał się gargulcowi przycupniętemu z prawej strony i kobiecie z pochodnią w środku.

— A to kto?

— Beatrycze, postać, która zaprowadziła Dantego do nieba.

— A niech to! Tutaj rzeczywiście wszystko jest historią.

Tomás otworzył swoją nieodłączną teczkę i wyciągnął z niej notatnik.

— Tak jak panu mówiłem — wymruczał — mam tutaj jeszcze jedną opowieść dla pana.

— Ach tak?

Przekartkował notes i oparł się o twardą ławkę.

— Wzmianka o portugalskim pochodzeniu Kolumba w książce Umberta Eco zmusiła mnie do zmiany kierunku badań. Próbowałem doszukać się pewnych elementów, analizując przede wszystkim liczne kopie dokumentów sporządzonych przez admirała własnoręcznie. Odkryłem coś, co z pewnością pana zainteresuje. — Rzucił okiem na notatki. — Przede wszystkim należy powiedzieć sobie jasno, że debata o narodowości Kolumba nie może być przeprowadzona według aktualnego stanu odniesienia, gdyż w epoce żeglarza nie istniały państwa w ich teraźniejszym rozumieniu. Hiszpania na przykład zajmowała cały Półwysep Iberyjski. Portugalczycy uważali samych siebie za Hiszpanów i protestowali przeciw nadużywaniu tego określenia przez Kastyljczyków. Nie istnieli również portugalscy żeglarze w obecnym znaczeniu tych słów. Byli natomiast żeglarze w służbie króla Portugalii lub królowej Kastylii. Ferdynand Magellan, na przykład, był doświadczonym żeglarzem portugalskim, który opłynął świat we flocie kastyljskiej. Podczas tej wyprawy uważany był za Kastyljczyka.

— To trochę tak jak von Braun?

— Słucham?

— Von Braun był Niemcem, ale planował podróż na Księżyc jako Amerykanin.

— Tak, o to właśnie chodzi — zgodził się Tomás. — Drugą ważną kwestią, o której należy wspomnieć, jest fakt, iż do wielkiej debaty

o prawdziwej narodowości Kolumba doszło około roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego drugiego, w czasie czterechsetnej rocznicy odkrycia Ameryki, ale także w epoce ekstremalnego nacjonalizmu. Historycy hiszpańscy zaczęli znajdować nieścisłości w argumentach potwierdzających wersję genueńską. Postawili dwie hipotezy, według których Kolumb pochodził z Galicji bądź z Katalonii. Włosi, w okresie walczącego nacjonalizmu oraz afirmacji politycznej i kulturowej swojego nowo powstałego państwa, ostro wystąpili przeciw takiemu pomysłowi. Od tego czasu po obu stronach zaczęły się pojawiać sfałszowane dokumenty.

— To nie tak. Włochów interesowała jedynie prawda.

— Tak pan sądzi? — Tomás wyjął z teczki niewielką książkę zatytułowaną *Sails of Hope* i zaczął szukać zaznaczonego fragmentu. — Są to badania dokonane przez słynnego łowcę nazistów Simona Wiesenthala na temat prawdziwej tożsamości Kolumba. Wiesenthal opowiada o rozmowie z włoskim historykiem na temat prowadzonych poszukiwań i o otrzymanej od niego odpowiedzi. — Historyk przetłumaczył słowa Wiesenthala z włoskiego: — „To, co pan odkryje, będzie miało niewielkie znaczenie. Najważniejsze, aby Krzysztof Kolumb nie został Hiszpanem”. — Spojrzał na Moliartiego. — Inaczej mówiąc, dla włoskiego historyka kwestią zasadniczą nie było dociekanie prawdy, lecz nacjonalistyczna potrzeba zachowania za wszelką cenę włoskiej tożsamości Kolumba.

— Dobra, dobra! — Amerykanin się zaśmiał. — Czy nie to samo robi pan, tylko w odwrotnym kierunku?

— Myli się pan, Nelsonie. Jak już panu wyjaśniłem, moja praca polega na rekonstrukcji badań profesora Toscano, w tym celu zostałem zatrudniony. Ale jeżeli życzy sobie pan, bym przestał, proszę mówić od razu, bez wahania.

— Hmm — odburknął Moliarti. — Nie warto dramatyzować. — Przesunął ręką po czole, jak gdyby chciał uporządkować myśli. — Niech pan mi powie, Tom, naprawdę uważa pan za wiarygodne to, że Kolumb był narodowości hiszpańskiej?

— Nie, nie wydaje mi się. Rzeczywiście, papież Aleksander Szósty w liście do Władców Katolickich opisuje Kolumba jako „umiłowanego

syna Hiszpanii”, lecz prawda jest taka, że w owym czasie przez Hiszpanię nie rozumiano jedynie Kastylii i Aragonii, ale, jak już wspominałem, cały Półwysep Iberyjski z Portugalią włącznie. Jednakże takie słowa nie oznaczają wcale, że żeglarz tam się urodził, chociaż w pewnym stopniu taki wniosek się nasuwa. W tym wypadku można to zrozumieć tak, że chodzi o dziecko Hiszpanii, ale w pewnym sensie adoptowane.

— Tak samo jak von Braun jest przysposobionym synem Ameryki.

— A jest?

— Hmm... ee... w pewnym stopniu tak.

— Przy odrobinie dobrych chęci można i tak zinterpretować owe słowa. Ale przy odrobinie dobrych chęci można również... — Tomás mrugnął prowokacyjnie okiem. — Przejdźmy dalej. Dla nas najważniejsze jest to, że istnieją poważne powody, by sądzić, że Kolumb nie urodził się ani w Kastylii, ani w Aragonii. Pierwszy dokument potwierdzający obecność Kolumba w Hiszpanii nosi datę piątego maja tysiąc czterysta osiemdziesiątego siódmego roku i odnosi się do opłaty na rzecz „Cristóbala Colomo, extrangero”. Oprócz tego obce pochodzenie żeglarza zostało udowodnione nawet przez sąd hiszpański, kiedy to jego portugalski syn, Diogo Colom, wytoczył proces koronie o nieposzanowanie klauzul umowy zawartej pomiędzy Władcami Katolickimi a Kolumbem w tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym drugim roku. W owym procesie liczni świadkowie pod przysięgą stwierdzili, iż Kolumb mówił po hiszpańsku z obcym akcentem. Sąd ostatecznie odrzucił skargę, posługując się argumentem, że monarchowie, mogąc udzielać takich przywilejów obywatelom hiszpańskim, nie mogli uczynić tego w wypadku obcokrajowca, który nie przebywał w kraju co najmniej przez osiemnaście lat. — Zajrzał do notatek. — Wyrok sądowy znajduje się w kodeksie numer pięć-dwadsiedemnaście w bibliotece Eskorialu i według niego: *el dicho don Cristóbal era extrangero, no natural ni vecino del Reino, ni morador en él**. Tym samym Kolumb był obcokrajowcem.

* Rzeczony Cristóbal był obcokrajowcem, nie pochodzącym z królestwa ani w nim niezamieszkałym.

— Genueńczykiem — uściślił Amerykanin.

— Uparty pan jest — rzekł Tomás, śmiejąc się. — Być może rzeczywiście był genueńczykiem, któż to wie? Jednak należy rozpatrzyć jeszcze hipotezę portugalską, najwyraźniej popieraną przez profesora Toscano i przyjętą przez Umberta Eco. — Zrobił przerwę, szukając zapisków na następnej stronie notatnika. — Pierwszy poważny dowód przedstawił jeden z największych kosmografów i geografów piętnastego wieku, Paolo Toscanelli z Florencji. Ów wielki naukowiec prowadził korespondencję ze swoim portugalskim kolegą Fernamem Martinsem oraz z samym Kolumbem. Do szczególnie ciekawych należy list wysłany do Lizbony po łacinie, datowany na rok tysiąc czterysta siedemdziesiąty czwarty. Zwracając się do żeglarza, Toscanelli rozpoczyna słowami: „Otrzymałem twoje listy”, w liczbie mnogiej, dając do zrozumienia, że Kolumb zainicjował więcej niż jeden kontakt listowny, najprawdopodobniej w sprawie zachodniej drogi do Indii. List Toscanellego szczegółowo analizuje ewentualność takiej podróży, jednak dla naszych celów istotny wydaje mi się nasuwający się wniosek. Toscanelli stwierdza, co następuje. — Odkaslnął. — „Nie dziwi mnie więc, choć na ten temat można takie oraz jeszcze wiele innych rzeczy powiedzieć, że ty, cieszący się tak wielkim duchem oraz szlachetną narodowością portugalską, której zawsze chlubę przynosiły heroiczne czyny tak wielu znakomitych ludzi, przejawiasz tak wielkie zainteresowanie realizacją tej podróży”.

— I co z tego? — zapytał autorytarnie Moliarti.

— I co z tego? — powtórzył Tomás. — To z tego, że ów list jest bardzo odkrywczy! Proszę zwrócić uwagę, że zawiera co najmniej cztery ciekawe elementy. Po pierwsze, pokazuje, że Kolumb utrzymywał kontakty z jednym z największych naukowców swoich czasów.

— Nie widzę, co w tym tak szczególnego...

— Och, Nelsonie, przecież hipoteza genueńska mówi, że Kolumb nie był nikim innym, jak tylko prostym tkaczem jedwabiu. Jak to możliwe, aby taka osoba wymieniała listy z Toscanellim? — Przerwał na moment, wzmacniając swoje pytanie. — He? — Ponownie skierował uwagę na notatnik. — A oto kolejny problem. Toscanelli wychodzi z założenia, że jego rozmówca jest Portugalczykiem, pisząc: „ty,

cieszący się tak wielkim duchem oraz szlachetną narodowością portugalską”. Czyżby Włoch Toscanelli nie wiedział, że Kolumb był jego rodakiem? — Noronha pochylił głowę. — A może nie był? — Uśmiechnął się. — Trzeci element to fakt, że list wysłany do Lizbony datowany jest na rok tysiąc czterysta siedemdziesiąty czwarty.

— Więc?

— Nie widzi pan, jaką poważną kwestię to porusza? — Pomachał trzymaną w rękę kopią. — Drogi Nelsonie, proszę nie zapominać, co podaje dokumentacja notarialna, że tkacz jedwabiu Krzysztof Kolumb dotarł do Portugalii dopiero w roku tysiąc czterysta siedemdziesiątym szóstym. Jak to możliwe, by Toscanelli prowadził z nim korespondencję, otrzymując i wysyłając listy z Lizbony, jeżeli żeglarz dopiero dwa lata później pojawił się w tym mieście?

— Czy nie zaszła tam jakaś pomyłka?

— Nie było tam żadnej pomyłki. Inne źródło potwierdza obecność żeglarza w Lizbonie w tysiąc czterysta siedemdziesiątym czwartym roku. Historyk Bartolomé de las Casas, opisując spotkanie Kolumba z królem Fernandem w Segowii w maju tysiąc pięćset pierwszego roku, cytuje słowa admirała o tym, jak spędził czternaście lat na próbach przekonania korony portugalskiej do swojego projektu. Biorąc pod uwagę, iż żeglarz opuścił Portugalie w tysiąc czterysta osiemdziesiątym czwartym roku i odejmując od tej daty czternaście, otrzymujemy... — Nabazgrał obliczenia w notatniku. — Wychodzi tysiąc czterysta siedemdziesiąt. — Spojrzał na Amerykanina. — Więc jeżeli las Casas w tym szczególe jest poprawny, Kolumb musiał być w Lizbonie już w tysiąc czterysta siedemdziesiątym roku. Cztery lata później otrzymał w stolicy Portugalii list od Toscanello. Ale jak to możliwe, jeżeli, zgodnie z genueskimi aktami notarialnymi, w owym czasie jeszcze nie dotarł do Portugalii, co miało nastąpić dopiero w tysiąc czterysta siedemdziesiątym szóstym roku?

— Hmm... więc... to tylko szczegół...

— Nelsonie, w przeciwieństwie do tego, co mogłoby się wydawać, to nie jest drobny szczegół, coś bez znaczenia, ale bardzo poważny problem. Na tyle wielki, że historycy przez cały dziewiętnasty wiek debatowali nad tymi dziwnymi rozbieżnościami, nie dochodząc do

porozumienia co do tak prostej, wydawałoby się, kwestii, jak określenie dary przybycia Krzysztofa Kolumba do Portugalii. Dzieje się tak dlatego, że przez jakiś czas istniało jednocześnie dwóch Kolumbów. Jeden w Genui, tkający jedwab, a drugi, Colom, w Lizbonie, usiłujący przekonać portugalskiego króla do zachodniej drogi do Indii i prowadzący korespondencję z Toscanellim, który uważał go za Portugalczyka. Moliarti poruszył się na ławce, jakby było mu niewygodnie.

— Tak... ee... dalej. A czwarty element?

— List Toscanellego jest napisany po łacinie.

— Ach tak? Co to zmienia?

— Nelsonie — zaczął Tomás tonem, jak gdyby wyjaśniał coś dziecku — Toscanelli był Włochem, a Kolumb w założeniu również. Mając tę samą narodowość, naturalnie korespondowali w dialekcie toskańskim, języku używanym przez Włochów zamieszkujących różne miasta, a nie w języku martwym, prawda?

— Prawdopodobnie. Ale to możliwe, by obaj Włosi w owym czasie posługiwali się łaciną. Pochodzili z różnych miast, a dla ludzi wykształconych łacina była formą zademonstrowania swojej erudycji.

— Kolumb był erudytą? — Tomás się roześmiał. — A ja myślałem, że nie był nikim więcej niż tylko prostym tkaczem jedwabiu...

— Hmm... tak... — jękał się Moliarti. — Z pewnością gdzieś się nauczył łaciny.

— Całkiem możliwe, całkiem możliwe. Ale proszę pamiętać, że w owych czasach dostęp do edukacji dla klas niższych był utrudniony. Jeżeli nawet dzisiaj nie jest to łatwe, niech pan sobie wyobrazi wiek piętnasty...

— Mógł znaleźć jakiegoś protektora.

— Protektora?

— Tak, kogoś, kto mu sfinansował studia.

— Ale jak to możliwe, że nazwisko Krzysztofa Kolumba nie pojawia się na listach uczniów szkół genueńskich owych czasów?

— Ee... być może, uczył się gdzie indziej... ee... lub znalazł sobie tutora...

— Gdzie indziej? Tutor? — powtórzył ironicznie Tomás. — Możliwe, kto wie? Pozwoli pan jednak, że zwrócę uwagę na pewien fakt:

Kolumb, w założeniu Włoch, nie tylko w stosunku do Toscanellogo nie używał języka włoskiego. Prawda jest taka, że prawie nigdy nie napisał niczego po włosku.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Chodzi mi o to, że Kolumb był dziwnym Włochem, który nie pisał w ojczystym języku. Cała jego korespondencja jest po hiszpańsku albo po łacinie.

— Hmm... ee... myślę, że to naturalne. Z całą pewnością jego hiszpańscy adresaci, jak na przykład Władcy Katoliccy, nie znali włoskiego...

— Nelsonie — wtrącił Noronha powoli, lecz stanowczo. — Włoch Krzysztof Kolumb nigdy nie pisał po włosku, korespondując z rodakami. Ani razu.

Twarz Amerykanina przybrała pytający wyraz.

— Nie wierzę.

— I może pan nie dowierzać. — Profesor wyjął kserokopie rękopisów. — Widzi pan? — Pokazał jedną z nich. — To kopia listu Kolumba do Nicola Oderiga, ambasadora Genui w Hiszpanii, z datą dwudziesty pierwszy marca tysiąc pięćset drugiego roku. Oryginał znajduje się w archiwum w Palazzo Municipale di Genova. W założeniu jest to list Genueńczyka do innego genueńczyka. Ale proszę się przyjrzeć, napisany jest po hiszpańsku. — Podzielił słowo na sylaby, aby je uwydatnić, i przygotował kolejną odbitkę ksero. — W innym liście, do tego samego Oderiga, nadal po hiszpańsku, Kolumb prosi swojego genueńskiego odbiorcę, aby przetłumaczył wiadomość innemu krajanowi, niejakiemu Giovanniemu Luigiemu. — Spojrzał na zdumionego Moliartiego. — Zgodzi się pan, że to dziwne, prawda? Nie tylko Kolumb zwraca się do Genueńczyka po hiszpańsku, ale również, świadomy tego, że następny genueński odbiorca tego języka nie zna, zamiast wystosować list po włosku albo nawet w genueńskim dialekcie tak, aby zostać natychmiast przez owego drugiego odbiorcę zrozumianym, prosi Oderiga o przekład. To niespotykanie, nie sądzi pan? Tym bardziej jeżeli weźmiemy pod uwagę, że Kolumb był w założeniu genueńczykiem. — Jeszcze jedna kserokopia. — A to jeden z listów adresowanych do innego genueńskiego odbiorcy, w tym wypadku do instytucji, Banku Świętego Jerzego. Ponownie po

hiszpańsku. — Uśmiechnął się. — Inaczej mówiąc, mamy do czynienia z Genuńczykiem, który mieszkał w rodzinnym mieście do dwudziestego czwartego roku życia, ale nie napisał ani jednego zdania w języku włoskim lub w rodzimym dialekcie w listach skierowanych do adresatów swoich rodaków. — Ostatni dokument. — To jest list do kolejnego Włocha, ojca Gaspara Gorricia. I proszę nie zapominać, że pozostaje nam jeszcze korespondencja z Toscanellim. Ów list zaginął, ale wnioskując z odpowiedzi odbiorcy, odnosimy wrażenie, że Kolumb pisał do niego po portugalsku lub łacinie. Podsumowując, stajemy przed korespondencją do pięciu odbiorców włoskich, w tym trzech Genuńczyków, zredagowaną nieodmiennie w językach, z których żaden nie jest włoskim ani rodzimym dialektem. O czymś to świadczy, prawda?

— Nie rozumiem, Tom. W końcu sam pan przecież mówił, że nie sądzi, by Kolumb był Hiszpanem...

— I nie sądzę.

— Ale jednak twierdzi pan, że pisał po hiszpańsku bądź po łacinie.

— Tak powiedziałem, to prawda.

— Więc jeśli mówił po hiszpańsku, a Hiszpanem nie był, to dokąd pan zmierza? O ile mi wiadomo, w Portugalii w tym języku nie mówiono...

— Oczywiście, że nie.

— Więc na czym staniemy?

— Na tym, że jeszcze wszystkiego panu nie opowiedziałem.

— Chyba że tak.

— Pozwoli pan na wstępną uwagę — powiedział Noronha. — Osobiste dokumenty Kolumba z czasem zaginęły. Po śmierci jego portugalskiego syna, Dioga Coloma, korespondencja admirała trafiła do rąk żony Dioga, Marii, i jego syna Luisa, którzy zabrali wszystko na Antyle. Po ich śmierci listy powróciły do Hiszpanii i powierzono je mnichom z Las Cuevas. Potem nakaz sądowy podzielił je pomiędzy Muña Colona i rodzinę księcia Alby. Część z dokumentów przekazano później innemu księciu z Veragua, potomkowi admirała. Z tego czasu pozostały jedynie niektóre listy Kolumba do Dioga. — Podniósł lewą rękę. — Niech pan zwróci uwagę na to, co teraz powiem, Nelson,

to ważne. W całym tym procesie zagięły niemal wszystkie dokumenty. Nie zachował się dziennik Kolumba. Pozostaje nam jedynie rękopis jego kopii, wykonany w założeniu przez Bartolomé de las Casasa. — Podkreślił „w założeniu”. — Oczywiście, w tym zamieszaniu pojawiło się wiele falsyfikacji. W niektórych wypadkach fałszerze ograniczyli się do drobnych zmian w tekście w celu zdobycia argumentów dla swoich tez i prawdopodobnie zniszczyli demaskujące ich oryginały. W innych dochodziło do całkowitej fabrykacji dokumentów. W niektórych sytuacjach działo się to po to, by przywłaszczyć sobie pochodzenie Kolumba, a czasami w celach zarobkowych. Rozmawiałem ze znawcami odręcznych podpisów, którzy zwyczajowo nabywają rzadkie listy na aukcjach. Uświadomili mi, że gdyby pojawił się list napisany własnoręcznie przez Kolumba, którego autentyczność nie wzbudzałaby wątpliwości, to byłby wart około pół miliona dolarów. Ich zdaniem, pół żartem, pół serio, droższy byłby chyba tylko list podpisany ręką Jezusa Chrystusa. Sam pan zatem widzi, tak astronomiczne sumy zachęcały do falsyfikacji, i to jeszcze jak.

— Mówi więc pan, że to wszystko podróbki?

— Mówię, że prawdopodobnie wiele z listów przypisanych Kolumbowi jest sfalszowanych, częściowo lub całkowicie.

— Włącznie z korespondencją do Genuńczyków?

— Tak.

Moliarti się uśmiechnął.

— Więc rozwiązuje to problem, który przed chwilą mi pan przedstawił, prawda? Jeżeli te listy są podrobione, to fakt, iż napisano je po hiszpańsku, niczego nie udowadnia. To falsyfikacje...

— Te listy dowodzą wielu rzeczy, Nelsonie. Pokazują, że nawet fałszerze nie mieli odwagi pisać listów Kolumba do Genuńczyków po włosku, ponieważ zbyt podważałoby to ich wiarygodność. Dowodzą, że oryginały, na których się opierali, kiedy były jeszcze dostępne, również były napisane po hiszpańsku. I na koniec, dowodzą tego, iż rzeczywiście istniała konspiracja mająca na celu uczynienie z Kolumba Genuńczyka.

— Nonsens.

— Żaden nonsens, Nelsonie. Istniało wiele sfalszowanych dokumentów, w których celowo wstawiono nazwę Genua.

— Chce pan mi dać do zrozumienia, że akty notarialne znalezione w archiwach Savony i Genui zostały sfabrykowane?

— Nie, te prawdopodobnie są autentyczne. Tkacz jedwabiu, Krzysztof Kolumb, naprawdę istniał, co do tego nie ma wątpliwości. Falsyfikacje dotyczą jedynie niektórych dokumentów odnoszących się do żeglarza Cristóbal Colona, takich jak Dokument Assereta i owe listy admirała do Genujczyków. Proszę nie zapominać, Nelsonie, że wszystko, co wiemy o Kolumbie, napisali Włosi i Hiszpanie, w niektórych wypadkach niewinnie, lecz w innych niekoniecznie.

— Dobrze, dalej! — wykrzyknął Moliarti niecierpliwie, wykonując gest ponaglający w kierunku notatnika swojego rozmówcy. — Nie ma niczego, co z całą pewnością zostało napisane ręką Kolumba?

— Istnieją tylko dwie grupy tekstów, co do których można mieć absolutną pewność. Z uwagi na to, że zostały one przechowane przez osoby bądź instytucje odpowiednio zidentyfikowane, można dokładnie prześledzić ich losy. Pierwsza grupa to listy do syna Diogo.

— Te, o których pan przed chwilą wspominał?

— Tak. Druga grupa to notatki na marginesach posiadanych przez Krzysztofa Kolumba książek, które, ofiarowane przez jego hiszpańskiego syna Hernanda, znajdują się w Bibliotece Colombina w Sewilli. W tym wypadku jednak istnieje możliwość, że niektóre z zapisków zrobione były przez brata Krzysztofa, Bartolomeu. Mimo wszystko co do niektórych mamy pewność, że zostały zredagowane przez samego admirała.

— A w jakim języku są napisane te listy i notatki?

— Przede wszystkim w hiszpańskim, część po łacinie i dwa teksty po włosku, ale tylko jeden z nich z pewnością jest autorstwa Kolumba.

— Widzi pan? W końcu pisał po włosku, a reszta była po hiszpańsku i po łacinie. Jak widać, nie ma żadnych po portugalsku, prawda? Skoro Kolumb nie był Hiszpanem i nie pisał po portugalsku, mógł być zatem tylko Włochem.

Tomás utkwiał wzrok w Moliartim. Na jego ustach rysował się lekki uśmiech.

— Nelsonie — zwrócił się do niego pobłażliwym tonem.

Mięśnie na twarzy Amerykanina skurczyły się w nerwowym tiku.

Natychmiast zrozumiał z wyrazu twarzy profesora, że krył on w

zanadrzu jakiś zdradziecki szczegół, który gotów był zniweczyć jego tok rozumowania.

— Czyż nie tak?

— Nelsonie.

— Niech pan mówi.

— Wszystkie teksty zredagowane ręką Kolumba, czy to po hiszpańsku, łacinie, czy włosku, pełne są portugalizmów.

— Słucham?

— Teksty napisane przez Kolumba są wręcz upstrzone portugaliskimi naleciałościami. W rzeczywistości nie pisał on po hiszpańsku, ale po „portuszczańsku”, czyli tak, jak piszą Portugalczycy usiłujący wyrazić się w języku sąsiadów. Rozumie pan?

Moliarti oparł się o ławkę i zatopił wzrok w zielonej rzeście na Jeziorze Tęsknoty.

— To niemożliwe! — wykrzyknął, powoli cedząc słowa. Spojrzał na Tomasa pytająco. — Co chce pan powiedzieć, wspominając o tych naleciałościach?

— Portugalizmy to słowa lub wyrażenia typowe dla języka portugalskiego, ale zaadaptowane do innego języka. Jeżeli w Madrycie powiem: *olha, hombre, quiero apañar un carro para ir a el palacio**, nawet naśladowując hiszpański akcent, każdy mieszkaniec spojrzy na mnie i od razu rozpozna, że jestem Portugalczykiem. W języku hiszpańskim nie mówi się *olha* ani *carro*. To są przykłady portugalizmów. Poprawne odpowiedniki to *mira* i *coche*.

* Słuchaj, człowieku, chcę zatrzymać taksówkę, by dostać się do pałacu.

— Aha! — pojął Amerykanin. — A jakich portugalizmów używał Kolumb?

Tomás wybuchnął szczerym śmiechem.

— Myślę, że źle sformułował pan pytanie, Nelson. Prawidłowe powinno brzmieć: jakich portugalizmów nie używał Kolumb? Było ich bowiem tyle... — Mrugnął wesoło do swego rozmówcy. — Chodzi o to, że one nie należały do rzadkości, rozumie pan?

Moliartiemu nie było do śmiechu.

— Tak, ale proszę mi podać przykłady naleciałości, których używał.

Profesor przekartkował notatki.

— Zacznijmy od jedyne go wtrącenia w języku włoskim, co do którego mamy pewność, że zrobione zostało ręką admirała. Dotyczy to notatki nagryzmołonej na marginesie *Libro de Profecias* (Księgi Proroków), na początku psalmu 2.2. To razem dwadzieścia sześć słów, z których sześć to czternastowieczne wyrazy portugalskie lub hiszpańskie. Na przykład zamiast *il* występuje *el*, zamiast *degli* jest *delii*, *en* zamiast *in*, *semigliança* zamiast *somiglianza* i *como* zamiast *come*. W *Historii naturalnej* Pliniusza znajdujemy dwadzieścia trzy notatki na marginesach. Dwadzieścia z nich jest po hiszpańsku, dwie po łacinie i jedna po włosku. Istnieją wątpliwości, czy ta ostatnia była zrobiona przez Kolumba, czy przez inną osobę, ewentualnie przez brata admirała, Bartolomeu. Ważne jednak jest to, że mamy do czynienia z kolejną zabawną próbą pisania w języku włoskim, ponieważ autor zasypuje tekst czternastowiecznymi słowami hiszpańskimi oraz portugalskimi, takimi jak: *cierto*, *tierra*, *pieça*, *como el*, *y*, *parda* i *negra*.

— A pozostałe adnotacje?

— Głównie w sportugalizowanym hiszpańskim. — Powrócił do notatek. — Do tego stopnia, że badacz hiszpański Altolaguirre y Duval stwierdził, co następuje: „dialekt Kolumba z pewnością jest portugalski”. Inny Hiszpan, znany historyk i filolog Menéndez Pidal doszedł do tego samego wniosku, pomimo iż nie akceptował tego, że Kolumb mógłby być Portugalczykiem. Przyznał, że „jego mowa przypomina portugalski” i że „ta początkowa wymowa portugalska towarzyszy Admirałowi do końca życia”.

— Proszę mi podać przykłady.

— Zacznijmy od bardzo charakterystycznej dla portugalskiego cechy, którą jest wstawianie dyftongu *ie* do słów hiszpańskich. Nie wiem, czy panu wiadomo, ale wiele wyrazów portugalskich i hiszpańskich jest niemal identycznych. Różnica polega na tym, że w języku hiszpańskim pisze się je przez *ie*, a w portugalskim tylko przez *e*. W wypadku Kolumba można zaobserwować dwa zjawiska typowe dla Portugalczyków, którzy starają się mówić po hiszpańsku. Pierwsze z nich to opuszczanie z w dyftongu *ie*. Na przykład admirał pisał *se intende* zamiast *se entiende* i *quero* zamiast *quiero*. Drugie to

wstawianie *ie* w miejscach, gdzie ono w języku hiszpańskim nie występuje. Dotyczy to słowa hiszpańskiego *depende*, które Kolumb pisał *depiende*. Wszyscy Hiszpanie wiedzą, że tylko Portugalczycy w swoich pospiesznych próbach mówienia po hiszpańsku wtrącają czasem *ie* tam, gdzie go nie ma.

— A jeśli chodzi o słownictwo?

— Tak samo. Na przykład Kolumb pisał *algun*, kiedy w hiszpańskim jest *alguno*, a we włoskim *alcuno*. Mówił *ameaçaban*, podczas gdy Hiszpanie mówią *amenazaban*, a Włosi *minacciavano*. Inne słowo to *arriscada*, które po hiszpańsku brzmi *arriesgada*, a po włosku *rischiosa*. Jest jeszcze *boa*, *bon* i *buono*. Kolumb używał również portugalskiego słowa *crime*, którego hiszpańskim odpowiednikiem jest *crimen*, a włoskim *crimine*. Stosował też słowo *despois*, podczas gdy Hiszpanie mówią *después*, a Włosi *dopo* albo *poi*. Mówił *dizer*, natomiast Hiszpan powie *decir*, a Włoch *dire*. Admirał pisał *falar*, co jest odpowiednikiem hiszpańskiego *hablar* i włoskiego *parlare*. Jest jeszcze *perigo*, czyli hiszpańskie *peligro*, a włoskie *periculo*. Mamy także portugalskie *aberto* odpowiadające hiszpańskiemu *abierto*...

— Dobrze, dobrze. *Enough*. Już wystarczy. Zrozumiałem.

— Lista portugalizmów ciągnie się w nieskończoność, Nelson. W nieskończoność.

— To niczego nie dowodzi.

— Niczego nie dowodzi?

— Powody, dla których nie pisał po włosku, mogą być liczne. Na przykład florenetyński *volgare*, z którego wywodzi się toskański, w owym czasie był nowołacińskim dialektem włoskiego, używanym tylko przez *dotti*, czyli ludzi wykształconych. Kolumb do nich nie należał.

— Ach nie? Skąd więc znał łacinę i kosmografię?

— Ee... nauczył się później.

Tomás wybuchnął śmiechem.

— Z pewnością na kursie korespondencyjnym. Albo buszując po Internecie...

— Nieważne — uciął Moliarti.

— ...gdzie, zamiast odkrywać Amerykę, natknął się na stronę po łacinie i zaczął recytować deklinacje.

— Wystarczy! — nalegał Amerykanin, poirytowany sarkazmem Noronhy. — Wystarczy. — Odetchnął głęboko. — Powróćmy do kwestii języka, wydaje mi się istotna. — Odkasznął. — Musi istnieć jakieś logiczne wytłumaczenie na te anomalie, na fakt, że pisał w tym... w tym sportugalszczonym hiszpańskim.

— Logiczne wytłumaczenie? Jakie wytłumaczenie? — Profesor pochylił się nad stołem. — Wie pan, co powiedziano mi w Archivio di Stato di Genova?

— Tak...

— Powiedziano mi, że w owym czasie Włosi mieszkający za granicą używali między sobą przede wszystkim dialektu tokańskiego jako wspólnego języka.

— To prawda — potwierdził przedstawiciel fundacji.

— Dlaczego więc nie pisał listów po tokańsku do innych Włochów?

— Być może nie umiał...

— Ale przecież pan sam, a także ludzie z Archivio di Stato di Genova właśnie stwierdzili, że tokański był w owym czasie językiem używanym przez Włochów mieszkających poza krajem...

— Tak, ale może Kolumb stanowiął wyjątek, nie wiem. Być może mówił tylko genueńskim *volgare*. Skoro ten dialekt istniał jedynie w formie ustnej, nie mógł posługiwać się nim w korespondencji z innymi Genueńczykami, prawda?

— Jeśli chce pan znać moje zdanie, uważam to wyjaśnienie za zbyt wymyślne i folgujące wyobraźni. Zaczyna się od fałszywego stwierdzenia, że dialekt genueński nie istniał w formie pisanej. Zasięgnąłem informacji u profesora językoznawstwa, genueńczyka, który zagwarantował mi, że odmiana *volgare* w Genui stosowana była w piśmie już w średniowieczu. Istnieją zapisy genueńskiego *volgare* w tekstach prowansalskich poetów oraz w wielu wierszach z tego okresu, włącznie z poezją zainspirowaną *Boską komedią* Dantego. — Wystawił palce wskazujący i środkowy. — Stawia to przed nami dwie kwestie. Po pierwsze, Kolumb nie znał tokańskiego, ponieważ był człowiekiem bez wykształcenia, a władał jednak łaciną, którą znali ludzie uczeni? Po drugie, nie pisał w genueńskim *volgare*, używanym w mowie przez wszystkich rodaków oraz w piśmie przez

bardziej świątłych, a jednocześnie wyprodukował liczne teksty w sportugalszczonym hiszpańskim? — Pokręcił nosem. — Hmm... mój drogi, to wszystko pachnie mi podejrzenie.

— Jest jednak coś, czego nie wziął pan pod uwagę — zasugerował Moliarti.

— Co?

— Podobieństwo pomiędzy dialektem genueńskim a językiem portugalskim. Wiele z tych napisanych przez Kolumba słów, które uważa pan za portugalskie, może być genueńskimi.

— Tak pan myśli?

— Jestem tego prawie pewien.

— Ma pan więc pecha. — Tomás uśmiechnął się złośliwie. — Słyszałem już ten argument z ust obrońcy tezy genueńskiej i skonsultowałem się z genueńskim profesorem. Zacytowałem mu słowa portugalskie, których używał Kolumb, i poprosiłem o ich odpowiedniki w przekładzie na dialekt genueński. — Zajrzał do notatek. — Proszę zauważyć: słowo *algun* to w tym dialekcie *quarche*, *arriscada* to *reiszegösa*, *boa* i *bon* to *bönn-a* i *bön*, *crime* to *corpa*, *despois* to *doppö*, a *dizer* to *dì*. Jak pan widzi, z wyjątkiem *bön*, które przypomina słowo portugalskie, żadne inne użyte przez Kolumba nie jest podobne do wyrazów dialektu genueńskiego. — Podniósł palec wskazujący. — Co prowadzi nas do kwestii zasadniczej. Widzi pan, moje doświadczenie w kryptoanalizie mówi mi, że kiedy stajemy przed wyborem skomplikowanego bądź prostego wyjaśnienia określonej zagadki, prawdziwe zwykle bywa to drugie. Dlaczego po prostu nie dojść do wniosku, że Kolumb nie pisał w żadnym z włoskich języków, w tym i genueńskim, który w owym czasie występował już w piśmie, z logicznego powodu, ponieważ tak naprawdę nimi nie mówił? A skoro nie znał dialektów włoskich, łatwo o konkluzję, iż prawdopodobnie nie był Włochem.

— Był Włochem, co do tego nie ma wątpliwości. Był Genueńczykiem. Musi istnieć jakieś wytłumaczenie faktu, że nigdy nie pisał w żadnym z włoskich dialektów. Być może nie znał tokańskiego...

— Uparty pan jest, co? Teoria o braku znajomości tokańskiego, powszechnie używanego jako język komunikacji Włochów na obczyźnie, wydaje mi się szyta grubymi nićmi...

— Okay, przyznaję, że tak. Niech będzie, że prawdopodobnie znał toskański. Ale skoro we wczesnej młodości opuścił Genuę, kto wie, może zapomniał.

— Zapomniał toskańskiego? — Portugalczyk wybuchnął śmiechem. — Och, Nelson, no wiesz co? Do czego to podobne? — Potrząsnął głową z rozbawieniem. — Przypomina sobie pan, co przed chwilą mówiłem? Historyk i filolog hiszpański Menéndez Pidal zaobserwował, iż „ta początkowa wymowa portugalska towarzyszy Admirałowi do końca życia”.

— Tak.

— Mamy więc do czynienia z niespotykaną sytuacją. Kolumb żyje we Włoszech przez dwadzieścia cztery lata i ni z tego, ni z owego zapomina toskańskiego i ojczystego genueńskiego dialektu. Ten sam Kolumb mieszka zaledwie dziesięć lat w Portugalii i nigdy portugalskiego nie zapomina, posługuje się nim do końca życia. Fantastyczne, prawda? — Wskazał na Amerykanina. — Doprawdy, chce pan mnie przekonać, że miał słabą pamięć do wszystkich dialektów włoskich, które w założeniu były jego ojczystymi językami, natomiast doskonałą pamięć do języka portugalskiego, który miał być dla niego obcy? Tak?

— Ee... hmm... tak.

— Och, Nelsonie, doprawdy, to, co pan mówi, nie ma żadnego sensu! — wykrzyknął Tomás, ponownie kręcąc głową, teraz już z odrobiną niecierpliwości. — Cała ta gadka nie ma żadnego logicznego wytłumaczenia, to rozpaczliwa fantazja bez punktu oparcia. Niech pan dobrze uważa, może się zrozumiemy. Nasz Kolumb, według genueńskich aktów notarialnych, opuścił Genuę dopiero w wieku lat dwudziestu czterech. Dwudziestu czterech. W owym czasie, dla pańskiej informacji, mężczyzna w tym wieku nie był już młodzieńcem. Gdyby to było dzisiaj, odpowiadałoby to wiekowi trzydziestu pięciu lat albo i więcej. O ile mi wiadomo, nikt nie zapomina swojego języka, mając lat dwadzieścia cztery. Nikt. Tym bardziej że mieszkał ze swoim bratem Bartolomeu, który w założeniu również był Genueńczykiem. Kolumb miał więc szerokie możliwości konwersowania z nim w ojczystym języku. Jednakże jak sam pan przyznał, istnieje wysokie prawdopodobieństwo, że mówił po toskańsku, gdyż był to

język, w którym porozumiewali się Włosi przebywający poza krajem. Tyle że jedyna próba pisania po włosku, której podjął się Kolumb i co do której mamy pewność, wykazuje poważne braki w tej umiejętności. Faktem jest, że kiedy wyrażał się po hiszpańsku i brakowało mu słów, uciekał się do ich zastępowania nie wyrazami włoskimi, czego można było oczekiwać i byłoby naturalne dla Włocha, lecz słowami portugalskimi. Co więcej, jedyne teksty Kolumba pozbawione portugalizmów to te, które zostały skopiowane. Kopiści bowiem zastępowali je wyrażeniami hiszpańskimi.

— Tom, ale czy w tekstach hiszpańskich Kolumba nie było italia-
nizmów?

— Nie, nie było. Kiedy nie znajdował odpowiedniego hiszpańskiego słowa, najwyraźniej przychodziły mu do głowy tylko portugalskie odpowiedniki.

— Hmm...

— To nie wszystko. To jeszcze nie wszystko.

— Co?

— Nie miałem możliwości przeczytania wszystkiego, co powiedzieli o admirale ci, którzy go znali, przede wszystkim w procesach sądowych *Pleyto con la Corona* i *Pleyto de la Prioridad*, w których zdecydowano, że był on obcokrajowcem. Ale dwóch badaczy, których studiowałem, Żyd Simon Wiesenthal i Hiszpan Salvador de Madariaga, znalazło zdumiewające przekazy. — Ponownie zajął się notatek. — Wiesenthal pisze: „Świadkowie twierdzą, że Krzysztof Kolumb mówił po hiszpańsku z portugalskim akcentem”. Z kolei Madariaga również zauważa, że Kolumb „mówił zawsze po hiszpańsku z portugalskim akcentem”. — Spojrzał na Moliartiego i uśmiechnął się triumfalnie z błyskiem w zielonych oczach. Przypominał gracza w szachy, który właśnie wykonał szach-mat i przyglądał się wyrazowi twarzy zdezorientowanego przeciwnika. — Zrozumiał pan?

Amerikaninowi odebrało na dłuższą chwilę głos, wyglądał na zagubionego i nieobecnego.

— *Holy shit!* — wykrzyknął w końcu cicho, jak gdyby mówił sam do siebie. — Jest pan tego pewien?

— To właśnie napisali. — Noronha wstał z ławki i przeciągnął się, prostując zdrętwiałe mięśnie. — Jeżeli chodzi o Kolumba, wiele rzeczy

się nie zgadza. Wie pan, kto był pierwszą osobą, z którą admirał nawiązał kontakt, kiedy przybył do Hiszpanii, w założeniu w tysiąc czterysta osiemdziesiątym czwartym roku?

Moliarti również się podniósł i pochylił, próbując odprężyć ciało obolałe po długim bezruchu na kamiennym siedzisku. Ławka 515 była ładna, ale niewygodna.

— Nie mam pojęcia, Tom.

— Mnich, zwany Marcheną. Wie pan, jakiej był narodowości?

— Portugalskiej?

— Oczywiście — potwierdził profesor. — Zauważył pan, że kiedy udajemy się za granicę, zwykle poszukujemy osób naszej narodowości? Mógł przecież skontaktować się z genueńczykami lub innymi Włochami. W Sewilli ich nie brakowało, a nawet i w samym klasztorze, gdzie przebywał Marcheną. Jednak nie, spotkał się z Portugalczykiem.

— Ale! Przecież to niczego nie dowodzi.

— Naturalnie, że nie. Wciąż jednak jest ciekawe, prawda? — Tomás ruszył ubitą ścieżką, krążąc pomiędzy drzewami z Amerykaninem u boku. — Istnieje wiele pytań wymagających odpowiedzi. Na przykład, dlaczego Kolumb, jeśli był Genueńczykiem, ukrywał swoje pochodzenie? W końcu Hiszpania i Genua pozostawały w owym czasie w dobrych stosunkach. Nie widzę powodu, dla którego nie ufano by Genueńczykowi. Wręcz przeciwnie, kontakty z Genueńczykiem dodawały prestiżu. Sami Anglicy żeglowali po Morzu Śródziemnym pod osłoną genueńskiej bandery Świętego Jerzego, białego pola z czerwonym krzyżem, który później przyjęli jako flagę Anglii. Natomiast biorąc pod uwagę rywalizację pomiędzy Hiszpanią a Portugalją, obecność Portugalczyka na stanowisku dowodzącego floty hiszpańskiej mogła stanowić problem. To samo byłoby w odwrotnej sytuacji. Wystarczy zobaczyć, co wycierpiał Ferdynand Magellan, dowodząc flotą hiszpańską w swojej pierwszej podróży dookoła świata. Jako Genueńczyk Kolumb nie miał żadnego powodu, by trzymać w tajemnicy swoje pochodzenie. Ale będąc Portugalczykiem...

— To tylko spekulacje.

— Tak. Ale mimo wszystko prawda jest taka, że nie wiadomo dlaczego Kolumb ukrywał swoje pochodzenie. Proszę mi wierzyć,

pozostaje jeszcze wiele pytań. Na przykład, dlaczego nie używał włoskiego, tokańskiego czy *volgare* w korespondencji z Włochami, a dokładnie z Toscanellim? Dlaczego mówił po hiszpańsku z portugalskim akcentem? Jeśli był niewykształconym tkaczem jedwabiu, gdzie nauczył się łaciny i kosmografii? A jak należy rozumieć te dziwne nieścisłości w datach? Jak wyjaśnić fakt, że w tysiąc czterysta siedemdziesiątym czwartym roku według listu Toscanellogo znajdował się w Lizbonie, a notarialne akty genueńskie w tym samym czasie lokalizowały go bardzo daleko od Portugalii? Pozostaje tak wiele pytań, że równie dobrze mógłbym spędzić tu całe popołudnie na ich stawianiu. A odpowiedź na nie wymaga ogromnego wysiłku wyobraźni i znacznego udziału spekulacji.

Moliarti nie odpowiedział. Szedł z pochyloną głową i pochmurną twarzą, patrząc w ziemię, a ramiona mu opadły. Wspięli się na pochyłość, gdzie prowadziła ścieżka. Oddali się medytacji pogrążeni w tajemnicach wyłowionych przez Toscanę ze starych rękopisów, które czas przykrył grubą warstwą kurzu, pełnych dziwnych przemilczeń, sprzeczności i niedopowiedzeń. Purpurowe i żółte magnolie ubarwiały drogę wijącą się między pniami klonów, palm, sosen i dębów. Oddechali świeżym, lekkim powietrzem, uperfumowanym romantycznymi klombami róż i tulipanów, których kobiecey wdzięk kontrastował z cielesnym pięknem zmysłowych i lubieżnych orchidei. Senne popołudnie przedłużało się w powolnym rytmie pulsowania natury. Korony drzew szeleściły cicho, trącane spokojnym powiewem zstępującego z gór wiatru. Z bujnych gałęzi dochodziły wysokie i wesołe dźwięki. Były to radosne trele szczygłów pochłoniętych muzycznym pojedyńkiem z cicho nuącymi kolibrami i melodyjnie śpiewającymi skowronkami.

Nagle wąska ścieżka wśród zieleni otworzyła się na dziwną budowlę ogrodową, rodzaj fontanny przyściennej. Pośrodku, z rynienki wystającej z niszy tryskała woda do kamiennej czaszy. Nad nią rozpościerała się półkolistą formą pełnego łuku.

— Krynica Obfitości — oznajmił Tomás. — Ale tak naprawdę, niezależnie od nazwy, to coś o wiele bardziej dramatycznego. Ciekawe, czy pan zgadnie...

Amerikanin przeanalizował widoczny w zagajniku wodotrysk.

Łuk był zwieńczony wazonem z wyrzeźbionymi po bokach głową satyra i wizerunkiem barana.

— Czy to demony?

— Nie. Satyr to stworzenie, które przybywa na Wyspę Miłości, reprezentuje chaos. Baran jest symbolem równonocy wiosennej i reprezentuje porządek. Wazon z satyrem i baranem obok siebie oznacza *ordo ab chao*, czyli porządek po chaosie.

Nad fontanną znajdowała się muszla, pod którą, na mozaikowej ścianie, widniał rysunek wagi.

— Nie mam pojęcia, co to jest.

— To sąd, Nelsonie.

— Sąd?

— Tam jest tron sędziowski. — Wskazał na wielkie krzesło wyrzeźbione w kamieniu naprzeciw fontanny. — A tam waga sprawiedliwości. — Pokazał widoczny pod muszlą rysunek. — W symbolice templariuszy i masonów światło i mrok równoważą się podczas równonocy wiosennej, reprezentując sprawiedliwość i równość. Z tego powodu właśnie w tym dniu nowy wielki mistrz przyjmuje swoje obowiązki, siadając na tronie. Ta ściana jest odtworzeniem Świątyni Salomona w Jerozolimie. Nigdy nie słyszał pan o sprawiedliwości salomonowej? — Historyk podniósł wzrok na dwa piramidalne obeliski wieńczące ścianę po obu stronach łuku. — Obeliski łączą ziemię z niebem, niczym dwie kolumny u wejścia do Świątyni Salomona, prawdziwe filary sprawiedliwości.

Weszli na nowy szlak otwierający się wśród drzew i napotkali kolejną budowlę, jeszcze większą niż Krynica Obfitości. Był to Portal Strażników, strzeżony przez dwa trytony. Profesor poprowadził swojego gościa ścieżką wokół budowli i dalej zygzakami przez las porastający zbocze góry. Wspinali się aż do momentu, w którym dotarli do czegoś, co przypominało megalityczną konstrukcję z gigantycznych, omszałych bloków kamiennych. Noronha poprowadził Amerykanina do dolmenu, przeszli pod sklepieniami utworzonymi z opierających się na sobie skał, tak jak w Stonehenge, po czym Tomás popchnął jeden z wielkich kamieni. Ku zdumieniu Moliartiego blok obrócił się wokół własnej osi, zapraszając do wnętrza. Pokonali tajne przejście i ujrzeli przed sobą gigantyczną studnię. Przechylili się

przez balustradę i spojrzeli w dół. W głąb otworu prowadziły spiralne schody widoczne za kamiennymi arkadami. Widoczność przy schodzeniu zapewniało dochodzące z góry światło dzienne.

— Co to jest? — dopytywał się Nelson.

— To Studnia Inicjacji — wyjaśnił Noronha, a jego głos odbijał się echem od cylindrycznych ścian. — Znajdujemy się wewnątrz dolmenu, który jest reprodukcją megalitycznej budowli cmentarnej. To miejsce reprezentuje kres pierwotnej kondycji człowieka. Musimy zstąpić do studni w poszukiwaniu duchowości, w dążeniu do narodzenia na nowo jako człowiek oświecony. Wchodzimy do środka, tak jakbyśmy penetrowali własne wnętrze w poszukiwaniu naszej najgłębszej istoty. — Wykonał gest głową, zapraszając swego towarzysza, by za nim podążał. — Proszę za mną.

Zaczęli schodzić wąskimi schodami, okrążającymi spiralnie wnętrze studni, zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Podłoga była mokra, a ich kroki odbijały się echem od kamiennych stopni, wydając podobny do metalicznego dźwięk. Przypominał on odgłos skrobania i brzęczenia, który mieszał się z ćwierkaniem ptaków napływającym do przepastnej głębi przez niebiański otwór i pochłanianym przez tę ciemną, objętą spiralą dziurę. Ściany, jak również poręcz schodów pokryte były mchem i wilgocią. Przechylili się i spojrzeli w dół. Studnia wydawała im się teraz odwróconą wieżą. Tomásowi nasunęło się skojarzenie z wkopaną w ziemię wieżą z Pizy.

— Ile poziomów ma ta studnia? — zapytał Moliarti.

— Dziewięć — odrzekł profesor. — To nie jest przypadkowa liczba. Dziewięć to cyfra symboliczna, w wielu językach europejskich wykazuje podobieństwo do słowa „nowy”. W języku portugalskim mamy *nove* i *novo*, w hiszpańskim *nueve* i *nuevo*. Po francusku dziewięć to *nuef*, a „nowy” to *neuve*, po angielsku *nine* i *new*, po włosku *nove* i *nuovo*. A w języku niemieckim *neun* i *neu*. Dlatego cyfra ta oznacza przejście od starego ku nowemu. Dziewięciu było pierwszych templariuszy, rycerzy, którzy założyli zakon Ubogich Rycerzy Chrystusa, od którego pochodzi portugalski Order Rycerzy Chrystusa. Salomon w poszukiwaniu Hiram Abbifa, architekta świątyni, wysłał dziewięciu mistrzów. Demeter przemierzyła świat za córką

Persefoną w ciągu dziewięciu dni. W rezultacie dziewięciu miłosnych nocy z Zeusa narodziło się dziewięć Muz. Aby narodził się człowiek, potrzeba dziewięciu miesięcy. Jako ostatnia z liczb składających się z jednej cyfry dziewięć symbolizuje jednocześnie koniec i początek, stare i nowe, śmierć i odrodzenie, kulminację jednego cyklu i zaranie następnego. To znak, który zamyka koło.

— Ciekawe...

W końcu dotarli na sam dół i patrzyli na dno Studni Inicjacji. Znajdował się tam okrąg z geometryczną dekoracją z białego, żółtego i czerwonego marmuru pokryty niewielkimi kałużami błota. Z marmurowego koła wyłaniała się ośmiokątna gwiazda z nakreślonym centralnie sferycznym krzyżem. Był to krzyż templariuszy, zakonu, który przyniósł zachodnim chrześcijanom formę ośmiokąta. Jedno z trójkątnych zakończeń ramion krzyża wskazywało na ciemną dziurę wykopaną w dnie studni.

— Ten krzyż to także róża wiatrów — wyjaśnił Tomás. — Jedno z jej ramion wskazuje na wschód. To tam wschodzi słońce i to w tym kierunku zwrócone są kościoły. Prorok Ezechiel powiedział: „Chwała Pana przychodzi ze Wschodu”. Wejźmy więc do tej groty.

Noronha zanurkował w mrocznym otworze widocznym w ścianie, a Moliarti po chwili wahania podążył za nim. Szli ostrożnie, prawie macając ściany, poruszając się niczym ślepy w ponurym wnętrzu nieregularnego tunelu. Kiedy minęli zakręt, po lewej w podłożu pojawił się rząd żółtych światełek, wskazując im drogę. Teraz postępowali naprzód bardziej pewnie, idąc serpentynami tego długiego, wyżłobionego w granicie tunelu. Po prawej otworzył się kolejny ciemny korytarz. Znaczyło to, że jaskinia stanowiła labirynt przejść. Historyk zignorował tę alternatywną trasę i szedł naprzód, trzymając się drogi głównej, dopóki smuga światła nie oznajmiła mu wyjścia na świat zewnętrzny. Podążali teraz obaj w jej kierunku i wkrótce zobaczyli kamienny łuk rozpięty nad kryształowym jeziorem. Powierzchnię wody burzyło tryskające źródło, wydające bulgoczący dźwięk. Zatrzymali się — tutaj drogi się rozchodziły. Musieli podjąć decyzję.

— W lewo czy w prawo? — zapytał Tomás o kierunek, w którym powinni pójść.

— W lewo? — zaryzykował Moliarti niepewnie.

— W prawo — zdecydował Portugalczyk, wskazując właściwą trasę. — Widzi pan, Nelsonie, koniec tunelu to rekonstrukcja epizodu z *Eneidy* Wergiliusza. Przedstawia scenę, w której Eneasze w poszukiwaniu ojca schodzi do piekieł i na rozstaju dróg staje przed dylematem wyboru. W lewo skręcają skazani, przeznaczeni do wiecznego ognia. Jedynie droga w prawo prowadzi do zbawienia. Eneasze wybrał prawy kierunek i przekroczył rzekę Letes, co pozwoliło mu dotrzeć na Pola Elizejskie, gdzie znalazł ojca. Dlatego powinniśmy podążyć jego śladem.

Poszli w prawo, znów zagłębiając się w tunelu. Był teraz niższy, węższy i przez to o wiele ciemniejszy. W pewnym punkcie ogarnął ich zupełny mrok, przez co zmuszeni byli iść krok za krokiem, dotykając wilgotnych ścian. Czuli się niepewnie i ogarniało ich zwątpienie. W końcu tunel, tonąc w świetle, otworzył się na świat zewnętrzny i przeobraził w drogę prowadzącą przez jezioro po kamiennych stopniach wyzierających z wody. Przeskoczyli po nich na drugi brzeg i z powrotem znaleźli się w lesie. Otoczeni jego barwami oddychali wonnym powietrzem popołudnia i słuchali łagodnego świergotu szczygłów przelatujących z drzewa na drzewo.

— Co za przedziwne miejsce — skomentował Moliarti, który właśnie doświadczał poczucia nierzeczywistości. — Ale w porządku.

— Wie pan, Nelsonie, ta posiadłość przypomina tekst.

— Tekst? Co pan chce przez to powiedzieć?

Schodzili ścieżkami wśród drzew. Ponownie dotarli do Portalu Strażników, a Tomás poprowadził swojego gościa spiralnymi schodami zbudowanymi wewnątrz smukłej wieży w stylu średniowiecznym zwieńczonej flankami.

— Dawno, w czasach inkwizycji i ciemnoty pewne dzieła były zakazane. Społeczeństwo żyło w niewiedzy, zdominowane przez nietolerancyjny Kościół. Artyści byli prześladowani, nowe myśli tłumione, książki palone, a obrazy niszczone. Stąd powstał pomysł wyrzeźbienia książki w kamieniu. W gruncie rzeczy tym właśnie jest Quinta da Regaleira, księgą wyrzeźbioną w kamieniu. Łatwo spalić dzieło spisane na papierze albo rozedrzeć płótno obrazu, ale znacznie trudniej jest zdemolować całą posiadłość. Ta przestrzeń to miejsce, gdzie

znajdują się budowle odzwierciedlające myśl ezoteryczną. Ich inspiracją jest labirynt idei zaproponowanych przez Francesca Colonne w *Hypnerotomachia Poliphili* i pojęć, które leżą u podłoża portugalskich wypraw zamorskich oraz pojawiają się w wielkich klasycznych legendach. Poprzez mity, których nośnikami są *Eneida*, *Boska komedia* i *Luzjady*, znajdujemy się przed wielkim pomnikiem upamiętniającym odkrycia portugalskie, a także rolę, jaką w nich odegrali templariusze, którzy w Portugalii przechrzcili się na członków Orderu Rycerzy Chrystusa. Dotarli do podstawy średniowiecznej wieży, a dalej poszli szerszą drogą, przechodząc obok Groty Ledy i kierując się w stronę kaplicy. Maszerowali w milczeniu, przysłuchując się swoim krokom i łagodnemu śpiewowi lasu.

— A teraz? — zapytał Moliarti.

— Pójdziemy tam, do kaplicy.

— Nie, nie o to pytam. Chcę się dowiedzieć, czego jeszcze brakuje do zakończenia badań?

— Aha! — wykrzyknął Tomás. — Z uwagą przestudiuję ów akapit Umberta Eco, być może uda mi się znaleźć klucz do sejfu profesora Toscano. Muszę również wyjaśnić jeszcze pewne sprawy związane z pochodzeniem Kolumba. Dlatego powinienem odbyć jeszcze jedną, ostatnią podróż.

— Dobrze. Jak pan wie, mamy na to środki.

Noronha zatrzymał się przed dużym drzewem, kilka kroków od kaplicy. Otworzył teczkę i wyjął z niej kartkę.

— To jeszcze jedna tajemnica dotycząca Kolumba — powiedział, pokazując dokument.

— Co to jest?

— To kopia listu znalezionej w archiwum w Veragua.

Amerykanin wyciągnął rękę i przyjrzał się kserokopii.

— A co to za list? — Przestudiował tekst i pokręcił głową, oddając kartkę Tomásowi. — Niczego nie rozumiem, to jest napisane w czternastowiecznym portugalskim.

— Przeczytam panu — zaoferował swoją pomoc profesor. — To list znaleziony w papierach Kolumba po jego śmierci. Niech pan sobie wyobrazi, podpisany jest przez wielkiego Jana Drugiego, znanego

jako Idealny Książę, sygnatariusza portugalskiego traktatu z Torde-silhas, człowieka, który słusznie powiedział admirałowi, że do Indii bliżej jest drogą wokół Afryki, niż płynąc na zachód, monarchę, który...

— Doskonale wiem, kim był Jan Drugi — uciął Moliarti ze zniecierpliwieniem. — To on napisał do Kolumba, prawda?

— Tak. — Portugalczyk skupił uwagę na odwrocie strony i wskazał na jakieś poziome i pionowe kreski. — Widzi pan te linie? To zgięcia listu. — Zaczął składać kartkę. — Jeżeli złożymy w ten sam sposób, powstaje koperta, gdzie widnieje nazwisko adresata. — Zademontrował właściwie złożoną kopię listu. — Odbiorcą jest „Xpovam Collón, nasz szczególny przyjaciel w Sewilli”. — Ponownie otworzył kopertę, by przeczytać tekst na odwrotnej stronie. — Treść jest następująca: „Xpovał Colon. My, Dom Joham z łaski Boga Król Portugalii i Algarve, tego i tamtego morza w Afryce, Pan na Gwinei, ślemy Wam wielkie pozdrowienie. Widzieliśmy list, który do Nas napisaliście, jak i dobrą wolę i uczucie, które okazujecie w naszej służbie. Bardzo Wam dziękujemy. Jeżeli chodzi o Wasze tu przybycie, tak jak podajecie, jak i z innych powodów, potrzebnych Waszej pracy i powodzeniu, jest ono naszym życzeniem. Widzieć Was radość nam przyniesie co do Was w takiej formie, która będzie Wam nad wyraz miła. A gdybyście mieli jakie obawy naszej sprawiedliwości z powodu pewnych rzeczy, do których jesteście zobowiązani, My w niniejszym liście zapewniamy Wam bezpieczne przybycie, pobyt i odejście, że nie będziecie uwięzieni, zatrzymani, oskarżeni ani przesłuchiwani, ani żadnej rzeczy od Was żądać nie będziemy, czy to cywilnej, czy też przestępstwa żadnego rodzaju. Przeto rozkazujemy wszystkim naszym sądom, aby tego przestrzegano. Przeto Was prosimy i polecamy, aby Wasze przybycie było prędkie i z tego powodu nie spadnie na Was żaden ciężar. Dzięki otrzymanie i służby wiele. Napisane w Avis dwudziestego marca tysiąc czterysta osiemdziesiątego ósmego roku. Król”.

— Dziwny list, he? — skomentował zaintrygowany Moliarti.

— Świetnie, że pan się zgadza.

— Więc w tysiąc czterysta osiemdziesiątym ósmym roku król zaprasza Kolumba do powrotu do Portugalii?

— Niezupełnie.

— Nie?

— Chodzi o to, że Kolumb wysłał uprzednio list do króla Jana Drugiego, oferując mu ponownie swoją służbę. W owym liście admirał wyraził obawy co do ewentualnego odpowiadania przed sprawiedliwością portugalskiego króla.

— Ale dlaczego?

— Coś musiał w Portugalii przeszkrobać. Proszę nie zapominać, że Kolumb opuścił Portugalię dosyć nagle, mniej więcej w tysiąc czterysta osiemdziesiątym czwartym roku, cztery lata wcześniej, niż nastąpiła ta wymiana korespondencji. Wydarzyło się coś, co zmusiło Kolumba i jego syna Dioga do ucieczki do Hiszpanii. Nie wiemy jednak co. Jedną z tajemnic otaczających admirała jest właśnie brak dokumentów dotyczących jego życia w Portugalii. Tam doszło do niezwykle istotnych wydarzeń, ale, niestety, nie zachowało się nic, co mogłoby rzucić na nie światło, jak gdyby istniała jakaś czarna dziura dotycząca tego okresu. Jednak dzięki temu listowi rozumiemy, że rzeczywiście zaszło coś, co wymusiło jego ucieczkę.

— A gdzie znajduje się wspomniany list Kolumba do króla?

— W archiwach portugalskich nigdy go nie znaleziono.

— Jaka szkoda.

— Jest jeszcze jeden ciekawy szczegół.

— Jaki?

— Niemal osobista forma, w jakiej Jan Drugi zwraca się do Kolumba, zanim żeglarz zdobył sławę: „nasz szczególny przyjaciel w Sewilli”. To nie jest urzędowy list potężnego władcy do niewykształconego tkacza jedwabiu, cudzoziemca. To korespondencja osób, które dobrze się znają.

Moliarti podniósł prawą brew.

— Nie wydaje mi się, aby ten list miał jakiegokolwiek znaczenie w kwestii pochodzenia Kolumba.

Tomás się uśmiechnął.

— Być może nie — przyznał. — A może i tak. Przynajmniej udowodnia, że obaj znali się o wiele lepiej, niż podejrzewamy. Kolumb bywał na dworze królewskim, co stawia hipotezę, że mamy do czynienia z osobą szlacheckiego pochodzenia. Ta ewentualność pasuje do

innych dwóch wydarzeń. Po pierwsze, do jego małżeństwa z arystokratką Filipa Moniz, co w owych czasach było nie do pomyslenia dla kogoś z plebsu. Ale ma sens, jeżeli on sam był arystokratą.

— Jest pan pewien, że małżeństwo plebejusza z arystokratką nie było możliwe?

— Całkowicie — potwierdził profesor, kategorycznie kiwając głową. — Rozmawiałem z kolegą z wydziału, znawcą historii epoki odkryć geograficznych. Powiedział mi, że nie zna ani jednego przypadku związku plebejusza z arystokratką w wieku piętnastym. Wiedział o dwóch przypadkach w szesnastym wieku, kiedy to bogaci mieszczanie ożenili się z kobietami szlchetnego pochodzenia. Ale nie w piętnastym stuleciu. Wtedy było to niemożliwe.

— Hmm — odburknął Amerykanin. — A ta druga rzecz, która pasuje do hipotezy, że Kolumb należał do arystokracji?

Historyk wyjął z teczki kolejny papier.

— To drugie to dokument, o którym jeszcze panu nie mówiłem.

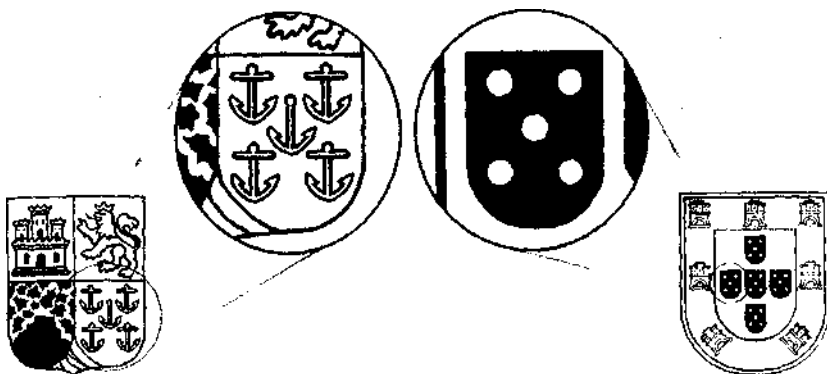
Chodzi o nadanie Colonowi przez Izabelę Katolicką herbu rodzowego, datowane na dwudziesty maja tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego trzeciego roku. Brzmi następująco. — Wskazał na fragment trzymanego w rękach tekstu. — *Y en outro cuadro bajo a la mano izquierda las armas vuestras que sabiades tener**. — Spojrzał pytająco na Moliartiego. — *Las armas vuestras que sabiades tener?*

* Na dole po lewej znajduje się Wasz herb, o którego istnieniu wiedzieliście.

Więc Kolumb posiadał już wcześniej herb? A ja myślałem, że nie był nikim więcej niż skromnym, niewykształconym tkaczem jedwabiu. Jak genueński tkacz mógłby posiadać herb? — Wyjął z teczki jeszcze jedną kartkę z widniejącym po lewej godłem heraldycznym. — Proszę zauważyć, to herb Kolumba. Jak pan widzi, składa się z czterech rysunków. U góry znajdują się zamek oraz lew, reprezentujące królestwa Kastylii i Leónu.

W dole, po lewej, widzimy wyspy na morzu symbolizujące odkrycia żeglarza. — Położył palec na ostatniej ćwiartce herbu. — A to rysunek, który odnosi się, jak stwierdziła Izabela Kastylijska, do *armas vuestras que sabiades tener*. A co on przedstawia? — Zrobił przerwę, zanim podał odpowiedź na własne pytanie. — Pięć złotych kotwic

rozmieszczonych w formie X na niebieskim polu. A teraz niech pan się przyjrzy temu. — Zademonstrował widniejące po prawej stronie kartki godło Portugalii.



— Jak pan widzi, rysunek pięciu złotych kotwic w ostatniej ćwiartce herbu Kolumba, tutaj po lewej, jest niesłychanie podobny do królewskiego godła Portugalii, gdzie pięć tarcz również jest rozmieszczonych w formie X, a na każdej z nich w takim samym układzie występuje pięć monet. Ten symbol wciąż można spotkać na portugalskiej fladze.

— *Holy cow!*

— Inaczej mówiąc, herb Kolumba ma bezpośredni związek z symbolami Kastylii, Leónu i Portugalii.

— Niesamowite...

— Zgadza się to ze stwierdzeniem Joana Lorosana.

— A to kto?

— Joan Lorosano był hiszpańskim doradcą sędziego, współczesnym Kolumbowi. — Noronha zajrzał do notatek. — Odniósł się on do admirała jako będącego „tym, o którym twierdzą, że jest Portugalczykiem”.

— Hmm — mruknął Moliarti w zamyśleniu. — Twierdzą, powiada! Ale ten Lorosano sam nie ma pewności...

— Och, Nelsonie, niech pan nie udaje, że nie rozumie. Jasno widać, na czym polega znaczenie tego twierdzenia. Na tym, iż portugalskie pochodzenie Kolumba było najwyraźniej przyczyną wielu komentarzy.

— Ale czy znalazł się w owym czasie ktoś, kto oświadczył na piśmie, że Kolumb był Portugalczykiem?

Tomás się uśmiechnął.

— Przypadkiem się znalazł. W *Pleyto de la Prioridad* dwóch świadków, Hernán Camacho i Alonso Belas, określiło Kolumba jako „infanta Portugalii”.

— Ach! — jęknął Amerykanin, jakby wbito mu nóż w piersi.

— Jest jeszcze coś, o czym chciałbym panu opowiedzieć — dodał profesor, sprawdzając notatnik. — W kulminacyjnym punkcie konfrontacji pomiędzy włoskimi i hiszpańskimi historykami o prawdziwe pochodzenie Kolumba jeden z Hiszpanów, prezes Królewskiego Stowarzyszenia Geograficznego, Ricardo Beltrán y Rózpide, napisał tekst zakończony zagadkowym zdaniem. Brzmi ono: „Odkrywca Ameryki nie urodził się w Genui i pochodził z jakiegoś miejsca ziemi hiszpańskiej, położonego w zachodniej części półwyspu, pomiędzy przylądkami Ortegál i San Vicente”. — Spojrzał Nelsonowi prosto w oczy. — To nadzwyczajny komentarz, biorąc pod uwagę fakt, iż jego autorem był cieszący się prestiżem naukowiec hiszpański w okresie wielkiej nacjonalistycznej debaty o admirałe.

— Przepraszam — powiedział Amerykanin. — Ale nie widzę w tym nic nadzwyczajnego...

— Nelsonie, przylądek Ortegál znajduje się w Galicji...

— Właśnie. To zupełnie naturalne, by w tamtym okresie Hiszpan bronili pochodzenia hiszpańskiego.

— ...a przylądek São Vicente leży na południowym krańcu Portugalii.

Mollarti otworzył szeroko oczy.

— Aha...

— Jak pan zauważył, to zupełnie naturalne, by w atmosferze wielkiej nacjonalistycznej debaty historyk hiszpański bronili tezy, że Kolumb pochodził z Galicji. Tyle że on wspomniął wyraźnie o całym portugalskim wybrzeżu jako miejscu pochodzenia żeglarza, czego w owym kontekście trudno się było spodziewać. — Podniósł palec wskazujący. — Chyba że wiedział o czymś, czego nie ujawnił.

— A wiedział?

Noronha uśmiechnął się i pokiwał twierdząco głową.

— Najwyraźniej tak. Rózpide miał w Portugalii przyjaciela, zwanego Afonso de Dómelas, który był również przyjacielem historyka Armanda Cortesão. Na łożu śmierci badacz hiszpański wyznał swojemu portugalskiemu przyjacielowi, że wśród tekstów João da Novy, znaj, dujących się w prywatnym portugalskim archiwum, jest jeden lub więcej dokumentów w pełni wyjaśniających pochodzenie Krzysztofa Kolumba.

Dornelas zapytał go kilka razy, o jakim archiwum mówił. Rózpide odpowiadał, że z uwagi na tak emocjonalny wydźwięk debaty o Kolumbie w Hiszpanii, ujawnienie, gdzie znajduje się ów dokument lub dokumenty, mogłoby spowodować ich profanację. Niedługo potem historyk zmarł, nie zdradziwszy swojego sekretu.

Portugalczyk odwrócił się i ponownie ruszył, kierując się w stronę kaplicy przypominającej katedrę w miniaturze. Było to jeszcze jedno zagadkowe miejsce, które skrywała Quinta da Regaleira, kolejny rozdział w tej nadzwyczajnej księdze wyrzeźbionej w kamieniu.

###

W następną sobotę Tomás pojawił się przy bramie domu przy São Joao do Estoril z sercem przepelnionym nadzieją. W dłoniach trzymał piękny bukiet cynii. Niektóre z nich były białe, inne szkarłatne, jeszcze inne żółte. Ich otwarte do światła, szerokie płatki przypominały wyciągnięte do świata ramiona i odsłaniały znajdujące się w środku małe, białawe słupki. W książce Constancy przeczytał, że cynie oznaczają myśli o kimś nieobecny, wyrażając melodramatyczne wiadomości, takie jak Jestem w żałobie z powodu twojej nieobecności” albo po prostu „tęsknię za tobą”. Były to emocje, które uznał za stosowne do okazji. Ale teściowa, która podeszła do bramy, spojrziała na kwiaty z pogardą i pokręciła głową, kiedy Tomás spytał, czy może porozmawiać z żoną.

— Constancy nie ma w domu — poinformowała go sucho.

— Ach tak — odparł rozczarowany. — Naprawdę nie mogę z nią porozmawiać?

— Już mówiłam, że jej nie ma — powtórzyła Teresa ostrym tonem, prawie literując słowa, jak gdyby zwracała się do dziecka.

— A Margarida?

— Jest w środku. Zawołam ją.

Zanim gospodyni odwróciła się, by pójść po wnuczkę, mężczyzna wyciągnął w jej stronę bukiet.

— Czy może pani przynajmniej przekazać jej te kwiaty?

Teściowa zawahała się, obrzuciła go niechętnym spojrzeniem z góry na dół, jak gdyby chciała mu dać do zrozumienia, że przesadza, i ponownie pokręciła głową, z wewnętrzną satysfakcją, że po raz kolejny może mu czegoś odmówić.

— Pan nie jest kwiatem, który chciałoby się powąchać.

Margarida była już po obiedzie, więc udali się w miejsce, które chciała odwiedzić — do ogrodu zoologicznego. Spędzili popołudnie, przechadzając się po alejkach, jedząc popcorn i watę cukrową. Widok węży i innych gadów przestraszył dziewczynkę, podobnie jak dra pieźników. Za to zupełnie inaczej zareagowała na pokaz delfinów, niez mordowanie skacząc i oklaskując ich wodne akrobacje. Tomás złapał się na myślach o tym, jak inne było zoo od Quinta da Regaleira, to pierwsze tętniło życiem i barwami, a drugie przytłumione było przerażającą i milczącą aurą. Tak różne od siebie i zarazem tak podobne — oba miejsca reprezentowały parki tematyczne i były dziełem tego samego człowieka, Carvalha Monteiro, milionera, który na początku dwudziestego wieku zgromadził w Lizbonie dzikie zwierzęta, a w Sintrze ezoteryczne tajemnice.

Niebo przybrało czerwono-złoty odcień — to słońce zstępowało w dół, aby pocałować horyzont. Czując już chłód zmierzchu penetrujący ubrania, ojciec i dziecko wyszli z ogrodu zoologicznego i schronili się w ciepłym samochodzie. W drodze do domu wstąpili do centrum handlowego w Oeiras i zrobili zakupy, by zaopatrzyć lodówkę. Margarida poprosiła o kasetę z bajkami i zapełniła koszyk słodyczami. „To dla moich psyjaciół”, wyjaśniła. Tomás zrezygnował już ze stawiania oporu tym odruchom wspaniałomyślności. Córka uwielbiała kupować wszystkim prezenty. Dochodziło nawet do tego, że oddawała swoje rzeczy, jeśli ktoś jej czegoś zazdrościł. Wyszli z hipermarketu i poszli do restauracji typu fast food po dwa zestawy hamburgerów z frytkami i napojem.

— Jak się nazywas? — zapytała Margarida, spoglądając za ladę na chłopaka zajętego pakowaniem posiłku.

— Co? — zdziwił się sprzedawca, podnosząc głowę, by spojrzeć na tę dziwną dziewczynkę, która zwracała się do niego przy kasie.

— Jak się nazywas?

— Pedro — odpowiedział, nie przerywając pracy.

— Jesteś żonaty?

Chłopak roześmiał się, rozbawiony nieoczekiwanym tupetem małej.

— Ja? Nie.

— Mas dziewczynę?

— Ee... tak.

— Ładna jest?

— Margarido! — uciał Tomás, który widział, że pytania idą za daleko, a chłopak zaczyna się czerwienić. — Zostaw pana w spokoju, on teraz pracuje.

Dziewczynka natychmiast zamilkła. Ale tylko na moment.

— Całujesz ją w usta?

— Margarido!

Wzięli zapakowane na wynos posiłki. Zjedli kolację w pokoju gościnnym, oglądając telewizję i brudząc palce ketchupem i tłuszczem. Około jedenastej poszli spać, ale ojciec był zmuszony przeczytać córeczce po raz enty historię „o Kopciusku”. Był to rytuał, z którego nie rezygnowała.

— Więc jak upłynął ci tydzień? — zapytał, kiedy zamknął książkę, Kopciuszek żył już szczęśliwie w pałacu ze swoim księciem.

— Posłam do szkoły i doktora Oliveila.

— Ach tak? I co powiedział?

— Ze muszę złożyć więcej badań.

— Czego?

— Kiwi.

— Badań krwi? To coś nowego. Dlaczego?

— Bo jestem bardzo blada.

Przyjrzał się córce. Rzeczywiście, jej skóra była biała, o sinawym odcieniu i miała niezdrowy wygląd.

— Hmm — mruknął, obserwując ją. — A co jeszcze mówił?

- Ze musę lubić dietę.
- Ale ty nie jesteś gruba.

Margarida wzruszyła ramionami.

- Tak powiedział.

Tomás obrócił się w stronę stolika nocnego i zgasił światło lampki.

Przytulił się do córki i przykrył ją dokładniej.

- A mama? — zapytał w ciemności. — Jak się czuje?

- Dobrze.

- Nadal płacze?

- Nie.

- Nie płacze?

- Nie.

Ojciec zamilkł na chwilę, rozczarowany.

— Myślisz, że już taty nie lubi? — zapytał, próbując wy badać sytuację.

- Nie.

- Nie lubi, prawda?

- Prawdą.

- Dlaczego tak mówisz, córeczko?

— Bo telaz ma nowego psyjaciela. Zaskoczony Tomás podniósł się z łóżka.

- Co?

- Mama ma nowego psyjaciela.

- Przyjaciela? Jakiego przyjaciela?

— Nazywa się Callos, a babcia mówi, że ma tupet. I że jest lepszą palcią niż ty.

XIV

Łagodne.

Ruchy unoszących się z ziemi, wlatujących przerywanymi skokami i wirujących w powietrzu liści podobne były do kroków tancerki, wdzięcznie prześlizgującej się po scenie. Kręciły się wokół niewidzialnej osi, niesione ciepłym podmuchem, który stawał się jednak coraz bardziej gwałtowny. Bryza stopniowo, prawie niedostrzegalnie, przeobrażała się w młyn kurzu, zawirowanie, które podrywało z bruku żółte i brązowe liście, obracając je w przedziwnym balecie życia. Trasa wichru była nieprzewidywalna, po chwili opuścił chodnik i przeniósł się na ruchliwą ulicę otaczającą mury Starego Miasta. Tomás ominął lejkowaty wir krążący po asfalcie, i zwolnił kroku, przechodząc przez ulicę Sułtana Sulejmana w kierunku Shaar Shechen i wtapiając się w tłum. Miał przed sobą starożytnie, tysiącletnie mury strzegące wspomnień, które w tym mieście znaczone były krwią, bólem, nadzieją, wiarą i cierpieniem. Głazy mocne jak metal i delikatne jak marmur.

Gładkie.

Dzień wstał suchy i chłodny, chociaż słońce okazało się nieubłagane i nie do zniesienia dla kogoś, kto wyszedł bez nakrycia głowy. Zewsząd napływała masa ludzi, którzy schodzili szerokimi schodami, kierując się do wielkiej bramy w rosnącym tłoku, niczym łakome mrówki spieszące do kropli miodu. Przechodzili pod uważnym okiem mężczyzn w oliwkowozielonych mundurach i hełmach, żołnierzy Tsahala. Od czasu do czasu umundurowani, uzbrojeni w karabiny M-16 przewieszane przez ramię, zatrzymywali kogoś, nieodmiennie

żądając okazania dokumentów i przeszukując torby. Wydawało się, że zapominali o noszonej broni, ale takie było tylko wrażenie. Ruch wokół monumentalnej Bramy Damasceńskiej był nerwowy, zwarty. Ludzie tłoczyli się przy szerokim wejściu, mijając stragany z owocami, warzywami i słodkimi bułkami. Mruczeli niezrozumiałe słowa, klnęć i przepychając się łokciami. Tomás stał w samym środku arabskiego tłumu, czując odór potu charakterystyczny dla tych, którzy przybyli z daleka na zakupy do suku lub by pomodlić się do Allacha w wielkim meczecie Al Aksa. Ściśnięty przez ludzką masę, która ciągnęła go w stronę wielkiego północnego wejścia do Starego Miasta w Jerozolimie, podniósł głowę i zobaczył dwóch izraelskich żołnierzy pełniących służbę na szczycie Bramy Damasceńskiej; podglądali tłum przez otwory w murach, obserwując każdego po kolei w poszukiwaniu czegoś, co byłoby dla nich sygnałem alarmowym.

Prąd ludzki wcisnął Noronhę do wielkiej bramy. Droga szybko zwężała się, prowadząc przez niskie zabudowania Dzielnicy Muzułmańskiej. Profesor czuł się jak porwany prądem wody, niezdolny do odparcia jego ogromnej siły, poddając się przyplýwowi i pozwalając się nieść wąską, ruchliwą ulicą. Zauważył sklep z pamiątkami, a obok stragany z owocami. Rozpoznał pomarańcze, banany i daktyle, a także słoiki z migdałami i czarnymi oliwkami.

Znalazł się na rozwidleniu dróg prowadzących w trzech kierunkach, które miało ułatwić przejście ludziom nieustannie napływającym do Bramy Damasceńskiej. Szukał wzrokiem nazw ulic, ta po prawej nazywała się Souk Khan El-Zeit. Znajdowały się na niej niewielkie piekarnie, cukiernie i sklepiki. Ta po lewej była opatrzona tabliczką wskazującą drogę do Hospicjum Indyjskiego i Bramy Kwiatów. Zerknął na mapę i podjął decyzję. Interesowała go droga środkowa, więc podążył naprzód, w kierunku południowym. Przeszedł pod budynkiem, który łukiem rozpiął się nad ulicą, i po łagodnym zejściu w dół napotkał kolejne rozstaje. Na rogu wznosiła się budowla Hospicjum Austriackiego, a na ścianie przy odchodzącej stamtąd w lewo uliczce widniała nazwa w językach hebrajskim, arabskim i łacińskim, na której widok przybysz się zatrzymał.

Droga Krzyżowa. Noronha nie był człowiekiem religijnym, ale w

takiej chwili nie mógł oprzeć się wyobrażeniu pochylonej postaci Jezusa, eskortowanej przez legionistów rzymskich, wlekącej się tą wąską ulicą z krzyżem na ramionach, ze strużkami krwi płynącymi z czoła i skapującymi na kamienie. W tym miejscu taki obraz był czymś bezwarunkowym, czymś w rodzaju *cliché*. Rekonstrukcję tej męczącej trasy widział wielokrotnie. Teraz, kiedy tu przybył i ujrzał nazwę Drogi Krzyżowej przybitą do ściany, nasunęło mu się szereg wyobrażeń o tym, co zdarzyło się tu dwa tysiące lat temu.

Zgodnie z mapą miał przejść całe Stare Miasto ciągnącą się przed nim długą ulicą. Wszedł na El-Wad, którą przecinała zygzakami Droga Krzyżowa, minął Yeshivat Torat Chaim i podążał naprzód, pozostawiając w tyle ulicę, którą kroczył Chrystus w ostatnich godzinach życia. Przy pierwszym skrzyżowaniu w prawo żołnierze z Thasal, wojska izraelskiego, zmontowali posterunek i kontrolowali dostęp do Bar Kuk — wąskiej ulicy prowadzącej do świętego kompleksu Haram El-Sharif i meczetu Al Aksa. Odmawiali wstępu wszystkim niemużłomanom. Najwyraźniej odbywała się tam jakaś religijna islamska uroczystość, której nikomu nie wolno było naruszać. Ściśniętą między ograniczającymi ją budynkami El-Wad chronią przed słońcem liczne podcienia. Wiał tam nawet chłodny wiatr, wywołujący dreszcze u przechodnia, który podążał szybkim krokiem, ignorując mijane po drodze sklepy. Obrzucał jedynie przelotnym, ciekawym spojrzeniem lokale ze spiętrzonymi u wejść garnkami z brązu i miedzi. Po przejściu Hammam El-Ain Tomáš wszedł na ulicę Rechov Hahalshélet i skierował się w stronę Dzielnicy Armeńskiej na zachodzie, a na rogu, za budynkiem Tashtamuriyya skręcił w lewo i znalazł się w Dzielnicy Żydowskiej.

Gwar uliczek arabskich ucichł. Zrobiło się przestronniej i spokojniej, prawie sielankowo. Nie widać było żywego ducha, ucho wyławało jedynie wesoly świergot ptaków i cichy szelest kołyszących się na wietrze koron drzew. Gość rozpoznał ulicę Shonei Halakhot i szukał numeru domu. Obok dzwonka umieszczona była połączona tabliczka z napisem w języku hebrajskim, poniżej którego widniała nazwa po angielsku, małymi literami: The Kabbalah Jewish Quarter Center. Nacisnął czarny guzik i usłyszał dochodzące od wewnątrz brzęczenie. Nasłuchiwał zbliżających się kroków. Drzwi się otworzyły

i wyrżał z za nich młody, ogolony chłopak w okrągłych okularach, spoglądając pytająco na przybysza.

— *Boker tov* — rzekł młodzieniec, mówiąc po hebrajsku „dzień dobry” i służąc pomocą. — *Ma uchal laasot lemaancha?*

— *Shalom* — odparł Tomás. Zajrzał do notesu w poszukiwaniu zdania, które przygotował w hotelu, wyjaśniającego, że nie mówi po herbajsku. — *Ee... eineni yode'a ivrit.* — Spojrzał na młodego Żyda, sprawdzając, czy został zrozumiany. — *Do you speak English?*

— *Ani lo mevin anglit* — odpowiedział chłopak.

Portugalczyk spojrział na niego uważnie, zastanawiając się nad sposobem rozwiązania problemu.

— *Ee... Solomon... ee...* — wyjąkał, usiłując spytać o rabina, z którym umówił się na spotkanie. — Rabi Solomon Ben-Porat?

— *Ah, ken* — potwierdził Izraelita, otwierając drzwi i zapraszając go do środka. — *Be 'vakasha!*

Młody gospodarz zabrał go do małej, dosyć skromnie urządzonej sali, wydał z siebie krótkie *slach li*, prosząc gestem, by gość poczekał. Pochylił się w ukłonie i zniknął w korytarzu. Noronha usiadł na kanapie i przyglądał się pomieszczeniu. Meble wykonane były z ciemnego drewna, a ściany zawieszono obrazami z hebrajskimi tekstami — z pewnością były to cytaty ze Starego Testamentu. W powietrzu unosiła się woń kamfory i starego papieru wymieszana z kwaśnym odorem wosku i lakieru. Małe okno wychodziło na ulicę, a przez zasłony przenikało jedynie rozproszone światło, wystarczające jednak na to, by dostrzec w jego smudze krążące w powietrzu drobinki kurzu.

Kilka minut później profesor usłyszał zbliżające się głosy. W drzwiach pokoju pojawił się krępy mężczyzna. Sprawiał wrażenie energicznego pomimo swoich około siedemdziesięciu lat. Miał na sobie bawełniany *talit* w fioletowe pasy z białymi i błękitnymi frędzlami na końcach — strój, którego najwyraźniej nie zdjął od porannego *shacharit*. Jego siwa, talmudyczna broda przypominała Świętego Mikołaja lub asyryjskiego króla. Na czubku łysej głowy nosił czarną aksamitką jarmułkę.

— *Shalom aleichem* — powitał gościa, wyciągając do niego uprzejmie dłoń. — Jestem rabin Solomon Ben-Porat — powiedział

łamanym angielskim z wyraźnym hebrajskim akcentem. — Z kim mam przyjemność?

— Jestem profesor Tomás Noronha z Lizbony.

— Ach, profesor Noronha! — wykrzyknął serdecznie. Żywo uściśnęli sobie ręce. Portugalczyk zauważył, że rabin miał pulchną dłoń, ale jego uścisk był silny, prawie miazdzący. — *Na 'im le 'hakir otcha!*

— Słucham?

— Miło mi pana poznać — powtórzył, tym razem po angielsku. — Czy miał pan dobrą podróż?

— Tak, dobrą.

Rabin gestem poprosił, by przybysz podążył za nim, i poprowadził go korytarzem do innego pokoju, mówiąc o cudzie, jakim obecnie są samoloty, te fantastyczne wynalazki, które pozwalają na przemieszczanie się o wiele szybsze niż synogarlica Noego. Poruszał się z pewnością trudnością, balansując ogromnym ciałem. Szli tak powoli, że zajęło im to trochę czasu. W końcu korytarza znajdowała się sala przypominająca bibliotekę, z wielkim dębowym stołem na środku. Gospodarz poprosił Tomasa, by usiadł na jednym z ustawionych wokół krzeseł. On sam zajął miejsce po przeciwnej stronie stołu.

— To nasza sala konferencyjna — wyjaśnił zachrypniętym, głuchym głosem. Miał gardłowy akcent i przeciągał głoskę „r”. W jego angielskim wyraźnie wyczuwało się hebrajskie naleciałości. Wyrażenie *meeting room* brzmiało w jego ustach *meeting rrrroom*. — Napije się pan czegoś?

— Nie, dziękuję.

— Nawet wody?

— Dobrze... proszę o wodę.

Solomon spojrzął w kierunku drzwi.

— Chaim — zawołał. — *Ma 'im*.

Po kilku chwilach pojawił się inny mężczyzna z dzbankiem wody i dwiema szklankami na niewielkiej tacy. Miał około trzydziestu pięciu lat. Chudy, z długą, ciemną brodą i brązowymi, kręconymi włosami. Na głowie nosił myckę z dzianiny. Wszedł do pokoju i postawił tacę na stole.

— To jest Chaim Nassi — przedstawił go rabin. Roześmiał się. — Król żydowski.

Tomás i Chaim wymienili powitalne *shalom* i uścisk dłoni.

— To pan jest profesorem z Lizbony? — zapytał Nassi po angielsku.

— Tak.

— Ach...! — wykrzyknął. Wydawało się, że chciał jeszcze coś dodać, ale się powstrzymał. — Doskonale.

— Nasz Chaim pochodzi z Portugalii — wyjaśnił Solomon Ben-Porat. — Prawda, Chaim?

— Tak — odpowiedział młodzieniec, pochylając skromnie głowę.

— Ach tak? — zdziwił się Noronha. — Żyd portugalski?

— Tak — potwierdził tamten. — Moja rodzina to sefardyjscy Żydzi.

— Czy wie pan, kto to Sefardyta? — zapytał rabin.

— Nie.

— To Żyd z Półwyspu Iberyjskiego.

— Aha, Sefardyzczyk.

— Tak. Sefardyci czy Sefardyzczycy, na to samo wychodzi. — Wzruszył ramionami. — Żydzi sefardyjscy zostali wypędzeni z Półwyspu Iberyjskiego gdzieś około pięć tysięcy dwieście pięćdziesiątego roku.

— Pięć tysięcy dwieście pięćdziesiątego? — zapytał, nie rozumiejąc, Tomás.

— Tak, pięć tysięcy dwieście pięćdziesiątego, rok mniej albo więcej. — Chaim przerwał i otworzył szeroko oczy w wyrazie zrozumienia, jak gdyby właśnie w tej chwili pojął zdziwienie Portugalczyka. — Oczywiście roku judaistycznego.

— A, chyba że tak. Zgodnie z kalendarzem katolickim wyemigrowali pod koniec piętnastego wieku.

— Być może, ale my zawsze obliczamy czas według naszego kalendarza. — Wypił łyk wody. — Jeżeli się nie mylę, wypędzeni Sefardyzczycy liczyli ogółem około ćwierć miliona osób. Opuścili Półwysep Iberyjski i rozprzestrzenili się w Afryce Północnej, imperium oomańskim, Ameryce Południowej, we Włoszech i w Holandii.

— Widzi pan — wtrącił Tomás — portugalskim Żydem był Spinoza, jego rodzina uciekła do Holandii.

— Tak — potwierdził rabin. — Sefardyzczycy byli bardzo wykształceni, prawdopodobnie należeli do najbardziej uczonych Żydów w

owym czasie. To oni pierwsi wyjechali do Stanów Zjednoczonych i dotychczas uważani są za najbardziej prestiżową gałąź judaizmu. Historyk portugalski oparł się lewym łokciem o stół.

— Widzi pan, wypędzenie Żydów było ogromną głupotą, prawdopodobnie największym absurdem, jakiego kiedykolwiek dopuszczono się w Portugalii — powiedział melancholijnie. — I nie tylko z powodów humanitarnych. Ich odejście jest bezpośrednio związane z upadkiem państwa.

Solomon Ben-Porat wyraził zainteresowanie.

— Ach tak? W jakim sensie?

Noronha spojrzał na niego z uwagą.

— Proszę mi coś powiedzieć. Co pana zdaniem czyni osobę lub państwo bogatym?

— Ee... podejrzewam, że pieniądze. Kto ma pieniądze, jest bogaty.

— Wydaje się to logiczne — przyznał Tomás. — Kilka lat temu jednak w Portugalii wydano książkę profesora z Harvardu, pod tytułem *Bogactwo i ubóstwo narodów*, która podaje inną definicję bogactwa. Na przykład, czy Arabia Saudyjska to zamożne państwo? Zgodnie z pana wersją, tak, bo przecież ma dużo pieniędzy. Ale kiedy Arabowie Saudyjscy muszą zbudować most, co wtedy robią? Wzywają inżynierów niemieckich. Kiedy chcą kupić samochód, dokąd się kierują? Do Detroit w Stanach Zjednoczonych. Kiedy potrzebują telefonu komórkowego, nabywają go w Finlandii. I tak dalej. — Zrobił gest pytający w kierunku rabina. — A teraz proszę mi powiedzieć, co się stanie w dniu, kiedy skończy się ropa naftowa?

— Kiedy skończy się ropa naftowa?

— Tak. Co stanie się z Arabią Saudyjską, kiedy zabraknie ropy naftowej?

— Czy ja wiem — zastanawiał się rabin. — Przypuszczam, że popadną w biedę.

Tomás prędkim ruchem skierował na niego wskazujący palec.

— Właśnie. Znowu zapanuje tam ubóstwo. — Rozpostarł ramiona, jak gdyby powiedział coś oczywistego. — Stąd wniosek, że bogactwem państwa nie są pieniądze. To wiedza. Dzięki niej dochodzą do pieniędzy. Mogę nie mieć ropy naftowej, ale jeżeli wiem, jak się

konstruuje mosty, buduje samochody i składa telefony komórkowe, zdołam zapewnić sobie długotrwałe bogactwo. To właśnie czyni osobę lub państwo zamożnymi.

— Rozumiem.

— Co więc wydarzyło się w Portugalii w okresie wielkich odkryć geograficznych? Kraj otworzył się na wiedzę. Książę Henryk zgromadził wielkie umysły owego czasu, portugalskie i obce, dzięki którym wynaleziono nowe urządzenia nawigacyjne, budowano nowe typy statków, konstruowano bardziej skomplikowaną broń, dokonał się postęp w kartografii. Ogólnie, był to okres wielkiego bogactwa intelektualnego. Wielu ze wspomnianych Portugalczyków i obcokrajowców było chrześcijanami, ale nie wszyscy.

— Niektórzy byli Żydami...

— Tak. Wśród tych głów, którym zawdzięczamy odkrycia geograficzne, byli Żydzi. Niektórzy z nich bardzo znaczący. Przyniesli z sobą do kraju nową wiedzę, otwierali drzwi, nawiązywali kontakty, znajdowali źródła finansowania, sugerowali kierunki działania. W okresie prześladowań ze strony Hiszpanii Portugalczycy udzielali im schronienia. Jednak sytuacja zaczęła ulegać zmianie pod koniec piętnastego wieku. Władcy Katolicycy wypędzili Żydów z Hiszpanii w roku tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym drugim. Wielu z nich uciekło do Portugalii, szukając protekcji u króla Jana Drugiego. Problem polegał na tym, że jego następca, Manuel Pierwszy Szczęśliwy, zaczął snuć marzenia o panowaniu nad całym Półwyspem Iberyjskim i ustanowieniu Lizbony stolicą. Podjął próbę zdobycia poparcia ze strony Władców Katolickich. Jednym z fundamentalnych elementów tego planu było małżeństwo z jedną z córek monarchów hiszpańskich, tak aby założyć ewentualną unię dynastyczną. To właśnie narzeczona, fanatyczna katoliczka, postawiła warunek zawarcia związku małżeńskiego.

— Domagała się wypędzenia Żydów — zgodził rabin.

— Ni mniej, ni więcej. Nie chciała Żydów w Portugalii. W normalnych warunkach Manuel Pierwszy dałby sobie spokój z narzeczoną i Władcami Katolickimi. Ale to nie były warunki normalne. Król portugalski pragnął być władcą całego Półwyspu Iberyjskiego. Wobec żądania przyszłej żony, a także pod presją Kościoła w swoim

kraju, idiota Manuel Pierwszy ustąpił. Próbował jednak wykrętu. Zamiast wypędzać Żydów, zamierzał siłą ich nawrócić. W gigantycznej operacji rozpoczętej w roku tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym siódmym król ochrzcił ich wbrew woli. W ten sposób dokonano chrystianizacji siedemdziesięciu tysięcy Żydów portugalskich, których nazywano nowymi chrześcijanami. Większość z nich jednak wciąż potajemnie wyznawała judaizm. W konsekwencji tego w tysiąc pięćset szóstym roku przeprowadzono w Lizbonie pierwszą rzeź Żydów. Pogrom przyniósł dwa tysiące ofiar. Takie akcje zdarzały się w Hiszpanii, gdzie od dawna zakorzeniona była nietolerancja, ale w Portugalii wręcz przeciwnie. Rezultat tragiczny. Żydzi zaczęli uciekać z kraju, zabierając z sobą cenny skarb: swoją wiedzę, swoją ciekawość świata, swoją twórczą naturę. Po tym pierwszym kroku, w latach czterdziestych szesnastego wieku, doszło do powstania inkwizycji w Portugalii. Czterdzieści lat później nastąpiła całkowita katastrofa, kiedy to zawarto wymarzoną przez Manuela Pierwszego unię dynastyczną z Hiszpanią, która zachowała jednak pozycję dominującą. W konsekwencji zastosowano jeszcze bardziej radykalne metody wobec innowierców. Portugalia zamknęła się na wiedzę i obce wpływy. Teksty naukowe zostały zabronione, wykształcenie kontrolował wyłącznie Kościół. Państwo pogrzyżyło się w fanatycznej ignorancji. Wraz z wyeliminowaniem judaizmu Portugalia wkroczyła na drogę upadku, z której zdołała zawrócić jedynie w pewnych aspektach.

— Mamy tu ciekawy sposób poznania historii danego państwa — skomentował rabin z uśmiechem. — Poprzez błędne decyzje.

— Małe przyczyny, wielkie skutki — zauważył Tomás.

Solomon położył rękę na ramieniu Chaima w czułym geście, nadal patrząc na Portugalczyka.

— Nasz król żydowski jest potomkiem jednej z najbardziej znamienitych rodzin sefardyjskich w Portugalii. — Zwrócił się twarzą w stronę swojego protegowanego. — Prawda, Chaim?

Młody człowiek twierdząco kiwnął głową w pokornym geście.

— Tak, mistrzu.

— Jak nazywali się pańscy przodkowie? — dopytywał się Tomás.

— Podać panu nazwisko portugalskie czy hebrajskie?

— Ee... Myślę, że oba.

— Moja rodzina przyjęła nazwisko Mendes, ale naprawdę nazywała się Nassi. Kilka lat po tym, jak zaczęły się prześladowania w Lizbonie, moi przodkowie uciekli do Holandii, a potem do Turcji. Matriarchinią rodu była Gracia Nassi, która wykorzystwała swoje wpływy u sułtana tureckiego i liczne kontakty handlowe, by pomóc nowym chrześcijanom uciec z Portugalii. Do tego stopnia, że zorganizowała bojkot handlowy wobec państw, które prześladowały Żydów.

— Pani Gracia Mendes zdobyła sławę wśród naszego ludu — dodał rabin. — Poeta Samuel Usque zadedykował jej książkę w języku portugalskim pod tytułem *Consolaçam as Tribulaçõens de Ysrael* i określił panią Mendes jako „serce Żydów”.

— Siostrzeniec Gracii, José Nassi, również uciekł z Lizbony do Istambułu — powiedział Chaim, powracając do opowieści. — José stał się sławnym bankierem i mężem stanu, przyjacielem władców europejskich i doradcą sułtana, który nadał mu tytuł księcia. To José i Gracia przejęli kontrolę nad Tyberiadą, tutaj w Izraelu, zachęcając innych Żydów do osiedlenia.

Tomás się uśmiechnął.

— Sugeruje pan, że dwoje Żydów portugalskich, pańskich przodków, zainicjowało konflikt na Środkowym Wschodzie?

Na twarzach obu Izraelitów pojawił się uśmiech.

— To jeden z punktów widzenia — stwierdził Chaim, przesuwając dłonią po kręconej brodzie. — Wolę myśleć, że byli narzędziami w rękę Boga, abyśmy odzyskali Ziemię Obiecaną.

— Ale jeszcze nie wie pan najważniejszego — dodał rabin. — José Nassi stał się tak bogaty, tak bogaty, że do dziś znany jest jako król żydowski. — Podniósł palec. — Mówiono o nim tak również dlatego, że w języku hebrajskim słowo *nassi* oznacza „król” — Poglaskała młodzieńca po głowie. — Z tego powodu, jako potomka rodziny José i noszącego nazwisko Nassi, nazywam naszego Chaima królem żydowskim.

— Jaka to strata dla naszego państwa — zauważył Noronha. — Proszę sobie wyobrazić, co to by było, gdyby rodzina Chaima pozostała w Portugalii?

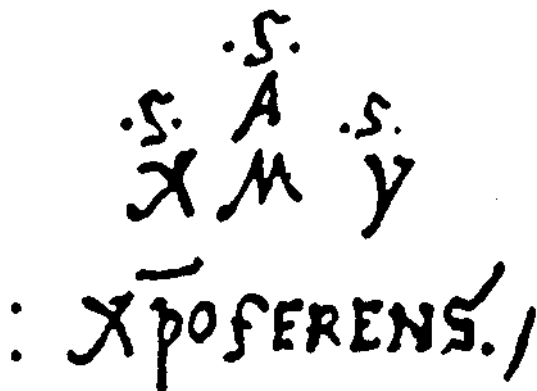
Solomon spojrział na wielki zegar znajdujący się w bibliotece.

— Tak jak i inne rodziny — skomentował melancholijnie. Westchnął głęboko. — Ale my tu sobie rozmawiamy i rozmawiamy, a jeszcze nie poruszyliśmy tematu naszego spotkania, prawda?

Był to dla profesora sygnał, by chwycić za swoją starą teczkę i wyjąć z niej plik kserokopii.

— Świetnie! — wykrzyknął. — Jak już mówiłem przez telefon, potrzebuję pańskiej pomocy, aby przeanalizować te dokumenty. — Położył kartki na stole i popchnął w kierunku rabina, wskazując na jedną z nich. — Ten tutaj szczególnie mnie intryguje.

Ben-Porat nałożył niewielkie okulary i pochylił się nad kserokopią, analizując widniejące na niej litery i znaki.



.S.
A
S.
X M Y
: XPOFERENS./

— Co to jest? — zapytał, nie odrywając wzroku od kartki.

— Podpis Krzysztofa Kolumba.

Stary Żyd pogłaskał swoją bujną białą brodę. Zamyślił się, zdjął okulary i spojrział na Tomasa.

— Wiele można by powiedzieć o tym podpisie — skomentował.

Portugalczyk pokiwał głową twierdząco.

— Tak mi się wydawało — powiedział. — Czy uważa pan, że jest kabalistyczny?

Solomon ponownie nałożył okulary i przestudiował kartkę.

— Możliwe, możliwe — przyznał po kilku chwilach. Odłożył kserokopie na stół, potarł cienkie usta palcami, rozważając w milczeniu

możliwości zamknięte w tej strukturze liter i symboli. Westchnął. — Będę potrzebował kilku godzin, aby postudiować książki, porozmawiać z przyjaciółmi i dokładniej przeanalizować ten podpis. — Spojrzał na zegar ścienny. — Jest godzina jedenasta... hmm... niech się zastanowię... Proszę się przejść i wrócić... ee... w okolicach piątej po południu, dobrze?

— Oczywiście.

Tomás wstał, a rabin dał sygnał młodemu mężczyźnie.

— Chaim pójdzie z panem. To dobry przewodnik, zabierze pana na spacer po Starym Mieście. — Wykonał ręką niewyraźny gest pożegnania. — *Lehitra 'ot.*

Zapominając natychmiast o nich obu, jak gdyby nie byli niczym więcej niż duchami, którzy ulatniali się w powietrzu, stary kabalista zatopił się w tajemnicach podpisu Krzysztofa Kolumba.

###

Powietrze na ulicy było nadal chłodne i suche, chociaż silne słońce prażyło domostwa i uliczki Dzielnicy Żydowskiej. Wychodząc z budynku, Tomás zapiął kurtkę i podążył za Chaimem.

— Co chciałby pan zwiedzić? — zapytał Izraelita.

— Myślę, że to co zwykle przy takich okazjach. Święty Grób i Ścianę Płaczu.

— Dokąd pójdziemy najpierw?

— A gdzie jest bliżej?

— Do Zachodniej Ściany — odrzekł młodzieniec, wskazując na prawo. — Pięć minut stąd.

Postanowili rozpocząć zwiedzanie od świętego miejsca judaizmu. Skręcili na południe, idąc do Yeshivat Etz Chaim przy placu Hurvy. Była to pierwsza bardziej rozległa przestrzeń, jaką Noronha znalazł na Starym Mieście. Dojrzeć tu można było kawiarnie ze stolikami ustawionymi na zewnątrz, sklepy z pamiątkami i rzadkie drzewa. Plac zdominowały cztery sefardyjskie synagogi zbudowane przez hiszpańskich i portugalskich Żydów w wieku szesnastym, ruiny synagogi Hurvy oraz smukły minaret nieistniejącego meczetu Sidna Omar. Skierowali się na wschód, idąc pod arkadami podcieni ruchliwej Tiferei Yisrael, a następnie krążąc zygzakami w labiryncie zaułków pełnych sklepów z pamiątkami.

— Myśli pan, że rabin zdoła odcyfrować podpis? — zapytał Tomás, idąc obok Chaima, zapatrzony w bruk.

— Kto? Mistrz Solomon?

— Tak. Czy uważa pan, że w tym dokumencie odnajdzie jego prawdziwy, kabalistyczny sens?

— Mistrz Solomon Ben-Porat jest jednym z najlepszych kabalistów na świecie. Zewsząd przybywają do niego ludzie, prosząc o konsultacje w odkrywaniu sekretów Tory. Widzi pan, on nie jest żadnym *Chelmer chochem*.

— Żadnym kim?

— *Chelmer chochem*.

— A co to *znaczył*

— *Chelmer chochem*? To znaczy „mędrzec z Chełma”.

Profesor spojrział pytająco na swojego towarzysza.

— Rabin Solomon nie jest mądrym człowiekiem?

— Ależ jest — odrzekł tamten i roześmiał się. — Ale nie jest mędrce-
cem z Chełma.

Portugalczyk nie zrozumiał dowcipu.

— Nie jest mędrce-
cem z Chełma? A co pan chce przez to powiedzieć?

— Przepraszam, to taki nasz żart — wyjaśnił rozbawiony Żyd. — Chełm to miasto w Polsce, którego żydowscy mieszkańcy są wśród innych Żydów obiektem pośmiewiska. Czy Anglicy nie opowiadają kawałów o Irlandczykach, a Francuzi nie bawią się kosztem Belgów? My żartujemy sobie z mędrców z Chełma. Mówimy, że ktoś jest mędrce-
cem z Chełma, kiedy ma szalone pomysły.

— Ach tak? Na przykład jakie?

— Pewien rabin z Chełma obiecał kiedyś, że zakończy z biedą w mieście. „Odtąd — prawil — biedacy najadać się będą mięsem, a bogacze będą musieli zadowolić się chlebem”. „Jak to — zapytali zdumieni takimi planami wierni. — W jaki sposób mistrz dokona takiego cudu?”. Rabin odpowiedział: „To proste. Odtąd mięso nazywać będziemy chlebem, a chleb mięsem”.

Obaj wybuchnęli śmiechem.

— W Portugalii nazywamy to mądrością ludową — skomentował Tomás. — Ma pan więcej takich przykładów?

— Och, kawały o Chełmie są niezliczone ilości — odrzekł Chaim.
— Pewnego dnia mędracy żydowscy zgromadzili się, aby przedyskutować, która z gwiazd jest ważniejsza, Słońce czy Księżyc? Rabin z Chełma nie miał co do tego wątpliwości. „Księżyc”, powiedział. „Ach tak? — zdumieli się inni rabini. — A to dlaczego?”. Rabin z Chełma odpowiedział z przekonaniem: „Kto potrzebuje Słońca za dnia? — zapytał. — Światło Księżyca natomiast jest nam potrzebne w nocy, kiedy jest ciemno”.

Kolejne wybuchy śmiechu.

— Opowiadacie wiele kawałów?

— Oj, dużo, dużo.

— O mędrach z Chełma?

— Ee... tak, chociaż w gruncie rzeczy opowiadamy anegdoty o nas samych. Uwielbiamy wyśmiewać się z nas, Żydów, z naszych cech, z naszej mentalności. — Podniósł rękę na znak ostrzeżenia. — Ale uwaga, nienawidzimy, kiedy robią to inni.

— To tak jak Portugalczycy. Kiedy Portugalczyk krytykuje innego Portugalczyka, wszystko jest w porządku. Ale kiedy obcokrajowiec źle się wyraża o Portugalczyku, wtedy powstaje problem.

— Ach, niech pan nie wątpi, że odziedziczyliście to po nas — skomentował Chaim. — Wie pan, jest coś, z czego szczególnie lubimy się śmiać. To żydowska *chutspah*.

— A co to jest?

— *Chutspah*? To... ee... Nie wiem, to coś w rodzaju tupetu, odwagi, którą cechują się tylko Żydzi. Na przykład postawiono Żyda przed sądem pod zarzutem zabójstwa ojca i matki. Jako że był Żydem i *chutspah* mu nie brakowało, zdecydował odwoływać się do łaski sędziego jako sierota pozbawiona rodziców.

Parskanie śmiechem.

Przeszli obok synagogi Yeshivah, a przed nimi rozpostarł się szeroki plac. W głębi wznosił się wysoki mur z ogromnych bloków wapienia. Pod tą gigantyczną ścianą widać było szeregi Żydów w *kipah* na głowach, kiwających się w przód i w tył. Przestrzeń do modlitwy otoczono była dekoracyjnym ogrodzeniem z kamiennych bloków, z menorą z kutego żelaza na szczycie. Bloki połączone były z sobą czarnym łańcuchem oddzielającym miejsce modlitewne od reszty placu.

— *Kotel Hamaaravi* — oznajmił Chaim. — Zachodnia Ściana.

Tomás poświęcił chwilę na kontemplację sceny widzianej tyle razy w telewizji lub na zdjęciach.

— Dlaczego jest to najświętsze miejsce judaizmu? — zapytał.

Izraelita wskazał na złotą kopułę błyszczącą w słońcu na wzgórzu za murami.

— Wszystko zaczęło się tutaj, pod tą złotą kopułą. Ochronia ona kamień, na którym patriarcha Abraham, posłuszny nakazowi Boga, miał zabić swojego syna Izaaka. W ostatnim momencie jednak anioł go powstrzymał. Skala ta nazywa się *even hashetiah* i jest fundamentalnym kamieniem świata, kamieniem zarania. To na nim spoczęła później Arka Przymierza. Całe pasmo, na którym znajduje się skala Abrahama, to wzgórze Moria, góra świątynna, ponieważ tam król Salomon wznosił swoją pierwszą świątynię. Po śmierci Salomona różne konflikty doprowadziły do podziału w narodzie żydowskim. Pokonany przez Asyryjczyków popadł w niewolę Babilończyków, którzy zniszczyli Świątynię Salomona. Babilończyków z kolei zwyciężyli Persowie, a Żydzi otrzymali pozwolenie na powrót do swoich ziem. Zbudowano wtedy drugą świątynię. Najazd Aleksandra Wielkiego rozpoczął tutaj okres dominacji greckiej na Środkowym Wschodzie, którą później zastąpiła dominacja rzymska. Rzymianie pozwolili Żydom na posiadanie monarchii, sprawując nad nią kontrolę. Niedługo przed narodzeniem Chrystusa król Herod powiększył świątynię i zbudował wielki mur obronny. Ściana Zachodnia to jego część, jedyna, jaka zachowała się do naszych czasów. W roku sześćdziesiątym szóstym waszej ery chrześcijańskiej Żydzi zbuntowali się przeciw rzymskiej dominacji, rozpoczynając tak zwane wojny żydowskie. W odpowiedzi Rzymianie zdobyli Jerozolimę i w roku sześćdziesiątym ósmym zrównali świątynię z ziemią. Wydarzenie to okazało się głęboko traumatyczne dla naszego narodu. — Wskazał na wielki mur. — Dlatego Ściana Zachodnia znana jest także jako Ściana Płaczu. Żydzi przybywają tutaj, by lamentować nad zburzeniem świątyni.

Wkroczyli na wielki plac i podążyli w kierunku muru. Noronha obserwował jego surową powierzchnię, z której tu i ówdzie wystawały zielone kępki *meimendros*, a na szczycie, w szczelinach skalnych, pozostałości *ervabezerra*. Olbrzymie kamienie u podstawy pochodziły

z oryginalnego muru, ale te w górnych partiach były znacznie mniejsze. Z pewnością dobudowano je później. W złączach skał można było dostrzec nawet dwa gniazda, prawdopodobnie jaskółek lub innych ptaków, które krążyły nad placem, wypełniając przestrzeń cudownym pojedynkiem niebiańskich świergotów i pisków.

— Ale z jakiego powodu ta świątynia jest dla was tak ważna? — zapytał gość, zatrzymując się na środku placu, by podziwiać mur.

— Świątynia jest święta.

— Ale dlaczego?

— Świątynia była centrum duchowym wszechświata, miejscem, z którego dobro płynie na świat. Tam istniał szacunek do Boga i do jego Tory. To tam Abraham niemal poświęcił Izaaka, a Jakub marzył o schodach sięgających nieba. Kiedy Rzymianie zniszczyli świątynię, na ziemię zstąpiły anioły, okryły tę część murów swoimi skrzydłami i ochroniły ją, zapewniając, że nigdy nie zostanie unicestwiona. Dlatego prorocy twierdzą, że boska obecność nigdy nie opuści pozostałości świątyni, czyli Ściany Zachodniej. Nigdy. Według nich mur nigdy nie zostanie zniszczony, jest wiecznie święty. — Wskazał na olbrzymie bloki u podstawy ściany. — Widzi pan te kamienie? Największy z nich waży czterysta ton. Czterysta. To największy kamienny blok, jaki kiedykolwiek został przeniesiony przez człowieka. Nie ma skał takiej wielkości wśród zabytków starożytnej Grecji czy też w piramidach egipskich, a nawet w nowoczesnych budynkach Nowego Jorku czy Chicago. Nie ma na świecie takiego dźwigu, który zdołałby podnieść tak ciężki kamień, proszę tylko spojrzeć. — Westchnął głęboko. — Talmud uczy, że kiedy zniszczono świątynię, Bóg zamknął wrota do nieba, wszystkie oprócz jednych. Prócz Ściany Płaczu. Ściana Zachodnia to miejsce, dokąd udają się Żydzi, by płakać, to tutaj znajduje się miejsce lamentu. Wszystkie modlitwy Żydów z całego świata kierują się do Ściany Zachodniej i w tym miejscu, poprzez Ścianę Płaczu, wstępują do nieba i dochodzą do Boga. Midrasz mówi nam, że Bóg nigdy nie oddala się od tego muru. Pieśń nad pieśniami wyśpiewuje jego obecność, intonując: „Jest tam, za naszym murem”.

— Jeśli zatem świątynia jest tak ważna, dlaczego jej nie odbudujecie?

— Odbudowa rozpocznie się po przybyciu Mesjasza. Trzecia świątynia powstanie dokładnie w miejscu pierwszej i drugiej. Midrasz

mówi, że owa trzecia świątynia już została zbudowana w niebie i oczekuje jedynie na przygotowanie jej miejsca na Ziemi. Wszystko wskazuje na to, że ten czas się zbliża. Jednym z wymownych tego oznak jest powrót ludu żydowskiego do Ziemi Obiecanej. Mesjasz odbuduje świątynię na wzgórzu Moria, górze świątynnej.

— A skąd będziecie wiedzieć, że Mesjasz jest prawdziwy, a nie fałszywy?

— Właśnie dzięki rekonstrukcji świątyni. Oznaką tego, że Mesjasz jest autentyczny, będzie jego odpowiedzialność za odbudowę świątyni.

— Ale tutaj znajdują się także meczet Al Aksa i Kopuła Kamienia — zauważył Tomás, wskazując na islamskie sklepienia za murem. — Aby mogło dojść do powstania trzeciej świątyni, trzeba by było zburzyć meczety, które należą do trzecich w kolejności najświętszych miejsc islamu, oraz to wszystko, co się tam znajduje. Haram El-Sharif, na przykład, to miejsce kultu dla muzułmanów. Jaka pana zdaniem będzie ich reakcja?

— Ten problem rozwiążą Bóg i jego wysłannik, Mesjasz.

Portugalczyk zrobił sceptyczny grymas.

— Zapłacę za to, by to zobaczyć — skomentował. Spojrzał na górę Moria i wykonał ruch w jej kierunku. — Chaim, niech mi pan wyjaśni, jak to się stało, że spośród tylu okolicznych gór Żydzi i muzułmanie musieli wybrać dokładnie to samo wzgórze na miejsce czci?

— Odpowiedzi na to pytanie naturalnie udziela historia. Rzymianie wypędzili Żydów z Jerozolimy, dokonali także wielkich prześladowań na chrześcijanach. Trwało to aż do czwartego wieku waszej ery, kiedy to cesarz rzymski Konstantyn nawrócił się na chrześcijaństwo. Matka Konstantyna, Helena, przybyła do Jerozolimy i nakazała budowę pierwszych kościołów w miejscach związanych z życiem Chrystusa. Miasto odzyskało swoje znaczenie. W sześćset czter nastym roku wojsko perskie najechało na ten region i, korzystając ze wsparcia Żydów, przeprowadziło rzeź chrześcijan. Rzymianie, którzy w owym czasie zwani byli Bizantyjczykami, odbili Palestynę w roku sześćset dwudziestym ósmym, tym samym, w którym armia dowodzona przez proroka Mahometa zajęła Mekkę i doprowadziła do pojawienia się na świecie nowej religii, islamu. Dziesięć lat później, po śmierci Mahometa, jego następca kalif Omar pokonał Bizantyjczyków

i zdobył Palestynę. Jako że islam uznaje Abrahama i Stary Testament, jego następcy uważali Jerozolimę za święte miejsce. Tym bardziej iż muzułmanie wierzyli, że wcześniej Mahomet wstąpił do nieba z *even hashetiah*, czyli ze wzgórza, gdzie Abraham prawie poświęcił swojego syna i na którym Żydzi wybudowali dwukrotnie swoją świątynię. Gruzy pozostawione przez Rzymian na górze Moria zostały usunięte, a muzułmanie postawili tam swoje dwa sanktuaria, Kopułę Kamienną w sześćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku i meczet Al Aksa w siedemset piątym, wchodzące w skład kompleksu świątynnego Haram El-Sharif. — Ruchem ręki wskazał na całe wzgórze rozciągające się za Ścianą Płaczu, włącznie z połyskującą w słońcu złotą kopułą po lewej, sprawiającą wrażenie korony Starego Miasta. — Zabroniono wstępu do tego miejsca na górze Moria chrześcijanom i Żydom, chociaż pozwolono im na zamieszkiwanie w Jerozolimie. Nastąpił okres względnie tolerancyjnego współżycia aż do jedenastego wieku, kiedy to zmieniła się polityka islamu i zakazano chrześcijanom oraz Żydom wstępu do Jerozolimy. Był to początek problemów. Chrześcijańska Europa zareagowała negatywnie i podjęła się wypraw krzyżowych. Chrześcijanie odzyskali Jerozolimę i nawet założyli zakon pod nazwą Świątyni Salomona.

— Zakon Ubogich Rycerzy Chrystusa i Świątyni Salomona.

— Właśnie. Zakon Rycerzy Świątyni, zwanych także templariuszami. Zajęli oni Haram El-Sharif i podjęli się badań wykopaliskowych. Wiemy, że znaleźli ważne relikwie, jednak jakie, nie wiadomo. Mówi się o odkryciu Arki Przymierza i świętego kielicha, z którego Chrystus pił wino podczas ostatniej wieczerzy i gdzie zebrano Jego krew, kiedy umierał na krzyżu.

— Święty Graal.

— Właśnie ten. Niektórzy powiadają, że wśród znalezisk templariuszy znajdował się także święty całun, czyli szata, którą okryto ciało Chrystusa po ukrzyżowaniu. To tajemnice, które wciąż pozostają nieodkryte i które przyczyniają się do tego, że wzgórze Moria staje się miejscem mistycznym także i dla chrześcijan.

Obaj mężczyźni zbliżyli się do miejsca modlitwy. Przyglądali się wiernym obmywającym ręce w miskach, skoncentrowanym na

ablucjach, które miały ich oczyścić przed modlitwą przy Ścianie Płaczu. Zauważyli *mechitzah*, która oddzielała część męską po lewej od żeńskiej po prawej. Mężczyźni z jednej strony, a kobiety z drugiej, kołysali się przed murem w rytmicznym geście, do przodu i do tyłu, czasem trzymając w dłoniach niewielkie książeczki.

Zwiedzający po chwili odwrócili się i wymknęli północnym krańcem placu, skręcając w ulicę Hashalshet przy Bibliotece Khalidi, gdzie pochowano okrutnego emira tatarskiego Barkę Khana, podążając nią aż do ulicy Davida. Minęła już druga po południu i poczuli głód. Chaim zabrał gościa do restauracji w spokojnej Dzielnicy Żydowskiej. Jako przystawkę zjedli humus, przyrządzony z mielonego mięsa, pasty z ciecierzycy, oliwy, czosnku i soku z cytryny, oraz *tabule*, czyli mieszaninę pszenicy z posiekaną miętą, natką pietruszki, cebulą, pomidorami i ogórkiem, w sosie winegret. Na danie główne zamówili dwa kebaby w chlebie pita, doprawione pikantnym sosem *harif*. Do picia Chaim wybrał lokalne czerwone wino, dosyć ciężki Kibbutz Tsora, podczas gdy Tomáš wolał wypróbować popularne w tym regionie żydowskie piwo — Maccabee. Izraelita wyjaśnił mu, że w przeciwieństwie do muzułmanów Żydów zachęcano do picia wina. Na przykład podczas święta Purim zalecano im, by upijali się winem aż do momentu, w którym nie potrafili rozróżnić, kto był bohaterem, a kto złoczyńcą w historii Estery. Na deser Portugalczyk skosztował słynnej baklawy — cienkiego ciasta nadziewanego orzechami i pistacjami w miodzie. Jego towarzysz zdecydował się na chałwę. Posiłek zakończyła *katar* — mocna kawa podana w miedzianych tygielkach.

Trawiąc obiad, spokojnie przechadzali się ulicą Davida, która oddziela Dzielnicę Żydowską od Dzielnicy Chrześcijańskiej, podziwiając wesołe targowisko pełne sklepików z ubraniami, dywanami, drobiazgami i figurkami religijnymi wyrzeźbionymi w drewnie oliwnym — wszystkim, co można było sobie wyobrazić, by wzbudzić zainteresowanie turystów i wykorzystać dewocję pielgrzymów. Niedaleko przed ruchliwą Porta de Jaffa i cytadelą skręcili w prawo, w ulicę Muristan, opanowaną przez sklepy ze skórą, i dotarli w końcu do Dzielnicy Chrześcijańskiej. Ominęli neoromański kościół Zbawiciela i znaleźli się na Souk El-Dabbagha, gdzie skręcili w lewo, idąc w kierunku ciemnego i ponurego kościoła Świętego Grobu. Jeden z Arabów

zaoferował swoje usługi jako przewodnik, ale Tomás odmówił, wyczuwając, że chodziło mu głównie o pieniądze.

Pokonali schody wejściowe i przeszli przez portal zwieńczony łukiem wspartym na marmurowych kolumnach. Skręcili w prawo i wspięli się na Kalwarię, na której Rzymianie ukrzyżowali Chrystusa. Skałę skrywała konstrukcja podzielonej na pół kaplicy. Po prawej stronie znajdowała się część katolicka, obejmująca dziesiątą i jedenastą stację, miejsce kaźni Jezusa. Pod wierzchołkiem Kalwarii, gdzie Maria opłakiwała syna u stóp krzyża, figura Matki Boskiej Bolesnej symbolizowała Stabat Mater. Po drugiej stronie kaplicy, w miejscu, gdzie wbito krzyż, znajdowała się część prawosławna. W obydwu częściach ustawiono szklane konstrukcje, przez które można było zobaczyć chropowatą powierzchnię skały Kalwarii.

— Imponujące! — skomentował Tomás cicho, pochylając się, by lepiej przyjrzeć się skale, na której dokonano ukrzyżowania. — To jest właśnie miejsce śmierci Jezusa.

— Niekoniecznie dokładnie to — odparł Chaim, wcale nieprzejawiający zachwyty nad kultowym miejscem chrześcijan.

— Nie?

— Pamięta pan, jak mówiliśmy o Konstantynie, cesarzu rzymskim, który nawrócił się na chrześcijaństwo?

— Tak.

— W trzysta dwudziestym piątym roku Konstantyn zwołał konsylium ekumeniczne w celu dyskusji nad naturą Świętej Trójcy. Na tym zgromadzeniu obecny był biskup Macarius, patriarcha Jerozolimy, który przekonał matkę Konstantyna, Helenę, aby przybyła do Ziemi Świętej zlokalizować zrujnowane miejsca, w których przebywał Chrystus. Helena w przybliżeniu określiła jaskinię w Betlejem, w której narodził się Jezus, oraz grotę na Górze Oliwnej, w której przepowiedział zniszczenie Jerozolimy. Matka Konstantyna doszła do wniosku, że Golgota, czyli skała, na której ukrzyżowano Chrystusa, znajdowała się pod świątyniami pogańskimi zbudowanymi przez cesarza rzymskiego Hadriana dwieście lat wcześniej, na północnym zachodzie Starego Miasta.

— Golgota?

— To hebrajska nazwa skały. Oznacza tyle, co „czaszka”. W łacińskim brzmieniu Kalwaria. — Zawahał się. — Na czym to ja skończyłem?

— Na tym, jak Helena odkryła, że Kalwaria znajduje się pod świątyniami rzymskimi.

— Właśnie. Zrównała z ziemią owe świątynie, zniszczyła część skały znajdującej się pod nimi i postawiła tam bazylikę. W arbitralny sposób Helena określiła dokładnie miejsca, gdzie Jezus przygotowywał się do egzekucji, gdzie był przybity do krzyża i gdzie krzyż postawiono. Inaczej mówiąc, dziesiątą, jedenastą i dwunastą stację Drogi Krzyżowej. Dokonała tego na bazie przypuszczeń. Nie ma jednak absolutnej pewności, że skała, na której wzniesiono bazylikę, to rzeczywiście Golgota, chociaż wszystko na to wskazuje. Ewangelie podają, że Chrystus został ukrzyżowany na górze znajdującej się poza murami miasta niedaleko niewielkiego wzgórza z grotami używanymi jako katakumby. Badania archeologiczne ujawniają, że miejsce to dokładnie odpowiada temu opisowi. To wszystko, co na ten temat można powiedzieć.

Znaleźli jeszcze czas, by stanąć w kolejce do zwiedzania Grobu Pańskiego, pozostałości katakumby, gdzie prawdopodobnie złożono ciało Chrystusa po śmierci. Obecnie skrywało je sanktuarium wzniesione w samym centrum świątynnej rotundy, majestatycznej, okrągłej sali w stylu romańskim, z wielokondygnacyjnymi arkadami, zwieńczonej wielką białą kopułą bazyliki. Chaïm, jako dobry Żyd, nie chciał wejść do środka kaplicy. Wolał podziwiać kopułę *katholikonu*, która przykrywała środkową nawę kościoła krucjat i uważana była przez Kościół prawosławny za centrum świata. Tomás, kiedy przyszedł jego kolej, pochylił głowę, przecisnął się przez niskie przejście i przyjrzał się ciepłemu i wilgotnemu wnętrzu sanktuarium Grobu Pańskiego. Z nieoczekiwanym szacunkiem patrzył na marmurową płytę, która przykrywała miejsce, gdzie położono ciało Jezusa, i kontemplował płaskorzeźby zdobiące ową klaustrofobiczną kryptę grobową, przedstawiające scenę zmartwychwstania. Po kilku sekundach opuścił to miej see pod naporem tych, którzy czekali na swój ą kolej. Stojący przy wyjściu Izraelita, z zegarkiem w ręku, pokazywał mu godzinę.

— Jest wpół do piątej — powiedział. — Musimy już wracać.

###

Obszerna sylwetka Solomona Ben-Porata zwrócona była plecami do drzwi. Na tysej głowie wyraźnie odznaczała się jarmulka.

Rozmawiał ze szczupłym, kościstym mężczyzną o małych oczach i czarnej, długiej brodzie, ubranym w *bekeshe* — surowy strój chasydzki. Rabin wyczuł obecność obu przybyłych i odwrócił się na krześle. Nad jego obfitą, szarą brodą pojawił się uśmiech zadowolenia.

— O! — wykrzyknął. — *Ma shlomcha?*

— *Tov* — odpowiedział Chaim.

— Wejdźcie, wejdźcie — odezwał się po angielsku Solomon, przywołując ich tanecznym ruchem palców lewej dłoni. — Profesorze Noronha! — zawołał, jak zwykle przedłużając głoskę „r” tak, że brzmiało to: „Prrofessorze Norronha”. Wskazał na siedzącego po jego prawej stronie. — Przedstawiam panu mojego przyjaciela, rabinę Abrahama Hurewitza.

Chudy mężczyzna podniósł się i przywitał z Tomášem oraz Chaimem.

— *Yom tov* — powiedział, życząc miłego popołudnia.

— Rabin Hurewitz przybył mi z pomocą — wyjaśnił Ben-Porat, głaszcząc swobodnie brodę. — Widzi pan, przestudiowałem otrzymane od pana dokumenty i przeprowadziłem kilka rozmów telefonicznych z przyjaciółmi. Dowiedziałem się, że rabin Hurewitz w swoim czasie badał teksty Krzysztofa Kolumba, w szczególności *Libro de las Profecías* oraz jego dziennik. Nawiązałem z nim kontakt, a on wyraził chęć udzielenia panu potrzebnych wyjaśnień.

— Ach, to doskonale — stwierdził Tomáš z aprobatą, nie odrywając wzroku od Hurewitza.

— Ale uważam, że najpierw należy przedstawić pewne wstępne uwagi. — Solomon Ben-Porat obserwował z zainteresowaniem Portugalczyka. — Profesorze Noronha, proszę mi wybaczyć pytanie, ale co wie pan o kabale?

— Hmm... myślę, że niewiele — wyjąkał tamten, przygotowując swój stary notes, aby zapisać wszystko, co zostanie powiedziane. — Mam pewne ogólne pojęcie, ale raczej nieugruntowane. Po raz pierwszy spotykam się z kabałą w badaniach naukowych.

— *Right* — przytaknął Solomon, wymawiając „r” ze swoim zwykłym gardłowym brzmieniem i przeciągając głoskę. — Widzi pan, profesorze, kabała zawiera w sobie symboliczny kod tajemnic

wszechświata z Bogiem w centralnym punkcie. Wyrażenie „kabała” pochodzi od czasownika *lecabel*, czyli „otrzymywać”. Stoimy więc przed systemem przekazu i odbioru, metodą interpretacji, instrumentem umożliwiającym odszyfrowanie świata, kluczem pozwalającym na dostęp do planów Tego, który nie ma imienia. — Rabin wyrażał się z wielką elokwencją, tonem powolnym i głębokim, niczym Mojżesz ogłaszający Dziesięcioro Przykazań. — Niektórzy mówią, że kabała sięga aż do pierwszego człowieka, Adama. Inni doszukują się jej korzeni u patriarchy Abrahama, chociaż wielu wskazuje na Mojżesza jako pierwszego kabalistę. To jemu przypisuje się autorstwo *Torat Mosheh*, czyli Pięcioksięgu. Jednak, jak wiemy, owa mistyczna nauka dopiero później doczekała się systematyzacji. — Zniżył głos i przyjął poufałą postawę, jak gdyby nie chciał, by Bóg usłyszał następane zdanie. — Aby ułatwić panu zrozumienie, profesorze, będę podawał wszelkie chronologiczne wzmianki według waszej ery chrześcijańskiej. — Wyprostował się. — Pierwsze usystematyzowane ślady kabały pojawiły się w pierwszym wieku przed naszą erą, natomiast z upływem czasu nauka ta przeszła przez siedem etapów. Pierwszy z nich trwał najdłużej, aż do dziesiątego wieku. Owa początkowa faza zdominowana była przez medytację jako środek osiągnięcia duchowej ekstazy pozwalającej na dostęp do boskich tajemnic. Dzieła kabalistyczne tego okresu opisują nadrzędne plany istnienia. Drugi etap odbył się w latach tysiąc sto pięćdziesiąt—tysiąc dwieście pięćdziesiąt w Niemczech. Charakteryzował się praktyką absolutnego ascetyzmu, kiedy to mędrzec rezygnował z rzeczy ziemskich i oddawał się ekstremalnemu altruizmowi. Następną fazę przedłużyła się do początku wieku czternastego. Wtedy narodziła się kabała prorocza, przede wszystkim dzięki pracy Abrahama Abulafili. Nastąpił rozwój metod lektury i interpretacji mistycznej natury tekstów świętych z wprowadzeniem kombinacji liter hebrajskich i imion Boga. Czwarty etap przebiegał przez cały wiek czternasty. Powstało wtedy najważniejsze mistyczne dzieło kabalistyczne, *Sefer HaZohar* lub inaczej *Księga Chwały*. Ów cenny tekst pojawił się pod koniec trzynastego wieku na Półwyspie Iberyjskim, a jego autorstwo przypisuje się Mojżeszowi de Leonowi.

— O czym ono mówi?

— *Sefer HaZohar*? To obszerne dzieło na temat Stworzenia oraz duchowego zrozumienia tajemnic Boga i wszechświata. — Odkasznął, przygotowując się do podjęcia narracji. — Piąty etap również rozpoczął się na Półwyspie Iberyjskim, wraz z zakazem judaizmu w Hiszpanii, w roku tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym drugim, i w Portugalii, w tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym szóstym. Największym interpretatorem tego okresu był Izaak Luria Aszkenazi, który, usiłując znaleźć mistyczne wyjaśnienie prześladowań, w nadziei na zbiorowe zbawienie stworzył teorię uchodźstwa, przybliżając tym samym kabałę do mesjanizmu. Z tego powodu faza szósta, na przełomie wieków siedemnastego i osiemnastego charakteryzowała się pseudomejsanizmem, który przyczynił się do wielu błędów oraz otworzył drogę siódmemu i ostatniemu etapowi, chasydyzmowi, pochodzącemu ze wschodniej Europy. Powstał on w reakcji na mesjanizm. Ruch chasydzki, pod kierownictwem Izraela Baal Szem Tova, pozwolił na popularyzację kabały, która stała się mniej hermetyczna, elitarna, a jej pojęcia bardziej dostępne powszechnemu zrozumieniu.

— A przeliczanie liter i Drzewo Życia? — zapytał Tomás, gryząc gwałtownie w swoim notatniku. — Do którego etapu się to zalicza?

— Profesorze Noronha, mówi pan o dwóch zupełnie innych rzeczach — odparł Solomon. — To, co nazywa pan przeliczaniem liter, to, jak sądzę, gematria. Technika ta polega na otrzymaniu waloru liczbowego słów po przeprowadzeniu konwersji liter alfabetu hebrajskiego na liczby. W gematrii pierwsze dziewięć liter odpowiada dziewięciu liczbom jednocyfrowym, następne dziewięć dziewięciu dziesiątkom, a cztery pozostałe reprezentują cztery pierwsze setki. — Otworzył ramiona i zatoczył nimi dookoła, jak gdyby tym ruchem chciał ogarnąć cały świat. — Bóg stworzył wszechświat za pomocą liczb, a każda z nich zawiera pewną tajemnicę i objawienie. Wszystko, co istnieje we wszechświecie, jest powiązane systemem przyczyn i skutków oraz tworzy jedność, która pomnaża się w nieskończoność. Obecnie matematycy posługują się teorią chaosu, by zrozumieć ten skomplikowany proces. Fizycy natomiast kierują się zasadą niepewności, aby wytłumaczyć dziwne zachowanie mikrocząstek w ich formie kwantowej. My, kabaliści, wolimy gematrię. Ponad dwa tysiące

lat temu, gdzieś pomiędzy wiekiem drugim a szóstym ery chrześcijańskiej, pojawiło się niewielkie, enigmatyczne, i metafizyczne dzieło pod tytułem *Sefer Yetzirah* lub inaczej Księga Stworzenia, które opisuje, w jaki sposób Bóg stworzył świat za pomocą liczb i słów. Tak jak dzisiaj matematycy i fizycy *Sefer Yetzirah* broniło tezy, że zrozumienie liczb pozwala na dostęp do boskiej mocy twórczej. Na tym w gruncie rzeczy polega gematria. System ten moc stwórczą przypisuje słowu i liczbom oraz wychodzi z założenia, że Bóg w akcie Stworzenia użył języka hebrajskiego. Liczby oraz język hebrajski mają naturę boską. Poprzez gematrię można przekształcić litery w liczby i dokonać bardzo ciekawych odkryć. — Przeciągnięte „r” w *verrry interrrresting discoverrrries* dodało ostatniemu zdaniu tajemniczego charakteru. — Na przykład hebrajskie słowo *shannah*, czyli rok, jest sumą wynoszącą trzysta pięćdziesiąt pięć, czyli dokładnie tyle dni, ile liczy rok księżycowy. A wartość liczbową słowa *heraryon*, ciąża, wynosi dwieście siedemdziesiąt jeden, czyli równowartość w dniach dziewięciu miesięcy, okresu trwania ciąży.

— Niczym anagram.

— Właśnie, boski anagram pomiędzy liczbami a słowami. Przyjrzyjmy się innym przykładom. W gematrii *av*, co oznacza „ojciec”, odpowiada liczbie trzy, a *em*, czyli „matka”, jest sumą wynoszącą czterdzieści jeden. Jeśli trzy dodamy do czterdziestu jeden to otrzymamy czterdzieści cztery, a taką właśnie wartość sumaryczną posiada słowo *ieled*, czyli „dziecko”. Dziecko to wynik dodawania matki i ojca. Jedno z imion Boga, *Elohim*, ma wartość osiemdziesiąt sześć, a słowo przyroda, czyli *hateva*, również odpowiada liczbie osiemdziesiąt sześć. Innymi słowy, Bóg to przyroda.

— Ciekawe.

— Tym bardziej interesujący, profesorze Noronha, jest rezultat zastosowania gematrii do Pisma Świętego. Jedno z imion Boga, *Yhvh elohei Israel*, ma wartość sumaryczną sześćset trzynaście. Nasz mistrz Mojżesz, *Mosheh rabeinu*, również ma sumę sześćset trzynaście. Co więcej, sześćset trzynaście to liczba nakazów Tory. Oznacza to, że Bóg przekazał Mojżeszowi sześćset trzynaście praw Tory. — Wykonał rękami ruch przypominający obejmowanie kuli. — Pismo

Święte charakteryzuje się holograficzną złożonością, jego tekst bogaty jest w różne znaczenia. Inny przykład. W Księdze Rodzaju czytamy, że Abraham zabrał do bitwy trzysta osiemnaście sług. Kabaliści, studiując wartość numeryczną imienia jego sługi Eliezera, odkryli jednak, że wynosiła ona trzysta osiemnaście. Tym samym zakłada się, że Abraham w rzeczywistości zabrał ze sobą tylko swojego jedy- nego sługę.

— Czy chce pan powiedzieć, że Biblia ma ukryte znaczenia?

— Można tak to nazwać — odrzekł Solomon z uśmiechem. — Czy wie pan, jakie jest pierwsze słowo Pisma Świętego?

— Nie.

— *Bereshith*, co znaczy „na początku”. Jeżeli podzielimy *bereshith* na dwa wyrazy, otrzymamy *bere*, czyli „stworzył” oraz *shith*, co oznacza „sześć”. Akt Stworzenia trwał sześć dni, a siódmego dnia Bóg odpoczął. Całe przesłanie Stworzenia w ten sposób zawiera się w jednym jedynym słowie, pierwszym słowie Pisma Świętego”, *bereshith*. Na początku. *Bere* i *shith*. „Stworzył” i „sześć”. „Sześć” odpowiada heksagramowi, podwójnemu trójkątowi pieczęci Salomona, który obecnie nazywamy gwiazdą Dawida i który widnieje na naszej fladze.

— Wskazał na białą flagę Izraela umieszczoną w rogu biura. — W Piśmie Świętym można znaleźć także i anagramy. Na przykład w Księdze Wyjścia Bóg oznajmia: „Wyślę do Ciebie mojego anioła”. Wyrażenie „mojego anioła” w języku hebrajskim to *melakhi*. Jest to anagram imienia Mikhael, anioła stróża Żydów. Inaczej mówiąc, Bóg wysłał anioła Mikhaela.

— Czy ten system interpretacji dotyczy także Drzewa Życia?

— Drzewo Życia to coś innego — stwierdził kabalista. — Stosunek Boga do człowieka przez długi czas zdominowany był przez dwie kwestie. Jeżeli Bóg stworzył świat, czym więc jest świat, jeżeli nie Bogiem? Druga kwestia ma źródło w pierwszej. Dlaczego świat jest tak niedoskonały, jeżeli świat to Bóg? Częściowo, aby udzielić odpowiedzi na te pytania, pojawiło się *Sefer Yetzirah*, o którym przed chwilą wspomniałem jako o tekście mistycznym opisującym metodę stworzenia przez Boga wszechświata za pomocą słów i liczb. Na początku przypisano to dzieło Abrahamowi, chociaż prawdopodobnie zostało napisane przez rabina Akivę. *Sefer Yetzirah* ujawnia boską naturę liczb oraz wykazuje ich związek z trzydziestoma dwiema

Drogami Mądrości, które pokonał Bóg w akcie Stworzenia. Owe trzydzieści dwie drogi stanowią sumę dziesięciu pierwotnych liczb, *sephirot*, oraz dwudziestu dwóch liter alfabetu hebrajskiego. Każda litera i każda *sephirah* jest symbolem. Na przykład pierwsza *sephirah* oznacza ducha Boga żywego, wyrażającego się głosem, technieniem i mową. Druga *sephirah* reprezentuje duchową emanację powietrza, natomiast trzecia wyraża pochodzącą z powietrza wodę i tak dalej. Dziesięć *sephirot* to pośrednie duchowe sfery emanowane przez Boga w akcie Stworzenia, tworzące mistyczne Drzewo Życia. *Sephirah* stanowi podstawową jego jednostkę, najmniejszą niepodzielną część zawierającą w sobie elementy wszystkiego. Naturalnie pojęcie to uległo ewolucji. *Sefer HaZohar*, wielkie dzieło kabalistyczne, które pojawiło się na Półwyspie Iberyjskim w końcu trzynastego wieku, określa *sephirot* jako dziesięć aspektów Boga. Pierwsza *sephirah* to *keter*, czyli korona. Druga to *chokmah*, czyli mądrość. Trzecia nazywa się *binah* i symbolizuje zrozumienie. Czwarta, *chesed*, to łaska, a piąta, *gevurah*, to srogość. Szósta to *tipheret*, czyli piękno. Siódma nazywa się *netzach* i reprezentuje zwycięstwo. Ósma, *hod*, to chwała, a dziewiąta, *yesod*, to fundament. Wreszcie dziesiąta, *malkhut*, to królestwo.

— Wolniej — błagał Portugalczyk, gryzmoląc gorączkowo i usiłując zapisać wszystkie te informacje w notatniku. — Troszkę wolniej.

Na tym etapie mimo wszystko stracił już wątek, gubiąc się w kolejnych słowach hebrajskich. Solomon jednak niewzruszenie przedstawiał podstawowe zasady kabały. Uszanował krótką przerwę, pozwalając, by historyk naszkicował na kartce Drzewo Życia, po czym podjął swój wywód.

— *Sefer HaZohar* ustanowiło wiele możliwych interpretacji Drzewa Życia. Lektura *sephirot* może przebiegać w kierunku poziomym i pionowym, wstępującym i zstępującym. Na przykład kierunek zstępujący opisuje akt Stworzenia, w którym Boskie Światło napędza pierwszą *sephirah*, *keter*, a następnie przenika w dół aż do ostatniej, *malkhut*. Kierunek wstępujący reprezentuje akt ewolucji, który prowadzi stworzenie do jego Stwórcy, wychodząc z materii w kierunku duchowości. Każda z *sephirot* wyraża inne Imię Najwyższego. Na przykład *keter* to *Ehieh*, a *malkhut* to *Adonai*. Każdą z *sephirot* rządzi jeden z archaniołów. *Keter* przyporządkowane jest archaniołowi

Metatronowi. Drzewo Życia reprezentuje cały wszechświat, gwiazdy, wibracje, ciało ludzkie.

Po tym, jak Solomon odszedł od hermetycznych wyrażeń hebrajskich, wzrosło zainteresowanie Tomasa filozofią kabalistyczną.

— Ciało człowieka?

— Tak, kabała sugeruje, że człowiek jest mikrokosmosem, miniaturową symulacją wszechświata. Znajduje to swój obraz w Drzewie Życia. *Keter* to głowa, *chokmah*, *chesed* i *netzach* to prawa strona ciała, natomiast *binah*, *gevurah* i *hod* to strona lewa. *Tipheret* to serce, *yesod* genitalia, a *malkhut* stopy. — Westchnął głęboko i podniósł ręce w szerokim geście. — Wiele, wiele można jeszcze opowiadać o kabale. Proszę wierzyć, że studia nad nią trwają całe życie i w tak krótkim zarysie niemożliwe jest przedstawienie wszystkich jej tajemnic, wszystkich mistycznych zagadek, które w sobie kryje. Myślę więc, że lepiej poprzestać na tych wyjaśnieniach. Podałem panu informacje wystarczające do zrozumienia naszej interpretacji dokumentów i podpisu, które dzisiaj pan mi pokazał.

Tomás momentalnie przestał robić notatki i pochylił się nad stołem. Wydawało mu się, że rozmowa sięgnęła punktu kulminacyjnego.

— Tak, przejdźmy do interpretacji podpisu Krzysztofa Kolumba. Czy w pana opinii jest on kabalistyczny?

Solomon się uśmiechnął.

— Spokojnie — powiedział. — Cierpliwość jest zaletą mędrców, profesorze Noronha. Myślę, że istnieją pewne fakty dotyczące Kolumba, które powinien pan poznać, zanim zajmiemy się szczegółowo kwestią podpisu.

— Coś już na ten temat wiem — zapewnił Portugalczyk.

— Być może — przyznał stary kabalista. — Sądzę jednak, że chciałby się pan również dowiedzieć, co ma panu do powiedzenia rabin Abraham Hurewitz.

Ben-Porat obrócił się w prawo, gestem zapraszając Hurewitza do zabrania głosu. Chudy rabin odczekał chwilę, przypatrując się swoimi małymi czarnymi oczkami trzem obserwującym go mężczyznom. Zanim zaczął mówić, zaczerpnął powietrza.

— Panie profesorze Noronha — odezwał się cichym, podporządkowanym głosem, w absolutnym kontraście z gardłowym grzmieniem

Solomona. — Słyszałem, jak twierdził pan, że zna pewne fakty o Krzysztofie Kolumbie. Czy byłby pan tak miły i podał mi datę wyruszenia żeglarza w pierwszą wyprawę do Ameryki?

— Hmm... datę pierwszej wyprawy? Tej, która zaowocowała odkryciem Nowego Świata?

— Tak, panie profesorze. Kiedy dokładnie Kolumb rozpoczął swoją podróż?

— Tak... myślę, że wypłynął z portu Palos, w Kadyksie, trzeciego sierpnia tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego drugiego roku.

Tomás uśmiechnął się, jak gdyby zabył swoją wiedzę przed egzaminatorem. Kabalista jednak zachował niewzruszony wyraz twarzy kogoś, kto oczekiwał takiej odpowiedzi.

— A teraz, panie profesorze, czy może mnie pan poinformować o ostatecznym terminie ustanowionym dekretem Władców Katolickich opuszczenia Hiszpanii przez Żydów?

— Ee... — zawahał się Noronha. — Tego... już nie wiem. Wydarzyło się to około tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego drugiego roku.

— Tak, panie profesorze, ale dokładnie którego dnia?

— Nie wiem.

Rabin zrobił teatralną pauzę. Utkwił wzrok w swym rozmówcy, przewidując jego reakcję na swoje następne słowa.

— A jeżeli powiem panu, że dekrety królewskie nakazywały Żydom sefardyjskim opuszczenie Hiszpanii do trzeciego sierpnia tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego drugiego roku?

Portugalczyk otworzył szeroko oczy.

— Co? Trzeciego sierpnia? To znaczy... to znaczy, do dnia, w którym Kolumb wyruszył w swoją pierwszą podróż?

Pokręcił głową ze zdumienia.

— Nie miałem o tym pojęcia! — wykrzyknął. — To... to ciekawy zbieg okoliczności.

Cienkie usta rabina Hurowitza wykrzywił pozbawiony humoru uśmiech.

— Tak pan uważa? — zapytał, niemal pogardzając użytym przez Tomasa słowem, komentującym jednoczesność dat. — Rabin Shimon Bar Iochay napisał, że wszystkich skarbów Najwyższego Króla strzeże

jeden klucz. Oznacza to, panie profesorze, że nie istnieją żadne zbiegi okoliczności, a raczej subtelne formy, którymi posługuje się Stwórca, by przekazać swoje przesłanie. Czyż zbiegiem okoliczności jest fakt, że imiona Boga i Mojżesza mają tę samą wartość liczbową co prawa Tory? Czy to zbieg okoliczności, że Krzysztof Kolumb wypłynął z Hiszpanii dokładnie tego samego dnia, w którym wypędzono z tego kraju Żydów? Jeżeli uważa pan, że tak, panie profesorze, proszę mi wyjaśnić jeszcze jedną dziwną rzecz. — Otworzył leżącą na stole książeczkę z twarzą Kolumba i hebrajskim tytułem na okładce. — Są to dzienniki relacjonujące odkrycie Ameryki napisane przez samego admirała. Proszę posłuchać, co pisze on na wstępie. — Hurewitz przeczytał cicho tekst w języku hebrajskim, tłumacząc jednocześnie na angielski: — „Po tym jak wypędzili wszystkich Żydów ze swoich królestw i poddanych ziem, tego samego miesiąca stycznia Ich Wysokości nakazały mi udać się z wystarczającą flotą do wspomnianych regionów w Indiach”. — Podniósł wzrok i ponownie spojrzął na Tomasa. — Co pan sądzi o tym fragmencie pamiętnika pana Kolumba? Noronha, który tymczasem wrócił do notowania, przygryzł dolną wargę.

— Czytałem już ten pamiętnik, ale przyznam, że nie zwróciłem większej uwagi na to zdanie.

— Znajduje się na początku książki — podkreślił rabin. — To zdanie, panie profesorze, w rzeczywistości wiele nam mówi. Po pierwsze, informuje, że decyzja o wysłaniu Kolumba do Indii zapadła w styczniu tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego drugiego roku. Po drugie, postanowienie o wypędzeniu Żydów, uprawomocnione dekretem z trzydziestego marca, które dawało im czas na opuszczenie Hiszpanii do trzeciego sierpnia, również zostało podjęte w tym samym miesiącu styczniu tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego drugiego roku. — Pochylił głowę. — Czy sądzi pan, że to zbieg okoliczności, panie profesorze?

— Nie wiem — odparł Tomás, kręcąc głową i nie odrywając wzroku od swoich notatek. — Szczerze mówiąc, nie wiem. Dotychczas nie zauważyłem, że oba te wydarzenia przebiegały jednocześnie.

— To nie żaden zbieg okoliczności — stwierdził kabalista z przekonaniem. — Zdanie, które panu przeczytałem, ujawnia jeszcze coś.

Chodzi tu o motywy pana Kolumba. Według rabina Shimona Bara Iochaya, to nie działanie przynosi ludziom rekompensatę, ale motywy, które nimi kierowały. Z jakiego powodu pan Kolumb wspomina o wypędzeniu Żydów na początku swojego dziennika? Czy to był zwykły kaprys? Niekonsekwentny banał? Nic nieznacząca wzmianka dotycząca aktualnych dla niego wydarzeń? — Uniósł brew, jak gdyby nie akceptował takiej interpretacji. — A może to było celowe? — Podniósł oba palce wskazujące i złączył je. — Czyż nie jest to oczywiste, że próbował powiązać ze sobą oba te wydarzenia?

— Czy uważa pan, że mają one z sobą związek?

— Bez wątpienia. Czy pan profesor wiedział, że w przeddzień rozpoczęcia swojej pierwszej podróży pan Kolumb wymógł na całej załodze, by znalazła się na pokładach swoich statków do godziny dwudziestej trzeciej?

— Więc?

— Było to postępowanie rzadko spotykane, niezgodne ze zwyczajami panującymi wśród żeglarzy owego okresu. Tymczasem pan Kolumb nalegał, aby wszyscy zebrali się na swoich statkach do godziny dwudziestej trzeciej. A wie pan, co się wydarzyło godzinę później?

— Nie.

— Weszło w życie rozporządzenie wypędzające Żydów. — Uśmiechnął się. — Inaczej mówiąc, oba te fakty mają ze sobą związek. W skład załogi wchodził Żydzi.

— Chce pan powiedzieć, że należał do nich również sam Kolumb?

— Właśnie. — Kabalista ponownie przekartkował dziennik żeglarsza. — Proszę zauważyć, co napisał pan Kolumb pod datą dwudziestego trzeciego września o pojawieniu się wiatrów, które położyły kres niebezpiecznej ciszy morskiej. — Zaczął tłumaczyć: — „W ten sposób morze było dla mnie łaskawe, czego nie było wcześniej, chyba że w czasach Hebrajczyków, kiedy to uciekali z Egiptu pod wodzą Mojżesza, który wywiódł ich z niewoli”. — Spojrzał na Tomasa. — Czy nie uważa pan, że to dziwne, aby katolik w taki sposób cytował Pięcioksiąg, a tym bardziej odwołując się do opisu wydarzenia z Księgi Wyjścia, które nie wzbudza zainteresowania u chrześcijan, natomiast dla Żydów ma olbrzymie znaczenie? Poza tym, panie profesorze,

zwyczaj ilustrowania sytuacji życiowych cytatami biblijnymi jest ewidentnie żydowski. To coś, co my, Żydzi, robimy codziennie i co, najwyraźniej, również robił i pan Kolumb. Zajrzał do wielkiego zeszytu zapelnionego notatkami w języku hebrajskim. — W trakcie badań, które prowadziłem kilka lat temu na temat pana Kolumba, znalazłem jeszcze inne ciekawe informacje. Pierwsza z nich była taka, iż dwa dni przed wypłynięciem w pierwszą podróż admirał otrzymał z Lizbony *Tábuas de Declinação do Sol*, zbiór tablic nawigacyjnych opracowany przez pana Samuela Zacuto dla króla Portugalii.

— Jana Drugiego.

— Tak. Owe tablice, określane również jako *Roteiro Calendário*, obecnie znajdują się w Muzeum Hebrajskim w Nowym Jorku. Podczas badań byłem w Nowym Jorku i poszedłem je obejrzeć. Wie pan, co odkryłem?

— Nie mam pojęcia.

— Odkryłem, iż *Tábuas de Declinação do Sol* zostały opisane po hebrajsku. — Uśmiechnął się. — Rozumie pan? Po hebrajsku. — Pozwolił, by jego odkrycie wywarło odpowiednie wrażenie. — Powstaje pytanie: gdzie pan Kolumb nauczył się czytać po hebrajsku?

— Słusznie — skomentował Tomás. Zniżył głos, choć nie mógł się powstrzymać od osobistego wtrącenia. — Tym bardziej jeżeli weźmiemy pod uwagę, że był prostym tkaczem jedwabiu.

— Słucham?

— Proszę nie zwracać uwagi, mówiłem sam do siebie — uciął Portugalczyk, pilnie notując wszystko, czego się dowiedział. — Historia ta zmusza nas do postawienia jeszcze jednego pytania. W jaki sposób przyrząd nawigacyjny Jana Drugiego został dostarczony Kolumbowi dwa dni przed wyprawą, która, w założeniu, nie leżała w interesach Portugalii?

— Na to nie potrafię odpowiedzieć, panie profesorze — odrzekł rabin z zawstydzeniem.

— I nie musi pan. Nie trzeba. To tylko dodatkowa tajemnica, która wskazuje na bliskie związki admirała z królem portugalskim.

Abraham Hurewitz ponownie zatopił wzrok w swoim zeszycie.

— To nie wszystko, co zwróciło moją uwagę — powiedział, przeglądając notatki sporządzone w języku hebrajskim. — Istnieje również

list wysłany do królowej Izabeli Katolickiej od jej spowiednika, pana Hernanda de Talavery. Dosyć ciekawy. List datuje się na tysiąc czterysta dziewięćdziesiąty drugi rok. Pan Talavera kwestionuje w nim zezwolenie na wyprawę pana Kolumba wydane przez Władców Katolickich. We fragmencie tego dokumentu pyta: „W jaki sposób przestępcza wyprawa Colona miałyby dotrzeć do żydowskiej Ziemi Świętej?”. — Podniósł głowę, a na jego twarzy pojawił się wyraz zaintrygowania. — Dotrzeć do żydowskiej Ziemi Świętej? Dlaczego spowiednik królowej otwarcie wiąże Kolumba z Żydami? — Przez chwilę pozostawił to pytanie bez odpowiedzi. — Ale to nie wszystko. W swoim *Libro de las Profecías* pan Kolumb oparł się niemal wyłącznie na prorokach starotestamentowych. Znajdują się tam liczne odnośniki do Izajasza, Ezechiela, Jeremiasza i wielu innych. Takie zachowanie charakteryzuje Żydów. Jego syn, Hernando Colón, w swoim dziele o ojcu stwierdza, że pan Kolumb pochodził z rodziny wywodzącej się „z królewskiej krwi Jerozolimy”. — Ponownie spojrzął na Portugalczyka. — Królewska krew Jerozolimy? — Roześmiał się dyskretnie, niemal skrywając usta. — Trudno znaleźć coś bardziej bezpośredniego. Rabin zamknął zeszyt, dając znak, że zakończył swoją wypowiedź. Solomon Ben-Porat chwycił plik kartek, które Tomás wręczył mu rano, chrząknął i podjął rozmowę.

— Profesorze Noronha — zagrzmiał swoim gardłowym angielskim, co brutalnie kontrastowało z cichym sposobem mówienia Hurwitza. — Z zainteresowaniem przeczytałem otrzymane od pana dokumenty.

Dostrzegłem w nich równie odkrywcze zależności. — Wybrał jedną z kartek i zademonstrował swemu gościowi. — Co to jest?

Historyk przerwał notowanie, pochylił się nad stołem i przyjrzał kserokopii.

— To... to strona z *Historia rerum ubique gestarum* papieża Piusa Drugiego, jedna z książek należących do Krzysztofa Kolumba, która znajduje się w Bibliotece Colombina w Sewilli.

Stary rabin wskazał na notatkę na marginesie tekstu.

— A kto to napisał?

— Krzysztof Kolumb we własnej osobie.

— Doskonale! — wykrzyknął Solomon. — Czy zauważył pan, że dokonuje on tutaj konwersji chrześcijańskiej daty, roku tysiąc czterysta

dziewięćdziesiątego drugiego, na żydowski rok pięć tysięcy dwieście czterdziesty pierwszy? — Pochylił głowę. — Proszę mi powiedzieć, profesorze, czy chrześcijanie mają w zwyczaju zamieniać daty chrześcijańskie na żydowskie?

— Nie.

— Co prowadzi nas do następnego pytania. Ilu katolików potrafi przeprowadzić takie obliczenia?

Tomás się roześmiał.

— O ile mi wiadomo, żaden. Tym bardziej tkacz jedwabiu.

— Słucham?

— Nic takiego — odrzekł, gryzmołąc gorączkowo w notesie. — Proszę nie zwracać na to uwagi.

Ben-Porat wskazał palcem na inną notatkę na marginesie *Historia rerum*.

— Proszę zwrócić uwagę jeszcze na ten szczegół. Odnosząc się do upadku drugiej Świątyni Salomona, Kolumb mówi o „zniszczeniu drugiego Domu”. Ponadto robi aluzję, że doszło do tego w sześćdziesiątym ósmym roku waszej ery.

Rabin spojrzał Tomásowi w oczy, a ten, nie wiedząc, dokąd zmierzają jego rozmówca, wzruszył ramionami.

— Więc?

— To bardzo odkrywczą notatka — stwierdził tamten. — Po pierwsze, tylko jeden naród odnosi się do Świątyni Salomona jako domu. Czy wie pan, o jaki naród chodzi?

— Żydowski?

— Ni mniej, ni więcej. Jednakże w owym czasie chrześcijanie mówili jedynie o zniszczeniu Jerozolimy, natomiast nigdy o świątyni, a tym bardziej o domu. To robili tylko Żydzi. Co więcej, istnieje historyczna rozbieżność co do daty zburzenia świątyni. Żydzi podają zawsze rok sześćdziesiąty ósmy, podczas gdy chrześcijanie wskazują na rok siedemdziesiąty, najwyraźniej z większą dokładnością. — uniósł brew. — A teraz proszę mi powiedzieć, profesorze: jaką tożsamość ma Kolumb, odnosząc się do świątyni jako domu, mówiąc o jego zniszczeniu zamiast o zburzeniu Jerozolimy i określając datę wydarzenia na rok sześćdziesiąty ósmy?

Profesor się uśmiechnął.

— Domyślam się...

Stary kabalista wyciągnął z pliku kartek kolejną.

— W tej kserokopii znajduje się jeszcze jedna dziwna notatka na marginesie.

Portugalczyk przyjrzał się kartce.

— To również odręczne pismo Kolumba — potwierdził. — Co to oznacza?

— Gog, Magog.

— Co?

— Gog, Magog. A bardziej konkretnie, Gog i Magog.

— Nie rozumiem.

Solomon obrzucił wzrokiem dwóch pozostałych Żydów. Chaim i Hurewitz ze zdziwieniem przyglądali się kartce, jak gdyby mieli przed sobą jakąś relikwię; coś, co wprawia w zdumienie.

— Królu żydowski — zwrócił się rabin do Chaima. — Ty jako Sefardyjczyk o pochodzeniu portugalskim, wyjaśnij naszemu przyjacielowi z Lizbony, co to znaczy Gog i Magog.

— Gog i Magog odnosi się do prorocstwa Ezechiela — oznajmił Chaim, kładąc kres swojemu milczeniu trwającemu od początku rozmowy. — Według tego prorocstwa w okresie bezpośrednio poprzedzającym nadejście Mesjasza rozpęta się wielka wojna Goga i Magoga przeciwko Izraelowi, która przyniesie ogromne zniszczenie. — Spojrzał na Tomasa. — Co ciekawe, jeśli chodzi o wypędzenie Żydów z Półwyspu Iberyjskiego, Sefardyjczycy widzieli w tym akcie sygnał bliskiego wypełnienia się prorocstwa. Oboje Władcy Katoliccy postrzegani byli w roli Goga i Magoga, a Żydzi jako Izrael.

Stary rabin pomachał kserokopią.

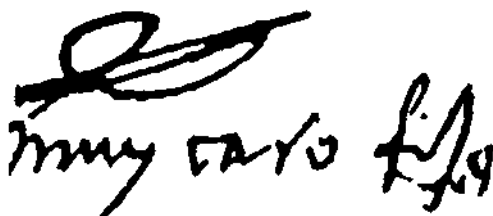
— Moje pytanie, profesorze Noronha, brzmi następująco. Jak, u licha, taki katolik jak Kolumb mógł zanotować na marginesie imiona Goga i Magoga w okresie prześladowania Żydów?

Historyk pilnie pisał w swoim notatniku, więc Solomon zrobił przerwę. Kiedy czekał, począł szukać w pliku kartek następnego dokumentu. Portugalczyk zakończył wreszcie swoje notatki i spojrzął na niego.

— Co jeszcze?

— Widziałem tutaj listy Krzysztofa Kolumba do jego syna Dioga i odkryłem coś bardzo interesującego.

Pokazał mu kartkę, wskazując na napis znajdujący się u góry strony.

The image shows a handwritten note in black ink on a white background. At the top, there is a large, stylized, and somewhat illegible initial or monogram. Below it, the words "muy caro fijo" are written in a cursive, handwritten style. The word "muy" is on the left, "caro" is in the middle, and "fijo" is on the right.

— *Muy caro fijo?* — Tomás się roześmiał. — To naleciałość z portugalskiego. Hiszpanie mówią *hijo*, a Portugalczycy *filho*. Kolumb chciał napisać po hiszpańsku, ale często wtrącał sportugalszczenia tego typu. Zamiast *hijo* napisał *fijo*. — Wzruszył ramionami. — Coś takiego nazywamy portuńskim.

— Profesorze Noronha — zagrzmiał Solomon. — Dla mnie wyrażenie *muy caro fijo* nie ma w sobie nic odkrywczego. Nic mi to nie mówi. Zadziwiający natomiast jest znajdujący się powyżej znak.

— Znak? — zdziwił się uczony. — Jaki znak?

— Ten tutaj. — Wskazał na bazgroł ponad słowami *muy caro fijo*.

— Co to jest?

— To hebrajski monogram.

— Hebrajski monogram?

— Tak, chociaż zredagowany w dziwny sposób. Ten gryzmoł łączy w sobie dwie hebrajskie litery: *hei* i *beth*. Jako że w języku hebrajskim piszemy od prawej do lewej, powinno się czytać *beth hei*. *Beth hei* to tradycyjne żydowskie wyrażenie, odpowiadające pozdrowieniu *Baruch haschem*, czyli „Niech będzie błogosławione Imię Pańskie!”. Słowa te znajdują się na samym początku tekstu, jak jest to w zwyczaju pobożnych Żydów. W przypadku Sefardyjczyków zmuszonych siłą do przejścia na chrześcijaństwo stanowią sekretny apel, który oznacza: „Nie zapominaj o swoim pochodzeniu”. To ciekawe, że znalazłem ten monogram jedynie w kopiach listów Krzysztofa Kolumba do jego syna Dioga. W żadnej innej korespondencji żeglarza nie występuje *beth hei*. Tylko w listach do syna. Oznacza to, że Kolumb prosił

Dioga, aby pamiętał o swoim pochodzeniu, uciekając się do użycia monogramu hebrajskiego. — Pochylił głowę. — Nietrudno sobie wyobrazić, jakie to miało być pochodzenie, prawda?

Profesor intensywnie pisał w notatniku.

— I co jeszcze? — zapytał, kiedy zakończył swoje bazgrały.

— Przejdźmy w końcu do tego, co wzbudza pana największą ciekawość — oznajmił. — Do podpisu Kolumba.

— O tak! — wykrzyknął Tomás. — Wreszcie. Co może mi pan o tym podpisie powiedzieć?

— Po pierwsze, tak, to jest podpis kabalistyczny.

Na twarzy Portugalczyka pojawił się triumfalny uśmiech.

— Wiedziałem.

— Ale najważniejsze, profesorze Noronha, by pan zrozumiał, że kabała to system otwarty na interpretację. Po złamaniu tradycyjnych kodów i szyfrów otrzymujemy precyzyjny tekst. Kabała natomiast tak nie funkcjonuje. Wskazuje na podwójne znaczenia, dodatkowe wartości, operuje subtelnie ukrytymi przesłaniami.

Rabin wziął do ręki kopię podpisu Krzysztofa Kolumba i położył ją na stole w miejscu widocznym dla wszystkich.

The image shows a handwritten signature in black ink. The signature consists of the letters 'X', 'M', and 'Y' in a stylized, cursive font. Above the 'X' and 'Y' are two dots each, and above the 'M' is one dot. Below the signature is a colon followed by the word 'XPOFERENS.' in a similar stylized font, with a horizontal line above the 'P' and a slash at the end.

Noronha wskazał na widniejące na niej litery.

— Co oznaczają te inicjały?

— Jak przystało na dobrą wiadomość kabalistyczną, podpis ten można czytać na wiele sposobów — stwierdził Solomon. — W tym

wypadku wydaje mi się, że w tej samej przestrzeni współlistnieją różne teksty, które łączą w sobie tradycję hebrajską i innowacje wprowadzone przez templariuszy, chrześcijan.

Historyk spojrział na niego ze zdziwieniem.

— Templariuszy?

— Tak, niewielu wie, że istnieli liczni mistycy, magowie i chrześcijańscy filozofowie, którzy poświęcili się studiom nad kabałą. Do nich zaliczamy zakon templariuszy, który tutaj, w Jerozolimie, rozwinął analizę kabalistyczną, przejętą później przez tradycyjną myśl żydowską. Najwyraźniej Kolumb obeznany był z tymi innowacjami. — Wskazał na znajdujące się u góry litery „s”. — Lekturę tekstu chrześcijańskiego lub templariuszy należy przeprowadzać po łacinie. Rozmieszczone w formie trójkąta litery „s” oznaczają Trójęc Świętą. *Sanctus, sanctus, sanctus*. Środkowe „A” odpowiada słowu *Altissimus* i wskazuje na możliwość odczytania w kierunku wstępującym, poczynawszy od trzeciego rzędu. Wychodząc z materii, wznosimy się do ducha. Stąd znaki „x”, „m” i „y” powinno czytać się z dołu do góry, łącząc „x” z „s”, „m” z „a” i górnym „s” oraz „y” z prawym „s”. Otrzymujemy w ten sposób XS, czyli *Xristus*, MAS, czyli *Messias* i YS, *Jesus*. Tym samym łacińska interpretacja templariuszy brzmi: *Sanctus. Sanctus Altissimus Sanctus. Xristus Messias Yesus*. Jest to ewidentnie podpis chrześcijański, co do tego nie ma wątpliwości.

— Chrześcijański? — zdziwił się Portugalczyk. — A zatem nie był on Żydem?

— Zaraz do tego dojdziemy — odparł Solomon, prosząc Tomasa gestem o cierpliwość. — Pamięta pan, jak mówiłem, że kabała postrzega Pismo Święte jako dzieło o holograficznej złożoności, dzieło, w którym krzyżują się różne znaczenia? To właśnie dzieje się z podpisem Kolumba. Kwestia polega na tym, że w tle chrześcijańskiego podpisu templariuszy, po łacinie, rzeczywiście znajduje się zamaskowana żydowska wiadomość kabalistyczna skonstruowana w języku hebrajskim. Jeden z największych kabalistów wszech czasów, rabin Elazar, zaobserwował kiedyś, że istnieją dwa światy, jawny i tajny, ale oba tworzą w rzeczywistości jedność. — Uderzył wskazującym palcem w kserokopię. — Spotykamy się z tym w wypadku tego podpisu, który ma jawne znaczenie chrześcijańskie i tajną interpretację żydowską. Zacznijmy od stwierdzenia, że inicjały podpisu

odpowiadają słowom hebrajskim. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że litera „a” odpowiada hebrajskiemu *álefe* w słowie *Adonai*, jednym z imion Boga, a „s” to hebrajskie *shin* w *Shaday*, kolejnym imieniu Boga, to otrzymujemy: *Shaday. Shaday Adonai Shaday*. Tłumaczy się to jako „Pan. Pan Bóg Pan”. A co się stanie, jeśli przeczytamy ostatni wiersz, XMY, od prawej do lewej, tak jak się czyta poprawnie w języku hebrajskim? Wyjdzie nam YMX. Y jak *Yehovah*, M jak *malech* i X jak *xessed*. *Yehovah malech xessed*. Bóg pełen miłosierdzia. Innymi słowy, pod chrześcijańską modlitwą po łacinie mamy żydowskie błaganie po hebrajsku. Oba światy, tajny i jawny, tworzą całość.

— Genialne.

— Nawet pan sobie nie wyobraża jak, profesorze Noronha — zauważył Solomon. — Nie wyobraża pan sobie jak. A wszystko to się komplikuje, jeżeli przeczytać XMY od lewej do prawej, zakładając, że Y odpowiada hebrajskiej literze *ayn*. Otrzymujemy wtedy *shema*, czyli „słuchaj”, pierwsze słowo w czwartym wersecie szóstego rozdziału Księgi Powtórzonego Prawa, który brzmi: „Słuchaj, Izraelu, Pan jest naszym Bogiem, Pan jedynie”. Wśród Żydów zawołanie to znane jest jako *shema* i recytowane cały ranek i całe popołudnie podczas modlitw *shacharit* oraz *arvit*, a także przed snem i przed śmiercią. *Shema* to modlitwa potwierdzająca monoteizm, istnienie jedyne Boga. Przypuszcza się, iż werset ten widniał na sztandarach bitewnych dziesięciu zaginionych rodów. Wygłaszając go, każdy Żyd uznaje zwierzchnictwo Królestwa Niebieskiego i Przykazań. To właśnie hebrajskie słowo Kolumb wstawia do swojego podpisu. — Podniósł palec. — Ale proszę teraz zauważyć podwójne znaczenie. Jeżeli Y przypisać hebrajskiemu *yud*, inicjały XMY czytać należy jako *xmi* albo *shmi*, co oznacza: „moje imię”, najprawdopodobniej imię autora podpisu, czyli Kolumba. — Stary kabalista pochylił się nad kartką, jak gdyby kryło się tam coś niezwykłego. — Proszę teraz uważać, profesorze Noronha, ponieważ to bardzo ważne. Przeczytamy teraz XMY od prawej do lewej, na sposób hebrajski. Jak już sprawdzaliśmy, wychodzi YMX. Zakładając, że Y to *yud*, mamy tutaj nowe słowo: *Ymx. Ymach*. W połączeniu z odczytem od lewej do prawej otrzymujemy *ymach shmo*. Wie pan, co to znaczy?

— Ależ skąd.

— Znaczy to: „Niech moje imię zostanie wymazane”.

Tomás otworzył usta ze zdumienia.

— Słucham?

— Niech moje imię zostanie wymazane.

— Mój Boże! — wykrzyknął z zamglonymi oczami. W jego umyśle elementy układanki zaczynały pasować. — *Colom, nomina sunt odiosa*.

— Przepraszam?

— *Nomina sunt odiosa*. Nazwiska są niepożądane. To cytat z Wergiliusza. Dostosowując go do tej sytuacji, można wysnuć wniosek, że nazwisko odkrywcy Ameryki było niepożądane. Na podstawie tego, co pan mówi, czyli kabalistycznej interpretacji tego podpisu, staje się jasne, że nie tylko ówczesni admirała chcieli wprowadzić zamieszanie co do jego tożsamości. Sam Kolumb, z jakiegoś powodu, chciał wymazać swoje prawdziwe nazwisko. — Podrapał się po brodzie w zamyśleniu. — Teraz rozumiem. *Colom* to nie było jego prawdziwe nazwisko, ale jedynie pseudonim, hmm... maska. Sam wymazał oryginalne.

— Dlaczego? — spytał rabin.

— Nie wiem. Ale wszystko wskazuje na to, że tak zrobił. *Nomina sunt odiosa*. Nazwiska są niepożądane.

— *Ymach shmo*. Niech moje nazwisko zostanie wymazane. Pasuje.

— Autentyczne nazwisko było niepożądane i dlatego musiało zostać wymazane — podsumował Noronha, łącząc wyrażenie łacińskie i hebrajskie. Ale jakie było jego prawdziwe nazwisko?

— Tego nie potrafię panu powiedzieć — odrzekł Solomon. — Ale mogę dać panu jeszcze jedną odpowiedź. Kolumb wymazał swoje nazwisko, ale na tym nie poprzestał. Odrzucił także swoje imię.

— Które z nich? Krzysztof czy Cristoforo?

— Oba.

— Jak to oba?

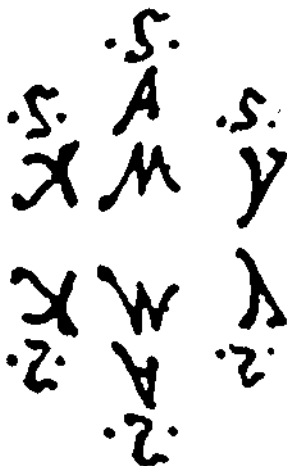
Ben-Porat wziął kserokopię i wskazał na trójkąt tworzony przez litery „s”.

— Czy widzi pan te kropki przy literach „s”?

— Tak.

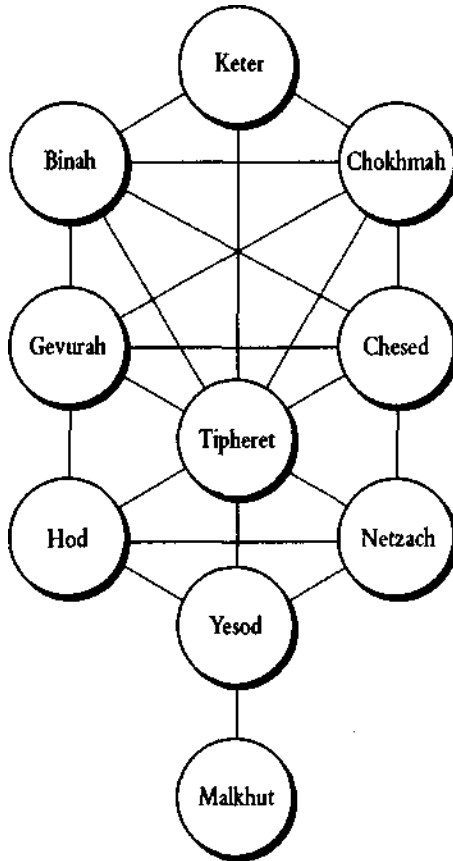
— Nie zostały one umieszczone tam przypadkowo — stwierdził. — W języku hebrajskim kropki obok liter oznaczać mogą różne rzeczy.

Mogą wskazywać na to, że mamy do czynienia z inicjałem albo że dana litera wymaga samogłoski. Widzieliśmy już, że kropki sugerują inicjały, *shin* jak *Shaday* i *álefe* jak *Adonai*. W językach starożytnych natomiast funkcją kropek było także wskazanie na kierunek lektury. Co ważniejsze, mogły oznaczać lekturę z góry na dół. Kabała ustanawia, że wszystko we wszechświecie jest magicznie połączone, a rzeczy podrzędne kryją w sobie tajemnice rzeczy nadrzędnych. Wielki kabalista, rabin Shimon Bar Iochay, zaobserwował, że świat niższy został stworzony na podobieństwo świata wyższego, inaczej mówiąc, jest odbiciem wyższego. Rabin Yossef, inny zasłużony kabalista, napisał, że aby dokonać wielkich czynów, należy zacząć od małych posunięć. *Księga Tajemnic Kabalistycznych* podaje: „Świat, w którym żyjemy, jest odwrócony w stosunku do świata duchowego”. Aksjomat wryty na szmaragdowej tablicy Hermesa zaś głosi: „To, co jest na górze, jest takie jak to na dole”. Prawda jest taka, że słowa „odbicie”, „odwrócony”, „na górze” i „na dole” odsyłają nas do pojęcia lustra, bardzo drogiego kabale. Z uwagi na to, że kropki wskazują na konieczność lektury od góry do dołu, postanowiłem przeprowadzić doświadczenie, odwracając znaki podpisu tak, by otrzymać ich lustrzane odbicie. — Wziął jedną z zapisanych odręcznie kartek i pokazał Tomásowi. — Wynik był zaskakujący.



Portugalczyk przyjrzał się znakom, które znajdowały się w odbiciu lustrzanym podpisu.

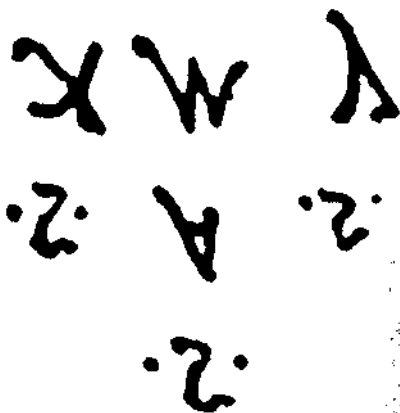
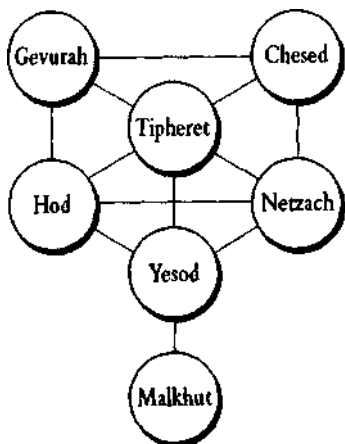
- Co to jest? — zapytał.
- Drzewo Życia bez głowy.
- To jest Drzewo Życia?
- Tak. Proszę zobaczyć. — Otworzył książkę i zademonstrował figurę zbudowaną z kół. — To jest Drzewo Życia.



- Zawiera dziesięć kół — zauważył Noronha.
- Tak. To dziesięć *sephirot*. Tradycyjne przedstawienie Drzewa Życia składa się, jak widzimy, z dziesięciu *sephirot*. Istnieje jednak

jego druga, ważniejsza wersja złożona z siedmiu *sephirot*. W tym wypadku, eliminując górną część podpisu, otrzymujemy Drzewo Życia bez głowy, zwane także Siedzącym Człowiekiem.

Odciał trzy górne *sephirot*: *keter*, *chokmah* i *binah*, po czym zademonstrował Drzewo Życia bez głowy, kładąc je obok odbicia lustrzanego podpisu Kolumba.



— Aha! — wykrzyknął Portugalczyk, porównując obie struktury ze zdumionym wyrazem twarzy. — Są... są podobne.

— Tak — przyznał kabalista. — Kabalistyczny podpis Krzysztofa Kolumba jest reprodukcją Drzewa Życia bez głowy. Każda litera podpisu reprezentuje jedną z *sephirot*. Jako że mamy siedem liter, oznacza to siedem *sephirot*.

— Ale czy zmniejszenie liczby *sephirot* do siedmiu oznacza, że Drzewo Życia jest niekompletne?

— Nie. Istnieją nawet Drzewa Życia składające się z pięciu lub czterech *sephirot*. Jednak to z siedmiu elementów jest szczególnie istotne, chodzi bowiem o drugie pod względem ważności, po Drzewie Życia z dziesięciu *sephirot*. Siedem to bardzo ważna cyfra w kabale, cyfra, która reprezentuje naturę w jej oryginalnym, pierwotnym stanie. Bóg stworzył świat w ciągu sześciu dni, a w siódmym odpoczął. — Wskazał palcem na odbicie lustrzane podpisu żeglarza. — Patrząc

na obraz odbity w lustrze, przekonujemy się, że taką formę wykorzystał Kolumb, by ujawnić swoją prawdziwą tożsamość. Jak pan widzi, górny rząd zajmuje XWλ. X odpowiada *chet* czyli *chesed*, *sephirah*, która oznacza prawe ramię i symbolizuje dobro. λ, odpowiada *gimel*, pierwszej literze *sephirah*, *gevurah*, czyli lewemu ramieniu, i symbolizuje siłę. Pomiędzy nimi znajduje się W, które w alfabecie hebrajskim identyfikowane jest z *tete*, pierwszą literą *sephirah*, *tipheret*, czyli pięknem, które reprezentuje połączenie dobra z siłą. Kolumb usunął głowę z Drzewa Życia i zbudował je na podstawie środkowych i dolnych członów. Jego kabalistyczna intencja jest oczywista. — Solomon wskazał ponownie na pierwszy rząd podpisu: XWλ. — A teraz proszę dobrze się przyjrzeć, profesorze Noronha. Czytając to poprawnie po hebrajsku, czyli od prawej do lewej, otrzymujemy λWX. Czyta się *Yeshu*. — Spojrzał na Tomasa i podniósł brwi. — Ach, to coś strasznego.

— Strasznego? — zapytał Portugalczyk. — W jakim sensie? Co to znaczy?

— Aby przetłumaczyć panu to słowo, muszę najpierw zadać panu pewne pytanie, o ile nie ma pan nic przeciwko temu.

— Tak?

— Co wie pan o sposobie, w jaki Żydzi postrzegają Jezusa Chrystusa?

— Więc... ee... sędzę, że niewiele. — Roześmiał się. — Prawdę mówiąc, nic nie wiem.

— Pozwoli więc pan, że go uświadomię — rzekł Solomon. — Żydzi mają do Chrystusa stosunek zupełnie inny niż chrześcijanie. — Wykonał rękami gest mający uwydatnić tę ideę. — Całkowicie różny. Legendy żydowskie przedstawiają Jezusa jako *mamzera*, dziecko pochodzące z nieprawego łoża, ze związku Żydówki i legionisty rzymskiego. Wskutek nieporozumienia Chrystus został ekskomunikowany przez rabina i zdecydował się oddać kultowi bożków, odchodząc od prawdziwej wiary. Studiował magię w Egipcie, ale w końcu został pokonany przez rabinów, skazany na śmierć za czary i powieszony na łodydze od kapusty. Ubóstwianie Jezusa przez chrześcijan jest przez Żydów uważane za kult bożków.

— I w takiej formie Żydzi przedstawiają dzieje Jezusa?

— Tak, tak mówią legendy żydowskie.

— Cholera! — wykrzyknął Portugalczyk.

— Opowiedziałem panu tę historię, aby zrozumiał pan, jak źle Żydzi ustosunkowani są do Chrystusa — wyjaśnił kabalista. — Prowadzi nas do lektury wiersza λWX, który otrzymaliśmy z odbicia lustrzanego podpisu Kolumba. W języku hebrajskim imię Jezus wymawia się *Yeshua*. Jednak z uwagi na to, że Żydzi nie lubili tego imienia, zdecydowali usunąć ostatnią literę *álefe*. Pozostało *Yeshu*. Tak właśnie powinno się odczytać rząd podpisu: λWX. *Yeshu*. Tyle że *Yeshu* nie jest imieniem neutralnym. Chodzi o negatywną i obraźliwą formę imienia *Yeshua*, Jezus. Taka skrócona wersja jest bardzo często przez Żydów używana. Po rozwinięciu to: *Ymach shmo vezichro*, co oznacza: „Niech zostanie wymazane jego imię i jego pamięć”.

— O rany! — skomentował Tomás — To było mocne.

— Profesorze Noronha — powiedział Solomon. — Próbuję panu powiedzieć, że chrześcijanin i katolik Krzysztof Kolumb umieścił w swoim kabalistycznym podpisie hebrajskie imię *Yeshu*, tym samym wyrażając życzenie, by imię i pamięć Jezusa zostały wymazane.

Portugalczyk przez chwilę się nie odzywał. Był zdumiony.

— Ale... dlaczego? — wystękał w końcu. — Jak to możliwe, by Kolumb zrobił coś takiego?

— Proszę nie zapominać, że żył pod koniec piętnastego wieku na Półwyspie Iberyjskim. Jeżeli był Żydem, a wszystko na to wskazuje, jego życie w tych czasach i w tym regionie Europy nie należało do łatwych. Każdy sefardyjski Żyd miał wystarczająco wiele powodów, by nienawidzić chrześcijan w ogólności, a Jezusa szczególnie. Kolumb nie był wyjątkiem. I to prowadzi nas do imienia Kolumba. — Wziął kartkę z podpisem admirała. — U podstawy podpisu kabalistycznego znajduje się jego imię — Xpoferens. Czy może mi pan powiedzieć, co ono oznacza?

— Xpoferens? *Xpo* w języku greckim oznacza „Chrystus”, podczas gdy *ferens* to forma czasownika łacińskiego *fero*, czyli „nosić”. Xpoferens to inaczej Cristoferens. Ten, który nosi Chrystusa. W rdzeniu imienia Krzysztof oraz Cristoforo znajduje się słowo „Chrystus”.

— Mamy zatem imię, którego nie używałby nigdy żaden Żyd — uciął rabin. — Chrystus. Nikt w Izraelu nie nada imienia Chrystus swojemu synowi. Jak to możliwe, że Kolumb, będąc Żydem, nosił

chrześcijańskie imię Krzysztof i podpisywał się Cristoferens? — Podniósł prawy palec wskazujący. — Tylko jeden rodzaj Żyda mógłby zrobić coś takiego.

— Jaki?

— Żyd zdesperowany, by uchodzić za chrześcijanina. Człowiek, który chciał, by postrzegano go jako chrześcijanina, ale nadal w sekrecie wyznawał judaizm. Ktoś taki mógł przyjąć imię Chrystusa, lecz by zapewnić sobie pokój z Bogiem, w swoim kabalistycznym podpisie zawarł bezdyskusyjne odrzucenie imienia Jezusa, wymazując jego samego i pamięć o nim. *Yeshu*. Chcę przez to powiedzieć, profesorze Noronha, że wyrażenie *ymah shmo*, czyli „niech moje imię zostanie wymazane”, oznacza jednocześnie negację imienia Kolumba, imienia Krzysztof. Odkrywca Ameryki przedstawiał się światu tym imieniem, Krzysztof Kolumb. — Wskazał na siedzącego po drugiej stronie stołu Chaima. — Tak jak rodzina Chaima nie nazywała się Mendes, ale Nassi, tak Kolumb nie nazywał się Kolumb. Nosił inne nazwisko, nazwisko, które wymazał i którego nam nie ujawnił. — Uderzył dłonią w kserokopię podpisu. — Powołując się na to wszystko, co tutaj widziałem, mogę powiedzieć, że człowiek znany nam dzisiaj jako Krzysztof Kolumb z całym prawdopodobieństwem był Żydem sefardyjskim, a jego prawdziwie imię pozostaje utajnione. Ukrył wyznawaną religię pod płaszczem chrześcijaństwa, ale nie stał się nowym chrześcijaninem. Był tzw. *marrano**.

* *Marrano* — dawne obraźliwe określenie Żydów i Arabów zamieszkujących Portugalię; świnia, wieprz.

Solomon Ben-Porat, uważany za największego kabalistę w Jerozolimie, oparł się łokciami o dębowy stół i zamilkł. Zakończył swoją przemowę. W biurze zapanowało głucho milczenie, zakłócone jedynie szmerem pióra, którym Tomás gorączkowo pisał w swoim notatniku, rejestrując nadzwyczajny tok rozumowania starego rabina. Profesor przelewał idee na papier pospieszными posunięciami pióra, jednym ciągiem. Zapis sprawiał wrażenie nieczytelnego. Zakończył swoje notatki ostatnim słowem Solomona.

Marrano,

Zamierzał zamknąć notes, ale coś go powstrzymało. To właśnie

słowo *marrano* przykuwało jego wzrok niczym silny magnes, niewygodna, niepokojąca przeszkoda, nieestetyczny kleks w samym środku płynnego tekstu. W zamyśleniu przyglądał się słowu. W końcu podniósł głowę i spojrzął na kabalistę.

— Co pan chce powiedzieć przez słowo *marrano*? — zapytał.

— *Marrano*? — zdziwił się Solomon. — Powinien pan to wiedzieć. Co to słowo oznacza w języku portugalskim?

— Myślę, że to dawne określenie świni.

— Otóż to. Była to nazwa nadana w Portugalii i Hiszpanii nowym chrześcijanom, którzy w tajemnicy zachowywali judaizm. Określano ich mianem świń, ponieważ, jak wszyscy pobożni Żydzi, odmawiali spożywania wieprzowiny, jako pokarmu nieczystego, niekoszernego. Jedzenia mięsa wieprzowego zakazują prawa dietetyczne.

— Hmm — mruknął Noronha, pogrążony w swoich myślach. — *Marrano* to Żyd, który udawał chrześcijanina?

— Tak.

— A Kolumb był jednym z nich?

— Czy mógł być *marranem* z Genui?

Rabin się roześmiał.

— Słowo *marrano* odnosi się do Żydów iberyjskich — wyjaśnił. — W każdym razie Kolumb jako Żyd w żadnym wypadku nie mógł być Genueńczykiem...

— Ach nie? A dlaczego?

— Począwszy od dwunastego wieku, Żydom nie wolno było przebywać w Genui dłużej niż trzy dni. W piętnastym wieku zakaz ten nadal obowiązywał. Inaczej mówiąc, jeśli był Genueńczykiem, nie mógł być Żydem. Jeżeli był Żydem, nie mógł być Genueńczykiem.

— Rozumiem.

— Co więcej, jest coś ciekawego, o czym koniecznie musi pan wiedzieć. Istnieje dziwna tradycja żydowska, według której w piętnastym i szesnastym wieku określenie „genueńczyk” było eufemizmem odnoszącym się do Żyda.

— Żartuje pan...

— Ależ skąd. Widzi pan, w owym czasie, kiedy ktoś chciał powiedzieć: „Ten człowiek jest Żydem”, mówił: „Ten człowiek należy do

narodu”, narodu żydowskiego, rzecz jasna. Wygląda jednak na to, że w okresie prześladowań antysemickich wielu Żydów określało siebie jako „genueńczyków”. Stąd czasem wyciągano wnioski, że ktoś był narodowości genueńskiej. Był to ironiczny lub dyskretny sposób na wskazanie pochodzenia żydowskiego. Rozumie pan?

— Czy są na to dowody?

— To jest coś, co znamy z ustnej tradycji hebrajskiej. Nie ma dokumentacji potwierdzającej to coś na piśmie. Istnieje jednak pośrednie potwierdzenie w liście wysłanym w tysiąc pięćset dwunastym roku przez ojca Antonia de Aspę z zakonu hieronimitów do wielkiego inkwizytora Kastylii. W liście tym Aspa napisał, że na pierwszą wyprawę do Nowego Świata Kolumb zabrał na pokład „czterdziestu Genueńczyków”. Dzisiaj wiemy, że prawie wszyscy członkowie załogi uczestniczący w pierwszej podróży byli Hiszpanami, chociaż znalazłoby się wśród nich kilkadziesiąt osób narodowości żydowskiej, prawdopodobnie *marranos*. Innymi słowy, Antonio de Aspa w rzeczywistości informował inkwizycję, że wśród załogi jest czterdziestu Żydów. Zgodnie jednak z ogólną tendencją nie nazywał ich Żydami. Ironicznie lub wstydliwie nazwał ich „genueńczykami”.

— Hmm — ponownie mruknął zamyślony historyk. Powtarzał w pamięci po tysiąc razy zadawane pytanie, wciąż pozostające bez odpowiedzi. — Co mówi Eco w Foulcaulcie na pięćset czterdzieści pięć?

— Słucham?

Tomás poruszył się nagle podniecony.

— To pytanie, które kiedyś mi postawiono. „Co mówi Eco w Foulcaulcie na pięćset czterdzieści pięć?”. — Wstał od stołu. Egzaltacja niemal go rozsadzała. Był kompletnie niezdolny do tego, by siedzieć spokojnie. — Na podstawie odkrycia dokonanego w tekście Umberta Eco myślałem, że prawidłowa odpowiedź brzmi *judeu portugués* lub *cristão novo*. Jednak nie. Prawidłowa odpowiedź była inna. Wie pan jaka?

Rabin pokręcił przecząco głową.

— Nie mam najmniejszego pojęcia. Profesor się uśmiechnął.

— To *marrano*.

XV

Chwycił palcami za pokrętło sejfu i powoli nim obrócił. Metalowa skrzynka odpowiadała cichymi kliknięciami w miarę podawania kolejnych numerów. Aparatura obracała się z mechaniczną precyzją zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Madalena Toscano spoglądała Tomásowi przez ramię z szeroko otwartymi oczami, obserwując w oczekiwaniu całą operację.

— Proszę posłuchać — szepnęła. — Jest pan pewien, że to ten klucz?

Profesor sprawdził na kartce, gdzie napisał rozwiązanie.

M	A	R	R	A	N	O
12	1	17	17	1	13	14

— Zaraz zobaczymy — mruknął.

Jedna po drugiej liczby zostały wprowadzone do zamka sejfu. Dwanaście, jeden, siedemnaście, jeszcze raz siedemnaście. Tik-tik-tik-tik. Jedynie odgłosy oddechów profesora i wdowy, które w tej ciszy wydawały się głębokie i dyszące, odpowiadały na ów zimny, metaliczny dźwięk — cichy, ledwie słyszalny, i jednocześnie w najwyższym stopniu irytujący. Sprawiał wrażenie, jakby zazdrosna skrzynka, z wielkim zaangażowaniem chciała zachować swoją tajemnicę. Stuknięcia były wynikiem medytacji podejrzliwej, zaborczej maszyny, stojącej w obliczu wyzwania, aby wziąć pod uwagę ewentualność, której najbardziej się obawiała — otwarcia się niczym rozwijający się pęk, wydzielający wbrew sobie zapach skrywanego sekretu.

Wydawało im się, że sejf wolałby, aby o jego zawartości zapomniano, pomijając ją milczeniem. To właśnie ten niemy pojedynek pomiędzy człowiekiem a kasą pancerną, pomiędzy kluczem a tajemnicą, pomiędzy światłem a mrokiem intensyfikował napięcie w tym dusznym, pogrążonym w półmroku pokoju. Noronha zbliżał się już ku końcowi. Odczekał chwilę, zastanawiając się, czy w końcu udało mu się trafić na właściwy klucz, odetchnął głęboko i wprowadził ostatnie numery. Jeden, trzynaście, czternaście. Tik-tik-tik. Które z nich ulegnie? Człowiek czy urządzenie?

Odpowiedzi udzieliło ostatnie kliknięcie.

Sejf otworzył się wskutek magicznego ciągu liczb jak wejście do jaskini Alibaby i czterdziestu rozbójników po wypowiedzeniu cudownego „Sezamie, otwórz się!”.

— Aha! — wykrzyknął Tomás, zaciskając pięść w geście zwycięstwa. — Udało się!

— Bogu dzięki!

Pochylili się nad ostatecznie pokonaną skrzynką, usiłując dojrzeć jej zawartość. Na początku zobaczyli jedynie gęsty cień, nieprzebyte mrok, jak gdyby metalowy pojemnik wciąż uparcie się opierał, przedłużając moment wyjawienia swojego sekretu i ukrywając go pod płaszczem nieprzeniknionego cienia. Przypominał umierającego, który zaciekle trzymał się życia, żywiąc płonną nadzieję, chowając w zakamarkach swoich wnętrzności tajemniczy skarb tak długo skrywany przed światem, zagubiony w czasie i wymazany z pamięci. Oczy intruzów jednak szybko przyzwyczyły się do owego mroku. Powoli ustępował. W końcu oboje dojrzeli znajdujące się w środku kartki.

Profesor włożył rękę w otwór sejfu i nieśmiało, niemal z bojaźnią, niczym podróżnik w nieznannej dżungli, dotknął gładkiej, zimnej powierzchni schowanego tam papieru. Delikatnie podniósł znalezione kartki. Oczekiwał, że kryją w sobie tajemnicę sprzed wieków. Wyjął je powoli, jak gdyby były jakąś zapomnianą relikwią, delikatnymi płatkami kwiatów albo kruchą muszlą smaganą sztormem czasu, która ostatecznie ujrzała światło dzienne.

Na dnie sejfu były trzy kartki.

Dwie z nich okazały się kserokopiami, które Tomás uważnie prze-
studiował. Na pierwszy rzut oka wydawały się kopiami dwóch stron
jakiegoś piętnastowiecznego dokumentu. Rozpoczął od pobieżnego
obrzucenia ich wzrokiem, jak ktoś, kto chce mieć jedynie ogólne po-
jęcie o czymś, czego jeszcze nie rozumie. Potem, już bardziej uważ-
nie, odnosząc się do swojego szerokiego doświadczenia paleograficz-
nego, rozpoczął lekturę od ornamentu zdobiącego dolną część pierw-
szej ze stron; próbował odcyfrować jej pozornie nieprzeniknioną
treść.

Da guerra q neste tpo por sua doença temya a o
quales muyto q se aprouetouam q

Capitulo So d/wbrim
3ac yllas de castel p rolonbo

Ho ano erguinta de mill, m, lbiij estando elRei no lu-
gar de Vale de parayso q he acima do mosteiro de

Santa ma das V.tudes, por caso da grande peste q nos lugaa
nos principaes da q la oya Cromarxa abia a ovia-
diab semarso a Ribou a Restelo, e lixboa xpova rolo
nbo y taliano qvinha do descobrimento das yllas de
Sypango, e dantilha que por mandado do Reys de
castela tinha fecho/ Da qual tyra trazia fo oyo as

— W roku następnym po... — zawałał się, nie rozumiejąc daty.
Kontynuował jednak. — ...e triij estando elRei no lugar de Vale de
parayso q he acima do mosteiro de Santa ma das V.tudes, po caso
da grande peste q nos lugares principaes da q la Cromarxa abia a
seis dias de marco a Ribou a Restelo, em lixboa Xpova colo nbo y
taliano qvinha do descobrimento das yllas de Sypango, e dantilha
que por mandado dos Reys de castela tinha fedo...

— Co to jest? — zapytała Madalena.

Zaintrygowany profesor przyjrzał się obu stronom.

— To... ee... — wyjąkał. — Wydaje mi się, że to *Crònica de D. João II* autorstwa Ruy de Piny. — Zawahał się na chwilę, ale szybko przekonał się, że jego ocena była jednak poprawna. Poczł rosncącą pewnością. — Najwyraźniej to fragment, w którym kronikarz portugalski rozpoczyna relację ze spotkania Krzysztofa Kolumba z królem Janem Drugim po powrocie admirała z pierwszej wyprawy, tej, w której odkrył Amerykę.

— Czy to ważne?

— Tak... ee... bez wątplenia istotne. Ale nieoczekiwane. — Spojrzał na wdowę zbitą z tropu. — Z jednej strony, ponieważ ten tekst znany jest już od dawna, nie przedstawia żadnej tajemnicy. Z drugiej strony jednak kronika ta staje przeciwko tezie, której bronił pani mąż. — Wskazał na trzeci i czwarty wiersz drugiej strony. — Widzi pani? Tu jest napisane: *Xpova colo nbo y taliano*. Pani mąż głosił coś zupełnie przeciwnego. Według niego Kolumb nie był Włochem.

— Ale Martinho powiedział mi, że ukrył tu w sejfie jakiś wielki dowód...

— Wielki dowód? Dowód na co? Na to, że Kolumb był Włochem?

— Pokręcił głową ze zdumieniem. — Nie rozumiem, to nie ma sensu.

Pani Toscano wzięła do ręki obie kartki i uważnie się im przyjrzała.

— A to? Co to jest? — zapytała, wskazując na nakreślone ołówkiem bazgroły z tyłu pierwszej strony.

Historyk odczytał notatkę.

Codex 632

— Dziwne — mruknął.

— Co to jest?

Noronha wzruszył ramionami, nie wiedząc, co myśleć.

— Nie wiem, nie mam pojęcia. — Wykrzywił usta w grymasie. — „Kodeks 632”? — w zamyśleniu podrapał się po brodzie. — Być może to sygnatura tego dzieła?

— Sygnatura?

— To numer przyporządkowany każdemu dokumentowi w bibliotece.

Archiwiści przypisują sygnatury każdemu dokumentowi czy też każdej książce przechowywanej w bibliotece. W ten sposób łatwiej je znaleźć na...

— Doskonale wiem, co to sygnatura — przerwała mu Madalena.

Tomás popatrzył na nią z zawstyżeniem. Zaniedbany wygląd pani

Toscano wywoływał wrażenie, że jest ona prostą osobą, ale prawda była taka, że ta postarzała twarz i pomarszczone ciało należały do wykształconej kobiety, dawnej bywalczyni środowiska akademickiego, przyzwyczajonej do obcowania z książkami. Profesor doszedł do wniosku, że brud i bałagan w jej domu nie były jedynie skutkiem zaniedbania ¹ wywołanego śmiercią męża, lecz także tego, że nie była osobą obeznaną ze sprzątaniami i pracami domowymi.

— Przepraszam — wymruczał. — Widzi pani, myślę, że pani mąż zanotował tę sygnaturę w celach bibliograficznych.

Madalena ponownie ją przeanalizowała. i

— Ale czy nie powinno tu być raczej *còdice*?

— Tak — potwierdził Tomás. — *Codex** albo *còdice*, wychodzi na jedno. W gruncie rzeczy to nic więcej niż tylko rękopis złożony z kartek papirusu, pergaminu lub papieru, złączonych z jednej strony, tak jak książka.

* *Codex (lac.)* — księga, spis, kodeks; tu: pierwotna forma książki powstałej z kartek ułożonych jedna na drugiej i zespolonych u grzbietu, stara księga rękopiśmienna.

— Uważa pan, że ten dokument został spisany na papierze?

— Być może — zawyrokował profesor. — Biorąc jednak pod uwagę, że to szesnastowieczny rękopis, powiedziałbym, że chodzi raczej o pergamin. Ale może to być również papier, niewykluczone.

Kobieta wzięła do ręki trzecią z kartek znalezionych w sejfie.

— A to już pan widział?

Była to biała kartka formatu A4 z napisanym u dołu nazwiskiem i ciągiem cyfr. Na widok nazwiska Noronha zmarszczył brew.

— Hrabia João Nuno Vilarigues — przeczytał.

— Zna go pan?

— Pierwsze słyszę. — Profesor obrzucił wzrokiem cyfry znajdujące się poniżej. — Wydaje mi się, że to numer telefonu.

Wdowa pochyliła się nad kartką.

— Proszę pokazać — powiedziała. Zastanowiła się przez chwilę. — Zabawne, rozpoznaję ten numer kierunkowy. Przed śmiercią Martinho często tam dzwonił.

— Pod ten numer?

— Nie wiem, możliwe. Na pewno kierunkowy był ten sam.

— A jakiego miasta dotyczy?

Madalena podniosła się bez słowa, wyszła z pokoju i po kilku chwilach wróciła z obszernym tomiskiem pod ręką. Tomás rozpoznał w nim książkę telefoniczną. Pani Toscano przejrzała kilka pierwszych stron, śledząc krajowe numery kierunkowe. Przesuwała palcem po liczbach, aż w końcu zatrzymała go na jednej z nich.

— Aha, jest tutaj! — wykrzyknęła. Palec wskazujący podążył do końca linijki aż do nazwy miasta odpowiadającego numerowi. — Tomar.

###

Gruchanie gołębi pograżało Praca de República w nieustannej kafeofonii dźwięków. Grube, dobrze odżywione ptaki wydziobywały okruchy z bruku i podskakując, odlatywały, kręcąc się dookoła, wypełniając dachy i przysiadając na gzymsach fasad. Uwieszały się na pomniku. Gualdima Paisa — wielkiej figurze z brązu ustawionej w centralnym punkcie placu.

Niektóre gołębie, pogruchując, przechadzały się u stóp siedzącego na drewnianej ławce Tomasa, nie zwracając na niego uwagi. Zajęte były całkowicie wygrzebywaniem kolejnych smakowitych okruchów spomiędzy biało-czarnej kostki brukowej. Przypominały miniaturowe szare pionki stąpające po szachownicy. Gość rozejrzał się wokół, podziwiając elegancki budynek Pacos do Conselho w Tomarze oraz rozciągającą się przed nim przestrzeń. Jego uwagę zwrócił kościół Świętego Jana Chrzyciela. Zniszczona fasada z białego wapienia miała piękny portal w stylu manuelińskim, bogato zdobiony i zwieńczony ośmiokątną wieżyczką. Nad kościołem dominowała dzwonnica piaskowej barwy. Imponująca wieża o ziemistym kolorze dumnie prezentowała umieszczone poniżej dzwonów symboliczne trio: godło królewskie, sferę armilarną oraz krzyż Orderu Chrystusa.

Admirację przerwał Tomásowi mężczyzna ubrany w ciemnoszary garnitur, srebrną kamizelkę i muchę w tym samym kolorze, który przyglądał mu się pytająco.

— Profesor Noronha? — zapytał z wahaniem.

Historyk się uśmiechnął.

— We własnej osobie — potwierdził. — Wnioskuje, że mam przed sobą pana hrabiego.

— João Nuno Vilarigues — przedstawił się przybysz, stając niemal na baczność i uderzając piętami niczym wojskowy. Pochylił głowę w ceremonialnym ukłonie. — Do pana usług.

Hrabia był chudy, średniego wzrostu i miał tajemniczy wygląd. Jego czarne, a na skroniach siwe włosy były zaczesane do tyłu; na szczycie wysokiego czoła widać było prześwity łysiny. Ale największą uwagę zwracały jego cienkie wąsy, spiczasta bródka, a przede wszystkim czarne, penetrujące, niemal hipnotyzujące oczy. Przypominał podróżnika w czasie, człowieka włoskiego renesansu, niejakiego Francesca Colonne, który opuścił wielką Florencję Medyceuszów, aby pojawić się niespodziewanie w dwudziestym pierwszym wieku.

— Bardzo dziękuję za przybycie na spotkanie — zwrócił się do niego Tomás. — Chociaż muszę panu wyznać, że nie wiem, o czym będziemy rozmawiać.

— Zgodnie z tym, co zrozumiałem z naszej krótkiej rozmowy telefonicznej, znalazł pan mój numer kontaktowy w notatkach pozostawionych przez nieżyjącego profesora Toscano.

— Właśnie.

— I znajdował się on wśród dokumentów dotyczących Cristóra-ma.

— Tak.

Hrabia westchnął i przez chwilę przyglądał się historykowi, jakby pogrążony był w wewnętrznej debacie, rozważając za i przeciw oraz próbując podjąć decyzję odnośnie do tego, co powinien ujawnić.

— Czy zapoznał się pan z badaniami, którym poświęcił się profesor Toscano? — zapytał. Wyraźnie sprawdzał teren, usiłując przetestować swego rozmówcę.

— Oczywiście — potwierdził Noronha. Pan Vilarigues zachował milczenie, jak gdyby czekał na dalsze wyjaśnienia. Tomás zrozumiał,

co należało zrobić: będzie musiał go przekonać, iż rzeczywiście wie, o co chodzi. — Profesor Toscano był przekonany, że Kolumb nie był Genuńczykiem, ale portugalskim Żydem, tak zwanym *marrano*.

— A w jakim celu pragnie pan odtworzyć jego badania?

Noronha odniósł wrażenie, że nie były to niewinne pytania. A raczej test. Musiał być ostrożny, jeżeli chciał wyciągnąć informacje od tej enigmatycznej osoby. Każda błędna odpowiedź mogła zamknąć mu drzwi.

— Jestem profesorem historii na Uniwersytecie Nowym w Lizbonie. Odwiedziłem panią Toscano w domu i obejrzałem dokumenty pozostawione przez jej męża. Sądzę, że dzięki nim może powstać wyjątkowa praca, zdolna do zrewolucjonizowania wszystkiego, co wiemy o wielkich odkryciach geograficznych.

Hrabia, milcząc, przedłużał ciszę. Ze wzrokiem utkwionym w historyku, jak gdyby chciał go przeświecić, sformułował następne pytanie.

— Czy słyszał pan kiedyś o fundacji Amerykanów?

Sposób, w jaki padło pytanie, zaalarmował Tomasa. Z jakiegoś powodu, którego nie potrafił odgadnąć, było ono najważniejsze ze wszystkich. To od odpowiedzi na nie zależała kooperacja hrabiego bądź też jego zakłete milczenie. Opierając się na reakcji wdowy wobec fundacji finansującej badania, profesor wyczuł, że lepiej by było pominąć informację o jego współpracy z Moliartim. Przynajmniej na razie.

— O jakiej fundacji? — usłyszał zadawane przez siebie pytanie.

Vilarigues nie spuszczał z niego wzroku. Noronha wytrzymał jego spojrzenie, chcąc wywołać wrażenie szczerości.

— Nieważne — zakończył temat tamten, najwyraźniej usatysfakcjonowany odpowiedzią. Rozejrzał się po placu, podniósł wzrok na wzgórze i odprężył się, uśmiechając. — Czy zwiedzał pan już kiedyś zamek i klasztor w Tomarze?

Tomás podążył za jego wzrokiem i przyjrzał się kontrastującym z zielenią murom na szczycie dominującej nad miastem góry.

— Zamek i... ee... klasztor? Tak, naturalnie, byłem tam, ale już dosyć dawno.

— W takim razie proszę za mną — zaprosił go hrabia, gestem wskazując, by siedł za nim.

Przekroczyli plac i weszli w malownicze, brukowane uliczki, udekorowane różnobarwnymi kwiatami w doniczkach zwisającymi z balkonów. Wsiedli do wielkiego czarnego mercedesa, zaparkowanego przy białym murze ciągnącym się aż do starej synagogi. Hrabia siadł za kierownicą, a jego gość na fotelu obok, i samochód ruszył cichymi ulicami Tomaru.

— Czy słyszał pan o Ordo Militaris Christi? — zapytał Vilarigues, spoglądając przelotnie na pasażera.

— O zakonie Rycerzy Chrystusa?

— Nie, o Ordo Militaris Christi?

— Nie, o takiej organizacji nigdy nie słyszałem.

— Jestem wielkim mistrzem Ordo Militaris Christi, instytucji, która jest sukcesorem zakonu Rycerzy Chrystusa.

Zaintrygowany Tomás zmarszczył brwi.

— Sukcesorem zakonu Rycerzy Chrystusa? Ale ten zakon już nie istnieje.

— Właśnie dlatego Ordo Militaris Christi, czyli Order Chrystusa, jest jego spadkobiercą. Kiedy rozwiązano zakon Rycerzy Chrystusa, niektórzy członkowie, nie mogąc się z tą decyzją pogodzić, postanowili kontynuować działalność w tajemnicy i utworzyli Order Chrystusa, tajną organizację opartą na własnych zasadach, o której istnieniu wiedzą tylko wybrani. Garstka przedstawicieli arystokracji, potomków starych członków zakonu Rycerzy Chrystusa, każdej wiosny gromadzi się tutaj, w Tomarze, pod moim przewodnictwem, aby odnowić starodawne zwyczaje i podtrzymać ustną tradycję nigdy nieujawnionych sekretów. Wie pan, jesteśmy strażnikami ostatnich tajemnic zakonu Rycerzy Chrystusa.

— Nie wiedziałem...

— A co pan wie o zakonie Rycerzy Chrystusa?

— Znam pewne fakty, lecz ogólnie niewiele. Proszę wziąć pod uwagę, że jestem historykiem, ale specjalizuję się w kryptoanalizie oraz językach starożytnych, a nie w średniowieczu ani w epoce odkryć geograficznych. Powiedzmy, że te badania trafiły do mnie... hmm... przypadkowo... ee... ze względu na to, że znałem profesora Toscano, a nie dlatego, że to dziedzina moich zainteresowań.

Samochód dotarł do niewielkiego rozwidlenia dróg, ozdobionego pomnikiem księcia Henryka Żeglarza, następnie skręcił w prawo i opuścił główne arterie miasta, zanurzając się w zielone, pnące się w górę drogi lasu Mata dos Sete Montes. Trasa prowadziła serpentykami po zboczu wzgórza, w cieniu bujnych buków, w kierunku starych murów obronnych.

— W takim razie pozwoli pan, że opowiem panu całą historię od początku — zaproponował hrabia Vilarigues. — Kiedy muzułmanie zamknęli chrześcijanom dostęp do świętego miasta Jerozolimy, w całej Europie podniósł się bunt i podjęto wyprawy krzyżowe. W tysiąc dziewięćdziesiątym dziewiątym roku zdobyto Jerozolimę, a Ziemi Świętej narzucono chrześcijaństwo. Problem polegał na tym, że po powrocie wielu krzyżowców do Europy pielgrzymki chrześcijan do Jerozolimy stały się bardzo niebezpieczne. Nie było nikogo, kto by mógł ich ochraniać. Wtedy pojawiły się dwa nowe zakony rycerskie. Były to zakon Rycerzy Szpitalników, którego celem stała się pomoc chorym i rannym, oraz patrol złożony z zaledwie dziewięciu rycerzy, którzy strzegli uczęszczanych przez pielgrzymów tras. Mimo iż było ich tylko dziewięciu, dzięki nim drogi rzeczywiście stały się o wiele bardziej bezpieczne. Jako rekompensatę podarowano im na stałą siedzibę meczet Al Aksa, usytuowany na szczycie wzgórza Moria w Jerozolimie. Dokładnie tam znajdowała się wcześniej legendarna Świątynia Salomona. W ten sposób narodził się zakon Rycerzy Świątyni. — Zrobił pauzę. — Templariuszy.

— To znana historia.

— Niewątpliwie. Jednak tak wyjątkowa, że poruszyła wyobraźnię całej Europy. Powiada się, że przeszukując opuszczone ruiny Świątyni Salomona, templariusze znaleźli cenne relikwie, odwieczne tajemnice, przedmioty boskiego pochodzenia. Świętego Graala. Czy to dzięki tym tajemnicom, czy też po prostu dzięki ich zaangażowaniu i wytrwałości, liczba templariuszy rosła i rozprzestrzenili się po całej Europie.

— Dotarli również do Portugalii.

— Tak. Formalnie zatwierdzono zakon w tysiąc sto dziewiętnastym roku, a niewiele lat później już tutaj zagościli. Miasto Tomar, odbite od Maurów w tysiąc sto czterdziestym siódmym roku, zostało

w tysiąc sio pięćdziesiątym dziewiątym oddane w ręce templariuszy przez pierwszego króla Portugalii Afonsa Henriquesa. Rycerze, pod przewodnictwem mistrza Gualdima Paisa, w roku następnym wzniesli swój zamek. Mercedes pokonał ostatni zakręt i zatrzymał się na małym parkingu. Było to miejsce osłonięte drzewami, nad którym górowała solidna Torre de Menagem, widoczna za wysokimi murami obronnymi zamku templariuszy — potężnymi, z blankami rysującymi się na tle błękitu nieba. Przybysze pozostawili samochód w cieniu wysokich sosen i podążyli brukowaną drogą, otaczającą mury twierdzy Alcaçova, w stronę imponującej Bramy Słońca. Przez chwilę odnosili wrażenie, że znaleźli się w średniowieczu, w czasach surowych, prostych, zagubionych gdzieś w pamięci wieków, z których pozostały jedynie te dumne ruiny. Po lewej, wzdłuż drogi, ciągnął się ascetyczny mur wyszczerbiony solidnymi blankami, graniczący z gęstym lasem. Liście drzew łopotwały na wietrze smagającym zbocze góry. Wydawało się, że gałęzie tańczą w rytm łagodnej, naturalnej melodii, rozkołysane być może wesołym popiskiwaniami jaskółek i radosnym trelem słowików. Świerszcze odpowiadały im wysokimi tonami, a pszczoły pracowitym brzęczeniem, łakomie krążąc wokół kolorowych, wyłaniających się z zieleni kwiatów. Prawa strona drogi pogrążona była w pustym, zakętym milczeniu. Po tej stronie piętrzyło się suche, kamieniste wzgórze, na którego szczycie wyrastał zamek, niczym jakiś zarozumiały i arogancki pan feudalny.

— Więc to jest ten sławny zamek templariuszy — skomentował Tomás, podziwiając stare mury.

— Ni mniej, ni więcej. Templariusze otrzymali olbrzymie majątki ziemskie w Portugalii w nagrodę za zasługi na polach bitew, włącznie ze zdobyciem Santarém i Lizbony. Nigdzie jednak nie wycisnęli swojego piętna tak mocno jak tutaj, na zamku w Tomarze, w swojej siedzibie. Zakon spotkał jednak nagły koniec wraz z zapoczątkowanymi w tysiąc trzysta siódmym roku prześladowaniami we Francji oraz wskutek bulli papieskiej *Vox in excelso*, która doprowadziła do jego ostatecznego rozwiązania w roku tysiąc trzysta dwunastym. Papież zlecił monarchom europejskim uwięzienie wszystkich templariuszy. Król Portugalii, Dionizy Pierwszy, odmówił mu jednak posłuszeństwa. Klemens Piąty przyznał dobra templariuszy szpitalnikom,

jednak Dionizy Pierwszy ponownie odmówił. Król Portugalii uciekł się do genialnej interpretacji sądowej w tej kwestii, twierdząc, iż templariusze byli zwykłymi użytkownikami dóbr koronnych. Jeżeli więc przesiadliby istnieć, to wspomniane dobra ziemskie wróciłyby do swojego właściciela. Postawa portugalskiego króla zwróciła uwagę templariuszy francuskich, którzy w swoim kraju doświadczali okrutnych prześladowań. Wielu z nich przybyło do Portugalii w poszukiwaniu azylu. Dionizy Pierwszy pozostawił sprawę w zawieszeniu, aż w końcu zaproponował utworzenie nowego zakonu rycerskiego z siedzibą w Algarve, którego celem miała być ochrona Portugalii przed niebezpieczeństwem muzułmańskim. Watykan wyraził zgodę i w tysiąc trzysta dziewiętnastym roku formalnie uznał powstanie zakonu Rycerzy Chrystusa. Dionizy Pierwszy przekazał tej nowej organizacji cały majątek templariuszy, włącznie z dziesięcioma miastami. Co jeszcze ważniejsze, członkami nowego zakonu byli dawni templariusze. Innymi słowy, zakon Rycerzy Chrystusa w rzeczywistości okazał się zakonem Rycerzy Świątyni pod przykrywką innej nazwy. Odrodzenie templariuszy w Portugalii zwieńczone zostało sukcesem w tysiąc trzysta pięćdziesiątym siódmym roku, kiedy to zakon Rycerzy Chrystusa przeniósł swoją siedzibę tutaj, do zamku w Tomarze, dawnego sanktuarium w założeniu nieistniejącego zakonu Rycerzy Świątyni.

Przeszli przez wspaniałą Bramę Słońca, dochodząc do placu Broni – rozległej przestrzeni z pięknym, geometrycznym ogrodem po lewej, dominującym nad przyległą do niego doliną. Rosły tam krzewy ozdobne wyrzeźbione na kształt kul, wysokie i smukłe cyprysy, platan, wśród których pyszniły się klomby kwiatów.

— Ale dlaczego opowiada mi pan to wszystko? — zapytał Tomás.

Hrabia Vilarigues roześmiał się i wskazał ręką na wznoszące się po prawej mury oraz na średniowieczne budowle przed nimi, nad którymi górowała ogromna, cylindryczna rotunda imponującej Charoli o wyglądzie romańskiej twierdzy. Jej zewnętrzna ścianę umacniały potężne kamienie, a zwieńczona była piętnastowiecznymi blankami. Ukoronowanie konstrukcji stanowiła dzwonnica. Po drugiej stronie widać było otaczające główne krużganki klasztoru, a za gigantycznym platanem zaciniającym budowlę — ruiny kapituły.

— Mój drogi panie, po to, by lepiej zrozumiał pan to cudowne

miejsce, w którym się znajdujemy. Przecież w gruncie rzeczy w Tomarze, wysoko, wśród tych tajemniczych średniowiecznych murów, wciąż żyje czysty duch świętego Graala, enigmatyczna, ezoteryczna idea, która ucieleśniła się w powstaniu państwa portugalskiego oraz kierowała przebiegiem wielkich odkryć geograficznych. — Hrabia puścił porozumiewawczo oko. — Również dlatego, że są to kluczowe elementy historii, którą mam panu wyjawić.

— Ach tak? A co to za historia?

— Ależ, czy to możliwe, mój drogi panie, że jeszcze pan tego nie pojął? To, co mam panu wyjaśnić, to prawdziwa historia Cristóvama Coloma, żeglarza, który przekazał Amerykę Hiszpanom.

— A... prawdziwa historia Kolumba? Pan ją zna?

Weszli do geometrycznego ogrodu, przechodząc pod przyciętym na kształt łuku krzewem, i usiedli na wyciosanej w murze ławce ozdobionej niebieskimi i pomarańczowymi kafelkami.

— Prolog tej historii sięga czasów templariuszy i ich zakonu Rycerzy Chrystusa. — Hrabia przyglądał się murom poniżej. Po lewej można było rozpoznać Wieżę Katarzyny, a w połowie odległości do niej Bramę Krwi. — Mój drogi panie, proszę mi powiedzieć, czy kiedykolwiek zwrócił pan uwagę na krzyże zdobiące żagle karaweli portugalskich w okresie odkryć geograficznych?

— Na krzyże karaweli? Jeśli dobrze pamiętam, były czerwone.

— Czerwone na białym tle. Czy nic panu to nie mówi?

— Hmm... nie.

— Krzyże krucjat były czerwone na białym tle. Krzyż templariuszy portugalskich był na planie koła i również na białym tle. Krzyże zakonu Rycerzy Chrystusa były czerwone na białym tle. A i na białych żaglach karaweli portugalskich widniały czerwone krzyże. Był to znak zakonu Chrystusa, symbol templariuszy, którzy podążyli w morze w poszukiwaniu świętego Graala. — Pochylił się nad profesorem i utkwiał w nim wzrok, jak gdyby chciał zgłębić jego wnętrze. — Mój drogi panie, czy przypadkiem wasza ekscelencja wie, czym był święty Graal?

— Ee... święty Graal? Był to... kielich Chrystusa. Mówi się, że Jezus pił z niego podczas ostatniej wieczerzy i Józef z Arymatei zebrał do niego krew Syna Bożego podczas Jego agonii na krzyżu.

— Przesady, mój drogi panie! Święty Graal to kielich tylko w przenośni albo, jak pan woli, w metaforycznym sensie. — Wskazał w kierunku miasta Tomar, którego domostwa dojrzeć można było zza drzew i murów ze szczytu wzgórza. — Jeśli pójdzie pan do kaplicy chrzcielnej w kościele Świętego Jana Chrzyciela, tutaj w Tomarze, zobaczy pan tryptyk, na którym widnieje święty Jan Chrzyciel ze świętym kielichem w dłoni. W naczyniu znajduje się skrzydlaty smok, mityczne stworzenie wspomniane w legendzie o Rycerzach Okrągłego Stołu. Według tej legendy mag Merlin relacjonuje walkę w podziemnym jeziorze pomiędzy dwoma smokami. Jeden z nich miał skrzydła, a drugi nie. Jeden reprezentował siły dobra, a drugi uosabiał siły zła, jeden symbolizował światło, a drugi mrok. Ta walka smoków przedstawiona jest również w kapitule kościoła Świętego Jana Chrzyciela w Tomarze, co dodaje temu sanktuarium ogromnej wartości inicjacyjnej.

— Czy mówi pan o kościele znajdującym się na Praça de República, gdzie byliśmy niedawno?

— Właśnie o tym.

— Hmm — mruknął Tomás, przywołując w myślach obraz białej fasady kościoła oraz jego imponującej dzwonnicy z piaskowca. — Ale dlaczego opowiada mi pan o tym wszystkim?

— Mój drogi panie, to odpowiedź na pytanie, na które wasza eks-celencja przed chwilą nie potrafił odpowiedzieć. Smok to symbol mądrości u templariuszy. Odpowiada egipskiemu Thotowi i greckiemu Hermesowi. Temu samemu Hermesowi, od którego wywodzi się hermetyzm. Oznacza to, że smok wewnątrz świętego kielicha, tak jak w kościele w Tomarze, reprezentuje wiedzę hermetyczną. Święty Graal. — Przerwał swój wywód. — Czym jest zatem święty Graal? To wiedza. A czym jest wiedza, jeżeli nie władzą? Templariusze prędko do tego doszli. Kiedy przybyli do Portugalii, uciekając przed oficjalnymi prześladowaniami w całej Europie, przywieźli z sobą kielich i smoka, świętego Graala, wiedzę po części naukową i po części ezoteryczną, zgromadzoną w ciągu dwóch wieków eksploracji Ziemi Świętej. Posiadali znajomość nawigacji, ducha odkrywczego, hermetyczną erudycję i byli pomysłowi. Portugalia stała się celem ich podróży, ale także punktem wyjścia do dalszego poznawania świata, w nowym

dążeniu do wiedzy. Stąd bierze się nazwa państwa Portugal. Pochodzi od *Portucalem* i można się w niej doszukać związku ze świętym kielichem. Portugal. *Porto Graal*. Port Graala. To z tego ogromnego portu wyruszono w podróż w poszukiwaniu nowego Graala. Świętego Graala mądrości. Kielicha wiedzy. Nowego Świata.

— Czy chce pan dać do zrozumienia, że templariusze dokonali odkryć geograficznych, wprowadzając w życie poszukiwania świętego Graala?

— Częściowo tak. Templariusze i Żydzi podzielali ezoteryczne sekrety oraz tajemnicze praktyki kabalistyczne. Ci pierwsi otwarcie poszukiwali świętego Graala, a drudzy dyskretnie dążyli do Ziemi Obiecanej. Łączyła ich nostalgia za Jerozolimą oraz kultową Świątynią Salomona. Wraz z Portugalczykami tworzyli wybuchową mieszankę, koktajl, który na początku piętnastego wieku stworzył jeden z największych mężów stanu w historii Portugalii i najznakomitszych wizjonerów ludzkości, książę Henryk. Był to umysł, w którym zrodziła się idea ruchu ogólnoswiatowego, określanego dzisiaj mianem globalizacji. Jako trzeci syn króla Jana Pierwszego Henryk w tysiąc czterysta dwudziestym roku został mistrzem zakonu Rycerzy Chrystusa, a później zasłynął przydomkiem Żeglarz. Książę zgromadził ludzi nauki, wśród których znaleźli się Portugalczycy, Żydzi, templariusze i inni, oraz opracował ambitny plan konkretyzujący poszukiwania Graala. — Hrabia podniósł rękę i zaczął recytować z pamięci. — „Niech Portugalia będzie świadoma samej siebie — napisał poeta Fernando Pessoa. — Niech podda się swojej własnej duszy. W niej odnajdzie tradycje opowieści rycerskich, w których pojawia się w bliższej lub dalszej perspektywie Tajna Tradycja Chrześcijańska, Następstwo Super-Apostolskie, Poszukiwanie świętego Graala”. — Po zakończeniu recytacji Vilarigues zmienił deklamacyjny ton głosu, wracając do jego naturalnego brzmienia. — Wielki plan Henryka Żeglarza zakładał pokonanie nieznanego mórz oraz odkrycie nowego świata. Podczas kolejnych dziesięcioleci Portugalczycy wprowadzali go w życie. Rycerze stali się żeglarzami, a wyprawy morskie zastąpiły krucjaty.

— Portugalia więc była portem, z którego wyruszono na poszukiwania Graala?

— Ni mniej, ni więcej. Portugalia stała się krajem żeglarzy i odkrywców, rycerzy oceanów dążących do odnalezienia świętego Graala. Należeli do nich Gil Eanes, Gonçaves Baldaia, Nuno Tristão, Antão Gonçaves, Dinis Dias, Alvaro Fernandes, Diogo Gomes, Pedro de Sintra, Diogo Cão, Pacheco Pereira, Bartolomeu Dias, Vasco da Gama, Ferdynand Magellan, Pedro Alvares Cabral. Ta lista prawie nie ma końca. Kraj pełen był uczestników nowych krucjat. Wielu z nich znamy. Istnieli jednak inni, którzy udawali się na tajne wyprawy, dokonywali nigdy nieujawnionych odkryć, a ich imiona pozostają ukryte w cieniu historii.

— I mówi pan, że jednym z nich był Kolumb?

— Zaraz do tego dojdziemy. Pozostawmy teraz wielkie, mistyczne interpretacje epoki odkryć i skoncentrujmy się raczej na prozaicznych wydarzeniach w królestwie Portugalii pod koniec piętnastego wieku. Kiedy zmarł Henryk Żeglarz, a później także i król Afonsa Piąty, kontrolę nad ekspansją morską przejął inny człowiek. Chodzi tu o syna Afonsa Piątego, nowego króla Jana Drugiego, znanego jako Idealny Książę. Niedługo po jego wstąpieniu na tron doszło do wydarzenia, które przypieczętowało los Cristóvama Coloma.

— Odkrycie Przylądka Dobrej Nadziei przez Bartolomeu Diasa.
Hrabia się roześmiał.

— Nie, mój drogi panie, to wydarzyło się później. — Opuścili wyłożoną kafelkami ławkę i przeszli placem Broni, mijając niewielkie drzewka pomarańczowe. Vilarigues zbliżył się do ruin Paços Mestrais, dawnych komnat królewskich zamku, teraz pozbawionych dachu. Dotknął dłonią nagiej, chropowatej ściany w pieszczotliwym geście. — Nie wiem, czy pan wie, ale w tych murach mieszkał książę Henryk Żeglarz, człowiek, który zaplanował wszystko jeszcze przed Księciem Idealnym. Żył tutaj także inny mąż stanu, na którego biografii owo przełomowe wydarzenie w życiu Kolumba również miało wpływ. Chodzi o króla Manuela Pierwszego Szczęśliwego, następcę Jana Drugiego.

— A co to za wydarzenie?

Arystokrata pochylił głowę i spojrzał dziwnie na Tomasa.

— Konspiracja w celu zamordowania króla Jana Drugiego.
Historyk zmarszczył brwi.

— Słucham?

— Spisek przeciwko Janowi Drugiemu. Nigdy pan o nim nie sły-
szał?

— Ee... mgliście.

— Niech wasza ekscelencja uważnie wysłucha tej historii — po-
prosił Vilarigues, podnosząc ręce, jak gdyby błagał o cierpliwość. —
W tysiąc czterysta osiemdziesiątym drugim roku rada królewska pod
kierownictwem niedawno ukoronowanego Jana Drugiego ustanowi-
ła, że nadzorcy królewscy mogą dokonywać inspekcji dóbr ziemskich
ofiarowanych przez króla w celu sprawdzenia, czy jego beneficjenci
postępują zgodnie z prawem. Zadaniem owych nadzorców było także
potwierdzenie przywilejów oraz darowizn. Taka decyzja była bezpo-
średnim atakiem na ziemian, którzy dotychczas byli absolutnymi
panami i władcami swoich posiadłości. Do najbardziej wpływowych
zaliczał się Fernando Drugi, diuk Bragançy i daleki kuzyn króla. Diuk
chciał przedstawić sądowi nadanie darowizny oraz potwierdzenie
przyznania jemu i jego przodkom przywilejów. Poleciał zatem odpo-
wiedzialnemu za swoje finanse bakałarzowi João Afonsowi, aby po-
szedł do sejfu i wyszukał owe dokumenty. João Afonso, zamiast udać
się tam sam, posłał swojego syna, młodego, niedoświadczonego
chłopca. Kiedy ten przeszukiwał dokumenty w sejfie, pojawił się
skryba, zwany Lopo de Figueiredo, który zaoferował mu pomoc.
Podczas poszukiwań ów Lopo odkrył dziwną korespondencję, którą
wymieniali między sobą diuk Bragançy i Władcy Katolicyści Kastylii i
Aragonii. Zaintrygowany tak zdumiewającymi dokumentami zabrał
je i poprosił o tajną audiencję u króla, po czym pokazał mu listy. Jan
Drugi przeanalizował rękopisy. Niektóre z nich były własnoręcznie
poprawione przez diuka. Natychmiast zrozumiał, że dotyczyły one
spisku przeciwko koronie. Diuk Bragançy był sekretnym sojuszni-
kiem Władców Katolickich w Portugalii i obiecał Kastylijczykom
pomoc w inwazji na kraj. — Hrabia zniżył głos, jakby wymawiał ja-
kieś przekleństwo. — Zdrajca. — Powrócił do normalnego tonu. —
Listy udowadniały, że w spisku brali udział także diuk Viseu, brat
królowej, jak również jej matka. Jan Drugi polecił wykonać kopie
dokumentów i rozkazał Lopowi de Figueiredo, aby włożył je do sejfu,
tam skąd je wzięł. Zgromadzenie dalszych informacji potrzebnych do
oceny rozmiarów konspiracji i przygotowanie środków do jej

zlikwidowania zabrało monarsze ponad rok. Tymczasem zajmował się sprawami państwowymi oraz podejmował decyzje dotyczące odkryć geograficznych. Udało mu się nawet poznać szczegóły dotyczące planowanej przez konspiratorów jego egzekucji. W końcu, dwudziestego ósmego maja tysiąc czterysta osiemdziesiątego trzeciego roku, rozkazał uwięzić i postawić przed sądem diuka Bragançy. Skazany za zdradę stanu Fernando II dwa dni później został ścięty w Evorze. Pomimo to spisek trwał pod przewodnictwem diuka Viseu. W tysiąc czterysta osiemdziesiątym czwartym roku Jan Drugi zdecydował się na ostateczne rozwiązanie problemu. Wezwał do siebie brata królowej i po krótkiej wymianie zdań własnoręcznie go zasztytował. Pozostali ziemianie uczestniczący w konspiracji zostali ścięci, otruci lub zbiegli do Kastylii. W całej tej historii nastąpiło coś dziwnego. Jan Drugi ściągnął na dwór brata diuka Viseu, Manuela. Ów stawiał się w strachu o własne życie, wszak w tym samym miejscu, na podobnym spotkaniu jego brat został przez króla zamordowany. Audiencja jednak zakończyła się zupełnie inaczej. Jan Drugi podarował Manuelowi wszystkie dobra ziemskie straconego brata oraz, co należy podkreślić, oznajmił mu, że jeżeli książę Afonso umrze, nie pozostawiając potomstwa, to on odziedziczy koronę. Tak rzeczywiście się stało.

— To dziwna historia — skomentował Noronha, będąc pod wrażeniem szczegółów intrygi pałacowej w okresie rozkwitu odkryć geograficznych. — Nie rozumiem jednak, dlaczego pan mi ją opowiedział.

Hrabia Vilarigues skrzyżował ramiona na piersiach w dostojnej pozie i podniósł lewą brew.

— Mój drogi panie! — wykrzyknął pogardliwie. — Wasza ekscelencja prowadzi badania na temat Cristóvama Coloma i data zakończenia tej wielkiej czystki, przeprowadzonej przez króla, nic panu nie mówi?

— Powiedział pan, że kiedy to się stało?

— W tysiąc czterysta osiemdziesiątym czwartym roku.

Tomás podrapał się po brodzie w zamyśleniu.

— To było w roku, w którym Kolumb opuścił Portugalię i udał się do Kastylii.

— Bingo! — Vilarigues uśmiechnął się z błyskiem w oczach.

Historyk przez dłuższą chwilę pozostał bez ruchu, rozważając poruszoną kwestię, analizując jej implikacje, kompletując elementy układanki. Wreszcie pochylił się w stronę hrabiego i spojrzał na niego pytająco.

— Czy przypadkiem sugeruje pan, że Kolumb brał udział w konspiracji przeciwko Janowi Drugiemu?

— *Touché.*

Noronha otworzył usta ze zdumienia.

— Ach tak... — jęknął, niezdolny ogarnąć kłębowiska myśli, które pojawiło się w jego głowie. — Ach tak...

Widząc, że odebrało mu mowę, Vilarigues przyszedł Tomásowi z pomocą.

— Proszę mi powiedzieć jedną rzecz, mój drogi panie. Czy wasza ekscelencja już zauważył, że istnieją tony dokumentów dotyczących pobytu Cristóvama Coloma w Hiszpanii, ale jeżeli chodzi o jego obecność w Portugalii pozostaje ogromna pustka? Nie ma absolutnie nic! Ani jednego dokumentu! To, co wiemy, ogranicza się do krótkich wzmianek autorstwa Las Casasa, Hernanda Colona i samego Cristóvama Coloma. Nic więcej. — Wzruszył ramionami, symulując zdziwienie. — Człowiek więc nieustannie podróżował po kraju, pływał na naszych karawelach, ożenił się z portugalską arystokratką, przechadzał się po dworze królewskim, wielokrotnie spotykał z królem i nigdzie tego nie odnotowano? Nie było świadków? A to dlaczego?

— Hmm... wszystko zlikwidowano?

— Możliwe, mój drogi. Ale prawdopodobnie prawdziwe wytłumaczenie jest o wiele prostsze. Colom miał inne nazwisko. Szukamy dokumentów, w których występuje Colom, a tymczasem one istnieją, tylko że dotyczą osoby znanej pod innym nazwiskiem.

— Ja... jakim nazwiskiem?

— *Nomina sunt odiosa.*

Noronha otworzył szeroko oczy.

— Co?

— *Nomina sunt odiosa.*

— Nazwiska są niepożądane — przetłumaczył Tomás niemal machinalnie. — Owidiusz.

Hrabia odpowiedział mu zdumionym spojrzeniem.

— O! — wykrzyknął. — To było szybkie skojarzenie.

— Profesor Toscano pozostawił ten cytat z *Heroid* jako pierwszą wskazówkę do tajemnicy Kolumba.

— Aha — zrozumiał Vilarigues. — To ja mu o tym powiedziałem, wiedział pan? Przypuszczam, że to zanotował. — Wzruszył ramionami. — Nieważne. Prawdziwe nazwisko Coloma pozostaje nieznane. *Nomina sunt odiosa*. W każdym razie dla nas ważne jest to, że Colom miał inne nazwisko, nazwisko rodu ziemiańskiego.

— Skąd pan o tym wie?

— Colom należał do arystokracji i był również członkiem zakonu Rycerzy Chrystusa. Jego prawdziwa historia jest częścią naszej tradycji ustnej jako templariuszy. Potwierdzają ją liczne wskazówki. Zauważył pan już, że ożenił się z Filipa Moniz Perestrelo, córką kapitana i zarządcy Porto Santo, potomka Egasa Moniza oraz krewnego Nuna Álvaresa Pereiry, człowieka, który pokonał Hiszpanów w bitwie pod Aljubarrota? Kobieta tego stanu, którą łączyły związki krwi z panującą rodziną królewską, w owym czasie nigdy nie poślubiłaby przedstawiciela plebsu, a tym bardziej cudzoziemca. Nigdy! Prędzej poszłaby do klasztoru! Taka kobieta, mój drogi panie, wyszłaby za mąż jedynie za osobę szlacheckiego pochodzenia.

— Już się nad tym zastanawiałem — uciał Tomás. — Rzeczywiście to nie do pomyślenia, by Filipa Moniz Perestrelo poślubiła skromnego tkacza jedwabiu. To niemożliwe.

— A czy wasza ekscelencja czytał list, który Jan Drugi wystosował do Coloma w tysiąc czterysta osiemdziesiątym ósmym roku?

— Naturalnie, że tak.

— Co mi pan powie o fragmencie, w którym król wspomina o problemach Coloma z królewskim sądownictwem?

Profesor otworzył swój notatnik, szukając zapisków dotyczących owego listu.

— Proszę poczekać, mam to tutaj — powiedział, lokalizując fragment. — Król napisał: „A gdybyście mieli jakie obawy naszej sprawiedliwości z powodu pewnych rzeczy, do których jesteście zobowiązani, My w niniejszym liście zapewniamy Wam bezpieczne przybycie,

pobyt i odejście, że nie będziecie uwięzieni, zatrzymani, oskarżeni ani przesłuchiwani, ani żadnej rzeczy od Was żądać nie będziemy, czy to cywilnej, czy też przestępstwa żadnego rodzaju”. — Spojrzał na hrabiego. — To właśnie to.

— Czyli? Co to były za przestępstwa, które w tysiąc czterysta osiemdziesiątym czwartym roku spowodowały nagłą ucieczkę Coloma wraz z synem do Kastylii?

— Spisek.

— Otóż to. Konspiracja udaremniona w tysiąc czterysta osiemdziesiątym czwartym roku. Jak już mówiłem wielu ludzi szlacheckiego pochodzenia z rodzinami zbiegło wtedy do Kastylii. Na przykład Álvaro de Ataíde albo Fernando da Sylveira, a także Lopo de Albuquerque lub wpływowy Żyd Isaac Abravanel. Była to masowa ucieczka wszystkich tych, którzy mieli związek z intrygami diuków Bragançy i Viseu. Colom był tylko jednym z wielu.

Historyk otworzył szeroko oczy. Właśnie coś przyszło mu do głowy. Zajrzał do swojej nieodłącznej teczki i wyjął z niej napisaną po hiszpańsku książkę pod tytułem *Historia del Almirante*. Pospieszenie ją przekartkował.

— Niech pan chwilę poczeka, niech pan chwilę poczeka — prosił, jak gdyby obawiał się, że idea mu umknie. — O ile dobrze pamiętam, hiszpański syn Kolumba, Hernando Colón, napisał to samo w krótkiej wzmiance na temat przybycia ojca do Kastylii. Niech spojrzę... niech spojrzę... a, tutaj jest! — Odnalazł właściwy fragment. — Proszę posłuchać: „pod koniec tysiąc czterysta osiemdziesiątego czwartego roku wraz ze swoim synem Diogo potajemnie opuścił Portugalię w obawie przed aresztowaniem przez króla”.

— Colom potajemnie opuścił Portugalię? — zapytał ironicznie hrabia. — Obawiał się aresztowania ze strony króla? — Uśmiechnął się i rozłożył szeroko ręce, jak gdyby skrywał prawdę w dłoniach i właśnie ujrzała ona światło dzienne. — Trudno o coś bardziej oczywistego, prawda?

— Ale czy uważa pan za normalne, by król przebaczył Kolumbowi, jeżeli ten rzeczywiście brał udział w konspiracji?

— To zależy od okoliczności, ale biorąc pod uwagę to, co wiemy, jest to jak najbardziej prawdopodobne — odrzekł Vilarigues. — Proszę

zauważyć, że Colom nie był jednym z głównych strategów, ale zwykłym pionkiem w grze, figurą drugorzędną. Jednakże przebaczenia udzielono cztery lata później, w okresie, kiedy nikt już nie stanowił dla króla zagrożenia. Czyż nie sam Jan Drugi mianował brata jednego z konspiratorów dziedzicem korony? O ileż łatwiej było mu wybaczyć komuś drugoplanowemu, osobie takiej jak Colom, jeżeli uznał, że mógłby być on dla niego użyteczny. — Wskazał na notes trzymany przez Tomasa obok wyciągniętej z teczki książki. — A zauważył pan, w jaki sposób król zwrócił się do Kolumba w liście z tysiąc czterysta osiemdziesiątego ósmego roku?

Historyk przeczytał notatki.

— „Do Xpovama Collona, naszego szczególnego przyjaciela w Sewilli”.

— Szczególnego przyjaciela? Ależ, dobry Boże, co to za zażyłe stosunki pomiędzy wielkim portugalskim królem a maluczkiem tkaczem jedwabiu, cudzoziemcem, którego wtedy nikt jeszcze nie znał? — Hrabia z wyższością pokręcił głową. — Nie, mój drogi. To jest list monarchy do poddanego, którego dobrze zna, do osoby szlachetnego pochodzenia bywającej na dworze. Co więcej, to list o charakterze łagodzącym.

— Kim więc tak naprawdę był Kolumb?

Vilarigues podjął wypowiedź, kierując się do schodów widocznych w głębi zamkowego placu Broni.

— Już panu powiedziałem, mój drogi panie — podkreślił. — Cristóvam Colom był poddanym króla portugalskiego o ewentualnym pochodzeniu żydowskim, powiązany z rodziną diuka Viseu. Odegrał drugoplanową rolę w spisku przeciwko królowi Janowi Drugiemu. Po zdemaskowaniu konspiracji spiskowcy uciekli do Hiszpanii. Główni intryganci zbiegli w pierwszej kolejności, a później ich pomniejsi wspólnicy. Colom był jednym z nich. Zrezygnował ze swojego prawdziwego nazwiska i zaczął nowe życie w Sewilli, gdzie dobrze wykorzystał swoją znajomość nawigacji nabytą w Portugalii. Przyjął imię Cristóbal Colón i postanowił ukrywać swoją przeszłość, zwłaszcza ze względu na panujące w Kastylii antyżydowskie nastawienie. Po odkryciu Ameryki niektórzy autorzy włoscy insynuowali, jakoby był Genuńczykiem. Było to dla niego wygodne alibi, więc je

podtrzymywał, ani nie potwierdzając, ani nie zaprzeczając. W ten sposób oddalał podejrzenia co do swojego prawdziwego pochodzenia. — Pochylił głowę. — Czy wasza ekscelencja już zauważył, że nawet hiszpański syn nie znał korzeni ojca?

— Hernando?

— Tak. Hernando Colón udał się nawet do Włoch, by sprawdzić, czy to, co mówiono o genueńskim pochodzeniu jego ojca, było prawdą. — Hrabia przybrał pytający wyraz twarzy. — Widział pan coś takiego? Colom nie wyjawiał swoich korzeni nawet własnemu synowi. Proszę zauważyć, dokąd doszedł admirał w utrzymywaniu tajemnicy: pozwolił na to, by syn zagubił się w niekończących się przypuszczeniach co do tak prostej kwestii, jak określenie miejsca urodzenia ojca. To oczywiste, że Hernando w Genui niczego nie znalazł, jak sam przyznaje w swojej książce. Przyjął nawet hipotezę, iż ojciec urodził się w Piacenzy, myśląc tym samym jego pochodzenie z korzeniami niektórych przodków portugalskiej żony admirała, Filipy Moniz Perestelo, którzy rzeczywiście przybyli z tego włoskiego miasta.

— Nawet Władcy Katolicy nie wiedzieli, kim był Kolumb?

— Nie, oni wiedzieli, oni wiedzieli. — Vilarigues pokiwał twierdząco głową. — Colom uczestniczył w spisku diuków Bragançy i Vi-seu przeciwko koronie portugalskiej. Owa intryga opierała się na współpracy konspiratorów z koroną Kastylii. Wśród dokumentów znalezionych w kufrze diuka Bragançy znajdowały się listy od Władców Katolickich. Jako że Kolumb należał do spisku, siłą rzeczy monarchowie hiszpańscy musieli go znać, choćby pobieżnie. Co więcej, tylko tym można wyjaśnić zaufanie, jakim go obdarzyli. — Wyciągnął rękę w kierunku *Historia del Almirante* Hernanda Colona, którą Noronha trzymał na kolanach. — Niech mi pan pokaże tę książkę. — Hrabia wziął do rąk dzieło i przekartkował je, szukając jakiegoś fragmentu. — Jest tutaj... niech znajdę... Jest tutaj wiele mówiąca wzmianka, fragment listu Coloma do księcia Juana, włączony do książki przez Hernanda. Jest... jest tutaj, niech pan posłucha: *yo no soy el primer Almirante de mi familia*. — Spojrzał na Tomasa, przekrzywiając głowę w kpiącym geście. — Colom mówi, że nie jest pierwszym admirałem w rodzinie. Ale czy on nie miał być niewykształconym tkaczem jedwabiu? — Roześmiał się. — Inaczej mówiąc,

sam admirał pośrednio wskazał na swoje szlachetne pochodzenie, co zresztą było wiadome monarchom hiszpańskim. Udowadnia to fakt, iż w kwietniu tysiąc czterysta osiemdziesiątego drugiego roku, jeszcze przed słynną podróżą do Ameryki, w jednym z dokumentów określono żeglarza jako arystokratę. Gdyby Kolumb rzeczywiście był skromnym tkaczem genueńskim, zgodnie z karykaturalną, oficjalną wersją genueńską, Władcy Katoliccy wyśmialiby jego prośby o audiencję. Co innego natomiast, jeżeli był tym, kim był. Biorąc pod uwagę rywalizację pomiędzy Portugalią a Kastylią, publiczne ogłoszenie, że admirał floty kastylijskiej to Portugalczyk, a tym bardziej prawdopodobnie pochodzenia żydowskiego, okazałoby się niewygodnym posunięciem. To wydawało się nie do przyjęcia. W ten sposób prawdziwa tożsamość Kolumba pozostała tajemnicą. Proszę zauważyć: wysiłki utrzymywania w sekrecie korzeni admirała były tak wielkie, że nawet list nadający obywatelstwo hiszpańskie jego młodszemu bratu, Diegowi Colomowi, omija wzmiankę o narodowości. Regułą publicznego prawa hiszpańskiego było podawanie w takich listach pochodzenia obywatela, któremu przyznawano naturalizację. Świadczą o tym wszystkie dokumenty naturalizacyjne przechowywane w Registro del Sello de Archivo de Simancas dotyczące tego okresu. Wyjątek stanowi jedynie list dotyczący Diega Coloma. To pokazuje, jak daleko sięgała ostrożność korony, aby nie ujawniać pochodzenia admirała. Gdyby rzeczywiście był on Genueńczykiem, nie byłoby powodu ukrywania jego miejsca urodzenia. Jednak sprawa wygląda zupełnie inaczej, jeśli był Portugalczykiem i być może Żydem. Stąd późniejsze przechwałki Genueńczyków okazały się korzystne, ponieważ przyczyniły się do większego zamieszania w tej sprawie. Samym Władcom Katolickim wygodnie było nie dementować insynuacji włoskich. Przynosiły większy prestiż załodze oraz narodowi. W taki sposób, przez konspirację milczenia i dwuznaczności podtrzymywaną przez samego żeglarza oraz jego protektorów, pochodzenie Kolumba pozostawało niejasne i okryte gęstą zasłoną tajemnicy.

Przeszli pomiędzy gigantycznym platanem i skromniejszym od niego orzechem. Byli to prawdziwi, nieruchomi strażnicy oraz milczący świadkowie życia przez wieki w tym dziwnym klasztorze. Mężczyźni

zaczęli wspinać się szerokimi kamiennymi schodami siedziby templariuszy.

— Ale jeżeli Kolumb był związany ze spiskiem, z jakiego powodu Jan Drugi wezwał go do Lizbony w tysiąc czterysta osiemdziesiątym ósmym roku?

Vilarigues pogłaskał swoją spiczastą brodę.

— Racja stanu, mój drogi panie, racja stanu. Cristóvam Colom chciał płynąć do Indii drogą na zachód, ale Władcy Katolicy nie byli co do tego przekonani. Jan Drugi wiedział, że taka podróż jest prawie niemożliwa z dwóch powodów. Po pierwsze, świat był o wiele większy, niż zakładał Colom. Po drugie, król portugalski wiedział o istnieniu lądu w połowie drogi.

Kroczyli dziedzińcem klasztornym zwanym Terreiro da Entrada. Kierowali się do Bramy Południowej, przechodząc obok cylindrycznej konstrukcji Charoli templariuszy, kiedy Tomás zatrzymał się i spojrzął na swojego rozmówcę.

— Aha! Jan Drugi wiedział już o istnieniu Ameryki...?

Hrabia się roześmiał.

— Och, mój drogi, oczywiście, że wiedział. Poza tym nie był to żaden wyczyn. O ile mi wiadomo, miliony lat wcześniej Amerykę odkryli Azjaci, którzy skolonizowali kontynent od jednego krańca do drugiego. Pierwszymi Europejczykami, którzy tam dotarli, byli wikingowie, a szczególnie Eryk Rudowłosa. Informacji tych strzegli nordyccy templariusze, a niektórzy z nich przybyli do Portugalii. Bez wątpienia Portugalczycy dokonywali eksploracji tych ziem w piętnastym wieku, zawsze potajemnie. Admirał Gago Coutinho, pierwszy człowiek, który przeleciał nad Atlantykiem, doszedł do wniosku, że średniowieczni żeglarze mieli doświadczenie w żegludze do wybrzeża amerykańskiego przed rokiem tysiąc czterysta siedemdziesiątym drugim. Podejrzewał on, że pierwszym Europejczykiem, który dotarł tam po wikingach, był Corte-Real. Inni szanowani historycy podzielali ten punkt widzenia. Należał do nich także Joaquim Bensaúde. Co więcej, w procesie *Pleyto de la Prioridad* rozpoczętym w tysiąc pięćset trzydziestym drugim roku przez synów kapitana Pinzóna, który był w służbie Coloma, postawiono dziwną hipotezę, jakoby admirał odkrył ląd, którego istnienie było już znane. Sąd przesłuchał

świadków, którzy utrzymywali kontakt z wielkim żeglarzem. Jeden z nich, niejaki Alonso Gallego, odniósł się do Coloma jako osoby, która „służyła królowi Portugalii i wiedziała o rzeczonych ziemiach w rzeczonych Indiach”. Potwierdził to biograf współczesny Colombowi, Bartolomeu da las Casas, który wspomniał, iż admirał usłyszał od innego portugalskiego marynarza informacje o lądzie znajdującym się na zachód od Azorów. Ten sam las Casas odbył w owym czasie podróż na Antyle i opowiadał, co wyjawili mu mieszkańcy Kuby: że przed przybyciem Hiszpanów dotarli tam już inni żeglarze, biali i brodaci. — Zrobił dłonią szeroki gest. — A czy wasza ekscelencja widział już *Planisfério de Cantino*?

— Oczywiście, że tak.

— A czy zauważył pan, że znajduje się tam wybrzeże Florydy?

— Tak.

— W tym jest coś dziwnego. Autorem *Planisfério de Cantino* był kartograf portugalski, a datuje się je najpóźniej na rok tysiąc pięćset drugi. Odkrycie Florydy nastąpiło natomiast dopiero w tysiąc pięćset trzynastym. Dziwne, prawda?

— To oczywiście, że Portugalczycy wiedzieli o wiele więcej, niż przekazywali...

— Oczywiście, że wiedzieli! A co wasza ekscelencja powie o dziwnym fakcie, że w swoją pierwszą podróż do Nowego Świata Colom zabrał portugalskie monety, he? Dlaczego pieniądze portugalskie, a nie hiszpańskie? Taka decyzja miała sens tylko wtedy, jeżeli admirał był przekonany, że lokalna ludność była obeznana z portugalską monetą, prawda?

Bogato zdobiona w stylu manuelińskim Brama Południowa zwieńczona ażurowym fryzem była zamknięta. Obeszli więc rotundę z prawej strony, cały czas krocząc po Terreiro da Entrada. Dochodząc do wąskiego zaułka, bezpośrednio za dzwonnica, przekroczyli niewielkie drzwi zakrystii i znaleźli się w półmroku sanktuarium. Kupili bilety i podążyli do Krużganków Cmentarnych. Patio w stylu rozbuhanego gotyku zdobiły małe drzewka pomarańczowe. Weszli w zacienione korytarze, aż w końcu dotarli do serca klasztoru, Charoli templariuszy.

Stara rotunda wydzielala zapach wilgoci charakterystyczny dla wiekowych budowli, rodzaj suchej stęchlizny — odór, który

Tomásowi kojarzył się z muzeami. Konstrukcja przypominała bęben o szesnastu ścianach, a w jej centrum znajdowało się ośmioboczne sanktuarium. Przestrzeń między ścianą ozdobiona freskami, a kolumnami z połączanymi rzeźbami tworzyła kolistą nawę ze sklepieniem w formie bizantyjskiej kopuły. Kaplica zbudowana została według planu rotundy kościoła Grobu Świętego w Jerozolimie. Charola, ze swoją majestatyczną, imponującą architekturą, przypominającą wielkie sanktuaria Ziemi Świętej, stanowiła klejnot w koronie klasztoru. Od wewnątrz po obu stronach Bramy Południowej stały spiralne filary, takie jak te, które według Pisma Świętego wznosiły się u wrót Świątyni Salomona. Obaj przybysze byli jednak tak pogrążeni w dyskusji, że obrzucili Charole zaledwie przelotnym spojrzeniem.

— Przepraszam, ale pewnych rzeczy tutaj nie rozumiem — powiedział Tomás, stojąc w pobliżu centrum ośmioboku. — Jeżeli Portugalczycy wiedzieli o istnieniu Ameryki, to dlaczego sami nie zajęli się jej eksploracją?

— Z prostego powodu. Nie było tam nic, co zasługiwało na wyprawę — odparł hrabia takim tonem, jakby to było oczywiste. — Mój drogi, Portugalczykom zależało na dotarciu na Wschód. Ich ezoteryczny plan przewidywał, że święty Graal znajduje się w mitycznym, chrześcijańskim królestwie księdza Jana, zgodnie z twierdzeniami najważniejszego dzieła niemieckiego na temat legendarnego kielicha, *Parzivala*, autorstwa Wolframa von Eschenbacha, którego znajomość Portugalia zawdzięcza templariuszom germańskim. Zależało im na dotarciu do Indii w sposób, który pozwalałby na ominięcie prawa wyłączności do handlu, należącego do Wenecji oraz imperium otomańskiego, i uzyskanie dostępu do przypraw po o wiele bardziej korzystnej cenie. Proszę zauważyć, że dążenie do świętego Graala wiedzy było motywacją Henryka Żeglarza oraz jego templariuszy. Interesy handlowe wzięły jednak stopniowo górę nad mistycznymi pobudkami. Portugalczycy, którzy postawili stopę na kontynencie amerykańskim, od razu zrozumieli, że nie ma on nic do zaoferowania oprócz dzikich plemion i drewna. — Vilarigues podniósł lewy palec wskazujący, podkreślając ważność tego, co za chwilę miał powiedzieć. — Stąd zainteresowanie króla Jana Drugiego planami Coloma.

— Zainteresowanie? — zdziwił się Noronha, zdezorientowany. — Nie rozumiem. Sam pan przecież właśnie powiedział, że byli tam tylko dzicy oraz drewno...

— Mój drogi panie — westchnął hrabia. — Czy naprawdę muszę panu wszystko tłumaczyć?

— Obawiam się, że tak.

— Niech tak będzie! — wykrzyknął arystokrata, czując satysfakcję z powodu możliwości kontynuowania wykładu. — Proszę spróbować podążać za moim tokiem myślenia. Cristóvam Colom wiedział, że na zachód od Azorów znajduje się stały ląd. Był Portugalczykiem, a takie informacje krążyły na dworze królewskim, gdzie bywał, oraz wśród załóg karaweli, z którymi pozostawał w kontakcie. Moim zdaniem Colomowi wydawało się, że owym lądem była Azja, o której mówił Marco Polo w relacjach ze swoich podróży. Nie miał danych, które potwierdzałyby, że chodzi o inny kontynent. Próbował przekonać króla portugalskiego do wyprawy na zachód, ale Jan Drugi wiedział, że istniejące tam ziemie nie należały do Azji i że prawdziwa Azja znajdowała się o wiele dalej. Odrzucał więc sugestie młodego poddanego. W tysiąc czterysta osiemdziesiątym czwartym roku, w następstwie zdemaskowania konspiracji przeciwko królowi, Colom uciekł do Kastylii i sprzedał swój pomysł Władcom Katolickim, którzy charakteryzowali się znacznie większą ignorancją i ciemnotą. Hiszpanie byli niedouczeni, wciąż myśleli, że ziemia jest płaska, niech więc sam pan to oceni! Trzeba jednak zauważyć, że taka sytuacja była dla Jana Drugiego wygodna. Król portugalski miał strategiczną wizję opartą na zdrowym rozsądku. Szybko doszedł do wniosku, że Colom może być pomocny w jego ekspansjonistycznych planach. Hiszpanie byli ignorantami, ale nie głupcami. Gdyby tylko przekonali się, że Portugalczycy czerpią milionowe zyski z handlu z Indiami, domagaliby się swojej działki. Doszłoby do wojny. Jan Drugi zrozumiał, że Kastylia stanowiła oczywiste, potencjalne zagrożenie dla jego planów. Konieczny był zatem manewr odwracający jej uwagę, wskazanie innego kierunku działań, zaproponowanie czegoś, co uzna za cenniejsze, ale co w rzeczywistości nie ma żadnej wartości.

— Ameryka — odgadł Tomás.

— Otóż to! Widzi wasza ekscelencja, że sam zaczyna rozumieć? —

Mrugnął porozumiewawczo. — Ameryka spełniała tę funkcję, stanowiła idealną zabawkę. Póki Hiszpanie byliby przekonani, że prymitywna Ameryka to bogata Azja, zajęliby się tym kontynentem, pozostawiając w spokoju Portugalczyków uprawiających lukratywny handel z autentyczną Azją. Stąd starania Coloma o przekonanie dworu hiszpańskiego do wyprawy były Lizbonie na rękę. Problem polegał na tym, że Hiszpanie odrzucili propozycję portugalskiego żeglarza. Powodem była właśnie ich nadmierna ignorancja oraz fakt, iż absorbowali ich Maurowie, którzy w owym czasie zajmowali jeszcze południe Półwyspu Iberyjskiego. Zniechęcony i ogarnięty tęsknotą Colom pragnął powrócić do ojczyzny, ale nadal istniała kwestia jego uczestnictwa w spisku przeciwko królowi. W tysiąc czterysta osiemdziesiątym ósmym roku napisał więc list do Jana Drugiego, w którym zapewniał o swojej niewinności i prosił o przebaczenie jakichkolwiek popełnionych win. Król wykorzystał okazję i wystosował znany panu list ugodowy, udzielając poddanemu gwarancji, iż nie zostanie on aresztowany za popełnione przestępstwa. Prawdę powiedziawszy, w interesie monarchy było dojście do porozumienia z „czarną owcą”. Z glejtem w dłoni Colom udał się do Portugalii, nakłaniając króla do zrealizowania swojego planu. Ku jego zaskoczeniu jednak Jan Drugi nie zamierzał wysłać żadnej ekspedycji na zachód. Jego pragnieniem było raczej to, by poddany nadal wywierał presję na Władcach Katolickich, aby to oni zaakceptowali taką wyprawę. Król portugalski obiecał żeglarzowi tajną pomoc w tym, co okaże się konieczne, aby jego inicjatywa zakończyła się sukcesem. Podczas pobytu w Lizbonie Colom był świadkiem powrotu Bartolomeu Diasa, przybywającego z nowiną o odkryciu drogi do Indii. Zdał sobie sprawę, że Jan Drugi miał rzeczywiście dobre powody, by odrzucić jego propozycję. Zrezygnowany przyjął ofertę sekretnej pomocy i powrócił do Kastylii z odnowioną nadzieją na przekonanie Władców Katolickich.

— Powrót Bartolomeu Diasa był rzeczywiście ważnym punktem zwrotnym — zauważył Noronha. — Zawsze wychodzono z założenia, że Jan Drugi zrezygnował z wyprawy do Indii drogą na zachód, ponieważ kiedy negocjował podróż z Kolumbem w Lizbonie, pojawił się Bartolomeu Dias z wiadomością o odkryciu Przylądka Dobrej Nadziei i uświadomił królowi, że to była właściwa droga.

— Bzdura! — wykrzyknął hrabia zniecierpliwionym tonem. — Jan Drugi o wiele wcześniej podjął taką decyzją! Proszę zauważyć, że był świadomy istnienia łądu na zachód od Azorów. Przede wszystkim wiedział, że nie była to Azja. — Dotknął palcem piersi Tomasa. — Mój drogi panie, proszę to sobie przemyśleć. Gdyby Jan Drugi rzeczywiście brał pod uwagę hipotezę nawigacji drogą na zachód, uważa pan, że wzywałby z Sewilli genueńskiego żeglarza, jak twierdzi oficjalna wersja? Czyż nie miał w swoich szeregach ludzi znacznie bardziej doświadczonych, znakomitych nawigatorów, takich jak Vasco da Gama, Bartolomeu Dias, Pacheco Pereira, Diogo Cão oraz wielu innych. Wszyscy oni dawali gwarancję przeprowadzenia takiej misji z powodzeniem. Po co król miałby wzywać do tej wyprawy Coloma, hę? Kto uważa, że Jan Drugi pozwolił Colomowi przybyć do Lizbony, aby przedyskutować z nim podróż trasą zachodnią, może jedynie żartować! — Vilarigues uderzył się kilkakrotnie palcem w czoło, wydając głuche puk-puk-puk. — Do tego miał wystarczającą liczbę doskonale wykwalifikowanych żeglarzy, których darzył osobistym zaufaniem. — Pokręcił głową. — Nie, mój drogi. Powodem rozmowy Jana Drugiego z Colomem nie była analiza zachodniej drogi do Indii przede wszystkim dlatego, że uprzednio wiedział o istnieniu innego kontynentu w tym rejonie świata. Proszę się przekonać do następującego wytłumaczenia: zainteresowanie króla portugalskiego Ameryką polegało w istocie na tym, iż widział w tym możliwość odwrócenia uwagi Hiszpanów od prawdziwej drogi do Indii. Proszę pewną rzecz zauważyć, drogi panie. Czy wasza ekscelencja nie uważa za dziwne, że Bartolomeu Dias odkrył dostęp do Oceanu Indyjskiego w tysiąc czterysta osiemdziesiątym ósmym roku, prawie dziesięć lat po tym, jak Portugalia wysłała z taką misją Vasco da Gamę? — Zrobił zdziwioną minę. — Dziesięć lat później? Po co było czekać dziesięć lat?

— Może po to, by przygotować wyprawę?

— Przez dziesięć lat? Proszę, proszę! Gdyby Portugalczycy byli nowicjuszami w sztuce nawigacji, można by w to jeszcze uwierzyć. Ale oni regularnie żeglowali, wyprawy morskie były dla nich rutyną, chlebem powszednim. Taki długi czas przygotowań jest mało prawdopodobny. — Vilarigues pochylił się w kierunku historyka. — Proszę

zauważyć, mój drogi panie. Po systematycznych, długotrwałych poszukiwaniach drogi morskiej do Indii, kiedy w końcu dokonali tak upragnionego odkrycia i drzwi stanęły przed nimi otworem, nagle następuje dekada przerwy? Niewytłumaczalna dziesięcioletnia pauza oddziela wyprawę Diasa i da Gamy? — Podniósł ramiona w pytającym geście. — Dlaczego? Skąd ta dziesięcioletnia przerwa? Co spowodowało opóźnienie w tak oczekiwanej podróży do Indii? To, mój drogi, największa tajemnica odkryć geograficznych, przedmiot niezliczonych spekulacji historyków. — Wskazał na Tomasa. — W pewnym stopniu wasza ekscelencja odpowiedział trafnie. Portugalczycy rzeczywiście czynili przygotowania. Nie były to jednak statki, które miały wypłynąć w ekspedycji Vasco da Gamy. Przygotowywali natomiast Hiszpanów.

— Przygotowywali Hiszpanów?

— Korona portugalska mogła wprowadzić w życie swoją przygodę z Indiami, tylko po rozwiązaniu problemu Hiszpanii. Gdyby Portugalia odkryła drogę do Indii pozostawiając Kastylię z pustymi rękami, prędzej czy później wojna byłaby nieunikniona. Traktat z Toledo, podpisany z Kastylią w tysiąc czterysta osiemdziesiątym roku w następstwie traktatu z Alcáçovas, przyznawał Portugalii eksplorację wybrzeża Afryki „aż do Indii włącznie”. Jan Drugi jednak przypuszczał, że w momencie prawdy Kastyljczycy nie będą brali tych uzgodnień pod uwagę. Czy w końcu Władcy Katolicy w momencie podpisywania traktatu z Toledo/Alcáçovas nie spiskowali z portugalskimi arystokratami, planując zabicie króla Portugalii? Jak w takich warunkach Jan Drugi mógł im zaufać? Brak zaufania okazał się uzasadniony, ponieważ Władcy Katolicy rzeczywiście usiłowali dotrzeć do Indii, dążąc tym samym do objęcia władzy nad tym, czego traktat im odmawiał. Król portugalski miał słuszne przeczucie, że tak będzie, że w godzinie prawdy Hiszpanie zignorują traktat, który przyznawał tak wiele Portugalii, a tak mało Kastylii i Aragonii. Konieczne było przede wszystkim rozwiązanie kwestii hiszpańskiej. Kluczem do niej okazał się Cristóvam Colom. Zaistniała potrzeba, by Colom przekonał Hiszpanów do zorganizowania wyprawy na zachód. Fundamentalne stało się to, by uwierzyli, że Ameryka w istocie była Azją. Na to Portugalczycy musieli czekać dziesięć lat. Oczekiwali na wyprawę Coloma i na wynikające z niej zmiany na scenie geopolitycznej.

- Wyprawę z tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego drugiego roku.
- Tak, przy tajnej pomocy Jana Drugiego.
- Jak to?

— Po pierwsze, dzięki sekretnemu finansowaniu — powiedział hrabia, podnosząc do góry kciuk. — Izabela Katolicka wsparła ekspedycje milionem maravedís. Suma ta nie była wystarczająca i sam Colom dopłacił ćwierć miliona. Proszę mi powiedzieć, skąd, u licha, zubożały poddany portugalski mógł wziąć tyle pieniędzy? Adwokaci tezy genueńskiej twierdzą, że fundusze te pochodziły od włoskich bankierów, ale gdyby to była prawda, domagaliby się potem dywidend. Żadna osoba prywatna nie ofiarowałaby takiej sumy pieniędzy, nie odnosząc z tego korzyści finansowej, prawda? Jednak ktokolwiek wyłożył te pieniądze, później nie pojawił się z roszczeniami do swojej działki w interesach z zachodnimi Indiami. A dlaczego się nie pojawił? Po prostu było to niemożliwe, gdyż osoba ta musiała pozostać w ukryciu. Prawdziwe korzyści z tej inwestycji nie były bowiem pieniężne, ale raczej geostrategiczne. Reasumując, powód był taki, iż tajnym sponsorem był król Portugalii. — Vilarigues dodał do kciuka palec wskazujący. — Po drugie, Jan Drugi zobowiązał się dostarczyć instrumenty nawigacyjne. Kilka dni przed rozpoczęciem wyprawy Colom otrzymał z Lizbony *Tábuas de Declinação do Sol* w języku hebrajskim. Były to tablice niezastąpione do korygowania błędów przy oznaczaniu szerokości geograficznej za pomocą astrolabium. Kto je wysłał? — Uśmiechnął się. — Rzecz jasna, korona portugalska. Jan Drugi dołożył wszelkich starań, aby podróż Coloma zakończyła się powodzeniem. — Zrobił gest kogoś trzymającego niemowlę na rękach. — Poprowadził Hiszpanów do Ameryki za rączkę.

— To wszystko prawda, lecz proszę zauważyć, że do wyprawy Kolumba doszło w tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym drugim roku, a Vasco da Gama dotarł do Indii dopiero w tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym ósmym. Skąd ta sześćioletnia zwłoka?

— Konieczne były przejrzyste zmiany geopolityczne, które w tym czasie zaistniały, wiążące Hiszpanów nowym traktatem przypieczętowanym przez Watykan, stwarzającym sytuację bardziej korzystną dla Lizbony. Stało się to w tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym czwartym

roku, kiedy Portugalia i Kastylia podpisały traktat z Tordesilhas, dzielący świat na dwie strefy wpływów. Każda z nich przypadła w udziale jednemu z królestw iberyjskich. Hiszpanie byli przekonani, że otrzymali większą część, ponieważ ich działka obejmowała ziemie, które uważali za Indie, czyli nowo odkryty przez Coloma ląd. — Hrabia podniósł rękę. — A teraz, mój drogi panie, proszę zwrócić uwagę. Czy pana zdaniem Jan Drugi rzeczywiście podpisałby taki traktat, gdyby był przekonany, że Indie zaliczają się do strefy hiszpańskiej? Gdyby król portugalski wierzył, iż Colom rzeczywiście dotarł do Indii, czyż nie uważa pan, że obstawaliby raczej przy umowie z Toledo/Alcákovas, która dawała mu wyłączne prawa do „Indian”? Dlaczego z pocałowaniem w rękę oddał Hiszpanom udział, w którym w założeniu znajdowały się Indie Coloma? Jediną wiarygodną odpowiedzią jest taka, iż Jan Drugi zaakceptował nowy podział świata, ponieważ wiedział już, że w skład części hiszpańskiej nie wchodziły prawdziwe Indie. To, co zrobili Portugalczycy, to pozostawienie „Indii” amerykańskich swoim rywalom i zachowanie prawdziwych Indii dla siebie. Powstały więc warunki, które Jan Drugi uznał za odpowiednie, jako że Hiszpanie mieli już swoje „Indie”, na których mogli skupić uwagę. Tym samym wyeliminowano ryzyko wojny, a Portugalczycy mogli w końcu rozpocząć plany wielkiej wyprawy Vasco da Gamy.

— Mimo wszystko od podpisania traktatu do wyruszenia Vasco da Gamy minęły trzy lata...

— Tak — przyznał hrabia. — W tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym piątym roku zmarł Książę Idealny, co opóźniło proces przygotowań. Flota wypłynęła dopiero w tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym siódmym roku, już za panowania Manuela Pierwszego.

— Ale jak można z taką pewnością twierdzić, że Kolumb był strategicznym elementem użytym przez Jana Drugiego w celu odsunięcia Hiszpanów od prawdziwych Indii?

— Wystarczy zaobserwować praktyczne rezultaty ekspedycji z tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego drugiego roku. Colom przekonał Władców Katolickich, że dotarł do Azji, doprowadzając do podpisania traktatu, który w rzeczywistości oznaczał, że stracą oni wiele lat, poświęcając uwagę odkrytemu kontynentowi, oddając prawdziwą Azję w ręce Portugalczyków.

— Bez wątpienia był to praktyczny rezultat wyprawy z tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego drugiego roku. To nie podlega dyskusji. Jednak twierdzenie, że Kolumb działał w znowie z Janem Drugim, aby osiągnąć ten cel, wydaje mi się spekulacją.

— Nie, mój drogi panie, nie ma w tym nic ze spekulacji — zaprzeczył Vilarigues. — Informacja o znowie Coloma i Jana Drugiego stanowi część tajnej spuścizny zakonu Rycerzy Chrystusa i potwierdzają ją liczne wskazówki i dowody.

— Jakie dowody?

Hrabia się uśmiechnął.

— Zaraz do tego dojdziemy — powiedział. — Zacznijmy od wskazówek. Czy wasza ekscelencja zna dokumenty, na których opiera się teza o genueńskim pochodzeniu Coloma?

— Tak, oczywiście.

— Czy przypadkiem uważa pan je za wiarygodne?

— Nie, raczej za podważalne. Są pełne sprzeczności i nieścisłości.

— Wierzy pan więc, że Colom był Portugalczykiem?

— Skłaniają mnie do tego liczne przesłanki, tak. Ale brakuje mi ostatecznego dowodu.

— O jakim dowodzie pan mówi? — zapytał arystokrata ironicznie.

— Czy potrzebuje pan kasety video z filmem, na którym Colom patrzy do kamery i śpiewa hymn narodowy, he?

— Nie, ale chcę mieć poważne dowody. Proszę zauważyć, że ze wszystkimi swoimi nieścisłościami i absurdami teza genueńska jest jedyną, która przypisuje Kolumbowi jakąkolwiek tożsamość. Przyznaje mu rodzinę, dom, przedstawia dokumenty. Brakuje w niej całej reszty, to pewne, ale przynajmniej te elementy zawiera. Teza portugalska stanowi jej przeciwieństwo. Im większy ma sens i rozwiewa tajemnice wokół osoby admirała, tym bardziej brak w niej dokumentu, który jasno ją identyfikuje.

— Świetnie, za chwilę przejdziemy do dowodów — odparł hrabia, wykonując dłonią gest wzywający swojego rozmówcę do zachowania cierpliwości. — Przeanalizujmy teraz wskazówki. Czy wobec podanych wskazówek historia, którą panu opowiedziałem, ma sens?

— Hmm... powiedziałbym, że wszystko zaczyna się zazębiać.

— W takim razie przeanalizujmy następne wskazówki.

— Jest ich więcej?

— Tak — potwierdził Vilarigues z tajemniczym uśmiechem. — Skoncentrujmy się na dziwnych wydarzeniach, do których doszło podczas pierwszej i kluczowej wyprawy, tej z tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego drugiego roku. Jak panu wiadomo, Colom dotarł do Antyli i nawiązał kontakt z miejscową ludnością, którą nazwał Indianami. Myślał bowiem, że dotarł do Indii. Wymógł nawet na swojej załodze przysięgę potwierdzającą, iż odkryty ląd to Indie, tak stanowcze były jego intencje przekonania Władców Katolickich o owym fakcie. Najbardziej nieoczekiwane decyzje nastąpiły jednak podczas podróży powrotnej. Zamiast wracać trasą, którą przybył, żeglując na wschód w kierunku Wysp Kanaryjskich, jak uczynił kapitan karaweli Pinta, statek admirała, Niña, obrał kurs na północ w kierunku arktycznym. Prawdę mówiąc, dzisiaj wiemy, że taka droga była lepsza i bardziej bezpieczna, biorąc pod uwagę występujące o tej porze roku korzystniejsze wiatry *alisios*. Ale jeżeli dotychczas nikt nigdy nie żeglował po tych wodach, jak głosi wersja oficjalna, skąd, u licha, Colom o tym wiedział? Naturalnie został poinformowany przez portugalskich żeglarzy, którzy potajemnie tamtędy kursowali, bądź też, co bardziej prawdopodobne, przez swojego „szczególnego przyjaciela” Jana Drugiego, który posiadał relacje z owych sekretnych wypraw. Przez dwa tygodnie Colom żeglował w kierunku północnym i północno-wschodnim, po czym skręcił na wschód w strefę wiatrów zmiennych, w stronę Azorów. Las Casas podaje, jakoby admirał nie poprawił kursu, ponieważ nie dotarł jeszcze do portugalskiego archipelagu, co wskazuje, że takowe miał plany. Spotkała go burza, która zepchnęła go na wyspę Santa Maria, gdzie zarzucił kotwicę. Tam nastąpiło coś dziwnego. Karawela hiszpańska spotkała się z dobrym przyjęciem ze strony Portugalczyków, którzy wysłali jej nawet łódkę z prowiantem. Królewski zarządca wyspy, niejaki João Castanheira, twierdził, że dobrze znał Coloma. Admirał wysłał na ląd część swojej załogi na modlitwę w kaplicy. Powrót żeglarzy jednak się przedłużył. Colom domyślił się, że zostali oni przez Portugalczyków zatrzymani. Mieszkańcy wyspy wysłali po admirała łódkę z żądaniem, aby się oddał w ich ręce na podstawie królewskiego nakazu aresztowania. Admirał nie uległ im i próbował żeglugi w kierunku wyspy São

Miguel. Rejs okazał się niemożliwy z uwagi na zmniejszoną liczbę załogi oraz zbliżającą się burzę. Colom zrezygnował i powrócił na Santa Maria. Następnego dnia Portugalczycy wypuścili resztę załogi. Podczas powrotu na Ninę żeglarze rzekomo słyszeli, jak Castanheira mówił, iż zgodnie z wytycznymi króla nakaz aresztowania dotyczy jedynie Coloma, a Hiszpanie go nie interesują. Nie mogąc uwięzić admirała, zwalnia zatem załogę. — Hrabia zrobił sceptyczny grymas. — Jak widać, wszystko to jest dość tajemnicze. Więc Colom zeglował sobie w kierunku Azorów, zamiast obrać bezpośredni kurs na Kastylię? A co to za historia, że João Castanheira bardzo dobrze znał Coloma? Co można powiedzieć o decyzji admirała po tym, jak poinformowano go o królewskim nakazie aresztowania? Zamiast wyruszyć w morze i uciec przed wrogiem, jak zrobiłby każdy mający minimum zdrowego rozsądku, postanowił, tu może się pan zdumieć, udać się na wyspę São Miguel, gdzie mógł oczekiwać stanowczego wykonania rozkazu. Czy to nie dziwne zachowanie?

— Rzeczywiście — przyznał Tomás. — A jak pan to wyjaśni?

— Nie było wtedy żadnego królewskiego rozkazu zatrzymania Coloma. Jedyne, co wiedział Castanheira, to to, iż poddany króla, którego znał co najmniej z reputacji, przeszedł na hiszpańską stronę. Ignorując szczegóły strategii geopolitycznej Jana Drugiego, zarządca wyspy wyszedł z założenia, że dawny rozkaz aresztowania zdrajcy nadal obowiązywał. Nie należy zapominać, że Colom brał udział w spisku na życie Jana Drugiego, a kiedy konspiracja została udaremniona, poszukiwały go organy sprawiedliwości. Innymi słowy, Castanheira znał dawny rozkaz aresztowania, ale będąc odizolowanym na odległej wyspie, nie miał informacji o tym, że został on uchylony. Admirał zaś zapewne nie wziął w podróż glejtu otrzymanego od monarchy w tysiąc czterysta osiemdziesiątym ósmym roku, który oczyszczał go, zarzutów z roku tysiąc czterysta osiemdziesiątego czwartego. Postępowanie Coloma potwierdza tylko to przypuszczenie. Zamiast uciekać do Kastylii, czego można było się spodziewać po kimś ściganym przez portugalskiego króla, postanowił udać się na wyspę São Miguel. Po cóż miałby to robić, jeżeli wyznaczono cenę za jego głowę? Odpowiedź jest prosta. Colom miał tajne powody, by wierzyć, że informacje Castanheiry były fałszywe, i wiedział, że na

São Miguel znajdowali się znający prawdę funkcjonariusze. — Vilariques wykonał dłonią gwałtowny gest, jak gdyby zmiatając kwestię na bok. — Dobrze, przejdźmy dalej. Po owym dziwnym wydarzeniu na Azorach co pana zdaniem Colom powinien być uczynić?

— Powrócić do Kastylii?

— Otóż to! Wydaje się logiczne, aby Colom w końcu skierował się do Kastylii, z niecierpliwością oczekując gorącego przyjęcia ze strony Władców Katolickich i zebrania słodkiej chwały z powodu wielkiego odkrycia — rzekł hrabia z ironią. — Kolejny błąd. — Zakrył oczy wierzchem lewej dłoni, udając cierpienie i żal. — Och, okrutne jest przeznaczenie! Jeszcze jedna burza rzuciła go, proszę to sobie wyobrazić, do Lizbony! — Chwycił się za głowę w teatralnym geście. — Ni mniej, ni więcej! Wiatry zmówiły się, by rzucić go w samą paszczę lwa, do siedziby wroga! — Rozbawiony mrugnął okiem i roześmiał się. — Inaczej mówiąc, nasz przyjaciel zacumował w Restelo czwartego marca tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego trzeciego roku obok wielkiego okrętu należącego do samego króla. Kapitan owego statku udał się na Ninę z pytaniem, co Colom robi w Lizbonie. Admirał odparł, iż rozmawiać będzie jedynie ze swoim „szczególnym przyjacielem”, królem Portugalii. Dziewiątego marca zabrano Coloma do pałacu królewskiego w Azambuja na spotkanie z Janem Drugim. Żeglarz ucałował dłoń monarchy na audyencji prywatnej i obaj, na osobności, odbyli rozmowę. Potem król zabrał admirała do sali, gdzie oczekiwały znamienite osobistości dworu. Relacje kronikarzy różnią się co do tego, co rzeczywiście się wydarzyło. Hernando Colón, cytując ojca, powiada, że monarcha portugalski wysłuchał z radością relacji z podróży, nadmieniając jedynie, że zgodnie z traktatem z Toledo/Alcáçovas właśnie odkryte ziemie należały do niego. Natomiast Ruy de Pina, który prawdopodobnie brał udział w spotkaniu, podaje, jakoby król ze smutkiem wysłuchał opowieści o wyczynach swojego dawnego poddanego, a sam Colom zwracał się do niego w uniesieniu, oskarżając go o zaniedbanie i uprzedni brak zaufania. Użyte przez Coloma sformułowania były tak obraźliwe, że, jak podaje Pina, obecni na spotkaniu arystokraci postanowili go zabić, tym bardziej że śmierć żeglarza pozbawiłaby Kastylię sensacyjnego odkrycia. Kronikarz opowiada, że Jan Drugi nie tylko sprzeciwił się

morderstwu, ale ku ich największemu zdumieniu traktował agresywnego i nieostrożnego gościa z wielkim szacunkiem i ceremoniałem. Co więcej, król polecił, by zaopatrzone hiszpańską karawelę we wszystko, co potrzeba. Następnego dnia, dziesiątego marca, Colom i Jan Drugi rozmawiali ponownie, przy czym król obiecał żeglarzowi wszelką pomoc i poprosił, by usiadł w jego obecności, zwracając się do niego ceremonialnie i okrywając go honorami. Pożegnali się jedenastego marca, po czym Colom został odprowadzony przez przedstawicieli arystokracji, którzy niezmiennie okazywali mu szacunek. — Hrabia spojrział na historyka. — Co pan o tym wszystkim myśli?

— Tak... hmm... w świetle tego, co pan przedstawił, to zadziwiająca historia...

— Ogromnie, prawda? Począwszy od burz. Natychmiast po wpłynięciu na wody terytorialne Portugalii pojawiały się jeden za drugim sztormy, coś, co można by nazwać nadzwyczaj złośliwym zrzędzeniem losu! Pierwszy uderzył przy archipelagu Azorów, drugi w drodze z Santa Maria na São Miguel, a trzeci niedaleko Lizbony. — Vilarigues pochylił głowę, przybierając złośliwą minę. — Bardzo korzystne sztormy.

— Co pan sugeruje?

— To, że ten ostatni nie był niczym więcej niż ulewnym deszczem, wystarczającym jednak, aby Colom miał pretekst do zatrzymania się w Lizbonie. Ponadto, według zeznań świadków odnotowanych w słynnym *Pleyto con la Corona*, którymi byli wszyscy uczestnicy wyprawy, żeglarze hiszpańscy doskonale pamiętali burzę w pobliżu Azorów, natomiast nie dokonali żadnej wzmianki na temat jakiegokolwiek huraganu blisko Lizbony. Warto też podkreślić, że cała podróż powrotna z Ameryki odbywała się na wodach portugalskich, co wydaje mi się nad wyraz dziwne. Inaczej mówiąc, Colom udał się do Lizbony, ponieważ tego sobie życzył, a nie dlatego, że został do tego zmuszony przez sztorm. Zgodnie z tym, co zakomunikował kapitanowi statku królewskiego zakotwiczonego na rzece Tag, pragnął rozmawiać z królem. — Hrabia podniósł brwi. — Rozumie pan? W Santa Maria poinformowano Coloma, że król rozkazał go aresztować, a pierwszą rzeczą, jaką admirał robi po opuszczeniu Azorów, jest przybycie do Lizbony i prośba o spotkanie z Janem Drugim! Czy sądzi

pan, że to normalne? Czy nie wydaje się panu, że wiedząc o królewskim nakazie aresztowania, powinien ominąć Lizbonę za wszelką cenę? Nawet gdyby jeden ze statków doznał uszkodzenia wskutek sztormu, czyż nie byłoby rozsądne, by w takich okolicznościach wszelkimi środkami dotrzeć bezpośrednio do Kastylii? W ostatecznym rozrachunku, jeżeli z miejsca, w którym złapał go sztorm, zdołał dobić do Lizbony, z pewnością udałoby mu się dopłynąć jeszcze trochę dalej. Z jakiego powodu więc z takim spokojem skierował się prosto w paszczę lwa?

— Rzeczywiście... — przyznał Tomás. — Ale dziwne jest również to, że gdy już znalazł się w Lizbonie, potrzeba mu było aż czterech dni na spotkanie z królem, nie uważa pan?

— Byłoby to podejrzane, gdyby nie fakt, iż właśnie w tym czasie w Lizbonie panowała zaraza. Uciekając przed epidemią, król schronił się w Azambuja. Konieczne było ustalenie szczegółów transportu admirała na audiencję. W każdym razie do spotkania doszło dziewiątego marca. Pierwsze słowa zamienili na osobności. Nikt nie zna treści tej rozmowy, ale logicznie można wnioskować, że ustalili między sobą odegranie pewnego widowiska.

— Widowiska?

— Las Casas opisuje Coloma jako osobę uprzejmą, poważną i niezdolną do używania obraźliwych słów. Jak się wydaje, jego najbardziej dosadnym wyrażeniem było: „Idź z Bogiem!”. Jak w takim razie tak grzeczny człowiek mógł ubliżyć królowi portugalskiemu w obecności jego poddanych? Jak to możliwe, by zwracał się do monarchy w tak brutalny sposób, że arystokraci chcieli go zabić? A co można powiedzieć o reakcji wielkiego i bezlitosnego Jana Drugiego? Był to wszak król, który rozkazał ściąć lub otruć przedstawicieli największych rodów szlacheckich w Portugalii, choć z niektórymi z nich był połączony więzami rodzinnymi. Był to król, który własnoręcznie zasztyletował brata królowej, diuka Viseu. A tymczasem miał przed sobą cudzoziemca, tkacza jedwabiu, obrażającego go we własnym pałacu w obecności poddanych. Na jego łasce był człowiek rozwiewający jego marzenia o dotarciu do Indii jako pierwszy i przypisujący ten wyczyn Kastylii. Wobec jawnej obrazy Jan Drugi miał wystarczający pretekst do zlikwidowania Coloma, mszcząc się za obelgi i

przede wszystkim zamykając Hiszpanom drogę do Indii. A co uczynił ten bezlitosny król, pierwszy absolutny monarcha Portugalii? — Hrabia pozostawił na chwilę swoje pytanie w zawieszeniu. — Przeszkodził arystokratom w zabiciu Coloma i otoczył go wszelkimi honorami. Doszło do tego, że kazał mu w swojej obecności usiąść, udzielając mu przywileju zarezerwowanego w tamtych czasach jedynie dla osób najwyższego stanu. Poza tym pomógł w zaopatrzeniu karaweli Niña na dalszą podróż do Kastylii, prosząc żeglarza o przekazanie jego pozdrowień Władcom Katolickim. Wymógł na arystokratkach, którzy chcieli go zabić, by pożegnali się z Colomem z całym ceremoniałem! — Podniósł palec, jak gdyby wygłaszał mowę. — Tak, mój drogi panie, nie zachowuje się cudzoziemiec zmuszony do wizyty u swojego największego wroga. A przede wszystkim tak nie postępuje król obrażany przez kogoś, kto udaremnia jego wielkie ambicje. To jest, mój drogi, zachowanie dwóch współpracujących z sobą osób odgrywających mały teatrzyk dla hiszpańskiej załogi statku. Prawda jest taka, że odkrycie Ameryki przez Hiszpanów leżało w głębokim interesie króla Portugalii. Dając rywalom zajęcie w postaci Ameryki, Jan Drugi miał w końcu wolną rękę w przygotowaniu wielkiej wyprawy Vasco da Gamy do Indii. To było właśnie największe odkrycie epoki odkryć geograficznych. Tomás westchnął.

— Ma to sens — mruknął.

— Oczywiście, że ma! — wykrzyknął hrabia Vilarigues. — Zwłaszcza jeśli przyjrzymy się następnym działaniom Coloma. Czy wie pan, co zrobił on po pożegnaniu z Janem Drugim?

— Tak... odpłynął do Kastylii.

— Nie, mój drogi panie. Wcale nie.

— Jak to nie?

— Nie. Wybrał się w Portugalii na jeszcze jedną osobistą wycieczkę.

— Nie rozumiem.

— Tak jak mówię. Admirał pożegnał się z królem i zamiast powrócić na swój statek, aby jak najszybciej dotrzeć do Kastylii, zdecydował się na wypad do Vila Franca de Xira.

— Vila Franca de Xira? Ale co, u licha, miał zamiar tam robić?

— Porozmawiać z królową, która znajdowała się w klasztorze. Las

Casas podaje, że Colom udał się tam ucałować jej ręce, a królowej towarzyszyli diuk i markiz. Czy nie sądzi pan, że to dziwne?

— Jasne, że tak! O czym mówili?

— Wydaje mi się, że o sprawach rodzinnych.

— Jakich sprawach rodzinnych?

— O, mój drogi panie, proszę odtworzyć sobie trasę podróży Coloma. Oto arystokrata portugalski zmuszony do ucieczki do Kastylii wraz z synem z powodu udziału w spisku przeciwko królowi. Kim były kluczowe figury owej konspiracji? Matka i brat królowej, diuk Viseu, zasztyletowany przez samego króla. Inaczej mówiąc, Coloma łączyły z matką i bratem królowej więzy rodzinne. No i, rzecz jasna, także z samą królową. Z całą pewnością były to więzy krwi. Wasza ekscelencja może sobie wyobrazić, że był siostrzeńcem, kuzynem lub kimś w tym rodzaju. Kim był dokładnie, nie wiem, ale gwarantuję panu, że chodziło o bliskie pokrewieństwo. — Hrabia podniósł palec, jak robił to zwykle, by podkreślić ważny element. — Proszę dobrze zauważyć, mój drogi. Spotkanie Coloma z królową, które przedłużyło się aż do wieczora, wyjaśnić można tylko tak, że istniały między nimi zażyłe stosunki, być może także i zмова. Jak inaczej rozumieć taką wizytę? Gdyby Colom był cudzoziemskim skromnym tkaczem jedwabiu, jakim sposobem mógłby uzyskać dostęp do królowej? Co więcej, dlaczego królowa miałaby chcieć go przyjąć? I jak wytłumaczyć fakt, że oboje rozmawiali aż do późna? Jak pojąć, iż nowy diuk Viseu, Manuel, który był, ni mniej, ni więcej, tylko przyszłym królem Portugalii, uczestniczył w tej rozmowie? — Zrobił gest pełen rezygnacji. — Jedyne wyjaśnienie, mój drogi panie, jest takie, iż było to spotkanie członków rodziny, którzy dawno się nie widzieli. — Vilarigues utkwił w Tomásie zdecydowane spojrzenie. — Czy wasza ekscelencja ma przypadkiem jakieś inne wytłumaczenie?

Profesor słuchał go z otwartymi ustami. Powoli pokręcił głową.

— Nie — przyznał. — Żadne wyjaśnienie nie może być bardziej logiczne.

— Owej nocy Colom nocował w Alhandrze — powiedział hrabia, podejmując relację. — Następnego ranka pojawił się u niego rycerz króla z propozycją eskortowania Coloma drogą lądową do Kastylii,

gdyby sobie tego życzył, organizując mu nocleg oraz konie. Co za sympatyczny król, prawda? Oferuje Colomowi pomoc w zamiesieniu do Kastylii tajemnicy o podróży do Indii, przyczyniając się do własnej porażki. — Pokręcił głową ze sceptyczną miną. — W każdym razie Colom wolał powrócić na Ninę i podniósł kotwicę u wybrzeży Lizbony trzynastego marca. — Arystokrata ponownie spojrzął na Tomasa. — Czy wie pan, jaki był następny cel podróży Coloma?

— Teraz chyba naprawdę wyruszył do Kastylii, prawda?

— Tak by było dobrze! — wykrzyknął. Noronha otworzył szeroko oczy.

— Nie powie mi pan, że udał się z wizytą do jeszcze jednego miejsca w Portugalii?

— Powiem, powiem. Nasz człowiek popłynął do Faro!

Roześmieli się obydwaj. Historia podróży powrotnej Coloma zaczęła nabierać karykaturalnego wydźwięku.

— Do Faro? — zapytał historyk po tym, jak śmiech ucichł. — A po co?

— Czy ja wiem? — odparł Vilarigues, wzruszając ramionami. — O ile mi wiadomo, w owym czasie nie było przystani jachtowej w Vilamoura ani Quinta do Lago! Żadnych kielbasek ani dyskotek! — Znów się roześmieli, a dźwięk ich głosów odbijał się echem w Charoli templariuszy. — Colom przybył do Faro czternastego marca i pozostał tam prawie przez cały dzień, wyruszając w dalszą podróż dopiero w nocy. Nikt nie zna celu jego wizyty. Jako portugalski arystokrata prawdopodobnie odwiedził jakichś krewnych. Tylko tak można wyjaśnić ten przystanek w podróży. — Hrabia wzniosł ręce do nieba, jak gdyby miał zamiar wykrzyknąć: Alleluja! — W końcu piętnastego marca przybył do Kastylii. — Poglądził wąsy. — A teraz proszę zauważyć, że załoga Coloma nie mogła się przecież doczekać powrotu do domu. On sam również powinien z niecierpliwością oczekiwać momentu, kiedy pojawi się przed obliczami Władców Katolickich z relacją o swoim wielkim odkryciu Indii. Zamiast tego człowiek ów, co jest nie do pojęcia, jeśli był genueńskim tkaczem jedwabiu, odbywa osobiste wycieczki po Portugalii, począwszy od Azorów, a kończąc na Algarve, z Lizbony do Vila Franca de Xira, z Azambuja do Alhandry.

I czyni to z majestatycznym spokojem, prowadząc rozmowy z królem i królową, odwiedzając tego i owego, udając się tu i tam. Mogłoby się wydawać, że zrobił sobie wakacje. Czy tak normalnie postępuje admirał w służbie Kastylji na terytorium wroga? — Hrabia wykrzywił twarz w ironicznym grymasie. — Nie wydaje mi się. Colom nie zachowywał się jak cudzoziemiec w nieprzyjnym kraju, ale jak Portugalczyk w domu, wykazując nawet niechęć do odjazdu. Cristóvam Colom, mój drogi panie, był portugalskim arystokratą, który oddał swojemu państwu ogromne zasługi, odsuwając Kastylię od drogi do Indii. Historyk przesunął ręką po twarzy, masując policzki.

— Niech tak będzie — zaakceptował. — Ale proszę mi powiedzieć jedną rzecz. Czy hiszpańska załoga nie uważała tego wszystkiego za bardzo dziwne?

— Naturalnie, że tak — odrzekł Vilarigues i wskazał na teczkę Tomasa. — Proszę posłuchać, ma pan z sobą kopie listów Coloma?

— Kopie... hmm... — Profesor zawahał się, szukając w torbie. — Tak, tak, myślę, że mam.

— Ma pan kopię tego listu, który napisał w tysiąc pięćsetnym roku w niewoli do Juany de la Torre?

Noronha wyjął plik kserokopii, przekartkował je szybko i znalazł wspomniany dokument, wręczając go swemu rozmówcy.

— Jest tutaj.

Hrabia spojrzał na faksymile listu.

— Proszę zwrócić uwagę na następujące zdanie — poprosił. — *Yo creo que se acordará vuestra merced, cuando la tormenta sin velas me echó en Lisboa, que fui acusado falsamente que avia yo ido allá al Rey para darle las Indias.* — Spojrzał na Tomasa. — Inaczej mówiąc, załoga również uznała takie postępowanie za bardzo dziwne, a szczególne podejrzenia wzbudziły w niej rozmowy Coloma z Janem Drugim. Żeglarze hiszpańscy myśleli oczywiście, że admirał podarował królowi portugalskiemu odkrycie Indii. Prawda jednak, jak wiemy, była o wiele bardziej zdumiewająca. Od tysiąc czterysta osiemdziesiątego ósmego roku Colom stał się tajnym agentem Księcia Idealnego. Spotkanie w Lizbonie w roku tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym trzecim odbyło się nie po to, by oddać Janowi Drugiemu Amerykę, lecz aby obaj mogli przedyskutować zaistniałą

sytuację i zaplanować kolejną strategię, której celem miał być traktat z Tordesilhas.

— Niech tak będzie — przyznał historyk. — Niezależnie od tego, czy dotyczące tego szczegóły są poprawne, czy też nie, prawda jest taka, że historia Coloma pasuje do takiego przedstawienia wydarzeń. W ten sposób tajemnice Kolumba zostają rozwikłane. Podane przez pana wskazówki są mocne i taką wersję sugerują. Ale gdzie, do diabła, znajduje się ostateczny dowód? Gdzie jest dokument, który to wszystko potwierdza?

— Chyba nie oczekuje pan istnienia dokumentu potwierdzającego, iż Colom był tajnym portugalskim agentem, prawda? Oczywiście, że taka informacja była poufna i nie istnieją dokumenty odnotowujące taki sekret.

— Naturalnie, że informacja o tajnym agencie musiała pozostać poufna, dlatego nigdy nie znajdziemy na to dowodów. Ale to, czego mi potrzeba, to dowód, że Kolumb był Portugalczykiem.

Vilarigues pogłaskał spiczastą bródkę.

— Świetnie — wykrzyknął. — Widzi pan, dawny przewodniczący hiszpańskiego Królewskiego Stowarzyszenia Geograficznego, Beltrán y Rózpide, wyjawiał, że istnieje takowy dowód w jednym z prywatnych archiwów portugalskich...

— Tak — uciął profesor. — O tym już wiem, taką historię opowiada Armando Cortesão. Faktem jest, że nigdy nie znaleziono tego dokumentu, ponieważ Rózpide zmarł, nie podając, gdzie mieści się to archiwum. Oznacza to, że naszej hipotezie brakuje ostatecznego potwierdzenia.

Hrabia westchnął głęboko. Rozejrzał się wokół, jak gdyby przyglądał się wielkim łukom rotundy, wielkiemu ołtarzowi z białego kamienia w centrum, a także ośmiobocznemu sanktuarium oraz łączom sklepień. Podniósł głowę i obserwował wielkie baldachimy gotyckie wykonane z połączanego drewna i skierowane ku kopule ozdobionej heraldycznymi symbolami Manuela I oraz zakonu Rycerzy Chrystusa. Bogactwo symboliki templariuszy osiągało tu swoje wyżyny. W końcu zwrócił wzrok na Tomasa.

— Czy słyszał pan kiedyś o „Kodeksie 632”?

Noronha otworzył oczy ze zdumienia.

— Ehe... „Kodeks 632”?

— Tak. Czy już pan o nim słyszał?

Historyk przesunął ręką po twarzy.

— To ciekawe, że pan o nim wspomina — powiedział. — Znalazłem wzmiankę o tym kodeksie w sejfie profesora Toscano, na odwrocie pewnych kserokopii, które znajdowały się tam razem z kartką z numerem pana telefonu.

— Ach tak? A gdzie teraz są te kserokopie?

Profesor zajrzał do swojej nieodłącznej brązowej teczki. Przerzucił jej zawartość i w końcu wyjął dwie kartki.

— Są tutaj — oświadczył, pokazując je hrabiemu.

Vilarigues wziął kserokopie, przestudiował je w mgnieniu oka i ponownie spojrzął na Tomasa.

— Czy wie pan, co to jest?

— To *Crónica de D. João II* autorstwa Ruy de Piny. Kopie przedstawiają fragment, gdzie autor rozpoczyna relację ze słynnego spotkania Kolumba z królem.

Arystokrata znowu westchnął.

— Oczywiście, że jest to kronika Ruy de Piny. Ale to także coś więcej. Wie pan co?

Noronha spojrzął na hrabiego, nie rozumiejąc, dokąd tamten zmierza.

— No tak... hmm... nie wiem.

— To jest, mój drogi, fragment „Kodeksu 632”.

Tomás popatrzył na dwie trzymane przez hrabiego kserokopie.

— To? *Crónica de D. João II* to jednocześnie „Kodeks 632”?

— Nie, mój drogi. *Crónica de D. João II* nie jest „Kodeksem 632”. Odwrotnie. „Kodeks 632” to jest *Crónica de D. João II*.

Zdezorientowany profesor pokręcił głową.

— Nie rozumiem.

— Mój drogi, to proste — oznajmił Vilarigues. — Mniej więcej na początku szesnastego wieku król Manuel zlecił Ruy de Pinie napisanie kroniki Jana Drugiego. Pina był bliskim przyjacielem zmarłego króla i znał wiele szczegółów z jego życia. Dziejopisarz chwycił zatem za pióro i nakreślił biografię Księcia Idealnego. Rękopis przekazano skrybom, którzy sporządzili kopie na pergaminie bądź papierze. Oryginalny manuskrypt zaginął. Istnieją natomiast trzy główne kopie,

wszystkie z szesnastego wieku. Najpiękniejsza z nich przechowywana jest w twierdzy Torre do Tombo, gdzie zgromadzono największe skarby bibliograficzne Portugalii. Chodzi o *Pergaminho 9*, tekst spisany kunsztownymi literami gotyckimi oraz ozdobiony barwnymi iluminacjami. Pozostałe dwie kopie znajdują się w Bibliotece Narodowej. To tak zwany *Códice Alcobacense*, określane tak dlatego, że został znaleziony w klasztorze w Alcobaca, oraz „Kodeks 632”. Wszystkie trzy kopie opowiadają tę samą historię, chociaż każda z nich reprezentuje inny rodzaj kaligrafii. Istnieje jednak jeden detal, bardzo mały szczegół, który odbiega od wspólnej wersji. — Hrabia wziął kserokopie do ręki i pokazał Tomásowi. — Różnica ta występuje w „Kodeksie 632” we fragmencie, w którym Pina opisuje spotkanie Coloma z Janem Drugim. — Zbliżył kartki do oczu profesora. — Czy nie zauważył pan w tym tekście niczego anormalnego?

Noronha wziął kartki i przeanalizował najpierw pierwszą, a potem drugą z nich.

Da guerra q neste tpo por sua doença temya a o
 quedes muyto q p a prouetouam q

Capitulo do d/whrim
 Sac ythac de raftal p ralonbo

Ho ano q uinze de mil, m, lviij q a ando rltas no lu
 gar d Vate de paray/s q he arima do mosteiro d

Santa m doo vrbis, por rafe do grande preste q nos luga
 ras principate do q ta oya qromaria abia a oris
 diab de marso a vrbou a bastelo, q lixboa q pona rolo
 nbo y taliano q uinça d dfo crimento das yltas d
 Sy panyo, q dantilha que por mandau do heyo d
 rufela tinga fectos da qual tyta trazia. To cyto us

— Nie, nie zauważyłem — wyznał w końcu. — Jest to opis przybycia Kolumba do Lizbony z Ameryki. Wydaje mi się normalny.

Vilarigues nieznacznie uniósł lewą brew, jak gdyby był nauczycielem, a Tomás uczniem udzielającym błędnej odpowiedzi.

— Tak pan sądzi?

— No... tak, nie widzę tu nic anormalnego.

— Proszę przyrzeć się uważnie przerwom pomiędzy wyrazami. Większość z nich jest normalnych rozmiarów. Istnieją jednak miejsca, w których skryba odszedł od schematu. Teraz pan widzi?

Historyk ponownie pochylił się nad dwiema kartkami, usilnie patrząc w tekst. Najpierw dostrzegł grupę wyrazów, a potem wspomniane szczegóły.

— Rzeczywiście, teraz, kiedy pan o tym mówi, jest w tym coś podejrzanego...

— Tak?

— Istnieje puste miejsce po słowie *Capítulo* na pierwszej stronie...

— Co oznacza, że skryba nie wstawił numeru rozdziału, czekając na dalsze instrukcje. Co jeszcze?

— Ee... przed i za słowem *y taliano* znajdują się przesadnie duże przerwy. Nie jest to coś znaczącego, ale rzuca się w oczy w porównaniu z odstępami pomiędzy pozostałymi wyrazami.

— Otóż to, mój drogi. A co to oznacza?

Tomás obrzucił swojego rozmówcę pytającym spojrzeniem.

— Tak... ee... to dziwne.

— To, że dziwne, to ja już wiem. Ale niech mi pan powie, co to może oznaczać. Niech się pan nie obawia, proszę zaryzykować!

— Tak na pierwszy rzut oka... sprawia wrażenie... ee... sprawia wrażenie, że kopista pozostawił puste miejsce na wpisanie pochodzenia Kolumba. Cała reszta napisana jest jednym ciągiem, ale w tej części istnieje luka. To... to tak, jakby czekał na instrukcje od przełożonych :o do tego, co powinien był tam wstawić...

— Bingo! — wykrzyknął hrabia. — Czekał na odpowiednie instrukcje. Właśnie. Instrukcje, by napisać *y taliano*. Jak wszyscy dziejopisarze Ruy de Pina pisał jedynie o tym, co kazano lub pozwolono mu napisać. Wielu rzeczy nie ujawniano. Na przykład Pina nigdy nie

zdał relacji z najważniejszego wyczynu żeglarskiego za panowania Jana Drugiego: odkrycia drogi do Indii przez Bartolomeu Diasa. To ogromne dokonanie, które umożliwiło późniejszą wyprawę Vasco da Gamy było najnormalniej w świecie przez kronikarza zignorowane.

— Tak — zgodził się Noronha. — Bez wątpienia dziejopisarze rejestrowali tylko to, co leżało w interesie korony.

Vilarigues wskazał na trzeci i czwarty wiersz drugiej strony.

— A czy zauważył pan, że w tym fragmencie nazwisko, czyli *colo nbo*, jest przedzielone na pół? W trzeciej linijce znajduje się *colo*, a w następnej *nbo*. Wygląda to tak, jakby luka początkowo była jeszcze większa, a kopista otrzymał później instrukcje, by wstawić w odstęp na początku czwartego wiersza *nbo y taliano* zamiast czegoś innego. — Podniósł palec i szeroko otworzył czarne oczy. — Zamiast prawdy. — Zniżył ton głosu niemal do szeptu. — Zamiast prawdy.

Patrząc na ten dziwny tekst, Tomás drapał się po brodzie.

— O cholera! — powiedział, ze wzrokiem utkwionym we wskazanym fragmencie. — Rzeczywiście, sprawia wrażenie, jakby skryba dodał owe *nbo y taliano* później.

Hrabia poruszył się na twardym siedzeniu. Było mu niewygodnie. Zmęczyło go pozostawanie tak długo w tej samej pozycji.

— Ale muszę panu coś powiedzieć — oznajmił. — Kiedy rozmawiałem z profesorem Toscano o „Kodeksie 632”, krótko przed jego podróżą do Brazylii i jego śmiercią, postawił jeszcze inną hipotezę.

Jak zawsze sądziłem, owe olbrzymie luki wokół *y taliano* wskazywały na to, że w momencie pierwszej redakcji celowo pozostawiono puste miejsce, które później miało być wypełnione najbardziej wygodną informacją. Profesor miał co do tego inną teorię. Jego zdaniem owe luki wskazywały na wymazanie poprzednich słów. Inaczej mówiąc, Toscano przypuszczał, że skryba przepisał z oryginalnego rękopisu Piny, obecnie zagubionego, dane o prawdziwej tożsamości Coloma.

Jednak z uwagi na to, że utrzymanie pochodzenia żeglarza w tajemnicy było w szeroko pojętym interesie, owe informacje zostały wymazane.

Słowa *nbo y taliano* napisano dokładnie w tym samym miejscu, zastępując nimi oryginalne informacje. Profesor Toscano miał to sprawdzić, ale nie otrzymałem już od niego żadnych wiadomości. —

Vilarigues wzruszył ramionami. — Przypuszczam, że uczyniłby to, gdyby udowodnił swoją hipotezę.

— Być może — przyznał Noronha. Pomachał obiema kartkami. — Wie pan, czy te kopie pochodzą z oryginalnego dokumentu?

— Nie rozumiem?

— Pytam, czy profesor Toscano zrobił kserokopie autentycznych dokumentów, czy raczej mikrofilmów?

— Och nie. Kopie te pochodzą z mikrofilmów udostępnionych przez Bibliotekę Narodową. Jak panu wiadomo, nie mamy dostępu do oryginałów. Rękopis „Kodeksu 632” to prawdziwa rzadkość. Jest on przechowywany w sejfie, nie można tak sobie go analizować.

Tomás powstał z ławki i przeciągnął się, obolały bezruchem.

— Tego właśnie chciałem się dowiedzieć.

Hrabia również się podniósł.

— Co teraz wasza ekscelencja zamierza zrobić?

— Coś bardzo prostego, panie hrabio — odparł profesor, poprawiając ubranie. — Mam zamiar zrobić coś, co już dawno powinienem był uczynić.

— Co?

Historyk skierował się do niewielkich drzwi widocznych się na wprost ławki, którą zajmowali, by opuścić Charole i zejść do głównych krużganków. Zatrzymał się jednak i spojrzał na Vilariguesa. Jego twarz ukryta była w cieniu.

— Idę do Biblioteki Narodowej, by obejrzeć oryginał „Kodeksu 632”.

XVI

Drzwi windy otworzyły się z charakterystycznym syczącym dźwiękiem. Tomás wyszedł na korytarz. Był pusty. Na trzecim piętrze Biblioteki Narodowej w Lizbonie hol był miejscem poważnym i wyciszonym. Panował tu półmrok napływający z opuszczonych nisz i przedsionków, pełnący wzdłuż nagich ścian. Rozpraszało go jedynie światło wpadające przez szerokie okna otwierające się na taras, za którymi widać było w oddali kołyszące się na wietrze korony drzew. Kroki przybysza odbijały się metalicznym echem na wypolerowanej marmurowej posadzce. Popchnął przeszkłone aluminiowe drzwi i wszedł do czytelnia.

Sala ksiąg zarezerwowanych znajdowała się w ciasnym, niewielkim pomieszczeniu, zdecydowanie mniejszym niż czytelnia na parterze. Ogromne okna na szczytowej ścianie sprawiały, że pomieszczenie wypełnione było światłem. Otaczająca zielen tworzyła widoczną przez szyby naturalną dekorację. Pod ścianami stały regały z katalogami oraz inne, zapełnione cennymi dziełami, demonstrującymi grzbiety swych płóciennych okładek. Pochyleni nad stołami, ustawionymi jak w sali lekcyjnej, czytelnicy studiowali starodawne rękopisy — tu zniszczony pergamin, tam elegancką księgę z iluminacjami. Zgromadzono tu skarby bibliografii, do których ułatwiony dostęp mieli jedynie pracownicy akademicy. Nowo przybyły rozpoznał kilka znajomych twarzy. W głębi siedział stary profesor Uniwersytetu Klasycznego — nerwowy, chudy mężczyzna z białą spiczastą bródką. Pochylał się nad średniowiecznym kodeksem. Dalej, w rogu, przysiadł młody, ambitny profesor z uniwersytetu w Coimbrze o bujnym

wąsie i puciołowatej twarzy. Przeglądał wymęczoną przez wielu jego poprzedników *Księgę Godzin*. Miejsce w pierwszym rzędzie zajęła szczupła, nerwowa dziewczyna z rozwianym włosom i niestarannie ubrana. Z całą pewnością kujon. Kartkowała katalog, postrzępiony wskutek wielokrotnego użytkowania i nadgryziony zębem czasu.

— Dzień dobry, panie profesorze — powitała gościa pracownica biblioteki stojąca za ladą. Ta kobieta w średnim wieku, w nietwarzowych okularach, była starą znajomą częstych bywalców archiwum.

— Cześć, Odete — odparł Tomás. — Jak się masz?

— Dobrze. — Podniosła się. — Przyniosę pana zamówienie.

Dzień wcześniej Noronha dokonał rezerwacji. Był to konieczny warunek bezpośredniego dostępu do rzadkich i cennych rękopisów. Usiadł na wolnym miejscu przy oknie i czekał, zastanawiając się, czego się doszuka. Otworzył notatnik i rzucił okiem na dane dotyczące autora dokumentu, który zamówił. Ruy de Pina był wysokim urzędnikiem dworu i cieszył się całkowitym zaufaniem Jana II. Jako dyplomata towarzyszył mu w ważnych rozmowach z Kastylią, a w 1493 roku był wysłannikiem korony portugalskiej do Barcelony. Celem tej wizyty było omówienie sytuacji wynikłej z podróży Krzysztofa Kolumba do „Azji”. Uczestniczył w przygotowaniach do negocjacji, które w roku następnym zaowocowały podpisaniem traktatu z *Tordesilhas* — słynnego dokumentu dzielącego świat na strefy wpływów Portugalii i Kastylii. Po śmierci Księcia Idealnego, którego testament sporządził, stał się kronikarzem dworu i najpóźniej na początku szesnastego wieku napisał *Crònica de D. João II*, już za panowania Manuela I.

Dźwięk zbliżających się kroków zakłócił tok myślenia profesora i oderwał go od notatek jak hałas nagle budzący ze snu. Odete wracała z tomiskiem w dłoni. Położyła ciężki rękopis na stole, a na jej twarzy pojawił się wyraz ulgi.

— Proszę bardzo! — wykrzyknęła, ledwie dysząc. — Niech pan na niego uważa.

— Proszę się nie martwić — odrzekł z uśmiechem, nie odrywając wzroku od dzieła.

Tom był oprawiony w skórzaną brązową okładkę z sygnaturą na

grzbiecie: „Kodeks 632”. Otworzył rękopis i poczuł słodkawy zapach starego papieru, uwięzioną wewnątrz woń, która ulatniała się wreszcie po długim czasie niewoli. Ostrożnie, a nawet z pewną obawą, historyk przekartkował dokument, trzymając każdą ze stron koniuszkami palców, jak gdyby miał do czynienia z jakąś relikwią. Kartki były pożółkłe i poplamione, a inicjały bogato zdobione piórkiem. Sepiowa barwa atramentu kontrastowała z czarnymi liniami na kserokopii pozostawionej przez profesora Toscano w sejfie. Na pierwszej stronie widniał tytuł dzieła. *Chronica de El Rey D. João II*. Tomás powoli przewracał kartki, przyglądając się każdej stronie, czytając słowo po słowie, chwilami przeskakując akapity bądź całe strony, nieustannie w poszukiwaniu tajemniczego fragmentu skopiowanego na ksero. Z uwagi na to, że poszukiwany rozdział nie był numerowany, tak samo jak strony, profesor zmuszony był do powolnej pracy. Postęp w poszukiwaniach utrudniała także piętnastowieczna portugalska ortografia.

Zatrzymał się na siedemdziesiątej szóstej stronie. Znajdowało się tam ozdobne „n” rozpoczynające zdanie *no ano seguinte de m... e triiij estando elRei no lugar de Vali de parayso*. Przewrócił kartkę i przestudiował górę strony, szukając ciągle odstępów w pobliżu wzmianki o Krzysztofie Kolumbie. Znalazł. Serce mocniej mu zabiło, otworzył usta i utkwił wzrok w odszukanym fragmencie. Niedowierzał własnym oczom. Na początku czwartego wiersza, po lewej, pod wyrazami *nbo y taliano*, znajdowała się biała plama zdradzająca poprawkę, ślad wymazania.

Wymazanie.

Noronha rozpiął kołnierzyk. Było mu gorąco i miał wrażenie, że brakuje mu powietrza. Rozejrzał się wokół, jak gdyby tonął i potrzebował kogoś, kto przyjdzie mu na ratunek. Chciał wykrzyknąć swoje odkrycie, pragnął ogłosić ostatecznie zdemaskowane oszustwo. Sala jednak pozostawała obojętna na jego moment oświecenia, pogrążona w sennym, szarym popołudniu, oddana monotonnym, leniwym studiom.

Ponownie skoncentrował się na stronie rękopisu, obawiając się, że to, co przed chwilą zobaczył, zniknęło. Jednak nie, skreślenie nadal tam było, subtelne, chociaż widoczne. Wydawało mu się, że śmieje mu się w twarz. Historyk pokręcił głową, powtarzając w myślach

nieuniknioną konkluzję, do której prowadziło. Ktoś poprawiał kronikę Jana II. Fragment o narodowości Kolumba został zmieniony. Jakaś nieznaną dłoń wymazała oryginalne słowa i zastąpiła je wyrażeniem *nbo y taliano*, tak aby uzyskać *Xpova colo nbo y taliano*. Kto mógł to zrobić? Dlaczego tak postąpił? A co ważniejsze, jak brzmiał oryginalny tekst? To ostatnie pytanie zaczęło uparcie i perfidnie dręczyć historyka. Jaka tajemnicę wymazano? Kim w końcu był Kolumb? Podniósł kodeks i podszedł do okna, przybliżając manuskrypt do światła i próbując dostrzec to, co znajdowało się pod spodem. Ślad poprawki jednak nie chciał zdradzić sekretu, ukryte pod nim słowa pozostawały nadal nieczytelne.

Nieprzeniknione.

Poświęciwszy kolejne dziesięć minut próbom przeniknięcia niewidzialnego, Tomás zdecydował się na zmianę taktyki. Musiał zwrócić się do znawcy nowoczesnego sprzętu elektronicznego, aby ocenić możliwość dostępu do wymazanego tekstu. Chwycił za dzieło i wstał. Podszedł do recepcji i położył manuskrypt na drewnianej ladzie.

— Już? — zapytała zdziwiona bibliotekarka, podnosząc wzrok znad taniego romansu, który czytała pochylona nad biurkiem.

— Tak, Odete. Muszę już iść.

Kobieta wzięła kodeks, by zwrócić go do depozytu.

— Ten rękopis cieszy się dużym powodzeniem — skomentowała, biorąc manuskrypt pod pachę.

Noronha stał już przy drzwiach, kiedy to usłyszał.

— Słucham?

— „Kodeks 632” cieszy się dużym powodzeniem — powtórzyła Odete.

— Powodzeniem? U kogo?

— Mniej więcej trzy miesiące temu profesor Toscano się nim zajmował.

— Aha — potwierdził Tomás. — Tak, profesor Toscano z pewnością studiował kodeks, na pewno tak...

— Biedny profesor. Umrzeć tak w Brazylii, daleko od rodziny.

Historyk cmoknął i westchnął, przybierając ton pełen rezygnacji.

— Takie jest życie, czego możemy oczekiwać?

— Och tak — potwierdziła bibliotekarka. — A mnie pozostała

odpowiedź na zamówienie, z którym się do mnie zwrócił. Teraz nie wiem, co z tym zrobić.

— Jakie zamówienie?

Odete wskazała na starą księgę.

— Chodzi o ten kodeks. Pan Toscano zwrócił się z prośbą do naszych laboratoriów o jego obraz radiograficzny. Otrzymałam odpowiedź mniej więcej dwa tygodnie temu i nie wiem, co z nią począć.

Tomás ponownie zbliżył się do lady. W jego oczach pojawił się wyraz zaintrygowania.

— Czy ja dobrze zrozumiałem? Profesor Toscano poprosił o prześwietlenie rękopisu?

Kobieta się roześmiała.

— Nie, panie profesorze. Tylko jednej strony kodeksu. — Podniosła palec wskazujący. — Tylko jednej. Chodziło o radiografię jednej kartki z poprawką.

— A gdzie to jest?

— Tam. — Wskazała na niewielką szafkę pod biurkiem, przysuniętą do ściany. — W mojej szufladzie.

Noronha pochylił się nad ladą i spojrział na wskazaną szufladę. Serce biło mu z wrażenia jak szalone.

— Odete, proszę mi zrobić przysługę. Niech mi pani to pokaże.

Bibliotekarka ponownie położyła dzieło na ladzie i odchyliła się na krześle, sięgając do szuflady. Otworzyła ją, pogrzebała w środku i wyciągnęła stamtąd gigantyczną kopertę.

— Tutaj jest — powiedziała, podając mu kopertę z logo Biblioteki Narodowej w Lizbonie w miejscu nadawcy. — Proszę zobaczyć.

Tomás rozdarł jeden z róg i wyjął coś, co przypominało mu zdjęcie radiograficzne podobne do tych, które robi się kościom. Tym razem, zamiast odsłaniać część szkieletu, obraz ukazywał stronę tekstu. Obrzucając ją przelotnym spojrzeniem, historyk od razu zrozumiał, że rzeczywiście dotyczyła kartki z poprawką. Można nawet było dostrzec zarysy napisanych na niej nowych słów *nboy taliano*. Jednak przeplatały się z nimi w tym samym miejscu kontury innego słowa. Chaotyczne i częściowo zamazane linie nachodziły na siebie. Profesor zbliżył wzrok do tego fragmentu tekstu, koncentrując się na kształcie

liter i na sposobie, w jaki łączyły się w słowa. Usiłował odtworzyć pierwotny zapis, odróżniając go od późniejszych poprawek. Wykreślił głowę, śledząc ciąg owych dziwnych linii, podążając za ich zaokrągleniami i próbując odcyfrować ukryty w wymazanych literach sens.

Nagle, niemal jak pod wpływem zaklęcia magicznego dżina lub boskiej inspiracji, oryginalny tekst stał się dla niego przejrzysty. Noronha w końcu zrozumiał, co tak naprawdę napisał Ruy de Pina w pierwszej wersji kroniki. Z tekstu wyłoniła się prawda.

Tajemnica przestała istnieć.

###

Budowla z białych kamieni wznosiła się na tle połyskującego, zielonkawego lustra wody. Emanował z niej chłód kontrastujący z ciepłem południowego słońca. Przypominała wspaniałą, wyniosłą średniowieczny zamek wzniesiony na środku rzeki albo gotycki monument upamiętniający czasy dawnej świetności. Wynurzała się niczym kamienny okręt, niewzruszony wobec fal przyływów i odpływów. Był to prawdziwy strażnik Tagu, chroniący Lizbonę od mrocznego niepokoju przed nieznanym niebezpieczeństwem kryjącym się za linią horyzontu, przed Adamastorem* — duchem uwięzionym w nieskończonych odmętach oceanu.

* Adamastor — jeden z bohaterów eposu *Luzjady* Luisa de Camõesa; symbolizuje siły natury, które musieli pokonać portugalscy żeglarze. Miał objawić się Vasco da Gama jako potężna chmura burzowa broniąca dostępu do Przylądka Dobrej Nadziei. Adamastor sprawuje władzę nad Oceanem Indyjskim, który rozciąga się za wspomnianym przylądkiem.

Tomás przeszedł mostkiem rozpiętym nad spokojnymi wodami rzeki ze wzrokiem utkwionym w kunsztownej budowli z kamienia, do której zmierzał. Torre de Belém wyrastała przed nim z imponującą elegancją. Wysoka, wysunięta w morze wieża spoglądała na szeroką platformę u swych stóp, podobna do statku z potężnym kadłubem, wysłużonej piętnastowiecznej karaweli. Narożne baszty wieży zwieńczone były kopułami w kształcie zwiniętych pąków, niczym minarety meczetów. Portykowe okna miały balkony z misterną ażurową dekoracją. Wszędzie pojawiał się motyw krzyża zakonu Rycerzy Chrystusa. Ten symbol portugalskich templariuszy widoczny był wyraźnie

zwłaszcza w balustradach balkonów. W kamieniu wyrzeźbiono także majestatyczne sfery armilarne.

Historyk wszedł do twierdzy, zmierzając w stronę umówionego miejsca spotkania. Bawiła go skrycie obsesja, z jaką jego rozmówca wybierał najbardziej tajemnicze miejsca związane z epoką odkryć geograficznych. Nelson Moliarti, żując gumę, oczekiwał go oparty o niski mur zakończony blankami, okalający platformę, przy jednej z przednich baszt.

— Przynoszę dobre wiadomości — wypalił Tomás ze źle skrywaną euforią, kiedy podawał Amerykaninowi rękę na powitanie.

— Tak?

— Tak. — Profesor podniósł z dumą swą brązową teczkę. — Zakończyłem badania.

Moliarti się uśmiechnął.

— Naprawdę?

— Jak najbardziej.

— Świetnie, świetnie. No to niech pan opowiada.

Oparty o blanki muru Noronha przedstawił swoje odkrycia będące wynikiem podróży do Jerozolimy i Tomaru. Mówił z takim zapalem, że wszystko inne zeszło na drugi plan. Wokół skrzeczały głośno mewy, zawodząc melancholijnie. Niektóre z nich przelatywały nisko nad okrągłą kopułą wieżyczki. W powietrzu unosił się zapach słonej bryzy morskiej, oddech dochodzący z głębi wód oceanu, który nadawał wiatrowi świeżość i energetyzującą siłę. Fale łagodnie rozbijały się u podstawy Torre de Belém, pieszcząc i obejmując kamienie, jak gdyby całowały stopy budowli. Tomás jednak pozostał obojętny na cały ten spektakl barw, dźwięków i woni. Jego jedyną troską było ujawnienie zagadki, która prześladowała go przez ostatnie trzy miesiące. Amerykanin słuchał go z niewzruszonym i nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Nie zdradzał żadnych oznak zdziwienia. Jego mina zmieniła się dopiero na samym końcu, kiedy profesor opowiedział o wizycie w Bibliotece Narodowej odbytej poprzedniego dnia.

— Gdzie znajduje się ta radiografia? — dopytywał się z nagłym zaniepokojeniem.

— Tutaj — oznajmił Noronha, wskazując gestem teczkę.

— Proszę mi pokazać.

Portugalczyk przykucnął u podstawy muru i sięgnął po dużą kopertę z logo Biblioteki Narodowej. Wyprostował się i otworzył ją, wyjmując ze środka kliszę z radiogramem. Podał ją Moliartiemu.

— Proszę.

Przedstawiciel fundacji obrzucił wzrokiem prześwietlenie rękopisu ze źle skrywaną niecierpliwością, po czym spojrzął na Tomasa pytająco.

— Ee! Nie rozumiem. A gdzie to odkrycie?

Historyk wskazał na lewą stronę czwartego wiersza tekstu widocznego na kliszy.

— Widzi pan to?

Nelson zrobił wysiłek, by odcyfrować to, co miał przed oczami.

— Tak... — powiedział z wahaniem.

— Czy potrafi pan odczytać to, co tam jest napisane?

— Hmm... no... nie za bardzo.

— To naturalne — odrzekł Tomás z uśmiechem. — Mamy tu do czynienia z nałożeniem się dwóch tekstów, wymazanego i napisanego na miejscu poprzedniego. Proszę zauważyć, że tekst późniejszy jest ciemniejszy. Brzmi on: *nbo y taliano*. Ale powinien się pan skoncentrować na tych szarych, jaśniejszych kreskach. Proszę spojrzeć.

Moliarti przybliżył wzrok do czwartego wiersza, jakby był krótkowidzem.

— Rzeczywiście — stwierdził. — Coś tutaj jest.

— Potrafi pan to przeczytać?

— To... ee... to jest „n” i... i „a”...

— Tak. A dalej?

— Wydaje mi się, że... „l”?

— To „d”. I co jeszcze?

— Tutaj jest „o”.

— Właśnie. A razem?

— *Nado**.

* *Nado* (portug.) — urodzony.

— Świetnie. A następne słowa?

— Tak... ee... wydaje mi się, że mamy tu „e”, a potem „n”, prawda?

- Tak.
 - Co daje nam *en*.
 - A co znajduje się pod słowem *y taliano*? Proszę uważnie się przyjrzeć, to dosyć trudne.
 - Hmm... — zastanawiał się Moliarti. — Zaczyna się na „c”, a potem... potem jest „n”?
 - U”
 - Ach tak. „C” i „u”. A dalej stoi... stoi „b”. To „b”, mam rację?
 - Tak.
 - I „a”.
 - Doskonale. Proszę więc przeczytać całe zdanie.
 - *Nado en cuba*.
- Noronha obserwował Amerykanina ze znaczącym uśmiechem.
- Zrozumiał pan?
- Nelson niepewnie przeczytał zdanie ponownie.
- Nie.
 - Przejdźmy więc do ostatniego słowa w trzecim wierszu — zaproponował Tomás, wskazując na odpowiednie miejsce. — Tutaj jest napisane *colo*, co w połączeniu z początkiem następnego wiersza daje: *colo nbo y taliano*.
 - Tak...
 - Nie wymazano słowa *colo*, co stwierdzić można na obrazie rentgenowskim. Istnieją jednak dwie litery, które wymazano i które widać na prześwietleniu. Jakie?
- Amerykanin skoncentrował się na wskazanym fragmencie.
- To... to „n” i „a”.
 - Więc jak powinniśmy to odczytać?
 - *Na*?
 - Tak. Ale jak powinno brzmieć całe słowo po dodaniu sylaby *na* do *colo*?
 - *Colona*?
- Historyk odczekał chwilę, mając nadzieję, że Moliarti dozna oświecenia.
- Niech więc mi pan powie. Jak brzmi oryginalne zdanie?
 - Ee... nie rozumiem...

— Proszę mi przeczytać zdanie, tak jak pierwotnie napisał je Ruy de Pina. Proszę przeczytać.

— Więc... daje to: *colona nado en cuba*.

— Już pan rozumie?

— Nie całkiem.

Tomás przesunął ręką po włosach z lekkim zniecierpliwieniem.

— Och, Nelson, proszę uważnie mnie posłuchać. Na początku szesnastego stulecia Ruy de Pina napisał *Crònica de D. João II*. Kiedy doszło do momentu zrelacjonowania słynnego spotkania Kolumba z królem portugalskim po powrocie z wyprawy do Ameryki, kronikarz wyszedł z założenia, że tajne informacje stały się już przestarzałe, i wyjawiał sekret. Ten pierwotny tekst przekazany został skrybie, który rozpoczął pracę nad rękopisem znanym obecnie jako „Kodeks 632”. Kiedy dzieło było już gotowe, ktoś je przeczytał, prawdopodobnie sam król Manuel Pierwszy, i z przerażeniem skonstatował fakt, iż tożsamość Kolumba została ujawniona. Domagał się zmiany informacji. Pod koniec trzeciego wiersza, tam, gdzie było napisane *colona*, wymazano ostatnią sylabę *na*, pozostawiając *colo*. W czwartej linijce, gdzie widniało *nado en cuba*, przekreślono całe wyrażenie i w jego miejsce postawiono *nbo y taliano*. Z uwagi na to, że poprawka zajmowała nieco mniej miejsca niż oryginał, kopista zmuszony był rozciągnąć słowo *ytaliano*, co w rezultacie dało *y taliano*. Luki jednak pozostały. Doszło do zniszczenia pierwotnego rękopisu Piny. Pozostałe kopie, określone jako *Pergaminho 9 i Còdice Alcobacense* wykonano na podstawie „Kodeksu 632”. W ten sposób w miejscu, które przedtem brzmiało; *a Ribou a Restelo, em lixboa Xpova colona nado en cuba*, powstało *a Ribou a Restelo, em lixboa Xpova colo nbo y taliano*. — Zawiesił głos. — Teraz pan rozumie?

— Tak — odparł Moliarti, wahając się jeszcze. — Ale proszę mi powiedzieć jedną rzecz. Co to znaczy *colona nado en cuba*? Tego nie rozumiem.

— Zacznijmy od *nado en cuba*. *Nado en* oznacza „urodzony w”. *Cuba* to miejsce urodzenia. *Nado en cuba* to „urodzony w Cubie”.

— Urodzony w Cubie? Ale jak to możliwe? Kiedy Kolumb się urodził, Kuby jeszcze nie odkryto...

Noronha roześmiał się.

— Och, Nelsonie, on nie urodził się na Kubie.
— Nie? No to gdzie?
— W miejscowości noszącej nazwę Cuba.
— W miejscowości Cuba? Jakiej miejscowości Cuba?
— Na południu Portugalii znajduje się miejscowość Cuba. Teraz już wszystko jasne?

Moliarti otworzył usta ze zdumienia.

— Ahaaaa! — wykrzyknął. — Kolumb urodził się w miejscowości, która nazywa się Cuba...

— Otóż to — potwierdził Tomás. — To właśnie napisał Ruy de Pina w oryginalnym manuskrypcie. Miejscem urodzenia żeglarza była Cuba. Taka informacja zgodna jest z rodzinnymi koligacjami Kolumba. Pamięta pan, jak mówiłem, że w tysiąc czterysta osiemdziesiątym czwartym roku uciekł do Kastylii w obawie przed królem?

— Tak.

— A z jakiego powodu uciekał przed królem?

— Z powodu udziału w spisku na życie Jana Drugiego.

— A kto w tysiąc czterysta osiemdziesiątym czwartym roku kierował konspiracją?

— Diuk Viseu.

— Właśnie. Brat królowej. Ten, którego w tym samym roku Jan Drugi zasztyletował. A teraz panu podpowiem. Diuk Viseu był także diukiem Beja. Rozumie pan?

— E... nie.

— Beja to ważne miasto na południu Portugalii, które znajduje się blisko miejscowości Cuba. Diuk Viseu i Beja miał w rejonie tych miast przyjaciół i krewnych. Kolumb, urodzony w Cubie, niedaleko Beja, był jednym z nich.

Amerykanin otworzył oczy szeroko, jak gdyby właśnie wpadł na jakiś pomysł.

— Czy uważa pan... czy uważa pan, że istnieje jakiś związek pomiędzy wyspą Kubą a... a...

— A już myślałem, że pan tego nie skojarzy — uciął zniecierpliwiony Tomás. — Ewidentnie istnieje związek pomiędzy nazwą owej karaibskiej wyspy i portugalskiej wioski, w której urodził

się Kolumb. — Spojrzał na swojego rozmówcę. — Proszę posłuchać. Kiedy admirał przybył na ową karaibską wyspę, ochrzcił ją mianem Juana. Mimo to, krótko potem, zdecydował zmienić jej nazwę na Cuba. Przez wiele lat sądzono, że pochodziła ona od sposobu, w jaki miejscowa ludność określała swoją ziemię: Colba. To wyjaśnienie jednak szybko traci wiarygodność. Na przykład mieszkańcy sąsiedniej wyspy również mieli dla niej nazwę, a Kolumb mimo to zachował nadane przez siebie miano Hispaniola. To samo dotyczy innych wysp, gdzie niezależnie od istniejących lokalnych określeń Kolumb utrzymywał nazwy nadane przez siebie w momencie ich odkrycia. Juana była wyjątkiem. — Na twarzy historyka pojawił się pytający wyraz. — Dlaczego? Dlaczego tylko tę wyspę przemianował? Co w niej było szczególnego? Czemu nie postąpił tak samo w wypadku innych? Istnieje tylko jedno wytłumaczenie. Słyszac od miejscowych słowo „Colba”, Kolumb, uznając pewne podobieństwo tego określenia do nazwy swojej rodzinnej miejscowości w Portugalii, zdecydował się na ponowne ochrzczenie wyspy. Ale zamiast nazwać ją Colba, jak czynili to rodowici mieszkańcy, nazwał ją Cuba. Cuba, jak swoje prawdziwe miejsce urodzenia. — Mrugnął porozumiewawczo. — Powiedzmy, że to był osobisty hołd złożony swoim korzeniom.

— Pojąłem — mruknął Moliarti. — A co oznacza *colona*?

— Najwyraźniej było to prawdziwe chrześcijańskie imię Krzysztofa Kolumba. Colona.

— *No, shit.*

— Sprawdziałem drzewa genealogiczne tamtej epoki. W owym czasie rzeczywiście istniała rodzina portugalska o nazwisku Colona, które pojawiało się na piśmie czasem z jednym „n”, a niekiedy z dwoma. Chodzi o Sciarra Colona albo Colonna. Sciarra prowadzi do Guiarra lub Guerra. A Colonna do Colon, co łączy z sobą elementy tajemniczej układanki. Czy przypomina pan sobie całe to zamieszanie wokół nazwiska admirała, które pojawiało się w różnych wersjach: Colon, Colom, Colomo, Colonus, Guiarra i Guerra? Jak widać, nie pochodzi ono od Colombo, nazwiska nigdy przez żeglarza nieużywanego, lecz od Sciarra Colonna. A czy pamięta pan słowa Hermanda Colona o tym, jak udał się do Piacenzy i znalazł groby swoich przodków? Colonna bowiem pochodzili właśnie z Piacenzy, tak jak

przodkowie ze strony ojca pierwszej żony Kolumba, zwani Palestrello, co zaadoptowano w portugalskim brzmieniu jako Perestrello.

— Czy chce pan przez to powiedzieć, że Kolumb był Portugalczykiem włoskiego pochodzenia?

— Cristóvam Colonna był arystokratą portugalskim pochodzenia włoskiego oraz portugalskiego. Prawdopodobnie miał też żydowskie korzenie. Sciarra Colonna po przybyciu z Piacenzy zintegrowali się z portugalską arystokracją. Było to w owych czasach normalne. To nie przez przypadek Hernando Colón ujawnia, że prawdziwe imię ojca w języku łacińskim brzmi Christophorus Colonus. Colonus od Colonna, a nie od Colombo. W przeciwnym razie musiałoby być Columbus. A jako że nazywał się również Sciarra, tym samym wytłumaczyć można, skąd liczne źródła, w tym Anghiera oraz świadkowie zeznający w *Pleyto de la Prioridad*, oświadczają, że prawdziwym nazwiskiem odkrywcy Ameryki było Guiarra lub Guerra. Cristóvam Guiarra Colom. Cristóvam Guerra Colom.

— A skąd to pochodzenie żydowskie?

— W owym czasie w Portugalii mieszkało wielu Żydów. Bywali u arystokratów, którzy ich protegowali. Naturalnie dochodziło do mieszania się krwi. Właściwie to w żyłach wszystkich Portugalczyków płynie krew żydowska, chociaż o tym nie wiedzą.

Nelson Moliarti spojrzął na gładkie lustro wody. Poczul powiew bryzy i głęboko odetchnął, napęlniając płuca świeżym powietrzem szerokiego akwenu i rozkoszując się wonią uwalnianą przy spotkaniu rzeki z morzem.

— Gratulacje, Tom — powiedział w końcu monotonnym tonem, nie odwracając wzroku od Tagu. — Rozwiązał pan zagadkę.

— Myślę, że tak.

— Zasługuje pan na nagrodę. — Oderwał uwagę od połyskującej powierzchni wody otaczającej wieżę i utkwił wzrok w Portugalczyku. — Pół miliona dolarów. — Mrugnął i wykrzywił twarz w pozbawionym humoru, enigmatycznym uśmiechu. — To duża kasa, co?

— Ee... tak — przyznał Noronha.

Rozmowa o nagrodzie przewidzianej przez fundację zawstydziła profesora, ale jednocześnie stało się to teraz dla niego głównym

powodem do niepokoju. Pół miliona dolarów to rzeczywiście dużo pieniędzy. Może nie uda się dzięki nim odzyskać Constanę, ale bez wątpienia przydadzą się dla Margaridy. To było bardzo, bardzo dużo pieniędzy.

— Okay, Tom! — wykrzyknął Moliarti, kładąc mu rękę na ramieniu w ojcowskim geście. — Zadzwoń do Nowego Jorku i przedstaw miój raport. Potem skontaktuję się z panem, abyśmy dopięli szczegóły i ustalili przekazanie czeku. Pasuje?

— Tak, oczywiście.

Amerikanin włożył obraz rentgenowski do koperty i podniósł ją, jakby chciał nią pomachać.

— To jest jedyna kopia, tak?

— Tak.

— Innych nie ma?

— Nie.

— Wezmę ją — powiedział.

Odwrócił się plecami i skierował się do zabytkowej wieży. Sprawiał wrażenie kogoś, komu bardzo się spieszy, i zniknął w ciemnym otworze niewielkich drzwi wejściowych, przechodząc pod eleganckim balkonem ozdobionym łukami i filarami, który nadawał tyle uroku południowej fasadzie Torre de Belém.

###

Nelson Moliarti przez cztery dni nie dawał znaku życia. W końcu, piątego dnia wieczorem, zadzwonił do Tomasa, aby umówić się na spotkanie następnego dnia. Po rozmowie telefonicznej historyk zaczął się niepokoić. W telewizji nadawali jakiś teleturniej. Oglądał go aż do śmiertelnego znużenia. Zmęczony stanem bezsensownego letargu zdecydował, że dłużej w domu nie wytrzyma. Ciężka mu i dusiła go samotność. Poderwał się nagle, ze zniecierpliwieniem, jakby się paliło, nałożył płaszcz i wyszedł.

Opuścił okna w samochodzie i jeździł wzdłuż brzegów rzeki, chłonąc chłodną pieśczołę morskiego powietrza, zagubiony gdzieś w labiryncie swojego skomplikowanego życia. Próbował odnaleźć jakiś kierunek, miejsce wytchnienia, coś, co pozwoliłoby mu poczuć się

trochę lepiej. Chciał zapomnieć o dojmującej samotności, którą zwalczał patetycznymi próbami pogrążenia się w pracy. Przygotowywał zajęcia, poprawiał testy, czytał i sprawdzał wyniki najnowszych badań w dziedzinie paleografii, które wpadały mu w ręce. Constança najwyraźniej zerwała z nim wszelkie stosunki, ograniczając się jedynie do powierzania mu Margaridy raz na dwa tygodnie. Nawet i te spotkania zostały ostatecznie przesunięte z powodu gorączki córki, zmuszającej ją do spędzenia soboty i niedzieli w łóżku. W chwilach desperacji i kryzysu samotności szukał Leny, ale Szwedka nie przychodziła już na zajęcia. Jej telefon komórkowy odpowiadał nagraniem oznajmującym, że nie ma takiego numeru. Doszedł do wniosku, że być może zrezygnowała ze studiów i wyjechała z kraju.

Na rondzie skręcił w kierunku plaży w Carcavelos. Przejechał uliczką willową graniczącą z Quinta dos Ingleses i zaparkował przy dworcu. Przeszedł przez peron i skierował się do centrum handlowego. Było to pełne wspomnień miejsce, obowiązkowy cel wizyt za czasów studenckich. To tam chodzili z Constança, kiedy nie wybudowano jeszcze wielkich supermarketów, a modne było centrum handlowe w Carcavelos. Stanowiło przystań w chłodne poranki, a wieczorami stawało się świadkiem gorących podrywów, słodkich romansów i wesołego włóczykijostwa. Przybiła go głęboka nostalgia porażająca zmysły i odbierająca ochotę do zrobienia czegokolwiek. Wszędzie wokół unosił się zapach Constançy, przywodzący na myśl wspomnienia randek oraz smak utraconej młodości. Każdy róg, każdy cień, każdy sklep przypominały o szczęśliwych, beztrudnych czasach, kiedy spacerowali objęci, spoglądając z ufnością w przyszłość. Byli tak niewinni i marzycielscy, mieli wspólne fantazje i plany. Cieszyli się tym, co przynosiło życie, niczym dzieciaki w stanie pełnej nieświadomości. Ten właśnie zapomniany aromat unosił się nad centrum handlowym, wyczuwalny jedynie dla kogoś, kto go znał. To była zagubiona w czasie mgła, w której odradzały się nieostro zatracone emocje. To miejsce wydawało mu się skażone jego młodością, jak gdyby on i Constança byli parą zatrzymaną w czasie. Teraz dostrzegł inną parę przechodzącą pod latarnią, dwie sylwetki wycięte w żółtym świetle. Dwa dwudziestoletnie duchy, które przejmowały to znajome miejsce z czystą namiętnością kogoś, kto dopiero rozpoczyna swoje życie. Nie

zwracali uwagi na postronnego widza, który podglądał ich gdzieś z pozycji przeszłości i dostrzegał w nich widma zamknięte w czasie. Tomás miał wrażenie, że tonie w ogromnym morzu nostalgii, a jej przyływ paraliżuje mu zmysły, cierpiąc z powodu tego bolesnego i niewymownego poczucia na zawsze utraconego szczęścia.

Wszedł do kawiarni w centrum handlowym i poprosił o grzanek z serem i szynką. Rozejrzał się dookoła i zauważył zmiany — stoliki były inne, ale miejsce pozostało wciąż takie samo. Tam było okno, przy którym jedli podwieczorek na jednym z ich pierwszych popołudniowych spotkań. Po drugiej stronie ulicy widać było dworzec. Tomás przypominał sobie tamten dzień, tamte emocje, tamte rozmowy wzajemnie ich dla siebie odkrywające, tamto wysublimowane oczarowanie. Był to senny weekend, rozmawiali o rodzinie, o bracie Constancy, który szalał za motorami, i ojej marzeniach, o idei, by stać się wielką malarką i któregoś dnia wystawić swoje obrazy w Tate Gallery, o pełnych fantazji planach, co do których miała niejasne przeświadczenie, że kiedyś się spełnią.

Zjadł swoją kanapkę i doszedł do wniosku, że gwałtownie potrzebuje jakiejś rozrywki. Wyszedł z kawiarni, minął sklep z czekoladkami i wszedł do podziemia w kierunku kina. Plakaty oznajmiały repertuar: *Podziemny krąg* z Edwardem Nortonek i Bradem Pittem oraz *Afera Thomasa Crowna* w nowej wersji z Pierce'em Brosnanem i Rene Russo. W normalnych warunkach wybrałby ten ostatni, ale czując się samotny i pełen melancholii, zdecydował się na obraz bardziej agresywny. Pomyślał, że będzie to lepszy sposób na przełamanie nostalgicznego letargu, w którym się pogrążył. Kupił bilet. Do seansu pozostało jeszcze piętnaście minut, więc poszedł do baru, by kupić jakieś słodczy. Bufet był nowością w kinie w Carcavelos, nie istniał za jego czasów studenckich. W końcu powstał pod wpływem oferty gastronomicznej nowych centrów handlowych — widoma oznaka, że czasy rzeczywiście się zmieniły. Miejsce pozostało to samo, ale się przekształcało. Czekał przez chwilę przy ladzie, zatęsknił za dawnym, zawsze pełnym kinem. W połowie filmu była zawsze długa przerwa i spędzał ją właśnie tutaj, trzymając dziewczynę za rękę. Kiedy przyszła jego kolej, poprosił o słodką prażoną kukurydzę i zapłacił. Sprzedawczyni wręczyła mu

popcorn w małej papierowej torebce. Tomás odwrócił się, aby udać się w kierunku sali kinowej.

Zobaczył ją przy wejściu do baru. Constança właśnie wchodziła. Wyglądała świeżo, tak samo pięknie i pociągająco jak w wieku dwudziestu lat, tylko bardziej dojrzałe. Ubrana była w białą sukienkę w czerwone kwiaty opiętą w talii i otwierającą się u dołu w szeroką spódnicę, taką, jakie nosiło się w latach pięćdziesiątych. Mężczyzna poczuł ból w sercu i zatrzymał się. Oboje stanęli u wejścia do baru niczym dwoje złapanych na jakimś wybryku dzieci.

— Cześć — powiedział w końcu Tomás, nie posiadając się ze zdumienia.

— Cześć, Tomás — odparła, otrząsając się z początkowego zaskoczenia. Odwróciła się bokiem i dotknęła ramienia stojącego za nią mężczyzny. — Chcę ci przedstawić mojego przyjaciela Carlosa.

W tym momencie Tomás uświadomił sobie, że granica pomiędzy marzeniem a koszmarem jest tak cienka, jak nić jedwabiu, że przejście od nadziei do rozpaczki jest tak delikatne, jak rzucony na wiatr płatek kwiatu. Poczul, jak gdyby przeżywał ten krępujący moment w zwolnionym tempie. Ta straszna scena odtwarzała się w jego umyśle przeraźliwie wolno. Jego wzrok przeskakiwał od pięknej twarzy Constançy, sprawiającej wrażenie zaangażowanej, na szczupłego, ogolonego mężczyznę w garniturze stojącego obok jego żony. Tamten spojrzal na Tomasa pytająco, a zaraz potem chłodno i wyciągnął rękę.

— Miło mi — wypowiedział słowa powitania, rzecz jasna, nie-szczerze. — Carlos Rosa.

Prawie jak automat, niemal czując rozdzielenie ciała od umysłu, Noronha wyciągnął dłoń i również się przywitał.

— I co? — To był głos Constançy. — Co u ciebie słychać?

Spojrzal na nią zdezorientowany. Nagle odkrył wewnętrzne znieczulenie i rozbitcie, powstrzymując jednocześnie ślepa furię rodzącą się gdzieś w środku.

— Ee... wszystko w porządku, tak. A jak u ciebie?

— Cudownie. Wybierasz się do kina?

— Tak.

— Na co idziesz?

— Na *Podziemny krąg*.

— Aha.

Nastąpiła niezręczna cisza. Rozmowa przebiegała w napięciu. Była pusta i absurdalna, jak wszystkie okolicznościowe, krępujące rozmowy, których uczestnicy potykali się o słowa, zbici z tropu kłopotliwą sytuacją wynikającą z niepożądanego spotkania. Tomás miał przemożną ochotę zniknąć, uciec, przestać istnieć.

— A ty?

Spojrzała na swojego towarzysza.

— My przyszliśmy na *Aferę Thomasa Crowna*.

Owo „my przyszliśmy” było kolejnym brutalnym ciosem wymierzonym w jego żołądek, zburzeniem tego, co pozostało jeszcze z jego złudzeń. Constança nie mówiła już „ja”. Powiedziała „my”.

My.

To nie byli jednak ona i Tomás. My. Nie była sama. To była ona i ten drugi. My. Ona i jego rywal — mężczyzna, który miał go zastąpić, ten, który mu ją odbierał. My.

— Tak... ee... czas już na mnie — wyjąkał Tomás, żegnając się niezgrabnym gestem.

— Przyjemnego oglądania — powiedziała. Miała oczy szeroko otwarte, trudno było wyczuć, czy była szczęśliwa, czy smutna, skrepowana czy obojętna.

Uciekł z baru, ale nie skręcił do sali kinowej. Poszedł dalej, na przód, i opuścił centrum handlowe, niemal dysząc z rozpacz. Wyszedł na ulicę odetchnąć świeżym powietrzem i stawić czoło bezlitosnemu kacowi z powodu utraconej miłości, jak się teraz przekonał, utraconej na zawsze.

###

Tłum mrowił się na szerokim chodniku w dzielnicy Rossio, zmęczony chaotycznym ruchem. Mijali się ludzie o różnych wyrazach twarzy, niektórzy szli pospiesznie, ze wzrokiem utkwionym w bruk, inni wolniej, wpatrzeni w przestrzeń. Jeszcze inni obserwowali to przetaczające się w nerwowej i niecierpliwej gonitwie mrowie nad stolikach kawiarnianych. Do tej grupy zaliczał się Tomás, siedzący z

nogą na nodze w ogródku Café Nicola i delektujący się parującą kawą.

Nelson Moliarti wyłonił się z tej rozproszonej masy ludzkiej, jak gdyby nagle się zmaterializował. Ubrany w garnitur i krawat pojawił się z czterdziestominutowym opóźnieniem.

— *Sorry* — przeprosił. Przysunął sobie krzesło i usiadł wygodnie.

— Rozmawiałem z Johnem Saviglianem w Nowym Jorku, dlatego się spóźniłem.

— Nie szkodzi — skomentował Noronha, siląc się na uśmiech. — Tym razem, dla odmiany, to ja poczekałem. Sprawiedliwości stało się zadość.

— Tak, ale ja nie lubię się spóźniać.

— Czego się pan napije?

— Ee... proszę o herbatę jaśminową i ciastko z Belém.

Tomás przywołał kelnera i złożył zamówienie. Tamten zanotował, odwrócił się i zniknął wewnątrz kawiarni.

— Jak się ma pan Savigliano?

— Och, świetnie — odparł Nelson, patrząc rozbieganym wzrokiem gdzieś poza swym rozmówcą, jak gdyby nie chciał spojrzeć mu w oczy. — John ma się dobrze.

— Coś pana niepokoi...

— Nie, nie — zaprzeczył Amerykanin. — Tylko że... musimy dobić targu, prawda?

— Tak, oczywiście.

Moliarti oparł się łokciami o stół i po raz pierwszy spojrział wprost na Tomasa.

— Tom, otrzymałem polecenie, by zapłacić panu dwa tysiące dolarów wynagrodzenia tygodniowo oraz nagrodę w wysokości pół miliona dolarów, tak jak to ustaliliśmy w Nowym Jorku. — Odkasznął.

— Kiedy chce pan kasę?

— Tak... ee... tak się składa, że teraz by mi się przydała...

Reprezentant fundacji wyjął z wewnętrznej kieszeni książeczkę czekową i przygotował długopis, ale nadal nie spuszczał wzroku z historyka.

— Tom, wystawię panu czek teraz, ale istnieje dodatkowy warunek.

— Tak?

— Chodzi o poufność.

Poufność? — zdziwił się profesor. — Nie rozumiem.

— Wszystkie badania, które pan dla nas przeprowadził, są poufne. Rozumie pan?

— Badania są poufne?

— Tak. Ani słowa o tych odkryciach.

Zaintrygowany Noronha podrapał się po brodzie.

— Czy to jakaś strategia handlowa?

— Tak, to jedna z naszych strategii.

— Tak, ale o co chodzi? Aby teraz nie puścić pary z ust, a potem, w momencie publikacji, zrobić wielkie halo, tak?

Amerykanin rozejrzał się wokół, jak gdyby obawiał się podsłuchu, po czym ponownie zwrócił się do Tomasa.

— Tom — rzekł, zniżając głos. — Nie będzie żadnej publikacji.

Historyk otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

— Co?

— Te odkrycia nie zostaną opublikowane. Ani teraz, ani nigdy.

Przez dłuższą chwilę usta Noronhy pozostały otwarte. Nie był zdolny do wyartykułowania ani słowa, zaskoczony taką wieścią. — Ale... ee... — wydukał. — To... ee... nie ma sensu.

— Taką decyzję podjęto w Nowym Jorku.

— Ale dlaczego? Nie mają zaufania do przedstawionych materiałów?

— Nie o to chodzi.

— Dowody są gruntowne. Nelsonie. Sama kwestia wzbudza polemikę, to prawda. Na pewno można się spodziewać negatywnej reakcji ze strony establishmentu. Istnieją historycy, którzy zwariują na punkcie obalenia wersji oficjalnej. Powiedzą, że wszystko to bajka, bzdura, oszustwo...

— Tom.

— ...już to widzę. Będą się zachowywać histerycznie, wyjdą z siebie, będą rzucać wyzwiskami, wołać o pomstę do nieba. Ale w ostatecznym rozrachunku nasze dowody są pewne. Pewne, słyszy pan? Odpowiadam za nie.

- Tom, już panu mówiłem, że nie o to chodzi.
- Więc o co?
- Nic opublikujemy wyników badań. Koniec, kropka.

Noronha pochylił się nad stołem, przysuwając jak najbliżej do Amerykanina.

— Nelson, dokonaliśmy nadzwyczajnego odkrycia. Rozwiązaliśmy piętnastowieczną zagadkę. Odśloniliśmy tajemnicę, która od stuleci intryguje historyków. Wypełniliśmy lukę w wiedzy. Dzięki tym nowym danym całkowicie zmienimy podejście do odkrycia Ameryki i ujawnimy ważne informacje dotyczące epoki odkryć geograficznych. Co to za historia o tym, że nic nie opublikujemy, he? Co się za tym kryje?

Moliarti westchnął.

— Tom, mnie się to nie podoba tak samo jak i panu. Ale tego życzy sobie fundacja. Wytyczne Johna były przejrzyste. Nie może dojść do rozpowszechnienia tych odkryć.

— Ale dlaczego?

— Ponieważ tak zdecydowało kierownictwo fundacji.

— Przepraszam, Nelsonie, ale to nie jest odpowiedź. Z jakiego powodu zdecydowali, że te odkrycia nie mają być ujawnione?

Przedstawiciel fundacji zamilkł na chwilę, zastanawiając się, co może powiedzieć, a czego nie. Niemal instynktownie obrzucił wzrokiem ludzi dookoła ich stolika i wzdychając głośno, jeszcze raz pochylił się w stronę swojego rozmówcy.

— Tom — wymruczał głosem przechodzącym niemal w szept. — Co pan wie o American History Foundation?

— Więc... ee... to instytucja, której celem jest wspieranie... studiów amerykańskich — wyjąkał. — To pan do niej należy, więc pan to powinien wiedzieć.

— Ja jestem jedynie zwykłym pracownikiem w American History Foundation — powiedział Moliarti, kładąc rękę na piersiach. — Nie jestem jej właścicielem. Szefem jest John Savigliano, to on jest przewodniczącym rady nadzorczej. Zna pan innych członków rady?

— Nie.

— Wiceprzewodniczącym jest Jack Mordenti. Są jeszcze Paul Morelli i Mario Ghirotto. Te nazwiska nic panu nie mówią?

— Nie.

— Proszę zauważyć, Tom. — Wypowiadając kolejne nazwiska, podnosił palec. — Savigliano, Mordenti, Morelli, Ghirotto. Nawet sekretarka Johna, ta niesympatyczna kobieta, którą poznał pan w Nowym Jorku, nazywa się Racca. Co to za nazwiska?

— Co to za nazwiska? Przepraszam, ale nie rozumiem pytania.

— Jakie jest pochodzenie etniczne?

— Hmm... włoskie?

— Tak, ale dokładnie?

Tomás zrobił pytającą minę.

— Hmm... dokładnie? Zakładam, że z Włoch.

— Z Genui. Tom. To Włosi z Genui. American History Foundation to instytucja finansowana przez genueński kapitał lub Amerykanów genueńskiego pochodzenia. Prawdziwe imię Savigliana to Giovanni. John zmienił je, kiedy w wieku dwunastu lat opuścił rodzinne miasto i wyjechał do Ameryki. Mordenti urodził się w Brooklynie i chociaż na chrzcie otrzymał imię Joseph, a w szkole zwracano się do niego Jack, w domu zawsze mówiono na niego Giuseppe. Ojciec Paula Morellego nazywał się Paolo Morelli i pochodził z Nervi, małej wioski niedaleko Genui. Mario Ghirotto wciąż mieszka w Genui, ma tam piękne mieszkanie na Piazza Campetto. — Zacisnął zęby. — To, mój przyjacielu, osoby bardzo dumne z tego, że są rodakami odkrywcy Ameryki, najsłynniejszego człowieka po Jezusie Chrystusie. Czy rzeczywiście sądzi pan, że pozwolą na publikację badań, które udowadniają, że Kolumb tak naprawdę nie był Genueńczykiem, lecz Portugalczykiem? — Popukał się palcem w czoło. — Nigdy w życiu! To nie do pomyślenia!

Tomás znieruchomiał, jakby był sparaliżowany. Oczy miał szeroko otwarte i błyszczące pod wpływem nagłego odkrycia. Wszystko rozumiał, ale nie chciał w to uwierzyć.

— Wy... jesteście genueńczykami?

— Oni są genueńczykami — odparł Nelson, podkreślając słowo „oni”. Zmusił się do uśmiechu. — Ja nie. Urodziłem się w Bostonie, a moja rodzina pochodzi z Brindisi na południu Włoch.

— Ale jakie znaczenie ma tutaj narodowość? O ile mi wiadomo,

Włosi są uczciwi. Czyż nie sam Umberto Eco przyznaje, że Kolumb był Portugalczykiem?

— Umberto Eco nie jest genueńczykiem — przypomniał Moliarti.

— Ale jest Włochem.

Amerykanin westchnął.

— Nie bądźmy naiwni, Tom — powiedział spokojnie. — Proszę zauważyć, że gdyby fundacja była w rękach Amerykanów pochodzących z Piacenzy, niewątpliwie te odkrycia zostałyby natychmiast opublikowane. Nawet inni Włosi czy też Amerykanie włoskiego pochodzenia zaakceptowałyby opublikowanie takich informacji, choć może niechętnie. Musi pan jednak zrozumieć, że nie można tego wymagać od genueńczyków. W końcu przecież są dumni ze swojego Krzysztofa Kolumba i nie można oczekiwać, że przyjmą takie wiadomości z otwartymi ramionami, prawda?

— Ale prawda jest prawdą.

— Bardzo mi przykro, Tom. Pańskie badania nie mogą być rozpowszechnione.

— Tego by tylko brakowało!

— Tom — powiedział Moliarti, podnosząc dłoń i prosząc rozmówca by go wysłuchał. — Otrzyma pan nagrodę tylko wtedy, jeżeli zobowiąże się pan do poufności.

— Co?

Przedstawiciel fundacji położył na stole kartki z jakimś uprzednio przygotowanym tekstem.

— Otrzyma pan pół miliona dolarów tylko wtedy, jeżeli podpisze pan tę umowę o poufności informacji.

— Nie możecie tego zrobić.

— Polecenia Johna są bardzo jasne. Podpisze pan i otrzyma pół miliona dolarów.

— A jeżeli nie podpiszę?

— Nie otrzyma pan nic.

— Tak się nie umawialiśmy w Nowym Jorku, Nelsonie. Obiecano mi nagrodę, jeśli odszyfruję tajne badania profesora Toscano. Wykonałem, co do mnie należało, a teraz bardzo proszę, dotrzymajcie swojej umowy.

- Dotrzymamy, Tom. Ale najpierw musi pan zobowiązać się do utrzymania tych odkryć w tajemnicy.
- Chcecie kupić mnie za pół miliona dolarów?
- Niech pan tak nie mówi...
- Myśli pan, że jestem na sprzedaż? Naprawdę wierzy pan, że można mi pieniędzmi zamknąć usta, niezależnie do sumy?
- Tom, fundacja nie zaakceptuje publikacji tych odkryć. Wszystkie badania przeprowadził pan dla fundacji. Wynikające z nich odkrycia są jej własnością i to ona zadecyduje, co z nimi zrobić.
- Te badania, mój drogi Nelsonie, należą do profesora Toscano. Ograniczyłem się jedynie do pójścia pozostawionym przez niego śladem.
- Profesor Toscano pracował dla fundacji.
- Pracował dla fundacji w zakresie badań nad odkryciem Brazylii, ale niedotyczących Kolumba.
- We właściwym momencie wyjaśniliśmy panu, że cała jego praca była na rzecz fundacji. Wykorzystał jej fundusze, by wysledzić pochodzenie Kolumba, dlatego jego badania należą do fundacji.
- Aha, teraz rozumiem, dlaczego wdowa po profesorze tak was nie cierpi...
- To nie ma znaczenia. Istotne jest to, że wyniki pańskich badań i wyniki pracy profesora Toscano należą do fundacji.
- Są własnością ludzkości.
- To nie ludzkość płaciła rachunki, Tom. To American History Foundation. Wyjaśniliśmy to wszystko także i profesorowi Toscano.
- I co on na to?
- Moliarti nagle się zmieszał.
- Ee... miał inny punkt widzenia...
- Odesłał was do diabła, tak właśnie było. I słusznie zrobił. Gdyby nie umarł, teraz wszystko już byłoby upowszechnione, może mi pan wierzyć.
- Amerykanin ponownie rozejrzał się wokół, niemal przestraszony. Upewnił się, że nikt ich nie podsłuchuje, pochylił się jeszcze raz nad stołem i westchnął. Odezwał się prawie niedosłyszalnym szeptem.
- Tom, a kto panu powiedział, że profesor Toscano zmarł śmiercią naturalną?

Noronha znieruchomiał.

— Co?

— Kto panu powiedział, że profesor Toscano zmarł śmiercią naturalną?

— Co pan sugeruje? Że go zamordowano?

Nelson wzruszył ramionami.

— Nie wiem — mruknął. — Przysięgam, że nie wiem i nie chcę wiedzieć. Ale, nawiasem mówiąc, okoliczności śmierci profesora zawsze wydawały mi się nieco dziwne. Zmarł dwa tygodnie po burzliwej kłótni z Johnem, w okresie, kiedy w fundacji zapanowała panika. Wtedy, po tej wielkiej dyskusji, rada nadzorcza zrozumiała, że profesor Toscano zamierzał wszystko opublikować i niech dzieje się, co chce! A dwa tygodnie później facet umiera w Rio de Janeiro, pijąc sok z mango. Niesłychanie wygodne, nie sądzi pan?

— Mówi pan, że ci ludzie są zdolni do morderstwa, aby zachować tę tajemnicę?

— Chcę powiedzieć, że trzeba zachować ostrożność. Mówię, że lepszy żywy historyk z pół milionem dolarów w kieszeni niż martwy historyk pozostawiający rodzinę w nędzy. Prawda jest taka, że nie wiem, czy profesor Toscano zmarł śmiercią naturalną, czy nie. Wiem jedynie, że jeśli była naturalna, to z pewnością stanowiła dla fundacji szczęśliwy zbieg okoliczności.

— Więc dlaczego mnie zatrudniliście? Wraz ze śmiercią profesora sekret pozostawał bezpieczny...

— Istniał problem dowodu.

— Jakiego dowodu?

— Toscano znalazł dowód na to, iż Kolumb nie był Genuńczykiem. Wiedzieliśmy o tym, jednak nie mieliśmy pojęcia, co to za dokument ani czy jest łatwo dostępny. Musieliśmy do niego dotrzeć. Fundacja nie mogła pozwolić sobie na to, by ryzykować, że dostanie się w niepowołane ręce. To pan był narzędziem, które nas do niego doprowadziło.

— Mówi pan o „Kodeksie 632”?

— Tak.

— Przepraszam, Nelsonie, ale nie rozumiem. Dzięki waszej inicjatywie udało mi się dotrzeć do „Kodeksu 632” — dokumentu, który

udowadnia właśnie to, czego fundacja nie chce przyjąć do wiadomości. Nawet gdybym zobowiązał się do milczenia, otrzymując za to pół miliona dolarów, którymi chcecie mnie przekupić, jaką fundacja ma gwarancję, że nie puszcze pary z ust jakiegoś koledze i nie każe mu przeanalizować „Kodeksu 632? Moliarti się uśmiechnął.

— Taki numer nie przejdzie.

— Ach nie? A kiedy odnajdzie przekreślenia w trzecim i czwartym wierszu, zaraz po słowie *colo* i pod wyrażeniem *nbo y taliano'*? A kiedy zwróci się z prośbą o wykonanie obrazu radiograficznego owej kartki rękopisu? He? Co wtedy się stanie?

Amerikanin oparł się o poręcz krzesła dziwnie pewny siebie.

— Czy zauważył pan, Tom, że spóźniłem się na to spotkanie?

Noronha zrobił zdziwioną minę, nie rozumiejąc, co to pytanie ma wspólnego z całą rozmową.

— Tak. I co z tego?

— A wie pan, z jakiego powodu się spóźniłem?

— Już mi pan powiedział, że rozmawiał z Saviglianem.

— Tak powiedziałem. Prawda jest taka, że byłem umówiony z reporterami radia i telewizji. — Amerikanin mrugnął porozumiewawczo okiem. — Słuchał pan dzisiaj wiadomości, Tom?

— Jakich wiadomości?

— Wiadomości o napadzie, człowieku. Zeszłej nocy dokonano napadu na Bibliotekę Narodową.

###

Kiedy Noronha gwałtownie wtargnął do czytelnicy dzieł zarezerwowanych, jeden z pracowników stał na stole, próbując zachować równowagę, by wstawić w okno szeroką szybę. Sprzątaczką zmiatała rozsypane na podłodze błyszczące odłamki. Były to kawałki potłuczonego szkła. Gdzieś z tyłu dobiegały odgłosy walenia młotkiem. Bez wątpienia były to prace stolarskie.

— Dzisiaj zamknięte, panie profesorze — oznajmiła mu Odete stojąca za ladą. Czerwona na twarzy nerwowo wykręcała palce.

— Co się stało? — zapytał Tomás.

— Był napad.

— To już wiem. Ale co się stało?

— Kiedy rano przyszedłam do pracy, zobaczyłam tamtą potłuczoną szybę oraz wyłamane drzwi do sali rękopisów. Och, dobry Boże, nie mogę dojść do siebie... — Westchnęła. — Przepraszam, panie profesorze. Jestem bardzo zdenerwowana.

— Co ukradli?

— Ukradli mi spokój, panie profesorze. Obrabowali mnie ze świętego spokoju. — Położyła rękę na piersiach. — Och! Najświętsza Pannienko, jak ja się przestraszyłam!

— Ale co ukradli?

— Jeszcze nie wiemy, panie profesorze. W tej chwili dokonujemy inwentaryzacji manuskryptów, aby się przekonać, czy któregoś z nich brakuje. — Wypuściła głośno powietrze, jak gdyby chciała dać upust kłębiącej się wewnątrz parze. — Ale wie pan, niedawno mówiłam policji, że jak dla mnie, to sprawka jakichś narkomanów. Sam pan wie, łążą takie zawszone, brodate chłopaki. To nie studenci, o nie, tych to ja znam. To najgorszy element, widzi pan? — Podniosła palce do ust, imitując, że pali papierosa. — Goście, którzy palą trawkę i Bóg wie co jeszcze. Polują na komputery, aby je potem sprzedać za bezcen. Takim sposobem...

— Proszę mi pokazać „Kodeks 632” — uciął Tomás, zniecierpliwiony i zaniepokojony.

— Słucham?

— Proszę przynieść „Kodeks 632”. Muszę go obejrzeć.

— Ale panie profesorze, dzisiaj nieczynne. Będzie pan musiał...

— Niech pani przyniesie „Kodeks 632”. — Otworzył szeroko oczy, dając do zrozumienia, że nie zamierza ustąpić. — Teraz.

Odete zawahała się, zaskoczona tak groźną miną, ale w końcu uległa i zniknęła w pokoju, w którym przechowywano dawne rękopisy. Tomás usiadł na krześle w pierwszym rzędzie i nerwowo stukał palcami w stół, oczekując najgorszego.

Chwilę później bibliotekarka wróciła do czytelnii.

— I co?

— Proszę — powiedziała.

W rękach trzymała dzieło w skórzanej, brązowej okładce. Widząc bezpieczny rękopis, Noronha odetchnął z ulgą i poczuł, jak pozbywa się z piersi przytłaczającego ciężaru. Ale Moliarti napędził mi strachu, pomyślał.

— Drań, ale mnie nastraszył — powiedział cicho.

Historyk sprawdził wagę rękopisu, a potem przyjrzał się okładce. Wszystko bez zarzutu. Sygnatura „Kodeksu 632” pozostała przyklejona do grzbietu manuskryptu. Otworzył dzieło i przestudiował piętnastowieczny, portugalski tytuł: *Chronica de El Rey D. Joam II*. Przekartkował pozółkłe strony, noszące ślad upływu czasu, dochodząc do numeru siedemdziesiąt sześć. Wyszukał czwarty wiersz i utkwiał wzrok w pierwszych słowach. *Nbo y taliano*. Podejrżane luki między wyrazami nadal tam były. Przesunął czubkiem palca wskazującego po linijce, aby wyczuć ślad po wymazaniu słów znajdujących się pod spodem. Powierzchnia jednak była gładka. Zaskoczony zamknął oczy. Jeszcze raz przejechał palcem.

Wszystko gładkie.

Przyjrzał się z bliska, niemal nie wierząc własnym oczom. Po poprawce nie było śladu. Nic a nic. Tak jakby nigdy jej tam nie było. Zdumiony podniósł rękę do ust, czując, że serce bije mu jak oszalałe. Nie wiedział, co myśleć. Patrzył na całą kartkę, szukając śladów cięć, zarysowań, śladów po zaklejeniu. Doszukiwał się różnic w strukturze papieru, jakiejś minimalnej niedoskonałości, czegokolwiek, nawet najbardziej mikroskopijnego. Nic z tego. Strona była czysta, nieskażona, autentyczna. Zniknął jedynie ślad po poprawce. Robota profesjonalistów, pomyślał prawie z płaczem. Potrząsnął głową głęboko rozczarowany. Wniosek był nieunikniony i ostateczny. Zawodowi fałszerze. Skopiowali oryginalną kartkę i wymienili ją, nie pozostawiając żadnych tropów. Zatarli ślady i ukryli dowód. Profesjoniści.

— Skurwysyny.

XVII

Telefon zadzwonił, kiedy profesor Noronha przygotowywał się do wyjścia. Planował udać się do Torre do Tombo, aby przetrząsnąć dokumenty, które pozwoliłyby mu zlokalizować wzmianki o Colónach. Dowód w postaci „Kodeksu 632” został zaprzepaszczony, ale historyk sądził, iż znając teraz prawdziwe nazwisko Kolumba, z pewnością łatwiej mu będzie odnaleźć jakieś ślady. Wreszcie wyjaśniła się zagadka całkowitego braku dokumentów dotyczących życia żeglarsza w Portugalii. W końcu Kolumb znany był w kraju pod innym nazwiskiem, tym autentycznym. Po wyeliminowaniu tej trudności historyk miał teraz większą pewność, że znajdzie coś w starych rękopiśmiach — jakieś kwity, rachunki, oświadczenia, korespondencję i co tylko można by wyłowić ze sterty kurzu największego portugalskiego archiwum piętnastowiecznych dokumentów.

— Halo? Tomás?

W telefonie komórkowym rozbrzmiał głos Constançy.

— O, cześć — powitał ją, kontrolując ton głosu. Cieszył się, ale jednocześnie zdumiał tym telefonem. Wewnątrz czuł się jednak urażony i nie chciał się zdradzić, iż poczuł ulgę, kiedy doczekał się wreszcie rozmowy z żoną. — Wszystko w porządku?

— Nie wiem — zawahała się. — Doktor Oliveira chce dzisiaj rano z nami rozmawiać.

— Dzisiaj rano? Nie mogę, muszę iść teraz do Torre do Tombo...

— Mówi, że to pilne. O jedenastej musimy być w szpitalu Świętej Marty.

Tomás automatycznie spojrzął na zegarek. Była dziewiąta trzydzieści.

— Ale skąd ten pośpiech?

— Nie wiem. Wczoraj zabrałam Margaridę do szpitala na badania i nic mi nie powiedział.

— A jakie są wyniki?

— Dzisiaj miałam je odebrać.

— Hmm — mruknął, pocierając oczy. Odczuł nagłe zmęczenie. ;

— Myślisz, że badania wykryły coś niepokojącego, tak? — zapytała Constança ze źle skrywanym strachem.

— Nie wiem. Zobaczymy.

###

Spotkali się przy podeście izby przyjęć półtorej godziny później. Constança była ubrana w obcisły szary garnitur, który podkreślał krągłości jej ciała i nadawał jej wygląd kobiety biznesu. Przeszli przez drzwi po lewej, dochodząc do krużganków dawnego klasztoru, który obecnie został przekształcony w szpital kardiologiczny. Zignorowali piękne, stare, niebieskie kafelki ozdabiające krużganki, skupieni i zaniepokojeni. Weszli w długi korytarz, który zaprowadził ich do następnego bloku.

Po drodze Constança wyjaśniła mężowi, że dzień wcześniej przyprowadziła córkę do szpitala na rutynowe badania, o które lekarz prosił już jakiś czas temu. Margarida była blada i apatyczna, co wzbudziło podejrzenie doktora i ciągnęło się od gorączki, którą miała po świętach Bożego Narodzenia. Chciał się upewnić, czy wszystko jest w porządku. Ponieważ dziewczynka nie miała sinej skóry, co świadczyłoby o pogarszających się kłopotach z sercem, lekarz nie ponaglał, chociaż stwierdził konieczność wykonania badań krwi i moczu, które przeprowadzono poprzedniego dnia.

Złapali windę i wjechali na trzecie piętro, gdzie mieściła się kardiologia dziecięca. Znaleźli lekarza na OIOM-ie. Oliveira gestem poprosił Noronhów, by poszli za nim, prowadząc ich do swojego gabinetu na poddaszu. Było to ciche i przestronne miejsce.

— Mam wyniki badań Margaridy — powiedział, przechodząc od razu do sprawy, w której wezwał rodziców dziecka.

— I jak?

Lekarz poruszył się na krześle, jakby było mu niewygodnie, i nerwowo bawił się białą kartką.

— Nie mam dobrych wiadomości — ostrzegł poważnie. — Szczerze mówiąc, wyniki są całkowicie inne i... ee... mamy do czynienia ze stanem, który sugeruje... ee... białaczkę.

W gabinecie zapanowało ciężkie, pełne zaskoczenia milczenie. Tomás i Constança usiłowali oswoić się z usłyszaną wiadomością.

— Białaczka? — zdziwił się ojciec dziewczynki.

Oliveira twierdząco pokiwał głową.

— Tak.

— Czy ma to coś wspólnego z ubytkiem przegrody międzykomorowej?

— Nie, nic. To nie problem natury kardiologicznej. Zalicza się do dziedziny hematologii.

— Problem dotyczący czego?

— Hematologii. Chodzi o krew. — Zademonstrował kartkę z danymi przekazanymi przez laboratorium analiz. — Widzą państwo te wyniki? Wykazują obecność białych ciałek krwi w liczbie ponad dwustu pięćdziesięciu tysięcy na milimetr sześcienny.

— To znaczy?

— Normalnie liczba ta nie przekracza dziesięciu tysięcy. Margari-da ma ogromny nadmiar białych ciałek krwi. — Lekarz wskazał kolejną wartość na kartce z wynikami. — To tutaj to hemoglobina. Siedem gramów. Normalnie powinno być dwanaście. To oznaka anemii.

— Białaczka to rak krwi — zauważyła Constança drżącym głosem, z trudnością opanowując czkawkę. — To... to coś poważnego, правда?

— Bardzo poważnego. Prawdę mówiąc, ten typ białaczki określa się mianem ostrej, a współczynnik jej występowania jest wyższy u dzieci z zespołem Downa niż u dzieci normalnych.

— Ale jest na to lekarstwo? — zapytał Tomás, czując opanowującą go panikę.

— Tak, oczywiście.

— Co więc mamy zrobić?

— Widzi pan, to problem, który wykracza poza moją specjalność.

Ostre przypadki białaczki leczy się tylko w IPO*. Proszę się jednak nie martwić, znam doskonałych specjalistów, którzy się tym zajmą. Kiedy zobaczyłem te wyniki, pozwoliłem sobie skonsultować je z koleżanką z instytutu i zastanawialiśmy się nad dalszym postępowaniem. — Utkwił wzrok w Constanicy. — Gdzie teraz jest Margarida?

* IPO — skrót od Instituto Português de Oncologia, Portugalski Instytut Onkologiczny.

— Margarida? W szkole, oczywiście.

— Dobrze. Pójdą teraz państwo po nią i zabiorą ją do IPO. Tam zostanie natychmiast przyjęta.

Rodzice spojrzeli na siebie przybici.

— Teraz mamy ją odebrać?

— Teraz — nalegał lekarz, aby podkreślić wagę sytuacji. — Już. — Nagryzmolił nazwisko na kartce. — Kiedy stawią się państwo w IPO, proszę zapytać o doktor Tulipę, z którą już rozmawiałem. Ona zajmie się wszystkim i przejmie pacjentkę.

— Ale Margarida wyzdrowieje, prawda?

— Jak już wam powiedziałem, to nie moja specjalność, ale jestem pewien, że leczenie będzie skuteczne — odparł Oliveira, usiłując znaleźć słowa pocieszenia. Podał rodzicom kartkę z nazwiskiem lekarki. — W każdym razie to doktor Tulipa postawi diagnozę, wyjaśni państwu stan choroby córki i przedstawi odpowiednie rozwiązania.

###

To było tak, jakby świat się znowu zawalił. Przez całą drogę do szkoły Constanca płakała, wycierając nos w koronkową chusteczkę. Obok milczący Tomás trzymał się kurczowo kierownicy załamany i pokonany sytuacją. Oboje rozumieli, że to był dopiero początek znanego im już procesu, strasznego doświadczenia, które zostali zmuszeni przeżywać ponownie — lawina niszczących emocji. Nie wiedzieli, jak to przetrwać. Po koszmarze, który przekształcił się w burzliwy okres po urodzeniu córki, sądzili, że są już przygotowani na wszystko. Teraz jednak przekonywali się, że tak nie było. W ostatecznym rozrachunku byli tylko dwiema zdezorientowanymi osobami, zagubionymi w labiryncie niekończących się udręczeń. Zrozpaczonymi

rodzicami, którym los płał kolejnego figła. Tłumili wewnętrzny bunt, zadając sobie bez końca pytanie, co zrobili, by zasłużyć na takiego pecha.

Kiedy dotarli do szkoły, Tomás wymógł na Constançy obietnicę, że w obecności córki nie uroni ani jednej łzy. Ze ściśniętym niepokojem sercem i uśmiechając się pomimo dławiącego uczucia w gardle, oboje wyjaśnili jej, że będzie musiała pójść do szpitala.

— To peses selce, plawda? — zapytała dziewczynka z przerażeniem w oczach, odgadując kolejne czekające ją tortury. — Znowu jestem chola?

Podróż do Instytutu Onkologii była traumatyczna. Margarida wrzeszczała, że nie chce tam jechać. Szybko jednak się zmęczyła i ostatni odcinek drogi pokonali prawie w milczeniu, zakłóconym jedynie okazjnymi jękami małej i pieszczotliwymi pocieszeniami matki. Constança objęła córkę i obie zamknęły się w muszli wzajemnych czułości.

Oddali dziecko pod opiekę doktor Tulipy, kobiety w średnim wieku, o siwych włosach i mocnych okularach. Była szczupła i energiczna. Wydała stosowne polecenia i zabrała dziewczynkę do małej sali zabiegowej, co przerażyło rodziców.

— Spokojnie, nie będziemy jej teraz operować — powiedziała im Tulipa. — Przeanalizowałam wyniki badań krwi, które przekazał mi Oliveira, i stwierdziłam, że musimy zrobić punkcję.

— A co to jest?

— Pobierzemy jej komórki ze szpiku kostnego, w tym wypadku z miednicy, aby potwierdzić diagnozę i dokładnie określić rodzaj nowotworu, który ma wasza córka.

Badanie wykonano przy znieczuleniu miejscowym w obecności rodziców, którzy nie przestawali pocieszać i zachęcać córki. Po jego zakończeniu wycinki ze szpiku kostnego zabrano do laboratorium. Lekarka zapytała rodziców o objawy, jakie zauważyli u dziewczynki w ostatnim miesiącu, włącznie z opisami jej błądności, zmęczenia, gorączki i nawet krwawień z nosa. Unikała jednak udzielania szczegółowych wyjaśnień dotyczących stanu chorobowego, twierdząc, że jedynie mielogram mógł dać całkowitą pewność.

Kilka godzin później Tulipa wezwała rodziców do swojego surowo urządzonego gabinetu.

— Dostałam już wyniki punkcji — oznajmiła. — Margarida ma ostrą białaczkę szpikową.

— A co to znaczy, pani doktor?

— To rodzaj złośliwego nowotworu szpiku kostnego mieloidycznych prekursorów leukocytów.

Rodzice utkwili wzrok w lekarce. Oboje byli przerażeni i bezsilni.

— Przepraszam, pani doktor — ucieła Constança, będąc na granicy cierpliwości. — Może pani sobie podarować te zawile, bzdurne sformułowania. Proszę nam po ludzku wyjaśnić, co się dzieje.

Lekarka westchnęła.

— Z pewnością wiedzą państwo, co to białaczka...

— To rak krwi.

— To jedna z możliwych definicji. — Powstała z krzesła i pokazała im schemat ciała ludzkiego na zawieszanej na ścianie planszy. — Ośrodkiem problemu jest szpik, który znajduje się wewnątrz kości. Jego funkcją jest produkcja komórek krwi. Chodzi o to, że w organizmie dziewczynki pojawiły się anormalne komórki blastyczne, które zajęły szpik. Przestał on wytwarzać zdrowe komórki. Atak komórek nowotworowych wywołał anemię i bladość Margaridy. Z kolei inwazja białych ciałek krwi spowodowała infekcję, ponieważ organizm stracił odporność. Atak na płytki krwi doprowadził do krwawień z nosa, ponieważ to właśnie płytki krwi są odpowiedzialne za jej krzepnięcie. Bez nich nie dochodzi do krzepnięcia. Czerwone ciała dostarczają komórkom tlen i zabierają z tkanek dwutlenek węgla do płuc, skąd i zostaje on wydalony. Niedobór czerwonych krwinek powoduje, że komórki nie otrzymują wystarczającej ilości tlenu i przetrzymują za długo dwutlenek węgla. Jest to bardzo niebezpieczne.

— I mówi pani, że Margarida ma ostrą białaczkę? — zapytał Tomás, przerywając wywód pani doktor.

— Ostrą białaczkę szpikową — uściśliła. — Widzi pan, istnieje wiele rodzajów leukemii. Są przewlekłe, które ciągną się latami dzięki częściovemu dojrzewaniu komórek, oraz ostre, które występują nagle i są bardzo niebezpieczne, ponieważ komórki przestają dojrzewać. Wasza córka ma ostrą białaczkę. — Podniosła dwa palce. — Występuje ona w dwóch dominujących typach: limfatycznym i szpikowym. U dzieci

najczęściej spotyka się ostrą białaczkę limfatyczną, podczas gdy u dorosłych zauważa się tendencję do ostrej białaczki szpikowej. W tej ostatniej, która nas niepokoi, wyróżnia się liczne podtypy. Istnieje leukemia promielocytyczna, mielomonocytyczna, monocytyczna, erytrocytyczna, megakariocytyczna i mieloblastyczna. Margarida ma tę ostatnią, mieloblastyczną, która występuje relatywnie często u dzieci z trisomią dwadzieścia jeden i polega na niekontrolowanym rozroście mieloblastów, czyli niedojrzałych komórek, które są początkowym stadiem rozwoju leukocytów. — Spojrzała na wynik punkcji. — Proszę zauważyć, że Margarida ma dwieście pięćdziesiąt tysięcy mieloblastów na centymetr sześcienny, podczas gdy powinna mieć maksymalnie dziesięć tysięcy.

— Pani doktor powiedziała, że ten typ białaczki jest niebezpieczny. Jak niebezpieczny?

— Może doprowadzić do śmierci.

— W jakim czasie?

— Kilku dni.

Rodzice patrzyli na lekarkę. Słyszeli i nie wierzyli własnym uszom.

— W ciągu kilku dni?

— Tak.

Constanța podniosła dłonie do ust, a oczy jej się zaszkliły.

— Ale czy jest coś, co moglibyśmy zrobić? — zapytał przerażony ojciec.

— Oczywiście, że jest. Zaczniemy natychmiast chemioterapię i spróbujemy ustabilizować sytuację.

Tomás i Constanța zobaczyli światło nadziei.

— I... to ją wyleczy?

— Przy odrobinie szczęścia...

— Co pani chce przez to powiedzieć?

— Moim obowiązkiem jest przedstawienie wam rzeczywistego stanu zdrowia waszej córki. Tym samym nie mogę ukrywać faktu, iż w takich wypadkach współczynnik śmiertelności jest wysoki.

Spojrzeni na siebie — koszmar okazał się o wiele straszniejszy, niż tego oczekiwali. Oboje mieli pełną świadomość, że ich córka, z problemami kardiologicznymi nękającymi ją od urodzenia, żyła na skraju

przepaści. W żadnym wypadku nie byli jednak przygotowani na to, że mogą ją tak nagle stracić, tym bardziej z powodu choroby niemającej nic wspólnego z trudnościami, do których byli przyzwyczajeni. Teraz wszystko wydawało im się przypadkowe i niesprawiedliwe. Życie ich dziecka zależało od okrutnego kaprysu przypadku, jak gdyby przeznaczenie zależało od losowej gry w kości, gry nierównych szans. Ewentualność śmierci stawała się surrealistycznie realna, namacalna i groźna.

— Pani doktor, jak wysoki jest współczynnik śmiertelności? — mruknął Tomás, przerażony samym pytaniem i lękający się odpowiedzi.

— Obawiam się, że globalny współczynnik przeżywalności ostrej białaczki limfatycznej oscyluje pomiędzy trzydziestoma pięcioma a sześćdziesięcioma procentami. — Lekarka ponownie westchnęła, zasmucona złymi wiadomościami, które przekazywała. — Musicie być silni i przygotowani na najgorsze. Trzeba sobie uświadomić, że taki typ białaczki zabija jedną osobę na dwie.

Taka informacja załamała Constanę i Tomasa. Stan córki był o wiele poważniejszy, niż kiedykolwiek mogli to sobie wyobrazić. Mimo wszystko w obecności Margaridy silili się na pozytywne nastawienie, próbując zachęcić ją do agresywnej terapii, której została natychmiast poddana.

Medycy podali jej silną dawkę polichemioterapii złożoną z różnych leków, które miały przywrócić kontrolę nad problemami braku odporności i krzepliwości krwi. Przeprowadzono punkcję krzyżową w celu pobrania płynu do analizy cytologicznej oraz podania zastrzyków bezpośrednio do szpiku kostnego. Idea była taka, by całkowicie zniszczyć komórki nowotworowe i spróbować zmusić szpik do wznowienia produkcji zdrowych komórek. Założono jej także wenflon na żyłę głównej, tak aby uniknąć kolejnych bolesnych punkcji przy podawaniu leków. Przeprowadzono również wielokrotną transfuzję krwi.

###

Po upływie pewnego czasu Margarida straciła wszystkie włosy i wydawało się, że schudła. Mimo to polichemioterapia zaczęła przynosić rezultaty. W miarę przeprowadzania badań kontrolnych okazywało się, że liczba blastów drastycznie się zmniejszała. Kiedy stało

się jasne, że stan córki wkrótce się ustabilizuje, doktor Tulipa przeprowadziła kolejną rozmowę z Tomásem i Constançą.

— Przewiduję, że Margarida wejdzie w stan remisji w przyszłym tygodniu — oznajmiła.

Rodzice spojrzeli na nią z nieufnością, obawiając się, że to nowe słowo szykuje kolejną katastrofę.

— Co pani doktor chce przez to powiedzieć?

— To, że liczba limfocytów wróci do normy — wyjaśniła. — Ale według mnie sytuacja nadal będzie niepewna, a remisja tymczasowa. Dlatego widzę tylko jeden sposób na uratowanie waszej córki.

— Jaki?

— Przeszczep szpiku kostnego.

— A czy to jest możliwe?

— Tak.

— W Portugalii?

— Tak.

Rodzice spojrzeli na siebie, jak gdyby chcieli dojść do porozumienia, po czym ponownie popatrzeni na lekarzkę.

— Więc na co czekamy? Proszę podjąć stosowne kroki.

Tulipa zdjęła okulary i potarła oczy koniuszkami palców. Czują zmęczenie.

— Istnieje pewien problem.

Zapanowało milczenie.

— Jaki problem, pani doktor? — wyszeptał w końcu Tomás.

— Nasze oddziały przeszczepów są zawałone pracą. Operacja Margaridy byłaby możliwa dopiero za miesiąc.

— Tak?

— Nie wiem, czy ona wytrzyma cały miesiąc. Zdaniem moich kolegów, tak. Ja mam jednak co do tego wątpliwości.

— Uważa pani, że Margarida nie może tyle czekać, prawda?

— Móc, może. Ale to ryzyko. — Lekarka włożyła okulary i spojrzała na ojca dziecka. — Czy chce pan ryzykować życie swojej córki?

— Nie. W żadnym wypadku.

— Pozostaje nam więc tylko jedna możliwość. Margarida będzie musiała być operowana za granicą.

— Dobrze, pani doktor.

— Ale to droga operacja.

— Zawsze słyszałem, że to państwo płaci.

— Tak, to prawda. Jednak nie w tym wypadku. Jeżeli istnieje możliwość przeprowadzenia takiej operacji w Portugalii i nie jest to przypadek wymagający natychmiastowej interwencji, państwo wychodzi z założenia, że nie musi płacić za zabiegi przeprowadzone za granicą.

— Ale czy to nie jest przypadek wymagający natychmiastowej interwencji?

— W mojej opinii tak. Ale nie w opinii moich kolegów. Niestety, to ich zdanie się liczy i dlatego państwo tego nie zasponsoruje.

— Porozmawiam z nimi.

— Proszę bardzo, ale straci pan cenny czas. Na pisaniu podań i wypełnianiu formularzy mijać będą godziny. Ten czas to luksus, na który pana córka nie może sobie pozwolić.

— Więc my za to zapłacimy.

— To kosztowne.

— Ile?

— Właśnie zrobiłam rozeznanie i znalazłam szpital pediatryczny w Londynie, który gotów jest zoperować Margaridę w przyszłym tygodniu. Wysłałam im informacje genetyczne o chromosomie szóstym malej. Wykonali badanie histokompatybilności, które pozwala im na znalezienie odpowiedniego dawcy. Bezpośrednio po tym, jak dziewczynka wejdzie w stan remisji, co, jak przewiduję, nastąpi w przyszłym tygodniu, będzie można ją przetransportować do Londynu i natychmiast zoperować.

— Ale ile to kosztuje? — nalegał ojciec dziecka.

— Koszty transplantacji plus pobyt w szpitalu, podróże i hotel dla rodziców, wszystko to wyniesie około pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

— Ile?

— Dziesięć tysięcy *contos**.

* *Conto* — tysiąc sztuków, l. mn. *contos*. Dawna waluta Portugalii.

Tomás opuścił głowę, przybity i bezradny.

— Nie mamy tyłu pieniędzy.

Lekarka oparła się o poręcz krzesła. Wyglądała na zrezygnowaną.

— Więc pozostaje nam tylko się modlić — podsumowała. — Modlić się o to, by moi koledzy mieli rację i by Margarida wytrzymała jeszcze miesiąc.

###

Turkusowy błękit basenu połyskiwał w słońcu spokojnie i zachęcająco, łagodząc zieleń otaczającą stoliki Pavilhão — restauracji na wolnym powietrzu w hotelu Da Lapa. Ciepłe, wspaniałe światło zalewało niebo o typowej dla pory wiosennej barwie głębokiego, ciemnego błękitu. Dzień wstał tak promienny, że Nelson Moliarti wybrał ogródek restauracyjny na miejsce pilnego spotkania, o które prosił profesor Noronha. Historyk przeszedł przez ogród i natknął się na Amerykanina ubranego w perfekcyjnie odprasowane, kremowe spodnie oraz żółtą koszulkę polo. Skóra na jego przedramionach była już lekko opalona. Siedział przy stoliku pod białym parasolem i delektował się sokiem ze świeżych pomarańczy.

— Nie wygląda pan dobrze — skomentował, przyglądając się pobladłej twarzy i workom pod oczami Tomasa.

— Chodzi o moją córkę — wyjaśnił Noronha. Usiadł obok Nelsona i spojrzał w przestrzeń. — Jest bardzo poważnie chora.

— Ach tak! — wykrzyknął Moliarti i opuścił wzrok. — Bardzo mi przykro. To coś rzeczywiście poważnego?

— Tak, bardzo.

Do stolika podszedł kelner z notatnikiem w dłoni.

— Czy pan sobie czegoś życzy?

— Czy mają państwo zieloną herbatę?

— Naturalnie, że tak. A jaki gatunek panu podać?

— Nie wiem. Jakikolwiek.

— Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, przyniosę chińską *Ding Gu Da Fang*. To jasna, mocno aromatyczna herbata.

— Może być.

Kelner oddalił się i obaj mężczyźni przy stoliku pozostali sami, chroniąc się pod parasolem. Żaden z nich nie chciał podjąć rozmowy. Przez długą chwilę obserwowali chudą dziewczynę o czarnych włosach, skórze koloru pszenicy i długich nogach. Na szczupłej twarzy miała wielkie słoneczne okulary. Przechadzała się brzegiem basenu w

czerwonym bikini i z przewieszonym przez ramię ręcznikiem. Rzuciła go na leżak, zdjęła okulary i leniwie rozłożyła się twarzą do słońca, oddając się czystej przyjemności kogoś, kto żyje bez zmartwień.

— Potrzebuję pieniędzy — powiedział w końcu Tomás, przerywając milczenie.

Moliarti wypił łyk soku.

— Ile?

— Dużo.

— Kiedy?

— Teraz. Moja córka jest bardzo, bardzo poważnie chora. Konieczna jest natychmiastowa operacja za granicą. Potrzebuję pieniędzy.

Nelson westchnął.

— Jak panu wiadomo, mamy dla pana honorarium w wysokości pół miliona dolarów. Ale pod jednym warunkiem.

— Wiem.

— Czy jest pan skłonny podpisać umowę o poufności?

Noronha utkwiał w Moliartim pełen furii, a jednocześnie rezygnacji wzrok.

— A czy mam wybór? Istnieje jakaś alternatywa?

Amerikanin wzruszył ramionami.

— To pan decyduje.

— To niech pan mi pokaże ten parszywy kontrakt i skończmy z tą błazenadą.

Przedstawiciel fundacji pochylił się i podniósł stojącą na ziemi niewielką teczkę. Położył ją na stole i otworzył, demonstrując dokument prawny.

— Kiedy pan zadzwonił, domyśliłem się, że będzie pan chciał podpisać — powiedział. — Umowa jest tutaj.

— Niech mi pan to przeczyta.

Tekst zredagowano po angielsku. Moliarti przeczytał go głośno od góry do dołu. Była to umowa pomiędzy Tomásem Noronhą a American History Foundation, w której fundacja zobowiązywała się do wypłacenia historykowi pięciuset tysięcy dolarów w zamian za obietnicę utrzymania w tajemnicy badań, które profesor przeprowadził na usługi tejże organizacji. Dokument był na tyle szczegółowy, że

wspominał różne formy publikacji. Zakazywał rozpowszechniania odkryć w artykułach, esejach, wywiadach, a nawet na konferencjach prasowych. Nazwiska związanych ze sprawą osób także nigdy nie mogły być ujawnione. Umowa przewidywała również karę w wypadku pogwałcenia jej punktów w wysokości podwójnej sumy, jaką fundacja płaciła za poufność. Inaczej mówiąc, przekazywano Tomásowi pół miliona dolarów nagrody za jego usługi. Jeżeli jednak historyk rozpowszechniłby wyniki badań środkami zabronionymi, przewidzianymi warunkami umowy, będzie musiał zwrócić otrzymaną sumę i dodatkowo zapłacić jej równowartość jako odszkodowanie, co stanowiłoby łączną kwotę miliona dolarów. Był to dokument obwarowany ze wszystkich stron.

— Gdzie mam podpisać?

— Tutaj. — Nelson wskazał na pozostawione miejsce.

Podał Tomásowi długopis, a ten podpisał oba egzemplarze — jeden dla fundacji, a drugi dla siebie. Oddał długopis i schował swoją umowę do teczki.

— Brakuje tylko czeku.

Moliarti wyjął książeczkę czekową z portfela i zaczął wypełniać blankiet czeku.

— Pół miliona dolarów, co? Będzie pan bogaty. — Uśmiechnął się.

— Będzie pan mógł zapłacić za leczenie córki i odzyskać żonę...

Noronha spojrział na niego pytająco.

— Moją żonę?

— Tak. Będzie pan mógł ją odzyskać, prawda? Z taką kasą...

— Skąd pan wie, że jestem w separacji?

Amerikanin przestał pisać, zawiesił długopis i spojrział na niego zażenowany.

— Ee... sam pan mi powiedział.

— Wcale nie powiedziałem. — Ton jego głosu stał się bardziej agresywny. — Skąd pan o tym wiedział?

— Ee... słyszałem o tym...

— Od kogo? Kto panu o tym opowiadał?

— Nie... nie pamiętam. Jasny gwint, nie musi pan się wściekać...

— Niech mi pan tu nie wciska kitu. Skąd pan wiedział, że jestem w separacji z żoną?

- Ee... gdzieś to słyszałem.
- Kłamie pan. Ale nie ruszę się stąd, póki mi pan nie wyjaśni wszystkiego. Skąd pan wiedział, że jestem w separacji z żoną?
- Och, nie wiem. To nie ma znaczenia, prawda?
- Szpiegujecie mnie?
- Do jasnej cholery! „Szpiegujecie” to mocno powiedziane! Powiedzmy, że trzymaliśmy rękę na pulsie informacji.
- Co?
- Nieważne.
- Co? — Tomás niemal krzyczał.

Ludzie siedzący wokół obrócili się w ich stronę, zaniepokojeni agresywnym tonem rozmowy. Moliarti dostrzegł to i gestem dał profesorowi do zrozumienia, by się uspokoił.

- Tom, niech pan się nie unosi.
- Nie mam zamiaru się unosić, do diabła! Nie ruszę się stąd, póki się nie dowiem.

Amerykanin westchnął. Noronha był na granicy panowania nad sobą i nie było sposobu, by go uspokoić. Istniało tylko jedno wyjście.

- Okay, okay. Powiem panu wszystko, ale musi mi pan coś obiecać, dobrze?
- Co znowu obiecać?
- To, że nie wybuchnie pan, kiedy powiem panu prawdę. Okay?
- To zależy.
- Nie, nie zależy. Powiem panu, pod warunkiem że pan nie wybuchnie. Jeśli to się stanie, niczego nie będę opowiadał. Zrozumiał pan?
- Doskonale.
- Nie wybuchnie pan?
- Nie.
- Ani nie będzie pan potem trąbił wszem wobec, że to ja panu powiedziałem?
- Nie.
- Obiecuję pan?
- Tak. Niech pan mówi.

Moliarti ponownie westchnął głęboko. Wypił jeszcze jeden łyk soku

pomarańczowego. Właśnie w tym momencie pojawił się kelner z zieloną herbatą. Postawił na stole zaparzaczkę oraz porcelanową filiżankę, nalewając do niej przejrzysty, parujący płyn.

— Herbata *Ding Gu Da Fang* — oznajmił, po czym zniknął.

Tomás wziął łyk gorącego naparu. Miał lekko pikantny i owocowy posmak, bardzo przyjemny.

— To było dla nas bardzo ważne przedsięwzięcie — zaczął wyjaśniać Nelson. — Badania profesora Toscano, początkowo ukierunkowane na odkrycie Brazylii przed Cabralem, naprowadziły go przypadkowo na nieznany dokument.

— Jaki dokument?

— Przypuszczalnie ten, który pan znalazł.

— „Kodeks 632”

— Właśnie.

— Ten, który niedawno sfalszowaliście, organizując napad na Bibliotekę Narodową?

— Nie wiem, o czym pan mówi.

— Doskonale pan wie. Niech pan nie udaje przede mną aniołka.

— Chce pan usłyszeć tę historię czy nie?

— Niech pan opowiada.

— Ale bez wybuchów.

— Jestem gotowy na wszystko.

— Dobrze... ee... właśnie z powodu owego znaleziska, o którym profesor nam nie powiedział, rozpoczął on badania w kierunku zupełnie niepożądanym przez fundację. Zamierzał ustalić prawdziwą tożsamość Kolumba. Próbowaliśmy to naprawić, naprowadzając go z powrotem na studia nad Brazylią, ale on się uparł i zaczął wszystko robić potajemnie. W fundacji zapanowała panika. Facet był poza kontrolą. Rozważaliśmy jeszcze możliwość zerwania współpracy, ale to nie przeszkodziłoby mu w kontynuowaniu poszukiwań. Takie odkrycie byłoby nazbyt sensacyjne. Co więcej, pozostawała kwestia dokumentu, o którym nie wiedzieliśmy nic, nawet tego, gdzie był przechowywany. Po śmierci profesora, w mojej opinii w niesłychanie sprzyjających okolicznościach, usiłowaliśmy dowiedzieć się, gdzie ukrył znaleziony dowód. Przetrzęsaliśmy jego dokumenty, ale napotkaliśmy jedynie na jakieś niezrozumiałe szyfry. Stąd wziął się

pomysł zatrudnienia pana. Potrzebowaliśmy kogoś, kto byłby jednocześnie Portugalczykiem, historykiem i kryptoanalitykiem, tak aby potrafił przeniknąć tok myślenia profesora i rozwiązać tajemnicę. Pan był jedyną osobą spełniającą te trzy warunki. Jak już mówiłem, to było dla nas bardzo ważne przedsięwzięcie. W trakcie rekonstrukcji badań oczywiście stało się, że również pan dojdzie do wniosku, jakoby Kolumb nie był Genuńczykiem. Nie mogliśmy pozwolić sobie na ryzyko powtórki tego, co wydarzyło się z profesorem Toscano. Tutaj John wpadł na pewien pomysł. Miał przyjaciół w przedsiębiorstwach naftowych w Angoli i zapytał ich, czy znają jakąś luksusową prostytutkę dobrze znającą portugalski. Zaprezentowali mu oszałamiającą dziewczynę. John natychmiast ją zatrudnił.

Tomás otworzył usta ze zdumienia. Nie wierzył własnym uszom.

— Lena.

— Jej prawdziwe imię to Emma.

— Skurwysyny!

— Obiecał pan, że obędzie się bez wybuchów. — Moliarti zrobił przerwę, patrząc na swojego zbulwersowanego rozmówcę. — Więc jak?

Noronha zrobił wysiłek, by powstrzymać wściekłość. Odetchnął głęboko i spróbował się rozluźnić.

— W porządku. Dalej.

— Musi pan zrozumieć, że dla fundacji było szalenie istotne, by sprawy nie przybrały ponownie złego obrotu. Naprawdę, niesłychanie ważne. W tym celu fundamentalna stała się tak zwana *inside information*. Rozumie pan? Przedstawiał mi pan regularne raporty, ale jaką mieliśmy gwarancję, że mówi pan nam wszystko? — Pozostawił to pytanie przez chwilę w zawieszeniu, by Tomás je przetrawił. — Naszą gwarancją była Emma. Wiele lat mieszkała w Angoli, gdzie utrzymywała kontakty z zagranicznymi grubymi rybami przemysłu wydobywczego, bardzo bogatymi ludźmi, którzy wiedli życie w Kabinzie czy Luandzie. Była luksusową kurtyzaną. Odmawiała klientom, którzy jej się nie podobali, niezależnie od tego, kim byli. Emma przybrała pseudonim Rebecca i udawała Amerykankę, chociaż tak naprawdę urodziła się w Szwecji. Była nimfomanką i świadczyła usługi dla przyjemności, a nie z konieczności. Pokazaliśmy jej pańskie zdjęcie, spodobał jej się pan i zgodziła się na współpracę.

Poświęciła tydzień na naukę materiału, tak by się stać wiarygodną studentką, i jeszcze zanim ją zatrudniliśmy, udała się do Lizbony. Złapała pana na wędkę i śledziła przebieg badań, przekazując nam cotygodniowe raporty z ich postępów.

— Ale ja z nią zerwałem.

— Tak, to właśnie stanowiło największy problem — zauważył Moliarti, kiwając twierdząco głową. — Do diabła! Trzeba mieć naprawdę *big balls*, żeby odprawić z kwitkiem takiego kociaka! Podziwiałem pana, wie pan? Miliony mężczyzn ślinią się na widok takiej laleczki, autentycznej bomby, a pan rozprawia się z nią bez zastanowienia. — Przyłożył do czoła dwa palce. — To jest coś! — Szeroko rozpostarł dłonie. — Był to dla nas taki problem, że głowa mała. Straciliśmy najbardziej wiarygodne źródło informacji. Wtedy właśnie John wpadł na pomysł, by przedstawić ją pana żonie. Istniało prawdopodobieństwo, że po tym, jak żona pana rzuci, wróci pan do Emmy. Jej się to nie spodobało i wyraziła sprzeciw, ale jest, jak jest, rozumie pan? John wyjaśnił jej pewne sprawy i musiała się zgodzić, aby powiedzieć wszystko pana żonie. Jak było to przewidziane, kobieta spakowała manatki, a my czekaliśmy, aż pan wezwie Emmę. Kazaliśmy jej pojawiać się na zajęciach, ale pan, jak widać, nie zmienił zdania.

— A gdzie ona teraz jest?

— Odesłaliśmy ją. Nie wiem, gdzie się teraz znajduje. Nieważne.

Tomás westchnął głęboko. Był przybity, a cała ta historia zaczynała go mdlić.

— To była brudna robota? Chwył poniżej pasa...

Moliarti pochylił głowę i powrócił do wypełniania czeku.

— Tak — przyznał. — To nie był nasz najlepszy czas, nie. Ale czego pan oczekuje? Takie jest życie.

Zakończył wypisywanie czeku i wręczył go Tomásowi. Widniało na nim sześć cyfr nakreślonych niebieskim atramentem — piątka i pięć zer. Pół miliona dolarów.

Cena milczenia.

XVIII

Po lewej pojawiła się neoklasycystyczna fasada British Museum, imponująca i majestatyczna, jak gdyby było to najbardziej imperialne ze wszystkich muzeów świata. Duża czarna taksówka podążała wąską i przytulną Great Russell Street, a następnie skręciła w Montague, zbliżając się do swojego celu. Margarida siedziała przyklejona do okna, z nosem przy szybie, malując na niej plamy pary. Wydawało się, że nie zwracała uwagi na ogromny niebieski beret, który chronił jej wyłysiałą głowę. Wyglądało to tak, jakby świadomie ignorowała to, co się z nią działo, i wybierała zamiast tego wielki spektakl świata. Z zainteresowaniem spoglądała na dziwne ulice, które dla niej stanowiły chłodną, szarą egzotykę. Czowała jednak w tym mieście niejaką gościnność, z jego uporządkowaną przestrzenią, eleganckimi konturami budynków, regularnie posadzonymi drzewami i dywanem liści na ziemi, a także z jego dostojnymi mieszkańcami przechadzającymi się po chodnikach w swoich kremowych płaszczach i kołyszącymi się parasolami.

Mżyło, kiedy Tomás otworzył drzwi taksówki, podziwiając widniejący przed nim olbrzymi budynek. Russell Square NHS Hospital for Children był ponad stuletnim, rozległym kompleksem szpitalnym, pełnym oddziałów rozsianych na czterech piętrach swoich licznych skrzydeł. Margarida wysiadła o własnych siłach. Matka trzymała ją za rękę, podczas gdy ojciec płacił za kurs i odbierał bagaże. Weszli do środka i skierowali się do recepcji, gdzie obsługa sprawdziła w

komputerze rezerwację wykonaną w Lizbonie. Kiedy Constança wypełniała kartę rejestracyjną córki, Tomás podpisał formularz pod tytułem *Undertaking to Pay* i wystawił czek w wysokości czterdziestu pięciu tysięcy dolarów, zgodnie z przewidywanym kosztem leczenia.

— Jeżeli koszty przekroczą wstępne oszacowania, będzie pan musiał dopłacić różnicę — ostrzegła go pracownica o bardzo profesjonalnym wyglądzie, przypominająca agentkę ubezpieczeniową. Wyglądało to tak jak zwykła transakcja handlowa. — Czy pan mnie rozumie?

— Tak.

— Trzy dni po zakończeniu leczenia otrzyma pan ostateczny rachunek, który należy uiszczyć w terminie dwudziestu ośmiu dni.

Obejmując teraz funkcję recepcjonistki w hotelu, Angielka udzieliła im informacji, wskazując na oddział i pokój, w którym miała się zatrzymać Margarida. Wsiedli do windy i wjechali na drugie piętro. Wyszli do małego holu i zobaczyli tablicę wskazującą w trzech kierunkach. Wybrali ten, który prowadził do Grail Ward, gdzie ich córka miała być poddana operacji. Tomás nie mógł powstrzymać się od uśmiechu na widok nazwy oddziału, odwołującej się do Graala — kielicha, w którym zebrano krew Chrystusa dającą życie wieczne każdemu, kto z niego pił. Co za idealna nazwa dla oddziału chorób krwi, którego celem było przywracanie nadziei życia, pomyślał. Po obu stronach cichego korytarza Grail Ward, na oddziale hematologii, były drzwi prowadzące do indywidualnych sal. Skierowali się do dyżurnej pielęgniarki, która zaprowadziła ich na miejsce. W pokoju Margaridy stały dwa łóżka, jedno dla pacjentki, a drugie dla matki. Oddzielał je stolik nocny z lampką i naczyniem, w którym pływały liczne, zanurzone w wodzie, fioletowe płatki.

— A to co, mamó? — dopytywała się Margarida, wskazując na kwiaty.

— To fiołki.

— Opowiedz mi bajkę — poprosiła mała, siadając wygodnie na łóżku z wyrazem oczekiwania na twarzy.

Tomás postawił bagaże na podłodze, a Constança usiadła obok córki.

— Dawno, dawno temu żyła sobie śliczna dziewczynka o imieniu Io. Była taka ładna, że wielki bóg grecki, Zeus, zakochał się w niej.

Ale żonie Zeusa, która nazywała się Hera, to się nie spodobało i z zazdrości zapytała go, dlaczego poświęcał dziewczynie tyle uwagi. Zeus powiedział, że to wszystko nie była prawda, i aby zatuszować sprawę, zamienił piękną Io w jałówkę i dał jej pole smakowitych purpurowych fiołków, aby mogła się paść. Hera jednak coś podejrzewała i wysłała tam zwierzę, aby jej dokuczyć. Zrozpaczona Io rzuciła się do morza, które dzisiaj nazywamy Jońskim przez pamięć o niej. Hera przekonała dziewczynę, aby nigdy więcej nie spotykała się z Zeusem, i w zamian przywróciła jej ludzką postać.

— Aha — mruknęła Margarida. — A co znaczą te kwiatki?

— Słowo „fiołek” pochodzi od imienia Io. Te kwiaty symbolizują niewinną miłość.

— Dlaczego?

— Dlatego, że Io była niewinna. To nie była jej wina, że podobała się Zeusowi, jak myślisz?

— Uhm-uhm — potwierdziła mała, kiwając głową.

Pojawiła się pielęgniarka, która przyszła, by wypełnić wstępny kwestionariusz. Była kobietą w średnim wieku, z włosami zebranymi do tyłu, ubrana w biały i jasnoniebieski fartuch. Nazywała się Margaret, ale poprosiła, by zwracać się do niej Maggy. Oparła się o wezglowie łóżka Margaridy i zadała kilka pytań na temat przyzwyczajęń oraz rutyny dziecka, jego preferencji kulinarnych oraz historii klinicznej. Kazała małej stanąć na wadze, zmierzyła jej wzrost, a także temperaturę, puls, rytm oddechu oraz ciśnienie tętnicze. Następnie zaprowadziła ją do łazienki i nie wyszła stamtąd, póki nie udało jej się zgromadzić próbek moczu i kału, do których dołączyła także próbki wydzieliny z nosa oraz śliny. Wszystko to natychmiast zabrała do laboratorium.

Rodzice zajęli się układaniem rzeczy. Dziewczynka nie miała z sobą wielu ubrań— jedynie trzy bluzki, jedną parę spodni, sweter, spódniczkę i dwie piżamy, nie licząc bielizny. Przedmioty higieny osobistej zostawiono w łazience, a jej ulubioną rudą lalkę, która płakała przy pochylaniu, posadzono na łóżku. W szufladach znalazły się także ubrania Constaney, która miała spać obok przez dwa dni pozostające do operacji.

Do pokoju wszedł mężczyzna w białym fartuchu, łysy na czubku głowy i z brzuszkiem zdradzającym zamiłowanie do piwa.

— *Hello!* — powitał ich, wyciągając rękę. — Jestem doktor Stephen Penrose i to ja będę operował waszą córkę.

Przywitali się, a lekarz natychmiast ponownie zbadał dziecko. Zadał kolejne pytania dotyczące jej historii klinicznej oraz zawołał pielęgniarkę, by pobrała dziewczynce próbkę szpiku w celu wykonania mielogramu. Chciał potwierdzić wszystkie dane dostarczone z Lizbony. Maggy wzięła dziewczynkę za rękę. Constança przygotowała się, by im towarzyszyć, ale lekarz dał ręką znak, prosząc ją, by pozostała w pokoju.

— Myślę, że to dobry moment, by wyjaśnić państwu wszystkie ewentualne wątpliwości — dodał. — Wychodzę z założenia, że znają państwo szczegóły operacji...

— Nie najlepiej — przyznał Tomás.

Lekarz usiadł na łóżku Margaridy.

— Polega ona na wymianie szpiku kostnego chorej. Wyeliminujemy wszystkie komórki, które zawiera, i wstrzykniemy jej komórki zdrowe, tak aby powstał nowy szpik. To transplantacja alogeniczna, z uwagi na to, że pochodzą one od dawcy o sprawdzonej kompatybilności.

— Kto to jest?

— To jakiś *chap*, który zarobi parę groszy za to, że zabierzemy mu dziesięć procent szpiku. — Doktor Penrose się uśmiechnął. — Nie będzie to miało wpływu na jego zdrowie, a w zamian za to dostanie kilka funtów na piwo w pubie.

— I te dziesięć procent otrzyma nasza Margarida?

— Tak. Szpik waszej córki zostanie całkowicie zniszczony i otrzyma ona nowy na zasadzie zwykłej transfuzji krwi. Nowy szpik jest pełen komórek rozrodczych, które po znalezieniu się w obiegu krwi zostaną przetransportowane do kości i wyprodukują nowy szpik.

— To takie proste?

— Technika sama w sobie jest prosta, ale cały proces ogromnie skomplikowany i bardzo ryzykowny. Cykl wytwarzania nowego szpiku potrwa co najmniej dwa tygodnie i to właśnie będzie okres krytyczny. — Lekarz zmienił ton głosu, jakby chciał podkreślić wagę swoich słów. — W ciągu tych dwóch tygodni szpik Margaridy nie będzie wytwarzał ani białych ciałek krwi, ani czerwonych, ani płytek

w odpowiedniej liczbie. Oznacza to zwiększoną podatność na krwotoki i infekcje. Jeżeli waszą córkę zaatakują bakterie, jej organizm nie wytworzy wystarczającej liczby leukocytów, by je zwalczyć. — Podniósł brew dla podkreślenia tej informacji. — Czy państwo to zrozumieli? Będzie bardzo słaba.

Tomás potarł czoło, rozważając problem.

— Ale w jaki sposób zdoła pan uniemożliwić dostęp bakterii do jej organizmu?

— Umieszczając ją w sterylnej izolatce. To jedyne, co możemy zrobić.

— A jeżeli nawet wtedy dojdzie do infekcji?

— Nie będzie miała środków obronnych.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że może tego nie przeżyć.

Tomás i Constança poczuli przytłaczający ich ramiona ciężar. W Lizbonie uświadomiono im ryzyko operacji. Mimo to zdawali sobie sprawę, że nieprzeprowadzenie przeszczepu to jeszcze bardziej ryzykowny wariant. Nie była to żadna pociecha. Im bardziej rozsądek podpowiadał im, że to właściwa droga, tym bardziej powątpiewało serce, które chciało to odłożyć na później, zapomnieć o wszystkim, udać, że problem nie istniał, odrzucić go w zapomniany kąt świadomości.

— Ale mam i dobrą wiadomość — dodał lekarz, pojmując, że konieczny był jakiś pozytywny akcent, nadzieja. — Ta dobra wiadomość polega na tym, że po zakończeniu owych dwóch krytycznych tygodni nowy szpik zacznie produkować normalne komórki w dużej ilości. W ten sposób Margarida zostanie wyleczona z białaczki. Naturalnie będą konieczne terapia towarzysząca i nadzór, ale o tym pomówimy później.

Perspektywa wyleczenia podniosła rodziców na duchu. Czuli się jak na górskiej kolejce. Emocje, raz na górze, raz na dole. Nadzieję zastępowała rozpacz, potem znowu wracała nadzieja w diabelskiej kolejności, zmuszając ich do przeżywania jednocześnie obu przeciwstawnych sobie odczuć.

Nadzieja i rozpacz.

###

Trzeciego dnia o siódmej trzydzieści pielęgniarka weszła do pokoju i podała dziewczynce środek uspokajający. Constança i Tomás spędzili noc bez zmrużenia oka, siedząc na łóżku córki i kontemplując jej spokojny sen. Żywili nadzieję, że ktoś, kto tak spał, nie może umrzeć.

Przybycie pielęgniarki przywróciło ich do rzeczywistości. Constança spojrzała na Maggy i niechcący ta sytuacja skojarzyła jej się ze skazanym na śmierć, po którego przychodzą strażnicy, by zabrać go na egzekucję. Musiała narzucić sobie myśl, że kobieta przyszła nie po to, aby zabić córkę, ale by ją uratować. To po to, by ją uratować, powtórzyła sobie w duchu, szukając w tych zbawiennych słowach otuchy.

To po to, by ją uratować.

Położono dziewczynkę na noszach i zawieszono korytarzem Grail Ward na salę operacyjną. Mała była przytomna, ale śpiąca.

— Będzie mi się coś śniło, mamó? — wymruczała zaspana.

— Tak, córeczko. Kolorowe sny.

— Kololowe — powtórzyła, nucąc.

Przy wejściu na salę spotkali doktora Penrose'a. Z trudem go rozpoznali, ponieważ miał na głowie czepek, a na twarzy maskę.

— Proszę się nie martwić — powiedział przytłumionym głosem. — Wszystko będzie dobrze.

Skrzydła drzwi otworzyły się i łóżko na kółkach zniknęło wewnątrz, popychane przez Maggy, z lekarzem u boku. Drzwi się zamknęły, a rodzice przez dłuższą chwilę spoglądali na nie, czując, że odebrano im dziecko. Gdy powrócili wreszcie do pokoju, zajęli się pakowaniem. Córka już nie miała tam wrócić po operacji. Starali się robić to bez pośpiechu, aby przedłużyć tę czynność. Czas jednak mijał wolno i w końcu usiedli na łóżku z gotowymi bagażami, pełni niepokoju i niepewności. W myślach krążyli po sali operacyjnej, wyobrażając sobie przeprowadzany przeszczep.

###

Dwie godziny później tortury się zakończyły. Przed nimi pojawił się Penrose, już bez maski i rozpromieniony, z przekonującym uśmiechem, który z miejsca ulżył rodzicom.

— Wszystko poszło dobrze — oznajmił. — Przeszczep został wykonany zgodnie z planem i obyło się bez komplikacji.

Ponownie znaleźli się na emocjonalnej huśtawce. Tam, gdzie minutę wcześniej dominował niepokój, królowała teraz radość.

— Gdzie jest moja córka? — dopytywała się Constança po opanowaniu nieodpartej pokusy ucałowania lekarza.

— Przetransportowano ją do izolatki po drugiej stronie skrzydła.

— Czy możemy ją zobaczyć?

Doktor wykonał rękami gest proszący o cierpliwość.

— Na razie jeszcze nie. Teraz śpi i lepiej pozwolić jej odpocząć.

— Ale czy będziemy mogli zobaczyć ją jeszcze w tym tygodniu?

Penrose się roześmiał.

— Już dzisiaj po południu, proszę się nie martwić. Na waszym miejscu poszedłbym na spacer, gdzieś na obiad i wrócił tutaj około trzeciej. Do tego czasu już się obudzi i będzie mogła przyjmować wizyty.

Wyszli ze szpitala uniesieni przyjemnym poczuciem budzącej się nadziei, która dodawała im skrzydeł, a łagodny wiosenny wiatr sprzyjał temu nastrojowi. Lekarz powiedział, że wszystko poszło dobrze. Wszystko przebiegło pomyślnie. Co za cudowne, dobre słowa, tak zbawienne. Nigdy nie wyobrażali sobie, że proste zdanie mogło mieć w sobie taką moc, jak gdyby te trzy wyrazy były magicznym zaklęciem, zdolnym do zmiany rzeczywistości i spowodowania szczęśliwego końca.

Wszystko poszło dobrze.

Niemal w podskokach przechadzali się ulicami, śmiejąc się z niczego. Kolory wydawały im się bardziej intensywne, a powietrze czystsze. Poszli Southampton Road aż do Holborn, gdzie skręcili w prawo, w kierunku New Oxford Street. Przekroczyli duże skrzyżowanie, Tottenham Court Road z Charing Cross, i zanurzyli się w ruchliwej, niespokojnej Oxford Street, wypełniając sobie czas oglądaniem wystaw i obserwowaniem przepływu tłumu wypełniającego chodnik. Gdzieś w okolicach Wardour Street poczuli głód i skręcili w Soho, gdzie zjedli obiad w postaci *teriyaki* w koreańskiej restauracji. Idąc z Soho do Leicester Square, trawili posiłek, po czym skręcili w Covent

Garden i doszli do Kingsway. Kiedy znaleźli się z powrotem na Southampton Road, a potem na Russel Square, dochodziła piętnasta.

###

Pielęgniarka Maggy oznajmiła im, że zaprowadzi ich do sali, w której leżała Margarida. Tomás martwił się, by nie przynieść do izolacji bakterii, ale Angielka się uśmiechnęła. Poprosiła, by umyli ręce oraz twarz, i wręczyła im białe fartuchy, rękawiczki oraz maski, które mieli nałożyć przed wizytą.

— Należy trzymać się w pewnej odległości od dziewczynki — poradziła, idąc przed nimi i pokazując im drogę.

— Ale czy nie istnieje ryzyko wtargnięcia bakterii po otwarciu drzwi? — zapytała Constança, zaniepokojona ewentualnym niebezpieczeństwem związanym z wizytą.

— To nie stanowi problemu. Powietrze w izolatce jest sterylne i utrzymywane pod podwyższonym ciśnieniem w taki sposób, że kiedy otwierają się drzwi, powietrze z zewnątrz nie może dostać się do środka.

— A w jaki sposób ona je?

— Normalnie, oczywiście.

— Ale... czy jedzenie nie stanowi zagrożenia infekcją?

— Posiłki również są sterylne.

Doszli do strefy izolacji bloku pooperacyjnego oddziału hematologii. Maggy otworzyła drzwi pokoju.

— To tutaj — oznajmiła.

W środku było chłodno i pachniało dezynfekcją. Margarida leżała w łóżku oparta o poduszkę i paplała coś do swojej rudej lalki. Spojrzała na wejście i uśmiechnęła się na widok rodziców.

— Ceść, co tam? — powitała ich.

Pielęgniarka dała sygnał, by zachowali odległość, więc pozostali w nogach łóżka.

— I co, córeczko, dobrze się czujesz? — zapytała Constança.

— Nie.

— Co się dzieje? Czy coś cię boli?

— Nie.

— No to co?

— Bulcy mi w brzuchu.

Constanța i Tomás się roześmiali.

— Ach, burczy ci w brzuchu? Jeszcze nie dali ci obiadu?

— Dali.

— I dalej jesteś głodna?

— Jestem. Dostałam kulcaka z makalonem.

— Smakowało ci?

— Blee...

— To wszystkiego nie zjadłaś?

— Systko. Ale kcem jesce, jesce jestem głodna.

— Tatuś zaraz poprosi, by przynieśli ci coś jeszcze — wtrącił Tomás. — Ale z ciebie łasuch, prawda? Założę się, że gdyby przyjechała tu ciężarówka pełna jedzenia, wyczyściłabyś wszystko i nadal byś narzekała, że jesteś głodna.

Mała odłożyła lalkę na stolik nocny i wyciągnęła ramiona do rodziców.

— Dajcie mi buziaka, łobuziaki.

— Bardzo bym chciała, córeczko, ale doktor mówi, że nie mogę — argumentowała matka.

— Dlaczego?

— To dlatego, że mam w buzi robaczki, i jeżeli cię pocałuję, to mogą przejść na ciebie.

— Aha — odrzekła Margarida zdziwiona. — Mas robacki w środku?

— Tak.

— Fuj ! — wykrzyknęła córka, robiąc minę pełną obrzydzenia. — Blee...

Pozostali w pokoju, rozmawiając z córeczką. Po upływie godziny wróciła Maggy i poprosiła, by wyszli. Ustalili godzinę codziennych wizyt i pożegnali się z dziewczynką, machając jej i przesyłając całusy.

###

Zawsze kiedy zbliżał się czas wizyty, serce podskakiwało Tomásowi z radości. Pojawiał się w szpitalu pół godziny wcześniej i nerwowo siadał na kanapie w poczekalni, z trudnością poskramiając dręczący go niepokój. Ten niezmienny stan niepewności, przygotowany słabym posmakiem słodczy, mijał nieznacznie, kiedy w

drzwiach pojawiała się Constança, zwykle dziesięć minut przed godziną wizyty. Niecierpliwość zastępowało wtedy drzemiące napięcie, które mu przeszkadzało, ale jednocześnie było pożądane. Stawało się najważniejszym punktem dnia — momentem, dla którego żył. W ten sposób towarzyszył rekonwalescencji córki, która zawsze była serdeczna i dobrze usposobiona, nawet wtedy, kiedy atakowała ją gorączka. Doktor Penrose mówił, że to normalne. Nie można było zaprzeczyć, że wizyta w szpitalu była najprzyjemniejszą chwilą dnia nie tylko z powodu Margaridy.

Była jeszcze Constança.

Ich rozmowy w poczekalni okazały się jednak napięte i urywane, pełne milczącego zażenowania, wstydliwych podtekstów, subtelnych aluzji, dwuznacznych gestów. Trzeciego dnia Tomás złapał się na tym, że przygotowuje uprzednio tematy do rozmowy. Podczas kąpieli czy przelżykając śniadanie, wymyślał sobie scenariusz, notując w pamięci kwestie, które chciał poruszyć podczas oczekiwania na wizytę u córki. Kiedy żona się pojawiała, odtwarzał tę listę niczym uczeń recytujący odpowiedź przy tablicy. Kiedy wyczerpywał się temat, sięgał po następny i tak dalej. Mówili o filmach, o książkach widzianych na wystawach w Charing Cross, o wystawie malarstwa w galerii Tate, o kwiatach w sprzedaży na Covent Garden, o stanie edukacji w Portugalii, o kierunku, w którym zdążał kraj, o poezji i przyjaciółach, o ich wspólnych wspomnieniach.

Czwartego dnia zdobył się na odwagę i postanowił poruszyć kwestię, która najbardziej go dręczyła.

— I jak tam twój przyjaciel? — zapytał, starając się, by zabrzmiało to jak najbardziej naturalnie.

Constança podniosła wzrok, a na jej twarzy pojawił się dyskretny uśmiech. Już od jakiegoś czasu oczekiwała, że rozmowa przyjmie taki obrót. Ważne było, by dokładnie przyjrzeć się twarzy męża, kiedy podejmie tę kwestię. Czy będzie nerwowo? Czy ten temat go niepokoi? Czy będzie zazdrosny? Uważnie przeanalizowała pozornie obojętny wyraz twarzy, spojrzenie i pozę Tomasa. Zastanowiła się nad sposobem, w jaki sformułował pytanie i poczuła wewnątrz przyjemne mrowienie. Wściekł się, pomyślała z satysfakcją. Nie daje tego po sobie poznać, ale ja to widzę z daleka. Nie daje mu to spokoju.

— Kto? Carlos?

— Tak, ten gość — potwierdził mąż, wodząc wzrokiem po sali. — Wszystko u niego w porządku?

Zazdrość go gryzie, pomyślała Constança, z ledwością powstrzymując uśmiech.

— Jakoś u niego leci. Bardzo się podoba mojej mamie. Mówi, że on jest dla mnie stworzony.

— Aha, to świetnie — mruknął Tomás ze źle skrywaną irytacją. — Doskonale.

— A dlaczego pytasz? Co cię to obchodzi?

— Nic a nic. Tak tylko zapytałem.

Tego dnia w sali dla oczekujących zapanowało ciężkie, głuche milczenie. Długo siedzieli bez słowa, przyglądając się ścianom. Toczyła się gra na nerwy, cierpliwość, przewyciężenie urażonej miłości własnej. Nikt nie chciał zacząć i wykonać pierwszego gestu, okazać się słabszym i pokonać własnej dumy. Trzeba było opatrzeć otwarte rany, pozbierać potłuczone skorupy i postarać się posklejać to, co jeszcze można było naprawić.

Nadeszła godzina wizyty, ale udali, że tego nie zauważyli. Nadal siedzieli na kanapie, czekając, aż ta druga osoba ustąpi. W końcu jedno z nich uświadomiło sobie, że ktoś musi dać za wygraną i uczynić pierwszy krok. Przecież po drugiej stronie korytarza czekała na nich Margarida.

— Niekoniecznie podzielam opinię mamy — mruknęła w końcu Constança, zanim wstała, by pójść do córki.

###

Ranek następnego dnia Tomás spędził na zakupach. Wyszedł na miasto z poczuciem rosnącej pewności siebie. Stało się oczywiste, że z czasem wszystko się ułoży. Pomimo kolejnych ataków gorączki Margarida była odporna na uboczne efekty przeszczepu. Constança, chociaż utrzymywała pełen dumy dystans, dawała mu szansę na zbliżenie. Wiedział, że musi postępować z wyczuciem, ale teraz był przekonany, że jeżeli dobrze rozegra swoją partię, być może dojdzie między nimi do zgody.

Jego jedynym zmartwieniem była teraz rekonwalescencja córki. Aby się rozerwać, zdecydował się na przechadzkę po malowniczej Charing Cross, wstępując do księgarń i zaglądając do działu historycznego. Odwiedził Foyle's, Waterstones oraz antykwariaty w poszukiwaniu starożytnych tekstów na temat Środkowego Wschodu, wracając do dawnych planów nauki hebrajskiego i aramejskiego, aby pogłębić horyzonty badawcze.

Na obiad zjadł curry z krewetek w hinduskiej restauracji u wylotu ulicy, przy skrzyżowaniu z Leicester Square, po czym wrócił na Covent Garden. Przeszedł się po rynku i przy straganie z kwiatami kupił zielony bukiet szaławii. Constança powiedziała mu, że ten krzew zawdzięczał swoją nazwę łacińskiemu *salvare*, czyli ratować. Symbolizował życzenia długiego życia i zdrowia — tak odpowiednie dla Margaridy. Potem przez chwilę przyglądał się arlekinowi wyczyniającemu swoje akrobacje pośród leniwego tłumu. Niecierpliwił się jednak, by zobaczyć córkę i żonę. Podążył więc Neal Street, a potem Coptic Street w kierunku szpitala. Znalazł się u wejścia do British Museum i jako że do wizyty brakowało jeszcze półtorej godziny, zdecydował się zajrzeć do środka.

Zbliżył się do głównego wejścia na Great Russell Street i wszedł po zewnętrznych schodach. Część, w której znajdowała się biblioteka starożytna, została zrównana z ziemią, by postawić na jej miejscu środkowe skrzydło o nowoczesnych, awangardowych liniach. Tomás jednak, po uzyskaniu informacji, skręcił od razu w lewo. Przeszedł przez salę z asyryjskimi rzeźbami i wszedł w korytarz ze sztuką egipską — jeden z klejnotów muzeum. Na pierwszym piętrze znajdowały się mumie, nieodmiennie fascynujące zwiedzających. Historyk poszukiwał jednak innego skarbu. Krążąc wokół obelisków i dziwnych posągów Izdy i Amona, zatrzymał się dopiero wtedy, kiedy ujrzał przed sobą ciemny, błyszczący kamień, przedstawiający trzy rodzaje tajemniczych znaków wrytych na gładkiej powierzchni. Były to informacje pozostawione przez dawno minione cywilizacje, przekaz, który odbył podróż w czasie, dotarłszy aż tu i teraz, stając się nośnikiem wieści ze świata, który już nie istniał. Kamień z Rosetty.

Tomás wyszedł z muzeum, kiedy do czasu wizyty brakowało dwudziestu minut. Niewiele później pojawił się przed dyżurną

pielęgniarką w strefie izolacji oddziału hematologii z bukietem szalwii w dłoni. Poprosił o widzenie z Margaridą. Angielka była młodą dziewczyną o ładnych blond włosach, ale dosyć tłustej cerze. Z identyfikatora na jej piersiach wynikało, że nazywała się Candace Tempie. Sprawdziła coś w komputerze i po krótkiej chwili wahania wstała i podeszła do drzwi.

— Proszę za mną — powiedziała, wchodząc w korytarz. — Doktor Penrose chce z panem mówić.

Noronha poszedł za pielęgniarką w kierunku gabinetu lekarza. Dziewczyna była niska i szła szybkim, krótkim krokiem, raczej mało eleganckim. Przystanęła przed drzwiami, zastukała i uchyliła je.

— *Doctor, mister Thomas Norona is here.*

Tomás uśmiechnął się, słysząc tę dziwną wymowę swojego nazwiska.

— *Come in* — odezwał się głos z wewnątrz.

Candace oddaliła się, a Tomás wszedł do gabinetu, uśmiechając się pod nosem. Wciąż myślał o „Thomasie Noronie” — jak wymówiła to pielęgniarka. Zobaczył, jak Penrose podnosi się powoli zza biurka. Miał zasepioną twarz i bardzo poważne spojrzenie.

— Chciał pan ze mną rozmawiać, panie doktorze.

Lekarz zrobił gest w kierunku kanapy i usiadł obok gościa w pochylonej do przodu pozycji, jak gdyby w każdej chwili zamierzał wstać. Westchnął głęboko.

— Obawiam się, że mam dla pana złe wiadomości.

Przygnębiony wyraz twarzy doktora mówił wszystko. Tomás otworzył usta z przerażenia, nogi odmówiły mu posłuszeństwa, a serce łomotało.

— Moja córka... — jęknął.

— Przykro mi panu o tym mówić, ale najgorszy scenariusz, ten, którego się najbardziej obawialiśmy, właśnie się rozgrywa — oznajmił Penrose. — Margaridą złapała jakąś infekcję i w tej chwili jest w stanie krytycznym.

###

Przyklejona do szyby przed izolatką Margaridy Constança miała lzy w oczach i czerwony nos, a ręką zasłaniała usta. Dławiła się

cichym płaczem. Tomás objął ją i oboje obserwowali córkę leżącą na łóżku po drugiej stronie szyby. Pozbawiona włosów głowa dziewczynki połyskiwała, a mała spała niespokojnym snem, walcząc o życie. Pielęgniarki biegały tam i z powrotem, a Penrose pojawił się chwilę później, by skoordynować ich pracę. Po zbadaniu dziecka i wydaniu kolejnych instrukcji podszedł do przerażonych rodziców.

— Czy ona przeżyje, panie doktorze?

— Robimy, co w naszej mocy — powiedział poważnie.

— Ale czy ona przeżyje, panie doktorze?

Lekarz westchnął.

— Robimy, co w naszej mocy — powtórzył. — Sytuacja jest jednak bardzo poważna, nowy szpik kostny jest jeszcze niedojrzały, a ona nie ma żadnej odporności. Musicie przygotować się na najgorsze.

Rodzice dziewczynki nie potrafili odejść od okna, dzięki któremu widzieli, co się dzieje w pokoju. Zdecydowali, że jeżeli Margarida miała umrzeć, to nie będzie wtedy sama. Oni będą przy niej. Przez całe popołudnie oraz noc pozostali przy szybie. Jedna z pielęgniarek przyniosła im krzesła i usiedli tam, przyklejeni do okna, patrząc na córkę w agonii.

Okolo czwartej nad ranem zauważyli w pokoju nagłe poruszenie. Zaniepokojeni wstali z krzesel. Dziecko, które tak długo spało niespokojnie w gorączce, teraz leżało nieruchomo. Miało spokojną twarz. Jedna z pielęgniarek pobiegła po lekarza. Po drugiej stronie szyby wszystko przebiegało w ciszy, jak gdyby Tomás i Constança oglądali niemy film. Był to jednak horror, przerażający ich do tego stopnia, że drżeli ze strachu. Wyczuwali, że nadszedł najgorszy moment w ich życiu.

Kilka chwil później pojawił się lekarz, oszołomiony, jak gdyby właśnie się obudził. Był to gruby mężczyzna z drugim podbródkiem. Na piersiach nosił identyfikator z nazwiskiem Hackett. Pochylił się nad pacjentką, sprawdził jej temperaturę, zmierzył puls i podniósł powiekę, aby przyjrzeć się oku. Sprawdził rejestr na aparaturze i przez moment rozmawiał z pielęgniarkami. Kiedy przygotowywał się do wyjścia, jedna z nich gestem wskazała na okno, za którym znajdowali się rodzice, jakby chciała powiedzieć, że będzie musiał ich poinformować. Lekarz, po krótkim wahaniu, podszedł do nich.

— Dobry wieczór, jestem doktor Hackett — przedstawił się krótko.

Tomás mocniej przytulił do siebie żonę, przygotowując się na najgorsze.

— Bardzo mi przykro...

Ojciec dziewczynki otworzył i zamknął usta, nie wydając żadnego dźwięku, nawet najmniejszego. Był przerażony, sparaliżowany i niezdolny do wyduszenia jakiegokolwiek słowa, tak przybity, że nie zdawał sobie sprawy z bólu, który już wyciskał mu z oczu łzy. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa, a serce łomotało gwałtownie. W tym momencie dostrzegł współczucie w oczach lekarza i w końcu zrozumiał, że to spojrzenie ostatecznie przypieczętuje brutalną wiadomość. Koszmar, którego najbardziej się bał, stawał się rzeczywistością. Życie nie było niczym więcej niż kruchym westchnieniem, chwilowym, ulotnym przebłyskiem światła w odwiecznym mroku czasu. Zrozumiał, że jego mały świat stał się niewyobrażalnie ubogi, że bezpowrotnie stracił tę czystość i uczciwość, która zawsze oczarowywała go w niewinnej twarzyczce Margaridy. W tym momencie zmieszania, w intensywnym ułamku pomiędzy szokiem wywołanym wiadomością a wybuchem cierpienia, zdumiał się, że nie rodzi się w nim sprawiedliwy bunt przeciw okrutnej zdradzie losu. Odczuwał raczej ogromny ból i przejmującą tęsknotę za swoją utraconą córeczką, dojmującą i głęboką nostalgię ojca, który wie, że nigdy nie było dziewczynki tak pięknej, jak jego własna, że nigdy żaden oset nie będzie tak bardzo przypominał najpiękniejszego kwiatu.

— Kolorowych snów, moja kochana.

XIX

Nie ma większego bólu niż ten odczuwany po stracie dziecka. Tomás i Constança przez długie miesiące żyli przybici śmiercią Margaridy. Wyglądało to tak, jak gdyby stracili zainteresowanie wszystkim, odsunęli się od życia, oddając się bezwładnie chorej obojętności. Zamknęli się w sobie i próbowali znaleźć pocieszenie jedno u drugiego, powracając do wspólnych wspomnień, wymieniając wydarzenia z zapomnienia czułości. W tym procesie wzajemnej otuchy, kiedy stworzyli swój własny kokon, udało im się zbliżyć do siebie. Nawet nie zauważyli, kiedy znowu zamieszkali razem, jak gdyby zdrada Tomasa stała się teraz absurdalnie nic nieznacząca i stanowiła dawne wydarzenie, z którego pozostało tylko zamglone i nieistotne wspomnienie.

Czas spędzony we dwoje w małym mieszkaniu nie należał do łatwych. Każdy kął krył w sobie wspomnienia, każde miejsce miało swoją opowieść, a każda rzecz swój moment. Przez wiele tygodni omijali pokój córki. Przechodzili obok drzwi, nie mając odwagi, by wejść do środka. To przekraczało ich siły. Ograniczali się jedynie do spoglądania na wejście z obawą, co mogłoby się za nim kryć, tak jakby wzniesiono tam nieprzekraczalną barierę, jakby było to przejście do zaginionego świata, magicznego miejsca zatrzymanego w czasie. Obawiali się zniszczyć jego czar. Prawda jednak była taka, że nie chcieli stawić czoła pustemu pokojowi, który teraz stał się symbolem utraconej córki.

Kiedy w końcu przekroczyli drzwi i zobaczyli leżące na łóżku lalki, książki ułożone równo na półkach, ubrania w szufladach, jakby

dopiero tu je uporządkowano, poczuli się jak podróżnicy w czasie, wsadzeni ponownie na huśtawkę emocji. W powietrzu wciąż wisiało coś nieokreślonego — zapach, sposób bycia, atmosfera. Coś nienamacalnego i boleśnie przypominającego dziecięcą istotę Margaridy. Pokonani emocjami i złamani cierpieniem szybko uciekli z pokoju i wrócili do utrzymywania dystansu. Jakże ciężko było w taki sposób żyć, w tej atmosferze pełnej nostalgii i przesyconej wspomnieniami o dziewczynce. Krążenie po domu sprawiało im ból, a przebywanie z dala od niego nie przynosiło ulgi.

Po kilku miesiącach takiego trwania zdecydowali, że dalej w taki sposób żyć nie mogą. Dni mijały bez celu, życie było puste i nie miało żadnego sensu. Stopniowo uświadomili sobie, że coś należało zrobić, zmienić, zatrzymać spadanie w przepaść. Pewnego dnia, siedząc na kanapie w milczeniu, przygaszeni do granic szaleństwa i zapędzeni w ślepy zaułek, podjęli decyzję. Zerwą z przeszłością. Potrzebny im był do tego projekt, kierunek działania, światło wskazujące drogę. Szybko pojęli, że istniała tylko jedna droga. Zbawienny ratunek zależał od dwóch rzeczy.

Nowego dziecka i nowego domu.

Dzięki otrzymanym od fundacji pieniądzom kupili mały domek w Santo Amaro de Oeiras, blisko morza, i oczekiwali na dziecko, które wypełniłoby go radością. Co dziwne, oboje odkryli, że pragnęli dziecka takiego jak Margarida, z tymi samymi wadami, nawet genetycznymi, gdyby to było konieczne, o ile miałyby te same cechy — tę radość i wspaniałomyślność, którymi upośledzona dziewczynka ich ujęła. Pragnęli niemowlęcia, które wymazałoby z ich pamięci zły sen, jak gdyby utracona córka mogłaby przez nie powrócić do rodziców.

Śmierć Margaridy spowodowała refleksję Tomasa nad jego integralnością zawodową. Sprzedał swój honor za pieniądze, które miały uratować córkę. Wszystko, co się potem wydarzyło, było jakby karą za haniebną uległość, do której został zmuszony, niczym innym niż karą boską, sprawdzianem jego człowieczeństwa, prostym egzaminem moralnym, który z kretesem oblał. Taka konkluzja spowodowała, że powrócił do badań przeprowadzonych dla fundacji. Niespokojny, poruszony świadomością, iż nie spełnił swojego obowiązku, długo

przetrawiał problem. Złapał się na wielokrotnym czytaniu umowy. Analizował ją z góry na dół, biorąc każdy ustęp pod lupę, ważąc słowa, rozważając alternatywy, doszukując się luk i sprawdzając niedociągnięcia. Doszło nawet do tego, że porozmawiał z Danielem, kuzynem Constançy, dyplomowanym prawnikiem, prosząc go o szczegółowe oszacowanie dokumentu.

Prawdę mówiąc, profesor Noronha nie mógł pogodzić się z podjętą decyzją o podpisaniu kontraktu o poufności w zamian za pół miliona dolarów, które w założeniu miały uratować Margaridę. Nie zdołał wyrwać jej śmierci i teraz nikt nie mógł wybić mu z głowy przeświadczenia, że ta tragedia była karą za podły interes, w który się wpłatał. Stopniowo problem ten przeszedł w rodzaj obsesji. Niezaprzeczalnie dokonane odkrycia objęte zostały klauzulą, ale wciąż pozostawały żywe, nieposkromione i zbuntowane. Były źródłem wewnętrznej eksplozji, łamiącej mu kości i szarpiącej ciało, dążącej do wydobycia się na zewnątrz w olśniewającym wybuchu. Im bardziej poszukiwał sposobów na spuszczenie z łańcucha przemilczanej prawdy i pozwolenie jej na tłumione dotychczas dojście do głosu, tym silniej ostatnia klauzula umowy krępowała mu ruchy. Złamanie milczenia kosztowałoby go milion dolarów, a takimi funduszami nie dysponował.

Istniały dwie prawdy, które musiał przemilczeć. Pierwszą była prawda obiektywna, ontologiczna — prawda historyczna, która stała ponad wszelkim fałszem. To fakt, iż człowiek, który dokonał odkrycia Ameryki, nazywał się Colonna i był portugalskim arystokratą, po części krwi żydowskiej i włoskiej, oraz uczestniczył w tajnej misji w służbie króla Jana II. Ta prawda przez pięć stuleci pozostawała w cieniu i wydawało się, iż los każe jej nadal tam pozostać. Drugą była prawda subiektywna, moralna, prawda kogoś, kto tylko w zgodzie z nią czuje się dobrze, prawda, poza którą wszystko było kłamstwem. Wkraczało to już w dziedzinę etyki stanowiącej fundament jego życia, podstawę zasad, którymi się kierował, wartości, które nadawały sens uczciwości, integralności. Zaliczało się do nich przeświadczenie o tym, że prawda musi zatriumfować niezależnie od poniesionych kosztów, że istnieje nierozzerwalny związek pomiędzy prawdą, uczciwością i integralnością. Skrępowanie tej moralnej prawdy sprawiało Tomásowi największy ból.

Czuł kłamstwo niczym cios wymierzony we wszystko, w co wierzył, i druzgocący etykę, na której podstawie zbudował swoje życie. Niewątpliwie najbardziej dręczyła go zdrada własnego sumienia. To ona była widmem jego przerażających koszmarów, sztyletem przesywającym mu serce, rakiem drążącym wnętrze, kwasem wypalającym duszę i odbierała chęć powrotu do wiary w samego siebie.

Poczuł się pokonany, nieszczęśliwy, skalany, niegodny. Po raz pierwszy w życiu przekonał się, że prawda miała swoją cenę i że on sam mógł ją zapłacić w imię innej wartości. W pewnym stopniu identyfikował się z dylematem przeżywanym pięćset lat wcześniej przez Jana II. Przez chwilę wyobrażał sobie Idealnego Księcia siedzącego na murach Castelo de São Jorge, wśród drzew oliwnych zasadzonych przed pałacem, z Lizboną u stóp, stojącego w obliczu swojego własnego dylematu. Istniały łąd na zachodzie i Azja na wschodzie. Pragnął ich obu, ale wiedział, że może objąć w posiadanie tylko jeden. Który wybrać, a który poświęcić? Również i on stanął wobec dylematu i był zmuszony do wyboru. I dokonał go. Pozwolił Hiszpanom na odkrycie Nowego Świata, aby pozostawić sobie Azję. Kolumb był rękojmnią poufności, a Azja jego Margaridą. Jan II musiał wybrać i wybrał; dobrze czy źle, ale wybrał. To samo zrobił i on. Dokonał wyboru.

Ale nie mógł się z tym pogodzić.

Jan II poświęcił prawdę do chwili, do której kłamstwo było mu potrzebne, aby uzyskać Azję. Jego najbardziej zaufany człowiek — Ruy de Pina — podjął się później zrelacjonowania faktów, kiedy uznał, że prawda przestała stanowić niebezpieczeństwo dla przeprowadzenia portugalskiej strategii. Gdyby nie interwencja Manuela I lub kogoś przez niego wskazanego, *Crònica de D. João II* opowiadałaby zupełnie inną historię. Tomás nie miał w zasięgu ręki żadnego pomocnego Ruy de Piny. Nie miał nikogo, kto napisałby dla niego „Kodeks 632”, gdzie prawda przebijała przez kłamliwą poprawkę. Poczuł się skrępowany, związany łańcuchami hipokryzji, przytłoczony ciężarem powziętego zobowiązania, pogodzony z przeznaczeniem, które zależało nieodmiennie od dokonanych wyborów. W ostatecznym rozrachunku zwyciężyło kłamstwo, a prawda poległa.

Właśnie w tym momencie przypomniał sobie, nie wiedząc nawet jak, pierwsze ustępstwo, które musiał zrobić, pierwszy kompromis, do którego zmusił go Moliarti, pierwszą podłość, którą zaakceptował. Siedząc na ławce krążganków królewskich w klasztorze Hieronimitów, Amerykanin zażądał od niego, wbrew jego woli, by poszedł do domu profesora Toscano i okłamał wdowę, aby uzyskać informacje potrzebne do kontynuowania badań. Było to małe kłamstewko, nie poważnego, ale w każdym razie stanowiło pierwszy krok w kierunku, który potem nieodwołalnie obrał. Okazało się pierwszą pochyłością terenu szybko otwierającą się w przepaść, ciemną i głęboką dziurę, gdzie zakopał resztki swojego sumienia. Poświęcił wtedy prawdę, wmawiając sobie samemu, że był to wyjątek bez większego znaczenia. W końcu raz nie oznacza zawsze, a czym jest małe kłamstewko w porównaniu ze spektakularnym finałem? Wyjątek jednak szybko przekształcił się w regułę. A teraz pozostał tak, pełen wstydu, bezlitośnie uwikłany w zaplątaną, zdradziecką sieć intryg.

Przypomniał sobie także płomień, który olśnił go przelotnie w krążgankach królewskich; krzyk, który chwilami rozbrzmiewał mu w duchu — agresywny, śmiały i burzliwy, ale jednocześnie ulotny i efemeryczny. Była to chwila jasności widzenia stłumiona natychmiast żądzą bogactwa, pochodnią, którą zły mrok prędko zgasił.

To był wiersz.

Wiersz Fernanda Pessoa wyryty na nagrobku wielkiego poety w klasztorze Hieronimitów na wieczną pamiątkę. Tomás wysilił pamięć i litery przekształciły się w słowa, słowa w idee. Nabrały sensu i wielkości:

*ABY WIELKIM BYĆ, sobą bądź: niech nic
W Tobie nie przesadza ani nie wyklucza.
Bądź całym sobą we wszystkim.
Zaangażuj wszystko, kim jesteś,
W najmniejszą rzecz, którą robisz.
Wtedy w każdym jeziorze pełnia księżycy
Zajaśnieje, ponieważ mieszka on na wyżynach.*

Powtórzył wiersz cicho, wiele razy. Poczuł, jak ponownie rozpala się w nim ten zgaszony płomień — na początku słaby, kruchy, niezdecydowany i bardzo odległy. Prędko jednak zagarniał coraz większą przestrzeń, dodając sercu ciepła, rozpalając się, w miarę jak wzbierał głos, rozpościerając się i ogrzewając mu duszę. W głębi jego sumienia palił się już ogień — piekielny pożar, który wykuwał żelazną determinację.

Krzyknął.

Sobą bądź. Będę. Bądź całym sobą we wszystkim. Będę. Zaangażuj wszystko, kim jesteś, w najmniejszą rzecz, którą robisz. Zaangażuję. Niech nic w Tobie nie przesadza ani nie wyklucza. Niczego nie będę wykluczał. Pełnia księżycza zajaśnieje, ponieważ mieszka on na wyżynach. Zajaśnieje.

Decyzja została podjęta.

Tomás usiadł przed komputerem i popatrzył na pusty ekran. Potrzebne mi inne nazwisko, była to pierwsza myśl, jaka przyszła mu do głowy. A może pseudonim? Nie, to nie jest dobry pomysł. Potrzebuję kogoś, kto będzie ponad tym wszystkim, kogoś, kogo inni będą słuchać. Kogoś, kto zgodzi się być moim Ruy de Piną. Hmm... ale kogo? Niewątpliwie jakiegoś słynnego historyka. Nie, właściwie historyk nie pasuje, to zbyt ryzykowne. Łatwo można byłoby to sobie skojarzyć. Potrzebuję raczej kogoś innego, spoza dziedziny, kogoś, kto zaakceptuje podpisanie prawdy swoim nazwiskiem. Tak, właśnie tak. Ale kogo? Hmm... potem zobaczę. Teraz moim priorytetem jest ustalenie sposobu przekazania mojego odkrycia. Umowa zabrania jni pisania artykułów, esejów, udzielania wywiadów i uczestniczenia w konferencjach prasowych. A gdybym przedstawił to wszystko w formie powieści? To nie byłby najgorszy pomysł, prawda? W rzeczy samej, umowa tego nie uwzględnia. To fikcja. Zawsze będę miał ten argument.

To fikcja. Co więcej, to nie ja będę za nią odpowiadał, prawda? Ktoś inny, mój Ruy de Pina. Jakiś powieściopisarz czy ktoś w tym stylu. To byłoby dobre — powieściopisarz. A dlaczego nie dziennikarz? To nie jest głupia myśl. Dziennikarz. Ci goście bezpośrednio stykają się z rzeczywistością. Hmm... ideałem byłby dziennikarz i pisarz w jednej osobie. Można takich znaleźć, być może uda mi się

któregoś z nich przekonać. Dobrze, pomyślę o tym później, mam czas. Na razie skoncentruję się na tym, co mam do opowiedzenia, na rzeczywistości, którą przekształcę w powieść, na fikcji, która posłuży za narzędzie prawdy. Za pomocą historyjki przedstawię historię. Zmienię imiona występujących w niej osób, to oczywiste. Przekażę tylko to, co widziałem, przeżyłem i odkryłem. Tylko to. Tak... być może za wyjątkiem wstępu. W końcu wszystko zaczęło się od śmierci profesora Toscano, a nie byłem przecież jej świadkiem. Tutaj muszę uciec się do wyobraźni, nie ma na to rady! Będę musiał sobie jego śmierć wyobrazić. Dobrze, wiem, że profesor umarł, pijąc sok z mango w swoim pokoju w Rio de Janeiro. Takie są fakty. Cała reszta — przebieg wydarzeń — to kwestia fantazji. Potrzebuję jedynie punktu zaczepienia na początek. Niech no się zastanowię, od czego zacząć. A może właśnie od wypicia soku z mango i padnięcia trupem? Hmm... nie, to zbyt obcesowe. Trzeba rozpocząć akcję wcześniej, jakieś trzy lub cztery minuty przed, tak aby przygotować czytelnika. Mogę nawet od razu oznajmić, że umrze, coś w rodzaju... przepowiedni, proctwa. Tak, to właśnie to. Być może lepiej zacząć od proroctwa. Hmm... a potem nastąpi odliczanie, tak aby wprowadzić pewne napięcie. Wspaniale, to świetny pomysł, do dzieła.

O tym wszystkim myślał Tomás Noronha przez długą chwilę, kiedy siedział na krześle, patrząc w monitor, jak gdyby wpadł w trans, pijany słodką perspektywą uwolnienia się od furii, która zniewalała mu duszę. Podniósł potem dwa palce i wiedziony zbawiennym odruchem prawdy, niczym dyrygent stojący przed orkiestrą i wydobywający ze skrzypiec i puzonów wspaniałą symfonię, w końcu przystąpił do ataku i na ekranie monitora zatańczyły litery składające się na jego historię.

Cztery.

Stary historyk nie wiedział, nie mógł bowiem wiedzieć, że zostały mu tylko cztery minuty życia.

Posłowie

Pochodzenie Krzysztofa Kolumba okryte jest mroczną zasłoną tajemnicy, skrepowane skomplikowanymi więzami, które pozwalają jedynie na niewyraźny zarys bardzo złożonej postaci. Gęsta pajęczyna sekretu wydaje się utkana ręką samego żeglarza, który z premedytacją ukrył wiele informacji dotyczących swojej przeszłości, otaczając je kotarą milczenia i szeptanych zagadek oraz pozostawiając za sobą długi ślad sprzecznych wskazówek i dwuznacznych sformułowań. Wciąż niejasne są motywy takiego postępowania i stanowią źródło nasilonych spekulacji ze strony zarówno historyków, jak i laików.

To sprawia, że mgliste kontury człowieka, którego twarzy nikt nie zna, stają się jeszcze bardziej niewyraźne. Wiele z potencjalnie dużo mówiących dokumentów zagubiło się w labiryncie czasu, natomiast większość z zachowanych tekstów to nie oryginały, lecz kopie, które mogły zostać zmienione. Jak gdyby tego było mało, znalazły się dokumenty będące dziełem zdolnych fałszerzy, które jednocześnie naruszają wątpliwości co do autentyczności wielu innych. Wśród licznych szczegółów z życia Kolumba możemy dopatrzeć się niewielu pewnych faktów, za to niezliczonych sprzeczności i zagadek stanowiących pożywkę dla najróżniejszych domysłów co do tego, kim naprawdę był odkrywca Ameryki.

Aby rozwiązać wszelkie wątpliwości, należy podkreślić, że choć to dzieło zostało zainspirowane faktami i podparte autentycznymi dokumentami, które można znaleźć w wielu bibliotekach, jest fikcyjne.

Powieść czerpie z licznych źródeł dotyczących różnorodnych tematów. Lista analizowanych pozycji jest tak obszerna i zróżnicowana, że nie będę jej tutaj przedstawiał, aby niepotrzebnie nie wystawiać na próbę cierpliwości czytelników. Wymienię jedynie autorów, którzy okazali się istotni w zgromadzeniu danych dotyczących najbardziej kontrowersyjnych i wzbudzających polemiki aspektów pochodzenia i życia Kolumba. Lista ta zawiera takie nazwiska jak: Patrocínio Ribeiro, Pestaña Júnior, Santos Ferreira, Ferreira de Serpa, Arthur d'Ávila, Alexandre Gaspar da Naia, Mascarenhas Barreto, Armando Cortesão, Jorge Gomes Fernandes, Vasco Graça Moura, Alfredo Pinheiro Marques, Luís de Albuquerque, Luiz de Lencastre e Távora, Simon Wiesenthal, Maurizio Tagliattini, Moses Bensabat Amzalak, Jane Frances Aimer, Sarah Leibovici, Salvador de Madariaga, Ramón Menéndez Pidal, Luciano Rey Sánchez, Gabriel Verd Martorell oraz Enrique Bayerrri y Bertomeu. Bezpośrednio i pośrednio w tle tej powieści stoi wielu przyjaciół, którzy naturalnie pozostają obcy fikcyjnej fabule. Serdecznie dziękuję za cenny wkład profesorowi historii odkryć geograficznych z Uniwersytetu Nowego w Lizbonie João Paulowi Oliveira e Costa; dyrektorowi Biblioteki Narodowej w Lizbonie Diogowi Piresowi Auréliowi; dyrektorce Archiwum Państwowego w Genui Paoli Caroli; przewodniczącemu Biblioteki Narodowej w Rio de Janeiro i jednemu z najważniejszych światowych kolekcjonerów oryginalnych rękopisów Pedrowi Correa do Lago; kierownikowi Portugalskiej Czytelnicy Królewskiej w Rio de Janeiro Antóniowi Gomes da Costa; ambasadorowi Antóniowi Tangero-wi, który otworzył mi drzwi do pałacu São Clemente w Rio de Janeiro; Antóniowi da Graça, ojcu i synowi, oraz Paulinowi Bastosowi, przewodnikom w Rio de Janeiro; Helenie Cordeiro, która pozwoliła mi spojrzeć przez okno na Jerozolimę; rabinowi Boazowi Pashowi, ostatniemu kabaliście w Lizbonie; Robertowi Bachmannowi, przewodniczącemu Portugalskiego Stowarzyszenia do Studiów nad Judaizmem; Albertowi Sismondiniemu, profesorowi języka włoskiego na uniwersytecie w Coimbrze, znawcy dialektów z Ligurii i cennemu pomocnikowi przy dialekcie genueńskim; niezastąpionemu przewodnikowi po hotelu Da Lapa w Lizbonie Doris Fabris-Bucheli; strażnikom bram strzegących tajemnic Quinta da Regaleira w Sintrze

João Cruzowi Alvesowi i Antoniemu Silvestremu; lekarzom kardiologom ze szpitala Świętej Marty w Lizbonie, Máriowi Oliveirze i Conceição Trigo; Miguelowi Palha, lekarzowi i założycielowi Portugalskiego Stowarzyszenia Nosicieli Trisomii 21 oraz jego Teresie; a także Dinie, Franciscowi i Rosie Gomesom, którzy podzieli się ze mną swoimi doświadczeniami.

Pozostaje jeszcze Florbela, jak zawsze pierwsza czytelniczka i najważniejszy krytyk — latarnia, która prowadziła mnie przez zawły labirynt narracji.